DUKAJ

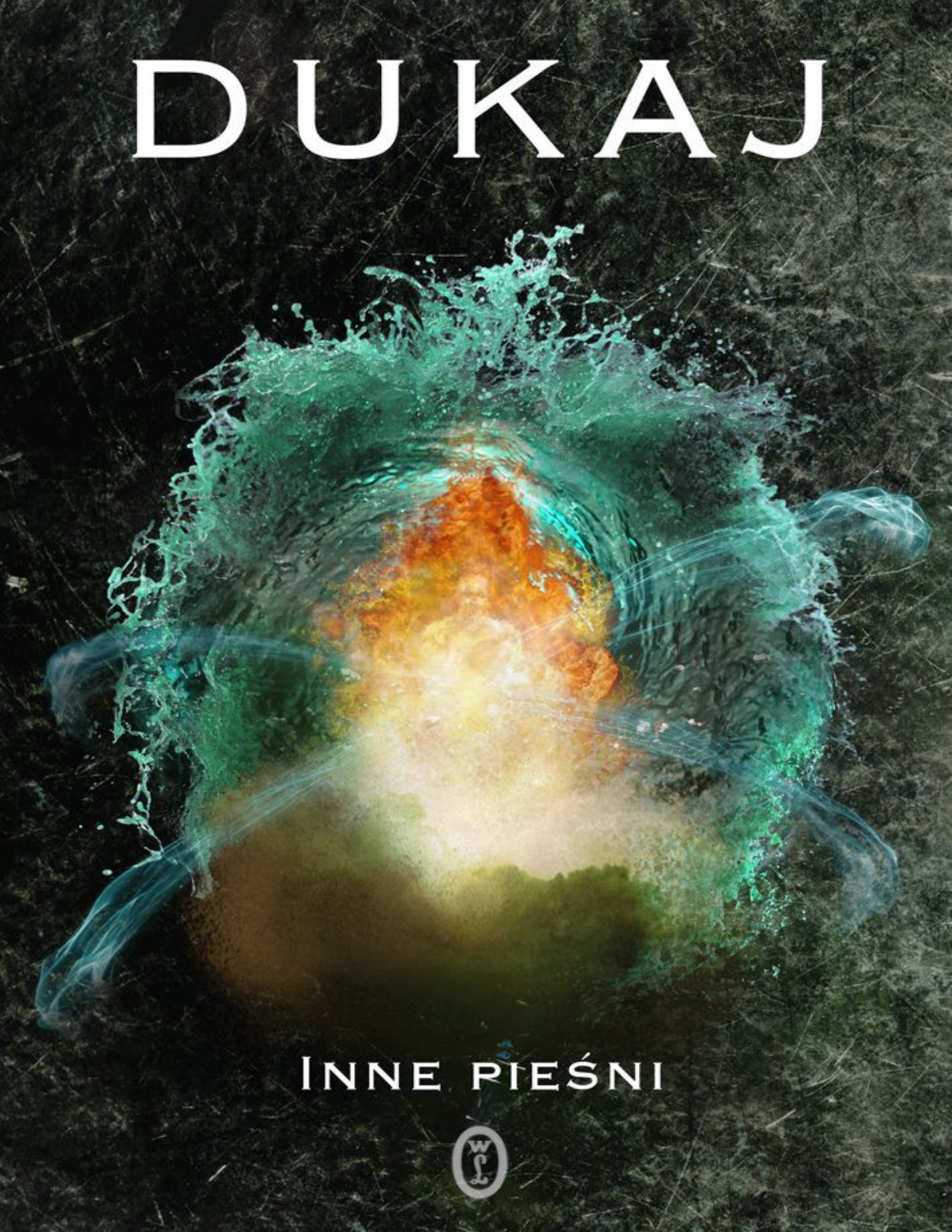

Inne pieśni

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JACEK

DUKAJ

INNE PIEŚNI

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003

Redaktor serii
Anita Kasperek

Redakcja
Barbara Górska, Michał Olszewski

Korekta
Anna Rudnicka, Urszula Srokosz-Martiuk, Małgorzata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Na wyklejkach wykorzystano m.in. schemat i mapę wszechświata wg Ptolemeusza, mapy świata wg Erastotenesa, grafiki przedstawiające Boginię Węży (Snake Goddess) z Krety minojskiej oraz latarnię morską w Faros.

Redaktor techniczny
Bożena Korbut

Wydanie drugie

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia informacyjna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Skład wersji elektronicznej: Michał Nakoneczny Virtualo Sp. z o.o.

ISBN 978-83-08-04715-6

Spis treści

I

- A Nokturn
- B Dom Kupiecki
- Γ Ojcorództwo
- Δ Bóg w cyrku
- E Słowo, gest, spojrzenie
- ε Jak Czarnoksiężnik

II

- Z Aereus
- H Pod słońcem Nabuchodonozora
- Θ Sztylet
- I Dżurdża
- ι Jak ojciec

III

- Λ Szulima Amitace
- M Wyniesienie
- N Światło naszej Pani

Ξ Inny

ξ Jak strategos

IV

Π Król szczurów

P Reguły kaźni

Σ Ferus, aereus, aethereus

T Państworództwo

Y O naturze ludzkiej i kwiatach Hyakinthosa

Φ Oczy wdowca

V

X Kratistobójca

χ Jak Czarnoksiężnik

Ψ Floty, armie, Horrory

Ω Pan Berbelek

W ciągu mojego życia wyrobiłem sobie szczególną wrażliwość na Formę i ja naprawdę lękam się tego, że mam pięć palców u ręki. Dlaczego pięć? Dlaczego nie 328584598208854? A dlaczego nie wszystkie ilości naraz? I dlaczego w ogóle palec? Nic dla mnie bardziej fantastycznego, jak że tu i teraz jestem jaki jestem, określony, konkretny, taki akurat, a nie inny. I boję się jej, Formy, jak dzikiego zwierza! Czy inni podzielają moje niepokoje? O ile? Nie czują Formy, jak ja, jej autonomii, jej dowolności, jej furii stwarzającej, kaprysów, perwersji, spiętrzeń i rozpadów, niepohamowania i bezgraniczności, nieustannego splatania się i rozplatania.

Witold Gombrowicz

Jeden jest rodzaj ludzki, jeden boski.
Ta sama Matka tchnęła w nas życie.
Lecz różnica mocy
Rozdziela nas we wszystkim.

Pindar

I

A
Nokturn

Mgła wirowała wokół dorożki, z miękkich kształtów biało-szarej zawiesiny pan Berbelek usiłował odczytać swoje przeznaczenie. Mgła, woda, dym, liście na wietrze, sypki piasek oraz ludzki tłum — w nich widać najlepiej.

Głowa ciążyła mu ku skórzanemu obiciu. Wciągnąwszy głęboko do płuc wilgotne powietrze, obronił się przed morfą nocy, drobny człowieczek w drogim płaszczu, o zbyt gładkiej twarzy i zbyt dużych oczach. Podniósł z siedzenia gazetę zostawioną przez poprzedniego pasażera. W brudnym świetle mijanych latarni pyrokijnych z trudem odczytywał herdońskie czcionki: litery jak runy, jak strzępy jakichś większych znaków, z prawej tłuste i grube, ku lewemu bokowi blaknące. Twardy papier miął się i łamał w orękawicznionych dłoniach. KSIĘŻYCOWA WIEDŹMA ZAKOCHANA. KIM JEST WYBRANEK? Szpalta obok — rycina z morskim potworem i nagłówek: PIERWSZY NIMROD KOMPANII AFRYKAŃSKIEJ ZAGINIONY NA MORZU. Komentarz polityczny rytera Dreuga-z-Kohle: *Czyż doprawdy tak trudno było przewidzieć sojusz Jana Czarnobrodego z kratistosem Siedmiopalcym? Rzym, Gothland, Frankonia i Neurgia będą się teraz musiały ugiąć pod snem Czarnoksiężnika. Podziękujmy naszym dyplomatom za ich wspaniałą pracę!* Tekst aż ociekał sarkazmem. W kałużach na czarnym bruku odbijał się Księżyc w trzeciej kwadrze, bezchmurne jego niebo odsłaniało różowe morza, kratista Illea zaiste musiała być w dobrym nastroju (może rzeczywiście zakochana?) albo też świadomie tak mocno rozpościerała swą koronę. Anthos pana Berbeleka rzadko rozciągał się dalej niż na wyciągnięcie ręki i rzeczywiście tylko we mgle, w dymie dało się odgadnąć cokolwiek z jego kształtu — może właśnie przyszłość, zapowiedź kismetu, jak chce popularny przesąd. Ale czyż pan Berbelek nie nagiął dziś wieczorem zarówno woli ministra Bruge, jak i Szulimy? Popatrywał więc, zamyślony, w wirującą mgłę.

Ktlap, ktlap, ktlappp, dorożkarz nie popędzał konia, noc była cicha i ciepła, chwila narzucała spokój i rozwagę. Pan Berbelek wspominał gorąc winnego oddechu Szulimy i zapach jej aegipskich perfum. Tej wiosny skończyło się panowanie ascetycznej mody z Herdonu (małe zwycięstwo nad kratistosem Anaxegirosem, przynajmniej na tym polu) i powróciły na salony tradycyjne europejskie chimaty, kaftany londyńskie, bezguzikowe koszule odkrywające tors, a dla kobiet — suknie kaftorskie, soforie i mitani, arabskie szalwary, gorsety podnoszące biust, krzykliwa biżutera sutków. Przedramiona Szulimy obejmowały długie, spiralne bransolety z brązu w kształcie węży i kiedy esthle Amitace podała Berbelekowi rękę do ucałowania (dotyk jej skóry prawie go parzył), zajrzał on gadowi prosto w szmaragdowe ślepia. — Esthle. — Esthlos. — Już się uśmiechała, dobry znak, od pierwszego spojrzenia narzucił formę życzliwości i konfidencji. Potem szeptała mu zza błękitnego wachlarza ironiczne komentarze na temat mijających ich gości. Także na temat swojego wuja. Esthlos A. R. Bruge, minister handlu Księstwa Neurgii, wplątał się ostatnio w skomplikowany romans z gocką kawalerzystką, setniczką Horroru, która najwyraźniej była mocnym demiurgosem — z każdorazowego z nią spotkania Bruge wracał odrobinę przystojniejszy i odrobinę głupszy, jak śmiała się Szulima. Może więc rzeczywiście minister został już wcześniej urobiony? Bo zgodził się na propozycję Berbeleka właściwie bez oporu, machnięcie ręki i grymas, nie chciał się nawet nad tym zastanawiać — i tak oto Dom Kupiecki Njute, Ikita te Berbelek uzyskał faktyczny monopol na import futer z Północnego Herdonu. Pan Berbelek świętował. Pomiędzy jednym toastem a drugim, nie zastanawiając się, zaprosił Szulimę do swej letniej posiadłości w Iberii. Uniosła brew, strzeliła wachlarzem, wąż błysnął zielonym ślepiem. — Chętnie. — Lecz teraz, licząc w kałużach gorące Księżyce oraz uderzenia kopyt o miejski bruk w wilgotnej ciszy, pan Berbelek myśli tak: A jeśli było dokładnie na odwrót, jeśli to jej anthos przeżarł mnie podstępnie i to jej przekora wypchnęła z moich ust owo zaproszenie? Czy opowiadając historię gockiej setniczki-demiurgosa, nie próbowała mi dać czegoś do zrozumienia…?

Mgła zrzedła, widział kanciaste sylwety budynków nachylające się nad odkrytą budą dorożki. Klasyczna vodenburska architektura nigdy nie miała dla Berbeleka wielkiego uroku, te wszystkie masywne kamienice, ściśnięte w kręte szeregi, ulice jak kaniony kamiennego labiryntu, dachy nastroszone

gargulcami i rzygaczami, okna niczym strzelnice, portale jak wrota krypt, ciemne dziedzińce za ukrytymi w cieniu bramami, wiecznie mokre kocie łby, po których ściekają, w dół, ku portowi i morzu, strumyki miejskiego brudu… Centrum oraz większość dzielnic mieszkalnych stolicy wzniesiono za czasów kratistosa Grzegorza Ponurego, gdy rezydował on w pałacu książęcym. Keros Vodenburga giął się wówczas i topniał w ogniu korony kratistosa zaiste jak wosk, sam pałac zastygł po odejściu Grzegorza w formie upiornych ogrodów kamienia i stali. Berbelek został tam zaproszony tuż po przeprowadzce do Vodenburga, w kontraście jego własny dom wydawał mu się potem wcale słoneczny i radosny. Ludzie jednak szybciej się zmieniają od materii nieożywionej. Trzy pokolenia po Grzegorzu Czarnym vodenburczycy nauczyli się śmiać i bawić i nawet usłyszał od nich w ciągu sześciu lat parę dowcipów. Całe szczęście, że Szulima nie pochodzi stąd. Otworzył „Jeźdźca o Zmierzchu” na przedostatniej stronie. Dzisiejsza karykatura — wytężył wzrok — przedstawiała kanclerza Löke na czworakach, z rozanielonym wyrazem twarzy wylizującego nocnik Czarnoksiężnika. Cóż, nie od razu Rzym zbudowano, poczucie humoru też nie rodzi się z kamienia.

Przejechali przez plac świątynny. Na stopniach Domu Isztar dojrzał kilka kurew z nowicjatu, białe uda lśniły w gazowym świetle. Dorożka skręciła, przyśpieszając na opadającej stromo ulicy, ktlappp-ktlappp. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana, wyjął tytońcówkę i zapałki. Taaak. Zaciągnąwszy się dymem, odchylił głowę na skórzane oparcie i zapatrzył się w niebo. Wbrew popołudniowemu deszczowi było bezchmurne, gwiazdy migotały filuternie, Księżyc prawie oślepiał. Tylko z przodu, nad portem, gdzie na żelaznych łańcuchach wisiały świnie powietrzne, ich bulwiaste sylwety przesłaniały gwiazdoskłon. Tytoniec żarzył się czerwono, pan Berbelek dmuchnął, jasne iskry poleciały w noc. Powiedzmy, że Kristoff utrzyma obroty na zeszłorocznym poziomie. Ale po przejęciu rządowych zamówień… Sto dwadzieścia, sto czterdzieści tysięcy groszy czystego zysku. Piętnaście procent z tego… Powiedzmy: dwadzieścia tysięcy. Spłaciłbym wreszcie ojca i zamknął renty Orlandy, Marii i dzieci. Należałoby również wykupić usługi jakiegoś dobrego teknitesa ciała. Przyznaj to, Hieronimie Berbelek-z-Ostroga: starzejesz się jak każdy.

Monotonny ruch dorożki i rytmiczny stukot kopyt działały mimo wszystko usypiająco, prawie hipnotycznie — kiedy stanęła, Hieronim poderwał się niczym wybudzony z porannego snu.

— Jesteśmy na miejscu, esthlos — mruknął woźnica.

Pan Berbelek, wysiadając, niemrawo gmerał w kieszeni za drobnymi.

Brama na dziedziniec była oczywiście zawarta, lecz światło pyrokijne paliło się nad mniejszymi drzwiami obok. Zastukał w nie trzykrotnie srebrną główką laski. Dorożka odklekotała powoli w górę pustej ulicy, ku placowi świątynnemu. Jeszcze jedno zaciągnięcie się czarnym tytońcem w chłodnym półmroku przedświtu, w tej godzinie najdłuższej, gdy bogowie prostują swe kości, a keros wszechświata jest odrobinę bardziej miękki, odrobinę bliższy Materii…

— Ach, nareszcie! Już myślałem, że nie wrócisz tej nocy! Jak tam bal, co? No, proszę mi dać ten płaszcz! I rękawiczki. Chyba nie padało znowu?

Pan Berbelek zignorował zrzędliwy słowotok starego służącego i nie zdjąwszy nawet kaftana, zaszedł do frontowej biblioteki. Tu, przy pustym pulpicie, skreślił na małej karcie cielęcego pergaminu krótką informację o powodzeniu negocjacji z ministerstwem handlu. Złamawszy kartę dwukrotnie na żydowską modłę, rozpuścił nad świecą zielony szlak i zapieczętował nim list. Jeszcze sygnet z herbem Ostroga i:

— Porte! Niech Anton zaniesie to do kantoru esthlosa Njute. Już!

Nie odwrócił się jednak od pulpitu. Ten dym nad świecą — uniósł dłoń — przecież nie ma przeciągu — czy to szabla, miecz? — w liściach na wietrze, w ludzkim tłumie, we mgle, wodzie i dymie, w tym dymie ciemnym — aż się pochylił, mrugając — zakrzywione ostrze, tak.

B
Dom Kupiecki

Pan Berbelek nie wyspał się tego dnia. Pan Berbelek źle sypiał w vodenburskie noce, ale teraz na dodatek spał krótko: ledwo wybiła godzina dziewiąta, a do sypialni, odpychając z progu Porte i Terezę, wkroczył esthlos Kristoff Njute, i od razu wszelka senność poczęła parować z Berbelekowego ciała, koszmary z umysłu.

— Ajch, ajch, ajch! Hieronimie, cudotwórco, kratistosie mój salonowy, do stóp padam, do stóp!

— A oby cię trąd… Nie odsłaniaj okien!

— Jakżeś tego dokonał, wnikać nie będę, ale tyle ci powiem, żeś godzien ostatniego grosza, następny okręt u Sytyna nazwiemy twoim imieniem, no pokażże mordę, niech cię uściskam!

— A poszedł! Sam byś też załatwił, Bruge zgodziłby się na wszystko, podobno to z miłości tak zgłupiał, w każdym razie głowa w chmurach… Tereza! Qahwy!

Szlachetny Kristoff Njute, ryter jeruzalemski i potentat futrzarski, też nie pochodził z Vodenburga (był Herdończykiem w drugim pokoleniu, urodzonym w Neue Reese Hermana, syna Gustawa), co poniekąd tłumaczyło jego wylewność. Niemniej mieszkał tu już dłużej niż Berbelek i stanowiło dla tego ostatniego jedną z większych zagadek, jak też Kristoff zdołał pozostać takim samym rubasznym cholerykiem, podczas gdy nawet prawdziwi demiurgosi optymizmu i dezynwoltury po kilku miesiącach życia pod Grzegorzową morfą popadali w „vodenburską depresję”. Ale Njute w ogóle był zaprzeczeniem przeciętności: sześć i pół pusa wzrostu, dwa lithosy żywej wagi, bary architektoniczne, włosy jak krzyk płomienia — ruda broda, ruda grzywa — i ten głos jaskiniowy, ryk przepitego niedźwiedzia, kieliszki dźwięczały, gdy szeptał.

— Od razu złożyłem nowe zamówienia i kurierskim posłałem faktorom wyższą ofertę skupu, wyprzemy Kreucka nie tylko z Neurgii, ale i z księstw bałtyckich, już to widzę — ciągnął pan Njute. — Rok, dwa, nie mogą się

przecież wiecznie trzymać na cygańskich kredytach, a jak wejdziemy na północ —

— Muszachin ma wsparcie królewskiego skarbca — wtrącił Hieronim, siorbiąc gorącą qahwę cynamonową.

— Ha! Czyż nie po to wziąłem cię do spółki? Ty masz przyjaciół na wschodnich dworach, twoja pierwsza pochodziła z Moskwy, prawda?

— Kristoff…

— No bardzo przepraszam, że wspomniałem, Panie Męczenniku! Kriste, jak ty się potrafisz delektować żałobą! Pamiętasz, jak musiałem cię wyciągać z psiarni Löke? Myślałem, że —

— Wyjdź.

— No, już, już. O czym to ja… Kreucek, Muszachin, bracia Rozarscy. No a potem to już tylko chanat syberyjski.

— Ich nie przebijesz, koszty transportu —

Kristoff palnął piąchą w poduchy.

— Kiedy właśnie nie zamierzam! Na odwrót! Sobole do Północnego Herdonu na przykład. Hop przez cieśninę! A jak Dziadek Mróz wymorfuje ten most lodowy z Azji do Nowej Laponii…!

— Taa, morfuje go od siedemsetnego. Za słaby anthos, musiałby się przenieść z Ubby nad samą Cieśninę Ibn Kady.

— A co wy mnie tak dołujecie, esthlos? Trzy dobre nowiny tego ranka, a on jak z grobu wykopany!

— A żebyś wiedział… Jak człowiek budzi się bardziej zmęczony, niż się kładł…

— Cóż znowu ci się śniło?

— Nie pamiętam, nie jestem pewien, nie wiem zresztą, jak to opowiedzieć. Sam pomyśl, Kristoff, coś takiego: zamknięty, ale w nieskończonej przestrzeni, biegnę do miejsca, w którym stoję, a oni mnie tną do kości, ilekroć się obrócę, ale to nie ja się obracam —

— Dosyć, dosyć! Ja cię muszę rozruszać, rdzewiejesz mi tu. Na ten bal też cię prawie przemocą wypchnąłem — i co? źle zrobiłem?

— Co za nowiny?

— Ajch, to nie wiesz! Thor idzie na wojnę! Znowu się będą bić o Uuk. Wyobraź sobie te zamówienia, sam kontyngent zimowy, a jeszcze skok cen…!

— Pasożyt.

— Heh. A za trzy godziny przybija „Filip Apostoł”, o świcie przyleciał ptak. Przed terminem i żadnych strat. Teraz mi mów, że nie powinniśmy inwestować we własną flotę!

— Żadnych strat, bo złapałeś na ostatni rejs tego Persa-hekatombę. Czytałeś wczorajszego „Jeźdźca”? Coś pożarło kliper Kompanii, razem z ich najlepszym nimrodem, i to gdzie? — na Morzu Śródziemnym! A ty mówisz o okeanosie!

— Dlatego właśnie zaraz podźwigniesz się z tego łoża i pojedziesz ze mną do portu. Trzeba złapać Ihmeta jeszcze na trapie, zanim nie podpisze kontraktu z innymi. Już ty go przekonasz, czuję, że przypadniecie sobie do gustu. W listach wyrażał się o tobie z wielką atencją — naprawdę nigdy się nie spotkaliście? W każdym razie teraz macie okazję, wymienicie te swoje krwawe opowieści, zabierzesz go do łaźni, wszystko na koszt firmy, bądź rozrzutny, niech mu zaszumi w głowie, co tylko —

— Nie chce mi się — mruknął Hieronim.

Kristoff trzasnął go z zamachu w plecy, aż czara z resztką qahwy wypadła panu Berbelekowi z dłoni na pościel i z niej na dywan.

— Wierzę w ciebie!

— Fanatyk.

Pan Berbelek poczłapał do sanitarium, gdzie Tereza nagotowała już wrzątku do kąpieli. Para zakropliła kolorową rozetę wychodzącą na dziedziniec budynku. Tylko o tej porze dnia światło słoneczne wypierało z dziedzińca mokry cień, za godzinę będzie tam już panować zmierzch kamienny — wtedy gazowe płomienie pyrokijne, odbijając się migotliwie od zielononiebieskiej mozaiki, nadadzą izbie łaziebnej pozór morskiego aquarium. Tu Hieronim często przysypiał w kąpieli i stąd zrodzone sny kołysały go najdelikatniej.

Pan Berbelek w ogóle za łatwo i za często przysypiał — z wyjątkiem nocy, kiedy właśnie przychodziło mu to z trudem. Od dzieciństwa, odkąd pamiętał, bo jeszcze na długo przed Kolenicą, prześladowały go czarne koszmary, których wszakże nijak nie potrafił po przebudzeniu opowiedzieć, ani nawet dobrze sobie przypomnieć; pamiętał tylko poczucie kompletnego zagubienia i dezorientacji, trwogi tak głębokiej, że w ogóle niemożliwej do wysłowienia. Natomiast dni przemijały mu w Vodenburgu w nieustannym sennym rozleniwieniu, przeważnie nawet nie podnosił się z łoża, nie ubierał się, nie było po co i dla czego. Służący kręcili głowami i zrzędzili półgło-

sem, ale nie zwracał uwagi. Głosy, ludzie, światło i ciemność, hałas i cisza, posiłki o smakach takich i owych, następstwo pór roku za oknami — zlewało mu się to wszystko w jedną ciepłą, kleistą breję, która zatapiała go w powolnych przypływach, zalepiała szczelnie zmysły. Trzeba było dopiero silnej ręki esthlosa Njute, ona wyciągała Hieronima na powierzchnię. Njute zawsze wiedział, po co i dla czego.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Wydawało się, że od przybycia do stolicy Neurgii o niczym innym pan Berbelek nie myśli, a w każdym razie nie ma innej osi dla jego działań. Bo jeśli się z tej sieci wyrywał, to nie ku odmiennym pragnieniom, lecz w ciemny bezruch i bezwolę, w ten tartar starców i samobójców, do którego z Vodenburga otwierała się brama najszersza. Trzeba jednak przyznać, że bogactwo to przynajmniej jest jakiś cel, jakiś powód do życia, może niski, lecz prawdziwy, a z niego rodzą się kolejne, i następuje regeneracja człowieczeństwa. Na przykład dumy, godności osobistej — z estetyki ubioru i form etykiety. Biel koszuli i ciężar pierścieni na palcach wyznaczają wartość chwili. Tak oto martwe przedmioty potrafią morfować samopoczucie człowieka — czyż nie jesteśmy substancją najpodlejszą?

Kiedy więc dołączył do Kristoffa przebrany już w strój wyjściowy, z włosami natłuszczonymi olejkiem, zieloną leią zawiązaną pod brodą, w czarnym brytyjskim kaftanie ściśle zapiętym i w jugrach o wypolerowanych przez domowego niewolnika cholewach — był odrobinę innym esthlosem Berbelekiem niż ten, którego Kristoff zastał w ciepłym zaduchu sypialni; odrobinę inaczej myślącym i zupełnie inaczej się zachowującym. Do kolaski esthlosa Njute wskoczył Hieronim równie energicznie, jak sam Njute. Wiosenne słońce przyświecało mocno, rzucił na oparcie płaszcz humijowy. Kristoff natomiast pozostał w swojej obszernej szubie z bobrowym kołnierzem — i kiedy teraz Herdończyk rozpierał się w szerokim powozie, pan Berbelek u jego boku zdawał się jeszcze bardziej szczupły i niepozorny.

Spojrzał przed wyjściem na termometr: siedemnaście kresek na skali alexandryjskiej — chociaż od morza ciągnął mocny, chłodny wiatr i strzępiaste chmury barwy piasku sunęły szybko po lazurowym niebie. Dymy z huty Woernera zazwyczaj zasnuwały północny horyzont, lecz dziś wiatr poradził sobie i z nimi, niebo było jak lukier. Jechali w innym kierunku, w dół, ku portowi, i Hieronim ani na moment nie tracił z oczu świń powietrznych, których długimi korpusami rzucało na boki i wzwyż. Policzył: siedem.

Przybyła jedna w barwach sułtanatu Malty, kosze były właśnie w ruchu. Zwrócił wzrok ku wieży flagowej portu. Istotnie, wywieszono już zapowiedź przybycia „Filipa Apostoła”. Samego portu jeszcze nie widział, ulice Vodenburga były wyjątkowo kręte: zaprojektowano je z myślą o obronie przeciwko brytyjskim piratom, którzy jeszcze do roku 850 PUR najeżdżali tę część Europy. Miasta północne, co uległy i płaciły Brytom haracz, uniknęły zniszczeń, których ślady wciąż były widoczne w Vodenburgu, chociażby w postaci wyszczerbionego muru nadbrzeżnego. Ciemnoszary jego masyw górował nad portową dzielnicą miasta, teraz znajdowały się tam strażnice teknitesów morza oraz kotwicowiska świń. Z czarnych oczodołów baszt wystawały owalne ryje stuletnich pyresider.

Zanim wyjechała na bulwary portowe, kolasa musiała się przedostać przez jeszcze bardziej zwężające się uliczki starego kwartału kupieckiego — i tu utknęła na długie minuty. Otoczył ich tłum ludzki, zawiesina okrzyków, śmiechów i głośnych rozmów w czterech językach wepchnęła się w uszy, w nozdrza — zapachy, od najpospolitszych po najbardziej egzotyczne, te ze sklepów perskich i induskich, otwartych „straganów głupców”, wszystkie ostre. Jak zwykle w takim tłoku i zamieszaniu każda rzecz zdawała się być trochę mniej sobą, a trochę bardziej czymś innym, to znaczy niczym, rzecz, słowo, wspomnienie, myśl, pan Berbelek w roztargnieniu postukiwał główką laski o podbródek.

— Czy ten Ihmet…

— Tak?

— Czy on ma jakąś rodzinę? Gdzie mieszka?

— Związać go przez ziemię? Mhm. To miasto ma wiele zalet, ale mało kto nazwie je uroczym.

— Myślałem raczej o domie pod Kartageną, posiadłość sąsiadująca z moją villą idzie na sprzedaż w przyszłym miesiącu, dostałem list, można by…

— Oni bardzo sobie cenią takie więzy. Mhm.

Nie należało zapominać, że ryter Njute to w głębi ducha ksenofob. Pan Berbelek pamiętał o tym dobrze, sam był dla Kristoffa obcym; co więcej, tu, w Neurgii, obcymi byli obaj. Ksenofobia Kristoffa stanowiła odmianę na tyle specyficzną, że nie owocowała bynajmniej nienawiścią, niechęcią czy choćby strachem. Po prostu Kristoff do każdego, kto nie był Herdończykiem i kristjanem, podchodził jak do dzikiego barbarzyńcy, spodziewając

się wszystkiego najgorszego i nie dziwiąc się niczemu, a byle przejaw człowieczeństwa witał niczym wielkie zwycięstwo swej morfy. Kryły się za tym wysokie pokłady nieintencjonalnej pogardy, aczkolwiek na zewnątrz objawiała się ona jedynie wylewną serdecznością. „Mówisz po grecku! Jakże się cieszę! Wstąpiłbyś do nas na kolację? Jeśli, oczywiście, jesz mięso i pijasz alkohol”. A przy tym Kristoffa istotnie nie dało się nie lubić.

Pan Berbelek wyjął jantarową tytońcówkę i poczęstował rytera. Zapalili obaj, woźnica podał ogień.

— Ty znasz esthle Szulimę Amitace.

— Owszem — pan Njute powoli uwolnił z płuc lepki dym. — Jaka to mieszanka?

— Nasza.

— Naprawdę? No popatrz. Co z tą Amitace?

Pan Berbelek zachichotał, zaciągnąwszy się głęboko.

— Chyba wpadłem w jej koronę. Albo ona w moją. I tak się zastanawiam…

— Wszystkie kobiety to demiurgosy pożądania.

— Taaa.

— Co ty się przejmujesz? Dobrze robisz, splataj się z nimi, z Bruge, z jego krewnymi, o to chodzi, o to chodzi. Ku większej potędze NIB!

— Przyjechała z Byzantionu — znasz kogoś, kto tam ją znał?

— Popytam. Bo co? Wierzysz w te plotki?

— Jakie plotki?

— Że młoda nie dlatego, że młoda, i piękna nie dlatego, że piękna…

— Ach, jak zwykle opowiadają chore bajki, bo zazdroszczą.

— Fakt. Przecież skoro krewna Bruge —

— Minister gliniany.

Woźnica strzelił batem, konie szarpnęły, powóz uwolnił się z tłumu. Wyjechali z cienia ulicy na rozsłonecznione bulwary, szerokie tarasy portowe, gdzie keros natychmiast stwardniał, uwolniony spod nacisku tłumu, i pan Berbelek spętał swe myśli w karny szereg, skończyła się rwana rozmowa.

Składy Domu Kupieckiego Njute, Ikita te Berbelek mieściły się w długim, drewnianym bakhauzie, otwierającym się wysokimi wrotami wprost na kamienne nabrzeże. Vodenburg posiadał głęboki port oraz zamkniętą, bezpieczną zatokę (dzieło jakiegoś zapomnianego kratistosa) i zazwyczaj okręty cumowały tu burta w burtę, szczelnie zasłaniając morski horyzont;

nie inaczej dzisiaj. Trwał wyładunek i załadunek, przy samym nabrzeżu NIB uwijała się z setka niewolników i pracowników najemnych.

Kristoff i Hieronim zajechali pod składy od tyłu. Esthlos Njute, wysiadłszy, wyjął z kieszonki zegarek.

— Pół godziny góra.

Zewnętrznymi schodami weszli do kantoru, który mieścił się w nadbudówce na trzeciej kondygnacji. W drzwiach minęli się z N'Yumą.

— Pogońże ludzi z „Karola", do wioseł, do wioseł, muszą mi tu zaraz zrobić miejsce dla „Filipa".

Jednooki Negr skinął głową. W zeszłym roku N'Yuma wykupił się od rytera, lecz mentalność niewolnika mu pozostała, taka morfa odbija się najgłębiej.

Pan Berbelek miał tu swoje biuro, wydzielono dlań narożną izbę, ale zajrzał tam przez te lata wszystkiego dwa razy. Nie widział potrzeby podtrzymywania fikcji, taki z niego był kupiec, jak z Kristoffa dyplomata. Jeśli w ogóle zachodził do składów, kończyło się na wizycie w gabinecie Njute, skąd zresztą rozpościerał się najlepszy widok; szerokie, trzypanelowe okno wychodziło wprost na port i zatokę, mógł obserwować z wysokości steng całą tę mrówczą krzątaninę. Jeśli nie zacinał deszcz lub mróz nie trzymał zbyt wielki, Njute zostawiał okno otwarte i do wnętrza swobodnie wskakiwał morski wiatr, słone powietrze przepłukało tu wielokrotnie każdy sprzęt, nasączyło swoim zapachem ściany i dywan.

Dopalając tytońca, pan Berbelek obserwował ptasie ruchy dźwigu towarowego, ładującego na okeanosowy kliper innej kompanii skrzynie okute żelazem, śledził wzrokiem odbijającego powoli od nabrzeża „Karola Piętę", przyglądał się rytmicznej pracy wioślarzy na łodziach holowniczych, nagim bicepsom N'Yumy, pokrytym jakimś plemiennym morfunkiem — Negr, stojąc na hałdzie starego takielunku, wykrzykiwał klątwy i zachęty do uprzątających nabrzeże tragarzy, dla nich pan i władca, wgniatający w ziemię samym spojrzeniem dzikiego oka… Mewy skrzeczały melancholijnie. Niewolnica przyniosła gorącą theę; podziękował, nie odwracając się od okna. Za jego plecami Kristoff wykłócał się o jakiś zaległy podatek z perskim kancelarzystą, przechodzili w wyzwiskach i inwokacjach z ockiego na grecki i pahlavi i z powrotem. Hieronim wyrzucił przez okno peta. Oparłszy się przedramionami o wysoką framugę, siorbał theę, sól szczypała język.

Esthlos Berbelek wracał myślami do początku swej kupieckiej kariery. Lutecja Parisiorum, lato po karpackiej ofensywie Czarnoksiężnika, Hieronim Berbelek przyjmowany na salonach. Skarlał wówczas tak bardzo, że nawet myślał w trzeciej osobie. „Hieronim się kłania". „Hieronim bawi towarzystwo". „Teraz Hieronim robi wrażenie". „Teraz Hieronim będzie odpoczywał". „A teraz Hieronim poderżnie sobie gardło". Anthos Czarnoksiężnika zaległ w nim jak gorący smród. Zapominał jeść. Ostre przedmioty, przepaście, rozpędzone konie, pod które mógłby się rzucić — jak ogień dla ćmy. Oczywiście spał prawie bez przerwy. A jeśli już się budził, to o dziwnych porach, z dziwnymi pragnieniami. Co było dobre: że miał jakiekolwiek pragnienia. Takim go pochwycił w swe szpony esthlos Kristoff Njute. Wielki krzyż na piersi, dzika broda, zero obeznania i taktu salonowego: importer futer z Herdonu z ogromnymi planami i z rynkiem zbytu pod nieformalnym perskim monopolem. „Gdybyś tylko mógł do nich dotrzeć, przecież ty ich wszystkich znasz, a kogo nie znasz, ten w każdym razie zna ciebie. Pomyśl tylko, esthlos, jak moglibyśmy się wzbogacić!" Złoto! Bogactwo! Owego wieczoru, nad kielichem słodkiego wina, w kolorowych światłach dzunguońskich ogni na bezksiężycowym niebie, w chmurze morf frankońskiej aristokracji, w sercu anthosu Leo Vialle, Kratistosa Buty i Pychy — postanowił pożądać bogactwa. Postanowił chcieć chcieć, postanowił postanowić — na Jowisza, no jakoś trzeba wykopać z siebie tę wolę! O, wykrzyknik to już początek. Następnie zmiana trybu narracji. „Pan Berbelek postanawia zostać bogaczem". „Pan Berbelek będzie bogaczem". Czy smród Czarnoksiężnika się zmniejszył? Na wszelki wypadek Hieronim trzymał się od tamtej pory blisko rytera, pewien, że impulsywny Herdończyk przymusi go do uczestnictwa w każdym przyjęciu, na jakie tylko przyjdzie zaproszenie — ani też nie pozwoli sypiać zbyt długo. Z czasem zaczęły pączkować inne pragnienia. Najnowszy pomysł stanowiła esthle Amitace — czyż nie była godna pożądania? Wszystko zmierzało w dobrym kierunku: w tej chwili pan Berbelek nie miał już pewności, czy tylko chce jej pożądać, czy istotnie już pożąda. Najtrudniej morfować samego siebie i najłatwiej przeoczyć moment zmiany własnego kerosu.

— Przybija, Kristoff.

„Filip Apostoł" zrzucił żagle na drugiej boi i sunął ku nabrzeżu, wytracając prędkość, załoga czekała z bosakami i linami.

Njute podszedł do okna, wychylił się i krzyknął:

— N’Yuma! Kapitan, pilot i nimrod do mnie!

Hieronima zaś szarpnął za ramię ku drzwiom do bawialni.

— Zamówiłem obiad u Skelli.

Jeśli nie liczyć Berbelekowego gabinetu, bawialnia była chyba najrzadziej używanym pokojem w siedzibie NIB. Powierzchnia bakhauzu, sześć tysięcy pusów kwadratowych, pozwoliła ryterowi na rozmaite fanaberie: pomieścił w nadbudówce między innymi także dwie sypialnie (oficjalnie „dla gości kompanii”) czy pokój szachowy. Bawialnia była długim, wąskim pomieszczeniem, z oknami wychodzącymi na mur portowy i kotwicowiska świń powietrznych. Urządzono ją w stylu celtyckim, ciemne drewno pokrywało ściany, masywne meble z dębu, hyexu i prośniny, o prostych kątach i ostrych krawędziach, gromadziły się w rogach pokoju — z wyjątkiem zajmującego centralną pozycję wysokiego stołu, dokoła którego krzątało się teraz troje doulosów z „Domu Skelli”. Zastawiono dla pięciu osób.

Pan Berbelek usiadł przy stole, poprawił ułożenie sztućców, nalał sobie wina i już musiał wstać, by przywitać gości. Dwoje z nich było silnymi teknitesami morza i raczej nie potrafiło kontrolować swych aur, co Berbelek zaraz spostrzegł po zachowaniu wina w swym kielichu oraz cieple na policzkach, gdy krew uderzyła mu do głowy, a na twarz wystąpiły rumieńce. Rumienił się także Kristoff i niewolnicy Skelli — ale oczywiście nie sami goście.

Szybkie uściski nadgarstków, szczere uśmiechy — doulosi pośpieszyli z wodą do obmycia dłoni, a Njute, nie czekając, wzniósł toast za pomyślną podróż z Herdonu. Zasiadł u góry, pan Berbelek po jego lewej stronie, po prawej — Otto Prünz, kapitan „Filipa”, za nim — Heinemerle Trept, młoda pilot okeanosowa; bo Ihmeta Zajdara, pierwszego nimroda Njute, Ikita te Berbelek, posadzono oczywiście przy Hieronimie. Wymienili uprzejmości nad parującymi zupami. Oboje teknitesi siedzieli po tej samej stronie stołu i ciecze podpełzły niebezpiecznie ku brzegom naczyń.

Akurat Ihmet był jedynym w towarzystwie, kogo pan Berbelek nie znał w ogóle. Otto, kristjanin i ziomek Njute, pływał dla NIB od początku, najpierw na własnym kliprze, teraz jako kapitan „Apostoła”, pierwszego okeanikosa kompanii. Heinemerle wynajęli zaraz po przyjęciu jej do cesarskiej gildii nawigatorów. Ponieważ była kobietą, miała słabszą pozycję wobec reszty załogi i stwarzała większe ryzyko konfliktu kompetencyjnego podczas długiego rejsu, jej kontrakt był więc tańszy — ale umiejętności Trept

mówiły same za siebie i najwyraźniej dobrze współpracowała ze starym Prünzem.

Natomiast smagłolicy Zajdar… jego związki z firmą pozostawały najsłabsze. Ostatnimi laty, gdy potwory morskie stały się bardziej agresywne, ceny usług nimrodów doświadczonych w ochronie statków znacznie wzrosły, nie było ich zresztą znowu tak wielu. Esthlos Njute kombinował, jak się dało: kontrakt na rejs w jedną stronę, kontrakty wspólne, podłączanie się pod konwoje… Tak też pozyskał Zajdara. Pers zakończył wieloletnią współpracę z Kastygą i przyjmował ostatnio wyłącznie pojedyncze zlecenia, co nie wszystkim odpowiadało; ale Kristoff korzystał z jego usług, gdy tylko mógł, i jego też wynajął do ochrony pierwszego okeanikosa stanowiącego w stu procentach własność Njute, Ikita te Berbelek. Zaczął nawet tytułować Zajdara „pierwszym nimrodem kompanii”, trochę mając nadzieję zaczarować rzeczywistość słowami. Ihmet nieodmiennie odpowiadał uprzejmymi, niezobowiązującymi listami.

— Wczoraj przeczytałem o śmierci pierwszego nimroda Afrykańskiej — zagaił pan Berbelek w pahlavi. — Wasza podróż obyła się chyba bez przykrych incydentów?

— Jeśli nie liczyć syren na Lokoloidach. Nie było też żadnego morderstwa.

— Ach, nigdy w ciebie nie wątpiliśmy. Szczególnie esthlos Njute — on ma o tobie bardzo wysokie mniemanie.

Ihmet Zajdar skłonił głowę na te słowa. Niedoświadczeni teknitesi, pozbawieni samokontroli lub właśnie ci nazbyt doświadczeni, nazbyt długo praktykujący swą sztukę, ci, których praca wymagała wielotygodniowych okresów nieprzerwanej rozbudowy anthosów, jak właśnie teknitesi morza, przez miesiące prowadzący okręty w ciasnym uścisku swych aur, lub teknitesi wojny, strategosi, aresowie — oni często byli niezdolni do zapanowania nad owymi aurami, nie umiejąc już ich zwinąć, zniwelować, i odciskali się w kerosie ciężką pieczęcią niezależnie od okoliczności, w dzień i w nocy, na jawie i we śnie, w samotności i w sercu tłumu. Ubocznym skutkiem długotrwałej obecności na statku takiego nimroda bywały ofiary śmiertelne wśród załogi. Sprzeczki, przepychanki, koleżeńskie rywalizacje, które inaczej skończyłyby się najwyżej wybitym zębem — w koronie nimroda przynosiły w efekcie rozbite głowy, poderżnięte gardła i topielców za burtą. Zajdar cieszył się wszakże bardzo dobrą reputacją.

— Zauważyłem — rzekł, posypawszy gęsto zupę przyprawami. — Obawiam się, że będę musiał sprawić mu zawód.

— Ależ nawet jeszcze nie znasz propozycji.

— Lecz propozycję taką otrzymam, prawda? — Ihmet spojrzał pytająco na zarumienionego Hieronima.

Pan Berbelek odwzajemnił spojrzenie. Oczy Persa były błękitne czystym, jasnym błękitem wiosennego nieba, osadzone w sieciach głębokich zmarszczek mocno opalonej skóry — zmarszczek od słońca i wiatru, Zajdar nie wyglądał bowiem na więcej niż trzydzieści kilka lat. W rzeczywistości dawno przekroczył sześćdziesiątkę albo i siedemdziesiątkę, ale morfa trzymała Materię w silnym uścisku. Ciało to zaledwie szata dla umysłu, jak pisali filozofowie. Szaty jego ciała również wprowadzały w błąd, Ihmet nosił się na herdońską modłę, prosty krój, biel, czerń i szarość, wąskie nogawki i rękawy, koszula zasznurowana pod szyję. Tylko czarną brodę przystrzyżoną miał na izmaelicką modłę.

— Podpisałeś już kontrakt z kimś innym?

Pers pokręcił głową, przełykając gorącą zupę.

Hieronim westchnął tylko, pochylając się nad swoim talerzem.

Przez dłuższą chwilę milczeli, przysłuchując się głośnej rozmowie esthlosa Njute, kapitana Prünza i Trept. Heinemerle podekscytowana opowiadała o cudach południowoherdońskich portów i dzikusach z wysp równikowych, narkotykach zwierzęcych i egzotycznych morfezoonach. W przerwie między daniami przyniesiono ryterowi zweryfikowany manifest „Filipa” i Kristoff na nowo jął obliczać spodziewane zyski.

— Na północy również, w tych puszczach przeogromnych — mówiła tymczasem Heinemerle — one się ciągną od Okeanosu do Okeanosu, a w każdym razie do Megorosów, do szóstego liścia, a Anaxegiros nie wrósł tam jeszcze na tyle głęboko, by wyprzeć kratistosów dzikich, na samej północy czy na przykład w Herdon-Aragonii, kiedy czekaliśmy na towar, rozmawiałam z osiedleńcami, mity czy prawda, trudno powiedzieć, może już się roztapiają w koronie Anaxegirosa, te miasta żywego kamienia, rzeki światła, ryby kryształowe, tysiącletnie węże mądrzejsze od ludzi, i kwiaty miłości i nienawiści, drzewa, z których rodzą się daimony lasu — powiedz, Ihmet, przecież widziałeś na własne oczy.

— Nie potrafię opowiadać.

— Na statku, jak wpadłeś w melancholijny nastrój, potrafiłeś snuć długie gawędy…

— Bo to były c u d z e opowieści — uśmiechnął się Zajdar pod wąsem.

— Nie rozumiem — zirytowała się Trept. — To znaczy co? że kłamstwa? Kłamstwa to potrafisz?

— Nie w tym rzecz — odezwał się cicho pan Berbelek, łamiąc sobie chleb. — Ale historie powtarzane za kimś m o g ą być nieprawdziwe, i to nas wyzwala. Natomiast mówiąc o własnych doświadczeniach —

— Co? — weszła mu w słowo. — Co ty właściwie usiłujesz powiedzieć? Że szczerym można być tylko w kłamstwie? Takie zenonówki dobre są dla dzieci.

Pan Berbelek wzruszył ramionami.

— Ja lubię dzielić się opowieściami — mruknęła Heinemerle. — Jaki sens zwiedzać świat, jeśli nikomu nie przekażesz, co widziałeś?

Przed deserem Njute podpisał listy bankowe z osobistymi premiami, niezależnymi od gwarantowanych umową czterech procent zysku dla kapitana i dwóch dla pilota. Trept podziękowała wylewnie, Zajdar nawet nie spojrzał na swój list.

Hieronim dotknął jego ramienia.

— Spokojna starość?

Ihmet wykonał gest chroniący przed Al-Uzza.

— Oby nie. Ale tak, masz rację, esthlos — zaczynam już liczyć czas tracony. Tygodnie na morzu… krople krwi w klepsydrze życia, czuję każdą z nich, spadają jak kamienie, dreszcz po człowieku przechodzi.

— Żal?

Pers spojrzał na Hieronima w zamyśleniu.

— Chyba nie. Nie.

— I co teraz? — rodzina?

— Dawno o mnie zapomnieli.

— Więc?

Zajdar wskazał oczyma Trept, przekomarzającą się z Kristoffem.

— Pożerać świat, jak ona. Jeszcze trochę, jeszcze trochę.

Pan Berbelek smakował mdląco słodki syrop.

— Mmm. Póki ma się apetyt, tak?

Pers nachylił się ku Hieronimowi.

— To jest zaraźliwe, esthlos.

— Myślę, że —

— Można się zarazić, naprawdę. Weź sobie młodą kochankę. Spłódź syna. Przeprowadź się w koronę innego kratistosa. Na ziemie południowe. Więcej słońca, więcej jasnego nieba. W morfę młodości.

Pan Berbelek zaśmiał się gardłowo.

— Pracuję nad tym! — Nabrał sobie pasty orzechowej; Zajdar podziękował gestem. — Co do jasnego nieba… Villa pod Kartageną. Val du Ploi, piękna okolica, bardzo gładki keros. Byłbyś zainteresowany?

— Mam już trochę ziemi w Langwedocji. Ale co ja właśnie mówiłem? Nie zamierzam jeszcze grzać kości w ogródku.

— Mhm, nie pracuje, nie odpoczywa — Hieronim wydął policzek — to co właściwie będzie robić?

Ihmet wytarł dłonie w podaną przez Skellowego doulosa chustę. Otworzył list bankowy, zerknął na sumę, sapnął przez nos.

— Praktykować szczęście.

Γ
Ojcorództwo

Ledwo przekroczył próg domu i ujrzał konspiracyjnie uśmiechniętego Porte, pan Berbelek stracił resztkę nadziei na spokojny wieczór i powrót do sennej bezczynności.

— Co znowu? — mruknął, marszcząc brwi.

— Są na górze, przydzieliłem im pokoje gościnne. — Złapawszy rzucony mu płaszcz, Porte wskazał kciukiem piętro.

— Na Szeol, komu?

Stary wyszczerzył się krzywo, po czym z przesadnym ukłonem podał panu Berbelekowi list.

Bresla, 1194–1–12

Mój drogi Hieronimie!

Są także twoimi dziećmi, choć może ty nie jesteś już ich ojcem. Czy pamiętasz własne dzieciństwo? Liczę, że tak.

Nie poznają cię, bądź delikatny. Abel zostawił tu wszystkich przyjaciół, jakich kiedykolwiek miał, wielką część marzeń, Alitea tej zimy zmieniła Formę, minie kilka lat, zanim sięgnie entelechii, już nie dziecko, jeszcze nie kobieta; bądź delikatny.

Czy powinnam cię przepraszać? Przepraszam. Nie chciałam, nie chcę zrzucać tego na ciebie, byłeś ostatni na mojej liście. Ostatecznie wybierałam pomiędzy tobą a wujem Blote. Czy wybrałam źle?

Czy powinnam składać ci przysięgi prawdomówności? Znałeś mnie; teraz trzymasz w ręku jedynie papier. Dobrze wiem, jaka prawda zapadnie w keros, niemniej napiszę to: oskarżenia, jakie usłyszysz, są fałszywe. Nie uczestniczyłam w spisku, nie wykradłam testamentu urgrabiego, nie byłam świadoma jego choroby.

Być może Jahwe pozwoli nam kiedyś jeszcze się spotkać. Być może przeżyję. Uciekam teraz w ogień boskich anthosów; być może wówczas już mnie

nie poznasz, nie poznamy się wzajemnie. Były takie chwile, takie dni całe, gdy kochałam cię, że aż serce bolało i traciłam oddech, skóra mnie paliła. To znaczy — ty wiesz, kogo kochałam. Wiesz, prawda? Liczę, że pamiętasz.

ε. *Maria Latek* π. *Berbelek*

Och, pisać to ona umiała. Przeczytał list trzykrotnie. Pewnie pracowała nad nim cały dzień, zawsze była perfekcjonistką. W każdym razie od kiedy ją znał. Dwadzieścia lat? Tak, to już dwadzieścia lat. Właściwie mógł się spodziewać, że Maria tak skończy: uciekając ciemną nocą przed sprawiedliwością, ofiara własnej intrygi, do końca w swych oczach niewinna, z wdziękiem i lirycznym tekstem na ustach pozbywająca się z życia zbędnych ciężarów, pewna, że świat jej pomoże. Ze wszystkiego, co o nim teraz wiedziała, Hieronim mógł być przecież jakimś psychopatycznym kakomorfem, roznoszącym po ludziach gnój Czarnoksiężnika. A jednak wysłała doń dzieci.

Pan Berbelek wspiął się na piętro. Usłyszał ich głosy już w korytarzu. Alitea się śmiała. Stanął za drzwiami pokoju gościnnego. Śmiała się, a Abel mówił coś w tle, zbyt cicho, by zrozumieć, ale chyba po vistulsku. Na schodach pojawiła się Tereza; pan Berbelek odpędził ją gestem. Popatrzyła nań dziwnie. Czy podsłuchiwał własne dzieci? Tak, to właśnie robił. Czekał, aż powiedzą coś o nim: ojciec to, ojciec tamto. Ale nie, nic. Nieliczne słowa, które rozróżniał, dotyczyły miasta, najwyraźniej Vodenburg nie odpowiadał ich wyobrażeniu stolicy Neurgii. Alitea już się nie śmiała. Hieronim głaskał grzbietem dłoni lakierowane drewno drzwi. Czy powinien zapukać? Przycisnął palec do tętnicy szyjnej. Uspokój oddech, uspokój serce — właściwie czym ty się przejmujesz? Raz, dwa, trzy, cztery.

Wszedł. Byli jeszcze w odzieniu podróżnym, chłopak stał przy oknie, wyglądając na miasto pod ciemnym niebem i zachodzącym słońcem, dziewczyna półleżała na łóżku, kartkując jakąś książkę. Obejrzeli się na niego i dopiero w tym jednoczesnym ruchu dostrzegł rodzinne ich podobieństwo — jedna krew, jedna morfa. Te oczy głęboko osadzone, bardzo czarne, i wysokie kości policzkowe, twardy podbródek…

Patrzyli obojętnie, w spojrzeniach — jedynie lekka ciekawość.

— Hieronim Berbelek — rzekł.

Nie od razu zrozumieli.

— To pan… to ty? — Abel podszedł do niego. Nie skończył jeszcze piętnastu lat, a już był wyższy od Hieronima. — To pan. — Wyciągnął rękę. — Jestem Abel.

— Tak. — Pan Berbelek zebrał się w sobie, energicznie chwycił podaną dłoń, ale i tak uścisk syna okazał się silniejszy. — Wiem.

Po czym dostali się pod władzę Milczenia. Chciał otworzyć usta, ale forma była mocniejsza; widział, że Abel również szarpie się bezsilnie. Chłopak przygładzał włosy, drapał się po policzku, poprawiał mankiet. Pan Berbelek przynajmniej panował nad rękoma. Obejrzał się na Aliteę. Odłożyła książkę, lecz nie wstała z łóżka. Przypatrywała się im obu z poważnym wyrazem twarzy.

Pan Berbelek odsunął od sekretarzyka krzesło. Usiadłszy, pochylił się, opierając łokcie na kolanach i splatając palce. Znajdował się teraz na jednym poziomie z Aliteą. Zorientowali się, że patrzą sobie prosto w oczy; tym bardziej niemożliwe stało się odwrócenie, opuszczenie wzroku. Zmieszała się, rumieniec wypełznął jej na policzki, szyję, dekolt; przygryzła dolną wargę. Mhm, może to jest wyjście…?

Pan Berbelek ugryzł się mocno w język. Zabolało jak trzeba. Zaczął mrugać, by odpędzić łzy.

Z miny córki wyczytał, że wzięła to za oznakę wielkiego jego wzruszenia. Na to już nie wytrzymał i wybuchnął głośnym śmiechem.

Rodzeństwo wymieniło w konsternacji spojrzenia. Abel na wszelki wypadek odstąpił z powrotem ku oknu, byle dalej od ojca.

— Tak — sapnął Hieronim, próbując opanować rechot — dokładnie tak wyobrażałem sobie nasze spotkanie!

Oczywiście w ogóle nie był go sobie wyobrażał. Nie żeby sobie tego spotkania nie życzył; to już oznaczałoby, iż o nim — o nich — myślał. Tymczasem Abel i Alitea zupełnie nie należeli do jego życia, utracił dzieci razem ze starą morfą, Marią i tamtą karierą, tamtymi marzeniami, tamtą przeszłością. Tu, w Vodenburgu, był bezdzietnym kawalerem.

Jakie zresztą były ostatnie jego o nich wspomnienia: wyjazd z Posen, Maria na saniach, pot parujący z koni, Alitea i Abel zsuwający się pod futro, aż tylko ich głowy wystają spod okrycia, okrągłe, jasne twarzyczki niemo zdumionych dzieci, ile lat mieli, pięć, sześć? Nie rozpoznaliby go tak czy owak.

Odetchnął, wyprostował się, zapanował nad twarzą.

— Nie będę udawał ojca marnotrawnego — rzekł. — Nie znam was, wy nie znacie mnie. Nie mam pojęcia, co wasza matka narozrabiała w Bresli, że musiała tak z zaskoczenia wysyłać was przez pół Europy do byłego męża. Któremu, jak twierdziła, nie powierzyłaby psa. Ale to nieważne. Jesteście moimi dziećmi. Zaopiekuję się wami najlepiej, jak umiem. Oczywiście możecie tu zamieszkać. Może nawet się zaprzyjaźnimy… Chociaż pewnie nie, co, Abel?

Abel wbił wzrok w podłogę.

— Eeee…

— No właśnie. — Pan Berbelek następnie zwrócił się do córki, która nadal patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. — Ile rzeczy ze sobą przywieźliście?

— Dwa kufry podróżne, reszta idzie morzem — wyrecytowała na bezdechu jak zahipnotyzowana.

— Jaki statek?

— „Okusta”. Chyba.

— Sprawdzę, kiedy przypływa, może trzeba będzie tymczasem coś wam kupić. Nie przejmujcie się pieniędzmi, tu nic się nie zmieni, i tak to ja was dotąd utrzymywałem. Ale tego wam matka pewnie nie mówiła.

— Owszem — warknął wtem Abel — mówiła.

Pan Berbelek pokiwał głową.

— Zostanie jej to policzone. Wybaczcie mi ten jad, jakim od czasu do czasu na nią plunę; uzbierało mi się. Oczywiście tak naprawdę to ja jestem świnia, a ona miała rację. Zdaje się, że była dobrą matką, prawda?

Alitea odwróciła się, padając na kryjącą łóżko siermową kapę. Czarne włosy do reszty przesłoniły twarz, lecz nie tłumiły odgłosów nagłego szlochu.

— Powiedziała, że wróci! Wróci! Żyje!

Abel stanął między ojcem a siostrą.

— Lepiej niech pan już wyjdzie.

Pan Berbelek wyszedł.

Schodząc do kuchni, ponownie przyłożył palec do tętnicy. Oddech był jeszcze powolniejszy od myśli, ledwo dawał się wypchnąć z płuc. Nie było się czym przejmować. A rozum winien przecież zawsze panować nad sercem, morfa nad hile.

W kuchni zapowiedział Terezie i Agnie kolację dla trojga w dużej jadalni na parterze. Zszedł do niej, wykąpawszy się i przebrawszy, związawszy mokre jeszcze włosy na karku; wsunął też na palec stary sygnet Szarańczy. Sprawdził się w lustrze: pan Berbelek dystyngowany.

Ani Abel, ani Alitea nie zjawili się na kolacji. Jadł sam. Ognie pirokijne rzucały na ściany i meble nieruchome, miodowe cienie. Każde szczęknięcie sztućców rozlegało się głuchym trzaskiem. Przysłuchiwał się dźwiękom dochodzącym z własnych ust, gdy gryzł mięso i żuł jarzyny. Również zdawały się ogłuszające, jakiś huk wilgotny szedł po kościach szczęki do uszu i skroni, aż prawie musiał przymykać oczy. Nie był głodny, nie po obfitym obiedzie zaserwowanym przez Skellę; ale jadł, jeść należało. Myśli wędrowały swobodnie, gdy ciało poddawało się rytuałowi. Należało też zająć się interesami. Ihmet ostatecznie zgodził się był przynajmniej znaleźć dla NIB porządnych nimrodów na stałe kontrakty. Esthlos Njute, rzecz jasna, chciał Zajdarowi zapisać prowizję należną agentowi, lecz Hieronim wyperswadował mu to; Kristoff naprawdę nie ma za grosz wyczucia. Jeśli jednak Pers nie znajdzie tych zastępców szybko, nic go nie utrzyma w Vodenburgu. A złapać tak nagle dobrego nimroda można tylko w jeden sposób: podkupując go konkurencji. Toteż Hieronim nie powinien Zajdara spuszczać z oczu — trzeba się ruszać, podejmować zobowiązania, stawiać się wobec konieczności, robić, co należy, pieniądze, pieniądze — jutro zaraz z rana uda się więc do Domu Skelli, gdzie Njute, Ikita te Berbelek opłaca Ihmetowi pokój…

Pan Berbelek przeszedł do biblioteki. Zapaliwszy od świecy tytońca, zapadł w narożny fotel. Tereza zaglądnęła przez uchylone drzwi, jak zwykle przed udaniem się na spoczynek, pytając, czy aby czegoś esthlos nie potrzebuje, może czarnej thei — ale nie, podziękował. Dom pogrążył się w ciszy. Czasami zza okien dobiegł stukot kopyt, gdy przetaczała się brukowaną ulicą nocna dorożka; czasami głos ludzki.

— Mogę?

Pan Berbelek mało nie upuścił tytońca.

— Proszę.

Abel delikatnie zamknął za sobą drzwi biblioteki. Hieronim odłożył tytońca do popielniczki. Przyglądał się formom, jakie przyjmuje w półmroku dym. Abel skorzystał z sytuacji i podszedł bliżej, zatrzymując się przed wpółukrytą przez ciężkie kotary rzeźbą Kalliope.

— Ona chce jechać do Tolosy, do wujostwa — rzekł.

Pan Berbelek przesunął dłonią w powietrzu, dym wirował wokół palców.

— Opłacę wam podróż.

— Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł.

— Unosisz się honorem? Macie jakieś oszczędności?

— Z tą Tolosą. Nie jestem pewien. Ale pan bardzo chce się nas pozbyć.

— Nie jesteś pewien?

— Trochę pochopna decyzja, po jednej rozmowie. Nie sądzi pan?

Pan Berbelek spojrzał na syna. Abel tylko raz zamrugał, poza tym utrzymał formę.

— To już będzie rozmowa druga — rzekł esthlos. — Wahasz się?

— Pan chce się nas pozbyć.

Hieronim rozgniótł resztkę tytońca, po czym wskazał synowi krzesło przy regale. Abel usiadł, zmierzył ojca wzrokiem, wstał, przysunął krzesło dwa kroki bliżej i usiadł ponownie.

Pan Berbelek postukiwał sygnetem Szarańczy w poręcz fotela. Przyglądał się chłopcu spod opuszczonych powiek.

— Pewnie masz rację — mruknął. — Pewnie wolałbym tak… Czy zniesiesz odrobinę nieświeżej szczerości?

— Proszę.

— Ze mnie jest żaden ojciec, Abel. Ze mnie w ogóle jest żaden mężczyzna, człowiek rozrąbany na pół i zlepiony ze szczątków, tyle zostało. Nie użalam się w tej chwili nad sobą; mówię, jak jest. To, co przetrwało z Hieronima Berbeleka po Kolenicy… Gruz i popiół tu widzisz. I trochę gnoju Czarnoksiężnika. Więc pewnie jest w tym też doza egoizmu. Niemniej byłoby to również dla waszego dobra oderwać się od mojej morfy, chociaż słabej, ale krew przecież czyni was podatnymi, uciec więc czym prędzej, póki glina twarda. Tak sądzę. Nie byłem przekonany, lecz kiedy was zobaczyłem… — Wykonał powolny gest lewą ręką, tą z sygnetem, jakby obrysowując w półmroku sylwetkę chłopca. — Ile masz lat?

— Szesnaście. Prawie.

— Tak. Alitea skończyła czternaście.

— W Decembrze.

— To niebezpieczny wiek, człowiek jest wówczas najbardziej podatny, trzeba być niezwykle ostrożnym, pod jaką morfą się żyje, czym nasiąka.

Nie chcielibyście za dwadzieścia lat rozpoznać w sobie odcisk — tu zacisnął dłoń w pięść i opuścił na poręcz — odcisk mojej ręki.

Abel był wyraźnie zmieszany. Przesuwał się na siedzeniu krzesła, drapał po głowie; spojrzenie co chwila uciekało mu od ojca — ku rzeźbie, książkom, kolorowym kloszom pyrokijnym.

— Ja nie wiem, może ma pan rację. Ale — zaciął się i podjął od nowa — ale to zawsze działa w obie strony: jeśli tak się pan zmienił, jeśli tak wiele utracił, to czyja morfa przywróci i odbuduje więcej prawdziwego Hieronima Berbeleka, jak nie morfa rodzonych jego dzieci?

Pan Berbelek zdumiał się wyraźnie.

— Nie bardzo wiem, co ty sobie wyobrażasz. Wybacz, ale to nie jest bajka: przyjeżdżasz, ratujesz ojca, szczęśliwa rodzina, bohaterskie dzieci.

— Dlaczego nie? — Abel aż pochylił się ku Hieronimowi. — Dlaczego nie? Czyż psy nie upodobniają się do swoich właścicieli, właściciele do swoich psów, małżonkowie do siebie nawzajem, czyż kobiety żyjące pod jednym dachem nie krwawią o tym samym Księżycu? O ile dziecko stanowi ejdolos rodzica, o tyle rodzic stanowi ejdolos dziecka.

— Długo nad tym myślałeś? — parsknął esthlos. — Coś ty sobie właściwie uroił?

Abel wypuścił powietrze z płuc. Zgarbił się, wbijając spojrzenie między swoje stopy.

— Nic.

Pan Berbelek również się pochylił. Ścisnął ramię syna. Chłopak nie podniósł oczu.

— Co? — powtórzył Hieronim, znacznie ciszej, prawie szeptem.

Abel pokręcił głową.

Pan Berbelek nie nalegał. Czekał. Zegar w holu wydzwonił powoli jedenastą. Ulicę dalej pijak wyśpiewywał sprośną wyliczankę, wreszcie zgarnęła go straż miejska, to też usłyszeli w nocnej ciszy. Co chwila coś trzeszczało i skrzypiało w pogrążonym w ciemności domu, oddech starego budynku. Pan Berbelek nie cofał ręki.

— W Bresli, w bibliotece akademejskiej — zaczął mrukliwie Abel — kiedy studiowałem dzieje Polan… W końcu wszystko sprowadza się do historii najnowszej, do świata dokoła. Nauczyciel polecił mi *Czwarty sen Czarnoksiężnika* Kreszczowa. Jesteś, jest pan w indeksie.

— Ach. No tak.

— *Oblężenie Kolenicy, 1183*, cały rozdział. Kreszczow nazywa pana „największym strategosem naszych czasów”. Ja oczywiście słyszałem wcześniej, i od matki —

— O?

Abel zarumienił się.

— Pomyślałem sobie: z jego nasienia poczęty, z jego Formy, cóż bardziej naturalnego? To jest szlachetne marzenie, pójść w ślady swego ojca. Strategos Abel Latek. Będzie pan się śmiał.

— Mój ojciec, twój dziadek, on był kancelistą urgrabiego.

— Będzie pan się śmiał.

— Nie. Zadatki masz, to przecież ty namówiłeś Marię, by wysłała was do mnie, prawda? Chociaż nie chciała. I w końcu pewnie tak ją ulepiłeś, że sama siebie przekonała, iż to od początku był jej pomysł.

Abel wzruszył ramionami.

Pan Berbelek puścił rękę syna, wyprostował się. Coś się w nim burzyło, formował się prąd konwekcyjny emocji, coś, czego nie ośmielał się nazwać ambicją — zapowiedź wielkiego głodu satysfakcji, pragnienia dumy. Mógłbym jeszcze być wielki! Mógłbym na powrót wzrosnąć pod niebiosa! W ciele Abla. Bo tylko Forma jest nieśmiertelna. Mógłbym! Mogę!

— Nie bardzo wiem, jak ty to sobie wyobrażasz — mruknął z obojętną twarzą. — Widzisz, kim teraz jestem. To już prędzej ja przy tobie zdziecinnieję, niż ty przy mnie dorośniesz.

— Nie sądzę.

— Nie sądzisz.

— Wszedłeś do pokoju, sekunda, dwie — i nie byliśmy w stanie oderwać od ciebie oczu. Tak gwiazdy i planety obracają się dokoła Ziemi.

— Lepiej idź ty już spać, zaczynasz ulatywać w poezję. Jakie macie plany na jutro?

— Mhm, obejrzeć miasto, oczywiście.

Miasto książęce Vodenburg założone zostało w roku 439 Ery Alexandryjskiej jako fort rzeczny u ujścia Meuzy, strzegący bezpieczeństwa śródlądowej żeglugi i pobierający myto dla lokalnego namiestnika macedońskiego. Istniejące tu wcześniej osady rybackie zniszczyły wielokrotne na-

jazdy — dzisiaj ani po tych osadach, ani po pierwotnym rzymskim forcie nie pozostał najmniejszy ślad.

W pierwszych wiekach Po Upadku Rzymu, w czasie Wojen Kratistosów, gdy ustalała się równowaga polityczna i hilemorficzna w Europie oraz Afryce Alexandryjskiej, Vodenburg zyskał na znaczeniu na skutek wściekłego morfingu dorzecza Reinu. Tam przebiegał wówczas front, obszar nakładania się koron kratistosów. Jeszcze przez długie lata ziemia nie nadawała się do zamieszkania ani Rein do żeglugi.

Do siódmego wieku PUR Vodenburg pozostawał wszakże zaledwie stolicą pomniejszej prowincji królestwa Franków. Dopiero po roku 653, po wygnaniu kratisty Illei, gdy uścisk kratistosów na kerosie Europy nieco zelżał, Neurgia zdołała wybić się na względną niepodległość. Jej stolica z czasem zyskała na znaczeniu jako jedno z głównych miast kupieckich Europy. Przez kilka wieków była nawet miastem rezydenckim pomniejszego kratistosa, który wszedł tu w lukę między anthosami sąsiadujących Potęg. Siła Formy Grzegorza Ponurego pozwoliła Vodenburgowi do reszty zaćmić graniczne grody nad Reinem i południowe miasta frankońskie.

Kolonizacja Herdonu i początek transokeanosowego handlu na wielką skalę zainicjowały epokę dobrobytu. Otwarto akademeię, ruszyła jedna z pierwszych na północy faktur świń powietrznych, sława i wyroby tutejszych hut szkła docierały do najdalszych zakątków świata. Stocznie pracowały pełną parą, dzielnice perskie, żydowskie, gockie rozrastały się nieprzerwanie. Ciągnęli tu zewsząd teknitesi wysokich sztuk i rzemiosł, matematycy i alkimicy — przecież to w Vodenburgu Ire Gauke wynalazł pneumaton. Vodenburg był też trzecim miastem, po Alexandrii i Moskwie, gdzie zainstalowano uliczny system oświetlenia pyrokijnego…

Obecnie książę forsuje projekt wysokiego podatku pogłównego, aby sfinansować intensywny morfunek kerosu całej Neurgii ku Formie kalokagatycznej, doskonałości ducha i ciała, jaką cieszyły się darmo miasta rezydenckie co bardziej altruistycznych kratistosów. Neurgia musiałaby zapłacić za to fortunę, wynajmując na lata do ciężkiej pracy całe zastępy teknitesów. Projekt przysporzył samemu księciu wielkiej popularności wśród pospólstwa, aristokracja wszakże, aristokracja i bogaci kupcy, którzy po większej części rządzą Vodenburgiem — oni korzystają z usług teknitesów ciała tak czy owak, a obawiają się nieuchronnego napływu pod dobroczynną Formę

emigrantów z całej północno-zachodniej Europy. Miasto, znane w Europie jako Stolica Włóczęgów, już teraz pęka w szwach.

Anton opowiadał o tym wszystkim, prowadząc rodzeństwo przez skąpane w porannej jasności ulice Vodenburga. Abel i Alitea zamierzali pójść sami, lecz pan Berbelek nalegał; najpierw chciał im dać powóz, na koniec — bo musiał już wyjść gdzieś w interesach — zgodził się na towarzystwo syna Porte. Anton zabrał ze sobą długi kij „proszę” i gwizdek straży.

W pierwszej chwili skierowali się ku portowi — panoramiczny widok i nachylenie gruntu prowadzą ku morzu wszystkich niezdecydowanych. Ponieważ jednak skręcali za każdym razem, gdy tylko coś zaciekawiło Abla lub Aliteę, wkrótce znaleźli się w sercu nowej dzielnicy perskiej, na szerokiej, prostej alei palmowej, między kunsztowną architekturą arabskich domów, zdobionych kolorowymi wzorami na białym wapnie; ponad płaskie dachy wznosił się obły gnomon minaretu.

Po raz pierwszy ujrzeli żywe palmy, dotychczas znali je tylko z książek. Alitea podeszła, przesunęła dłońmi po szorstkim pniu.

— Nie rosną nigdzie indziej w tym kręgu Ziemi, prawda? — marszczył brwi Abel. — To jakaś odmiana zmorfowana do większej odporności na mrozy?

— Nie, chyba nie — odparł Anton. — Tu wszędzie naokoło pełno izmaelickich demiurgosów i teknitesów, o, to jest na przykład dom Hajby ibn Hassaja, książęcego jubilera; spokojnie mogą sadzić palmy, zerbigo i pomarańcze.

Rzeczywiście, powietrze w tej dzielnicy zdawało się odrobinę cieplejsze, w każdym razie na pewno inaczej pachniało. Abel usiłował rozróżnić egzotyczne wonie: kadzidło? cynamon? biekszta? Oczywiście otaczał ich też zwyczajny zapach miasta, to znaczy smród, smród wielkiej ciżby ludzkiej i ściśniętych na małej przestrzeni ludzkich siedzib. Aleją turkotały wozy, szybkim krokiem zmierzały dokądś dziesiątki, setki przechodniów, większość w tradycyjnych, izmaelickich dżulbabach, dżibach, szalwarach i tarbuszach, kobiety — w szatach oślepiająco barwnych, przyozdobionych tyleż ciężką, co tandetną biżuterią. Po rodzaju tatuaży i morfunku skóry można było rozpoznać muzułmanów.

— Chciałabym kiedyś go zobaczyć.

— Co?

— Ten ich kraj. Palmy, słońce, lwy. No wiesz. Pustynie, piramidy.

— Skorpiony, mantikory, ifryty, hyeny, sępy, dżinny, wszy, zarzy, moskity i malarię.

Alitea pokazała bratu język.

W ostatniej chwili powstrzymał się przed odruchowym odwzajemnieniem miny. Muszę z tym skończyć, nie jestem już dzieckiem. Czy strategos wygłupia się publicznie, przekomarza z siostrą? Strategos zachowuje wyniosłe milczenie.

Oczywiście to też było poniekąd infantylne. Czyż dzieci nie bawią się właśnie w strategosów i aresów, kratistosów i królów, nie udają powagi, tym bardziej śmieszne w tym udawaniu? Więc wstyd był nie do uniknięcia: czy podąży za instynktem, czy się mu sprzeciwi. Odwrócił wzrok, mrugając szybko.

Pamiętał jednak, co tak często powtarzała matka. Zwłaszcza gdy narzekał, jak to wszędzie się spóźniają przez jej niekończące się zabiegi przed lustrem — była to wówczas jej ulubiona odpowiedź, recytowana już chyba bez zastanowienia, przecież nie mniej prawdziwa w swej banalności.

— Charakter rodzi się z wypracowanych nawyków. Kogokolwiek byś udawał, byle wystarczająco konsekwentnie, tym się w końcu staniesz. To odróżnia nas od zwierząt i istot niższych, ich Forma pochodzi zawsze z zewnątrz, same nie są w stanie się zmienić. — Uśmiechała się do niego w srebrnym odbiciu ponad ramieniem. — Nie jęcz; cierpliwości. Na piękne kobiety zawsze się czeka.

Matka wypracowywała w sobie nawyk piękna. Nie pozwalała sobie ani na chwilę zaniedbania. Nawet gdy nie wybierała się nigdzie z oficjalną wizytą, na żadne przyjęcie czy bal, ani też sama nie przyjmowała gości — nie odstępowała ani na tuk od z góry zaplanowanego wyobrażenia siebie. Jej piękno niekiedy wręcz przytłaczało. Abel nigdy do końca nie zwalczył w sobie owego nabożnego onieśmielenia, z jakim wchodził w dzieciństwie do jej pokoi. Sypialnia, garderoba, izba łaziebna, gabinet — tu jej anthos wżarł się najgłębiej. Powietrze przesycała zawsze charakterystyczna mieszanina woni drażniących i mdlących, duszna zawiesina zapachów egzotycznych perfum oraz kwiatów przepełniających wazy okienne. Światło miało tu inną barwę, bardziej miękką, ciemniejszą. Dźwięki natychmiast ginęły, wytłumiane. Nie istniały tu kąty proste ani ostre krawędzie. Wszystkie przedmioty albo okazywały się w istocie delikatnymi złożeniami wielu mniejszych elementów, albo same już na dobre rozpadły się na tysiąc drob-

nych bibelotów, a w każdym razie znajdowały się w trakcie tego procesu, rozfrędzlone, rozczłonkowane, zagubione we własnych ornamentach. Matka wyłaniała się spośród nich w szeleście koronkowych sukien, poprzedzana rozmytą poświatą od ich jaskrawych kolorów i odurzającym zapachem swych perfum, czarnowłosa królowa, kratista jego serca. Cóż mógł począć w obliczu takiej Formy?

Nie wierzył, że udało mu się do czegokolwiek nakłonić matkę. Ojciec się myli — ona od początku musiała się nosić z myślą o wysłaniu ich do Vodenburga. Co prawda, nie przychodziło mu łatwo odczytywanie jej zamiarów, nigdy ich z nim nie dyskutowała (może czyniła to z Aliteą?), przyzwyczaił się do zaskoczeń. Zarządzała ich życiem z aksamitnym despotyzmem. Tak samo było w ostatnich dniach przed wyjazdem — matki i ich. Nagle w domu zaczęło się pojawiać wielu nigdy wcześniej nie widzianych przez Abla ludzi, o dziwnych porach, w dziwnych ubiorach, pod dziwną morfą — strachu, gniewu, nienawiści, rozpaczy. Widywał ich przez uchylane drzwi, w zwierciadlanych odbiciach zza załomu korytarza, jak przemykali szybko do i z pokoi matki, czasami nawet bez towarzystwa służącej. Alitea uważała, że byli to posłańcy, że matka powierzała im jakieś sekretne listy. Czasami jednak także coś więcej: udało mu się podejrzeć biednie ubraną kobietę oraz starego Babilończyka (poznał jego pochodzenie po brodzie i sześciu palcach u dłoni), jak wychodzili z gabinetu matki, ściskając w rękach ciężkie, podłużne pakunki. Następnego dnia Abel usłyszał w gymnazjum plotki, iż urgrabia został tak naprawdę zamordowany, że wszystko to była intryga cudzoziemskich aristokratów. Gdy wrócił do domu, matka już się pakowała. Alitea siedziała na schodach i gryzła palce. — Mówi, że ją aresztują. Mówi, że musi uciekać. My też. Ale nie razem z nią. Odeśle nas. — Dokąd? — Daleko stąd. — Wtedy Abel pomyślał o Hieronimie Berbeleku w neurskim Vodenburgu, to było jak objawienie: okazja! ojciec-strategos! jestem przecież synem legendy! Matka wysłuchiwała jego argumentów, jęków i krzyków, nie przerywając pakowania, skrobiąc coś przy sekretarzyku i ponaglając służbę. Na koniec stwierdziła, że porozmawiają o tym jutro. Pocałowała go w czoło i wypchnęła za drzwi. Rankiem okazało się, że odjechała w nocy, zabierając jedynie dwie torby, nawet nie powozem, lecz na koniu z luzakiem. Bagaże Abla i Alitei zostały już załadowane na rzeczną barkę. Czekał na nich krótki list. *Pojedziecie do Vodenburga, ojciec się*

wami zajmie. Dom został już sprzedany, pieniądze rozdysponowano. Pojechali.

Czy więc istotnie podsunął matce myśl, na którą inaczej by nie wpadła? Czy ją tymi swoimi godzinnymi lamentacjami do czegokolwiek nakłonił? Tak czy owak, nie było w tym żadnej subtelności, jaką Hieronim przypisywał poczynaniom Abla. Jedynie dziecinny upór. Pamiętał, że bardzo się pilnował, by nie wyjawić swych prawdziwych motywów — i tak ośmieszył się we własnych oczach. W zderzeniu z jej Formą, w matczynym anthosie — zawsze będzie dzieckiem, nikim więcej. Jak ojciec mógł tego nie wiedzieć?

Pozwolę mu myśleć, że zdołałem nagiąć matkę do swej woli — ale to nieprawda, nieprawda.

— W osiemdziesiątym siódmym wybuchł tu wielki pożar — ciągnął Anton — cała dzielnica spłonęła do nagiej ziemi, wtedy jeszcze budowali głównie z drewna. W Starym Mieście niczego już nie da się zmienić, lecz w nowych kwartałach książę zarządził większe odstępy między budynkami, minimalną szerokość ulic, zakaz otwartego ognia w osiedlach biedoty, chociaż tego oczywiście nikt nie przestrzega. Były wtedy zamieszki pod hutami, poszła plotka, że to któryś z demiurgosów Ognia miał tu izmaelicką kobietę i, rozumiecie, tej nocy nazbyt się napalił, he, he, he. Znowuż w osiemdziesiątym dziewiątym… No nie, bardzo proszę nie dawać im żadnych pieniędzy, a to zaraza!

Przyplątał się bowiem kakomorficzny żebrak — trzecie ucho na czole, kości przebijające skórę, długi ogon, śluz cieknie ze skrzeli — i jąkając się, począł błagać Aliteę o grosz, pół grosza, co łaska. Anton odgonił go, bijąc kijem po łydkach.

Nic dziwnego, że nagabywał właśnie Aliteę: nawet w stroju podróżnym (bo „Okusta” z resztą ich garderoby jeszcze nie przybyła) to ona przyciągała uwagę, skupiała na sobie wzrok przechodniów, nieodrodna córka Marii Latek. Czyż nie taka nieśmiertelność obiecana jest ludziom? Z ojca na syna, z matki na córkę — to, co nie ginie, sposób mówienia, sposób myślenia, sposób poruszania się, sposób okazywania uczuć i ich ukrywania, sposób życia, życie, człowiek. Morfa jest równie niepowtarzalna, co styl pisma, odciska się niczym pieczęć w wosku, tak samo z kobiety, jak i z mężczyzny. Słusznie Provega poprawiał Aristotla: Forma jest ponad płcią i to od Formy zależy siła nasienia, nie na odwrót. Wystarczy teraz spojrzeć na Aliteę: wło-

sy splecione misternie w ośmiu warkoczykach, ciemnogranatowa koronka wokół szyi, z tej samej koronki sporządzone napalcówki, wpółrozsznurowana kaftorska mitani, aegipski len spływa wzdłuż ramion nakładającymi się na siebie fałdami, biel na błękicie, na bieli, szerokie, czarne szalwary ściska wysoko w talii wielokrotnie zawinięty pas, obcasy skórzanych butów wysokie są dokładnie na cztery tuki. Abel założyłby się, że używane dzisiaj przez nią pachnidło jeszcze niedawno należało do matki, zna tę woń; a z pewnością poznaje owo spojrzenie, jakim Alitea odprowadza żebraka, gest uniesienia podbródka, przy wyprostowanych plecach i cofniętych ramionach, brwiach zmarszczonych — teraz nie wystawi do nikogo języka, teraz jest kimś innym.

Czy matka ją tego wszystkiego n a u c z y ł a? Nie, na pewno nie; tego się nie uczy. Wystarczyło, że Alitea często z nią przebywała, że żyła w jej aurze.

I ja przecież nie pragnę od ojca niczego więcej.

— Wy tu zawsze bijecie żebraków? — spytała zimno Antona.

Sługa wyszczerzył zęby.

— Rzeczywiście, esthle, znacznie częściej żebracy bijają przechodniów.

Na chwilę przysiedli w ogrodzie amidańskiej tawerny. Anton zamówił kapadockiego grzelaka z dzikiego miodu. Wskazał na malunki pokrywające ściany tawerny i na barwy szyldu nad wejściem.

— „Pod Czwartym Mieczem”. Takie kraje jak Neurgia, balansujące na krawędzi anthosów Potęg, nie przygniecione żadną morfą, przyciągają wygnańców wszelkiego autoramentu, wydziedziczonych, pozbawionych ziemi i pana, członków narodów nieistniejących, zagubione diaspory. — Sługa delektował się własną opowieścią. Powtarzał zapewne słowa jakiegoś esthlosa, zdradzała go obca forma wypowiedzi. — Po ucieczce Grzegorza przeżyliśmy tu prawdziwy ich zalew. Chyba akurat wtedy upadł Pergamon…

— Tysiąc sto trzydziesty dziewiąty — wtrącił Abel, odstawiwszy szklanicę. Czy to jeszcze historia, czy już polityka? Zapewne tu właśnie przebiega linia graniczna. W ogóle, jak mawia praeceptor Janosz, historia to polityka opowiedziana w czasie przeszłym. Abel był pilnym uczniem. Rozbiór królestwa Trzeciego Pergamonu dopełnił sojuszu Nowego Babilonu z Uralem. Jak kolczaste tryby żelaznej makiny zatrzasnęły się na ziemiach Seleukidytów korony Siedmiopalcego i Czarnoksiężnika. Ongiś rezydowała w Amidzie kratista Jezebel Miłosierna, zachowując starożytną Formę króle-

stwa Pergamonu; ona pierwsza umknęła. Rozdarto królestwo na pół, prowincja amidańska przypadła Czarnoksiężnikowi, prowincja pergamońska — Siedmiopalcemu. Seleukidytów wycięto w pień. Tylko pośród pergamońskiej diaspory krążyły legendy o ocalałym potomku krwi królewskiej, który kiedyś — jak we wszystkich tego typu legendach — na powrót zasiądzie na tronie Amidy; przecież raz już Seleukidyci powrócili, ukracając władztwo Attalidów! Tymczasem wygnańcy próbowali utrzymać i przekazać swym dzieciom morfę nieistniejącego narodu — co było możliwe już tylko z dala od ojczyzny, którą powoli, pokolenie po pokoleniu, przeżerały aury zaborców. Nawet jednak tutaj, nawet w wielokulturowym Vodenburgu uchodźcy nie byli bezpieczni. Język, strój, kuchnia, święte barwy — tym się ratowali. Na koniec i oni zatracą swą morfę, gdy kolejna generacja urodzona na obczyźnie okaże się bardziej amidańskimi Neurgijczykami niż neurskimi Amidaniami. Tak konają narody.

Z alei palmowej zeszli w niższe przedmieścia. W cienistych uliczkach trwał tu nieprzerwanie jeden wielki suq. Zdawało się, że każdy mieszkaniec tej dzielnicy czymś handluje, coś sprzedaje, a przynajmniej jest gotów sprzedać, skoro tylko wyrazi się najmniejsze zainteresowanie jego ubraniem, domem, dobytkiem, dziećmi. Towary wykładano na schodach, w oknach, na balkonach, bezpośrednio na ziemi bądź na prowizorycznych straganach. Anton szybko wyjaśnił, że tu naprawdę wierzy się w „stragany głupców” — że tylko głupiec podszedłby i wdał się w bezpośrednie targi. Wystarczy podjąć z handlarzem rozmowę, wystarczy, że cię dotknie, ujmie za rękę — ani się spostrzeżesz, a minie godzina, a ty zostaniesz ze stertą niepotrzebnych rzeczy, wydawszy wszystkie swe pieniądze, do ostatniego grosza. Jak mówi neurska mądrość ludowa, co drugi izmaelita to demiurgos chciwości. A tu, w Vodenburgu, spotkać można Persów, Indusów, Arabów, Negrów i Aegipcjan przybyłych prosto spod Nabuchodonozorowego słońca. Neurczycy wciąż widzą w nich egzotycznych magoi, którzy zwykłych, „glinianych” ludzi bez trudu naginają do swej morfy. Nie było jasne, czy Anton podziela to przekonanie, czy nie, gdy tak opowiadał obszernie o vodenburskich obyczajach i objaśniał rytuały. Należy kupować przez pośrednika albo przynajmniej zachowując odpowiedni dystans, nie odzywając się, wskazując jeno długim kijem konkretne towary. Abel i Alitea swoje zamówienia przekazywali Antonowi szeptem. On każdorazowo zaczynał od wskazania całkowicie innego przedmiotu. Tłok o tej godzinie był zresztą na

tyle duży, że brat i siostra nieraz zmieniali zdanie, niepewni swych pragnień pod rozpulchnionym kerosem.

I tak z uliczki w uliczkę, z placu na plac, a za rogiem zawsze coś jeszcze bardziej atrakcyjnego — zanosiło się na to, że nigdy się stąd nie wydostaną. Nikt nie jest całkowicie odporny na morfę suqu, nawet biedak może zostać pochwycony w pajęczynę bezsilnych pożądań; zwłaszcza biedak. Anton zakupił między innymi smukły gocki kandżar z czarnej, purynicznej stali, z rękojeścią wykutą w kształcie łba świętej kobry (dla Abla) oraz drewnianą kostkę pitagorejską i komplet bransolet nakostkowych, rzekomo pochodzących z czasów pierwszego najazdu Ludów Morza (dla Alitei).

I pewnie błądziliby tak do samego zmierzchu, gdyby nie nagły ruch tłumu, który porwał ich ze sobą — ludzka rzeka wylewająca się spomiędzy budynków wprost na północne błonie. Zanim się zorientowali, o czym właściwie mówią otaczający ich ludzie, co pokrzykują podniecone dzieci, wyprzedzające ich biegiem całymi gromadami — stali już w pierwszym szeregu gapiów, objęci tą samą morfą bezinteresownej ciekawości, zapatrzeni na powolny pochód wozów i zwierząt.

W pierwszym szeregu kroczyły dostojnie elefantyjne morfezoony: indyjskie berbery i babilońskie behemoty, pokryte futrem o karminowych pręgach, układających się w spiralne wzory. Z gigantycznych ciosów berberów zwisały, prawie zamiatając ziemię, żółte sztandary ze stylizowanymi napisami w prakrycie. Na grzbietach elefantów, na karku i za łopatkami, siedzieli półnadzy jeźdźcy, szczupli mężczyźni i kobiety spod azjatyckiej morfy, w których Abel domyślał się poskramiaczy, demiurgosów zwierzęcych. Posiadali szarobrązową skórę i długie, czarne włosy wiązane w grube supły; chodziły po nich dziesiątki, setki much i innych owadów, chmury insektów obracały się nad ich głowami, to znów rozpraszały wokół cielsk bestii. Na toporne łby wiecznie zgarbionych behemotów nałożono skomplikowane uprzęże, zasłaniające im ślepia, przebijające się rzędami haków i łańcuchów przez pofałdowaną skórę i twardą kość do wnętrza paszczy i do środka kanciastej czaszki. Behemoty wymorfowano pierwotnie dla wojny i nadal, we wszystkich swych odmianach, charakteryzowały się one podatnością na nagłe, niespodziewane ataki furii, w których rzucały się przed siebie, miażdżąc, depcząc i rozbijając wszystko na drodze; a ponieważ wymorfowano je również jako maksymalnie trudne do zabicia, tylko natychmiastowe zmasakrowanie mózgu zwierzęcia dawało gwarancję powstrzy-

mania szarży. Poskramiacze teoretycznie powinni być w stanie kontrolować behemoty, lecz większość cywilizowanych krajów nie wpuszczała ich w swe granice bez założonych „uprzęży śmierci”. Teraz z każdym stąpnięciem pary bestii — trumpł, trumpł, trzęsła się od nich ziemia — gapiom wyrywały się z ust trwożliwe westchnienia i linia tłumu falowała, pół kroku do przodu, pół kroku wstecz, Abel i Alitea wraz ze wszystkimi; Abel ścisnął siostrę za ramię, śledzili zwierzęta symetrycznymi spojrzeniami. W następnej kolejności, za morfezoonami, toczyły się wysokie wozy ciągnione przez wielokrotne zaprzęgi chowołów. Na ich odkrytych platformach prezentowali swe umiejętności akrobaci, żonglerzy, demiurgosi ognia, wody, powietrza i żelaza, iluzjoniści i magoi. Wzdłuż karawany, od samego jej końca, ginącego w tumanach pyłu na schodzącej z północnych wzgórz drodze, do zakręcającego na błoniach frontu, kłusowali na smukłonogich zebrach jeźdźcy, wznoszący zachrypłym głosem krótkie okrzyki w kilku łamanych językach na przemian i wymachujący dzunguońskimi pochodniami, z których strzelały fontanny kolorowych iskier.

Abel nie rozróżniał wywrzaskiwanych słów, lecz przecież nie musiał. Zaśmiał się cicho, nachylając głowę ku Alitei, morfa dziecinnej fascynacji przyciągnęła ich ku sobie.

— Cyrk przyjechał!

Δ
Bóg w cyrku

Circus Aberrato K'Ire, szczycący się tradycją sięgającą jeszcze rzymskich pandaimoniów i ogłaszający się największym wędrownym widowiskiem Europy, tej wiosny rozpoczął swój okołokontynentalny wojaż, podążając wzdłuż północnego wybrzeża Frankonii, a Vodenburg znalazł się na jego trasie jako piąte miasto z kolei.

Cyrk rzeczywiście był duży: dwie setki osób, pół tysiąca zwierząt, kilkadziesiąt masywnych wozów. Rozłożył się na vodenburskich błoniach koncentryczną konstelacją pstrokatych namiotów, w środku pozostawiając puste koło areny. W nocy wkopano tam w ziemię trzy wysokie słupy dla akrobatów. Klatki i zagrody ze zwierzętami zorganizowano w zamkniętą menażerię po północnej stronie obozowiska; od gapiów pragnących przyjrzeć się z bliska egzotycznej faunie pobierano po pół grosza opłaty. Aberrato zarabiał i Aberrato wydawał — płacił spore sumy vodenburskiemu teknitesowi pogody, staremu Remigiuszowi z Płaczącej Baszty, aby ten przynajmniej spróbował zapewnić kilka bezdeszczowych dni. W przypadku miast portowych nigdy bowiem nie można było mieć pewności, zwłaszcza w portach o tak wielkim ruchu, z okrętami nieustannie wpływającymi i wypływającymi z zatoki. Niemniej pierwszego dnia występów niebo pozostawało bezchmurne, ciepły wietrzyk wiał ze wschodu i pan Berbelek dał się wyciągnąć z domu nawet bez wielkich oporów, zresztą może rzeczywiście chciał zrobić przyjemność synowi i córce? Dziękując, Alitea uśmiechnęła się niepewnie — długie spojrzenie spod czarnych rzęs, dołeczki w policzkach, speszona, nieświadomie nawija na palce warkoczyki — i zimny szpon rozdarł serce Hieronima.

Tradycyjnie zachodni kwartał widowni przeznaczono dla bogatszych mieszczan, to znaczy tych, których stać na zapłacenie za miejsce siedzące. Ustawiono tu kilka rzędów foteli i krzeseł, zresztą cokolwiek podniszczonych, za nimi jeszcze tuzin ław; pozostali widzowie musieli tłoczyć się przy wysokich barierach otaczających arenę. Większa część widowiska miała się

odbyć powyżej poziomu gruntu — albo na słupach i rozciągniętych między nimi linach, albo na złożonej pośpiesznie przez cyrkowych rzemieślników scenie, wysokiej na pięć, sześć pusów, gdzie obecnie, przed rozpoczęciem występów Aberrato, wystawiali swe wulgarne pantomimy miejscowi aktorzy. Jednakże pokazy ze zwierzętami oraz niektóre sztuki demiurgosów żywiołów nie mogą zostać zaprezentowane nigdzie indziej, tylko na dole, na ziemnej arenie, i co dalej stojący ich nie zobaczą. Pan Berbelek zapłacił dodatkowe kilkanaście groszy i załatwił cztery miejsca w pierwszym rzędzie. Cztery — zamierzał bowiem połączyć przyjemność z obowiązkiem i zaprosił Ihmeta Zajdara. Na tego typu imprezy w Vodenburgu przychodziło się zawsze trochę wcześniej, traktując je poniekąd jako wydarzenia towarzyskie. Hieronim miał nadzieję wykorzystać ten czas na omówienie z nimrodem spraw spółki, tym bardziej że Abel i Alitea zaraz gdzieś zniknęli.

Ledwo jednak mężczyźni usiedli, zapalili tytońce i wymienili kilka słów, zza pleców uderzył ich tubalny głos rytera Kristoffa Njute:

— Aa! Aaaa! Więc też przyszliście! A tak właśnie myślałem, żeby cię wyciągnąć! Gdzie te twoje dzieci? Czekaj, przysiądziemy się. Esterę, Pawła i Luizę przecież znasz. Ale-ale, poznajcie, moi drodzy, naszego nimroda, Ihmet Zajdar, Ihmet Zajdar, niechże ktoś przesunie ten stołek, no siadajcie, siadajcie, ufch, okropnie duszno, człowiek się poci niczym w łaźni, z tym sklerotycznym Remigiuszem to tak zawsze, pamiętasz, jak zamówiliśmy wyciszenie tych wichur w dziewięćdziesiątym pierwszym, założę się, że suczysyn sam je wywoływał…

Kristoff zjawił się z żoną, Esterą, oraz córką i zięciem. Jak należało się spodziewać — i co pan Berbelek dobrze pamiętał ze swoich wizyt w domu Njute — w jego obecności rodzina milczała, głos zabierał tylko ryter. Jeszcze największe szanse na przełamanie Formy posiadał Paweł, jako niespokrewniony z Kristoffem i najkrócej pozostający pod jego wpływem. I istotnie od czasu do czasu udawało mu się wtrącić zdanie czy dwa.

Pan Berbelek pozwolił Kristoffowi mówić — kto rozsądny próbuje zatrzymać wodospad? — nie zważał już jednak na słowa i nie rejestrował treści. Kristoff zwracał się zresztą do Zajdara, a Pers uśmiechał się doń uprzejmie i kiwał głową. Hieronim błądził zaś wzrokiem po błoniach, między wozami, namiotami, nad głowami tłumu i w tłumie. Widzowie napływali powoli, a wraz z nimi — sprzedawcy kwiatów, parasoli, wachlarzy, słodyczy, wina, topornych stołków, kieszonkowcy, żebracy i szemrani demiurgosi cia-

ła, wszyscy gromko zachwalający swe towary i usługi, szum ludzkich głosów przykrywał błonia grubą kołdrą. Im większy tworzył się tłok, im więcej ludzi się zbierało, tym wyraźniej pan Berbelek czuł zniecierpliwienie i podniecenie zbliżającym się widowiskiem. Zdawał sobie sprawę, że spora część przyjemności czerpanej z podobnych przedstawień ma swe źródło nie w samych oglądanych cudach i dziwach, lecz w fakcie, iż ogląda się je wraz z innymi, dziesiątkami, setkami innych ludzi. Nic dziwnego, że aktorzy wychodzący na scenę przed nieprzyjaźnie nastawioną widownię stają niemi i sparaliżowani. Toż musieliby być wysokimi aristokratami, by móc się wyłamać z sytuacji, odwrócić formę, przeciągnąć publiczność na swoją stronę…

Pan Berbelek drgnął, zatrzymawszy wzrok na linii bocznych barierek, dłoń z tytońcem zawisła tuż przy ustach. Oto esthle Szulima Amitace — zapłaciwszy strażnikowi i odesławszy swego niewolnika, wchodzi właśnie do zamkniętego kwartału widowni. Pochwyciła spojrzenie Hieronima i odpowiedziała ruchem wachlarza, lekkim uśmiechem. Pan Berbelek wstał i ukłonił się jej ponad rzędami pustych jeszcze krzeseł i ław. Nie miała wyjścia, musiała do niego podejść. Njute podążył za wzrokiem Hieronima i przerwał swą perorę; teraz już wszyscy obserwowali w milczeniu zbliżającą się kobietę. Lecz jej nawet brew nie drgnęła, sekretny półuśmiech nie zmienił się ani na jotę, nie przyśpieszyła kroku i nie usztywniła ruchów, ich wzrok nie był w stanie w żaden sposób ją zmienić.

Pan Berbelek odrzucił i przydeptał tytońca; stał z rękoma splecionymi za plecami, lekko pochylony. Nie odwracając od esthle oczu, liczył uderzenia swego serca. Jest piękna, jest piękna, jest piękna. Pożądam, pożądam. Tych zielonych oczu patrzących tylko na mnie, tych długich palców zaciskających się na moim ramieniu, tych jasnozłotych włosów pod moją dłonią, tych wysokich piersi pod moimi wargami, tych ust uśmiechniętych — nie uśmiechniętych, wykrzykujących nieprzyzwoitości pod morfą mojego pożądania. Chodź tu do mnie!

— Esthle.

— Esthlos.

Podała mu dłoń. Ucałował wnętrze nadgarstka, pochylając się lekko (była wyższa od niego). Gorąca skóra sparzyła jego wargi, szmaragdowe ślepia węża-bransolety zajrzały mu prosto w oczy. Rozpoznał także owo

pachnidło znad Nilu, gorącą, zwierzęcą woń, przyjemną i drażniącą zarazem.

— Pozwoli esthle, że przedstawię moją żonę… — zaczął Kristoff, odchrząknąwszy.

Usiedli. Między rzędami widowni przechodził sprzedawca słodkich tulipanów i pan Berbelek z myślą o Ablu i Alitei kupił pół tuzina. Szulima wydęła policzek. Podał jej jeden ze smażonych kwiatów. Ugryzła, oblizując się szybko; pojedynczy ocukrowany płatek spadł jej na pierś. Pan Berbelek wyciągnął lewą rękę, ujął powoli płatek między kciuk i palec wskazujący, uniósł dłoń, wsunął sobie płatek na język, rozgryzł, słodycz spłynęła po gardle, przełknął. Esthle Amitace trwała przez ten czas w bezruchu, obserwując go uważnie, tylko piersi falowały lekko w rytm spokojnego oddechu, wilgotny ślad po płatku pozostał nad ciemnym sutkiem.

— Nie wiedziałem, że jesteś kristjanką — odezwał się Njute, by rozbić formę nagłej intymności esthlosa Berbeleka i esthle Amitace; wszystkich innych wykluczała ona w niezręczne milczenie. Wskazał naszyjnik Szulimy ze srebrnym krzyżem.

— Ach, nie. — Uniosła wisiorek, jakby po raz pierwszy mu się teraz przyglądając. — To krzyż łamany. Już kilka tysięcy lat przed Alexandrem używano go w magii i obrzędach.

Jak zwykle, słuchając jej głosu, pan Berbelek próbował zidentyfikować akcent Szulimy. Jej ocki był miękki, z rozciągniętymi samogłoskami i pojawiającym się nieregularnie przydechem, jakby mówiła tylko do ciebie i mówiła w sekrecie, tłumiąc głos przed innymi. Człowiek mimowolnie pochylał się ku niej, przekrzywiał głowę.

— Interesujesz się, esthle, starożytnymi kultami? — wtrącił pan Berbelek, by podtrzymać rozmowę.

Szulima spojrzała nań ponad wachlarzem.

— To nadal są niebezpieczne sprawy — rzekła.

— Niebezpieczne?

— Starzy bogowie tak łatwo nie odchodzą — zauważył Ihmet Zajdar. — Pozostaje to poczucie, że oni byli jednak bardziej… prawdziwi.

— Krew kozła i wycie do Księżyca — mruknął z pogardą Kristoff.

Esthle Amitace westchnęła głośno.

— Czy naprawdę musimy teraz o tym rozmawiać? Przyszliśmy tu zabawić się, a nie prowadzić religijne dysputy.

— Piękno zawsze przyciąga uwagę — uśmiechnął się pan Berbelek, wskazując wzrokiem srebrny gammadion między piersiami esthle.

— Szkoda — sapnął esthlos Njute. — Przez chwilę miałem nadzieję, że oto spotkałem siostrę w wierze. Musi istnieć jednak jakiś powód, dla którego wybrałaś taki krzyż, esthle, skoro znasz jego pochodzenie.

— Czy gust determinuje wybór religii? Bez obrazy, ale ja nie mogłabym się tak obnosić z wizerunkiem narzędzia tortur, w tym kryje się jakaś perwersja.

— Ho, ho, ho, ja przecież tak tego nie zostawię! — zamachał rękoma ryter jeruzalemski. — Takie sądy rozgłaszane przez tych, co o samej religii niewiele wiedzą, więc powtarzają, co usłyszeli, one powstają, jak powstają plotki, z niczego, ze zbiegu przypadkowych słów, skojarzeń najpłytszych, z mętnej formy. Co ty w ogóle wiesz o Kristosie, esthle?

— Mhm, kratistos żydowski z czwartego wieku alexandryjskiej, jeszcze z dzikich kratistosów, opętany przez lokalny żydowski kult, skazany na ukrzyżowanie w politycznej sprawie, zdążył wciągnąć pod swoją Formę sporo Żydów. Podobno nie umarł na tym krzyżu, utrzymał ciało. Co jeszcze? Zdaje się, że przypisywał sobie jakieś pokrewieństwo z Bogiem.

— Synem, był, jest Jego synem.

— Nigdy nie darzyłam wielkim respektem tych bogów — stwierdziła z nieznacznym ironicznym uśmiechem Szulima — co to i ciało, i ambicje, żądze i kompleksy, wrogowie, przyjaciele i kochanki, tuziny dzieci, wszystko ludzkie. Człowieczeństwo razy sto nie równa się boskości.

— To właściwie jest Allah, Bóg muzułmanów — wtrącił pan Berbelek. — Prawda?

Kristoff złapał się za głowę.

— Kriste! Co wy opowiadacie! Muhammad przecie nam Go ukradł, pomieszało mu się w głowie pod anthosem Al-Kaby, no i tak to wyszło dla izmaelitów, wszystko poprzekręcane.

— Aa, więc to jest jednak Bóg Aristotelesa? — dopytywała się Szulima. — No to już nic nie rozumiem. Jak On mógłby mieć syna? Po co? Jaki sens? To się kupy nie trzyma. — Wydąwszy wargi, schrupała resztę tulipana.

Kristoff prychnął głośno. Zaraz zacznie sobie rwać z głowy te rude kłaki, pomyślał Hieronim.

— Zawsze mi się wydawało — wtrącił się Ihmet, mrużąc oczy, gdy spoglądał w zamyśleniu ponad głowami Berbeleka i Amitace na zachodzące Słońce — od dzieciństwa właściwie… to jak z kulistością Ziemi albo z przepływem krwi w ciele, każdy człowiek prędzej czy później dochodzi do tego, po prostu obserwując świat i wyciągając wnioski. Także ludzie przed Aristotelem. Pytania są zawsze takie same. Dlaczego świat jest, jaki jest? Dlaczego jest w ogóle? Co było przedtem, skąd się wziął, jakie są Przyczyny? Czy mógłby być inny, a jeśli tak, to jaki, a jeśli nie, to dlaczego nie? Widzimy, jak z form prostych wyłaniają się formy złożone, jak z pustki rodzi się myśl, pod dłonią demiurgosa z bezkształtnego surowca powstaje skomplikowany artefakt. Więc i dla świata musi istnieć Cel, Forma doskonała, przyczyna ostateczna, która sama nie posiada przyczyny, albowiem wówczas cofać musielibyśmy się w nieskończoność. Jeśli zatem wszechświat, czas, byt posiada w ogóle początek, jest to właśnie taki początek: bezprzyczynowy, zupełny, zamknięty w sobie, doskonały. Z niego pochodzą wszystkie Formy, on przyciąga pierwotnie bezkształtną Materię ku kształtom coraz mu bliższym: planety, gwiazdy, księżyce — skąd bowiem by się wzięły w swych idealnych kulistościach, na idealnie kolistych orbitach, jeśli nie z narzuconej morfy tego kratistosa kratistosów? — morza i lądy, błoto i kamienie, rośliny i zwierzęta, i ludzie, i ludzie myślący, a pośród nich demiurgosi, teknitesi, kratistosi, coraz bliżsi Jemu. Wszyscy żyjemy w Jego anthosie, cały wszechświat znajduje się we wnętrzu Jego aury i z każdą chwilą bardziej podobny jest do Formy docelowej, coraz bardziej konkretny, ukształtowany, doskonały, boski. Na koniec bowiem istnieć będzie tylko jedna Substancja: On.

Pers mówił cicho, często zatrzymując się w poszukiwaniu odpowiedniego słowa, a kiedy skończył, uśmiechnął się przepraszająco.

— Ooo, to ja nie wiedziałem, że z pana taki sofistes! — pokręcił głową Kristoff.

— Tygodnie, miesiące pośrodku okeanosu… — wzruszył ramionami nimrod. — Cóż pozostaje? Gapić się w horyzont? Człowiek albo oszaleje, albo jednak dojdzie do pewnej eudajmonii, spokoju ducha, mhm, mądrości.

— No dobrze — westchnęła Szulima, łamiąc krzepnącą morfę chwili — ale co z tym Bogiem kristjan? Doskonałość nie miesza się w sprawy śmiertelników, wystarczy, że j e s t.

— Aha! — Njute wzniósł wyprostowany palec. — Czy doskonałość może posiadać uczucia? Litość na przykład? Współczucie, miłosierdzie, miłość?

Esthle Amitace skrzywiła się powątpiewająco.

— No i znowu zaczynamy dodawać do abstrakcji cechy ludzkie. Skończymy na Dzeusie lub Herze.

— Bo ty, esthle, mówisz o Bogu, który byłby spójny logicznie, a ja mówię o Bogu, w którego się wierzy.

Szulima wykonała wachlarzem niejasny gest.

— Przecie to jedno i to samo. Kto uwierzy w kwadratowe koło? Zresztą, o jakim Bogu mówił przed chwilą pan Zajdar?

— Przyznaję, że jako dziecku zoroasteryzmu — rzekł nimrod — bliższy jest mi Bóg Muhammada niż Kristosa. Ta cała historia z posłaniem na Ziemię Jego dziecka, i to niby na śmierć, w każdym razie w cierpienie, w niebezpieczeństwo —

— Och, w tym akurat dostrzegam okrutną prawdę! — zaśmiała się szyderczo Szulima, kryjąc twarz za błękitnym wachlarzem. — Problem leży gdzie indziej. Otóż wpierw trzeba by zaakceptować właśnie Boga już uczłowieczonego, nie absolutną Formę Aristotelesa, która stanowi domysł najbardziej oczywisty — lecz coś raczej z owych bajek starożytnych, Surowego Starca, Matkę Miłości i Płodności, Krwawego Wojownika. I jeden człowiek posiada umysł skłaniający się bardziej ku geometrycznym mądrościom, drugi — ku pięknym opowieściom, od których przechodzi dreszcz po skórze. Lecz żaden Bóg nie może być taki i taki równocześnie.

— A skąd nam, śmiertelnym, wiedzieć, jaki Bóg może być, a jaki nie, co? — żachnął się ryter.

— My w ogóle wiemy niewiele — przyznała Szulima. — Lecz posuwamy się od niewiedzy ku doskonałości nie przez przyjmowanie hipotez irracjonalnych, lecz tych, które w naszej ignorancji wydają się nam ze wszystkich najprostsze i najrozsądniejsze.

— Ale ja nie przyjmowałem żadnej hipotezy, esthle — rzekł Kristoff, już wyraźnie zrezygnował z tonu lekkiej przekory i dystansu, w jakim prowadzona była dotąd dyskusja. — Ja u w i e r z y ł e m.

— Miałeś prawo, mocno się odcisnął i wielu porwał za sobą, nikt nie przeczy, że był to potężny kratistos. Nawet jeśli faktycznie umarł na tym krzyżu. Czy stanowi to jednak powód, by czynić zeń symbol religii? A jak-

by go skazali na poćwiartowanie i tak umarł? Co? Toporami, piłami, nożami?

— Nie rozumiesz! — Njute, sfrustrowany, wstał i usiadł, szarpnął się za brodę, za wąsa, znowu wstał, znowu usiadł. — To było odkupienie! Zginął za nasze grzechy!

— No to już jest kompletny absurd! — Amitace również utraciła dotychczasowy spokój, ostra irytacja zabrzmiała w jej głosie. — Wyobraź sobie takiego króla, władcę absolutnego: wasale łamią jego prawo, wasale sprawiają mu przykrość, więc zamiast nich — karze swoje dziecko. Czy stoi ktoś ponad nim, narzuca zasady, wyznacza kwotę koniecznego cierpienia? Nie, słowo króla zawsze stanowi wyrok ostateczny. Jaki więc jest jedyny powód męki syna? Bo król tego c h c i a ł. Widać przyjemność mu dało.

Twarz Kristoffa, i tak obficie skroplona potem, jeszcze poczerwieniała, gdy otworzył usta do niedźwiedziego ryku:

— Co za febryczne idiotyzmy ty mi tu —

— Dosyć! — syknęła Szulima, składając z trzaskiem wachlarz; ręka zakreśliła poziomy łuk, gest wygładzenia kerosu.

I proszę, oto ryter jeruzalemski zamilkł. Wypuściwszy z płuc powietrze, rozparł się szeroko na krześle, momentalnie rozluźniony, roztargnionym wzrokiem wodząc po przeciwległej części widowni cyrku. Rodzina Njute patrzyła w milczeniu, skonsternowana.

Kristoff po chwili wyjął z rękawa chustę, otarł czoło.

Gdy z powrotem podniósł wzrok na Szulimę, nie dało się już z jego oblicza niczego wyczytać.

— Esthle. — Skłonił głowę.

Odpowiedziała uprzejmym odwróceniem wachlarza.

Co to było? — zastanawiał się tymczasem pan Berbelek. Wymienił z Ihmetem zdumione spojrzenia. Nimrod na dodatek wydawał się być rozbawiony całą sytuacją. Być może teknitesa takie rzeczy śmieszą — a być może owo rozbawienie też stanowi tylko maskę — pan Berbelek zbyt dobrze jednak pamiętał łamiący kości i rozbijający myśli mróz Czarnoksiężnika. Kim ona, u licha, jest? Z taką morfą istotnie może naginać do swojej woli ministrów i aristokratów. Czy Bruge naprawdę jest jej wujem, czy też po prostu p r z e k o n a ł a g o, by tak utrzymywał? I ja sam — czy wtedy ja naprawdę chciałem zaprosić ją do iberyjskiej villi? A teraz — pożądam, pożądam, jest piękna — czy teraz odważyłbym się wystąpić przeciwko niej,

złamać formę, na przykład zadać jakieś pytanie — bardzo niestosowne, bardzo bezpośrednie, bardzo niegrzeczne — potrafiłbym czy nie?

Nie dane mu było się dowiedzieć. Oto zjawili się Abel i Alitea, wróciwszy ze zwiedzania menażerii Aberrato K'Ire, i pan Berbelek podjął rytuał przedstawiania ich rodzinie Njute, Zajdarowi oraz Amitace — bardzo spokojnie, bardzo grzecznie: esthle Alitea Latek thygater Berbeleka, esthlos Abel Latek yjos Berbeleka.

Usiedli z przeciwnych stron, Abel przy Luizie i Pawle, Alitea przy Szulimie i Ihmecie.

Alitea okazała się w towarzystwie osobą niezwykle rozmowną, opisy stworzeń pięknych, dziwnych i potwornych z miejsca poczęły się z niej wylewać w świergotliwym słowotoku, w jakiś przedziwny sposób była zarazem zabawna i dystyngowana, dziecinna i dorosła ponad swe lata.

Pan Berbelek obserwował ją przez chwilę, zmieszany. Nigdy jej nie poznam. Czy to jest prawdziwa morfa Alitei-między-ludźmi? Są moimi dziećmi, ale ja nie jestem ich ojcem.

Nachylił się ku Kristoffowi.

— W przyszłości lepiej powstrzymuj się od takich wyskoków — wyszeptał. — Nie ułatwiasz mi roboty. Bruge może jeszcze zmienić zdanie. A póki ona mieszka we dworze naszego kochanego ministra… Pomyśl trochę, zanim rozewrzesz paszczę, dobra?

— Sama zaczęła, była ciekawa. Ja tylko odpowiadałem.

— Kristoff!

— No przecież wiem, żem cham i kretyn. Ale też ty powinieneś był mi przerwać. Myślisz, że się obraziła?

— Przekonamy się za tydzień, jak Bruge ogłosi taryfy celne.

Schrupawszy drugiego tulipana, Alitea zaczęła się rozwodzić nad kolejnymi okazami z cyrkowej menażerii, skrzydlatymi wężami i lodowymi ropuchami. Luiza stwierdziła głośno, że również musi złożyć tam wizytę, pójdą wszyscy po przedstawieniu. Alitea machinalnie poczęstowała ją kwiatem, jednym gestem wciągając obcą kobietę w formy konfidencji.

— …albo te kopraki ogniste — ciągnęła na bezdechu — albo to coś, co wyrastało z kamienia, roślina czy zwierzę, skąd oni w ogóle je biorą, sami morfują? Skąd biorą takich szalonych hodowców? To nie może być zdrowe dla nikogo.

— Żebyś widziała, esthle — mruknął Ihmet — co my czasem wyławiamy z morza. Ostatnio to już nawet trudno powiedzieć, spod jakiej formy się to bierze, z Południowego Herdonu może? Prądy okeanosowe niosą je przez dziesiątki tysięcy stadionów, szczątki głównie, rzadko żywe. Dawniej znaliśmy wszystkie gatunki, miejsca i czasy występowania, mam taki ręcznie opisany atlas z zeszłego wieku, w którym są ponazywane nawet poszczególne okazy krakenów i węży morskich: „Szczerbaty Buba, w dwudziestym drugim zmiażdżył «Succuba IV», odłamek masztu wbity pod lewą płetwą, nie wrzucać odpadków do wody”, i temu podobne, doprawdy urocze. A teraz? Niczego nie można być pewnym, wszystko się zmienia.

Pan Berbelek stłumił uśmiech, widząc z jaką nieskrywaną fascynacją Alitea i Abel słuchają melancholijnej gawędy nimroda. Bresla to mimo wszystko jest zatęchła prowincja Europy, czy tam kiedykolwiek zawitał circus podobny Aberrato K’Ire? Z pewnością mocno odczuli opuszczenie ich przez Marię i nagły wyjazd — ale też bez wątpienia przeżywają teraz największą przygodę swego życia.

Tę fascynację łatwo wykorzystać, lecz stanowi ona również potężną siłę sama w sobie. Błogosławiona naiwność, promienna ciekawość — czyżby Abel miał jednak rację? czy ja po trochu już nie przesiąkam ich Formą…?

Po raz drugi uśmiech sięgnął jego twarzy i tym razem pan Berbelek go nie stłumił.

— Przecież nie tylko w morzach — mówiła esthle Amitace, nie zaprzestając rytmicznego wachlowania, lśniący błękit migotał nad jej piersiami niczym pojedyncze skrzydło rajskiego ptaka. — Dopiero co dostałam list od przyjaciółki z Alexandrii. Ludzie wracający z drugiego kręgu, zza Złotych Królestw, od jakiegoś już czasu przywozili dziwne wieści — o całych dżunglach zdeformowanych nie do poznania, o przetrzebionych stadach elefantów, gazeli, tapalop, giną tysiącami gdzieś w trakcie swych wędrówek po sawannach. Czasami karawana przywiezie truchło — ale żywego okazu nie sposób wwieźć do Alexandrii, trzymają się z dala od korony Nabuchodonozora. Dopiero na południu, za granicą jego Formy, między słabymi anthosami dzikich kratistosów — stamtąd przychodzi. I z serca dżungli. Hypatia posyła zwiadowców, całe ekspedycje z królewskimi sofistesami. Aristokracja urządza sobie nawet takie polowania, nowa moda od kilku sezonów… No i czytam, że w tym roku nawet kupcy się przyłączają, finansują własne ekspedycje. Pewnie zatrzymam się tam na parę miesięcy, potem zawitam do

Iberii. — Tu spojrzała na Berbeleka. — Tak czy owak, trzeba opuścić Vodenburg, zanim nadejdzie lato i miasto naprawdę stanie się nie do wytrzymania.

— Ty polujesz, esthle? — spytał nimrod.

— Najpierw z towarzyskiego obowiązku, teraz dla przyjemności — zaśmiała się. — I wyłącznie na szlachetną zwierzynę. Ale w ostatecznym rozrachunku — czyż to nie sam myśliwy uszlachetnia każdą zwierzynę, okazując jej swój szacunek w rytuale pościgu i walki?

— Ligajon, *Pierwsza rzeka* — Abel rozpoznał cytat i pochwalił się wiedzą.

— Dawno już chciałem odwiedzić Alexandrię… — zaczął niepewnie Paweł. — Zaiste, iluż to poetów sławiło kalokagatię Nabuchodonozora? „Święte Ogrody Parethene, kto ujrzał je nocą, pod jasnym okiem Cyklopa z Pharos…”

— Och, zapraszam, zapraszam! — zatrzepotała pośpiesznie wachlarzem Szulima.

— Ty będziesz mi potrzebny tutaj — uciął Kristoff Njute. — Może w przyszłym roku.

— Może — wzruszył ramionami zięć rytera.

— Ależ naprawdę! — uniosła się esthle Amitace. — Będzie mi niezmiernie miło! Albo jeśli wy mielibyście ochotę… — skinęła na Aliteę. — Muszę wyznać, że większości osób, jakie tutaj poznałam, wolałabym nie mieć za towarzyszy podróży; ich towarzystwo podczas jednej i drugiej oficjalnej kolacji w zupełności mi wystarcza. W tym mieście jest coś takiego… Za to słońce Alexandrii! Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem zdecydowana.

Alitea i Abel wymienili spojrzenia, potem równocześnie przenieśli wzrok na Hieronima.

Pan Berbelek już się nie uśmiechał. Nie można poddawać się Formie bezrefleksyjnie, nie w tym przecież rzecz, by naprawdę powrócić do własnego dzieciństwa.

Zanim jednak otworzył usta —

— Zaczyna się! — Luiza wskazała arenę.

Aktorzy zeszli ze sceny już chwilę temu. Rozległ się werbel niewidocznych bębnów i w rytm tego werbla na deski wkroczył sam K’Ire, flankowany przez dwa czerwonookie sfinksy. Sfinksy ryknęły, bębny zamilkły, K’Ire

wzniósł rękę ze złotym skeptronem — i już: nie musiał podnosić głosu, nie musiał nawet niczego mówić, wystarczyła sama jego obecność, poza, gest. Momentalnie ucichły rozmowy, publiczność zamarła, wpatrzona wyczekująco w wysokiego Gota. Bez słowa zwyciężył ich uwagę; ale też oni chcieli zostać zwyciężeni, za to zapłacili.

— Mógłbym prosić cię na słowo? — szepnął Pers, nachylając się ku Hieronimowi.

— Teraz? Co się stało?

— Zdaje się, że jest tu jeden z nimrodów Drugiej Grenadyjskiej. Znam go, chyba nie ma stałego kontraktu, dałby się skusić.

— Mhm, no dobrze.

Przepraszając siedzących, przeszli pośpiesznie pod boczną barierę widowni.

— Który to? — spytał pan Berbelek, rozglądając się po rzędach zapatrzonych na scenę twarzy. K'Ire zapowiadał pierwszy występ, rozpoczynało się widowisko.

— Skłamałem — rzekł Ihmet. — Nikogo nie widziałem. Jak długo znasz tę kobietę?

— Co? Kogo?

— Esthle Amitace, tak? Ją.

— O co ci chodzi?

— Najpierw mi powiedz. Jak długo?

— Tej zimy przyjechała do Vodenburga z Byzantionu. Do wuja. Nigdy nie widziana siostrzenica ministra. Przedstawiono nas sobie na jakimś przyjęciu u księcia, w Decembrisie czy Novembrisie.

Pers skrzywił się, szarpnął za wąsa. Sięgnął do kieszeni, wyjął bursztynową tytońcówkę, poczęstował Berbeleka. Hieronim, ulegając formie Zajdara, przyjął tytońca w milczeniu. Zapalili.

Nimrod oparł się barkiem o drewnianą barierę. Nie obracając tułowia, obejrzał się za siebie, ponad ramieniem, ku pierwszemu rzędowi — pan Berbelek podążył za jego spojrzeniem. Widzieli tylko szczyt pleców Szulimy i tył jej głowy, jasną koronę włosów, jak przedwidok owej korony niewidzialnej, ażurowego anthosu. Oglądała popisy kakomorficznych demiurgosów wraz z innymi, zapatrzona w arenę, nie wyczuła wzroku mężczyzn.

— W tysiąc sto sześćdziesiątym szóstym — zaczął powoli Zajdar, przerywając za każdym razem, gdy tłum wydawał okrzyki przerażenia lub gło-

śne westchnienia — przestałem pracować w ochronie karawan kadzidlanego szlaku i przyjąłem pierwsze zlecenia na śródziemnomorskich trasach. Pływałem głównie na kaftorskich galerach, Aegipt, Rzym, Knossos, Grenada, Morze Czarne. Król Burz znowu przesuwał się na niebie, to był koniec spokojnej żeglugi po Śródziemnym. Wtedy też, jak zapewne pamiętasz, Czarnoksiężnik po raz trzeci opuścił uralskie twierdze i wyruszył na południe, chan musiał uciec przez Bosfor. Byzantion szykował się do wojny, ściągał strategosów, aresów, nawet nimrodów, sułtan wynajął Horror. Pływałem tam i na Krym. W lecie na Krym przybył Czarnoksiężnik. Książę Chersonezu złożył mu hołd. Odbyło się to publicznie, nad portem, na tarasach cytadeli; ścięto wszystkie drzewa i zburzono mur, by nie zasłaniał widoku. Musiałeś widzieć obrazy i ryciny. Ja tam byłem. Tłumy, jak okiem sięgnąć. W końcu — jak często nadarza się śmiertelnikowi okazja zajrzeć w twarz kratistosa?

Pan Berbelek zostawił to bez komentarza.

Ihmet Zajdar przerwał, by wypuścić krągły obłoczek dymu.

— Wszyscy klęczeli. Nawet jak udało się wstać, ciężko było wyprostować plecy, tamtego dnia co do jednego byliśmy niewolnikami. Upał. Kilkanaście kobiet urodziło przedwcześnie, na pewno słyszałeś o tych „dzieciach Czarnoksiężnika”. Trwało to bowiem od świtu do zmierzchu. Obrazy pokazują tylko sam moment złożenia hołdu przez Hesarę; to odbyło się rankiem. Potem jednak trwały niekończące się procesje, przemowy, błogosławieństwa, egzekucje. Czarnoksiężnik siedział na wielkim tronie ze szczęki węża morskiego, to akurat zgadza się z obrazami. On również posiadał swoją świtę: seneszala, gwardię aresów, dwóch namiestników Południa, oczywiście Iwana Karła. A po prawicy, jeszcze w cieniu baldachimu, siedziała kobieta w wystawnej kaftorskiej sukni. Kilkakrotnie nachylał się ku niej, rozmawiali, śmiał się, widziałem. Złote włosy, alexandryjskie piersi, jaskółcze brwi, wyprostowana. Zniknęła gdzieś po południu. Wiedziałem tylko, że nie należy do chersonezyjskiej aristokracji.

Pan Berbelek oderwał wzrok od wpółprzesłoniętej przez bliższych widzów sylwetki Amitace.

— Jak daleko stałeś? Sto, dwieście pusów?

— Jestem nimrodem, esthlos. Widzę, zapamiętuję, rozpoznaję. W lesie, na morzu, w tłumie — ułamek sekundy, twarz, zwierzę w buszu. Nie zapomnę nigdy.

— Więc co właściwie chcesz mi powiedzieć?

— To chyba oczywiste. — Pers rzucił i przydeptał tytońca. — Szczur Czarnoksiężnika.

Szczury, muchy, psy, różnie ich zwano, tych najbliższych współpracowników kratistosów, ich konfidentów i wyznawców, żyjących bezpośrednio w ogniu kratistosowej korony, dni, miesiące, lata, keros nie jest w stanie wytrzymać nacisku tak potężnej Formy, poddaje się, szybciej lub wolniej, od razu lub etapami, ale poddaje się: najpierw oczywiście zachowanie, mowa, lecz wkrótce także uczucia, te najgłębsze, i ciało, do samych kości — morfuje ku kratistosowemu ideałowi, zmieniając się na obraz i podobieństwo, ejdolos Potęgi. Jeśli sam kratistos świadomie nie powstrzyma procesu, rychło wszyscy słudzy i urzędnicy dworscy — posiadają jego twarz.

Szczury — jadające u jego stołu, śpiące pod jego dachem, dzielące jego radości i troski — wykazują podobieństwo znacznie dalej idące. Nie musi im nawet niczego rozkazywać, wydawać poleceń i zakazów; oni wiedzą, myśli w ich głowach mkną równoległymi torami, morfa jest symetryczna niczym skrzydła motyla, obraz w zwierciadle, powracające echo, duma i upokorzenie.

Na nic jednak tacy emisariusze, szpiedzy i agenci, których każdy na pierwszy rzut oka rozpozna. Toteż kratistosi wynajmują teknitesów ciała — lub sami opracowują stosowną jego morfę, jeśli nie przeczy ona ich anthosowi — i nadają swym szczurom bezpieczną, oryginalną powierzchowność.

Długowieczność to zaledwie skutek uboczny. Bo jeśli w tysiąc sto sześćdziesiątym szóstym Zajdar widział ją dojrzałą kobietą, to znaczy, że Szulima ma co najmniej pięćdziesiąt lat. A wygląda na dwadzieścia. I jak długo jest „esthle Szulimą Amitace” — rok, pół roku?

Oczywiście, czy Ihmet mówi prawdę, czy zmyśla, czy kłamie, czy prawdę jedynie lekko przekręca — tego nie sposób sprawdzić.

— To mogła być jej matka — mruknął pan Berbelek. — Albo ktoś zupełnie inny: może po prostu przejęła piękną Formę od obcej aristokratki.

— Jeśli przejęła tak doskonale… no to nią jest, czyż nie?

Na arenie nagi mężczyzna klasnął w dłonie i natychmiast stanął w ogniu, publiczność krzyknęła jednym głosem.

Pan Berbelek dopalał w milczeniu tytońca.

— Nie czuję w niej Czarnoksiężnika.

— Dobry szczur, ładny szczur.

— Zaprosiłem ją do siebie na lato.

— Zawsze dobija pokonanych wrogów.

— Ale mówi, że pojedzie wpierw do Alexandrii, pod morfę Nabuchodonozora, a on nienawidzi Czarnoksiężnika…

— Więc tam ją zabijesz — rzekł mu twardo nimrod, teknites dzikich łowów, i pan Berbelek nie zaprzeczył.

E
Słowo, gest, spojrzenie

Maria im zabroniła, ale one i tak pisały listy do przyjaciół pozostawionych w Bresli.

Alitea:

On się chyba nas boi. Ale co to w ogóle jest za miasto! Pokój mam mały, słońce nie zagląda. Zimno tu. Ale żebyś widziała, co się dzieje na ulicach! Sama nie wiem, co to za ludzie, skąd oni tu przyjeżdżają. Przypływają. Port jest wielki. I to morze! Wczoraj poszłam na mury, godzinę tak stałam i patrzyłam. Fale! Czy morze ma własną morfę? Myślałam, że zasnę. Byliśmy w cyrku!!! W życiu nie słyszałaś o takich stworach. I co one robiły! Tato zna różnych ważnych ludzi, księcia, ministrów i taką esthle cudzoziemkę też, jaka ona piękna! Może on chce się znowu ożenić. Ale nie zapytam. Czasami tak na mnie patrzy, że naprawdę. Ja się chyba go boję.

Abel:

Jest bogaty, nie wiedziałem, że aż tak. Opowiedział mi trochę o firmie. Już wiem, co sobie myślisz, ale nie mam pojęcia, jakie są jego plany, posiada przecież innych krewnych, z resztą jest dobrego zdrowia, aotestamencie nic nie wspominał. To nie jest wylewny człowiek. Więc nie spodziewaj się, że wyciągniesz teraz ze mnie jakieś nowe pożyczki (znam cię!).

O pierwszej żonie oczywiście ani słowa. Nie mam pojęcia, które z tych strasznych rodzinnych legend są prawdziwe. Nie wygląda na takiego okrutnika. (Jak się wreszcie wybierzesz do Ostroga, to mi opowiesz). W każdym razie tutaj żadnych psów w domu nie trzyma.

Mieszkamy zresztą dziwnie skromnie. To się jednak może szybko zmienić. Kończy się sezon, na wiosnę-lato aristokracja opuszcza Vodenburg, mamy się przenieść do Iberii. Ale może on da się przekonać i pojedziemy do Alexandrii, na łowy wgłąb Afryki. Nie bój się, przywiozę ci pamiątkę (tylko nie odgryź sobie języka z zawiści).

Co by nie mówić, Vodenburg to jest jednak duże miasto kupieckie, pół Europy przewija się przez nie, każdego można tu spotkać. Pierwszego tygo-

dnia poznałem więcej aristokratów niż przez całe moje życie w Bresli. Widziałem ludzi spod przeróżnych morf. (A właśnie, sprawdziłem: dzicy Herdończycy NAPRAWDĘ mają ogony — ile ty mi już jesteś winien?).

Kilkadziesiąt stadionów na północ od miasta stanął obozem Horror, trzy setnie. Spróbuję wymknąć się tam na dłuższą przejażdżkę, zanim opuścimy Vodenburg.

Pan Berbelek przeczytał je, odkleiwszy ostrożnie nad świecą szlakowe pieczęcie. Anton miał wysłać listy Abla i Alitei rankiem, razem z pocztą Hieronima. Pan Berbelek spostrzegł je leżące na tacy we frontowej bibliotece na parterze. Przystanął, podniósł, obrócił w palcach. Otworzyć, nie otworzyć? Jak zwykle, nie mógł spać, zszedł był więc w środku nocy nadrobić zaległą korespondencję. Przechodząc do gabinetu, zatrzymał wzrok na ornamentowej kaligrafii zdobiącej złożony na wierzchu list, to Alitea tak go zaadresowała zielonym atramentem. Otworzyć, nie otworzyć? Wiedział, że otworzy.

Zapalił w gabinecie lampy pirokijne i zasunął ściślej ciężkie zasłony — parter budynku był niski, okna wychodzące na ulicę sięgały prawie sufitu, lecz były niewielkie, a na noc zatrzaskiwano na nich od zewnątrz żelazne okiennice, którym wszelako zawsze zbywało na szczelności. Zamknął jeszcze drzwi, zapalił ostre kadzidło i usiadł przy sekretarzyku.

Listów było siedem — pięć Alitei, dwa Abla. Przeczytał wszystkie. Złapał się na tym, iż uśmiecha się i chichocze w trakcie lektury. Tak go zdumiało własne zachowanie, że zaczął je na głos komentować: — No, no, pocieszna z ciebie figura, Hieronimie Berbelek — co znowu objawiło mu się niepokojącą oznaką rozchwiania psychicznego.

Rozgrzał ponownie szlak i zapieczętował listy.

Pan Berbelek sam również utrzymywał listowny kontakt z krewnymi i znajomymi z Vistulii; co prawda niektórych listów wolałby nie otrzymywać, zapomnieć zupełnie o niektórych osobach. Orlanda pisała co miesiąc, długie, bełkotliwe epistoły, sygnały jej postępującego obłędu. Dopiero co też dostał — krótki, bo krótki, ale — jak zwykle treściwy list od swojej podwładnej z czasów wielkich wojen i wielkich tryumfów, Janny-z-Gniezna, hegemona w vistulskiej armii. Jej zgryźliwy dowcip zawsze potrafił poprawić mu humor.

No więc nie naszczali na twój grób. Żeby chociaż było wiadomo, czy zawarliśmy taki pokój, czy to po prostu zamrożony front. Ale nie, Kazimir i To-

kacz, ten nowy marszałek polny, powtarzają tylko, żeby „utrzymać pozycje” i „nie prowokować dalszych incydentów”. W efekcie czternasty rok stoimy na linii Vistuli, patrząc jak Moskwa kolonizuje wschodnie księstwa, a Czarnoksiężnik zapuszcza korzenie w tej ziemi, w tych ludziach. Wczoraj dotarła plotka o dezercjach z garnizonu twierdzy Łużyca. Przez Łużycę przechodzi teraz większość handlu zbożem dunajskim. Jeśli taki tępy żołdak jak ja potrafi odczytać te drgnięcia anthosów, to dla Światowida musi to być porażająco oczywiste. Pięć, dziesięć lat — jak sądzisz? Na szczęście zapewne nie doczekam.

Ale co u ciebie? Złapałeś jakąś frankońską księżniczkę? Opowiadam ludziom, że żyjesz tam jak król. Dzięki za futro. Podpuszczam ich, że to od jakiegoś nordlińskiego kochanka, ale nikt nie jest chyba aż tak naiwny, by uwierzyć. Ostatni raz spoglądałam w lustro, kiedy wydłubywałam sobie oko po Rzeźni Legnickiej. Nie sądzę, aby siwe włosy dodały mi wiele uroku.

W lewym schowku sekretarzyka trzymał wiązankę dokumentów przesłanych przez Njute, na górze spoczywała długa epistoła spisana na papierze ryżowym od ich wspólnika z drugiego końca świata, Yijo Ikity, z dołączoną do czwartej strony notatką Kristoffa: *Jedźżesz do tej cholernej Alexandrii!*

List księcia zaibatsu pochodził sprzed półtora miesiąca, to znaczy wtedy dotarł do Vodenburga, napisany został bowiem jeszcze parę tygodni wcześniej. Kristoff uznał za stosowne pokazać go teraz Hieronimowi jako kolejny argument w ciągnącej się od kilkunastu dni — od spotkania na błoniach — kampanii perswazyjnej między Njute i Berbelekiem. Ryter nakłaniał go do podróży do Alexandrii — od której pan Berbelek wykręcał się zdawkowymi, niezobowiązującymi odpowiedziami.

— A masz coś lepszego do roboty? — drążył Kristoff. — Co? Jakieś plany, o których nic nie wiem, jakaś nowa kariera, nowy kształt życia, cokolwiek?

Nie miał nic.

Kristoff zapalił się był do tego pomysłu, ponieważ zapalał się do każdego, niemniej konieczność wizyty w Alexandrii pojawiła się w ich rozmowach już nieraz. Hieronim przypominał, jak chętny do wyjazdu jest Paweł — ale obaj wiedzieli, że młody zięć rytera nie wchodzi tu w grę, Njute zbywał ten pomysł szybkim machnięciem ręki. Przekonywał od nowa.

— Po pierwsze: prędzej czy później musimy się dogadać z Afrykańską, podpisać umowy. — (Kompania Afrykańska miała swą siedzibę w Alexan-

drii). — Po drugie: gdyby udało nam się pozbyć pośredników w dostawach południowych przypraw, zaczęlibyśmy na serio zarabiać na cargo powrotnym. Po trzecie: zamówienia Hypatii. Po czwarte: nie mówię, żebyś się z nią od razu żenił, ale, sam wiesz, gorące noce w Złotej Aurze u boku siostrzenicy ministra handlu… to wielki kapitał. Po piąte: sam przeczytaj, co pisze Yijo. Musimy trzymać rękę na pulsie. Co to w końcu jest, trzy, cztery miesiące? Kriste, zapłacę za wszystko z własnej kieszeni!

Ikita-san pisał w klasycznej grece, pod jego piórem bynajmniej nie ożywającej wielkim uczuciem i emfazą. Sam pan Berbelek nigdy go nie spotkał. Natomiast do spotkania Yijo z Kristoffem doszło za Okeanosem Zachodnim przed z górą dwudziestu laty.

Z nippońskich kolonii w zachodnim Herdonie wyruszyła wtedy — sponsorowana po części przez samego cesarza Aiko — ekspedycja mająca na celu zbadanie geografii i kerografii Gardła Euzumena, tego najwęższego połączenia lądowego między Północnym i Południowym Herdonem. Powstał bowiem plan wymorfowania tam kanału międzyokeanosowego na wzór Kanału Alexandra, łączącego Morze Śródziemne z Morzem Erytrejskim; pan Berbelek pamiętał, że pisały o tym „poderżnięciu Gardła” wszystkie europejskie gazety. W ekspedycji, z ramienia jednego z zainteresowanych w inwestycji zaibatsu, brał udział także młody Yijo Ikita.

Przedsięwzięcie się nie powiodło, wyprawa weszła bowiem wprost w oszalałą Formę jednego z tubylczych kratistosów, uciekających na południe pod naciskiem rozwijającego się niczym zimny, żelazny kwiat anthosu Anaxegirosa. Musieli wracać czym prędzej na ziemie gładkiego kerosu, zanim by na dobre się zapomnieli. Najbliżej mieli do Herdon-Aragonii. Najbardziej chorych zabrał na pokład statek dowodzony przez ojca Kristoffa Njute. Kristoff był tam drugim oficerem. Doglądał Yijo, cierpiącego na zakażenie krwi oraz deformację kości. Wtedy się zaprzyjaźnili, zmieszały się ich morfy. Gdy kilka lat później Kristoff zakładał Dom Kupiecki Njute, Ikita sfinansował przedsięwzięcie bez wahania; i nie stracił na tym. Jako aktywny wspólnik, nadal dzielił się z Kristoffem poufnymi informacjami zdobywanymi przez niezliczonych szpiegów zaibatsu Ikita, ósmej potęgi Boskiego Cesarstwa.

„Płynie tam rzeka, po jej przebyciu człowiek przestaje być człowiekiem”, tak mówią, takie opowieści nam powtarzano. Plotki o pojawieniu się nowych kratistosów krążą każdej wiosny, jakby wykluwali się oni z zawirowań

kerosu wraz z dorocznym odrodzeniem przyrody. Zignorowaliśmy je, jak setki podobnych wcześniej. Potem jednak poczęły docierać informacje o rosnącym zainteresowaniu owymi ziemiami ze strony rozmaitych potęg europejskich i azjatyckich, szli tam w niejasnych celach wysłannicy królów ikratistosów, wracali, nie wracali, szli następni. W tej chwili nie jest nawet ważne, co naprawdę stanowi źródło i przyczynę owych plotek; teraz już samo zainteresowanie konkurencji warte jest zbadania. W ten sposób z przypadkowego zbiegu pożądań rodzi się życie, coś powstaje z niczego.

Przypadkowy zbieg pożądań. Pan Berbelek rozważał drogi losu. Złożywszy list Ikity, zapalił tytońca, dym pomoże. Droga pierwsza: pojadę do Alexandrii. Czy Szulima istotnie jest szczurem Czarnoksiężnika? Tam, w anthosie Nabuchodonozora, przynajmniej będę miał większe szanse. A jeśli nie jest? Tym lepiej. Droga druga: nie pojadę do Alexandrii. Czy Szulima istotnie jest szczurem Czarnoksiężnika? Byle więc dalej ode mnie, nie będę się jej pchał przed oczy, szerokiej drogi; sam też potem opuszczę Vodenburg, nie pojadę do Iberii, skryję się gdzie indziej. A jeśli nie jest? Ku czemu prowadzi mnie moje pożądanie?

Niechże spojrzę na siebie oczyma Abla: co zrobiłby na moim miejscu Hieronim Berbelek? Uciekłby? Skryłby się i modlił w drżeniu, by niebezpieczeństwo odeszło? Czy też prawdziwy Hieronim Berbelek stanąłby mu naprzeciw z podniesioną głową?

Najwyższy czas, bym zaczął go udawać.

Przesunął popielniczkę. Wciśnięte za nią, w róg sekretarzyka, leżało zaproszenie na kolację do księcia, skreślone na oficjalnym dworskim pergaminie. Esthle Amitace z pewnością tam będzie. Sprawdził datę — dzisiaj. Pan Berbelek pójdzie.

W tym samym momencie, w którym się zakochał, Abel Latek serdecznie znienawidził obiekt swego afektu.

Na imię miała Rumia, była wnuczką księcia Neurgii. Ujrzał ją i oblał się rumieńcem. Ujrzał ją i zrozumiał, że nie był godzien podnieść na nią oczu. Urodził się i umrze jej niewolnikiem. Klęka, ponieważ nie mógłby nie uklęknąć.

Kolację podano w Sali Dziadów. Tu, w vodenburskim pałacu, gdzie Grzegorz Ponury żył przez stulecia, jego Forma odbiła się najgłębiej i naj-

trudniej się jej sprzeciwić. Nikt się nie uśmiechał. Rozmowy cichły już w zewnętrznym holu. Alitea mruknęła coś jeszcze niepewnie kilka razy, potem i ona tylko wodziła dokoła przygnębionym spojrzeniem. Instalacja pirokijna przeszywała pałac gęstą siecią metalowych żył, otaczały ich zewsząd konstelacje jasnych świateł — a jednak przeważało wrażenie ciemności, wilgotnego mroku, oślizgłej czerni, spływającej w dół po schodach, ścianach, boazeriach, starożytnym kamieniu, po dywanach, kobiercach, gobelinach, srebrze i złocie. Płomienie nie drżały z żaru, drżały z zimna; dreszcze przechodziły gościom po skórze. W Sali Protokołu huczał w wysokim kominku wielki ogień, jego blask nie sięgał jednak dalej niż na kilka kroków od paleniska, a przynajmniej tak się zdawało Ablowi. Ojciec ich ostrzegł i ubrali się ciepło. Obowiązywała powściągliwa elegancja, herdońska prostota. Kolację wydawano na cześć nowo ustanowionego ambasadora Kolonii. Pan Berbelek otrzymywał regularnie zaproszenia na podobne przyjęcia, ponieważ był jedynym mieszkańcem Vodenburga — poza jego władcami i kilkoma mistrzami z lokalnej akademei — o którym książęcy goście mieli szansę wcześniej usłyszeć; ponadto należał do aristokracji i nie sprawiał kłopotów, rzadko wyrażając własne zdanie i z zasady przytakując wyżej urodzonym interlokutorom. Był cudownie przewidywalny, marzenie każdego mistrza protokołu: człowiek w całości definiowany przez cudze Formy. W mig wyczuwał wszelkie zaburzenia dworskiej etykiety. Drzwi dopiero zaczynały się uchylać — on już obracał się ku nim, kolana się gięły, chyliła głowa. Nie chodziło nawet o to, że klękał pierwszy — ale że klękał dokładnie wtedy, gdy należało uklęknąć. Abel się spóźnił, stał jeszcze, gdy wchodzili: książę, księżna, dwie córki, wnuk i wnuczka. Na moment pochwycił jej wzrok. Rumia, wiedział, że ma na imię Rumia. Uśmiechnęła się do niego kącikiem ust, ni to pytająco, ni zachęcająco. Padł na kolana. Zaciśnięte pięści wparły się w zimną posadzkę, krew dudniła w uszach. Co za upokorzenie!

Kolację podano w Sali Dziadów, pod czujnym wzrokiem antenatów księcia, którzy spoglądali na jedzących spod sufitu, z galerii portretów sporządzonych przez największych demiurgosów pędzla i płótna. Abel zerkał na obrazy podejrzliwie. Ci bogato odziani mężczyźni i kobiety, o pięknych, surowych twarzach, zdawali się wychylać z ram, obracając oczy właśnie ku niemu. Policzył portrety: siedemdziesiąt dwa. Jak głęboko w przeszłość się-

ga historia rodu Neurga? Ile generacji aristokratów stoi w cieniu za bladolicą Rumią?

Wystarczyło posłuchać ambasadora Kolonii, esthlosa Karola Reucka, jak peroruje nad indykiem w sosie grzybowym:

— Do tego stopnia zdziczali, że, mhmmm, zatracili nawet jakiekolwiek poczucie hierarchii, nie istnieją struktury społeczne, tylko, mhmmm, jedna wielka horda, w której głos każdego wart jest tyle samo i decydują wszyscy pospołu, jeden, jeden i jeden, masa amorficzna. Ani królów, ani niewolników, nie ma dołu, nie ma góry; mhmmm, zapomnieli wszystko.

— Zapomnieli? — odezwał się Abel z drugiego końca stołu, i zaraz pożałował, że otworzył usta, bo chociaż dzięki temu Rumia spojrzała na niego, to spojrzeli nań także wszyscy inni, i nagle musiał walczyć z całych sił, by pod ciężarem ich vodenbursko zimnego wzroku wypowiedzieć choć słowo więcej. — Zapomnieli, czy też nigdy im nie była ta Forma dana? Może Anaxegiros istotnie jest tam pierwszy.

— A ty, mhmmm, młodzieńcze, nigdy nie słyszałeś o „dzikich kratistosach” w Herdonie, ale i w Afryce, w Ziemi Gaudata na Antypodach? Porządek leży w naturze świata. To, mhmmm, chaos i pomieszanie do równej, jednolitej masy jest mu przeciwne i w istocie chore. Tylko w dziczach najgłębszych, za Megorosami, w lasach nocy, pod piekielnymi drzewami, pod, mhmmm, wyśmienite, wyśmienite, tylko tam człowiek potrafi się do tego stopnia zdegenerować.

— A skoro tak bez reszty zapomni swojej Formy — odezwała się księżna — to przecież tym samym przestaje być człowiekiem, prawda, Iaxo?

Iaxa, nadworny sofistes, zanim odpowiedziała, otarła chusteczką wąskie wargi i ułożyła sztućce symetrycznie po obu stronach talerza.

— Ten porządek jest powszechny — powiedziała, spoglądając na Abla — i tak samo dotyczy ludzi, jak zwierząt i roślin; wszystkiego, co żywe i co chce żyć. Weź za przykład dowolne dwa psy. W jakichkolwiek okolicznościach by się nie spotkały, zaczną się obszczekiwać i tarmosić, dopóki jeden nie podda się drugiemu, nie uzna jego wyższości i swojej podległości. A czy ludzie powstali ze zwierząt od razu jako królowie i kratistosi, słudzy i niewolnicy? Nie. Lecz za każdym razem, gdy spotyka się dwoje nieznajomych, dochodzi do starcia ich woli, próby podporządkowania, w mniej lub bardziej subtelnej formie. Teraz, gdy żyjemy w cywilizacji, nie zawsze jest to widoczne na pierwszy rzut oka. Na początku jednak, w dziczy, zmagania

były brutalne, niczym nie ograniczone. Ukorz się lub zginiesz! Ile jesteś w stanie zaryzykować dla swej wolności, niepodległości Formy? Bo w końcu zawsze zagrać trzeba o stawkę najwyższą. Wolisz śmierć czy życie pod cudzą wolą? I jedni się uginali, wyżej ceniąc spokojny, bezpieczny żywot, i z tych wywodzą się niewolnicy, chłopi, lud posłuszny; ale inni, tych jest mniej, nie mogą znieść żadnego upokorzenia, prędzej się złamią, niż ugną, ich Forma jest zbyt twarda — i z nich wywodzi się aristokracja.

— Wiem, wiem, ale… — zająknął się Abel.

— Ale. — Cmoknęła esthle Amitace. — Ale my, z wysokiej krwi, możemy się między sobą przyznać do naszych prawdziwych lęków. Esthlos Latek ma rację, podważając tezę esthlosa Reucka. Skoro bowiem ci starożytni Herdończycy żyli kiedyś w zdrowych strukturach, skoro mieli cywilizację, a teraz — nawet wodza hordy nie potrafią wskazać… to nie jest pewna i nasza przyszłość. Żadna Forma nie jest dana raz na zawsze. Ci, którzy rodzą się już na górze i nie muszą walczyć o swoje tu miejsce, im najtrudniej zaryzykować wszystko, gdy powstanie ktoś, kto nie ugnie karku i rzuci wyzwanie; i on nie będzie miał nic do stracenia, a oni — wszystkie bogactwa świata. Łatwiej, bezpieczniej, prościej oddać mu odrobinę tych bogactw. I następną. I następną. Wspomnijcie, jaki był los rodu Alexandra.

— Który stanowi ostrzeżenie dla nas wszystkich — mruknął książę, rzucając Rumii ostre spojrzenie; Abel dostrzegł je i z trudem stłumił uśmiech, pochylając się nad talerzem.

— Mhmmm, więc właśnie, mhmmm, to ich spotkało, mhmmm, zdziczenie, zdziczenie.

— Ach, mój drogi ambasadorze — esthle Amitace sięgnęła ku niemu ponad stołem, musnęła palcami przedramię — my wiemy, że to prawda. Tym bardziej należy publicznie jej zaprzeczać. Po co zachęcać ambitnych marzycieli? Jak mówi esthlos Latek: „ta Forma nigdy nie była im dana”.

— Zaiste, odyseuszowy umysł — skwitował książę, unosząc kielich w toaście dla Szulimy.

Po kolacji, gdy wszyscy rozeszli się po kątach wielkiej sali, by prowadzić w cieniu szeptane rozmowy (książę z ambasadorem pożegnali się pierwsi), Alitea szybko zniknęła gdzieś wraz Iaxą, a ojciec oddalił się wkrótce potem, ująwszy pod ramię esthle Amitace — i Abel został sam. Nie wiedział, co ze sobą począć. Lokaje i strażnicy w czarno-czerwonych strojach stali, posągowo nieruchomi, pod ścianami i przy drzwiach, niby na nikogo nie

patrząc, ale czuł na sobie także ich wzrok, równie nieprzyjazny, co owych uwiecznionych na portretach przodków Rumii. Odsuwając się byle dalej od nich, zatrzymał się w końcu przy oknach wychodzących na frontowy dziedziniec pałacu. Ciemność spowijała miasto, ciemność gęsto inkrustowana światłami tysięcy okien i latarni. Kiedyś pałac książęcy stał daleko poza granicami przedmieść Vodenburga, lecz przez stulecia miasto podpełzło także pod Wzgórza Neurga i otoczyło ze wszystkich stron książęcą parcelę: sam pałac, labirynt budynków gospodarczych, stajnie i powozownie, słynne Ogrody. Nie widział ich stąd, nie widział, gdy zajeżdżali przed główne wejście. Czy istotnie ciężki jak nagrobny kamień anthos Grzegorza Czarnego zmorfował tam ziemię, stal, rośliny i zwierzęta w jednego wielkiego, pół żywego, pół martwego architektonicznego potwora? Przycisnął policzek do szyby, lecz widok przesłaniało zachodnie skrzydło pałacu.

Dopiero gdy poczuł jej zapach i oddech, spostrzegł jej obecność. Odskoczył. Przyglądała mu się, przekrzywiwszy głowę, z rękoma założonymi pod piersiami, w całości ukrytymi pod zasznurowanym gorsetem ciemnogranatowej sukni. Włosy, znak Neurga, tak samo ogniście czerwone jak u brata, matki, ciotki, babki i dziadka, otaczały jej twarz płomienną aurą, prawie widział rozchodzące się od niej fale deformacji kerosu. To rozpieszczona dziewczyna, pomyślał, nie może być wiele starsza ode mnie, na Jowisza, przecież jestem szlachetnej krwi, dlaczegóż miałbym, nie, nie pokłonię się, nie schylę głowy, nie będę się wygłupiał. Uśmiech, dwuznaczne słowa, jasne spojrzenie — oto jest droga.

Powoli wyciągnęła do niego rękę.

Padł na kolana. Nie patrząc, sięgnął trzęsącą się dłonią, z zamkniętymi oczyma ucałował wypielęgnowane palce. Serce biło mu zbyt szybko, by zliczyć uderzenia, nie potrafiłby zliczyć do trzech, czerwony, spocony, oddychający przez usta.

Rumia podeszła pół kroku bliżej. Wgniatała go w posadzkę. Woń kwiatowych pachnideł zamykała mu nozdrza. Za chwilę straci przytomność. Omal zaszlochał z rozpaczy. Pragnął skręcić jej kark, pragnął wyssać oddech spomiędzy jej warg, jasność z oczu, ach, jeszcze spojrzeć w nie, niechby na wieczność w tych oczach.

Czy ona coś mówiła? Nie słyszał przez rzężenie własnego oddechu.

Zadrżał, gdy złożyła dłoń na jego głowie. Głaskała go po włosach. Nachyliła się nad nim, poczuł to, choć nie patrzył.

— Wstań.

Musiał wstać, wstanie, nie zbłaźni się przed nią, ona chce, żeby wstał.

Wstał.

— Czy teraz już wiesz, jaki jest porządek świata?

Skinął głową.

Niespodziewanie zachichotała, trzepnęła go piąstką w ramię; prawie fizycznie poczuł zmianę Formy — wypuścił z płuc powietrze, cofnął się o krok, uniósł powieki.

Uśmiechała się filuternie, rozpieszczona dziewczyna, nie starsza od niego.

— Chcesz zobaczyć Ogrody?

W odpowiedzi wyszczerzył się cwaniacko.

Pan Berbelek dostrzegł ich wychodzących bocznymi drzwiami, jego syn i wnuczka księcia, i wskazał wzrokiem Szulimie. Pokiwała głową.

— Jak ćmy do ognia.

Rozmawiali właśnie o polityce, postarał się był skierować dialog ku sojuszowi Jana Czarnobrodego z Siedmiopalcym, Czarnoksiężnik musiał w nim wypłynąć prędzej czy później. Gdy już się to stało, na krótką chwilę zaskoczyła go nieskrywanym jadem w swych słowach; zaraz jednak przedłożył nad owo wrażenie zimną myśl: tak właśnie powinna się maskować.

— Koźli syn — przeklinała — pomiot Szeolu! Pomyśl, jak mogłaby wyglądać Europa, gdyby nie ten cuchnący wrzód. Nie mogę pojąć, czemu to przeciw niemu się nie zjednoczą, czemu jego wreszcie nie wygnają! Ale nie, zawsze tylko te gierki, jednodniowe przymierza, papier, papier i papier, oczywiście żaden nie spotka się twarzą w twarz, nie uściśnie dłoni, nie posmakuje szczerości drugiego. Kratistosi — to zrozumiałe, nigdy nie mogą się spotkać; ale królowie, wysocy aristokraci, władcy Materii? Mają siłę, mogliby to zrobić. Ale nie, naśladują, idioci, kratistosów, wszystko po staremu: przez pośredników i pośredników pośredników — i potem wszyscy się dziwią, czemu Czarnoksiężnik znowu zwycięża, następnego pochwycił w swą sieć.

Król-kratistos Siedmiopalcy, władca Babilonu i krain przyległych, pozostawał bodaj jedynym naprawdę szczerym sprzymierzeńcem Czarnoksiężnika — w odróżnieniu od niezliczonych zastępów tych, którzy składali Czarnoksiężnikowi hołd, ponieważ nie mogli go nie złożyć. Siedmiopalcy stał przy nim jeszcze w czasie Wojen Kratistosów, złączył z jego Formą

swoją podczas wygnania kratisty Illei. Sojusz Siedmiopalcego z Janem Czarnobrodym oznaczał zaciśnięcie politycznego imadła między Azją Mniejszą i Macedonią, w istocie na dobre odcinał od wszelkiego bezpośredniego wsparcia ze wschodu niepodległe kraje zachodniej Europy.

— Twarzą w twarz… — mruknął pan Berbelek. — Wtedy ulegaliby mu jeszcze szybciej.

— Och, przepraszam, że otworzyłam tę ranę, esthlos — rzekła, ścisnąwszy go za ramię, i gdyby nie ten uścisk, byłby pewien, że szydzi z niego; a tak tylko zmarszczył brwi, zmieszany. Odstawiła swój kielich na podsuniętą przez lokaja tacę i na powrót ujęła Hieronima pod ramię. — Proszę mi wybaczyć, jeśli… Ja oczywiście dobrze wiedziałam, kim jesteś, już gdy cię po raz pierwszy ujrzałam, wtedy, na przyjęciu u Löke; ty mnie nie widziałeś, esthlos. Upijałeś się w kącie cały wieczór, chociaż i to bez przekonania, wyszedłeś trzeźwy. Żałosny koniec bohaterów, pomyślałam. O kim się czyta w dziełach historycznych, tego lepiej nie spotykać osobiście, zawsze rozczarowanie. Ale teraz wiem lepiej. Ty nigdy nie zostałeś złamany, esthlos, ciebie nie można złamać. Cofnąłeś się tylko za mury fortecy i poddałeś zewnętrzne szańce. — Ścisnęła go ponownie. — Chciałabym zobaczyć, jak na powrót wznosisz sztandary.

Wyszli już na zachodni taras. Ponurzy strażnicy stali tu wzdłuż kamiennej balustrady, we wzniesionych rękach dzierżąc białe lampiony.

Pan Berbelek starał się obserwować Szulimę kątem oka, nie zwracając ku niej twarzy; cienie od lampionów oszukiwały go — co oznacza jej półuśmiech? ironię, litość, pogardę? Kiedyś po takiej łamanej liryce z ust kobiety pomyślałby: chce zostać uwiedziona, prosi o to. Teraz zaś jedynie wspominał dawne skojarzenia.

Ale oczywiście jej Forma była taka: wieczorny flirt dworski. Może istotnie pomysł ożywienia starego bohatera zagrał na ambicji esthle Amitace, jakaż większa satysfakcja dla kobiety niż obudzenie mężczyzny w mężczyźnie, może więc ona naprawdę —

Otrząsnął się.

— Ja mam znajomych w Byzantionie — rzekł sucho. — Zdążyliśmy wymienić listy na twój temat, esthle.

Nie zwolniła uścisku. Obróciła się lekko, wyglądając na nocną panoramę Vodenburga i morza. Nie spuszczał wzroku z twarzy Szulimy. Uśmiech

zniknął, ale to wszystko; nie zdradziła się. Czy popełnił błąd, blefując? Chwila była odpowiednia.

Czekał, aż ona coś powie, tak albo tak, rzuci kontroskarżenie, zaśmieje się, rozpłacze, bezczelnie zaprzeczy, cokolwiek. Ale nie, nic. Powoli wyzwolił ramię, odsunął się. Wyjął tytońcówkę. Lokaj podał ogień. Pan Berbelek zaciągnął się dymem. Szulima stała zapatrzona na Vodenburg, postukując paznokciami w białych napalcówkach o chropowaty kamień balustrady.

Kiedy w końcu się poruszyła, dał się zaskoczyć. Zanim skupił spojrzenie, stała tuż przed nim, oko w oko, oddech w oddech — pochylała się nad Hieronimem przez dym.

— Polecisz ze mną do Alexandrii? — spytała cicho.

Nie odwrócił wzroku; może to był ten błąd. („Więc tam ją zabijesz”).

— Tak — odparł.

Pocałowała go szybko w policzek.

— Dzięki.

I odeszła, stukając energicznie obcasami.

Powoli dopalił tytońca.

Alitea zasnęła już w powozie. Porte zaniósł ją do łóżka. W Ablu jednak zbyt wiele się jeszcze gotowało. Nawet gdy pan Berbelek na koniec zmusił go, by usiadł w jednym z foteli w bibliotece, młodzieniec nadal przeciągał się, strzelał palcami, zakładał nogę na nogę, to znów na odwrót, to zarzucał je na poręcz fotela, gwizdał pod nosem, a w przerwach walił pięścią w udo — samemu zapewne nie zdając sobie z tego sprawy. Hieronima to dłuższą chwilę bawiło, dopóki nie zamyślił się nad źródłem owego rozbawienia i nie przypomniał sobie otworzonych potajemnie listów. Odwróciwszy wzrok, przełknął gorzką ślinę.

Tereza przyniosła czarną theę, podziękował i podał synowi gorącą czarę.

— Jesteś świadom, że one mają takich zabawek setki — mruknął, nie patrząc na Abla.

— Kto?

— One. Syreny dworskie.

— Jak esthle Amitace? — odciął się Abel.

— Tak — odparł spokojnie pan Berbelek, siadając w fotelu po przekątnej.

Raz już tutaj tak rozmawiali. Przez powtórzenie miejsca, pory i gestów powrócili do tamtej Formy, noc złączyła się z nocą, wypowiedziane z niewypowiedzianym. Czy coś się między nimi tymczasem zmieniło? Cóż, Abel nie zwracał się już doń w trzeciej osobie.

— Tak, esthle Amitace, esthle Neurg, one — mówił pan Berbelek, siorbiąc słoną ciecz. — Dlaczego aristokracja żeni się między sobą? Ponieważ nie jest możliwa żadna równość uczuć między psem a jego właścicielem: pies jest posiadany, właściciel posiada. Oczywiście, może również tak wytresować zwierzę, by szczerze go kochało.

Abel poczerwieniał. Długo bawił się czarą, nie podnosząc wzroku.

— Wiem — mruknął wreszcie. — Ale ja przecież również jestem szlachetnej krwi.

— Dlatego w ogóle chciała się tobą bawić. Byle niewolnik nie dałby jej satysfakcji. Przypuszczam, że za łatwo uległeś, drugi raz się już tobą nie zainteresuje. W Bresli nie stykałeś się nigdy z wysoką aristokracją?

— Nie. — Odstawił czarę, spojrzał na ojca. — Ale ty masz przecież wielkie doświadczenie, żyłeś między nimi, byłeś jednym z nich, prawda?

Pan Berbelek pokiwał głową, ignorując zadziorny ton Abla.

— Po pewnym czasie przestaje się wierzyć w prawdziwość innych ludzi. Jeśli zachowują się w twojej obecności jak bezwolne przedmioty, są przedmiotami. Z przedmiotami nie rozmawiasz, przedmiotów nie darzysz uczuciami, co najwyżej kolekcjonujesz. Szukasz towarzystwa innych podobnych tobie; z radością witasz każdego, kto potrafi ci się w najmniejszej sprawie sprzeciwić. W tych krótkich chwilach nie jesteś samotny. Rumia — ona jeszcze ma nadzieję, daruj jej.

— Czy to dlatego cię oszczędził? Bo się sprzeciwiłeś?

— Kto? Ach, on.

— Dlatego?

Pan Berbelek zerknął na zegar. Dochodziła druga. Tereza, wychodząc, zatrzasnęła była drzwi biblioteki, zamknęła noc na zewnątrz. Wszyscy śpią, mrok spowija metropolię, tutaj strzegą nas przed nim jedynie chybotliwe płomienie ogni pyrokijnych pod matowymi kloszami, to stosowna chwila. Pan Berbelek — czara z niedopitą theą w lewej dłoni, prawa dłoń na sercu — pochyla się ku synowi i zaczyna mówić.

ε
Jak Czarnoksiężnik

Krzesiwa przestały krzesać skry, zapałki przestały się zapalać, z kerauнetów i pyresider nie dało się już strzelać — po tym poznaliśmy, iż przybył Czarnoksiężnik.

Pierwsze samobójstwa wśród żołnierzy nastąpiły już nazajutrz wieczorem. Był to drugi miesiąc oblężenia i miałem pod swoim dowództwem blisko siedmiuset ludzi, nie licząc sześciu tysięcy mieszkańców Kolenicy, którzy pozostali w domach. Nikt nie prowadził rachuby samobójstw mieszczan.

W owym czasie chodziłem w morfie wielkiego strategosa, wojska zaprzysięgały lojalność na sam mój widok, bitwy wygrywały się, ledwo spojrzałem na pole, rozkazy były wykonywane, zanim do końca je wypowiedziałem, czułem, jak keros ugina się pod moimi stopami, miałem ponad siedem pusów wzrostu, nie było w Kolenicy łoża wystarczająco dużego, miałem dwadzieścia cztery lata i nigdy dotąd nie przegrałem bitwy, armie, zamki, miasta, krainy, wszystko przede mną, nie było marzenia wystarczająco dużego. Potem przybył Czarnoksiężnik.

Musisz wiedzieć, dlaczego w ogóle utknąłem w tej Kolenicy. Głównodowodzący armii Vistulii, marszałek Sławski, z polecenia Kazimira III zarządził kontrofensywę wzdłuż karpackiego pogórza, Goci mieli natomiast pójść z północy i zepchnąć siły Czarnoksiężnika z powrotem na linię Moskwy. Na mapach wyglądało to jak klasyczna podkowa: przeciwnik albo sam się cofnie, albo będzie musiał walczyć na dwóch frontach, klęska na każdym równie tragiczna, albo zaryzykować uderzenie w pozornie odsłonięty środek, z pewnością w pułapkę, która zamknie się zaraz w śmiertelny kocioł. Aby jednak przeprowadzić tę południowo-wschodnią kontrofensywę, Sławski potrzebował licznego wojska, i to złożonego z weteranów, i zebrał ich, uszczuplając dwu-, trzykrotnie jednostki obsadzające wnętrze owej podkowy. W Martiusie miałem trzy tysiące ludzi, w Aprilisie został mi niecały tysiąc. Sławski rozumował poprawnie: nawet po takim osłabieniu

obrońców strategosi Czarnoksiężnika musieliby być niespełna rozumu, by ruszyć na centralne twierdze Vistulii. Założenie było takie, że się cofną. Jak wiesz, nie cofnęli się.

Przez Aprilis utrzymaliśmy się bez większych problemów. Codziennie chadzałem na szczyt kolenickiego minaretu, miałem stamtąd doskonały widok na podgrodzie i pola, aż do puszczy. Przez kilka tygodni wypuszczałem jeszcze regularne zwiady konne, rozstawiłem posterunki w okolicznych wsiach w dorzeczu Vistuli na linii trzystu stadionów, utrzymywaliśmy stałą łączność z Cracovią. W istocie odpowiadałem za blisko tysiącstadionową linię frontu, od Brotty do Cierebuża, podlegała mi większość garnizonów Mazovii. W teorii, to jest według strategii Sławskiego, powinienem był dostawać od nich i od sztabu codzienne raporty o ruchach wojsk Moskwy i na pierwsze oznaki odwrotu przesunąć za nimi cały centralny front; byłem więc głównodowodzącym Armii Zachód i taką klęskę zapisano mi w księgach. Raporty jednak od początku nadchodziły rzadko i z opóźnieniem, jeśli w ogóle, a własne posterunki i czujki musiałem zwinąć, gdy wróg podciągnął większe siły, jednej nocy spalili nam trzy wsie, to była granica rozsądnego ryzyka. Zwiady też wracały coraz bardziej poszarpane. Z przesłuchań pochwyconych języków wiedziałem, że oto podchodzi do nas Trepiej Słoneczko, wnuk Iwana Karła, z około dziesięciotysięczną hordą uralską. Oczywiście od razu posłałem umyślnego do Cracovii, bo to była informacja wskazująca, iż zdecydowali się jednak na strategię frontalnego ataku; spodziewałem się natychmiastowych wzmocnień. Wzmocnienia nie nadeszły, zostaliśmy odcięci, Trepiej wszedł głęboko i obsadził wszystkie mosty i brody przed i za nami. Przyszło zdać się na gołębie. Ale to już była loteria. Moskwianie przywieźli ze sobą przemyślnie podmorfowane jastrzębie, dziewięć na dziesięć posłańczych ptaków dopadały one jeszcze na niebie nad Kolenicą, widzieliśmy, jak rozszarpują je na strzępy. Tak czy owak, Sławski nakazywał nam „utrzymanie grodu za wszelką cenę”, Kolenica była punktem kluczowym, najeźdźca nie mógł zostawić jej sobie za plecami, ominąć — dlatego właśnie powierzono ją Hieronimowi Berbelekowi.

Byliśmy dobrze przygotowani do oblężenia. Ściągnąłem wcześniej demiurgosów ge dla reperacji murów miejskich, zgromadziłem zapasy, pogłębiłem studnie. W Kolenicy mieszkał też od lat półdziki teknites somy, do Martiusa nikt nawet nie zachorował. Potem rozpoczęła się wymiana ognia, pyresidery grzmiały dniem i nocą, ofiary były nie do uniknięcia. Pewien

jednak jestem, że Trepiej znacznie bardziej ucierpiał, miałem dobrych żołnierzy, dobrych aresów, wprawnych puszkarzy, sięgaliśmy zawsze dalej, strzelaliśmy celniej, rozbijaliśmy pyresidery i prochownie Moskwian. Raz spróbowali otwartego szturmu, odparliśmy praktycznie bez strat. Morale było dobre, w moim wojsku morale zawsze było dobre. Poprowadziłem dwie nocne wycieczki, spaliliśmy im część taboru. Pozostawało kwestią czasu, kiedy podciągnie do nas Sławski, z posiłkami albo zamykając okrążenie od południa. Co prawda, tamci mieli ze sobą demiurgosa meteo, od tygodni nie spadła ni kropla deszczu, wszystko wyschło na wiór. Liczyli na pożar — ale solidnie przeszkoliłem mieszczan, zniszczenia były minimalne. Trzymaliśmy się.

Z początkiem Maiusa posiłki istotnie zaczęły nadchodzić — posiłki dla Trepieja. Patrzyłem z minaretu, jak rozciągają obóz na otaczającej Kolenicę równinie, rzędy identycznych, jednokolorowych namiotów na samej linii horyzontu. Nic dobrego nie przychodziło z liczenia ich, i tak najbardziej przerażają szeregi niewidoczne, skryte za widnokręgiem. Ci nowi przyprowadzili ze sobą behemoty oraz rozmaite uralskie kakomorfy, czarny pomiot z hodowli Czarnoksiężnika — pewny znak, że zbliża się sam Iwan Karzeł z głównymi siłami. Ghule, ukraki, wielnice, wymorfowane od zwierząt do ludzi albo jeszcze potworniej — od ludzi do zwierząt. Spuszczali je z łańcuchów o zmierzchu, podchodziły pod mury, wspinały się aż pod blanki, niektóre potrafiły mówić, szeptały w czarnych językach z bezksiężycowej ciemności, żołnierze tracili nerwy, strzelali na oślep, marnowanie pyrosu. Ukraki przerzucano nam z zaskoczenia przez mury katapultami, już martwe. Trepiejowi chodziło o rozprzestrzenienie w mieście tych wszystkich zaraz, jakie one noszą w swoich worach brzusznych, napiętych od rozgotowanego moru niczym bębny. Wiedzieliśmy już, że będzie to długie oblężenie, skoro chcieli nas wziąć kakomorfią. Może mieli między sobą szalonych teknitesów, którzy z premedytacją rozpościerali na Kolenicę chore anthosy, korony rozkładu Formy; ale wątpię, to zawsze wielkie ryzyko dla wojska ciągnąć ze sobą kogoś takiego, wariatów z zasady nie sposób kontrolować, pierwsza gnije dyscyplina. A może po prostu nasz teknites ciała trzymał nas tak ciasno w swojej aurze. W każdym razie epidemia nie wybuchła.

Miałem plany ucieczki gotowe od początku. Przebić się w niespodziewanym momencie, szybki klin — i cwałem na zachód. Lecz problem stanowili oczywiście cywile, ich bym tak nie uratował. Moi setnicy podnosili jednak

argumenty czysto militarne: tutaj, siedząc w zamknięciu, po prostu marnuję to wojsko, podczas gdy bogowie wiedzą, co dzieje się w szerokim świecie, czy Vistulia właśnie nie pada pod batem Karła, Światowid pod snem Czarnoksiężnika, kto wie, moglibyśmy przeważyć szalę na drugą stronę, ja mógłbym.

W czwartym tygodniu Maiusa zaczęła krążyć plotka o klęsce głównych sił Sławskiego, i że król Kazimir uciekł z Cracovii, a Światowid umyka do puszcz zachodnich. Nie można było jeszcze tego poczuć, ale ludzie tak mocno w plotkę uwierzyli, że na jedno wychodziło, prawda czy zmyślenie, duch począł upadać. Wygłosiłem kilka mów; pomagały na krótko.

Z początkiem Juniusa sam już czułem, że następuje zmiana. Nie dało się tego ukryć przed ludźmi, wystarczyło rzucić na ziemię garść patyków, połowa upadała zawsze w jakichś geometrycznych wzorach, kwadrat, oktagon, pentagram, gwiazda, znasz pieczęcie Czarnoksiężnika. Garść patyków, piachu, zamącić wodę, uwolnić dym… On się zbliżał, na nic publiczne zaprzeczenia, musiał był zejść z Uralu z początkiem wiosny, na pewno minął już Moskwę, szedł na zachód, wprost ku nam.

Przynajmniej w jego koronie nie groziły mi bunty i histeria przerażonego pospólstwa, z każdym dniem rosła karność i posłuszeństwo, koleniczanie wkrótce padali przede mną na twarz, mało nie lizali butów. Z początku obruszałem się na to, ale anthos Czarnoksiężnika wżerał się i we mnie, po tygodniu kazałem wybatożyć jakiegoś kłótliwego kupca, gdy nie uderzył przede mną czołem o ziemię. Niebo było jasne, bezchmurne, gorący błękit vistulskiego lata, lecz wszyscyśmy wiedzieli, że to podłe kłamstwo Materii.

Obóz Iwana Karła puchł wokół miasta niczym wrzód wokół otwartej rany. W nocy ognie, muzyka, świętowali. Przestali nas ostrzeliwać i to było najbardziej niepokojące. Myślałem o kolejnej wycieczce, żeby przynajmniej złapać języka, dowiedzieć się, jakie mają plany, co się dzieje. Ostatni gołąb dotarł do nas przed sześcioma tygodniami, byliśmy odcięci, świat poza zasięgiem spojrzenia z wieży nie istniał.

Potem krzesiwa przestały krzesać skry, zapałki przestały się zapalać, pyros już nie wybuchał. Wartownicy na nocnych czuwaniach poczęli rzucać się z blanków, wprost w objęcia chichoczących ghuli i ukrak. Słoneczko, to znaczy Karzeł, wycofał swe wojska pod samą granicę puszczy, teraz już oblężenie polegało na zupełnie czym innym. O zmierzchu stanął pod bramą herold. „Złóżcie broń i otwórzcie wrota, a daruje wam życie. Tak czy ina-

czej, padniecie mu do stóp, żywi lub martwi. Przybył. Czeka. Otwórzcie wrota. Jeden jest porządek na świecie, jeden władca. Oto jego cień. Otwórzcie wrota. Do Kolenicy przybył kratistos Maksym Rog!” Kazałem kusznikom zastrzelić tego herolda i strzelać z miejsca do wszystkich następnych, jakiekolwiek barwy by okazywali.

Maksym Rog, Czarnoksiężnik, Olbrzym Uralski, Wieczny Wdowiec, kratistos-suzeren Moskwy, czarna legenda Europy, bohater setek romantycznych dramatów, robak historii, strach niepokonany o tysiącu imion — ujrzałem go po raz pierwszy rankiem czwartego Quintilisa. Z minaretu, przez lunetę. Jechał samotnie środkiem ziemi niczyjej między linią okopów armii Iwana Karła i murami Kolenicy, objeżdżał miasto dokoła. Dosiadał jakiegoś rogatego zoomorfa o czarnej jak węgiel sierści i wysokim, wygiętym grzbiecie, pochodzącego od wielbłądów lub humijów, i dopiero po kilku minutach dotarły do mnie prawdziwe proporcje obrazu: na tak wielkim wierzchowcu siedząc, człowiek, którego widzę, sam musi mieć co najmniej osiem pusów wzrostu. A sprawiał wrażenie raczej krępego, barczystego siłacza niż kościstego chudzielca. Było gorąco, miał na sobie tylko białą koszulę i spodnie. Nie widziałem twarzy, jeno grzywę ciemnych włosów, czarny zarost. Raz obrócił ku mnie głowę, byłem pewien, że mnie dojrzał, niemożliwe, ale ja byłem pewien, mało nie upuściłem lunety. Musisz to zrozumieć: już wtedy wystarczyło mu spojrzeć na mnie. Schodząc z wieży, odliczałem stopnie jak minuty pozostałe do egzekucji. Wiedziałem, że wygra. Wiedziałem, że nie mamy szans. Należało otworzyć bramy. To był Czarnoksiężnik.

Żołnierze też go widzieli; o to mu chodziło, to już była przecież czysta walka o narzucenie woli, Forma przeciwko Formie. Wygłosiłem kolejną mowę. „Nie pozwolę na szerzenie strachu, próby ucieczki karane będą śmiercią. Nie wedrą się tu, jeśli sami ich nie wpuścimy. Czekać! Pomoc w drodze!”

Czarnoksiężnik krążył dokoła miasta niczym wilk wokół ognia, dzień w dzień, noc w noc, samotna sylwetka na pustym polu, regularny niczym czarna gwiazda, zegar słoneczny klęski. Z każdą godziną zapadaliśmy się głębiej w jego anthos. Nie wiem, czy taką już ma koronę, czy też dla nas wybrał akurat tę morfę, w każdym razie to, ku czemu zmierzał keros Kolenicy, Forma docelowa… Przyciągała nas nicość, pustka, bezruch, martwota, cisza i doskonały porządek śmierci. Czy miałeś kiedyś takie poczucie —

jak bardzo nienaturalne, dziwne i przerażające jest to, że w ogóle żyjesz, że oddychasz, poruszasz się, mówisz, jesz, wydalasz, co za absurdy, co za perwersje, ohyda ciepłego ciała, ślina, krew, żółć, krąży to w środku, obraca się w miękkich organach, przecież nie ma prawa, przecież nie powinno, przyłóż dłoń do piersi, co to jest, co tam bije, na bogów, tego nie można wytrzymać, zgroza i obrzydzenie, wyrwij, zniszcz, zatrzymaj, wróć do ziemi.

Przeżuwał nas.

Wychodziłem na puste ulice, już chyba tylko ja jeden miałem dość siły, by wspiąć się na wieżę, obejść mury, sprawdzić posterunki, po prawdzie nie było co sprawdzać, ci, którzy na nich jeszcze pozostali, pozostali nie z obowiązku czy strachu przede mną, lecz ponieważ to akurat nie wymagało żadnego ruchu, decyzji, impulsu woli; już prawie nie żyli. Często nie potrafiłem odróżnić martwych od śpiących, nie jedli, nie pili, zasypiali w moczu i gównie. Gdy któregoś wieczoru wróciłem do kwater, zastałem mojego zastępcę i trzech setników śpiących w izbie odpraw; potem powąchałem ich kielichy: nie spali, wypili w winie migdałową truciznę.

Quintilis przeszedł w Sextilis, nie miałem już w co się odziać, wszystkie moje ubrania okazywały się o wiele za duże, podwijałem nogawki, zaciągałem pasa, ciąłem rękawy, z jakiegoś trupa skradłem buty. Inni mieli ten sam problem, już wcześniej się skarżyli; ale też większość nie przejmowała się w ogóle, chodzili nadzy, zbroi dawno już nie wdziewali. Próbowałem utrzymać rygor przynajmniej wśród oficerów. Żadne groźby nie skutkowały. Nabrałem zwyczaju nocnych spacerów, nie mogłem zasnąć w tym ogromnym łożu, chodziłem, by podpatrzeć, podsłuchać, jakie są nastroje, o czym rozmawiają, żołnierze i koleniczanie. Ale wtedy już nie było czego podsłuchiwać, swobodna rozmowa stanowiła taką samą rzadkość, co śmiech, Formą Kolenicy stało się Milczenie.

Nie mogłem pojąć, dlaczego nie atakują, wdarliby się na mury w pierwszym szturmie, nikt by nie stanął do obrony. Czyż tego nie wiedzieli, czy nie wiedział Czarnoksiężnik? Zamiast tego dni, tygodnie, miesiące w jego koronie, miasto i ludzie, czy on nas zabijał, nie, czy sami się zabijaliśmy, nie, po prostu podobieństwo do śmierci przeważało nad podobieństwem do życia. Tak samo drzewa, trawa, zwierzęta — skarlałe, blade, suche, jeśli żywe, to konające. Tylko kratistos potrafiłby w podobnej aurze utrzymać swą Formę.

Ja po prawdzie nie bardzo nawet pamiętam ten czas, pamięć mi się wypaliła. Oczywiście nie chodziło o to, żeby się nie poddać, nie wierz książkom. Wtedy nie chodziło już o nic. Prawdopodobnie gdyby ktoś ich poderwał, zakrzyknął, by otworzyć bramy… Ale nikt nie był już zdolny. Liczyłem uderzenia swego serca, żeby się przekonać, że istnieje jeszcze jakiś „ja", jakiś Hieronim Berbelek, jakikolwiek. Potem się dowiedziałem, że w ostatnich dniach pozostawałem jedynym żywym człowiekiem w Kolenicy, w każdym razie jedynym przytomnym — wyobrażasz sobie, na ile byłem przytomny, skoro nie posiadam z owych dni żadnych wspomnień. Tylko to: upiornie wielkie Słońce na jasnym błękicie nieba.

No i oczywiście wspomnienie ostatnie, gdy już wszedł do miasta. Teraz sądzę, że istotnie szukał mnie. Znał mnie przecież, to znaczy — powiedzieli mu, kto tu dowodzi. Bo to — zrozum — to jest jedyne zwycięstwo kratistosów: nie przez zniszczenie, wyczerpanie, ucieczkę wroga, lecz przez jego dobrowolny hołd. Na ile jakikolwiek nasz czyn na tym świecie można nazwać dobrowolnym. To jest ich tryumf.

Wszedł sam, to się zgadza z legendą, on zawsze wchodzi pierwszy, bierze w posiadanie. Nie jestem pewien, czy ja to poczułem i wystąpiłem mu naprzeciw, czy też on znalazł mnie na tej ulicy. Południe, upał, żadnych cieni. Ujrzałem go wyłaniającego się zza zakrętu, był pieszo, w lewej dłoni nahajka, uderzał nią rytmicznie o udo. Krok za krokiem, powoli, to był spacer victora, a każde miejsce, przez które przeszedł, każdy dom, który minął, każda rzecz, na którą spojrzał — naprawdę zdawało mi się, że widzę tę płynącą przez keros zmarszczkę morfy — każda rzecz była odtąd bardziej jak Czarnoksiężnik. Zastał mnie na ziemi i podczas gdy on ku mnie szedł, ja próbowałem podźwignąć się na nogi. Dawno już nic nie jadłem, jedzenie było nie do pomyślenia, najchętniej zostałbym na czworakach, wiedziałem, że powinienem zostać na czworakach, na kolanach, z głową w pyle, ucałować mu stopy, gdy się zbliży, to należało uczynić, to było naturalne, ku temu wszystko zmierzało — spróbuj zrozumieć, chociaż to tylko słowa — gdy uniosłem wzrok, przesłaniał pół nieba, to jest olbrzym, przerósł rodzaj ludzki, nie sięgamy mu ramienia, piersi, on jest ponad, my jesteśmy pod, ziemia, pył, brud, na kolanach, na kolanach — spróbuj zrozumieć — nic nie musiał mówić, stanął nade mną, nahajka o udo, tuk-tuk, coś tam bełkotałem, chyba jęczałem błagalnie, ślina na brodzie, głowa zwieszona, ale nadal się podnoszę, noga, ręka, podpierając się i drżąc, on stoi, czeka, czułem

jego zapach, coś jak te migdały z ust samobójców, a może zapach jego korony — spróbuj zrozumieć, ja sam nie rozumiem — wstałem, uniosłem wzrok, wpółoślepiony, spojrzałem mu w oczy, niebieskie źrenice, opalona skóra, uśmiechał się pod wąsem, co miał oznaczać ten uśmiech, śni mi się do dzisiaj, uśmiech tryumfującego kratistosa. Czy ty to rozumiesz? Wyrzekłby słowo, a wyrwałbym sobie serce, by go zadowolić.

Splunąłem mu w twarz.

II

Z
Aereus

22 Aprilisa 1194 roku pan Hieronim Berbelek opuścił miasto książęce Vodenburg na pokładzie świni powietrznej „Al-Hawidża”, udając się w podróż do Alexandrii. Towarzyszyli mu syn i córka oraz dwóch służących.

Zajęli dwie podwójne kabiny Θ-I i K-Λ na górnym poziomie. „Al-Hawidża” zabrała jeszcze dziesięcioro pasażerów. Została wynajęta przez książęcą hutę szkła na bezpośredni lot do Alexandrii, bez żadnych międzylądowań, i demiurgos meteo aerostatu zapowiadał, iż przebycie 20 tysięcy stadionów zajmie trzy do siedmiu dni.

W nocy z 23 na 24 Aprilisa, gdy przelatywali nad doliną Rodanu — cienie wysokich Alp majaczyły na wschodnim niebie, żółte lico Księżyca wyglądało spomiędzy chmur — jeden z pasażerów został zamordowany. Usłyszano tylko jego urwany krzyk, gdy spadał w zimną ciemność, dziesiątki stadionów ku niewidocznej ziemi.

Trzeba opowiedzieć przestrzeń tego mordu. „Al-Hawidża” należała do świń średniej wielkości, od żelaznej iglicy dziobu do krzywych skrzydeł ogona mierzyła niecały stadion. Powłokę opinającą aerowy brzuch świni pomalowano na ciemnozielono, by wyraźnie odcinała się od tła. Obie burty znaczyło godło manackiego emiratu Korduby: Michzam i Rasub, święte miecze z sanktuarium z Qudaid (kompania, która zbudowała „Al-Hawidżę”, należała do rodziny emira; nadal mało kogo było stać na zakup świni powietrznej).

Drewniane gniazdo, wyrosłe na podbrzuszu świni, nie miało nawet pół stadionu długości, a szerokością nie przekraczało dwudziestu pusów. Dolny poziom zajmowała w całości ładownia; pod nią jeszcze, na wręgach z likotowego drewna i otwartych szkieletach stalowych, można było podwiesić setki lithosów dodatkowego ładunku. Rufowe kabestany pracowały na łańcuchach głównego perpetuum mobile aerostatu. Poziom górny przeznaczono na kabiny dla załogi i pasażerów, jadalnię, sterownię, makinownię oraz obserwatorium dziobowe; przed makinownią znajdowała się nadto kuchnia,

izby łaziebne i sanitarium. Główny korytarz oddzielał dwa szeregi kabin, po siedem w każdym; na obu końcach łączył się on z korytarzami prostopadłymi, które wychodziły na obiegający cały górny poziom „pokład widokowy”, to znaczy wąski balkon, z którego można było zajrzeć wprost w chmurne przepaście. Pokład widokowy był zabezpieczony gęstą siatką z likotowej plecionki, rozpiętą od krawędzi drewnianej podłogi aż do zielonego podbrzusza świni — przez oka wielkości dłoni nie wypadnie nawet dziecko.

Na balkon można było wyjść także bezpośrednio z kabin, każda posiadała dwoje przeciwległych drzwi: jedne otwierające się na ów centralny korytarz, „kręgosłup” świni, i drugie — na zewnątrz. Po obu stronach drzwi zewnętrznych znajdowały się wąskie okienka, zwykle zresztą zaparowane. Ale i tak nikt przez nie nie wyglądał w chwili, gdy doszło do mordu.

Pan Hieronim Berbelek zajmował wraz z Porte i Antonem kabiny Θ-I, pierwsze od dziobu na prawej burcie. Dwie dalsze, K-Λ, zajęli Alitea i Abel. Esthle Amitace ze swoją niewolnicą Zueią ulokowały się w kabinach A-B, które znajdowały się na lewej burcie, naprzeciwko kabin Hieronima. Ihmet Zajdar wybrał prawą kabinę rufową Ξ.

Należy przedstawić pozostałych pasażerów „Al-Hawidży”. Pan Berbelek spotkał ich po raz pierwszy na obiedzie 22 Aprilisa. Był to akurat Dies Martis i podano krwiste mięsiwa, zapach gorącej wieprzowiny wypełniał rufową jadalnię. Kapitan Azuz Wawzar wzniósł toast za szczęśliwą podróż. — Pomyślnych wiatrów! — odpowiedział Wukacjusz, kupiec gocki (kabina E). Demiurgos meteo, małomówny młodzieniec negrowej morfy, tylko skłonił głowę. Na honorowym miejscu po prawej ręce kapitana siedziała esthle Amitace. Od początku pozostawało to poza dyskusją, wystarczył był jeden ruch jej wachlarza, błysk szmaragdowego ślepia wężowej bransolety; teraz tylko unosiła brew, a Wawzar przerywał w pół słowa. Pan Berbelek siedział po kapitana ręce lewej. Dalej posadzono rodzinę Trettów, Gaila i Annę z trojgiem dzieci (kabiny Γ-Δ); z uwagi rzuconej przez Gaila nad pieczenią pan Berbelek wnosił, iż udawali się oni do Alexandrii na ślub krewnej. Naprzeciw Trettów, po prawicy Szulimy, posadzono Aliteę i Abla, jako, było nie było, aristokratów.

Pierwszego dnia „Al-Hawidża” często zmieniała aleje wiatrów, wznosili się i opadali, pneumatory pracowały pełną parą, napędzając likotowe skrzydła wiatraków, na dodatek więc do wszystkich innych sensacji przez cały

aerostat przebiegało nieustannie delikatne drżenie, to w szybszych, to w wolniejszych falach — i Alitea zaczęła cierpieć na mdłości już po pierwszej godzinie. Na obiad jeszcze przyszła, ale nie jadła nic; Abel droczył się z nią, pożerając z uśmiechem płaty czerwonego mięsa. Alitea, lekko blada, wachlując się z energią grożącą zwichnięciem nadgarstka, dla odwrócenia własnej uwagi wdała się w ożywioną rozmowę z sąsiadem. Był to Zabachaj, jeden z trzech Babilończyków (kabiny Z, H, N), młodych gwardzistów Siedmiopalcego, wracających do domu przez Aegipt. Dwaj pozostali zwali się Urcz i Kistej lub Gistej — tego ostatniego bowiem bardzo trudno było zrozumieć, jąkał się i seplenił, wpadając przy tym w nerwowy dygot. Towarzysze tłumaczyli, iż otrzymał tak niefortunny cios w głowę podczas jakiejś niedawnej bójki karczemnej; morfa Nabuchodonozora miała pomóc mu pozbierać się do kupy. Tymczasem pokazywały się już pierwsze oznaki zatraty Formy: Gistejowi poczęły rosnąć włosy na powiekach i wnętrzach dłoni, z chrząstki lewego ucha wyłonił się paznokieć, a skóra na przedramionach zmieniała barwę, pokrywając się fioletowymi plamami. Ponoć nie mógł on także zasnąć inaczej niż na stojąco, a przez sen gryzł drewno, półki i krzesła. Podczas posiłków wszyscy zerkali nań podejrzliwie. Ostatnim pasażerem (kabina M) była rodowita Neurgijka w średnim wieku, regularnie co kilka miesięcy podróżująca do Biblioteki Alexandryjskiej z ramienia Akademei Vodenburskiej (jak wspomniał kapitan). Ubierała się w męskie szalwary, ręce miała całe w nordyckich tatuażach. Podczas pierwszego obiadu z miejsca upiła się czerwonym winem. Zasnąwszy, chrapała głośno. Szulima strzeliła wachlarzem i Wawzar, szarpiąc się za brodę, zawołał dwóch pokładowych doulosów, oni prawie przemocą zawlekli zataczającą się Neurgijkę do jej kabiny. Pan Berbelek nie poznał wówczas jej imienia. — Upijając się — zacytował klasyka Ihmet Zajdar, gdy zamknęły się drzwi za doulosami — człowiek dobrowolnie idzie w niewolę. — Za-zawsze miałem si-i-ilną gło-głowę — stwierdził Kistej. Rozmawiano po ocku i grecku. Pan Berbelek jadł w milczeniu. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wieczorem wyszedł na tytońca na pokład widokowy. Plany ofensywy powinno się obmyślać w spokoju, w chwilach całkowitego oderwania emocjonalnego, zimnej obojętności wobec ojczyzny i wroga. Podobnie plany zbrodni. Miejsce. Czas. Metoda. Czy będę musiał spojrzeć jej w twarz. (A jeśli ona jednak nie przychodzi od Czarnoksiężnika?) Czy będę musiał. Zaciągał się głęboko ciepłym dymem. Będę musiał.

Świnia kołysała się pod jego stopami, przeskakiwali właśnie z grzbietu jednego wiatru na drugi, złapał się likotowej siatki. Pochylony, spojrzał w dół. Wicher świstał mu między palcami, zmierzwił włosy, zgasił tytońca. Zachodzące Słońce rozciągnęło na wszystkich nierównościach ziemi i arabeskach krajobrazu wodniste cienie, „Al-Hawidża” leciała nad krainą tysiąca jezior zmierzchu. Doliny, wąwozy, zbocza, wszystko zalane cieniem, z wysokości nie widać, czy coś jeszcze porusza się w tym potopie mroku, jeździec — ledwo dostrzegalna kropka, łódź rzeczna — biały żagiel, wytknięty ponad powierzchnię zalewiska. Tylko gdy wpatrzyć się w jeden wybrany szczegół, zakotwiczyć na nim wzrok, tylko wtedy można zauważyć jego ruch, powolną, jednostajną ucieczkę.

Pan Berbelek usłyszał skrzypnięcie drzwi.

— Jak ona się czuje? — spytał.

— Zasnęła, już nie wymiotuje — odparł Abel. — Porte dał jej jakieś zioła. Niewolnica pani Amitace przyniosła list do ciebie. Jak wysoko jesteśmy? Gdyby ta siatka puściła…

— Nie puści. — Pan Berbelek wyrzucił tytońca, wicher zaraz go porwał, nie ujrzeli spadającego ku ziemi niedopałka. — W Alexandrii… ustanowię dla was fundusz rentierski, dam ci prawa wykonawcy, Alitea przejmie zarząd swoją częścią, gdy skończy szesnaście lat; będziecie zabezpieczeni.

— Pojedziecie z Zajdarem na polowanie? Nic ci się nie stanie. Zabierz mnie, nie jestem dzieckiem, nie musisz się mną opiekować. O co w ogóle chodzi? Gdybyś zginął, i tak dziedziczymy po tobie, prawda?

— Nieważne, nie przejmuj się.

— Kapitan obiecał pokazać mi jutro makinownię.

— Miło z jego strony.

Obejrzeli się obaj w prawo, gdy z kabiny N wyszedł na pokład widokowy Gistej. Ukłonił się lekko; odkłonili się. Potem zaczął nucić coś pod nosem, rytmicznie kiwając się na piętach. Wrócili do środka.

List od esthle Amitace nie dotyczył tego, czego się spodziewał Hieronim. *Być może będę mogła pomóc twojej córce. Przyjdę po zmierzchu. Pozwolisz? Poślij służącego*. No tak, widziała przecież, jak pod koniec obiadu dziewczyna zielenieje na twarzy i prawie ucieka od stołu; i potem w korytarzu, zgiętą w pół. A na wieczerzę już Alitea nie przyszła i Amitace oczywiście zaczęła się dopytywać. Naprawdę ją to obchodzi, czy też po prostu chce się wkupić w moje łaski, zamydlić oczy? Posłał Antona.

Szulima zjawiła się razem ze swoją niewolnicą, czarnowłosą dziewczyną rzymskiej morfy, o długich, smukłych kończynach i śnieżnobiałym uśmiechu. Zueia obudziła delikatnie Aliteę. Pan Berbelek spojrzał pytająco na Szulimę. Wskazała drzwi na balkon.

Było już bardzo zimno, kobiety owinęły się dodatkowo szalami, Hieronim narzucił na siebie humijowy płaszcz. Przy dziobie i rufie paliły się lampy olejne, a przez wąskie okienka padało na zewnątrz światło z kabin — lecz ledwo Abel zamknął za sobą drzwi, owinęła się wokół nich gęsta noc.

Noc, ale przeszywana żółto-czerwonym blaskiem księżycowym. Księżyc był w pełni, ciężka latarnia pyrokijna zawieszona pośrodku nieboskłonu — gdy spojrzeć nań wprost, prawie oślepiał. Gisteja chyba naprawdę oślepił, Babilończyk stał w bezruchu, wparty plecami w ścianę, z oczyma szeroko otwartymi, ślina ciekła mu po brodzie.

— Śpi — mruknął Abel.

— Zostawcie mnie — jęczała nie do końca rozbudzona Alitea — o co chodzi, nawet wyspać się nie można, Abel, no powiedz im —

— Ciiii. — Szulima objęła Aliteę ramieniem, nachyliła się ku niej; drugą ręką ujęła ją delikatnie pod brodę i obróciła jej twarz ku Księżycowi. — Popatrz — szeptała — on nie jest nieruchomy, on płynie, wszyscy płyniemy razem z nim, fala na fali, na fali, nie możesz się opierać, nie możesz się sprzeciwiać, płyniesz razem z nim, płyniesz razem z nami. Weź.

Zueia, która na moment zniknęła, pojawiła się teraz z metalową misą wypełnioną do połowy wodą. Podała ją Alitei. Dziewczyna, mrugając, spojrzała na Abla, na ojca, na Szulimę, na misę, z powrotem na Szulimę, i z wahaniem przyjęła naczynie.

Esthle Amitace odstąpiła od Alitei.

— Wyprostuj ręce — mówiła. — Odsuń się od ściany, stoisz na własnych nogach, nikt cię nie przewróci. Spójrz na jego odbicie. Płyniesz. Nie odwracaj wzroku! Płyniesz, nie możesz się przewrócić. Ona wcale nie jest ciężka. Unosisz się na czystych falach. Spokój. Ciało dobrze wie. Patrz.

Pan Berbelek założył ręce na piersi, ściągając poły płaszcza.

— Co to za goeteia? — syknął na Szulimę. — Czary dobre są dla pospólstwa, przecież nie wierzysz w te głupoty.

— Ciii. — Nawet nie odwróciła głowy. — Żadne czary. Nie powiesz mi, że ty nie uczyłeś swoich żołnierzy jakichś prymitywnych sposobów na oszukiwanie pragnienia, ignorowanie bólu, obronę przed strachem. To za-

wsze są podobne sztuczki, pozwalające nam łatwiej nagiąć swoją formę do konieczności. Człowiek dlatego jest człowiekiem, że potrafi się zmienić podług własnej woli, to prawda, ale przecież nie oznacza to, że wszyscy jesteśmy równi boskim wyobrażeniom o nas samych. To nie jest takie proste. Trzeba umieć oszukiwać, okłamywać samego siebie. Nie przeszkadzaj, esthlos.

Alitea stała zapatrzona w odbicie Księżyca w srebrnej wodzie w okrągłej misie trzymanej na wysokości piersi, długie, ciemne włosy opadały prostymi kurtynami — czy istotnie nie odrywała wzroku od jasnego refleksu, czy też zasnęła tak, zahipnotyzowana, ona i kakomorficzny Babilończyk, tylko że ona stoi o własnych siłach, bose stopy na drewnianym pokładzie, nogi uginają się, zanim jeszcze świnia się zakołysze, w przód, w tył, na boki, Księżyc nie wyleje się z misy, nie ma prawa, płyną na jednej fali.

Abel chrząknął, pan Berbelek uniósł spojrzenie. W którejś chwili, gdy nie patrzyli, ze swojej kabiny wyszła akademejska bibliotekarka. W nie dopiętym chimacie, z nadgryzionym jabłkiem w dłoni, oddychała teraz głęboko nocnym powietrzem, oparta barkiem o drzwi. Gisteja miała tuż po prawej, ale naturalnie obserwowała nie jego, lecz to zaaranżowane przez Amitace misterium wody i Księżyca. Hieronim na moment pochwycił wzrok Neurgijki: trzeźwe, skupione spojrzenie.

— Zzzimno, mór by to — mruknął Abel, szczękając zębami, i skrył się w swojej kabinie.

— Długo jeszcze? — spytał pan Berbelek.

Amitace uniosła rękę, osunął się szeroki rękaw ciemnej sukni.

— Cisza, proszę.

Czy zadziałał ten pretensjonalny rytuał i Alitea istotnie zdołała sobie narzucić tak mocną formę fizjologii, czy raczej zadziałały zioła Porte — w każdym razie nazajutrz choroba morska zniknęła jej bez śladu. Obiad zjadła z największym apetytem, okazując Zabachajowi już szczere zainteresowanie, gorliwa adeptka sztuki flirtu i uwodzenia. Szulima posłała Hieronimowi porozumiewawczy uśmiech; nie odpowiedział, milcząc jak zwykle. Zresztą i tak zaraz wybuchła głośna kłótnia między Wukacjuszem a Gailem Trettem. Jak można było wnioskować z przekleństw tego ostatniego, oskarżał on Gota o niecne zamiary wobec swej żony. Kupiec z początku reagował śmiechem, co jeszcze bardziej rozjuszyło pana Tretta; rzucił się na Gota przez stół. Znowu kapitan wołać musiał doulosów, odprowadzili skłóco-

nych do kabin. Pozostali pasażerowie obserwowali incydent z ledwo skrywanym rozbawieniem; także sama pani Trett z trudem powstrzymywała śmiech.

Po obiedzie Azuz Wawzar zabrał chętnych na krótką wycieczkę po aerostacie. Abel i dzieci Trettów zamierzali oczywiście wetknąć nos do każdego zakątka świni; Urcz i Hieronim mieli dość już po wizycie w makinowni. Pomieszczenie było ciasne, jak wszystkie pomieszczenia aerostatu, a przy tym prawie w całości wypełnione skomplikowanym artefaktem z metalu, likotu i twardo morfowanego szkła, nieustannie dygoczącym — to od niego szło przez aerostat to irytujące drżenie. Z wnętrza konstrukcji dochodziły syki, hurgoty, piski i łomoty, jakby w tych rurach, pudłach i retortach ścigało się stado wściekłych daimonów. Wszedłszy — a Wawzar musiał wpierw odkluczyć pół tuzina kłódek i zasuw — nie zamknęli za sobą drzwi, przecież i tak momentalnie spłynęli potem, temperatura i wilgotność godne były rzymskich łaźni.

Kapitan musiał podnieść głos, aby być słyszanym, południowy akcent w jego zanieczyszczonym greką ockim stał się tym bardziej wyraźny. Słowa swe kierował do najmłodszych, tłumacząc wszystko zaiste jak dzieciom, pochylając się i prawie kucając przed małymi synami Trettów.

— Cała Materia zbudowana jest z czterech żywiołów: Ognia, pyru, Wody, hydoru, Powietrza, aeru, i Ziemi, ge. Dla obiektów ziemskich — w odróżnieniu od ciał niebieskich, o których powiadają, że zbudowane są z jakiegoś piątego żywiołu, pempton stoikheion: uranoizy, aetheru — dla obiektów ziemskich naturalnym stanem jest spoczynek. Każdy przedmiot dąży do osiągnięcia sobie tu właściwego miejsca: toczący się kamień, padający deszcz, wnoszący się dym. Ziemia ciąży najniżej, nad nią Woda, nad nią Powietrze, nad nim Ogień. Widzicie to codziennie. Wrzućcie kamień do jeziora — spadnie na dno. W zamkniętym naczyniu to ciecz zawsze układa się na dnie, powietrze napiera ku górze. A ogień wyrywa się wzwyż przez każde powietrze. To jest ruch naturalny. Ale jest też ruch nienaturalny, wymuszony, który trwa tylko tyle, ile trwa przymus: poruszający się ludzie i zwierzęta, poruszane przez nich przedmioty. Człowiek, który jako jedyna istota zdaje sobie sprawę z natury rzeczywistości i potrafi naginać ją do swojej woli, zdolen jest zmieniać Formę nie tylko samego siebie, ale i innych obiektów: rzemieślnik przekształcający bryłę Ziemi w garniec, hodowca tworzący nowe odmiany roślin. Tych o szczególnych uzdolnieniach

woli zwiemy demiurgosami, keros ugina się pod ich pracą szczególnie łatwo. Tych, którzy potrafią narzucić Materii Formy ostateczne, ku którym dąży ona odtąd także w ich nieobecności, uwięziona już na zawsze w nowej ścieżce doskonałości, tych zwiemy teknitesami. Teknites Powietrza zmienił oto morfę niewielkiej ilości powietrza tu pochwyconego w ten sposób, iż odtąd naturalnym jego stanem jest ruch, jak ruch gwiazd i planet, więc krąży ono w tym obiegu niezmordowanie, napędzając płaty wiatraka. Wiatrak zaś wymusza na aerostacie ruch do przodu i póki się kręci, „Al-Hawidża" może lecieć nawet wbrew prądom powietrznym. Jeszcze łatwiej od Powietrza byłoby narzucić Formę aetherowego ruchu Ogniowi, lecz pyr jest praktycznie niemożliwy do wykorzystania w jakichkolwiek urządzeniach. Aether zaś sprowadzić na Ziemię i włączyć do jakiejkolwiek makiny nie sposób; powiadają, że potrafią go wykorzystywać Księżycanie. W czwartym wieku Ery Alexandryjskiej Heron z Alexandrii skonstruował podobną makinę parową, trzeba ją jednak było nieustannie podgrzewać, palić pod wodą i karmić ten ogień. Natomiast ten tu automaton zwie się pneumatonem i został wynaleziony przez wielkiego vodenburskiego sofistesa imieniem Ire Gauke, na pewno o nim słyszeliście. Ponoć w Herdonie wykorzystują już pneumatony także do poruszania się po powierzchni Ziemi, chociaż z pewnością jest to niewygodne i wolniejsze od podróży na grzbiecie zwierzęcia lub w powozie. Podobnie pneumatonowe okręty morskie są wolniejsze i bardziej zawodne od żaglowców prowadzonych przez demiurgosów i teknitesów Wody i Powietrza. Albowiem w ostatecznym rozrachunku to Forma człowieka, antropomorfe, zawsze zwycięża.

Pan Berbelek wycofał się bez słowa. W korytarzu-kręgosłupie minął się z Zueią; obejrzawszy się na niego, niewolnica skręciła do izby łaziebnej.

Alitea nie była zainteresowana sekretami aerostatu, zaprosiła ją do siebie esthle Amitace. Pan Berbelek wyraził zgodę, gdy córka zapytała, bo nie mógł jej nie wyrazić, po wczorajszej nocy Forma między nim a Szulimą całkowicie wykluczała odmowę. Potem wypytał Aliteę, co robiły. Wzruszyła ramionami. — Rozmawiałyśmy, grały w szachy, pozwoliła mi założyć swoją biżuterię. Nic takiego. — Ale pan Berbelek wiedział, że to się właśnie tak zaczyna, najbardziej bezbronni jesteśmy w nudnej zwyczajności.

Przed wieczerzą odwiedziła go Neurgijka. Nazywała się Magdalena Leese. Niby chciała przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie, lecz Hieronim wyczuwał za jej próbami wciągnięcia go w otwartą rozmowę jakiś

skryty zamiar, konkretny cel. Nie znali się przecież, przypadkowi współpodróżnicy, o cóż mogło jej chodzić? O ten rytuał nocny? Ale nie pozwolił jej pochwycić się w więzy zażyłości, wymówił się zaległą korespondencją. Porte przez cały czas stał w rogu kabiny, patrzył i słuchał, zimny kontrapunkt dla nieporadnych prób serdeczności kobiety.

Wieczerza była spokojna, wszyscy milczeli, pan Berbelek się nie wyróżniał. Życząc im dobrej nocy, kapitan zapowiedział, iż nazajutrz mijać będą Króla Burz, należy zgasić wszelkie zbędne lampy, schować oleje, mocne alkohole, substancje łatwopalne, uważać z tytońcami.

Gdy wracali do kabin, Amitace zatrzymała na moment Hieronima i Ihmeta. — Nie ustaliliśmy jeszcze szczegółów waszego pobytu w Alexandrii. Laetitia z pewnością zaprosi was do swego pałacu; zapraszam w jej imieniu. Chyba nie odmówicie? Esthlos? Panie Zajdar? — Nimrod zerknął na Berbeleka, niby pytająco, lecz Hieronim stał wystarczająco blisko, by objęła go korona łowcy, zrozumiał kontekst natychmiast. Pod tym samym dachem! Dostęp w dzień i w nocy! Wpuść drapieżnika do zagrody! Zaproś wampira! Ofierze się nie odmawia.

— Z przyjemnością.

Rozbierając się do snu, pan Berbelek zastanawiał się nad motywacją Persa. Że on go nakłaniał do szybszego ataku, skrytobójstwa uprzedzającego skrytobójstwo, nie ma co się dziwić, to leżało w jego w naturze, był, kim był, nie trzeba szukać dodatkowych motywów dla polującego wilka: jest wilkiem, poluje. Ale-ale. Załóżmy, że skłamał, że wcale wtedy Szulimy nie widział w świcie Czarnoksiężnika, że w ogóle nie był w Chersonezie, że to jakiś żart, zemsta, spisek…

Zaraz się Hieronim zreflektował: nie chcę mu wierzyć, bo już tak głęboko zanurzyłem się w anthosie Amitace, jeszcze trochę, a nie uwierzę w żadną jej podłość, choćbym ją ujrzał na własne oczy; to znaczy owszem, uwierzę, ale nie będzie miała ona znaczenia, daleko ważniejszy okaże się byle uśmiech Szulimy, jej cicha satysfakcja, zadowolenie ze mnie, wybaczę wszystko.

Kto więc ma słuszność? Po czyjej stronie racja? W zderzeniu Form na nic rozum i logika, jak świat światem jedna tu miara: siła. Pomiędzy Zajdarem i Amitace, jak między młotem i młotem — taki kształt przyjmę, jak uderzą. Pan Hieronim Berbelek, co prawda, strategos Berbelek, on potrafiłby —

Krzyk, wrzask śmiertelny, pół ludzki, pół zwierzęcy, przebił ściany kabiny i poderwał Hieronima na nogi. To z zewnątrz, z balkonu — ruszył do drzwi, zanim pomyślał — tak krzyczą, gdy szrapnel patroszy im wnętrzności, kula miażdży kość. Był boso, w samych spodniach, otwierając drzwi, potknął się o próg, zaklął, tracąc równowagę, i otarł skronią o futrynę. Zdezorientowany, wypadł na pokład widokowy.

Zimny wiatr momentalnie go ocucił. Zmrużył oczy; po wyjściu ze światła w noc widział wszystko w postaci dwuwymiarowych plam cienia. W każdym razie pokład był pusty — obejrzał się ku rufie i ku dziobowi, i gdy z powrotem obrócił głowę, pokład nie był już pusty, ze swojej kabiny, ostatniej w szeregu, Ξ, wyszedł Ihmet Zajdar. Odziany w wielobarwną, jedwabną dżibę, jedną ręką zawinął jej długie poły, drugą sięgnął do wnętrza po lampę i uniósł ją wzwyż. Świnia kołysała się lekko, cienie zatańczyły, przegnane przez żółty blask. Ihmet wskazał na siatkę bezpieczeństwa po swej lewej ręce. Podeszli, spotykając się na wysokości kabiny M. Likotowa plecionka była tu rozcięta, w sieci ziała pionowa dziura długa na dobre cztery pusy, poszarpane krawędzie plecionki furkotały na wietrze, łykowate frędzle.

Otwierały się kolejne drzwi, pojawiali się następni pasażerowie: rozjąkany Kistej, Abel i Alitea w pośpiesznie narzuconych pelerynach, Porte i Anton, wreszcie dwaj pozostali Babilończycy oraz Szulima. Tylko Wukacjusz, Magdalena Leese i państwo Trett nie okazali się ciekawi przyczyny nocnego harmidru.

W tym tłoku, gdy wszyscy pchali się byle bliżej źródła zamieszania, wystarczyłby jeden gwałtowniejszy skok aerostatu, by ktoś wypadł przez rozcięcie, sam Hieronim został już kilkakrotnie ku niemu pchnięty, balkon był bardzo wąski.

— Co się stało?

— Kto krzyczał?

— Byłby pan tak uprzejmy nie deptać mi po nogach!

— Czy ktoś może mi powiedzieć…

— Esthlos! Nic ci nie jest?

— Czy to pan Zajdar może…

— Ktoś przeciął, widzi pani przecież.

— On krwawi.

— Mmmyślę, że ttto…

— Ale kto krzyczał?!

Sześć głosów, dwa języki, pełna skala emocji, od histerii do ironii. Pan Berbelek czekał, aż pojawi się kapitan Wawzar i zaprowadzi porządek, Arab jednakże nie nadchodził; zjawiło się tylko dwóch doulosów, stanęli z tyłu, zmieszani, nie wiedząc, co czynić. Zresztą Hieronim był tu chyba najniższy, nie mógł dojrzeć ponad głowami zgromadzonych, kto jeszcze przybiegł. Wczepiony jedną ręką w siatkę, drugą odpędzał nachylającego się ku rozcięciu Urcza.

Pochwycił na krótko spojrzenie Porte. Sługa wskazywał na jego głowę. — Krwawisz, esthlos.

Pan Berbelek sięgnął czoła, w tym momencie „Al-Hawidża” przechyliła się lekko, gwardzista Babilonu wpadł na niego całym ciężarem. Pan Berbelek odepchnął go, uderzając łokciem pod żebra.

— Milczeć! — warknął. — Wszyscy! Do swoich kabin! Zajdar zostaje. Wy! Po kapitana. Już!

Czym prędzej wykonali rozkazy.

Gdy pozostał na balkonie sam z nimrodem, pochylił przed nim głowę.

— Poświeć. Jakaś rana, czuję krew. Zerknij.

— Uuu, dosyć głębokie cięcie, chyba widać kość. Tępe ostrze. To on?

— Co? Kto?

— Jak uciekał.

Spojrzeli obaj na rozciętą plecionkę. Pan Berbelek ujął między dwa palce jedną z luźnych jej linek.

— Likot — mruknął w zdumieniu.

Drzewa likotowe, wymorfowane ongi z dębu i cedru w stuletnich sadach najsłynniejszego teknitesa flory, Filippy z Galii, ceniono dla niesamowitej wytrzymałości i lekkości ich włókien. Likotu często używano zamiast twardych metali, gdy równie ważne kryterium wyboru materiału stanowił jego ciężar — żeby daleko nie szukać, gniazdo świni powietrznej w trzech czwartych zbudowane zostało z likotu. Likotowa siatka więc była praktycznie nie do przecięcia, nie ma noży tak ostrych, ludzi tak silnych.

Pan Berbelek dotknął w zamyśleniu rany na skroni i podniósł wzrok na nimroda.

Ihmet zamrugał, szarpnął się za brodę.

— Nie ja — szepnął. — To nie ja.

Tyle zdążył, bo już nadbiegał kapitan Wawzar wraz z trzema doulosami i zaspanym demiurgosem meteo.

— Każesz niewolnikom sprawdzić wszystkich pasażerów i członków załogi — rzekł Arabowi pan Berbelek, zanim tamten zdążył otworzyć usta. — Niech pytają, gdzie przebywali, gdy usłyszeli krzyk, i kto to może poświadczyć. Przydziel ludzi, żeby jakoś załatali tę dziurę, mamy dzieci na pokładzie. I przyślij mi do kabiny czyste bandaże, idę się umyć. Doulosi zdadzą raport mojemu słudze. Spałeś?

— Tak.

— Rozumiem.

Pan Berbelek wrócił do swojej kabiny. Syczał przy każdym kroku. Przyjrzał się potem paznokciowi wielkiego palca u lewej stopy. Był już cały czarny od nabiegłej krwi. Z obmytą i obandażowaną głową, zbadał Hieronim fragment futryny, o który się uderzył (pozostał na nim rozmazany czerwony ślad). Żadnych ostrych krawędzi, ostrych drzazg, wystających gwoździ; gładko zheblowane drewno.

Porte powtórzył przyniesione przez doulosów informacje. Pan Berbelek posłał go po kapitana. Razem weszli do kabiny M. Łóżko było jeszcze posłane, lampy zapalone, na stole leżały dwie książki, stał kubek pełen wina, trochę rozlało się naokoło. Sprawdzili bagaże. Brakowało spodni, w których ją widzieli za dnia; i zapewne jednego chimatu lub koszuli, ale tego już nie byli w stanie stwierdzić. — Na pewno nigdzie jej nie ma? — upewnił się Hieronim. Izmaelita pokręcił głową. — Przeszukali każdy zakątek „Al-Hawidży”, esthlos.

Dlaczego ktoś miałby zabijać Magdalenę Leese, bibliotekarkę vodenburskiej akademei? Dla pieniędzy? Ha! Teoretycznie sama mogła wyskoczyć, ale to czyniłoby z niej samobójczynię, a nie dostrzegł w niej podobnej skazy Formy. Ktoś więc ją zamordował, rozcinając likotową siatkę i wypychając Magdalenę z pokładu aerostatu. Czy znała wcześniej któregoś z pasażerów „Al-Hawidży”? Nawet jeśli, to oboje świetnie to ukrywali. Ale dlaczego miałby ją zabijać przypadkowy współpodróżnik? Powód musiałby przecież powstać podczas półtorej doby dotychczasowej podróży. A zważywszy, że przez pierwszy dzień była pijana… Dzisiaj przyszła do mnie, chciała się czegoś dowiedzieć, chciała otworzyć między nami Szczerość; wepchnąłem jej do gardła tę Formę. I teraz nie żyje. Bibliotekarka.

Wyszedł z powrotem na balkon. Lecieli z wiatrem, powietrze było prawie spokojne, Księżyc wypłynął zza chmur. Niewolnik pracował nad zniszczoną siatką, wiązał ją likotowymi powrozami. Na widok Hieronima przyklęknął na jedno kolano, skłaniając nisko głowę.

Pan Berbelek rozejrzał się wzdłuż rzędu zamkniętych drzwi; wszędzie jeszcze paliło się światło, mętny blask sączył się przez wąskie okienka.

— To prawie pośrodku, nie zdążyłby uciec naokoło, do korytarza dziobowego lub rufowego, miał ledwo dwie, trzy sekundy, zanim wyszedłem. Zobaczyłbym go, a przynajmniej usłyszał.

— Masz rację, esthlos, to musiał być ktoś z tych kabin — rzekł Wawzar. — Kto tu, mhm, pan Zajdar, pan Gistej, mhm, twoje dzieci, esthlos i, mhm, twoi słudzy…

— Głupiś. Którędy najłatwiej było mu uciec? Gdzie miał najbliższą kryjówkę? — Pan Berbelek wskazał drzwi, przed którymi stali. — Dobrze wiedział, że kabina Leese jest pusta.

— Ach. No tak. Potem mógł przejść środkowym korytarzem do swojej kabiny i wyjść z niej jak gdyby nigdy nic.

Pan Berbelek pokręcił głową.

— Nie sądzę. Rano trzeba będzie przepytać pasażerów. Gdyby ktoś go zobaczył wychodzącego z kabiny ofiary… On albo przebiegł od razu i miał wielkie szczęście, albo odczekał. Niektórzy nie pokazali się tu w ogóle.

— Pan Trett i pan Wukacjusz —

Pan Berbelek uniósł rękę.

— Nie i nic takiego nie będziesz rozpowiadał. — Obrócił się do niewolnika. — Ty! Bo chłosta.

Doulos zasłonił sobie uszy, zamknął oczy.

— Nic, nic, nic — powtarzał w skłonie.

Pan Berbelek skinął głową kapitanowi.

— Dobranoc.

— Dobranoc, esthlos.

Hieronim wrócił do kabiny Magdaleny Leese. Co ona wtedy robiła? Wyszła na balkon zaczerpnąć nocnego powietrza czy na przykład porozmawiać z mordercą? Zapewne przyszedł, zapukał, czy mogłaby na słówko, jeszcze się pani nie położyła, nie zajmę wiele, może tutaj, nie będę wchodził do kabiny samotnej kobiety — i kiedy się odwróciła…

Przy czym ją zastał? Nalała sobie wina. Pan Berbelek powąchał. Tania różyczka. Lubi wino, to wszyscy wiemy. Lubiła. W każdym razie tego nie zdążyła wypić. Książki. Otworzył pierwszą. *Piąta Wojna Kratistosów* pióra Oryxa Bryta. Przekartkował. Żadnych zakładek, dopisków. Nie wygląda na często czytaną. Otworzył drugą. Nie rozpoznał alfabetu, przedhelleńska piktografia, trochę symboli uproszczonych prawie do liter, ale także dosyć skomplikowane obrazki, głowa, rogi, koń, wóz, statek, ręka, skrzydło, fala. Kto drukuje takie rzeczy? To nie może być opłacalne. Przekartkował, zatrzymując się na rycinach. Front pałacu. Jakiś plac trójkątny. Kobiety w kaftorskich sukniach, w każdym razie z odkrytymi piersiami i ściśniętymi taliami (ryciny nie były najlepszej jakości). Mężczyzna z głową lwa, mężczyzna z głową ptaka. Topór o podwójnym ostrzu. Tańczący ludzie, nadzy. Byk. Wojownik w biodrowej przepasce, z włócznią i owalną tarczą. Rolnik w polu, pochylony nad pługiem. Kobieta z —

Pan Berbelek przysunął książkę bliżej lampy.

Kobieta z misą w wyciągniętych rękach, naga, nad nią Księżyc w pełni, obok druga, w kaftorskiej sukni, gołąb nad jej głową, wąż pod stopami.

Pan Berbelek wypił wino i ukradł książkę.

Król Burz należał do licznych kratistosów przegranych w Drugiej Wojnie, w 320 roku Po Upadku Rzymu. Naprawdę nazywał się Juliusz Kadecjusz, syn Juliusza, o tym wszakże wiedzieli bodaj jedynie historycy. Gdy przychodził na świat, nad Półwyspem Iberyjskim rozszalała się siedmiodniowa burza, od której piorunów i wichrów ucierpiały prawie wszystkie miasta i wioski półwyspu. Anthos Króla Burz zawsze najmocniej odbijał się w Ogniu i w Powietrzu. Nie był wszakże na tyle silny, by oprzeć się naciskowi kratistosów, z których aurami sąsiadował: K’Azury, który ostatecznie wziął pod swoje skrzydła całą Iberię, Meuzuleka Czarnego i Józefa Sprawiedliwego z północnej Afryki, Sykstusa z Rzymu, Belli Afrodity spod Alp. Próbował ucieczki na Korse i potem inne wyspy Morza Śródziemnego, lecz terytorium zostało już podzielone, keros zamarzał. Nie chciał kolejnej wojny. Udał się więc dobrowolnie na wygnanie, zabierając wszakże ze sobą swoje miasto, Oroneię. Oroneia zbudowana została na wysokich skałach nad klifami podmywanymi od południa przez ciepłe fale Morza Śródziemnego. Pierwotnie twierdza alexandryjska, potem miasto arabskie, jedno

z centrów handlowych izmaelitów manackich, nigdy nie oblegana i nie zniszczona, zachowała swą eklektyczną helleńsko-orientalną architekturę i profil stożka o łagodnych stokach, z kamienną cytadelą o białych murach i krępych wieżach pośrodku, na szczycie, i z niską, ogrodową zabudową na zboczach; jeszcze niżej rozsiadły się satelitarne „wsie targowe”, za którymi ciągnęły się pola uprawne i winnice. Król Burz zabrał to wszystko z sobą. Zaczął od morfunku owych skał, stadion pod powierzchnią gruntu, na których płycie spoczywał cały płaskowyż. Nie miał dobrego wyczucia ge, ale też nie chodziło mu o to, by uczynić Ziemię bardziej Ziemią; wręcz przeciwnie. Ponieważ podpisał na życzenie K’Azury List Pokorny, dano mu czas. Po trzydziestu trzech latach skały Oronei, których Forma była już po większej części Formą Ognia i Powietrza, poczęły się przesuwać ku nowemu naturalnemu miejscu swego spoczynku: na niebie, dwadzieścia stadionów nad lśniącym błękitem Morza Śródziemnego, na styku anthosów K’Azury, Belli, Sykstusa i Józefa Sprawiedliwego. W pogodne, bezchmurne dni żeglarze mogli dostrzec Oroneię, małą elipsę cienia pod Słońcem; z lądu była niewidoczna. Przeważnie jednak uznawano jej widok za zły omen, odradzano pływanie tymi szlakami: oronejczycy swoje nieczystości i śmieci zrzucali po prostu do morza i po portach Europy i Afryki krążyły całe legendy o statkach zniszczonych przez „splunięcie Króla Burz”, ludziach potopionych, ładunkach utraconych. Nadto pogoda zawsze była tu kapryśna, anthos Króla Burz, wzmacniając Formę pyru i aeru, co i rusz tworzył huragany, sztormy i tornada. Po części zresztą była to świadoma morfa Juliusza, który musiał jakoś zapewniać Oronei stały dopływ świeżej wody. Jednakże od chwili spopularyzowania świń powietrznych Oroneia wyszła z izolacji, otworzyła się na handel, bardzo poszukiwanym materiałem budowlanym stał się kamień o Formie zmienionej w koronie Króla Burz, tak zwany oroneiges. Ponoć w Alexandrii budowano już z niego całe „pałace powietrzne”, aergarony, realizowano sny szalonych architektów. Tak przynajmniej opowiadała Hieronimowi esthle Amitace.

Kapitan Wawzar podniósł „Al-Hawidżę” na wysokość górnych chmur, aby mogli dobrze się przyjrzeć miastu Króla Burz. Mijali je od wschodu, w odległości kilku stadionów (Wawzar trochę nadłożył drogi). Wszyscy pasażerowie zgromadzili się na prawym pokładzie widokowym. Był wczesny ranek, Słońce mieli po drugiej stronie aerostatu, sami skryci w cieniu, widzieli skąpane w czystym, ciepłym blasku sady, pola i przedmieścia nanieb-

nej metropolii, zębate blanki i potężne wieże cytadeli Króla Burz. Czerwono-żółte chorągwie, długie na kilkadziesiąt pusów, powiewały na tych wieżach w strugach mocnego wiatru, ogniste węże. Widzieli ruch na polach i ulicach, wozy i konie, i drobne sylwetki ludzi, lecz mniejszych szczegółów nie byli w stanie dojrzeć. Najbardziej zaciekawiły wszystkich oczywiście wichrorosty, rośliny uprawne wymorfowane z jadalnych pnączy przez oronejskich teknitesów flory. Spływały one daleko poza krawędzie ziemi i w ciężkich, grubych splotach, długich na kilka stadionów, falowały dostojnie na wietrze — zielone macki kamiennej meduzy. Azuz Wawzar opowiadał, jak to późną jesienią, gdy odbywały się swoiste żniwa wichrorostów, można było zobaczyć opuszczających się wzdłuż łodyg oronejczyków, zapiętych w skórzanych uprzężach, z krzywymi mieczami-sierpami na plecach, holujących pęki lin z hakami i pętlami. To były też dni najspokojniejszej pogody.

„Al-Hawidża” wzniosła się ponad ostatnie chmury, nad sobą miała tylko jasne niebo, pod — góry i płaskowyże miodowych obłoków. Na tych wysokościach było gorąco niezależnie od pory dnia i roku. Pasażerowie stali w cieniu, a jednak już po kilku minutach spływali potem. Szulima przezornie wybrała lekką kaftorską suknię, bez gorsetu i kołnierza, i pan Berbelek, ilekroć spojrzał na Amitace, nie mógł opędzić się od złych skojarzeń.

Niewolnicy roznosili napoje. Hieronim podał Szulimie zimną szklanicę.

— Dziękuję. — Na moment odwróciła wzrok od płynącej ponad chmurami Oronei. Tuż za Hieronimem, tam, gdzie stali trzej żołnierze, wzór likotowej plecionki był wyraźnie zakłócony szeregiem grubych supłów i węzłów. Wskazała go ruchem głowy. — Więc kto ją zabił?

— Nie wiem.

— To na twoje polecenie nas przepytywano, prawda, esthlos? Czegoś na pewno się dowiedziałeś.

— Wszyscy byli w swoich kabinach. Sami lub ze służbą, rodziną. Z wyjątkiem pana Urcza, który grał w kości z panem Zabachajem u tego ostatniego. Ktoś kłamie. Kto? Nikt nie widział mordercy wychodzącego z kabiny Leese.

— Ach, więc był u niej w kabinie.

— Może właśnie dlatego zginęła. Posiadała jakiś kompromitujący mordercę przedmiot, informację.

— Mhm. — Amitace sączyła powoli rozcieńczone wino, zapatrzona na rozsłonecznioną Oroneię. Przerzuciwszy warkocz na lewe ramię, złapała się prawą dłonią za siatkę, „Al-Hawidża” chybotała się lekko. — Ktoś, kto potrafi to przeciąć…

— Nadal więc chcesz zabrać ze sobą na to polowanie Ihmeta Zajdara, esthle?

Uśmiechnęła się kątem ust.

— Przecież nie każesz kapitanowi go uwięzić? Co? A gdy tylko postawi stopę na ziemi Hypatii…

— Emir Korduby nie ma żadnej władzy w Alexandrii.

— Otóż to.

— Na przyszłość muszę bardziej uważać, z kim wchodzę na pokład okrętu albo świni.

— Ty, esthlos? — zaśmiała się Szulima. — Widziałam cię przecież w nocy. Wydałbyś rozkaz i —

— Przepraszam. Muszę zmienić opatrunek.

Skrył się w swojej kabinie. Wrażenie było trudne do wyparcia. Ona wie, że ja wiem. I wie, że zdaję sobie z tego sprawę. To nie była forma flirtu — Szulima świadomie drażniła drapieżcę, głaskała lwa okrwawioną dłonią.

Spojrzał w lustro. Lwa! Dobre sobie! Gdyby to był Hieronim Berbelek sprzed Kolenicy… Zacisnął pięści wparte w blat stołu. Padłaby w trwodze do moich nóg! Wyznałaby wszystko na jedno moje słowo. A przynajmniej nie kpiłaby w żywe oczy.

Usiadł, nalał sobie wina. Spokój. Myśl jak strategos. (Co zrobiłby na twoim miejscu Hieronim Berbelek?) Okoliczności, okazje, prawdopodobieństwa, motywy, fakty. Ona nie była w stanie zabić Leese. Tak naprawdę jako jedyny na „Al-Hawidży” mógł to zrobić Zajdar; ona to wie, ja to wiem. Ale nimrod nie posiadał motywu, motyw — jakieś tajemne powiązanie przez wiedzę ze starej księgi — posiadała Szulima. Zabiłby dla niej? Przecież on właśnie wmawia we mnie konieczność jej śmierci! Na wszystkich bogów…!

Po co ja lecę do tej przeklętej Alexandrii?

Najgorsze było to, że nie mógł już milczeć podczas pozostałych obiadów i wieczerz. Oczywiście wypytywali go o śmierć Magdaleny Leese; nagle

okazało się, że jest kimś w rodzaju wojskowego dowódcy aerostatu, hegemona bez wojska. Ale przecież sam siebie nim uczynił — oni tylko stosowali się do narzuconej przezeń formy.

Poza tym nie wychodził ze swojej kabiny. Ale i to nie stanowiło rozwiązania. Przysyłali do niego niewolników z zaproszeniami „na qahwę", „na szachy", „na haszisz". Odmawiał. Nie mógł odmówić Ablowi i Alitei. Noc i dzień syn i córka dyskutowali między sobą scenariusze zbrodni. Alitea stawiała na Gisteja, Abel wahał się między Wukacjuszem i kapitanem Wawzarem. Pan Berbelek cierpliwie wysłuchiwał ich fantastycznych teorii. Alitea była w tej swojej dziecinnej ekscytacji przynajmniej zabawna, lecz Abel — Abel uważał niepowodzenie śledztwa za osobistą klęskę strategosa Berbeleka i czynił Hieronimowi mniej lub bardziej zawoalowane wyrzuty, iż ten „pozwala mordercy ujść bez kary". Abel dobrze wiedział, jakiego ma ojca, lepiej od samego pana Berbeleka, i ten ojciec Abla nigdy nie puściłby płazem podobnego afrontu. Mord tuż pod drzwiami jego sypialni!

— Cóż oni sobie o tobie pomyślą, jeśli nie rzucisz zabójcy na kolana? Zwłaszcza po tym, jak sam publicznie przyjąłeś na siebie odpowiedzialność.

Pan Berbelek wzruszał ramionami.

— Tak, to był błąd; to już się więcej nie powtórzy.

A podczas posiłków musiał patrzeć na Szulimę beztrosko flirtującą z kapitanem, narzucającą swą władzę wszystkim mężczyznom na pokładzie, potem także kobietom. Wachlarz, uśmiech, krągła pierś, ciepły głos o aristokratycznym akcencie, olśniewająca wdzięczność za każdą drobną grzeczność, wypielęgnowana dłoń lądująca na krótką chwilę na twoim ramieniu, barku, policzku, niczym letni motyl, zefir poranka, kwiatowe pachnidło uderza do głowy, niewypowiedziana obietnica mąci myśli. Wszak dokładnie w ten sposób owinęła sobie dokoła palca ministra Bruge i Neurgów — kimże w porównaniu jest taki Wawzar czy Wukacjusz, by obronić się przed jej morfą? Nawet Ihmet Zajdar uległ czarowi Szulimy, a w każdym razie taki pozór przyjął, może aby się nie wyróżniać — a może właśnie grał wcześniej, gdy sączył w uszy Hieronima te trujące oskarżenia? Pan Berbelek nie wiedział już nic.

Wieczorem 25 Aprilisa, w Dies Veneris, ujrzeli nisko na południowym horyzoncie jasny błysk, iskrę zimnego ognia — światło wielkiej latarni w Pharos. „Al-Hawidża" opadała ku Alexandrii.

H
Pod słońcem Nabuchodonozora

Ponieważ kotwicowisko świń powietrznych znajdowało się nad Zatoką Eunostos, przy Bramie Księżyca, a pałac esthle Laetitii Lotte π. Zagis leżał po drugiej stronie miasta, nad Jeziorem Mareotejskim, musieli przejechać przez centrum tak zwanej Starej Alexandrii, to znaczy przez kwartały zamknięte w najstarszych murach obronnych, pochodzących jeszcze z 25 roku Ery Alexandryjskiej, czyli z czasu, gdy na rozkaz Wielkiego Alexandra wzniesiono tu, na miejscu wioski Raqotis, pierwsze budynki z cegły i kamienia. Esthle Szulima Amitace wskazywała złożonym wachlarzem strony świata, ciemne sylwety budowli obrysowane ognistą purpurą nieba o zmierzchu, w porównaniu z niebem vodenburskim — olbrzymiego, kolorowego, soczystego niczym przejrzały owoc. Szulima jechała w pierwszej wiktyce, razem z Hieronimem i Aliteą, Ihmet Zajdar z Ablem jechali w drugiej, dalej zaś ciągnął się wąż szesnastu wiktyk załadowanych kuframi podróżnymi, a wiele z tych kufrów, jak przypuszczał Berbelek, zostało przeładowanych z „Okusty” na „Al-Hawidżę” i teraz z niej na dwukołówki, nie będąc przez ponad miesiąc ani razu otwieranymi. Służący Hieronima i niewolnica Amitace jechali w ostatniej wiktyce. Szulima wynajęła też w porcie bandę nagich chłopców i dziewcząt, w sumie chyba czterdziestoosobową hordę brudasów, by eskortowali ich przejazd przez miasto, biegnąc u boku powozów i odganiając żebraków, złodziei, samozwańczych przewodników, nachalnych ulicznych handlarzy, kapłanów i rajfurów. Przy okazji wyszła na jaw biegłość esthle w pahlavi. Aczkolwiek po mieszkańcach Alexandrii można się spodziewać znajomości greckiego, to większość tubylczej biedoty, zwłaszcza tej ze wschodnich dzielnic kanopijskich, nie zna więcej niż kilka grzecznościowych greckich zwrotów, ostrzegała Szulima. Teraz opowiadała mijane widoki w miękkiej, dworskiej grece.

Jechali z zachodu na wschód, naprzeciw otwierającemu się nad miastem nocnemu gwiazdoskłonowi, z ostatnim blaskiem konającego Słońca za plecami. Trakt Kanopijski biegł prosto jak strzelił, aż do Bramy Słońca, i dalej,

ku zachodniemu ujściu Nilu, wzdłuż Starego Kanału mijając Kanopis, Menout i Herakleion — ongiś samodzielne miasta, obecnie bez reszty pochłonięte przez Alexandrię. Jeśli nie brać pod uwagę niewyobrażalnych azjatyckich trepolii Dzunguo, Alexandria była największym miastem świata. Według spisu sporządzonego za czasów Hypatii XII, w granicach stolicy Aegiptu — wliczając miasteczka i wsie satelickie — żyło ponad pięć milionów ludzi. Od momentu założenia Alexandria nieustannie rosła i zyskiwała na potędze i znaczeniu — ale czegóż innego można się spodziewać po mieście Pierwszego Kratistosa? A choć historycy twierdzili, iż to nieprawda, kratistos obecnie rezydujący w Alexandrii, Nabuchodonozor Złoty, wytrwale podtrzymywał legendę czyniącą go prawnukiem Wielkiego Alexandra; ta ciągłość wychodziła miastu na dobre. Esthle Amitace wskazywała budynki liczące pięćset, tysiąc, dwa tysiące lat. Pierwotny projekt sporządził Dejnokrates, wzorując się na planach Hippodamosa z Miletu. Stąd pochodzi krzyżowy układ dwóch głównych ulic, Traktu Kanopijskiego i Traktu Beleuckiego. Przecinają się one w sercu Starej Alexandrii; to skrzyżowanie poeci ochrzcili Rynkiem Świata. Kiedy Amitace wskazywała w jego kierunku wyciągniętą ręką, municypalni niewolnicy zapalili pierwsze latarnie pyrokijne. Odtąd sznur wiktyk sunął między dwoma równoległymi szeregami żółtych świateł. Latarnie były bardzo wysokie, wyższe od palm.

Gdy Trakt Kanopijski przeskoczył ponad pierwszym kanałem, Szulima wskazała w prawo, na południe, wachlarz celował ponad linię świateł, ponad płaskie dachy. Zobaczyli tylko cienie szczytów najwyższych budowli. — Świątynia Izydy, świątynia Serapisa, świątynia Manat, świątynia Akazy, świątynia Ohrmazdy, świątynia Kristosa, świątynia Posejdona, świątynia Ozyrysa. Wielokrotnie przebudowywane, ale większość pochodzi jeszcze z Ery Alexandryjskiej. Jeśli bogowie istnieją, tutaj właśnie kierują swe spojrzenie każdego ranka po przebudzeniu.

Dotarli na Rynek Świata. Pośrodku skrzyżowania wznosiła się wysoka na pół stadionu kamienna iglica, uwieńczona złotym posągiem mężczyzny. Posąg też musiał być sporych rozmiarów, skoro pan Berbelek bez problemu dojrzał, jaki gest wykonuje złoty mężczyzna: prawą ręką wznosi do nieba miecz, lewą wygładza keros. Był to, oczywiście, Alexander Macedoński. Sznur wiktyk zawinął się wokół iglicy. Gdy ją mijali, wachlarz Szulimy ponownie wskazał na południe. — Biblioteka. Wszystko, co kiedykolwiek napisał człowiek.

Opuściwszy Starą Alexandrię przez Bramę Słońca, przejechali nad drugim kanałem i zagłębili się w dzielnicę żydowską. Dzisiaj niewielu Żydów tu mieszkało, lecz nazwa pozostała; w tym mieście nazwy trwają najdłużej, Materia poddaje się czasowi, lecz Forma pozostaje. Amitace wskazała na lewo, na gigantyczne kolumny tworzące fronton hellenistycznego pałacu, tłusty cień zalegał między kamiennymi filarami. — Tron Tronów; tu, w dniu swych czterdziestych urodzin, Alexander nałożył koronę Króla Świata.

Skręcili w prawo. Minął ich oddział gwardzistów na jednorożcach. Czarne napierśniki na białych chimatach, białe trouffy obwinięte wokół głów, brody przystrzyżone na izmaelicką modłę, na plecach podwójne keraunety o czteropusowych lufach i kolbach malowanych w kolorowe wzory, u pasa miecze księżycowe. Jednorożce wymorfowane zostały z zebr, ich wyszczotkowana, czarno-biała sierść lśni w miodowym blasku pyrokijnych lamp niczym natłuszczona. Pan Berbelek przymknął oczy. Chciał poczuć, jak pachnie to miasto, wciągnąć do płuc jego smak, znak morfy — ale jedyne, co czuł, to woń perfum Szulimy. Gdzieś nad Morzem Śródziemnym przerzuciła się z pachnideł aegipskich na delikatniejsze, roślinne wonie — jaśmin? kwytra? ful? Siedziała po lewej ręce Hieronima, stykali się biodrami i udami, czuł przez odzienie gorączkę jej ciała; gdy obracała się, by wskazać wachlarzem coś ponad nim, a czyniła to często, jej pierś naciskała lekko na ramię pana Berbeleka. Jeszcze na pokładzie aerostatu odziała się podług alexandryjskiej mody, to znaczy mody Nabuchodonozora: w długą do ziemi, białą spódnicę, spiętą wysoko w talii, szeroki, jedwabny szal, narzucony luźno na ramiona (gdy go rozłożyła, by pokazać Alitei, w promieniach zachodzącego Słońca zapłonął wyszyty złotą nicią fenix) oraz biały płócienny kapelusz o płaskim rondzie. Na przedramionach pozostały wężowe bransolety. Zanim opuścił powieki, pan Berbelek dojrzał, jak dowódca oddziału gwardii kłania się Amitace w siodle, gdy przelotnie obróciła na niego wzrok. Uśmiechu i ruchu wachlarza Szulimy już nie zobaczył; nie musiał, znał tę Formę na pamięć. Sztylet, to musi być sztylet, myślał, gdy jechali na południe, przez coraz cichsze dzielnice, coraz szybciej, w coraz mniejszym tłoku. Sztylet, i nie odwrócę głowy. Jeśli nie ustoję twarzą w twarz, jeśli nie zdołam unieść ręki, to znaczy, żem istotnie nie godzien żyć, niech Czarnoksiężnik bierze, co jego. Ale — policzył uderzenia serca, siedemnaście, osiemnaście, dobrze — ale słowo Ihmeta to za mało, nawet jeśli zabiła tę

Leese, to za mało, nawet jeśli zwodzi mnie i sama chce mej zguby w tej przeklętej Alexandrii, po co ja tu przyjechałem — za mało, za mało, potrzebuję potwierdzenia. Jest zbyt piękna. Otworzył oczy. — Parseidy, wzgórza pałacowe — mówiła, a wachlarz łagodnymi łukami obrysowywał wyniosłe cienie — to znaczy nie wzgórza, ale całe to wybrzeże Mareotu zostało mocno przemorfowane podczas Piątej Wojny Kratistosów, gdy Nabuchodonozor wypierał Chimeroysa Skarabeusza; teraz mieszczą się tu miejskie rezydencje aristokracji. Oczywiście sporo czasu spędza się w wiejskich posiadłościach w górze Nilu, o ile wiem, Laetitia teraz tam właśnie przebywa — ale kto świadomie rezygnuje z dobrodziejstw anthosu Nabuchodonozora? Nie mówiąc już o tym, że nie jest rozsądnie oddalać się na zbyt długo od dworu Hypatii. Laetitia, co prawda, jest z nią spokrewniona przez babkę ze strony ojca, ale… A otóż i jej pałac.

Dwukółka na moment przystanęła przed bramą, para zdyszanych wiktykarzy oparła się ciężko na poprzecznym drągu. Esthle Amitace wychyliła się ku jednemu ze strażników bramy, który podszedł do powozu. Szepnęła mu coś do ucha, zatrzepotała wachlarzem. Skłonił się głęboko, po czym krzyknął rozkaz, by otworzyć wrota. Przybiegli niewolnicy z lampami. Banda portowych brudasów zakłębiła się wokół strażnika, on wydzielał każdemu z nich po jednej monecie. Tymczasem brama otworzyła się, wjechali między palmy i hiewoje. Zza zakrętu alei wyłaniały się powoli światła pałacu, niewolnicy nawoływali się z ciemności w trzech językach, skrzypiały koła starej wiktyki, chłodny wiatr niósł od niewidocznego jeziora egzotyczne zapachy, ptaki nocy hałasowały w koronach drzew, przez aleję przebiegł gampart, zalśniły zielone ślepia w mroku nocy. Alitea ścisnęła prawą rękę pana Berbeleka. — Dziękuję, dziękuję, tato. — Zamrugał. Bronił się, ale bezskutecznie; objęła go morfa jej szczęścia. Uśmiech jak niemy okrzyk zwycięstwa, uśmiech jak kielich gorącego światła. Bez słowa pochylił się i pocałował ją w czoło.

Aneis Panatakis był notorycznym oszustem podatkowym. Już trzykrotnie obcinano mu prawy kciuk za przestępstwa przeciwko Skarbowi. Jego imię stało się dla aegipskich celników synonimem nieuczciwości. Zatrudniał siedmiu księgowych; ten siódmy zajmował się wyłącznie prowadzeniem rejestrów łapówek. Panatakis miał dwie żony, sześciu synów, osiem

córek. Trzej synowie i jedna córka nie żyli. Syn najstarszy pomagał ojcu prowadzić interes; najmłodszy uciekł do Herdonu; Isman, ulubieniec Aneisa, oczekiwał natomiast w alexandryjskim więzieniu na ścięcie za piractwo. Z córek zaś — dwie wyszły za celników, dwie pracowały jako hetery. Panatakis posiadał też szesnaścioro wnuków. W prawej kieszeni dżulbabu nosił listę z ich opisami i imionami — jak twierdził, nie miał pamięci do szczegółów. Tak samo wytłumaczył się podczas procesu dwóch najemników, którzy próbowali go zabić, napadłszy nocą — nie potrafił przypomnieć sobie ich twarzy. Tydzień później wyłowiono z Nilu resztki ich ubrań, poszarpane przez krokodyle. Aneis Panatakis był alexandryjskim faktorem kompanii Njute, Ikita te Berbelek.

Pan Berbelek odnalazł go na zapleczu jego składów. Panatakis poczęstował go qahwą, pikwajami, daktylami, trzykrotnie zaprosił do swego domu, sześciokrotnie pokajał się za podłe warunki, w jakich musi tu przyjmować tak wspaniałego gościa, jeszcze więcej razy przeklął swe ubóstwo, chciwych celników, Hypatię i Nabuchodonozora, wezwał na pomoc wszystkich bogów (nawet tu posiadał ołtarzyki Manat, Kristosa i Merkurego), westchnął za dawnymi, dobrymi czasami, skrzyczał niewolnika, który zjawił się nie w porę z jakąś wiadomością — i dopiero pozwolił panu Berbelekowi przedstawić swą sprawę.

— Mhmmmm — ssał potem w zamyśleniu ustnik fajki — a zatem chcesz, esthlos, po prostu dowiedzieć się o niej wszystkiego, co możliwe.

— Tak.

— I, rozumiem, nie jest to prośba esthlosa Njute.

— Przekazałem ci listy od niego.

— Taak. Wysoka aristokracja. U kuzynki Hypatii. Mhm-mmm. Jeszcze qahwy?

— Nie, dziękuję.

— Tak czy owak, poślę do ciebie człowieka w sprawie negocjacji z Afrykańską, esthlos.

Na ulicach królował upał, słońce wypalało ostatnie plamy cienia ze szczelin pomiędzy kamieniami bruku, spod zadaszeń sklepów i pijalni. Przy wiktyce pana Berbeleka czekał Farad, syn seneszala domu esthle Lotty, służący Hieronimowi za przewodnika po mieście. Na widok pana Berbeleka przerwał głośną sprzeczkę z jakimś przekupniem, skłonił się i pomógł esthlosowi wejść do powozu; dopiero wtedy wsiadł sam, zachowując stosowną

odległość. Farad miał na sobie tylko krótką spódniczkę i sandały, i Hieronim, który, wyszedłszy z cienia, natychmiast spłynął potem, obrzucił go srogim spojrzeniem.

— Dokąd teraz, esthlos? — spytał młodzieniec.

— Krawiec, dobry i szybki.

— Och, to nie problem, esthle Lotte korzysta z usług najlepszego, zresztą chyba jeszcze dzisiaj powinien przyjść do pałacu wziąć miarę z esthle Latek.

— Kogo?

— Esthle Alitei.

— Ach. No tak. A daleko do jego pracowni? Do południa jeszcze sporo czasu. Muszę się przebrać w coś, mhm, nievodenburskiego.

Skóra Farada, podobnie jak wszystkich alexandryjczyków, miała barwę ciemnej miedzi. Na to jednak wystarczyło odpowiednio długo mieszkać w koronie Nabuchodonozora.

Krawiec, stary Med, zdjął miarę osobiście, machnięciem ręki odpędzając pracowników. Pan Berbelek zamówił kilkanaście kompletów ubrań i zakupił jedno już gotowe, uszyte dla kogoś innego, lecz: — On może poczekać — skwitował Med, wydymając wargi. Biel na bieli: luźne, bawełniane szalwary, obszerna kirouffa z bawełny i jedwabiu, z błękitnym wzorem na rękawach. Kirouffa była wytworną wersją burnusu, o połach sięgających ziemi i sutym kapturze. Można było ją zapiąć, aczkolwiek za dnia chodziło się w rozpiętej. Do kompletu należały sandały, lecz Hieronim pozostał przy neurskich jugrach o wysokiej cholewie. Med obiecał resztę ubrań jeszcze w tym tygodniu. Odprowadził pana Berbeleka do bramy, nieustannie gnąc się w ukłonach, ten jednak nie miał złudzeń: krawiec tak naprawdę kłania się esthle Lotte.

Wsiadając do wiktyki, Hieronim skrył głowę w cieniu kaptura.

Ihmet Zajdar czekał, jak obiecał, pod posągiem Alexandra na Rynku Świata; mimo tłumu znaleźli go bez kłopotu. Rzuciwszy na Farada krótkie spojrzenie, zaczął od razu w ockim:

— Trzy rzeczy. Po pierwsze, to polowanie. Rzeczywiście ciekawa sprawa, pokażę ci, co oni przywożą z południa. Chyba faktycznie nie zmarnuję czasu, prędzej czy później pewnie sam bym pojechał. Słyszałem, że w mieście są Daniel z Orme i stara Lucinda; nie wiem, czy dopiero wybierają się tam, czy już wrócili. Po drugie, dobra rada dla esthlosa Njute: pażuba.

Nowe ziele. W Złotych Królestwach już wypiera haszisz. Idzie na północ z karawanami kadzidlanymi, wkrótce przeskoczy z Europy do Herdonu. Po trzecie, ona. Musimy zdecydować: tu czy wypadek podczas łowów.

Zajdar również porzucił europejskie szaty. W kryjącym go od stóp do głów czarnym dżulbabie, z bambusową laską w dłoni, wyglądał jak jeden z Pielgrzymów do Kamienia. Zresztą może rzeczywiście zamierzał wybrać się do Al-Kaby. Nigdy przecież nie zadeklarował otwarcie swego uczestnictwa w polowaniu z esthle Amitace.

Wskoczył do powozu i usiadłszy po lewicy pana Berbeleka, trzepnął wiktykarzy bambusem po plecach. Krzyknął coś w pahlavi. Ruszyli, zakręcając w Trakt Beleucki, na południe. Słońce bluzgnęło im w oczy. Hieronim naciągnął głębiej kaptur.

— Jak słyszę — podjął w ockim — to już w tej chwili samo się nakręca. Przybywają nimrodowie, coraz słynniejsi, skuszeni plotkami o polowaniach na bestie, jakich świat nie widział, jadą na południe, do nich przyłączają się znudzeni aristokraci, płacąc sowicie, no bo gdzież wspanialsze łowy niż w anthosie tak wielkich myśliwych? Więc co sezon rusza wyprawa za wyprawą, dżurdże, jak je tu nazywają, już nie wypada choć raz nie wziąć udziału, forma towarzyska ogarnia miasto, kraj, powstają pierwsze pieśni i sztuki. Wiedzą, że to forma, ale chcą jej ulec. Pojedziesz? Tylko ogłoś, że jedziesz, też będziesz miał listę chętnych.

— A ty, esthlos? Nie wybierasz się? Aa, no tak, jeśli dostaniesz ją tutaj…

Czy tak mówi o swoich ofiarach? — pomyślał Hieronim. Stojąc z dymiącym keraunetem nad okrwawionymi zwłokami. „Dostałem ją”.

— Czemu sam tego nie zrobisz — mruknął — skoro najwyraźniej tak ci na tym zależy?

Nimrod skierował błękitne spojrzenie na pana Berbeleka. Czy w ogóle dojrzał jego twarz w cieniu kaptura? Bambus stukał o burtę wiktyki.

— A chcesz tego, esthlos?

Pan Berbelek nie odwrócił wzroku i Pers w końcu opuścił oczy.

— Moja jest — rzekł pan Berbelek.

— Niebo słyszało, ziemia słyszała — przytaknął pokornie nimrod.

Pan Berbelek policzył uderzenia serca. Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dobrze. Skoro już raz usiadł na dłoni — czemuż nie oswoić tego jastrzębia?

— Teraz powiesz, czegoś nie powiedział.

Ihmet wpatrywał się w koniuszek kija podskakujący w rytm obrotów wysokich kół wiktyki.

— Ardżer, osiemdziesiąty pierwszy, Ręka Thora. Miałeś tylko jedną setnię. Nie widziałem ich od lat, ale to nie znaczy, że nie obchodzi mnie ich los, ty powinieneś to zrozumieć, esthlos. Brat, cała jego rodzina. Nie żyliby. Wyprowadziłeś ostatniego mieszkańca; a nie powinieneś był, statki poszły na dno, Bałtyk był Thora. Uratowałeś wszystkich. Skoro teraz Czarnoksiężnik sięga po ciebie… Jakże mógłbym stać bezczynnie? Esthlos.

Niesamowite, zdumiał się Hieronim, poprawiając machinalnie fałdy kirouffy. Na te tysiące śmiertelnych wrogów, których człowiek narobił sobie, paląc miasta i wyrzynając armie, na te dziesiątki tysięcy — rzeczywiście zyskuje się przy okazji jednego czy dwóch przyjaciół…!

Wiktyka wjechała tymczasem na Most Beleuta, przecinający ukośnie Jezioro Mareotyjskie. Tu rozciągał się Wewnętrzny Port, zmodernizowany za czasów poprzedniej Hypatii, gdy po raz kolejny poszerzono i pogłębiono kanały łączące jezioro z Nilem i Morzem Śródziemnym. Mareot zawsze był jeziorem słonym, ale teraz stanowił właściwie dodatkową zatokę morską. Alexandria rozbudowywała się wokół niego, na nim i nad nim. Z mostu widzieli pierwsze aergarony, pałace zawieszone nad wodami Mareotu, wznoszone przy wschodnim brzegu, gdzie według prawa mogły pływać jedynie łodzie aristokratów. Farad zaraz objaśnił, który aergaron należy do kogo i kto aktualnie przegrywa w tym architektonicznym wyścigu. Z prawej strony natomiast ciągnęły się w łamanej linii kamienne nabrzeża handlowe, cumowały tu feluki i galery, statki morskie i transokeaniki, prawdziwa gęstwa masztów, dźwigów, takielunku. Farad wskazał Hieronimowi składy Kompanii Afrykańskiej, olbrzymie silosy i bakhauzy.

Z mostu zjechali w ulice Górnej Alexandrii. Tu już nie było mowy o starożytnych budowlach, tysiącletnich świątyniach i murach pamiętających czasy Pierwszego Kratistosa. Murowane budynki wznosiły się na siedem, dziesięć, piętnaście pięter, nierzadko łącząc się ze sobą ponad ulicami, co z jednej strony gwarantowało przechodniom błogosławiony cień, z drugiej zaś — człowiek odnosił wrażenie, że wjeżdża do jednego, wielkiego budynku, brudnego labiryntu gigantycznych korytarzy, gdzie można się tylko zagubić. W tej prawie zamkniętej przestrzeni kakofonia głosów ludzkich i zwierzęcych, egzotycznej muzyki i równie egzotycznych śpiewów, niemalże ogłuszała. Pan Berbelek uniósł głowę. Niebo migało nad nim w nie-

regularnych prześwitach między chodnikami łączącymi tarasy. Tam, na wyższych kondygnacjach, i na płaskich dachach tych domów, tam toczyło się pod słońcem Nabuchodonozora drugie, równoległe życie: piesi, wiktyki, wielbłądy, zebry, humije, konie, muły, kozy, stragany i przekupnie, sklepy i warsztaty. Tylko muchy, moskity i zarzy tak samo kłębiły się w słońcu i cieniu. Pan Berbelek niecierpliwym ruchem strącił sobie z twarzy nachalne owady; zaraz wróciły.

Z niewidocznego minaretu muezzin zawodził azan do popołudniowej modlitwy.

Zakręcali tyle razy, że gdy w końcu się zatrzymali, Hieronim miał trudności nawet z orientacją podług stron świata. Zajdar zeskoczył pierwszy, bez pukania otworzył drzwi i wszedł do wnętrza. Wiktyka stała w ciemnym, ślepym zaułku, dom miał kraty w oknach, na ścianach świeże wapno. Pan Berbelek wciągnął powietrze przez nos i pożałował: cuchnęło okropnie. Nad drzwiami wisiał szyld, ale napis nie posiadał wersji greckiej.

— Demiurgos Harszin, syn Zebedeusza, syna Kodżiego, taxodermista — przeczytał Farad. Tytuł demiurgosa na szyldzie nie znaczył nic: co drugi rzemieślnik ogłaszał się bez mała teknitesem.

Weszli do środka.

— Bogowie — westchnął Farad, rozglądając się po sali i zatykając nos.

Mimo licznych okien, więcej światła pochodziło z umieszczonych wysoko pod sufitem lamp; okna przesłonięte były stertami zwierzęcych trucheł, wyprawionych i niewyprawionych skór, szkieletów i pojedynczych kości, przeźroczystych i nieprzeźroczystych słojów z zakonserwowanymi w nich fragmentami ciał, jeszcze bardziej tajemniczych pudeł i skrzynek zamkniętych. Piętrzyło się to w hałdach pod wszystkimi ścianami, niegdyś zapewne poustawiane na półkach; może zresztą krył się tam na regałach jakiś porządek, oko bowiem dostrzegało jedynie chaos.

Pan Berbelek przeszedł ku środkowi sali, gdzie na równoległych stołach prezentowały się w całej swej ohydnej glorii nie ukończone jeszcze dzieła mistrza taxodermisty. Dalej, w przejściu do izb w głębi, stały dzieła gotowe. W sumie gapiła się w tej chwili na Hieronima ponad setka martwych ślepi — a co z tymi zwierzętami, co oczu nie mają, i tymi, co wytrzeszczają na razie suche oczodoły…? Pan Berbelek dotknął ostrożnie rozwartego pyska wyprężonego do skoku drapieżcy.

— Co to jest? Hyena?

— Aaaa, nie, nie, esthlos — garbaty staruszek półnegrowej morfy poddreptał do pana Berbeleka, przerywając szeptaną rozmowę z Zajdarem. — To zamówienie specjalne, wyzwanie dla demiurgosa. — Uśmiechając się, poklepał drapieżnika po nagim, to znaczy bezskórnym grzbiecie. — Nie ma takich istot, ja je tworzę, składam z martwych części.

Zrzuciwszy biały kaptur, pan Berbelek rozejrzał się po sali.

— Jak zatem poznać, które zwierzęta są prawdziwe? Nie znam się na miejscowej faunie. To na przykład — to będzie ptak, prawda?

— Aaaa, esthlos, to jest pytanie, to jest pytanie! — Harszin jął kiwać energicznie łysą głową, szarpiąc się przy tym za rzadką siwą brodę. Hieronim spostrzegł teraz, że taxodermista ma lewe oko pokryte bielmem, a ciało wykrzywia mu nie tylko garb: częściowy paraliż zniewala jego lewe ramię, unosząc łokieć pod nienaturalnym kątem. Jaka jest natura szaleństwa tego człowieka? Skoro nawet żyjąc w kalokagatycznej koronie Nabuchodonozora ulega podobnym deformacjom… Przynajmniej jego grecki pozostaje krystalicznie czysty.

— Pytanie, na którym zatrzymałem się na długie lata, zanim w ogóle mogłem próbować osiągnąć perfekcję w mej tekne. Jakie zwierzęta wyglądają „prawdziwie”, w jakie jesteśmy w stanie uwierzyć, a jakie nigdy zaistnieć by nie mogły? Za prostotą każdego piękna kryje się wielka filozofia, do której trzeba dochodzić, jak dochodzili sofistesowie, w mozole, po trupach myśli. To właśnie tu, w Alexandrii, przeprowadzono pierwsze sekcje i wiwisekcje człowieka; tradycja jest długa i bogata. Sądzisz, esthlos, że taxodermia to zaledwie prymitywna tekne upiększania ścierw? Ha!

Harszin oddreptał na moment do kąta, gdzie wygrzebał spod zwaliska śmieci oprawną w skórę książkę. Pan Berbelek wykorzystał tę przerwę, by rzucić Ihmetowi pytające spojrzenie. Pers wzruszył ramionami.

Garbus podsunął Hieronimowi książkę pod nos. *Peri fizeos. Katharmoi*, przeczytał pan Berbelek.

— Empedokles z Akragas! — zakrzyknął taxodermista, niczym kapłan rozpoczynający inwokację. — Nie Alexander, lecz on był pierwszym prawdziwym kratistosem! Wskrzeszał martwych, rządził wiatrami, jego aura wypalała choroby w całych krajach, nikt nie mógł pozostać nie przekonanym, gdy słuchał jego słów. Zaprawdę, był pomiędzy nimi jako bóg nieśmiertelny, a nie jako człowiek śmiertelny. Nazywali go czarnoksiężnikiem. Ha! Wszedł do wulkanu, lecz pyr okazał się słabszy od jego morfy, płomie-

nie nie były w stanie zniszczyć jego ciała. Empedokles z Akragas na wiek przed Aristotlem poznał prawa natury, cztery elementy, cztery korzenie, rizomata, i filia, i neikos, nieustannie łączące je i rozdzielające, wieczny bałagan i dążenie od kształtu do kształtu, od złożenia do złożenia, tak samo pomiędzy tym, co martwe, jak i tym, co żywe. I oto co mówił: Na początku nie było Formy ni Celu, jeno pomieszanie wszystkiego ze wszystkim, wolny chaos: same głowy, same ręce, same rogi, same palce, same włosy, same kopyta. Potem powstawały z nich wszystkie możliwe i niemożliwe kombinacje: niedźwiedź ze skrzydłami ważki, trzy głowy i żadnego korpusu, noga i ucho, rogate węże, dłonie ze skrzelami, ptaki o łbach tygrysich, mięśnie bez żołądków, mięśnie bez żył, mięśnie bez kości, ciała bez końca i początku. Ale większość tych tworów nie była zdolna przeżyć, albo też mogła jakoś przeżyć, lecz inne radziły sobie lepiej i wytrzebiły tamte. Tak że pozostały tylko najbardziej odważne lub posiadające organy najbardziej przydatne. Rozmnażając się, przekazywały swą Formę potomkom. Co więc ma zrobić taxodermista, który stoi nad tym zimnym chaosem ciała i wybiera, niczym Bóg, kształt nowej, nieznanej doskonałości? Muszę ujrzeć w swojej głowie całą prehistorię tego zwierzęcia, zobaczyć, jak żyje, jak poluje, jakich posiada wrogów, jak się rozmnaża, i jeśli daje sobie z tym wszystkim radę, znak to, że jest wystarczająco prawdziwe. Nawet najmarniejszy teknites flory czy fauny nie musi tego robić, gdy hoduje nowe gatunki, naginając potencję nieurodzonych, nierozwiniętych roślin i zwierząt ku swojej Formie, przeżerając je swoją aurą, przyciągając ku sobie po trochu z pokolenia na pokolenie — on wie, że cokolwiek się narodzi, będzie doskonalsze, nie jest przecież w stanie wymorfować niemożliwego. Ja, ja — z wielkim trudem odnajduję możliwe w potopie niemożliwego. Wymaga to specyficznego sposobu myślenia; myśl też może zostać skażona. Ale spytaj kogokolwiek w Alexandrii: nie ma lepszego od Harszina, syna Zebedeusza! — Wyszczerzył do pana Berbeleka resztki krzywych zębów. Wolną ręką nadal klepał po grzbiecie sztuczne zwierzę. — Uwierzyłeś w niego, prawda, esthlos? Jest równie prawdziwy, co hyena. Nazwałem go roipusem.

— Mhm, rzeczywiście, pomyślałem, że to jakieś nie znane mi zwierzę. Pan Zajdar —

— Ach, tak, tak, już prowadzę!

Starzec cisnął książkę pod ścianę i skinął na gości, by podążyli za nim. Nie oglądając się za siebie, podreptał ciasnym, pogrążonym w półmroku

korytarzem na zaplecze warsztatu. Nie przestawał mówić.

— I otóż stanąłem przed tym samym problemem, jeno teraz już rozwiązanie nie jest w moich rękach, nie moja tu decyzja, przywożą to do mnie i żądają unieśmiertelnienia w formie najprawdziwszej, tak jak żyło, ale ja nie wiem, jak to mogło żyć, jaka była tego forma prawdziwa, jakie jego życie możliwe, próbuję zobaczyć w głowie jego przodków, historię, ale to niemożliwe, niemożliwe, nie ma takiej formy, rozpada się — jako rzecze Empedokles: głowy bez tułowi, oczy bez głów, źrenice bez oczu. Może to prawda, że zmieniły się w trakcie podróży na północ nie do poznania, że nie powinni ich wwozić w serce anthosu Nabuchodonozora, ale przecież on właśnie raczej by je naprostował, uzdrowił pośmiertnie, chociaż to i tak nie ma sensu, anthos żadnego kratistosa nie jest aż tak silny, to nie o to tu chodzi, nie wiem, o co chodzi, nie potrafię, to niemożliwe.

Tak mamrocząc, otworzył boczne drzwi i weszli do drugiego warsztatu. Na trzech oddzielnych stołach stały tu, objęte drucianymi rusztowaniami, trzy truchła zwierzęce w różnym stadium dekompozycji.

Tak sobie zrazu pomyślał pan Berbelek, gdy na nie spojrzał, ponieważ z góry nakierowany był przez słowa Zajdara i Harszina na formy zwierzęce; ale po trzecim uderzeniu serca przyszła refleksja: jakie zwierzęta, to nie są, nie były zwierzęta. Nie wiedział, co to mogło być.

Po lewej miał ciemny krzak splątanych żył i ścięgien, bez krwi, bez kości, chaos wyprutych na żółte światło organów wewnętrznych — ale co to były za organy, w jakie ciało opakowane, w jakim kształcie? Ani dołu, ani góry, ani grzbietu, ani boków, ani głowy, ani ogona, jeno ciasny splot czarnych tętnic i szarych wiązadeł, nie łączących ze sobą żadnych części organizmu, kończących się i zaczynających w pustce.

Na stole na wprost pana Berbeleka wisiał między drutami czerwony jak krew niemowlęcia szkielet gigantycznego motyla. Oczywiście, motyle nie posiadają kości. Lecz oko widzi, umysł nazywa. Żeby jeszcze ten „motyl” miał głowę — ale nie miał, z obu stron wieńczyły go przezroczyste balony z napiętej błony, które w połowie wypełniała jakaś oleista maź. Lewe skrzydło „motyla”, a raczej kości lewego skrzydła — były dwukrotnie większe od kości skrzydła prawego.

Na stole po prawej druty spinały oskórowane członki wielkiej małpy, członki i łeb. Brakowało torsu.

— Mówią, że tak właśnie wyglądała — odpowiedział taxodermista na pytające spojrzenie pana Berbeleka. — Że w środku była tylko zielona mgła. I z tej mgły — łapy, nogi… Ponoć skropliła się i wyparowała, gdy wracali do Alexandrii. I co ja mam z tym począć? — rozłożył bezradnie ręce demiurgos, a lewy łokieć podskoczył mu wyżej barku.

Ihmet Zajdar podszedł do niemotyla, powoli przeciągnął paznokciem po balonie oślizgłej błony.

— Cóż, kule się ich imają — mruknął.

Po czym uśmiechnął się krzywo do pana Berbeleka, jakby już zupełnie wyzwolony spod jego Formy.

— No i jak? Nie zapolujesz, esthlos?

Nazajutrz, w Dies Lunae, 28 Aprilisa, pan Berbelek udał się do Biblioteki Alexandryjskiej. Farada odprawił już z rana. Nikt nie widział, jak Hieronim wyjmuje spod fałszywego dna swego kufra podróżnego podniszczoną książkę w czarnych okładkach i chowa ją w głębokiej kieszeni kirouffy.

Muzeum, założone przez Alexandra w sześćdziesiąte urodziny na wzór ateńskiego Lyceum jego nauczyciela i drugiego ojca, Aristotelesa, pierwotnie składało się z kapliczek poświęconych Muzom (z czasem przekształconych w świątynie najrozmaitszych bóstw), ogrodów, gdzie prowadzono pod otwartym niebem wykłady (z czasem wchłoniętych przez Ogrody Parethene), bestiarium (również wchłoniętego przez Ogrody) oraz założonej przez samego Aristotla biblioteki. Biblioteka, także finansowana z rządowego skarbca, nie skupiała się na dociekaniach fizycznych i poszukiwaniu zofii i okazała się najbardziej użyteczna dla biurokratycznego centrum Imperium Alexandryjskiego, jakim szybko stało się miasto. Wkrótce uniezależniła się, rozbudowując się ponad wszelkie zamierzenia twórcy. Obecnie, po blisko dwóch tysiącach lat nieprzerwanego zbierania, kopiowania, tłumaczenia i archiwizowania książek i wszelkich innych materialnych nośników myśli ludzkiej, Wielka Biblioteka w samej Alexandrii zajmowała ponad dwadzieścia budynków, gdzie pomieszczono kilkaset milionów tomów; nadto istniały rozliczne filie Biblioteki w krajach byłego Imperium. Jedynie Biblioteka Pergamońska za czasów potęgi Seleukidytów mogła się z nią równać.

Dla człowieka z ulicy chcącego skorzystać z tej skarbnicy wiedzy właściwą drogą była droga przez Serapeum. Świątynia Serapisa jako pierwsza zo-

stała zaanektowana przez rozrastającą się Bibliotekę. Nadal stanowiła miejsce kultu boga płodności i śmierci — choć tu pierwszeństwo posiadała słynąca z licznych uzdrowień świątynia kanopijska — lecz przede wszystkim pełniła rolę publicznego wejścia do Biblioteki. Bibliotekarze i kapłani przez wieki wypracowali kodeks pokojowego współżycia, z którego obie strony były zadowolone.

Wiktyka pana Berbeleka przejechała przez most nad Jeziorem Mareotejskim, skręciła z Traktu Beleuckiego w lewo i ugrzęzłszy w tłoku ulicznym, zatrzymała się pośrodku południowo-zachodniego kwartału Starej Alexandrii. Hieronim zapłacił wiktykarzowi, po czym, narzuciwszy kaptur na głowę, wtopił się w nurt przechodniów. Wzorem Zajdara nabył bambusowy kij, tak zwaną ryktę — służyła ona głównie do dźgania innych przechodniów w żebra i obijania im łydek, tudzież zastawiania się przed ryktami cudzymi. Aristokraci z zasady nie poruszali się po mieście pieszo i bez towarzystwa sług.

Do Serapeum nie mógł nie trafić, widział je już z daleka. Nawet nie w tym rzecz, że sama budowla była wysoka — a była — lecz stała na olbrzymiej platformie wyniesionej ponad miasto. Pan Berbelek, wspinając się, liczył stopnie wielkich schodów. Sto sześćdziesiąt trzy. Na środku platformy wznosiło się sanktuarium otoczone marmurową kolumnadą. Nie było drzwi ani strażników, w każdym razie Hieronim ich nie dostrzegł; każdy mógł wejść. Za kolumnadą, za cienistym przedsionkiem ze lśniącą mozaiką nasufitową, przedstawiającą Słońce, otwierała się Wielka Sala świątyni, z posągiem Serapisa w centrum. Nie był to oryginalny posąg dłuta Briaxisa, wykonany na osobiste zlecenie Alexandra — tamten uległ zniszczeniu podczas Drugiego Powstania Pitagorejskiego. Zastąpiono go figurą przeniesioną z Serapeum kanopijskiego. Brodaty bóg siedział z rozłożonymi ramionami — pod jednym przycupnął dwugłowy pies, o drugie wspierał się masywny skeptron — a był tak olbrzymi, że jego dłonie dotykały ścian po obu stronach. Ściany były pokryte ornamentami ze złota, srebra i brązu; sam bóg wykonany został ze złota, srebra, ołowiu, rubii i cyny, szafirów, hematytów, emeraldów i topazów. Wysoko w jednej ze ścian znajdowało się małe okno, które otwierano w dzień celebry, gdy wnoszono do sanktuarium Żywe Słońce; przez to okienko wpadał wówczas wąski promień słoneczny i kładł się jasnym pocałunkiem na wargach boga. Samo Żywe Słońce podnoszono na wysokość jego ust — tam zawisało w powietrzu, pomiędzy

otwartymi dłońmi boga. Gdy przejeżdżali wczoraj przed świątynią, Farad usłużnie wyjaśnił panu Berbelekowi, iż w ręce Serapisa wbudowano potężne magnesy. Hieronim żałował, że nie dane mu już będzie ujrzeć celebry w ignorancji, jak powinno się czcić wszelkich bogów.

Za posągiem po obu stronach otwierały się drzwi prowadzące do naw bocznych i dalej, w podziemia, ciągle powiększanym labiryntem magazynów sięgające głównego budynku Biblioteki. Pod prawym ramieniem Serapisa znajdował się stół datków dla świątyni, pod lewym — stół datków dla Biblioteki. Darowizny były oczywiście dobrowolne i ich wysokość dowolna, lecz Farad w swoim niepowstrzymywalnym słowotoku zdążył był objaśnić panu Berbelekowi także tę tradycję.

Hieronim skręcił w prawo, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kirouffy i złożył na stole pięć talentów zbożowych. Urzędnik Biblioteki podniósł wzrok znad księgi datków.

Pan Berbelek oparł na krawędzi stołu dłoń z pierścieniem rodowym na serdecznym palcu.

— Esthlos Hieronim Berbelek-z-Ostroga szuka mądrości w przybytku Muz — rzekł po grecku.

Urzędnik skinął na jednego z nagich niewolników przykucniętych obok pod ścianą. Niewolnik przyskoczył ku niemu; urzędnik szepnął mu coś do ucha. Doulos oddalił się szybkim krokiem w głąb bocznej nawy.

— Raczysz spocząć, esthlos.

Pan Berbelek usiadł na marmurowej ławie za plecami Serapisa. Dłonie oparł na rykcie wpartej w posadzkę między stopami. Twarz krył mu biały kaptur; żelazny pierścień z Szarańczą stanowił jedyny widoczny znak tożsamości.

— Esthlos?

Uniósł głowę. Przywołana bibliotekarka była bez wątpienia rodowitą alexandryjką, jeśli sądzić po miedzianej skórze, piersiach o klasycznym kształcie, czarnych włosach i prostym, wąskim nosie. Długą spódnicę spinała wysoko w talii sprzączka z gemmem Biblioteki.

Zaprowadziła go do wschodniej nawy, gdzie usiedli przy jednym z niskich marmurowych blatów zastawionych stosami książek. Dwoje bibliotekarzy pracowało w głębi pomieszczenia, rozmawiając cicho nad rozłożonymi papierami. Było to sanktuarium cienia, chłodu i ciszy; lampy dawały tylko tyle światła, by dało się przy nim czytać.

Bibliotekarka poczęstowała Hieronima miodorańczą z wypełnionej owocami misy. Podziękował.

— Berenice — przedstawiła się. — W czym mogę pomóc?

Wyjął książkę. Berenice wyciągnęła rękę. Po ledwie zauważalnym momencie wahania wręczył jej czarny tom.

Otworzyła go, przewróciła kilka stron i spojrzała pytająco na pana Berbeleka.

— Greckie, ockie, gaelickie, vistulskie, gockie, moskiewskie lub łacińskie tłumaczenie. Macie któreś z nich? Na pewno macie.

Berenice w zamyśleniu ułożyła sobie zamkniętą książkę na kolanach — brudna czerń na miękkiej bieli — splotła na niej dłonie — teraz spostrzegł, że na kciukach nosi identyczne obrączki — i pochyliła lekko głowę. Oboje skryli swoje twarze: ona — za zasłoną włosów, on — w cieniu kaptura.

— Chciałabym wiedzieć, jak wszedłeś w jej posiadanie, esthlos.

— Macie te tłumaczenia czy nie?

— Och, na pewno mamy.

— Więc?

— Jak? — powtórzyła. — Esthlos?

— O co chodzi? To jakiś rzadki okaz?

— Naprawdę nie wiesz —

— Czy przychodziłbym tutaj i pytał —

— No tak. Tak. — Milczała przez chwilę. — Właściwie powinnam o tym zameldować zwierzchnikom.

— O czym, na bogów? Przynajmniej powiedz mi, co to za książka. Co to za język. Co w niej jest napisane. Wiesz przecież.

— Wiem, wiem, znamy takie książki.

Sposób, w jaki to powiedziała — intonacja, z jaką opuściło jej wargi słowo „takie” — otworzył w głowie Hieronima ścieżkę szybkich skojarzeń. Biblioteka Alexandryjska jest instytucją teoretycznie niezależną, lecz znajduje się przecież na ziemi Hypatii, w anthosie Nabuchodonozora. Berenice, będąc rodowitą alexandryjką, nosi w sobie wszystkie dobrodziejstwa i przekleństwa tej Formy.

Pan Berbelek zrzucił kaptur. Obróciwszy się ku kobiecie, ujął ją lekko za ramię. Drgnęła.

— Możesz mi powiedzieć — rzekł. — Powinnaś.

Odruchowo skinęła głową.

— *Światło naszej Pani*, prawdopodobnie z pierwszego druku — zaczęła szybko. — Język Labiryntu, jedno z pism świątynnych Kaftoru, nie używany przez tysiąclecia. Kiedy po Piątej Wojnie Kratistosów i Wygnaniu Illei Kollotropyjskiej pojawiły się kulty księżycowe, przyjęły one tamte tradycje i potraktowały ten skompletowany na nowo język jako swoisty szyfr. Pisma i książki zaczęły krążyć po Europie i Afryce Alexandryjskiej. Tuż po Wygnaniu kratistosi pozostawali szczególnie wyczuleni, naciskali na władców, wszystkich pochwyconych wyznawców Pani skazywano na śmierć. Minęło kilkaset lat, ale podobna książka nadal stanowi poszlakę obciążającą pod anthosem większości kratistosów. Także tutaj, także pod anthosem Nabuchodonozora; zwłaszcza tutaj. Przecież musisz wiedzieć, esthlos: Potnia ongiś władała tymi ziemiami, od Pirenejów po Sadarę i Axum. Mamy te tytuły w Bibliotece, bo mamy wszystkie, ale nie wypożycza się ich i nikt z zewnątrz nie posiada do nich dostępu.

Przeklęta Magdalena Leese, pomyślał pan Berbelek. Jeszcze tylko tego mi brakowało. Jeśli Szulima również w tym tkwi…

Ścisnął ramię Berenice; przecież już mu uległa, nie odmówi teraz.

— Oddaj.

Ale ona poderwała się, oswobodziła z uchwytu, odstąpiła od stołu. Książkę przycisnęła do piersi (brudna czerń na jasnym brązie).

— Myślę… myślę, że teraz już pójdziesz, esthlos.

I to by było tyle, jeśli chodzi o powrót wielkiego strategosa, westchnął w duchu Hieronim, z powrotem naciągając na głowę kaptur. Byle bibliotekarka — już wystraszona, a mimo to bez problemu ucieka mi spod ręki. Inna rzecz, czy ja rzeczywiście położyłem na szali morfę strategosa, przecież nie poderżnąłbym jej gardła, to nie był rozkaz, nie składała mi nigdy przysięgi. Nie jesteś kratistosem, Hieronimie, ani królem, ani aristokratą czystej Formy. Dziecinne wyobrażenia Abla rzucają ci się na umysł. Czarnoksiężnik zjadł twoje serce, zapomnij o tamtym życiu.

Wyszedł z Serapeum na rozsłoneczniony plac. Z wysokości stu sześćdziesięciu trzech schodów widział całą Starą Alexandrię, aż po świątynię Izydy i Wielką Latarnię na wyspie Pharos. Niebo było bezchmurne, niepokalany błękit, z którego spływa oczyszczająca jasność. W kilka uderzeń serca całkowicie zmienił się Hieronimowi nastrój. Mimo wszystko — pomyślał, wciągając do płuc morską bryzę — mimo wszystko Ihmet miał rację: długie dni, ciepłe noce, światło rozpuszczone w powietrzu, ludzie piękniej-

si, zdrowsi, przyprawy bardziej pikantne, wina bardziej gorzkie; tak można wmówić w siebie życie i radość z życia, to jest szlachetna forma. Tysiąc błogosławieństw dla Nabuchodonozora Złotego! Nie poddam się. Zawsze mogę przynajmniej splunąć jej w twarz, prawda?

Schodząc z platformy świątynnej, pan Berbelek śmiał się na głos.

Rozdzielili się pod Fontanną Hezjoda. Alitea była przekonana, że on zamierza odwiedzić rzymski burdel, dobrze odczytała jego nastrój, ale Abel był podekscytowany zupełnie czym innym. Wczoraj, po wieczerzy, zagadał się z Zenonem, synem esthle Lotte z pierwszego małżeństwa. Niewolnice wciąż dolewały wina, rozmowa meandrowała, dokąd tylko prowadziły ją pierwsze skojarzenia — circus Aberrato K'Ire, czarne olimpiady, rzymscy gladiatorzy — i wtedy Zenon opowiedział o tym miejscu i pokazał swą bliznę, ukrywaną przed matką i familijnym teknitesem ciała: wąską, bladą szramę na biodrze. — Każdy młodzieniec z dobrego domu ma chociaż jedną — zapewnił Zenon. — To jest teraz w modzie. Chodzą wszyscy. Nie wypada unikać. Ogrody Parethene, oczywiście Dies Martis, godzina po zmierzchu, ale trzeba być wcześniej. Ogród Dwudziesty Drugi. Za poręczeniem. Jedna blizna, jedno poręczenie. Chcesz?

Co za pytanie! Forma nie dopuszczała odmowy, tylko tchórz by odmówił — nic dziwnego, że „chodzą wszyscy". Ale on naprawdę chciał. Choć może właśnie Forma sprawiła, że chciał. Z salonu do salonu, z dzielnicy do dzielnicy, gdziekolwiek spotka się dwóch lub więcej dobrze urodzonych, młodych mężczyzn, wystarczy, że tylko jeden ją narzuci świadomie, mimowolnie — ona zwycięży, niemożliwa do odwrócenia, poniosą ją dalej… Kiedy tak o tym teraz myślał, wchodząc do Ogrodów, obejrzawszy się raz za siebie, na wieczorne miasto, Alexandrię od horyzontu po horyzont, od nieba do nieba, naszło go wyobrażenie tej niewidzialnej pięści, zamykającej się na stolicy Aegiptu i wyciskającej z niej najświeższe, najżywsze soki wprost na żyzną ziemię Ogrodów Parethene, co tydzień, w Dzień Marsa, godzinę po zmierzchu. Jeśli jacyś w ogóle istnieją, to tylko właśnie tacy bogowie, rzekł sobie Abel. I tak właśnie składamy im ofiary: gorliwie, z chęcią, z własnej, nieprzymuszonej woli. Bo wiem, że to Forma, ale chcę jej ulec. Gdybym tu nie przyszedł, nie potrafiłbym spojrzeć im w twarz: Zenonowi, innym, którzy wiedzieliby, że odmówiłem. Wstydem nie rządzi ro-

zum. Wstyd rodzi się z dokonywanego nieustannie porównania z obrazem człowieka takiego, jakim chcielibyśmy być. Tak samo ojciec powinien był pokarać tego mordercę na „Al-Hawidży”; wstyd, że pozwolił mu umknąć. Ja wiem, jak nie mogę się nie zachować. Nieświadomie gładził przez cały czas rękojeść gockiego kandżaru ukrytego pod kirouffą.

Święte Ogrody Parethene założono jeszcze pod aurą kratisty Illei, przed Wojnami Kratistosów. Powiada się, że wszyscy najlepsi teknitesowie ge i flory to kobiety, ich to dzieła przechodzą do historii. Twórcą Ogrodów była Maria Anatolijka, Czarna Gołębica, ta, która wyhodowała palmę mleczną i pszenicę piaskową, sierb i zerbigo. Przemorfowała ów skrawek aegipskiej ziemi w ten sposób, że każda roślina była odtąd zdolna narzucić mu swoją Formę — najbardziej egzotyczne okazy z najodleglejszych zakątków Ziemi rosły tu w warunkach zbliżonych do tych z kraju ich pochodzenia. (Już za czasów Nabuchodonozora część Ogrodów obudowano panelami z vodenburskiego szkła, aby zapewnić dodatkową izolację). Sofistesi do dzisiaj spierali się, na czym właściwie polegała morfa Czarnej Gołębicy, co takiego zrobiła ona tutaj z kerosem.

Ogrody Parethene były dostępne dla gości przez całą dobę, opłata wynosiła dwadzieścia drachm. Abel zapłacił i wszedł. Od stojącej za bramą kapliczki Parethene alejka rozwidlała się, odnogi biegły w przeciwne strony, po obwodzie. Wewnątrz tego okręgu znajowały się ogrody zamknięte, pozostające zazwyczaj pod patronatem świątyni bądź wysokich domów; na zewnątrz — ogrody otwarte, pod patronatem Hypatii. Ogród Dwudziesty Drugi był ogrodem wewnętrznym, zapisanym na Ptolemeuszy.

Zapadał już zmierzch, niewolnicy zapalali lampy. Oświetlano tylko obwodową aleję, wnętrza ogrodów szybko pogrążyły się w półmroku, splecionym z milionów ruchomych cieni. Mijając kapliczkę, Abel spojrzał ponad żelaznym ogrodzeniem — z północnych ogrodów widać doskonale morze, Wielką Zatokę i Pharos, odbite światło latarni przedziera się przez gąszcz nawet tutaj. Abel wszakże skręcił na południe.

O tej porze Ogrody odwiedzali głównie szukający odosobnienia kochankowie; dwudziestodrachmowa wejściówka była między innymi po to, by zniechęcić do korzystania z nich kurwy uliczne. Ogród Induski, Ogród Hatata, Ogród Antypodów — te cieszyły się największą popularnością. Niewielu odwiedzało Ogród Lodowy i Ogród Sadary.

Abel minął pierwszy zakręt. Przy każdej odnodze stał mały posążek Parethene, po trzymanym przez nią atrybucie można było rozpoznać charakter danego ogrodu. Zenon powiedział Ablowi, by ten skręcił przy Parethene ze smokiem u stóp.

Lecz nie powiedział mu, że jest to zaledwie drugi ogród południowej alei i Abel, zaskoczony, przystanął na widok kamiennej figury kobiety i potwora. Dłoń ściskała mokrą od potu rękojeść kandżaru. Oblizał wargi, rozejrzał się — nikt akurat nie przechodził, zresztą jakie to ma znaczenie, czy ktoś go zobaczy, o to przecież chodzi, niech wszyscy zobaczą, jak Abel Latek, Abel Berbelek tym oto kandżarem —

Mogło mi się coś stać, mogłem zabłądzić, ojciec mógł mnie złapać i zabronić, wcale nie muszę tam iść, jakoś się wymówię, uwierzą — wiedział, że nie uwierzą — przecież byle kamień pod stopą, byle potknięcie w złej chwili, przypadek, pchnięcie między żebra, lekarz nie zdąży, to się zdarza, Zenon mówił, że się zdarzało — ale przypadek nie ma wpływu na Formę, czy Alexander Wielki mógłby zginąć, spadłszy z konia? — jeśli teraz wrócę, a nikt mnie nie widział, nikt więc nie będzie wiedział, że —

Zostawił posążek daleko za sobą, był już przy drzwiach ogrodu, stalowe godło Ptolemeuszy — orzeł na błyskawicy — lśniło w półmroku. Otworzyły się, zanim zapukał. Zenon czekał przy odźwiernym, gotów poręczyć.

— Wchodź, wchodź, zaczęli wcześniej!

Poczęstował go tytońcem. Abel zaciągnął się głęboko. Trzymał tytońca w lewej dłoni; spojrzał — nie drżała. Uśmiechnął się krzywo.

— Dobrze; miałem nadzieję, że nie będę musiał czekać.

Ziemię Smoków, Południowy Herdon porastały najwyraźniej gigantyczne drzewa o pniach niczym wieże, ich wysokie korony całkowicie przesłaniały ciemniejące niebo. Drogę wskazywały papierowe lampiony i echo grupowych pokrzykiwań. Szli za niewolnikiem dźwigającym na ramieniu wielką amforę. Zenon popędzał Abla, zaraz wyprzedzili doulosa. — No chodź, niech przynajmniej zobaczę, jak to się kończy! — Z konarów gigantycznych drzew zwisały girlandy ciemnofioletowych pnączy, o lekko fosforyzujących, czerwonych kwiatach. Wchodząc na polanę, Zenon cisnął niedopałek do wnętrza jednego z ich kielichów. Kwiat natychmiast zacisnął się w purpurową pięść.

Na polanie zebrała się blisko setka ludzi, chłopcy i dziewczęta, zapewne nikt starszy ponad dwadzieścia pięć lat; w jednomorfowej perfekcji swych

ciał, dodatkowo idealizowanych przez hojnie opłacanych teknitesów, podobni do siebie niczym bracia i siostry, wszyscy aristokraci lub potomkowie rodów do aristokracji aspirujących, przyszła elita Alexandrii, Dzieci Nabuchodonozora. Śmiali się, skandowali przekleństwa, wyzwiska i zachęty, pili z kryształowych pucharów ciemne wino, palili w perskich fajkach słodki haszisz. Część siedziała na trawie w rozłożystych korzeniach smoczych drzew, kilka par pogrążonych w pieszczotach przestało nawet zwracać uwagę na otoczenie — lecz większość stała w szerokim kręgu wokół centrum polany, gdzie jeden nagus z nożem w garści gonił drugiego nagusa z nożem. Pierścień czerwonych lampionów wisiał nad ich głowami.

Zenon z Ablem przepchali się do pierwszego szeregu. Zenon porwał po drodze od przechodzącego doulosa czarę z winem.

— Ha! Wiedziałem! Serce myszy! — Splunąwszy z obrzydzeniem, wyciągnął w stronę uciekającego nożownika rękę z palcami wyprostowanymi w geście Odwróconych Rogów.

Abel spostrzegł, że inni wykonują ten sam gest. Głosy przeklinały tchórzostwo Gajusza i ponaglały Axyndra, by wreszcie dopadł tamtego. Abel zaciągał się desperacko tytoniowym dymem, ale to też już nie pomagało.

Przeciwnicy gonili się po okręgu, musiało to trwać już dłuższy czas, raczej truchtali, niż biegli, Axynder wrzeszczał na Gajusza, wymachując nożem, czerwony na twarzy, Gajusz oglądał się przez ramię. Żaden z nich nie był nawet draśnięty.

W pewnym momencie Gajusz zatoczył się i potrącił jednego z widzów; ten odepchnął go i Gajusz przewrócił się, padając na plecy. Axynder doskoczył do niego — teraz go zabije, pomyślał Abel — Gajusz odrzucił precz nóż i Axynder postawił stopę na jego piersi. Obaj dyszeli ciężko.

Tłum zaczął skandować jedno słowo: — Hołd! Hołd! Hołd! —Forma sytuacji była tak silna, że Abel ani się zorientował, a sam jął wykrzykiwać owo żądanie, chwila musi się dopełnić, taka jest oczywistość: — Hołd! Hołd!

Axynder przysunął brudną nogę do ust pokonanego. Gajusz nie mógł się już nawet zawahać. Z zamkniętymi oczyma uniósł głowę i pocałował stopę zwycięzcy.

— Axynder! Axynder! Axynder! — skandował tłum, Abel wraz z nim.

Do Axyndra podbiegły dwie dziewczyny, zaczęły się uściski i całusy, Axynder, promieniujący tryumfem, wznosił do góry czystą klingę niczym

jakieś trofeum; ktoś wręczył mu kielich wina, on wylał je sobie na głowę. Wszyscy się śmiali.

Gajusz odczołgał się poza zasięg światła czerwonych lampionów.

— No dobra — mruknął Zenon i oddał Ablowi pustą czarę. — Herman jest. Póki się nie rozejdą.

I nim Abel pojął znaczenie jego słów, syn esthle Laetitii Lotte wystąpił na środek polany i trzykrotnie klasnął.

— A teraz! — zakrzyknął. — Panie i panowie! Teraz! Bo wieczór dopiero się zaczął! Nie odchodźcie! Teraz! Szacunek dla esthlosa Hermana z Meretepów! Syna Admosa! Krwi tysiącletniej! Prawnuka Pogromcy z Rodos! Dziewiętnaście lat! Trzecie wyzwanie! Cztery blizny! Szacunek! Teraz! — Herman wystąpił z kręgu na środek polany, za całe odzienie miał białe szalwary, szybko je zrzucił; ktoś cisnął mu nóż, Herman złapał go w powietrzu. Zenon zwrócił się ku Ablowi. — Teraz! Teraz! Szacunek dla esthlosa Abla z Berbeleków! Syna Hieronima! Hieronima Berbeleka! Tak! Strategosa Europy! Zwycięzcy z Umity! Zwycięzcy z Finas! Zdobywcy Psiego Grodu! Pioruna Vistulii! Hańby Czarnoksiężnika! Tak! Syna Hieronima Berbeleka! Szesnaście lat! Pierwsze wyzwanie! Szacunek! Teraz! Tu! Teraz!

Z każdym wykrzykiwanym honorem ojca Abel z coraz większą pewnością czuł, że przegra, że musi przegrać, zwycięstwo jest niemożliwe. Powoli i spokojnie, niczym w transie — pewność była tak wielka — zdjął kirouffę i szalwary, rozpiął sandały, wyjął z pochwy gocki kandżar. Na moment zagapił się na czarne, zakrzywione ostrze z purynicznej stali. Rękojeść-kobra była mokra od potu, otarł dłoń o udo.

Zenon, wracając do szeregu widzów, klepnął Abla w plecy. Abel uniósł głowę. Nic nie słyszał, oni już coś skandowali, ale on nie słyszał, czerwone światło odebrało mu słuch. Herman szedł ku niemu, wyższy o pół pusa, z nożem ściskanym w dziwnym uchwycie na wysokości piersi. On trenował, pomyślał Abel, on już walczył, on umie. Ja sztyletem tylko się bawiłem. Nie mam prawa wygrać. Powinienem rzucić broń i paść na ziemię, ucałować mu stopy. Inaczej potnie mnie. Szlachtt!

Wyobraził to sobie: jak klęka i całuje jego stopy. Krew uderzyła mu do głowy. Wyszczerzył zęby. Szacunek dla esthlosa Abla Berbeleka! Syna Hieronima! Skoczył na Hermana. Tamten zamrugał, uniósł nóż, w ostatniej chwili opuścił go, cofnął się, odwrócił i zaczął uciekać. Abel zawsze był szybki, w gymnazjonie prześcigał wszystkich rówieśników. W dziesięć su-

sów dopadł Hermana, ciął go przez plecy, przez udo, przez ramię, przez plecy; złapał go za włosy i szarpnął, zatrzymując w miejscu, po czym wbił mu kandżar w prawy pośladek.

Herman upadł. Dyszącego Abla odciągnął Zenon. Nad pokonanym pochylali się już lekarze, demiurgosi krwi i kości. Abel odwrócił zdumiony wzrok.

Wysoka aristokratka o diamentowych pierścżykach i kolorowym tatuażu oplatającym szyję podała Ablowi wielki kielich pełen wina. Uśmiechała się szeroko. Abel, ruchem tak naturalnym jak otarcie potu z czoła, przygarnął ją do siebie i pocałował, łapczywie wyjadając oddech spomiędzy jej warg.

Zenon szarpnął go za ramię i wzniósł ponad głowę jego prawą dłoń, nadal zaciśniętą w pięść. Już wszyscy skandowali, taka była oczywistość:

— Abel! Abel! Abel! Abel! Abel!

Pierwszą rzeczą, jaką esthle Laetitia Lotte zrobiła, powróciwszy do Alexandrii, było zorganizowanie powitalnego przyjęcia. Witała bynajmniej nie esthle Amitace; chodziło o to, by alexandryjska aristokracja mogła się przywitać z Laetitią. Przyjęcie miało być, według słów Lotte, „dosyć skromne”. Zaprosiła nieco ponad setkę gości. Wieczorem trzeciego Maiusa, o Przyklęku Słońca — gdy krawędź tarczy słonecznej dotyka złotego posągu Alexandra — otworzyły się wrota pałacu.

Gościnność esthle Lotte, jakkolwiek wielka, miała swoje granice, nigdy nie było zresztą zwyczaju refundować gościom zakupów i pan Berbelek musiał zapłacić za ubrania dla siebie i dzieci z własnej kiesy. Mimo wszystko uniósł brew, gdy ujrzał rachunek przedstawiony przez medyjskiego krawca i babilońskiego jubilera Lotte: dziewięćdziesiąt procent należności to była należność za stroje Alitei. Zapłacił oczywiście bez kłótni; niemniej przy pierwszej okazji przepytał Porte i Antona co do krążących wśród służby i niewolników plotek (najpewniejsze źródło informacji w każdym domu) i wyszło na jaw, czego w gruncie rzeczy Hieronim się spodziewał: Alitea większość czasu spędzała z esthle Amitace, w pałacu lub w mieście, w ekskluzywnych łaźniach i someach teknitesów ciała, także zakupów dokonywała w towarzystwie Szulimy. Ona morfuje ją na moich oczach, irytował się w duchu pan Berbelek. Teraz, gdy Alitea jest najbardziej podatna, Amitace kształtuje jej przyszłość. I jak ja mogę temu zapobiec? Nie mogę; mu-

siałbym złamać Formę własnej córki, musiałbym związać jej wolę. Kiedy to się zaczęło, na „Al-Hawidży”? Czy już podczas spotkania w cyrku? Bo prawdą jest, że rodzice nigdy nie są najbliższymi przyjaciółmi swych dzieci; ta rola przypada zawsze obcym, gdy dzieci poszukują sposobu na wyrwanie się spod formy ojca, matki — i wpadają na oślep w formy przeciwne. Tylko że w przypadku Abla to ja jestem tym obcym. Alitea zaś — Alitea znalazła sobie Starszą Siostrę.

Gdy jednak ujrzał ją owego wieczoru w wielkim atrium pałacu, u boku kuzynki Hypatii, witającą się z nowo przybyłymi gośćmi, w jednym z tych strojów, za które zapłacił był małą fortunę — cała złość z niego wyparowała i przyznał spokojnie, że przegrał tu z Szulimą i w istocie nie jest nawet z tego powodu zły. Ujrzał bowiem piękną kobietę, dumną aristokratkę. W ciągu tych kilku dni Amitace prawie zdołała przeobrazić Aliteę w alexandryjkę, nawet jej skóra jakimś cudem zaczęła nabierać owego miedzianego odcienia, barwy „nabuchodonozorowego złota”. Czarne loki spadały na plecy w starannie ufryzowanych falach, aż do równie czarnego, szerokiego pasa, przeszywanego srebrnymi nićmi, spod niego wypływał śnieżnobiały jedwab długiej spódnicy, rozciętej prawie do kolana, w rozcięciu migały złote rzemienie wysokich sandałów, kilkakroć obiegające smukłą łydkę; ta noga była lekko wysunięta. Alitea stała wyprostowana, z głową odchyloną do tyłu, uniesionym podbródkiem, ramionami cofniętymi, piersiami — co prawda jeszcze dalekimi od nabuchodonozorowej morfy — podanymi w przód, srebrny naszyjnik schodził między nie soplem zimnego metalu, na pół skryte za widnokręgiem Słońce krzesało na nim ostre błyski, gdy Alitea unosiła prawą rękę, odwracając dłoń, by witający się aristokraci mogli ucałować w pokłonie wnętrze jej nadgarstka, i wysocy aristokraci Aegiptu istotnie kłaniali się, składali formalne pocałunki, ona nagradzała ich skinieniem głowy i ruchem czarnego wachlarza ze skrzydła bazyliszka, trzymanego w ręce prawej, z lekkością i konfidencją godnymi zaiste esthle Amitace, otworzyć, złożyć, otworzyć, zatrzepotać, złożyć, dotknąć ramienia gościa — nawet gdy już potem odeszli i zmieszali się z innymi, oglądali się na Aliteę, wymieniali półgłosem uwagi, próbowali pochwycić jej spojrzenie. Udawała, że nie dostrzega.

Po prawicy esthle Lotte stali jej synowie oraz esthle Amitace i esthlos Kamal, przyrodni brat Laetitii. Miał to miejsce zajmować esthlos Berbelek, lecz wymówił się interesami. Co gorsza, wymówka była prawdziwa: zgod-

nie z informacją otrzymaną od Aneisa Panatakisa, zaproszenie przyjął i w pałacu esthle Lotty pojawił się esthlos Qethar Anudżabar, jeden z dwóch głównych udziałowców Kompanii Afrykańskiej. Nie czekając na formalne przedstawienie, podszedł do Hieronima i zainicjował rozmowę. Oczywiście był odeń znacznie wyższy; spod rozpiętej kartiby wyzierał czarny, muskularny tors (Anudżabar przez większą część roku mieszkał w anthosie Meuzuleka, w twierdzy Sala na zachodnim wybrzeżu Afryki), twarz okalała przycięta w kwadrat broda, grube wargi nieustannie wykrzywiał bezczelnie szczery uśmiech. Wobec małomówności Berbeleka łatwo narzucił formę konwersacji. Kieliszkiem absyntu wskazywał poszczególnych gości i półgłosem powtarzał Hieronimowi co zabawniejsze plotki na ich temat; czasami te plotki okazywały się w istocie aluzyjnymi komentarzami do złożonych w listach Kristoffa Njute propozycji handlowych. Pan Berbelek słuchał z ciekawością. Esthle Lotte chyba rzeczywiście znała każdego, kogo opłacało się znać w Alexandrii.

— Esthle Marta Odijja, Druga Powierniczka Gemm, w istocie kontroluje kancelarię Hypatii, dzieliła z Hypatią ostatnich dwóch kochanków; kiedyś wpadła w szał i udusiła kilka swoich niewolnic. O, a to Izydor Wół, uśmiechnij się do niego, esthlos, ci dwaj to jego ochrona, byli żołnierze Horroru, dziwne, że w ogóle przyszedł, żebyś widział, w jakiej fortecy mieszka; kiedyś miał prawie monopol na handel ze Złotymi Królestwami, ostatnio się popsuło, ostra konkurencja, już trzy zamachy, może więcej. Uprak Indus, nie ten, w lewo, ten obok Rzymianki z rubinem w cycku, Uprak odziedziczył szaleństwo Chimeroysa, forsuje projekt tamy na Nilu, utopił już w tym połowę fortuny, Hypatia i Nabuchodonozor oczywiście nigdy nie wyrażą zgody, ale, na Kristosa, nie mów mu tego, he he! O, pojawił się nasz skośnooki dyplomata, Uzo, człowiek ipońskiego cesarza, rzadko odwiedza miasto, trzyma się na granicy korony Złotego. Bardzo popularny na dworze, daje niebotyczne łapówki. Żebym jeszcze tylko wiedział, w jakim celu. Za kwiatami japrysu, pod parasolem — siostry Iczepe z Ptolemeuszy. Azi i Trez, ale nie odróżnisz, która jest która: mieszkają razem, wyszły za tego samego mężczyznę, teknites usuwa im wszelkie różnice ciał, same chyba się nie odróżniają, jedna morfa. O, ten młodzian, który nie może oderwać się od ręki twojej córki — esthlos Dawid Monszebe, z Drugich Monszebów, wnuk Namiestnika Górnego Aegiptu, ares. Chciał uciec do Horroru, ojciec trzymał go pod strażą przez pół roku. Widać się ugiął;

albo też Dawid złożył jakąś przysięgę. Ci, co właśnie wchodzą, Glakkowie. Mieli w rodzinie demokratę, podejrzana morfa, lepiej się trzymać z daleka. Ta piękność, co właśnie wita się z Laetitią — esthle Ignatia z Aszakanidów, pochodzą z Indu, ale od dwóch pokoleń w koronie Złotego, Ignatia ponoć nawet spotkała się osobiście z kratistosem. Po drugiej stronie basenu, przed flecistą — esthlos Heine Onykos, dopiero co wrócił z dżurdży. Właśnie, przecież ty się wybierasz na dżurdżę, prawda, esthlos?

— Zostałem zaproszony.

— To jak, jedziesz, nie jedziesz? Pogadaj z nim.

Esthlos Anudżabar bez problemu przekonał seneszala, by do wieczerzy posadził ich przy jednym stole. Esthlos Onykos istotnie zaraz został zapytany o swoją niedawną wyprawę myśliwską.

— Tego nie da się opowiedzieć — rzekł wreszcie, pomamrotawszy i poszarpawszy się za brodę. — Jak sobie teraz przypominam… To wszystko było nie tak. To znaczy — przywieźliśmy przecież rozmaite trofea, ale one też już są niepodobne, to była zupełnie inna forma, nie do utrzymania w koronie Nabuchodonozora; i tak samo jest ze wspomnieniami. Co ja mogę wam opowiedzieć? Że potwory? No potwory. Trzeba samemu pojechać i zobaczyć.

— Jak daleko zaszliście? — dopytywał się Qethar.

— Nie tak daleko. Dwie dziesiąte drugiego kręgu. Północny brzeg Żółwiej. Lucinda chciała iść dalej, ale nimrodowie zawsze chcą. Xewry i humije przestawały się nas słuchać, jedzenie smakowało już okropnie, w nocy kamienie wpełzały zwierzętom pod skórę, jeden z niewolników zaczął srać ustami —

— Eee, nie przy jedzeniu! — skrzywiła się esthle Ignatia Aszakanidyjka.

— Przepraszam. W każdym razie zdecydowaliśmy, że czas wracać.

Pan Berbelek słuchał w milczeniu.

— Ponoć pomaga, jeśli napoić je pażubą — odezwał się esthlos Dawid Monszebe, który również siedział przy tym stole. Przez większość czasu okręcał się na krześle, by móc spojrzeć na usadzoną przy stole Lotte Aliteę, i nie zwracał uwagi na dyskusję. Hieronim zastanawiał się, czy młody ares w ogóle wie, że ten tu esthlos Berbelek jest ojcem dziewczyny; może przedstawiano ją tylko jako Aliteę Latek.

Esthlos Onykos chrząknął pytająco.

— Wywar z pażuby — wyjaśnił Monszebe. — Dodać do wody dla zwierząt. Chętniej pójdą. Słyszałem, że dzicy tak robią. Szamani podają pażubę wojownikom, którzy idą za Suchą Rzekę.

— Jest takie szaleństwo, znane jeszcze starożytnym — włączył się Qethar, otarłszy usta. — Ciało wtedy odpada kawałkami, skóra, mięśnie, do kości —

— Lepra — rzuciła młoda Negryjka.

— No nie przy jedzeniu, nie przy jedzeniu!

— Prosimy o wybaczenie. — Anudżabar skłonił się ponad stołem. Zaraz jednak kontynuował. — Otóż doszła mnie plotka, jakoby pażuba w dużych dawkach wywoływała leprę.

— W dużych dawkach nawet kalokagatia jest niezdrowa — skwitowała esthle Ignatia, na co wszyscy uprzejmie się zaśmiali; na podobne żarty mogą sobie pozwolić jedynie niekwestionowane piękności. Bodaj tylko Hieronim spostrzegł, że w istocie był to żart polityczny: mówiąc, spoglądała na Ipończyka Uzo, siedzącego przy sąsiednim stole.

Po wieczerzy, gdy goście rozdzielili się i część udała się do sali tańców, część — oglądać występy opłaconych przez Laetitię aktorów, akrobatów i magoi, część rozeszła się po pałacu, a część wyszła do ogrodu — esthlos Anudżabar zaprosił pana Berbeleka na fajkę pod Księżycem. Księżyc był w półcieniu, rozcięty światłem i ciemnością dokładnie między morzami, rzucał na ogród różowy blask, w którym wszystko było bardziej miękkie, obłe i śliskie. Usiedli na jednej z kamiennych ław, otaczających plac z wodotryskami. Statuy mężczyzn, kobiet i fantastycznych kakomorfów, z których pod różnymi kątami tryskała woda, wykonane były podług kanonów sztuki nabuchodonozorowej — helleński naturalizm, jednolite proporcje, aegipski ideał piękna — podczas gdy sam pałac powstał jeszcze za czasów Chimeroysa, potem jedynie odnawiany i przystosowany do nowych obyczajów. Stąd między innymi atrium otwarte na frontowy dziedziniec i irytująca asymetria planu. Berbelek i Anudżabar usiedli po lewej stronie placu. Przed sobą, za kurtynami srebrnych kropel, mieli rozświetlony tysiącem lamp i pochodni profil budynku; za plecami — szelest niewidocznych palm i akacji, i szum wód bliskiego Jeziora Mareotejskiego; a ponad głowami — bezchmurne niebo tak gęsto inkrustowane gwiazdami, że nawet bez półksiężyca niemal oślepiające. Alejkami spacerowała leniwie para gampartów.

Doulos przyniósł długie fajki z drzewa horusowego, o kamiennych cybuchach. Qethar wybrał ze szkatułki zielnej mieszankę, jedna czwarta haszyszu. Zapalili. Do ogrodu wychodzili inni goście, zazwyczaj zatrzymując się przy kompleksie wodotrysków. Pan Berbelek spostrzegł Abla w otoczeniu kilku młodszych gości. Już wcześniej rzuciła mu się w oczy zmiana, trudne do pochwycenia w pojedynczym obrazie przesunięcie ciężaru Formy chłopaka. Na przykład teraz: ustawiają się wokół niego tak, by wszyscy mogli widzieć jego twarz, milkną, gdy on mówi, nie przerywają temu, na którego właśnie patrzy — starsi przecież od Abla, wyżej urodzeni, mężczyźni i kobiety. Ogląda się na przechodzącego niewolnika — nawet nie zdążył wyciągnąć ręki, ktoś inny podaje mu kielich z tacy. Śmieją się, gdy on się śmieje. Coś się za tym kryje, coś się wydarzyło — ale w jakiej formie mógłbym go o to otwarcie zapytać? Czy w ogóle istnieje taka forma?

— „W krzyku poznajemy wroga, w milczeniu — przyjaciela” — zacytował esthlos Anudżabar.

— „Największe kłamstwa wypowiadane są w ciszy” — odpowiedział cytatem pan Berbelek.

Siedzieli zwróceni w tę samą stronę — nogi wyciągnięte na krótko przyciętej trawie, fajki oparte na piersi — nie patrzyli na siebie, noc pośredniczyła w dialogu.

— „Ludzie silni są ludźmi prawymi i prawdomównymi, albowiem każde kłamstwo wymaga wyparcia się swojej morfy i kłamcy najdoskonalsi wkrótce zapominają, kim są”.

— „Gdy spotka się dwóch kłamców, czyja Forma zwycięży: lepszego czy gorszego kłamcy?”

— Zdobywszy miasto, Xerxes rozkazał ściąć wszystkich ocalałych jego mieszkańców, albowiem zamknęli przed nim bramy i opierali mu się, chociaż wcześniej poprzysięgli lojalność. Wówczas poczęli występować kolejni pokonani, zaklinając się, iż oni pragnęli dochować przysięgi, lecz nic nie mogli poradzić przeciwko większości. Xerxes zapytał tych, którzy milczeli, czy to prawda. Zaprzeczyli. Kazał ściąć wszystkich. Zapytany, skąd wiedział, którzy kłamali, odparł: „Ponieważ ich pokonałem”.

— „Nie wierz człowiekowi, który nie wypowiedział w życiu ani jednego kłamstwa”.

— „Jedną co najmniej korzyść odnoszą kłamcy: że gdy mówią prawdę, nikt im nie wierzy”.

— „Obraża bogów, kto okłamuje dziecko”.

— „W rodzinie kłamców przyszło na świat prawdomówne dziecko. Jak to możliwe? Ponieważ kłamcami byli ojciec i matka”.

— „Gdyby wszystkie dzieci dziedziczyły Formę swoich rodziców, nie byłoby nadziei dla rodzaju ludzkiego”.

— „Któż życzy źle własnemu dziecku? Wszyscy chcielibyśmy ujrzeć je lepszymi, niż sami mieliśmy wolę się stać, i tak je wychowujemy; a one — swoje dzieci. W ten sposób w skończonej liczbie pokoleń osiągnięta zostanie doskonałość”.

— Masz dzieci?

— Siedmioro.

— Ja tylko tych dwoje.

— Odziedziczyły jasną i silną morfę. Widzisz to, prawda?

— Tak. Tak.

— I ów moment, kiedy po raz pierwszy łapiesz się na tym, że pracujesz nie dla siebie, nie dla własnych ambicji, ale z myślą o tym, co nadejdzie po twojej śmierci.

— Tak, chyba tak. Ja ostatnio raczej nie miałem wielkich ambicji.

— Ale jednak posiadasz jakieś wyobrażenie przyszłości, w której… Nie? To przynajmniej ich przyszłości.

— Bo właściwie dlaczego miałbym chcieć zapewnić im bogactwo? Jeśli okażą się na tyle silni, zdobędą je sami, prawda? A słabi — i tak je zmarnują.

— Ostatecznie więc dlaczego w ogóle mielibyśmy tracić czas na zamartwianie się burzami, potworami morskimi, mieliznami, piratami, podstępną konkurencją, kaprysami rynku, zmiennymi cenami, nieuczciwymi wspólnikami, kłamliwymi partnerami — i walczyć o coraz większe bogactwo?

Pan Berbelek wzruszył ramionami i powoli wypuścił z ust słodkawy dym.

— Dlaczego?

— Ponieważ leży to w naszej naturze. — Qethar Anudżabar wstał, odłożył fajkę, wygładził kartibę. — Pojutrze w biurze Kompanii, w południe. Przedstawię kontrpropozycje, przynieś stosowne dokumenty, masz pełnomocnictwo i jeśli się zgodzisz, podpiszemy od razu w obecności świadka Hypatii. Esthlos? — Pan Berbelek wstał, uścisnęli sobie nadgarstki. — Uczyniłeś mi zaszczyt.

Co rzekłszy, Anudżabar skinął głową i odszedł.

Hieronim rozejrzał się po placu wodotrysków. Abel zniknął gdzieś wraz ze znajomymi. W jedną z alejek ogrodowych skręcił Izydor Wół z jakąś arystokratką na ramieniu, dwaj strażnicy podążali za nim jak cienie. Na schodach ogrodowych pojawiła się na moment Alitea w towarzystwie Dawida Monszebe; pan Berbelek ruszył ku nim, lecz zanim obszedł kompleks fontann, na powrót skryli się w pałacu. Wpadł na wychodzącą właśnie Szulimę. Oglądając się za siebie, odprawiała machnięciem doulosa i najwyraźniej nie spostrzegła Hieronima. — Och, to ty, esthlos! — Zanim zdążył ją przeprosić, wyminąć i pośpieszyć za Aliteą, esthle Amitace ujęła go pod ramię i pociągnęła ku zakrętowi w najbliższą alejkę.

— Właściwie nie mieliśmy okazji spokojnie porozmawiać — zaczęła, schowawszy wachlarz pod gorset; lekki wiatr od jeziora był przyjemnie chłodny i wilgotny. Srebrny pierścżyk Szulimy lśnił w blasku Księżyca niczym —

— Mord! Straże! — wrzeszczał biegnący przez plac mężczyzna. — Gonią mnie!

Pan Berbelek wyszarpnął się z uchwytu Szulimy. Mężczyzna dopadł do pierwszego wodotrysku; był to Izydor Wół. Pan Berbelek podbiegł doń.

— Straże! — dyszał Izydor. — Straże!

Na schodach pałacowych pojawił się niewolnik, zaraz cofnął się i pognał po pomoc. Pan Berbelek obejrzał się ku wylotowi alejki, na którą widział był wchodzącego Izydora. Z półmroku wyłoniły się trzy przygięte do ziemi postaci.

— A twoi ludzie? — spytał Hieronim.

— Nawet-nawet nie wystrzelili.

Postaci weszły powoli w księżycowy blask. Głowa i pazury gamparta, reszta człowieka. Z cienia wyłonił się czwarty gampantrop. Zaczęły okrążać fontanny i stojących przy nich mężczyzn.

— Jeśli pobiegniemy do pałacu, skoczą nam do gardeł — mruknął pan Berbelek. Przez firanę spadających po szerokich łukach kropli widział esthle Amitace, stojącą spokojnie na granicy półmroku i lunarnej poświaty. Pochwyciła spojrzenie Hieronima i potrząsnęła głową. Ruch jasnych włosów zwrócił uwagę jednego z gampantropów, który natychmiast skręcił ku Szulimie.

Pan Berbelek, nie obracając głowy, zazezował ku pałacowi. Gdzie ci przeklęci strażnicy? Nawet największy strategos nic nie poradzi bez wojska. Przyciśnięty do kamienia posągu Izydor modlił się na głos.

Gampantrop zaczął biec ku Szulimie. Postąpiła krok naprzód, pierścżyk błysnął księżycowym refleksem. Wyprostowaną prawą ręką wskazała ziemię u swoich stóp. Gampantrop zatrzymał się, uniósł łeb, wyszczerzył kły, po czym położył się na trawie przed Amitace. Skądś wyciągnęła mały, zakrzywiony nóż. — Szszszszsz! — zanuciła, pochylając się nad sygemorfem. Opuścił łeb. Poderżnęła mu gardło.

Pozostałe trzy gampantropy, usłyszawszy pisk konającego pobratymca, zatrzymały się w miejscu i obróciły zimne, zwierzęce spojrzenia na prostującą się Szulimę. Pan Berbelek zdążył jeszcze zauważyć, jak smoliście czarna zdaje się w świetle Księżyca krew rozlana na błękitnej spódnicy Amitace. Ktoś wybiegł z pałacu. Gampantropy ponownie obróciły łby. Dlaczego one nadal nie atakują? Kobieta zerwała w biegu spódnicę, by nie krępowała jej ruchów. W ręku miała ułamek tyczki lampionowej. Bestie skoczyły na nią z trzech stron. Zueia wykonała trzy szybkie pchnięcia tyczką — każde śmiertelne. Odskoczyła, by trupy nie zahaczyły o nią, padając. Pan Berbelek podciągnął lewy rękaw, zwinął prawą dłoń w pięść i uderzył się w przedramię. Zacisnął zęby, by nie krzyknąć. Siniec pojawił się natychmiast, absurdalnie wielki, ciemny, krew poczęła się sączyć porami. A więc Ihmet Zajdar jest niewinny. Oto, kto zamordował Magdalenę Leese. Na plac wbiegli mamlucy z odbezpieczonymi keraunetami. Pan Berbelek usiadł na mokrym marmurze fontanny i ściągnął z powrotem rękaw, kryjąc krwawy stygmat. Odrzuciwszy zaimprowizowaną broń, Zueia podeszła do swej pani. Szulima spoliczkowała ją dwukrotnie. Zueia uklękła obok trupa czwartego gampantropa i ucałowała dłoń Amitace, powtarzając gorliwie: — Despoina, despoina, despoina. — Pan Berbelek nie słyszał dotąd o aresieniewolniku; wszak to sprzeczność sama w sobie, jak zimny ogień lub król bez władzy. Nawet u kratistosów, nawet u Czarnoksiężnika aresowie są wolnymi żołnierzami. Zueia miała łzy w oczach. Esthle Szulima Amitace odwróciła się i ruszyła ku schodom, wiatr przycisnął jasnozłote włosy do opalonych pleców. Pan Berbelek nigdy nie widział jej bardziej piękną. Zacisnął pięści. Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści; dobrze.

Θ
Sztylet

Aneis Panatakis obnażył sztylet.

— Chthonitharchoth, Iahveth, Eulamo, teraz posiada duszę. Dotykaj tylko rękojeści, ostrze zabija. Musiałem znaleźć naprawdę szalonego demiurgosa, kowala wody, ostatnie dni rozpadu, ciało rozlewa się na wszystkie strony w czarny mór; tylko on był w stanie wmorfować jad w metal. Irga, z żądła mantikory, zabija wszystko, co żywe — dotknięcie pali skórę, draśniesz i jad wchodzi w krew, wbij głęboko, a nawet kratistos nie zdzierży. Unikaj wody i rdzy, esthlos. Trzymaj w zimnie, w ciemności.

Sztylet miał chaldajskie ostrze — wąski język jasnego metalu kręty niczym liść hiewoi, niczym płomień, wąż atakujący — co jednoznacznie wskazywało na jego przeznaczenie: był to oręż przeciwko Formie, nie Materii. Pan Berbelek oczywiście nie wierzył w te wszystkie magiczne bzdury, z trudem zachował obojętny wyraz twarzy, gdy Panatakis mamrotał przez kilka minut bezsensowne onomata barbarika — musiał jednak przyznać, że była to piękna broń. Kiedy ważył ją w dłoni, dreszcz przebiegł mu po plecach, zimna elegancja wpisanej w przedmiot śmierci czyniła ze sztyletu swoiste dzieło sztuki. Demiurgos nie użył żadnych drogich metali, szlachetnych kamieni, nie bawił się w ryty i ornamenta: gładka stal, szczupły jelec, prosta rękojeść, okrągła głowica. Pochwa wykonana była ze skóry krokodyla. Dołączono także trzy rzemienie z zatrzaskowymi sprzączkami; przeciągnąwszy rzemienie przez symetryczne otwory pochwy, można było przypiąć sztylet za pasem, na nodze, na ręce. Czwarty rzemień zabezpieczał sam sztylet, przypadkowe wysunięcie i dotknięcie klingi groziło wszak co najmniej zakażeniem skóry.

Pan Berbelek oczywiście nie powiedział Panatakisowi, do czego potrzebuje tak śmiercionośnej broni. Zresztą nie musiał: przyszedł był do kupca (tym razem do jego domu) następnego dnia po przyjęciu u esthle Lotte i cała Alexandria nie mówiła o niczym innym, jeno o zamachu na Izydora Woła.

— Cicho, powiadam, cicho i bez świadków! — kręcił głową Aneis, dolewając Hieronimowi ziołowego wina, którego hurtowym eksportem do Herdonu starał się zainteresować współwłaściciela NIB. Siedzieli na pokrytej wieloma warstwami kobierców podłodze szerokiego balkonu, pięć pięter nad główną ulicą Kartaku, nowej dzielnicy indyjskiej. — Tak się morduje. A to? To jest fucha, partactwo i obraza bogów! Tfu!

— Wół nie rusza się z domu na krok; musieliby nań regularny szturm przypuścić.

— Ha! I oto jest pytanie: skąd wiedzieli, że pojawi się u esthle Lotte? I to z takim wyprzedzeniem, że zdążyli zorganizować gampantropy! Nie chciałbym być teraz w skórze domowników Woła, on już się nie zadowoli byle przysięgą.

— Prawda, ty prowadziłeś z nim interesy.

— Kilkanaście lat, tak. Miałem nawet nadzieję, że ożeni się z Mają. Może to i lepiej, że nic z tego nie wyszło…

— To było jednak mądre posunięcie — zauważył pan Berbelek — to z gampatropami: tylko one mogły wedrzeć się na ziemię Lotte, nie alarmując natychmiast jej gampartów. Laetitia ma ich kilka tuzinów, unikalna morfa rodowa, wyczują każdego obcego. To był dobrze zaplanowany zamach, właściwie powinien był się udać.

— Z drugiej strony, ilu jest w Aegipcie teknitesów fauny zdolnych wyhodować takich sygemorfów człowieka i zwierzęcia? Trzech? Czterech? A Hypatia nigdy nie daruje ataku na dom swej krewnej.

— Nawet jeśli któryś teknites się przyzna, to co? Hodować mu wolno. A kto od niego kupował? Pośrednik pośrednika pośrednika. Któryś z nich już na pewno wylądował w brzuchach krokodyli — i ślad się urywa. Żeby Izydor miał jednego wroga, sprawa byłaby oczywista — ale jak słyszę, on ma tych wrogów tylu, że bez końca mogą zrzucać wzajem na siebie podejrzenia.

— Święta prawda, święta prawda, sam bym nie potrafił wymienić wszystkich gotowych zabić za otwarty dostęp do Krzywych Krain; muszą się spodziewać wielkich zysków, chociaż doprawdy nie wiem, na jakiej podstawie. Będą kolejne mordy, to pewne. Ale to zawsze tak jest, gdy pojawia się nowy rynek, nowy towar. No właśnie, esthlos, jak smakuje?

— Mhm, pewnie można się przyzwyczaić. Aneis, sądzę, że powinienem się rozglądnąć za bronią.

— Keraunetem?

— Nie, czymś niewielkim, na wszelki wypadek, ale że od jednego ciosu padłby nawet behemot. Sztylet, niech to będzie sztylet.

— Rozumiem, rozumiem — pokiwał głową Panatakis.

Po tygodniu wręczył go Hieronimowi na tym samym balkonie. Umowy podpisane z Kompanią Afrykańską obiecywały Panatakisowi zyski na tyle duże, że bezpieczeństwo pana Berbeleka stało się nagle dla starego faktora ważniejsze od bezpieczeństwa jego wnucząt: człowiek spogląda człowiekowi w twarz, człowiek ściska człowiekowi rękę, podczas gdy Dom Kupiecki nie posiada woli, honoru, morfy, po śmierci esthlosa Berbeleka trzeba by zaczynać z esthlosem Anudżabarem wszystko od nowa.

Co do pierwszej prośby Hieronima, to tu sprawy posuwały się znacznie wolniej. Panatakis posyłał panu Berbelekowi przez swoich ludzi listy z pozyskiwanymi sukcesywnie informacjami; nie było ich za wiele.

„Mieszkała w Alexandrii w latach 1174–1176, 1178–1181, 1184 i z przerwami od 1187. Uesthle Laetitii Lotte, uesthlosa Damiena Szarda, uważanego za jej kochanka (zaginiony na okeanosie w 1186) i w wynajmowanym przez siebie pałacu w Starej Kanopijskiej. Ponoć przyjmowana prywatnie przez poprzednią Hypatię. Listy kredytowe na duże sumy z banków w Byzantionie i Ziemi Gaudata”.

„Uczestniczyła w co najmniej trzech dżurdżach, w 1192 i 1193”.

„W 1176, gdy odkopano katakumby Powstańców Pitagorejskich, wykupiła, wyprzedzając Bibliotekę, trzy najlepiej zachowane zwoje”.

„Widziana w Herdonie”.

„Kilkanaście lat temu krążyła plotka, że uczestniczyła wczarnej olimpiadzie; okazało się jednak, że malowidło, na które się powoływano, przedstawiało tryumfatorów XXV czarnej olimpiady, z roku 964 PUR”.

Pan Berbelek posłał pisemne zapytanie, w jakiej to dyscyplinie miałby startować sobowtór esthle Amitace.

„W Stu Bestiach”.

„Podobno odbyła Pielgrzymkę do Kamienia”.

„Nieznani żadni krewni. Wspominała omatce, która «rządzi na wschodzie». Nic nie wiadomo omężach, dzieciach”.

„Skupowała prace Vaika Axumejczyka; została publicznie posądzona o zamiar odbudowania jego automatonu i wyzwała pomawiającego ją na

pojedynek. Niejasne relacje świadków. Wyzwany (niski aristokrata z Drugiego Waset) zginął na miejscu”.

Sztylet był lekki, chłodny w dotyku, śmiertelnie piękny. Hieronim przypiął go sobie pod lewym przedramieniem, bliżej łokcia, rękaw kirouffy krył broń bez śladu. W nocy, w ciemności i ciszy swej sypialni w pałacu Lotte, pan Berbelek ćwiczył ruch prawej dłoni — raz, palce w rękawie, dwa, kciuk pod rzemieniem, trzy, uścisk na rękojeści, cztery, płynne wycofanie, pięć, pchnięcie bez zamachu, sześć, koniec — aby ciało pamiętało, nawet jeśli umysł się podda.

Musiały zostać spełnione ściśle określone warunki czasu i miejsca. Żadnych świadków — a więc tylko oni dwoje w czterech ścianach lub na absolutnym pustkowiu. Nie dać jej czasu na obronę — a więc bez długich przygotowań, nie wdając się w rozmowę, poznałaby przecież. I samemu ujść z życiem — a więc uderzać wyłącznie ze stuprocentową pewnością, że nigdzie w pobliżu nie ma Zuei.

Ten trzeci warunek okazał się najtrudniejszy do spełnienia. Zueia i tak rzadko odstępowała swą panią dalej niż na kilka kroków, do sąsiedniego pomieszczenia; teraz, po zamachu na Izydora Woła, rozdzielić je było praktycznie niemożliwością. Pan Berbelek zaczął się nosić z myślą o uprzedzającym ataku na niewolnicę-aresa czy nawet o skorzystaniu z pomocy Zajdara, nimroda przecież. Instynkt strategosa podpowiadał mu jednak, by nie komplikować planu.

Tymczasem zbliżał się aegipski Nowy Rok, w ludowych rytuałach i kultach starożytnych zapamiętany mimo ponad tysiąca lat panowania rzymskiego kalendarza. Astrologowie z Memphis zapowiadali początek wylewów Nilu na trzeci tydzień Juniusa. Urodziny Izydy wypadały dziewiątego Juniusa. Był to dzień początku nowego życia, nowych miłości, dzień nadzwyczajnych ozdrowień i niespodziewanych zapłodnień. O świcie w menoutyjskim sanktuarium Izydy zmartwychwstanie Ozyrys, w południe odbędzie się na Rynku Świata doroczne Zaślubienie Hypatii, o godzinie drugiej ukaże się w oknie swej wieży w Menout Nabuchodonozor Złoty, wieczorem kapłanki i kapłani Izydy pobiją się na ulicach z kapłankami i kapłanami Manat, a o zmierzchu na Nil, na kanały, jeziora i dopływy wyroją się dzie-

siątki tysięcy „kołysek Ozyrysa”: smukłych łódek z zielonymi lampionami zawieszonymi u dziobu.

Pan Berbelek obudził się długo po świcie, pałac Lotte wypełniały już odgłosy krzątaniny, nadzwyczaj energicznej jak na dzień, w którym Laetitia nie urządza żadnego przyjęcia. W powietrzu unosił się zapach mirry i fulu. Ktoś śpiewał pod oknami sypialni Hieronima. Pan Berbelek wyjrzał. Nubijska niewolnica karmiąca gamparty nuciła poranną modlitwę do Bogini Tronu, słowa o zapomnianym znaczeniu: — Nehes, nehes, nehes, nehes em hotep, nehes en neferu, nebet hotepet! Weben em hotep, weben em neferu, nutjert em Ankh, nefer em Pet! Pet em hotep, ta em hotep, nutjert sat Nut, sat Geb, merit Auser, nutjert asha-renu! Anetj hrak, anetj hrak, tua atu, tua atu, nebet aset! — Pan Berbelek mrużył oczy w porannym blasku. Widział doulosów rozstawiających donice z kwiatami amarantu i lilii, doulosów niosących ku jezioru smukłe łodzie z likotu, ozdobione erotycznymi malunkami, widział dwoje służących całujących się w cieniu hiewoi — i nagle równie wyraźnie ujrzał przed sobą niezawodny plan zabójstwa esthle Szulimy Amitace.

Dzisiaj w nocy.

Do tego czasu nie chciał się jej pokazywać na oczy. Przez Porte dopytał się o szczegóły zwyczajów domu Lotte: o której odbijają łodzie, czy musi wynająć własną i czy umawiają się na znaki, a może na miejsce i czas. Według tradycji z Ery Alexandryjskiej spotkania powinny być przypadkowe, ale oczywiście nie były, pary z góry się dogadywały, ciemność i rytuał pozwalały natomiast na śmiałość nie do pomyślenia w żadnej innej formie.

Porte zarezerwował łódź z fioletowymi ibisami wymalowanymi na dziobie. Pan Berbelek skreślił krótki list do Szulimy: *Jak Izyda pozwoli, z nurtem wody — kroczące ibisy, ukryty krokodyl. Wdrżeniu — ε. H. B.* Porte zaniósł.

Pan Berbelek czekał. Minęło pół godziny, godzina, dwie. Spóźniłem się, pomyślał, nie mogła się przecież mnie spodziewać, już wymieniła z kimś znaki; winienem był wcześniej to zaplanować. Cisnął misą o ścianę. Zabrzęczała głośno. Przybiegł zdziwiony Porte. Pan Berbelek też się zdumiał: był to pierwszy przejaw jego szczerej wściekłości od — od — nie pamiętał, od kiedy.

Na godzinę przez Przyklękiem Słońca Zueia przyniosła odpowiedź: *Gdy ujrzysz gody centaurów idryadę pochyloną nad myśliwym, wiedz, że bogini*

była ci życzliwą. Nie zważaj na bieg wody. ε. A.

Wody Jeziora Mareotejskiego toczyły się w przemorfowanym wschodnim jego zakolu tak leniwie, że nie było mowy o przezwyciężaniu tu żadnego nurtu. Gdy pan Berbelek zjawił się na pałacowej przystani, ciemna powierzchnia jeziora pokryta już była szeroką konstelacją zielonych gwiazd — w blasku tych najbliższych, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt pusów od brzegu, dojrzeć można było zarysy niosących je łodzi, szlachetne profile wysokich dziobów; dalej — tylko cienie pośród cieni, powolny ruch w turkusowej poświacie. Światła Alexandrii okalały ciemną toń rozmigotaną obręczą: jasne kwadraty okien, latarnie, pochodnie, ogniska, wszystko zlewało się w gorejącej łunie metropolii. Po południu spadł lekki deszcz, ale teraz niebo było bezchmurne, miliard gwiazd odbijał się w wodzie. Księżyc w nowiu wzeszedł i zajdzie z mroczną twarzą. Od czasu do czasu nad miastem wybuchał kwiat ogni serpyjskich, ponad jeziorem przepływała wówczas fala śmiechu i okrzyków. Poza tym panowała cisza, z rzadka przerywana pojedynczym zawołaniem czy zduszonym chichotem. Kilka minut wcześniej przez Most Beleuta przemaszerowała askalońska orkiestra poprzedzana przez amidańskich trębaczy, echo jazgotliwej muzyki jeszcze krążyło nad ciemną tonią.

Pan Berbelek wsiadł do kołyski Ozyrysa i odepchnął się wiosłem od pomostu. Większość łodzi (wszystkie pałacowe) wyposażona była w dwa likotowe niby-maszty: chude tyczki połączone nad głową pasażera trzecią, poziomą. Jeśli nie wiał zbyt mocny wiatr, przerzucało się ponad tą poprzeczką zwój lekkiej tkaniny, mocowanej do burt po obu stronach, co tworzyło ponad łodzią rodzaj namiotu, baldachimu. Pan Berbelek złożył starannie zwój jedwabiu w skrytce na rufie; pod zwojem schował czarną kirouffę, identyczną z tą, jaką miał teraz na sobie. Kirouffa — zapięta pod szyję, z sutym kapturem naciągniętym na głowę — stanowiła jedyne jego odzienie. Chodziło o to, by je jak najszybciej zamienić i pozbyć się zakrwawionego ubrania.

Pan Berbelek odbił na sto pusów i zakręcił, wiosłując równolegle do brzegu. Wypatrywał centaurów i dryady pod zieloną gwiazdą. Część łodzi dryfowała ze zgaszonymi latarniami, spięta burta w burtę, symetryczne cienie. Większość izydowych kochanków wciąż jednak krążyła, szukając. Odruchowo obracali się, przyglądając się twarzy każdego mijanego wioślarza, malunkom na kadłubie jego łodzi. Hieronimowi w pewnym momencie wy-

dało się, że rozpoznał twarz Dawida Monszebe. (Gdzie jest Alitea? Powinienem był wypytać Antona. No i gdzie jest Abel? Muszę się bardziej przykładać do roli ojca, nie może to przecież być nic aż tak trudnego). Monszebe jest wysoko urodzony, dla niego to zabawa. Bardzo są popularne wśród pospólstwa legendy o odważnych młodzieńcach, którzy ryzykując jednak śmiercią, przemykają w noc święta na skradzionych łódkach na wody aristokratów i gaszą latarnię jakiejś bosko pięknej esthle. Może i tkwi w tym odrobina prawdy, dla nastolatek z marmurowych pałaców ta legenda również jest w pewien sposób atrakcyjna…

Z przodu, po lewej: centaury na wiosennej łące. Spokojna woda obmywa helleński ornament kołyszącej się w leniwym dryfie łodzi. Zaciągnięty nad nią jedwabny namiot kryje sylwetkę pasażera. Pan Berbelek na moment zamarł z uniesionym wiosłem. Pociągnął jeszcze kilka razy, przepływając na drugą stronę dryfującej łodzi, by się upewnić. Ale nie mogło być wątpliwości: czerwonowłosa dryada skradała się za przyczajonym myśliwym, Mareot lizał ich stopy.

Hieronim odruchowo sprawdził sztylet. Jest. Rozglądnął się. Najbliżsi świadkowie co najmniej czterdzieści pusów dalej. Do brzegu — pusów sto dwadzieścia. Jeszcze jakaś wymówka, by odwlec? Żadnej. Powiosłował naprzód.

Łodzie otarły się o siebie burtami. Odrzucił wiosło, chwycił za sznury. Odsunął się zielony jedwab, ręka z wężową bransoletą pomogła mu zaciągnąć węzeł. Kołyski zetknęły się na całej długości, dziób do rufy, rufa do dziobu.

Sięgnął po sztylet.

— Zgaś — rzuciła.

Zgasić latarnie — tak, oczywiście. Zgasił swoją, cofnął się na rufę, przeskoczył do łodzi Szulimy i zgasił jej. Odwracając się do wnętrza namiotu —

Sięgnął po sztylet.

Również miała na sobie jedynie kirouffę, białą, rozpiętą, z kapturem zarzuconym na ściągnięte do tyłu włosy. Siedziała na ofrędzlonych poduchach ze skrzyżowanymi nogami, z misą owoców między nimi; małym zakrzywionym nożykiem obierała właśnie pomarańczę, i gdy pan Berbelek się obrócił, cisnęła mu ją bez ostrzeżenia. Złapał w ostatniej chwili, cofnąwszy dłoń z rękawa.

— Siadaj, siadaj — mruknęła, wycierając lepkie od słodkiego soku ręce w bawełnianą chustę. Całe światło pod baldachimem pochodziło z sączącego się od dziobu blasku miasta i gwiazd; nawet gdyby Hieronim dodatkowo go nie przesłaniał, trudno by mu było dojrzeć w tym jedwabnym cieniu twarz kobiety i odczytać jej wyraz. Wystarczyło jej pochylić lekko głowę pod kapturem. Czy ona w ogóle spogląda na mnie? Przeklęta pomarańcza, już lepią mi się palce.

Usiadł.

Szulima odstawiła misę, ziewnęła, prostując ramiona nad głową — kirouffa rozchyliła się do reszty, spadł kaptur — uśmiechnąwszy się, kopnęła ku Hieronimowi okrągłą poduszkę, po czym, w jednym płynnym, pełnym dziewczęcej gracji ruchu, wyciągnęła się przed Berbelekiem na puchowej podłodze: głowa uniesiona na opartych na łokciach rękach, filuterny błysk w oku, zgięte w kolanach nogi kiwają się do rytmu delikatnych zakołysań łodzi, na palcach stóp błyskają srebrne obrączki, podeszwy tych stóp są białe jak vistulski śnieg.

— Szpiegujesz mnie — powiedziała.

Sięgnął po sztylet.

— Oj, upadła ci pomarańcza.

Prawie przemocą wcisnęła mu owoc do dłoni. Jej twarz znajdowała się tak blisko, nie musiałby nawet się pochylać, nie musiałby prostować ręki, wbiłby jej płomienne ostrze w oko, zanim zdążyłaby zamrugać. Tylko ta pomarańcza, ta pomarańcza z Szeolu, co on ma zrobić z pomarańczą?

Szulima uśmiecha się ironicznie, nóżki migają w cieniu.

— Przyjaciel powiadomił mnie, że jacyś ludzie wypytują o moje transakcje sprzed lat, co gdzie kupowałam i za ile, skąd pochodziły pieniądze, i temu podobne. Okazało się, że to partnerzy niejakiego pana Panatakisa. Który prowadzi w Afryce interesy twojej kompanii. Wypierać się chyba nie będziesz, co, Hieronim?

Wyrzucił pomarańczę za burtę, wytarł dłonie w połę czarnej szaty.

— Kim ty jesteś? — zachrypiał.

Zaśmiała się.

— No jakże, chyba się nie spodziewasz, że w noc Izydy kobieta wyzna ci wszystkie swoje sekrety!

— Pomiot Czarnoksiężnika!

— Nie wierz temu Panatakisowi, to największy oszust Alexandrii. Jest silniejszy, niż się wydaje, nie mógłby się tak wzbogacić, posiadając morfę niewolnika, nie daj się zwieść pozorom.

— Siedziałaś u jego tronu podczas Hołdu Krymskiego!

Wydęła wargi.

— Ojojoj, no to już po Szulimie.

Kpi z niego! Krew zadudniła mu w uszach.

Sięgnął po sztylet.

Dlaczego jednak on ciągle jest wolniejszy? Ręka powinna wyprzedzić każdą myśl. Tymczasem zanim zdążył wysunąć ostrze z pochwy, Szulima już siedziała mu na kolanach, oparłszy stopy o lewą burtę łodzi, objąwszy Hieronima za szyję, uwięziwszy jego dłoń zaciśniętą na stalowej rękojeści pomiędzy ich ciałami, i szeptała mu do ucha w aristokratycznej grece słowa jak krople gorącego miodu:

— Hieronimie, Hieronimie, Hieronimie. Posłuchaj mego serca, wypij mój oddech, ujrzyj moją rozkosz. Przecież nie skłamię ci morfy. Czy ja przychodzę od Roga? Czy jest we mnie choć ślad Formy Maksyma Wdowca? Kto tu bardziej podobny jest bogowi czarnej żałoby i tragicznej miłości? Powiedz. Jakże ja mogłabym służyć Czarnoksiężnikowi? Nie powinieneś tak myśleć.

— Byłaś tam.

— Byłam tam, siedziałam u jego boku. W jaki sposób kratistosi porozumiewają się ze sobą, w jaki sposób negocjują, zawierają przymierza, ustalają granice wpływów, dzielą keros? Króla, władcę, wodza mogą wezwać do siebie, nawiedzić go w jego siedzibie, złoży hołd lub nie, ugnie się lub ucieknie — lecz spotkanie twarzą w twarz dwóch kratistosów musi oznaczać wojnę, starcie Form tak potężnych, że keros kruszy się i łamie: każde słowo to wyzwanie, każdy gest to przymus, sama obecność to atak. Nie mogą się spotykać. Wysyłają pośredników. Ludzi, o których obie strony wiedzą, że się nie ugną, że ich Forma jest wystarczająco silna; jeśli nie zostali złamani, to przynoszą prawdę. Nie mogą pozostawać zależni od nikogo. Nie składają hołdów. Nie osiedlają się na stałe w niczyjej aurze. Przychodzą z zewnątrz. Sami stanowią gwarancję prawdy swych słów: że są, jacy są. Nigdy nie kłamią, nie mogą skłamać. Połóż się, Izyda patrzy na nas.

Ten zapach, ten zapach, co to były za perfumy, narcyz, aszucha, ful — aegipski jaśmin? Lewą ręką rozpinała jego kirouffę, prawą zsunęła mu kaptur z głowy. Naciskała na Hieronima coraz większym ciężarem, musiał się podeprzeć lub opaść na poduszki. Gdy ściągnie z niego kirouffę — co ze sztyletem? Obrócił się przodem do lewej burty, pozorując zaplątanie w powłóczystej szacie, to dało mu te dwie sekundy na odszarpnięcie rzemieni i wrzucenie pochwy z bronią do swojej łodzi, potem od razu wyciągnął się na wznak pod namiotem, zagarniając ze sobą Szulimę. Łodzie zakołysały się. Wsunęła mu do ust dwa palce, po czym zessała z nich ślinę. — Poddaję się — szepnęła, otwierając jego kirouffę. W kontraście z czarną tkaniną jego ciało było prawie białe; jej ciało, opalone, gładkie, pod rękoma biegłych teknitesów somy oczyszczone z jakichkolwiek skaz, zmarszczek, zwierzęcego zarostu, zdawało się dwakroć bardziej żywe, nieporównanie bardziej zdrowe, silne, przepełnione gorącą energią, vis vitae. Przesunęła paznokciami w dół jego brzucha, ścisnęła na powitanie rosnący członek, przesunęła paznokciami po wnętrzu uda. Objął ją, przycisnął, ciało do ciała, miękkie piersi na twardym torsie, oddech w oddech. Spoglądała mu prosto w oczy, spojrzenie miała jasne, radosne, spokojne. Siedem, osiem, dziewięć; nie ma, nie ma w niej śladu Czarnoksiężnika. — Ale ja nie walczę — odszepnął — wyrzuciłem już broń. — Otworzyła uda, poczuł na skórze ciepłą wilgoć. — Wszyscy walczymy, w każdej minucie życia. — Przechyliwszy głowę, wodziła palcem po zmarszczkach jego twarzy. Nie mógł się nie uśmiechnąć, morfa jej beztroski rozluźniała mu mięśnie i prostowała myśli. Kim więc właściwie była ta kobieta?

Zawinął na dłoni jej włosy, spięte nad karkiem; zacisnąwszy pięść, szarpnął, odchylając jej głowę. Jęknęła.

— A więc walczymy — syknął. — Magdalena Leese, bibliotekarka vodenburskiej akademei. Twoja Zueia wyrzuciła ją z „Al-Hawidży”; w anthosie podobnego aresa przeciąłbym likot nawet najbardziej tępym nożem. A ona otworzyła tam Formę zniszczenia tak mocną, że do dzisiaj nie zeszła mi krew spod paznokcia, a widzisz tę bliznę na czole?

— Polecę ci dobrego teknitesa somy.

Szarpnął silniej. Nie broniła się.

— Leese rozpoznała w jednej ze swoich książek ten twój księżycowy rytuał — mówił. — A może sama należała do sekty?

— Pech, szansa jak jeden do miliarda.

— Nie uczyli cię? „Nie istnieje szczęście i pech, są tylko słabsze i silniejsze morfy”.

Szulima nadal się uśmiechała.

— Moja była silniejsza — rzekła.

— Czy tak właśnie myślisz o mnie? Że twoja morfa jest silniejsza? Więc zrobię, co tylko zechcesz? Tak? Powiedz! Na co ci jestem potrzebny? Po co mnie ciągniesz na tę dżurdżę?

— Przyjechałeś tu i nie wiesz dlaczego? To chyba odpowiada na wszelkie pytania o siłę.

Poczuła, jak więdnie jego erekcja. Zmarszczyła brwi. Puścił jej włosy, zamknął oczy.

Ujęła jego głowę w ciepłe dłonie, pocałowała go w czoło, w powieki, w usta. Rozchylił wargi. Ugryzła go w język.

— Przyjechałeś tu, ponieważ cię poprosiłam. Pożądasz mnie, ponieważ chciałam, byś mnie pożądał. Na co mi jesteś potrzebny? Ty — na nic. Ja potrzebuję Hieronima Berbeleka. Zaprowadzisz mnie do niego. Chcę człowieka, który potrafi splunąć w twarz Czarnoksiężnikowi.

Był szybszy od jej krzyku. Obrócił ją na poduszkach, unieruchamiając jej ręce ponad głową. Poły ich kirouff splątały się do reszty, dzikie przemieszanie bieli i czerni, w jedwabiach i w ciałach. Kolanem roztrącił jej nogi, wsunął w nią palce, krzyknęła po raz drugi. Widziała ponad sobą drapieżnego ptaka, zawisłego w powietrzu na moment przed uderzeniem. Wąskie oczy, rozszerzone źrenice, drgające nozdrza, żyły pod skórą. Miażdżył jej nadgarstki w swym uścisku. Nie odwracał spojrzenia od twarzy Szulimy i gdy dostrzegł pierwszy błysk szczerego strachu, wyszczerzył się okrutnie.

Oblizała wargi.

— Jednym pchnięciem.

Raz.

Kopia najdokładniejszej ze znanych map Afryki, sporządzonej w 1178 roku przez Mazera ben Keszla z przydomkiem Kalamus, skrybę i kartografa dworu Huratów, po rozwinięciu zajmowała cały hyexowy stół w bibliotece pałacu Lotte i jeszcze spływała zeń z obu stron na marmurową podłogę. Mazer ben Keszla był pierwszym z ziemskich kartografów otwarcie posiłkujących się przy kreśleniu map obrazami z orbity. Jak większość,

stosował się do tradycji opisu globu wprowadzonej jeszcze w Erze Alexandryjskiej przez Filogenesa z Gadesu, rozwijającego w praktyce obliczenia z *Geographiki* Eratostenesa Kyrenejczyka: podział kuli na dwadzieścia poziomych, równoległych kręgów, dziesięć południowych i dziesięć północnych, odmierzanych od równika tą samą długością kątową. Kręgi dzieliły się na dziesięć podkręgów każdy, samych dzielonych na dziesięć, i tak dalej. Skonstruowane przez babilońskich astrologów uranometry i ulepszane nieustannie od czasów Hipparcha dioptrie pozwalały na precyzyjne wyznaczanie sumy geograficznej. Różnicę geograficzną odmierzano w dwudziestu liściach, dziesięciu wschodnich i dziesięciu zachodnich, też potem dzielonych systemem decymalnym. Zachód i wschód zbiegały się na linii przecinającej Gades. Eratostenes, porównując kąt padania cienia w Alexandrii i Syene, obliczył długość obwodu Ziemi: ćwierć miliona stadionów. Mimo najdroższych cygańskich zegarów, nadal istniały trudności z wyznaczaniem podczas podróży różnicy geograficznej — anthosy poszczególnych kratistosów rozmaicie wpływały na działanie chronometrów — dlatego też Huraci (bez wątpienia zasięgnąwszy wpierw rady swego kratistosa Józefa Sprawiedliwego) w końcu zezwolili na skorzystanie z pomocy Księżycan. Kalamus był również autorem kanonicznych map Europy i Azji Mniejszej. Zmarł, pracując wraz z wynajętym teknitesem nad projektem samoodwzorowującego się globusa; sofistesi i filozofowie nieodmiennie twierdzili, iż mekanizm taki stanowi bajkową niemożliwość.

Pan Berbelek przycisnął krawędzie mapy do matowego hyexu pustymi lichtarzami. Wysokie okna biblioteki były szeroko otwarte (okna pałacu Lette z zasady pozostawały otwarte, większość nie posiadała nawet szyb ni okiennic), a że wychodziły na wschód, poranne słońce wlewało się do środka oślepiającymi kaskadami. W ogrodzie śpiewały ptaki. Żółtopióry tłupczyk wleciał w pewnym momencie przez środkowe okno i przysiadł na antycznej figurce Manat. Pan Berbelek mrugnął do niego. Ptak przekrzywił główkę, otworzył dziób.

— Siedemdziesiąt osiem… pięć i pięć… po dwadzieścia cztery… — mamrotał pod nosem Ihmet Zajdar, licząc zapamiętale na abakosie, pochylony nad mapą. Zenon i Abel stali po jego bokach, oparci o czarny blat wodzili palcami po kolorowej Afryce.

Pan Berbelek obszedł stół z drugiej strony. Doulos przyniósł tacę ze świeżymi arfagami. Hieronim rzucił chłopcom po jednej, sam rozbił skoru-

pę swojej, uderzając o podstawę świecznika.

Alexandria — trzeci krąg północny, drugi liść wschodni — błyszczała na pergalonie złotym półksiężycem, wbijającym się wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego w zachodnią część delty Nilu. Niebieski Nil wił się na południe przez żółte pustynie i zielone dżungle, docierając prawie do krawędzi stołu. Staranną greką opisano kolejne katarakty oraz linię wież heliografów, biegnącą wzdłuż rzeki i przez Wielkie Axum, aż do leżącego prawie na samym równiku Agorateum, dokąd przybijały wszystkie statki z Indii i Dzunguo. Druga, prostopadła linia heliografów prowadziła z Nowego Babilonu, przez Alexandrię i wzdłuż całego północnego wybrzeża Afryki, do Sali w pierwszym liściu zachodnim.

Im dalej wszakże od tras komunikacyjnych, im głębiej na południe i zachód, tym mapa była bardziej ogólnikowa, opisy bardziej skąpe; pierwszy i drugi krąg północny na zachód od Nilu i na południe od Złotych Królestw pozostawały prawie puste, jeśli nie liczyć kilku większych wyżyn, zlokalizowanych przez Mazera zapewne na podstawie map orbitalnych, oraz drobno wykaligrafowanych wskazówek zebranych z legend i opowieści podróżników.

— Mam! — zawołała Szulima, zjawiwszy się z wielkim atlasem pod pachą. Rzuciła go na stół i przysunęła sobie wysoki taboret.

Pan Berbelek stanął za nią z pękniętą arfagą w lewej dłoni, prawą przesunął wzdłuż kręgosłupa Amitace, po ciepłej, gładkiej skórze i pod rozpuszczone włosy. Szulima posłała mu ponad ramieniem ostrzegawcze spojrzenie, ale nie odsunęła się. Przerzucała energicznie wielkie karty.

— To: drugi lot „Paxu”, tysiąc sto osiemdziesiąt osiem. Używaliśmy ich szkiców do planowania poprzednich dżurdż. Popatrzcie, tutaj mają kawałek Żółwiej Rzeki, tu powinna być Sucha, a te wzgórza — to już są Krzywe Krainy, Skoliodoi.

Obróciła atlas, by mogli się przyjrzeć. Ihmet odłożył abakos.

— Nadal musimy zdecydować, którędy podejdziemy. Jak się orientuję, są trzy trasy. Nilem do Pachoras i prosto na południowy zachód. Nilem do Fortu Sępów i na zachód. Do Królestw i na południe. No, można też na przełaj przez wschodnią Sadarę…

Szulima uniosła głowę.

— Kiedy ogłosiłeś?

— Dwunastego, esthle. Pierwszy tydzień Quintilisa jako wstępny termin wyruszenia. Planowany czas: trzy miesiące. Finansowanie z równych wkładów.

— I?

— Jeśli mam się trzymać pierwotnego limitu liczby uczestników, to powinienem już zamykać listę. Ja, ty, esthle, esthlos Berbelek z synem i córką, esthlos Lotte, to już jest pół tuzina. Zakładając dziesięciu niewolników na człowieka —

— Załóż piętnastu.

— Ugrzęźniemy z tą dwustuosobową armią.

— Połowa ucieknie na sam smród Skrzywienia — mruknęła Szulima.

— No i zwierzęta — ciągnął Zajdar, drapiąc się po garbatym nosie. — Rozmawiałem przedwczoraj z nimrodem Danielem Ormeńczykiem. Mówi, że następnym razem spróbuje z nieba, jeśli tylko znajdzie kogoś, kto mu ubezpieczy świnię powietrzną. Trzeba wynająć co najmniej dwóch demiurgosów fauny. Poza tym jakiegoś godnego zaufania mieszańca do negocjacji z miejscowymi dzikusami…

— Tym się nie martw, znam bardzo dobrego. Co do trasy. — Pochyliła się nad stołem, przysuwając otwarty atlas do analogicznego fragmentu mapy.

Hieronim nie potrafił się oprzeć geometrycznemu łukowi jej pleców. Uniósłszy arfagę, wypuścił na brązową skórę Szulimy strumyczek zimnego soku; szybko ściekł on ku zawojowi bawełnianej spódnicy. Szulima wzdrygnęła się. Zakląwszy, obróciła się do pana Berbeleka. Ten uśmiechnął się szelmowsko, wzruszył ramionami. Kopnęła go w goleń — chciała kopnąć, odsunął się w porę. Pokazała mu Odwrócone Rogi. Ukłonił się.

Abel i Zenon obserwowali to ponad stołem, z trudem powstrzymując śmiech. Gdy Szulima zwróciła się z powrotem ku mapie i atlasowi, Abel pokiwał porozumiewawczo głową. Zgromiła go wzrokiem.

— Co do trasy. Złote Królestwa. Dlaczego? Cztery powody. Raz, zapchany Nil. Dwa, pora deszczowa w Axum. Trzy, do Królestw to świnia nas zabierze bez problemu, parę dni i jesteśmy w połowie drogi. Cztery, najszersze dojście. To znaczy, o konkretnym szlaku możemy zdecydować już w Królestwach, opierając się na lepszych informacjach, a idąc z północy, posiadamy dostęp do prawie całych Krzywych Krain, nie ma powodu odkrywać już odkryte, dziewięćdziesiąt procent tych ziem jest niezbadana.

Mówię tu o wschodniej połowie pierwszego liścia i zachodniej drugiego w drugim kręgu. — Obwiodła paznokciem obszar na mapie. — Jak z pieniędzmi? — zwróciła się do Ihmeta.

— Skalkulowałem z zapasem. Oczywiście prywatne wyposażenie nie wchodzi w zakres. Ceny keraunetów poszły ostatnio w górę. Mam nadzieję, że się już zaopatrzyliście.

— Właśnie się wybieramy do rusznikarza — rzekł Abel, spoglądając znacząco na ojca.

— Mam dzisiaj jeszcze trzy spotkania — rozłożył ręce Hieronim.

Pan Berbelek istotnie nie dysponował w tych dniach nadmiarem wolnego czasu. Od chwili ujawnienia umowy NIB z Kompanią Afrykańską (a Aneis Panatakis rozgłosił był o niej po Alexandrii chyba jeszcze tego samego wieczoru), do Hieronima, jako pełnomocnika i współwłaściciela Njute, Ikita te Berbelek, zgłaszały się tuziny kupców i przedsiębiorców z propozycjami interesów, na których obie strony niezawodnie zarobią, jeśli tylko esthlos Berbelek raczy poświęcić godzinę, pół godziny, kilka minut na zapoznanie się z tym oto genialnym pomysłem, proszę, a jak niewiele trzeba, by go zrealizować, doprawdy, suma nie warta wzmianki, no ale skoro pytasz, esthlos… Część z nich zjawiała się u Panatakisa, ale część nachodziła od razu Hieronima, nierzadko wpraszając się pod tym czy innym pretekstem do pałacu Lotte, albo też czatując pod jego bramą i wskakując do wyjeżdżającej wiktyki z panem Berbelekiem. Hieronim przeraził się, jakież to plotki rozpuścił Aneis na jego temat; jeszcze ktoś gotów go porwać dla okupu! Albo Abla czy Aliteę! Takie jednak były obyczaje alexandryjskie, tak się tu robiło interesy: z przymusu, pod gwałtem, na granicy oszustwa. Równoprawne spółki należały do rzadkości. Bogactwo było związane z krwią i morfą jeszcze silniej niż na północy, w Europie. Jakby istotnie południowa aristokracja zachowywała w swej Formie więcej owej pierwotnej drapieżności, która wyniosła jej przodków na szczyt piramidy społecznej.

Tym niemniej trafiali się pośród tej masy finansowych naganiaczy ludzie z pomysłami wartymi uwagi. Natknąwszy się na interes obiecujący zyski, trzeba było przejąć go bezwzględnie i samodzielnie poprowadzić. Tak oto pan Berbelek zakupił dla NIB na przykład eksperymentalny warsztat jubilerski (próbujący sztuki szlifowania kamieni szlachetnych w ostre krawędzie i równe płaszczyzny), cygańską hutę rubii, wytapiającą w wielkich ilościach transmutowany metal rubinu, oraz fakturę alkimicznych trucizn, któ-

re miały ponoć znacznie podnieść urodzaj w kolejnych wylewach Nilu. Tego popołudnia był umówiony na spotkanie między innymi z wynalazcą pyromatonu, pozwalającego uzyskiwać w piecach hutniczych temperatury dotąd nieosiągalne, co powinno wreszcie umożliwić puryfikację Materii do czystego ge, samożywiołu Ziemi. Jeśli potwierdziłyby się teorie sofistesów, otworzyłoby to drogę dla masowej produkcji materiałów samożywiołowych: nieskończonych, niezrywalnych nici, stali cieńszej od jedwabiu, twardszej od diamentu, miękkiego marmuru o tysiącletniej pamięci formy — i to bez udziału żadnego teknitesa czy choćby demiurgosa. Pan Berbelek nawet wierzył w szczerość wynalazcy. Jak jednak z góry poznać, które hipotezy aristotelesowców okażą się słuszne, a które nie?

Złapał się na tym, że opowiada obszernie o owych dylematach synowi, gdy stali w cieniu pod zadaszeniem strzelnicy warsztatu demiurgosa Jana Ormasa i czekali na niewolników z następną parą keraunetów.

— Mhm, gdyby to była prawda, można by sporządzać też lekkie zbroje na tyle wytrzymałe, by powstrzymały kulę — rzekł Abel, ważąc w rękach przepięknie rzeźbiony i malowany keraunet o trzypusowej lufie. — Niech się schowa Horror ze swoim hydorowym grafitem!

— Zauważ, że z samożywiołowej, prawdziwie purynicznej stali można by także robić lżejsze, a znacznie potężniejsze keraunety. A tylko pomyśl o pyresiderach! — Pan Berbelek uniósł keraunet do oka i wystrzelił szybko, zanim ciężar broni uniemożliwił mu celowanie. Grzmot przeszył uszy, kolba w kształcie pyska behemota kopnęła go w bark z siłą godną tego morfezoona. Strzelnica wyposażona była w podpórki pod lufy o regulowanej wysokości, ale nie tak przecież będą strzelać na dżurdży — trzeba dobierać broń stosownie do warunków. Opuszczając behemotowy keraunet, Hieronim stęknął głośno. Ormasowy niewolnik zabrał ciężki oręż.

— Jutro przyprowadzę Aliteę, musi sobie znaleźć coś na swoje siły — rzekł Abel.

Pan Berbelek skrzywił się mimo woli.

— Co? — żachnął się Abel. — Myślisz, że sobie nie poradzi?

— Czy ona kiedykolwiek trzymała w ręku keraunet?

— Nie. Podobnie jak i ja. Nauczę ją. To proste.

— Najchętniej w ogóle zostawiłbym ją w Alexandrii.

— Chyba żartujesz. Esthle Amitace jedzie — jak chcesz zatrzymać Aliteę?

— Esthle Amitace. No tak.

— Dlaczego akurat Alitea miałaby nie dać sobie rady? Bo jest najmłodsza? Ta siostrzenica Weroniuszów nie jest wiele starsza; a zabierają ją, prawda?

— A niech się Weroniuszami skorpiony karmią, co mnie oni obchodzą. Martwię się o Aliteę. Co innego salony Alexandrii, co innego dzicz kakomorficznej Afryki. Powiedzmy, że raz wpadnie w panikę w złym momencie… Co, trzymać ją w obozie przez cały czas?

— Wiesz, czasami trzeba podjąć ryzyko, żeby Forma mogła się określić, zdecydować w tę czy tę stronę.

— Ohoho, pan Latek przeczytał książkę!

Abel uśmiechnął się szeroko, białe zęby błysnęły w cieniu.

— Ty się o Aliteę nie martw, jeszcze się okaże, że faktycznie zostaje w Alexandrii, a wtedy będziesz żałował, że nie jedzie z nami.

— Zaraz, zaraz, o czym ty… Ten ares Monszebe, tak?

— E, co ja tam wiem. Pytaj się lepiej swojej Szulimy.

— Na jaja Dzeusa, bo jak tu nagle zostanę dziadkiem…!

— No nie, czarne ziółka to ona pija co księżyc.

— Ja w ogóle nie chcę tego słuchać!

Abel zaśmiał się, podrzucił do oka keraunet, ścisnął spust. Zagrzmiało. Chyba nawet trafił w tarczę.

Godzina po zmierzchu, będę czekał przy tylnej bramie. Zanim wyjedziesz, esthlos. Proszę. Aneis. Pismo było takie samo, co zawsze, jednak panu Berbelekowi z jakiegoś powodu zaświtała myśl o zasadzce. Kto mianowicie miałby się na niego zasadzić, podszywając się pod Panatakisa? Tego już nie potrafił sobie wyobrazić.

Cóż ja się zrobiłem taki strachliwy? — warczał w duchu na siebie, idąc przez ogród pałacowy pogrążony w ciepłej, wilgotnej ciemności. Minął go młody gampart, zielone ślepia w ułamku sekundy przewierciły duszę na wylot. Pan Berbelek sprawdził sztylet w lewym rękawie.

Ale to oczywiście był Aneis Panatakis — w swej własnej, niepowtarzalnej osobie.

— Ukłony, ukłony, ukłony, tysiąc błogosławieństw dla esthlosa Berbeleka, o wybaczenie błagam, że o takiej porze i w takich okolicznościach, do-

prawdy, płonę ze wstydu, lecz bogowie by mnie pokarali, gdybym nie spróbował cię odwieść od tego, esthlos, boję się o twoje życie, nie możesz teraz zginąć, serce by mi pękło, nie możesz!

Serce, akurat, prędzej konto bankowe, pomyślał pan Berbelek.

Odciągnął faktora dalej od bramy, by nie słyszeli ich mamluccy strażnicy.

— O co właściwie ci chodzi, Aneis? Mówże po ludzku!

— Nie jedź.

— Co?

— Jutro wyjeżdżasz na dżurdżę, przecież sam mi mówiłeś, esthlos. Nie jedź.

— Dajże spokój. Wszyscy jeżdżą.

Panatakis szarpnął się za brodę, splunął, przeżegnał się, lewą ręką odpędził biothanatoi, prawą otworzył dla Akazy, zatupał, rozglądnął się nerwowo po nocy; wreszcie zaczął szeptem:

— Rozmawiałem z Izydorem. Tak, tak, Wół w końcu przyjął Panatakisa. Izydor się łamie. Jest przerażony. Mówi, że to wszystko właśnie z powodu Krzywych Krain. Odkąd tylko zaczęły chodzić plotki i potem, po pierwszych trofeach przywiezionych zza Żółwiej, a zwłaszcza w ostatnich latach… Spisuje kronikę, wynajął sofistesa, pokazał mi dokumenty. Od tysiąc sto osiemdziesiątego szóstego, kiedy nadworny medyk Huratów potwierdził pierwszą kakomorfię. Ślą swoich szpiegów, posłów, agentów, szczury. Wynajmują karawany jako przykrywkę. Wykupują całe kompanie. On jest pierwszy w kolejności, on ma najlepsze dojście. Na Alexandrię był mocny, nikt nie mógł mu zagrozić. Ale teraz dostaje takie propozycje, że nie potrafi ani przyjąć, ani odmówić, wzięli go w kleszcze. Esthlos, on mówił o królach, o kratistosach! To jest cała podziemna wojna, niewidoczna ani na szachownicy polityki, ani na szachownicy pieniądza. Dżurdże to pewnie także ich wymysł i narzucona aristokracji moda, żeby mogli tam jeździć bez wzbudzania podejrzeń. Skażcie mnie bogowie, jeśli wiem, po co. Sofistes Woła też się tylko domyśla. Mówi o topomorfie, drugiej Al-Kabie, miejscu samoistnego wypaczenia kerosu. Ale co to ma za znaczenie — oni po prostu chcą położyć na tym łapy, zagwarantować sobie zyski i wyłączność. Taka pażuba. Sofistes twierdzi, że ludzie Kuszychadów Axumejskich przeprowadzali tam eksperymenty, posiali za Suchą konopie, a z nich zamiast żywicy hasziszu wyciska się sok pażubowy. I teraz ta pażuba rozchodzi się po świecie; lecz im dalej od Skoliodoi, tym mniejsza siła. Inni znowu sądzą,

że uciekł tam któryś z wygnanych kratistosów, że oszalał, umiera, poddał się dżungli, a to jest anthos jego śmiertelnego obłędu. Albo narodził się nowy, z dzikusów nieludzkich, tych Negrów barbarzyńskich, a tak potężny, że już jako niemowlę odcisnął się na całej krainie tą morfą niesłychaną i —

— Aneis, posłuchaj ty siebie samego: Wół zaraził cię swoim przerażeniem, roznosisz je teraz jak trupi smród. Przychodzisz prosto od niego, prawda? Idź ty się lepiej prześpij i zapomnij o tym wszystkim.

— Esthlos!

— Idź, idź. — Pan Berbelek odwrócił się do bramy.

— Gauer Szebrek z Babilonu, nie jedź z nim, esthlos, Wół przysięga, że to szpieg Siedmiopalcego; jeśli on pomyśli, że chcesz —

Pan Berbelek, zirytowany, przyśpieszył kroku. Nie wiedział, ile z bełkotu Panatakisa jest prawdą (zapewne nic), wiedział za to, że dalsze wystawianie się na tę nocną litanię strachu istotnie może pozostawić w nim trwały osad izydorowego tchórzostwa. Nie w takiej formie wyrusza się na dżurdżę.

Wracając do pałacu przez ciemny ogród, zawędrował w zamyśleniu w labirynt wąskich alejek nad brzegiem jeziora. Topografia odpowiadała teraz stanowi jego umysłu. Gdzie nie skręcić, tylko cienie, cienie; z rzadka polana księżycowego blasku, a i on podejrzany. *Światło naszej Pani*. Jeśli Szulima istotnie ma coś wspólnego z tym kultem i chce do jego celów wykorzystać kakomorfię Skoliodoi… Jak chce wykorzystać mnie? Nieprędko nadarzy się sytuacja o takiej Formie, jak wtedy na jeziorze, bym mógł zapytać Szulimę otwarcie; tymczasem zdany jestem na aluzje i domysły. A jej plany prawdopodobnie obejmują także Aliteę, chyba nie mylę się, zakładając, że to Amitace popchnęła ją ku temu młodemu aresowi z Teb. A może Szulima taki po prostu ma kaprys, nie należy przypisywać kobietom zbyt wielkiej premedytacji, wychodzimy potem na durnych obsesjonatów. W każdym razie ares wraca do Górnego Aegiptu, Alitea jedzie ze mną, ostatecznie może nie okaże się to takim złym pomysłem, ile razy miałem okazję porozmawiać z nią sam na sam, popracować nad Formą ojca i córki? Ani razu właściwie. Przekażę im dokumenty funduszy powierniczych; to będzie dobra okazja. Spisanie testamentu też nie byłoby złym pomysłem. Słusznie mówił Anudżabar: jeśli nie dla dzieci i nie dla życia pośmiertnego, to po co w ogóle się staramy, po co gromadzimy bogactwa i dobra przemijalne? Bo taka jest nasza natura, tylko dlatego. A ponieważ człowiek potrafi się zmieniać podług swej woli —

Ktoś przemykał wskroś ciemnych alejek, cień pośród cieni, strzeliła gałąź, odfrunął ptak, zaszeleściły liście akacji — pan Berbelek przystanął, obejrzał się, cofnął i wychylił zza pnia — szczupła postać weszła na polanę srebrnego blasku, zawinąwszy spódnicę — to kobieta — uklękła, kilkoma szybkimi ruchami odgarnęła ziemię, wyjęła zza pasa długi zwój, po czym wcisnęła go w dół. Przyklepując z powrotem suchy grunt, pochylona — włosy miała długie, rozpuszczone, piersi małe — nuciła coś głosem raz silniejszym, raz słabszym, nie unosząc głowy. Pan Berbelek postąpił naprzód; dłoń odruchowo poszukała rękojeści sztyletu. Słowa były greckie, akcent twardy; również sam głos wydał mu się znajomy — w szepcie, śpiewie i krzyku rozpoznać najtrudniej.

Kobieta powtarzała recytację od nowa:

— Przyjdź do mnie, Panie, Thocie, jak zarodki wchodzą w łona kobiet; przyjdź do mnie, Panie, Thocie, który gromadzisz pożywienie bogów i ludzi; wejdź we mnie, Ibisie, Hebanie, i swoją morfą związ — Dawida z Monszebów, syna Malite, jego oczy, ręce, palce, ramiona, paznokcie, włosy, głowę, stopy, biodra, żołądek, pośladki, pępek, pierś, brodawki piersiowe, szyję, usta, zęby, wargi, brodę, oczy, czoło, brwi, łopatki, barki, nerwy, kości, szpik, żołądek, członek, nogi, zdrowie, dochody, dobytek, sławę, imię, morfę — związ w tym pergaminie! Aby odtąd zawsze, czy je, czy pije, pracuje, walczy, rozmawia, odpoczywa, leży we śnie, za dnia i w nocy, w słońcu i w cieniu, w samotności czy pomiędzy ludźmi, aby zawsze — myślał o mnie, tęsknił za mną, pragnął mnie, nikogo innego, tylko mnie, a którakolwiek kobieta chciałaby się do niego zbliżyć, niechaj Dawid, syn Malite z Monszebów, odwróci się od niej, od jej rąk, oczu, piersi, brzucha, sromu, ust, wnętrzności, ciała i cienia, imienia i morfy, i ucieknie z każdego miejsca, każdego domu, każdego miasta, precz, precz, precz, myśląc tylko o mnie. Bowiem ty jesteś ja, ja jestem ty, twoje imię jest moim, moje imię jest twoim, twoja morfa jest moją, moja morfa jest twoją — jestem bowiem twoim zwierciadłem. Znam ciebie, Thocie, i ty mnie znasz. Ja jestem ty, ty jesteś ja. Uczyń zatem to, Panie — zaraz, zaraz, szybko, szybko, teraz, teraz!

Pan Berbelek wycofał się powoli, bacząc, by żadnym nagłym ruchem ni dźwiękiem nie zwrócić na siebie uwagi Alitei.

I
Dżurdża

Sadara, Assadra Al-Kubra: raj, pustynia, raj nieukończony. Na pokładzie „Powstającego”, podczas dwudniowego lotu do Am-Szasy, pan Berbelek zaczął prowadzić dziennik dżurdży. Pisał po vistulsku. W południe 10 Quintilisa, gdy świnia powietrzna zbliżała się już do wschodnich zboczy Gór Tybeckich, Hieronim zanotował: *Jeśli jakaś zasługa powinna zostać zapamiętana Illei Okrutnej, to właśnie stworzenie Złotych Królestw*. Poprzedniego dnia lecieli nad sadarskimi wyżynami, dwieście, trzysta pusów ponad polami złotej trawy, tej „pszenicy biednych”, cień świni powietrznej przemykał po polach niczym dłoń boga delikatnie głaszcząca lśniącą sierść. Od horyzontu po horyzont, jak okiem sięgnąć, tylko falujące na gorącym wietrze złote łany. Nikt już nawet tego nie uprawia, to chwast, tak go wymorfowali teknitesi flory Illei: by nawet na pustyni przetrwał, by kamienisty ugór zmieniał w kwietne łąki.

Gauer Szebrek, który utrzymywał, iż w akademei w Kum odebrał był wykształcenie sofistesa, nie omieszkał pochwalić się swą wiedzą:

— Jeszcze przed czasami Aegiptu i faraonów tutaj istniały królestwa i wielkie miasta, teraz zapomniane, zniszczone przez piasek i wiatr. Był to raj rolników i hodowców bydła: najżyźniejsze ziemie, najlepszy klimat; pierwsze ogrody człowieka, można rzec. Ale odmieniła się forma świata i cała ta część Afryki przeobraziła się w jałową pustynię. Ludzie uciekli na wschód, ku Nilowi, i tak powstało Pierwsze Imperium. Kratista Illea poświęciła blisko trzysta lat, by odwrócić ów proces i nadać tej ziemi życiodajną morfę. Być może gdyby dano jej drugie trzysta, ujrzelibyśmy tu prawdziwy powrót Raju.

Szulima poradziła mu ironicznie:

— Wyemigruj na Księżyc, na jego morfunek miała lat ponad pięćset.

Gauer Szebrek wzruszył ramionami.

— Może i bym się zdecydował, gdyby było to możliwe. Na razie czytuję sobie do snu Elkinga.

Po południu 10 Quintilisa, a był to Dies Mercurii, pan Berbelek zaszedł do kabiny esthle Amitace, by omówić przed przybyciem do Am-Szasy sprawę wynajmu mieszańca i dzikusów; Amitace od początku twierdziła, że najlepiej pozostawić to jej, już tam ich kiedyś najmowała. Po prawdzie była przecież jedyną tu osobą z jakimkolwiek doświadczeniem z dżurdży. W rzeczywistości jednak Hieronim miał nadzieję w wymuszonej intymności ciasnej kabiny aerostatu odtworzyć Formę z nocy Izydy.

Szulima pozbawiła go wszelkich złudzeń: ignorowała aluzje, nie oddawała uśmiechu, nie pozwalała na najmniejsze rozluźnienie morfy; na dodatek w połowie rozmowy wezwała Zueię i już jej nie odesłała. Pan Berbelek powinien był czuć gniew odrzucenia (gniew byłby mile widziany), lecz wyszedł od Amitace w nastroju ledwie melancholijnym. Należało się tego spodziewać, rzekł sobie; bogini daje, bogini odbiera. W końcu wszak poleciałem na tę dżurdżę — nie ma już potrzeby mnie kusić i przekupywać.

Na balkonie świni zastał Aliteę i esthle Klaudię Weroniusz, córkę esthlosa Marka i esthle Justyny Weroniuszów, którzy jako pierwsi zgłosili się do Ihmeta Zajdara; zabrał się z nimi także przyrodni brat esthle Justyny, młody esthlos Tobiasz Liwiusz. Weroniusze mieszkali w Alexandrii zaledwie pół roku, przeprowadziwszy się z Rzymu, i jeszcze wyraźnie była w nich widoczna morfa kratistosa Sykstusa; a Liwiusz, jedynie odwiedzający Alexandrię, pozostał Rzymianinem do szpiku kości.

Alitea i Klaudia siedziały na krawędzi pokładu, nogi wysunąwszy poza nią przez oka sieci bezpieczeństwa. Pochylone w przód, prawie wiszące na siatce, spoglądały w dół między bosymi stopami, którymi nieprzerwanie wymachiwały w przód i w tył, w idealnie zgranym rytmie. Obie były nadto w podobnych luźnych szalwarach, z białymi kapeluszami zsuniętymi na tył głowy, i pan Berbelek tym wyraźniej ujrzał dzielącą je różnicę formy. Alitea to już na wpół Aegipcjanka, o skórze barwy ciemnego miodu, z długimi, czarnymi włosami, szczupłymi biodrami i wysokimi piersiami, wąskim nosem. Klaudia Weroniusz mocniej trzyma się ojczystej morfy: jasna skóra, pełniejsza figura, szersze ramiona, twarz bardziej okrągła. No ale Klaudia zapewne nie chadzała co drugi dzień do najdroższego teknitesa somy, by poddać się morfunkowi wzmacniającemu anthos Nabuchodonozora, jak czyniła to Alitea, bez wątpienia za namową Szulimy. W oczach Hieronima wszystko to był zresztą element przebiegłego planu Szulimy, mającego na celu związanie Alitei z aresem Monszebe. Nie potrafił znaleźć tu motywu,

lecz w owej chwili był w stanie wmówić sobie największą nawet perfidię esthle Amitace. Z Marią też to się tak zaczęło…

Usiadł obok Alitei, po lewej, wyciągając nogi między splotami siatki. Natychmiast poczuł, jak buty zsuwają mu się ze stóp. Wrażenie było absurdalne, buty — dobrze dopasowane vodenburskie jugry z wysokimi cholewami — nie miały prawa się zsunąć; niemniej aż się pochylił na likocie, dopiero oczom dał wiarę.

Afryka przemykała pod nimi z wielką prędkością, wiatr mierzwił włosy, podrywał kapelusze dziewcząt, świszczał w olinowaniu „Powstającego”, furkotały nogawki szalwarów i poły kirouffy Hieronima. Lecieli wyłącznie dzięki pneumatonowi i wielkim wiatrakom aerostatu, wbrew stawiającym opór, nieruchomym masom gorącego powietrza, nie ciągnął ich ze sobą żaden wicher. Ziemia znajdowała się zaledwie sto pusów pod masztami towarowymi „Powstającego”. Gdyby na ich trasie pojawiło się jakieś wzgórze albo wyjątkowo wysokie drzewo, mogli liczyć tylko na refleks kapitana świni. Wyżyna wszakże była płaska jak stół: ten sam morfunek Illei Okrutnej, który ożywił i eksplodował tybeckie wulkany, zniwelował grunt dookoła gór na przestrzeni tysięcy stadionów. Nawet w częstotliwości pojawiania się akacjowych, kaoblowych i palmowych zagajników oraz w rozkładzie strumyków i rzeczek objawiała się jakaś nienaturalna regularność, wytrawione w kerosie dążenie do porządku — kratista Illea musi być zaiste osobą metodyczną, niezwykle dobrze zorganizowaną.

Mignęło pod świnią także kilka wiosek: skupiska okrągłych chat, zazwyczaj ukryte między drzewami, z kilkoma wątłymi smużkami dymu wznoszącymi się prosto w oślepiająco błękitne niebo. Dzikusi unosili czarne twarze, odprowadzali wzrokiem pędzący aerostat. Alitea i Klaudia machały do nich, lecz tamci najpewniej w ogóle tego nie widzieli, oślepieni przez Słońce.

„Powstający” spłoszył kilka stad dzikich zwierząt: antylop, gazel, nawet małe stado elefantów i zdziczałych oglaków. Częściej napotykali stada wypasane przez negrowych pasterzy, wielkie gromady oswojonego bydła, setki, tysiące sztuk. Chowoły, tapalopy, mamule, akapasi, humije, trysle — wszystko morfa Illei i jej teknitesów. One z kolei prawie w ogóle nie reagowały na przelot aerostatu.

Pan Berbelek wciągał głęboko do płuc powietrze złotej sawanny, smakował zapach dzikiego anthosu. Od siódmego wieku PUR, od chwili wygna-

nia Illei, Złote Królestwa nie miały kratistosa na tyle potężnego, by objął je wszystkie swą aurą. W większej części nadal pozostawały pod wpływem kratistosów nieświadomych, nierzadko plemiennych szamanów żyjących gdzieś na obrzeżu Królestw — w takich wioskach, nad jakimi „Powstający” właśnie przelatywał. Mimo wszystko to już była dzika Afryka, oderwana od form cywilizacji. Ludzie pili tu krew, parzyli się z bestiami, palili żywcem dzieci, wyrzynali w napadach niewytłumaczalnego szału całe miasta, poddawali się morfie bezimiennych bóstw sprzed początku czasu; ludzie i nie ludzie, istoty jeszcze dalsze od doskonałości.

— Tam! — zawołała Klaudia, wskazując punkt przed dziobem świni, na linii horyzontu, pod rozlanym na pół nieboskłonu Słońcem, na tle monumentalnych gór. Strzelały stamtąd jasne refleksy, wyłaniała się spod widnokręgu gwiazda gorącego blasku.

— Am-Szasa — stwierdziła Alitea. — Dolatujemy już. Myślicie, że naprawdę jest ze złota?

— Trzeba było słuchać pana Szebreka, krynicy wszelkich mądrości — rzekł Hieronim, mimowolnie podnosząc głos, by być słyszanym ponad świstem wiatru. — To illeum, glina powstała ze zmieszania pyłu wyrzuconego przez tybeckie wulkany. Wypalają z niej bardzo wytrzymałą ceramikę, używają do wyrobu dachówek. Zresztą ponoć też cegieł, nie wiem, zobaczymy. W słońcu faktycznie lśni jak złoto.

— Zostaniemy tam chyba na trochę, co? Skoro już jedziemy przez Złote Królestwa…

— Kilka dni może, dopóki wszystkiego nie zorganizujemy i nie wybierzemy trasy. Na Sadarze jest sześć czy siedem takich miast, może zahaczymy o Am-Tuur, jeśli pójdziemy prosto na zachód. To zależy, który szlak okaże się najbardziej obiecujący: trzeba popytać, zebrać informacje wśród miejscowych myśliwych, przekupić szamanów… Może uda nam się wejść głębiej w Skoliodoi.

— Znajomy mojego ojca — wtrąciła się Klaudia — ustrzelił za Suchą latającego węża.

— Węża? — zmarszczyła brwi Alitea. — Znaczy, co? miał skrzydła? Niby jak on latał?

— Długi jak ta świnia. Pokazał mi ściągniętą skórę, wisi na ścianie u niego w holu, skręcona w spiralę. Musieli ją przybić, inaczej unosiłaby się w powietrze, sama z siebie.

— Mam nadzieję, że uda mi się upolować coś podobnego. Węża albo smoka, albo hydrę; tam przecież może być wszystko, prawda? I przywieźć do domu takie trofeum.

— Nie bój się, w Vodenburgu byle kakomorf zrobi wrażenie — rzekł pan Berbelek.

— Vodenburgu? — Alitea obejrzała się na ojca, wyraźnie poruszona. — Wracamy po dżurdży do Neurgii?

— Taki był plan. — Pan Berbelek ostrożnie dobierał słowa. — Alexandria, Iberia i na zimę do Vodenburga. A jaki dom miałaś na myśli? Pałac esthle Lotte?

— Mógłbyś kupić jakąś posiadłość. Przecież wiem, robisz tam interesy, wielkie pieniądze, wszyscy mówią, z tym esthlosem Anudżabarem, nie musisz wracać do Vodenburga, esthlos Njute na pewno… Co? Dlaczego nie?

— Naprawdę chciałabyś zamieszkać w Alexandrii?

— Abel też, spytaj go.

— Jakiś konkretny powód?

Wydęła wargi.

— Vodenburg brzydki jest.

Klaudia parsknęła śmiechem.

Pan Berbelek pokiwał smętnie głową.

— A naprawdę?

Alitea wzruszyła ramionami. Widział, jak kolejne nastroje przesuwają się po jej twarzy niczym chmury po niebie, jedna ciemniejsza od drugiej. Nadąsana, zgarbiona, z przygryzioną dolną wargą, uciekała Alitea w formy dziecinne; była dzieckiem.

Nasadził jej na głowę kapelusz, wygładził włosy.

— Pomyślimy, pomyślimy.

Rozpromieniła się natychmiast; nic nie mógł poradzić — musiał się uśmiechnąć, chciał się uśmiechnąć.

Objął ją prawym ramieniem.

— Jeśli powiesz mi prawdę — rzekł, nadal się uśmiechając.

Momentalnie z powrotem się naburmuszyła. Klaudia rozchichotała się na dobre. Alitea pokazała jej język.

Ostentacyjnie odwróciwszy się od nich obojga, oparła czoło o sztywny powróz, przewiesiła ręce przez siatkę. Znowu wpatrywała się w ziemię pod nogami.

Hieronim podniósł się, otrzepał szalwary i kirouffę.

— Jak Szulima zostanie, to ty też zostaniesz.

Pan Berbelek zatrzymał się w pół kroku. Złapawszy się likotowej siatki, nachylił się nad córką.

— Coś ty powiedziała?

Machała bosymi stopami nad migoczącym srebrno jeziorem, z którego poderwało się właśnie spłoszone ptactwo, rozświergotana burza czerwonych, żółtych i niebieskich piór.

— Nic.

— Co takiego? Powtórz.

— Xewra. Nie rób takiej miny, jeździ się dokładnie tak samo jak na koniu czy zebrze. Zresztą wymorfowana właśnie z zebry. Bardzo popularna w drugich i pierwszych kręgach. Proponuję wziąć trzydzieści sztuk.

Zwierzę miało sześć pusów w kłębie, mocne, masywne nogi, szyję nieco dłuższą i bardziej wygiętą niż koń (ale sam łeb bez wątpienia koński) i długi, gęsty ogon. Krótka sierść układała się symetrycznie na bokach xewry w wielokolorowe wzory, nie biało-czarne pasy, lecz jakieś motyle, skomplikowane ornamenta, żółte, brązowe, purpurowe, nawet zielone. Kaprys teknitesa, przypuszczał pan Berbelek; podobnie Abraxas Gekun, któremu przed tysiącem lat udało się nareszcie wyhodować ujeżdżalną zebrę, przyciągnął był ją bez żadnej racjonalnej przyczyny ku formie z ogniście czerwonymi ślepiami — taki po prostu był Wielki Abraxas.

— Reszta i bagaże, jeśli nie na wozach, pójdzie na wielbłądach i humijach, ale my musimy mieć wierzchowce do polowania — stwierdziła Szulima, jedną ręką poklepując xewrę po szyi, a drugą — odganiając od twarzy tłuste zarzy. — Bardzo dobrze wytrzymują kakomorfię.

— Skoro tak twierdzisz, esthle — skinął esthlos Ap Rek. W odróżnieniu od Hieronima, wybrał się na targ Am-Szasy w aegipskich sandałach i teraz co chwila zatrzymywał się, by wytrzeć stopy z kolejnej kupy nawozu, w jaką wdepnął. Nadal jednak zachowywał stoicki spokój, jak na starego dworzanina przystało.

Gdy Zueia płaciła, a Szulima dogadywała z siwym Negrem ostatnie warunki, pan Berbelek rozglądał się po zatłoczonym targowisku za Aliteą i Klaudią, które oddaliły się już chwilę wcześniej w towarzystwie dwóch

Weroniuszowych doulosów. Zajdar, Zenon i Abel oraz Tobiasz Liwiusz w ogóle nie zabrali się z resztą myśliwych na targ, wybierając śniadanie u posła rzymskiego, jak się okazało, starego przyjaciela Liwiuszy. Weroniuszowie udali się na zwiedzanie ruin Labiryntu Illei, a Gauer Szebrek zniknął z hospicjum jeszcze przed świtem.

Kiedy po drugiej stronie zagrody z xewrami, za stanowiskiem handlarza niewolnikami, wybuchło głośne zamieszanie, pan Berbelek od razu pomyślał o Alitei — i była to myśl słuszna. Pobiegł przez tłum, rozpychając się i tłukąc ludzi po nogach i plecach trzcinową ryktą, dodatkowo zdenerwowany w ogarniającej tłum morfie podniecenia.

Zastał Aliteę i Klaudię całe i zdrowe, dyskutujące podniesionymi głosami z negrowym rymarzem o plemiennym morfunku rozciągającym mu uszy i wargi do monstrualnych rozmiarów; nie wysławiał się przez to bynajmniej w sposób łatwiejszy do zrozumienia. On mówił w jakimś miejscowym dialekcie, dziewczęta po grecku, gapie pokrzykiwali w pahlavi i tuzinie innych dialektów, a biedny Papugiec próbował to wszystko przetłumaczyć. Każdy oczywiście pomagał wyartykułować swoje racje, wymachując energicznie rękoma.

Pan Berbelek uderzył trzykrotnie ryktą o jedno z wyłożonych na kobiercu siodeł, trlaskkk, trlaskkk, trlaskkkk!

— Cisza!

Negrowie oczywiście nie zrozumieli słowa, niemniej natychmiast zamilkli.

Pan Berbelek zatoczył ryktą w powietrzu szeroki półokrąg. Gapie odsunęli się dwa kroki do tyłu. Odwrócił się do nich plecami.

— O co chodzi? — spytał Aliteę.

Spoglądała wystraszona. Dopiero po chwili zorientował się, że trzyma ryktę wpółuniesioną, jak do kolejnego uderzenia. Opuścił rękę.

— O co chodzi? — powtórzył.

— Ktoś chciał nas okraść — odpowiedziała szybko Klaudia.

— Kto?

— Uciekł. Niewolnicy pobiegli za nim.

— Mam nadzieję, że przynajmniej zostawili pieniądze.

Alitea pokazała sakwę. To słudzy i doulosi zawsze płacą, aristokracja nie brudzi sobie rąk mamoną. Zwyczaj przydatny także w podobnych sytuacjach: jeśli kogoś zbójca ma poturbować, niech turbuje niewolnych.

— Zo-zobaczyłem esthle Latek — wtrącił się Papugiec, gnąc się w ukłonie przed Hieronimem — i przyszedłem za-zapytać, gdzie znajdę esthle Amita-ace. Esthle Latek po-po-poprosiła mnie, bym tłumaczył w targach. I za-zauważyłem tego mężczyznę, stał tam za wo-wozem i obserwował nas. Wskaza-załem go kupcowi, by potwierdził, cz-czy to jego cz-człowiek. A-ale tamten wtedy naciągnął ka-kaptur i odszedł. Krzyknąłem „złodziej!” i on zaczął biec. Nie-niewolnicy pobiegli za nim.

Papugiec był tym półdzikim tłumaczem Szulimy. Jąkał się tylko, mówiąc w językach cywilizowanych; druga, dzika połowa jego morfy była mocniejsza.

— Jeśli zrozumiał, co krzyczysz, to nic dziwnego, że uciekł — mruknął pan Berbelek. — A co mówi on? — wskazał rymarza. — Może to rzeczywiście był jego człowiek?

— Mó-ówi, że nie.

— Jasne, teraz nie przyzna się, choćby to był jego syn. — Pan Berbelek obrócił się do dziewcząt. — Co wy tu właściwie chciałyście kupić? Bierzcie szybko, dostaniecie za pół ceny. Siodła już mamy.

— Te bicze — wskazała Alitea.

— Rukaty — poprawiła ją Klaudia.

— Te rukaty.

— Przecież to dla poganiaczy bydła, na nic się nie przydadzą na dżurdży.

— Co, nie wolno mi sobie kupić? — żachnęła się Alitea. — Widziałam, jak z nich strzelają, głośniej od keraunetu. Nauczę się.

Pan Berbelek machnął ręką.

— Esthle! E-e-esthle! — Papugiec przypadł do Szulimy, która właśnie pojawiła się wraz z Zueią. — U-umówiłem ich, już czekają! Przy wo-wo-wodopojach. Chodźmy! E-esthle!

Na wszelki wypadek pozostawili Antona przy stoisku rymarza, póki doulosi Weroniuszy nie wrócą z pościgu, najprawdopodobniej bezowocnego; reszta ruszyła ku południowej bramie targu. Wyszli na szeroki, piaszczysty Trakt Bydlęcy. Miejski wodopój znajdował się poniżej Am-Szasy, gdzie spływająca z gór rzeka zwalniała i rozlewała się szeroko po złotych pastwiskach Sadary. Na szczęście nie przeganiano właśnie Traktem żadnego stada, tylko kilkanaście mamuli wlokło się poboczem, poganianych leniwie przez samotne negrowe dziecko.

Im bliżej wodopoju, tym większe zagęszczenie zarz w powietrzu. Te owady, wymorfowane w zamierzchłej przeszłości z much gnojowych, nie wiedzieć przez kogo i ku jakiemu celowi, stanowiły prawdziwą plagę Afryki. Nawet anthos Illei nie zdołał ich wypędzić; a może po jej wygnaniu po prostu wróciły, rozprzestrzeniwszy się uprzednio na całą Ziemię. Pan Berbelek odpędzał się od nich rękoma i ryktą; na koniec po prostu zasznurował kirouffę, naciągnął sobie na głowę kaptur i ścisnął lewą dłonią białą tkaninę, pozostawiając jedynie otwór na oczy. Inni postąpili podobnie, jeśli tylko pozwalało im na to odzienie. Kobiety opędzały się od zarz, wachlując się kapeluszami. Zarzy były czarne, tłuste, trzykrotnie większe od much. Według legendy zrodziły się z jaj złożonych w trupie zabitego w Pierwszej Wojnie Kratistosów kratistosa Vercyngoteryxa Glinojada. Pan Berbelek był teraz w stanie uwierzyć w tę bajkową nekromorfię. Minęli truchło chowoła, całe pokryte zarzami, smród i głuche brzęczenie owadów przyprawiały o ból głowy.

Plemię zwało się N’Zui i jego Forma obejmowała długie, patykowate kończyny, skórę czarną i lśniącą niczym unurzany w łoju węgiel oraz prawie bezwłose, wysokie czaszki z dziwnymi wgłębieniami ponad czołem. Przy wodopoju, kucając w półokręgu na skrawku niezadeptanej trawy za zakrętem Traktu, pod samotną ratakacją, czekało pięciu wojowników N’Zui, jeden stary i czterech młodych.

Wstali, gdy biali podeszli pod drzewo. Papugiec zagadał szybko w dialekcie plemienia. Starzec był szamanem, a wojownik z przepaską ze skóry mantikory — drugim synem wodza, on będzie prowadził negocjacje. Zwał się N’Te, co znaczy Ten, Który Odgryza. Wyszczerzył się szeroko do Papugca.

— P-pyta, kto jest waszym wo-odzem.

— Szulima już prowadziła z nimi… — zaczął pan Berbelek, ale nie było po co kończyć, forma ustaliła się bez jego udziału, Papugiec, już tłumacząc pytanie, patrzył na niego, reszta również odruchowo obejrzała się na Hieronima, i Ten, Który Odgryza odczytał to bezbłędnie, stając naprzeciwko pana Berbeleka. Pozostali cofnęli się o krok. Hieronim wiedział, że nie ma sensu sprzeciwiać się morfie sytuacji, zresztą najpewniej stanowiła ona po prostu konsekwencję zdarzenia na targu. Nadal miał ryktę w ręku, wystarczyło ją unieść.

Zrzucił kaptur, odsłaniając twarz. Uderzył ryktą o udo. Szaman zawył, ugryzł się w dłoń i skierował zakrwawione palce ku panu Berbelekowi. N’Te wyszczerzył się jeszcze szerzej. Wskazał na ziemię między nim i panem Berbelekiem. Przysiedli na piętach, Papugiec z boku. Rozpoczęły się negocjacje.

Pan Berbelek zażądał stu osiemdziesięciu wojowników, jako tragarzy, poganiaczy zwierząt, tropicieli i myśliwych, do prac obozowych i do walki, gdy zajdzie potrzeba; na trzy do pięciu miesięcy. N’Te zażądał jednej złotej drachmy dla każdego wojownika za każdy miesiąc. Budżet dżurdży było na to stać, ale pierwszej propozycji oczywiście nigdy nie wolno przyjąć. Po kwadransie targów nawet Papugiec stał się zbędny, pan Berbelek i Negr porozumiewali się, unosząc do góry wyprostowane palce, rysując kreski na ziemi i potrząsając głowami. Na koniec stanęło na półtorej drachmy za każde trzy miesiące. Splunęli i przydeptali ślinę.

Pan Berbelek wstał, rozprostował plecy. Właściwie pozostał tu sam, nawet Szulima odeszła. Papugiec dogadywał z N’Te szczegóły.

— Kto ich poprowadzi? — spytał Hieronim. — Chcę mieć kogoś, kto by bezpośrednio odpowiadał za wojowników.

— On.

— Kto?

Papugiec wskazał N’Te. Ten, Który Odgryza pokiwał głową, jakby rozumiał ich słowa. Znaczenie miał fakt, iż on się nie podniósł, nadal trwał w przysiadzie na piętach, patrzył z dołu. Pan Berbelek wzniósł ryktę. Negr klasnął, raz i drugi. Przyjmowałem już bardziej wątpliwe przysięgi, pomyślał Hieronim. Odwrócił się ku miastu.

Alitea i Klaudia dawno już straciły zainteresowanie negocjacjami. Przeszedłszy na drugą stronę Traktu, bawiły się rukatami, bezskutecznie próbując wykrzesać z biczy efektowne dźwięki. Przyglądali się temu, od czasu do czasu wybuchając śmiechem, Anton i dwaj doulosi Weroniuszy — dopóki Klaudia nie uderzyła przypadkiem jednego z nich. Gonili się potem w krzyku i śmiechu, dziewczęta pogubiły kapelusze, ubrudziły spódnice. Nad nimi, w tle, wspinało się po południowo-wschodnim zboczu Siodła Ebe złote miasto, rozpuszczająca się w wieczornym półmroku Am-Szasa, na razie jednak jeszcze skąpana w promieniach Słońca chowającego się za Górami Tybeckimi — tarasy nad tarasami, na nich stłoczone bez wyraźnego planu jedno- i dwupiętrowe kwadratowe budowle, o ścianach i dachach o tej po-

rze oślepiających żółtym blaskiem. Na szczycie zigguratu świątyni Njad zapłonął ogień, kapłan właśnie zjadł serce dzisiejszej ofiary. Światła zapalały się w oknach setek domów. Dzieci pasterzy przeganiały bydło od wodopoju do zagród i stad. Nagie i półnagie Negryjki rozmaitych morf wracały od górnych źródeł, roznosząc po mieście dzbany i tykwy z wodą, ich głosy płynęły z nurtem rzeki, niezrozumiały świergot pół tuzina dialektów. Alitea przebiegła obok Hieronima, wymachując rukatą za rechoczącym Antonem; zabawy ciąg dalszy. Nawet zarz jakby ubyło. Słońce chowało się za krzywą krawędzią góry i cień wylewał się powoli na Am-Szasę, niczym zimna krew z rozdartej arterii bogini Dnia. Melancholijne przeczucie ścisnęło pana Berbeleka za serce: scena jest zbyt piękna, zbyt spokojna, nazbyt wiele tu beztroski i ciepłych barw. Takie właśnie chwile się wspomina, żałując tego, co bezpowrotnie utracone.

Na każde większe polowanie rozsądnie jest zabrać ze sobą medyka, tym bardziej na dżurdżę, i Ihmet wynajął był w Alexandrii jednego z najbardziej doświadczonych, starego Axumejczyka negrowej morfy, demiurgosa ciała Mbulę Szpona. Mbula miał ponoć ponad sto lat, lecz prezentował się jako bardzo żwawy staruszek, co dobrze świadczyło o sile jego Formy. W trudny do wytłumaczenia sposób już pierwszego dnia zaprzyjaźnił się z dziewczętami. Podczas podróży świnią zabawiał je, rozcinając sobie purynicznym nożem ramię, nogę, stopę i objaśniając wewnętrzną budowę człowieka; krzywiły się z obrzydzenia i niby odwracały głowy, a przecież patrzyły, zafascynowane, i na koniec chichotały, gdy szybko zasklepiał rany. Mówił plebejską greką. Był pośród uczestników dżurdży jedynym mężczyzną niższym od pana Berbeleka.

To właśnie Szpon — nie Zajdar, nie Papugiec, nie Szulima i nie Liwiusz, lecz stary medyk — przyniósł informacje, które zadecydowały o wyborze trasy.

— Marabratta, tutaj. — Dziabnął krzywym paluchem czarno-białą mapę. — Dalej pięćset stadionów wzdłuż Suchej i na południe. Oczywiście za granicą Skoliodoi, ale widać z wierzchołków drzew. Przysięga, że to miasto.

— Miasto w Krzywych Krainach?

— Tak.

— Zbudowane przez kogo?

Mbula przyłożył dłoń do czoła, co stanowiło w niskich kręgach odpowiednik wzruszenia ramionami.

— W Skoliodoi żyją jacyś ludzie? — zdumiał się esthlos Ap Rek.

— Z definicji, skoro tam żyją, nie są ludźmi — mruknął Gauer Szebrek.

Zajdar pochylił się nad mapą.

— Marabratta… Katamusze… Abu-Ti… Znasz te ziemie?

— Zna-am. A-ale za Marabrat-t-tą nigdy nie byłem.

— Kto był?

— Nnie wiem. Nnikt.

— No a ten twój wyzwoleniec? — Nimrod zwrócił się do medyka. — Skąd on się tam wziął? Poszedłby z nami za przewodnika? Złoto do ręki i tak dalej. Co?

— Nie. Nigdy. Przez pół roku pocił się piaskiem, ślinił błotem, dopiero co wrócił do formy, jeszcze sra kamieniami i sypie się z niego rdza.

— Marne świadectwo dają oczy i uszy człowiekowi o duszy barbarzyńcy — mruknął pan Berbelek. Rozglądnął się po werandzie hospicjum. — Wszyscy? Dobrze. Trzeci dzień w Am-Szasie, tracimy czas. Jaka decyzja? Marabratta? Tak? No to już. Ihmet, Marabratta. Papugiec, biegnij do N’Te: jutro o świcie za wodopojem. Spakować się, zapłacić, położyć się wcześnie. Tak, esthle?

Justyna Weroniusz zapaliła tytońca od drżącego płomienia świecy.

— Chciałabym się dowiedzieć — rzekła, uwolniwszy z ust ciemny dym — kto i kiedy uczynił cię strategosem tej dżurdży, esthlos.

Pan Berbelek podszedł do niej, wyjął spomiędzy jej palców tytońca, zaciągnął się. Marek Weroniusz siedział po drugiej stronie żony, Hieronim patrzył mu w oczy, gdy strzepywał popiół na glinianą podłogę werandy.

— Ty, esthle — odparł, nie odwracając spojrzenia od starszego mężczyzny. — W tej właśnie chwili.

— Co znowu… — żachnęła się Justyna, podrywając się na nogi.

Pan Berbelek zatrzymał ją w pół ruchu, kładąc dłoń na ramieniu. Usiadła z powrotem. Pochylił się nad nią; esthlosa Marka miał teraz na linii wzroku za esthle Justyną.

— Czy chcesz, abym was poprowadził? — spytał cicho.

Próbowała szukać wsparcia u innych, lecz nie zdołała nawet odwrócić spojrzenia, twarz pana Berbeleka znajdowała się zbyt blisko. Nie było

w nim groźby i nie było w nim kpiny, nie uśmiechał się, patrzył na Weroniuszy spokojnie, niemal przyjaźnie. Nie mogła powiedzieć „nie”.

Skinęła głową.

Oddał jej tytońca.

Gdy wracał do stołu z mapami, spostrzegł Abla. Syn stał w drzwiach prowadzących na werandę, skryty w cieniu. Podpatruje mnie, pomyślał Hieronim. To dobrze czy źle? Przecież Abel tego właśnie chciał: odziedziczyć morfę. I czy istotnie zależność nie działa w obie strony? No bo na co mi właściwie ta czysto teatralna władza? Wcale nie chcę kierować dżurdżą. Ale wiedziałem, spodziewałem się, że on będzie patrzył… A to się właśnie tak rozwija, karmi samo sobą, rośnie niepostrzeżenie od rzeczy najbanalniejszych: odruch ciała, szybkie słowo, nieprzemyślana reakcja, rykta w górze, rozkaz z moich ust, więc patrzą na mnie, oczekują kolejnego, więc zachowuję się, jak wymaga forma sytuacji, Papugiec, ten rymarz, a skoro oni, to i N’Te, a skoro on, to i esthle Justyna, a skoro ona, to — to — to właśnie jest twoje życie, strategosie Hieronimie Berbelek.

— Nie robimy rzeczy, które chcemy zrobić, jeno te, które leżą w naszej naturze — mruknął po vistulsku.

— Co? — Zajdar podniósł wzrok znad mapy.

— Nic, nic. Policzyłeś już, ile dni?

Później, gdy nad Am-Szasę wszedł różowy półksiężyc i na werandzie pozostali tylko pan Berbelek, Tobiasz Liwiusz i Mbula Szpon, we trzech palący w glinianych fajkach miejscową odmianę herdońskiego ziela i popijający tak zwane „gorzkie złoto”, alkohol fermentowany ze złotych traw sadaryjskich, i bardziej podłe piwo tedż — wtedy ponownie zjawił się Abel. Hieronim bez słowa podał mu kubek. Abel usiadł pod ścianą, zachowując dystans. Esthlos Liwiusz zabawiał pana Berbeleka historiami zasłyszanymi u rzymskiego posła: o coraz liczniej ciągnących przez Królestwa dżurdżach (dopiero co jedna wyszła z Am-Szasy na szlak południowy); o przywożonych przez myśliwych z Krzywych Krain strasznych trofeach, które tu, poza anthosami cywilizowanych kratistosów, zachowują o wiele więcej ze swej oryginalnej, niemożliwej Formy; o nieprzetłumaczalnych opowieściach dzikich wędrowców z pierwszego kręgu, które zarażają paniką całe plemiona; o sofistesach z Aegiptu, Babilonu, Sydonu, Trytu, Axum, nawet z Herdonu i Ziem Odwróconych, ściągających tu, by badać Formę Skoliodoi; o fenomenach atmosferycznych, wyrywających się co jakiś czas

z Krzywych Krain i nawiedzających południowe peryferia Królestw: chmurach ognia na niebie, piorunach kroczących przez pustynię na tysiącpusowych łapach, o deszczach, w których wszystko, co żywe, rozpuszcza się niczym rozgotowane ciasto… Pan Berbelek wypytywał Mbulę o miasto Skoliodoi. Wyzwoleniec najwyraźniej nie był zbyt elokwentny, Szpon potrafił powtórzyć tylko kilka fraz o „czarnych piramidach” i „kamiennych drzewach światła”. Na koniec Liwiusz zasnął z głową na stole, uległszy „gorzkiemu złotu”. Medyk odholował go do łóżka.

Abel zatrzymał ojca jeszcze na moment.

— Czy pozwoliłbyś mi chociaż raz…

— Co?

— Chciałbym samemu poprowadzić jedno polowanie. Sprawdzić, czy jestem zdolny…

Pan Berbelek pokręcił głową.

— Ale dlaczego? — żachnął się Abel.

— Nie tak, nie tak — westchnął Hieronim. — Gdybyś rzeczywiście był zdolny, nie pytałbyś o pozwolenie.

— E! Głupie aforyzmy! Po co mam się z tobą kłócić i spierać przed ludźmi, skoro mogę po prostu zapytać?

— Ale jeżeli pozwolę ci je poprowadzić — pan Berbelek przeciągnął między zębami to „pozwolę” niczym niestrawny flak — to tak naprawdę prowadził je będziesz ty czy ja? — Klepnął syna w plecy, uśmiechnął się krzywo. — Podpatrujesz? Podpatruj. Czy ja rzeczywiście pytałem o pozwolenie? Myślisz, że esthle Weroniusz mogła mi czegokolwiek zabronić?

Pierwsza xewra pana Berbeleka zwała się Ulga (fioletowe płomienie na jej bokach, szyja w spirali soczystej zieleni), xewra druga, luzak — Sytość (czerwone zygzaki, biała pierś). Wszystkie wierzchowce były oznakowane pyrmorfunkiem w zbarbaryzowanej grece. Ulga okazała się bardzo dobrze ułożona, wyczuwała najlżejsze naprężenia mięśni ud, nieustannie przekrzywiała łeb, kątem oka kontrolując ruchy jeźdźca. Handlarz w Am-Szasie zarzekał się, że myśliwi będą mogli nawet strzelać z siodła. Nimrod Zajdar sprawdził to, ledwo opuścili miasto, odjechawszy na stosowną odległość od karawany, by keraunetowym grzmotem nie wzbudzić paniki wśród zwierząt i ludzi.

W skład karawany wchodziło osiem wozów ciągnionych przez poczwórne zaprzęgi chowołów, nadto trzy tuziny humijów, na które trzeba będzie przeładować co cięższe bagaże, gdy dżurdża dotrze do terenu nie do pokonania dla wozów. Na koniec, w Krzywych Krainach, i tak zapewne wszystko nieść będą tragarze N’Zui. Zajdar, Papugiec i N’Te tak ułożyli trasę, by ominąć dżungle i pustynie. Aż do Marabratty mieli podróżować sawanną, sadarowymi lasami baobabowymi, skrajem skalistej hamady. Jechali na zachód, południowy zachód.

Pierwszy dzień był dniem ustalenia rytuałów. Stu osiemdziesięciu Negrów stawiło się pod Am-Szasą, każdy ze skórzanym tobołkiem na plecach, trójkątną tarczą z likotowej kory i bawolej skóry oraz trzema kurroi, krzywymi dzirytami-oszczepami z kości humija, podobnymi nieco do harpunów. Po związaniu razem, zadziorami na zewnątrz, służyły jako rozrywająca ciało maczuga, kurrote; ciskane oddzielnie przebijały na wylot gazelę. Pan Berbelek nie zdołał się powstrzymać od ironicznego uśmiechu. Oto przecież było wojsko, jego wojsko — początek i koniec każdego strategosa. Czekali, siedząc na piętach, w półmroku przedświtu, ponad horyzont wysunęła się dopiero czerwona grzywa Słońca. N’Te wstał, wskazał Hieronima swoimi kurroi i krzyknął. Pan Berbelek podjechał bliżej, zsunął z głowy kaptur kirouffy. Papugiec wraz z resztą został z tyłu, za wozami i zwierzętami; ale teraz nie chodziło o treść słów, treść nie miała znaczenia. Hieronim zajechał był od wschodu, by mieć Słońce za plecami. Stanąwszy w strzemionach, wskazał ryktą na N’Zui i przed siebie, ku zachodowi. — Ruszamy! — Wstali, nie czekając potwierdzenia rozkazu z ust N’Te.

Rzecz jasna, to był dopiero początek. W południe, gdy przystanęli na „godzinę wody”, jeden z wojowników prowadzących od rzeki humija potknął się i potrącił rozmawiającego z Zajdarem pana Berbeleka. Było to tak oczywiste, że Hieronim i Ihmet zdążyli nawet wymienić rozbawione spojrzenia, zanim pan Berbelek odwrócił się i trzasnął Negra ryktą przez plecy. Wojownik skoczył z wrzaskiem na Hieronima — chciał skoczyć, ale pan Berbelek nie zatrzymał się, stał już twarzą w twarz z wyższym o pus N’Zui i zamiast uderzyć, tamten cofnął się o krok, drugi, trzeci, pan Berbelek postępował za nim, z twarzą kamienną i ryktą wskazującą ziemię. — Psie! — syczał (a Negr oczywiście nie rozumiał słów). — Służ! — Z piątym krokiem zaczął okładać wojownika ryktą po piersi, po twarzy, po grzbiecie, gdy tamten zgarbił się, pochylił, na koniec padł na kolana, pan Berbelek

chlasnął go wówczas przez kark, postawił obutą w jugr stopę na potylicy Negra i nacisnął, wtłaczając mu głowę w ziemię. Kiedy w końcu odstąpił, N'Zui, nie traciwszy czasu na łapanie oddechu, zaintonował charkotliwie jakąś pieśń-litanię i jął bić przed Hieronimem pokłony. Pan Berbelek odszedł, nie obejrzawszy się.

Tej też nocy po raz pierwszy rozbili obóz. Pan Berbelek postanowił od razu zaszczepić zwyczaje na czas zagrożenia, wyznaczając dziesiątą część wojowników do warty i grupując namioty w kręgu wozów. Tak naprawdę największym zagrożeniem okażą się najpewniej nocni drapieżnicy z apetytem na świeże mięso chowoła, humija czy xewry, lecz Hieronim już ze zbyt wielkim zaangażowaniem odgrywał strategosa Berbeleka, Forma albo jest prawdziwa, albo nie, nie istnieją pół-Formy, „Formy na niby" — a czy kto kiedy słyszał o strategosie-optymiście? Łatwiej spotkać tchórzliwego aresa.

Drugiego dnia, gdy wyjechali poza otaczające Am-Szasę wioski, pastwiska i pola uprawne, nimrod zaczął uczyć niedoświadczonych myśliwych posługiwania się keraunetem. Odjeżdżali rankiem od karawany na kilkanaście stadionów; tam strzelali do głazów i pni. Do braku obeznania z bronią pyrosową, oprócz Alitei, Abla, Klaudii oraz esthlosa Ap Reka, przyznał się także Gauer Szebrek (Ihmet twierdził, iż Babilończyk istotnie zdawał się nie radzić sobie z keraunetem).

Esthlos Liwiusz śmiał się, że tak właśnie wyglądały teraz dżurdże: wyprawy towarzyskie aristokracji, co nigdy dotąd nie powąchała pyrosu. Drugiej nocy, przy ognisku, gdy rozgrzani „gorzkim złotem" zapadli w gadatliwą formę, Tobiasz przyznał się do pięciu lat spędzonych w Zamorskich Legionach Rzymu. Pokazał morfunek na barku. Pan Berbelek zrozumiał, ile tego dwudziestokilkulatka kosztuje udawanie, że nie zdaje sobie sprawy, kim jest Hieronim. A w każdym razie nieokazywanie mu tego. Pan Berbelek zapisał: *Dlaczego gdy spotykałem ich na salonach Europy, tych młodych aristokratów tak ciekawych smaku prawdziwego, śmiertelnego niebezpieczeństwa, że wyssaliby go nawet z mojego trupa, zresztą to właśnie robili, dlaczego wtedy ich morfa odbijała się ode mnie niczym lustrzana pustka w drugim lustrze — a teraz sycę się nią bez umiaru, bezwstydnie przeglądam się w ich oczach — skąd przyszła ta zmiana?*

Noce były bardzo zimne, tak zimne, jak dni — upalne. Stojąc na sawannie naprzeciw wschodowi Słońca, fizycznie czułeś przejście po niej, wraz z widoczną falą światła, niewidocznej fali rozgrzanego powietrza. W ciągu

tych kilku minut znikał szron ze źdźbeł trawy, odmieniały się barwy ziemi i nieba, nagle znajdowałeś się pośrodku okeanosu rozfalowanego złota, z głową nabożnie pochyloną, w Afryce bowiem nie sposób patrzeć powstającemu Słońcu w twarz, to jest ląd bogów ognia i krwi. N'Zui mieli swoje talizmany, mieli poukrywane w tobołkach pokraczne idole i niekiedy o świcie wyciągali je, by napiły się Słońca, gdy jego promienie niosą największą moc; potem z powrotem chowali w ciemność, poklepując z czułością kamienne szkaradzieństwa.

Duża część ich zachowań wynikała bezpośrednio z dzikości ich morfy, nadal przecież zgoła półzwierzęcej; nawet jeśli dało się ich opis jakoś zawrzeć w słowach, trudno było owe zachowania zrozumieć ludziom cywilizowanym. Wojownicy N'Zui nie przyjmowali na przykład żadnych poleceń od kobiet. Szulima oczywiście sobie poradziła — lecz Alitea i Klaudia już pierwszego dnia przyszły ze skargą do Papugca i pana Berbeleka.

Hieronim tylko wzruszył ramionami.

— Nie można rozkazem zarządzić respektu.

— Ale żeby kładli wodę tam, gdzie pokazuję! — irytowała się Alitea. — Mór na ich szacunek, nie muszą mnie szanować!

Pan Berbelek westchnął, dorzucił drewna do ogniska.

— To są dzicy, kochanie. Czy widziałaś kiedykolwiek dziką kobietę-wojownika? Albo kobietę-wodza? Nas cywilizacja wyzwoliła z rządów odziedziczonej morfy i dała władzę nad hile, świat poddaje się naszej woli, wola decyduje — oni natomiast, oni są jak zwierzęta. Można ich wytresować, ale sami nie potrafią siebie przeformować, toteż żadna ich kobieta nie jest w stanie narzucić sobie Formy dającej jej władzę nad mężczyznami; one naprawdę są „mężczyznami niedoskonałymi". Ich demiurgosi nawet nie zdają sobie sprawy, że są demiurgosami; teknitesów zabijają lub czynią szamanami; nawet kratistosi barbarzyńców nie posiadają świadomości własnej morfy, ich anthosy to aury przypadkowej dzikości, wzmocnione odbicia lokalnych wypaczeń kerosu. Popatrz na nich. — Wskazał płonącym patykiem poza krąg wozów, w cień pełen ciemniejszych cieni, skąd dochodziły jękliwe śpiewy i pomruk cichych rozmów w skrzecząco-mlaskającym języku. Same ogniska N'Zui, małe, rozpalane na suszonym nawozie, o zielonych i błękitnych płomieniach, były stąd niewidoczne. — Gdziekolwiek dotrą, cokolwiek ujrzą, ich ignorancja pozostanie niewzruszona.

— Bardzo dziękuję — odparła sarkastycznie Alitea. — A nie mógłbyś po prostu wydać im rozkaz?

— Zaraz przybiegłybyście po następny rozkaz. I tak w kółko. Musicie sobie radzić. Macie Antona. Bierzcie wzór z esthle Amitace.

— No właśnie. — Klaudia obejrzała się ku namiotowi Szulimy. — Jej słuchają. Więc jak to jest? Co?

— Bo e-esthle Amitace nie jest ko-kobietą.

Zagapiły się na Papugca, zmarszczywszy brwi.

— A zdradzisz nam, jakżeś dokonał tego odkrycia? — parsknęła Alitea.

— Nie kobietą, znaczy — kim? mężczyzną? hermafroditą? ifrytem? — śmiała się Klaudia.

— Mah’le, c-córką bo-ogini.

— Rzeczywiście, wygodne — mruknęła po chwili Alitea. — A czy ta bogini nie mogłaby przypadkiem mieć więcej córek?

Pan Berbelek nie uśmiechnął się.

— Czemu kpisz? Tylko w legendach bogowie rodzą się z bogów.

Alitea machnęła ręką. Była zmęczona, Hieronim mówił jej nie to, co chciała usłyszeć. Pan Berbelek patrzył za odchodzącymi dziewczętami ze smętną zadumą. Być może ojcostwo wcale nie polega na traktowaniu dzieci serio i z pełną szczerością, być może pomylił formy.

Alitea tymczasem istotnie najczęściej przebywała z Szulimą, Szulimą i Klaudią. W pierwszym tygodniu, gdy dżurdża ciągnęła przez ziemie plemion N’Yoma i Bereczute, które sąsiadowały bezpośrednio z ziemiami N’Zui, toteż ludy te posiadały długą a krwawą wspólną historię i Papugiec doradzał unikać wszelkich spotkań, jakkolwiek niewinnych — w pierwszym tygodniu nikt nie oddalał się od karawany dalej niż na te kilkanaście stadionów, jak nimrod podczas ćwiczeń strzeleckich. Potem wszakże zaczęto wypuszczać się na coraz dłuższe wycieczki, nierzadko odłączając się już o świcie i wracając o zmierzchu. Karawana ciągnęła w chowolim tempie, krajobraz zmieniał się bardzo powoli, szkliste oczy Negrów bezustannie obrócone na białych też nie uprzyjemniały podróży — człowiek chciał się wyrwać choć na moment. Afryka rozwierała szeroko ramiona, wielka, jasna przestrzeń przyzywała. Wskakiwali na xewry i odjeżdżali ku horyzontowi. Szybko potworzyły się grupy: Szulima, Alitea, Klaudia (zazwyczaj z Antonem i Zueią); Weroniusze i Zenon Lotte (też ze służącym czy dwoma); esthlos Ap Rek i Gauer Szebrek — czasami razem z Zajdarem, równie często

jednak nimrod wyjeżdżał sam lub z esthlosem Liwiuszem. Liwiusz poza tym nie oddalał się od karawany, podobnie jak pan Berbelek, Hieronim wszakże w ten sposób wypełniał Formę hegemona dżurdży — co zaś trzymało tu Tobiasza?

Co do Zajdara — rola nimroda była dość dobrze określona. Z każdym stadionem więcej dzielącym ich od cywilizacji, rozkwitał anthos Persa. Pierwsze wyczuły to oczywiście zwierzęta, xewry i humije: unosiły łby, parskały nerwowo, przebierały kopytami, skoro tylko pojawiał się w zasięgu wzroku. Jego własne xewry słuchały go natomiast niczym najwierniejsze psy. 23 Quintilisa nimrod po raz pierwszy zabrał ze sobą kilkunastu N’Zui, by uzupełnić zapasy dziczyzną; wrócili jeszcze przed wieczorem, niosąc rozdzielone z rzeźniczą precyzją kawały mięsa elefanta. Nimrod powalił był go jednym grzmotem, kula przeszła na wylot przez pancerną czaszkę. W nocy Negrzy odtańczyli przebieg całego polowania przy wielkim ognisku. Tymczasem Ihmet zaczął się odziewać na modłę południowych manatytów: bose stopy, czarne szalwary, skórzana kamizela z kieszeniami na gotowe ładunki do keraunetu, biała trouffa, w dzień zazwyczaj tak zawinięta dokoła głowy, że było widać tylko błękitne oczy oraz czarną brodę, coraz gęstszą. W nocy wdziewał gruby, lniany dżulbab i siermowy burnus. Właściwie tylko wtedy można go było zastać przy karawanie: po zmierzchu, przed świtem. Przemieszczał się po obozie od cienia do cienia, bezdźwięcznie, pojawiając się znienacka i bez uprzedzenia rozpływając się w mroku. Dziewczęta twierdziły, że specjalnie je straszy, ale pan Berbelek wiedział, że nimrod nie robi tego celowo, nawet nie świadomie. N’Zui przynosili do Ihmeta kurroi, by je pobłogosławił. Zajdar oblizywał ich kościane ostrza, z obleśną czułością przesuwając szerokim językiem po hakach i zadziorach. Któregoś wieczoru podczas pełni pan Berbelek podpatrzył go przykucniętego przy krowim ognisku Negrów, nimrod gryzł surowe mięso, z głośnym charkotem przełykając wielkie kęsy, krew wsiąkała mu w brodę. Wyszczerzony N’Te podawał mu następny kawał.

25 Quintilis. Górnym brodem przeszliśmy Taitsi. Pióro nie pasuje do palców, trudniej pisać. Wszystko jest bliższe ziemi. Powoli opuszczamy morfę cywilizacji.

W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy, pomiędzy Dies Saturni a Dies Solis, Ihmet Zajdar zjawił się bez uprzedzenia w namiocie pana Berbeleka i, przykucnąwszy u wezgłowia, obudził go krótkim potrzą-

śnięciem. Hieronim odruchowo sięgnął pod posłanie. Nimrod złapał go za nadgarstek.

— Spokój, to ja.

— Widzę — syknął pan Berbelek. — Puść.

Ihmet zwolnił uchwyt.

Pan Berbelek usiadł. Wejście namiotu było zapięte od wewnątrz, przed namiotem spał Porte, a płótno nie zostało nigdzie przecięte, jeśli pan Berbelek potrafił to ocenić w świetle Księżyca. Postanowił nie pytać, jak nimrod się tu dostał.

— Mów.

— Jesteśmy śledzeni.

— Kto, ilu, jak daleko, jak długo?

— Szesnaście humijów i wielbłądów, pięć zebr. Ludzi czternastu lub piętnastu. Często się rozdzielają, główna grupa trzyma się jakieś pół dnia od nas, południe, południowy wschód. Po dwóch-trzech zwiadowców na zebrach podjeżdża bliżej, badają trop, wyprzedzają nas i cofają się. Bardzo dobrze zacierają ślady po sobie, nie ryzykowałem bliższych podejść. To nie są Negrowie, nie tylko.

— Jak długo?

— Nie wiem, co najmniej pięć dni, musiałbym zostawić was na tydzień, żeby sprawdzić, czy od samej Am-Szasy.

— Ci zwiadowcy wymieniają się tu, czy przy głównym oddziale?

— Najlepiej wziąć ich na dwa razy. Zwiadowcy powiedzą, o co chodzi, będziemy wiedzieli, czego się spodziewać.

— Polują?

— Tak.

— Nimrodowie, aresi?

— Żadnych; albo się kryją. Ale dobrzy tropiciele, bardzo dobrzy.

— Wiesz, gdzie znajdują się tej chwili?

— Zwiadowcy? Pięćdziesiąt stadionów. — Ihmet wskazał ręką kierunek. — Chyba że poderwali się na jakiś nocny rekonesans.

— Trzech czy dwóch?

— Dwóch.

— Dobrze. Idź obudzić esthlosa Liwiusza i esthle Amitace.

— Esthle Amitace? Po co?

— Może nam się przydać jej niewolnica.

Nimrod podniósł się.

— Ihmet.

— Tak?

— Czy prawdziwemu strategosowi odpowiedziałbyś na rozkaz pytaniem?

Zajdar niespodzianie roześmiał się.

— Czy prawdziwy nimrod przychodziłby pytać, co zrobić z wytropioną zwierzyną?

Wyszedł, odrzuciwszy klapę namiotu, budząc przy tym starego Porte.

Opuścili obóz pod Księżycem w pełni, z trzema godzinami ciemności w zapasie. Berbelek, Zajdar, Liwiusz, Zueia. Zabrali ze sobą trzy luzaki. Pan Berbelek wydał wcześniej N'Te przez Papugca precyzyjne rozkazy. Wszyscy wojownicy zostali obudzeni, wysunięto warty na kilka stadionów w sawannę; karawana ma ruszyć o świcie jak co dzień, szlak był ustalony; nikomu jednak nie wolno oddalać się poza zasięg wzroku. Pod nieobecność esthlosa Berbeleka dowodzi Mah'le.

Pięćdziesiąt stadionów dobry koń potrafi pokonać w kilkanaście minut. Xewry były ponoć znacznie lepsze na długich dystansach, lecz i tak pozostawało dosyć czasu do świtu. Nie mogli też przecież po prostu pogalopować prosto na wroga.

Piętnaście stadionów od spodziewanego miejsca jego obozowiska zatrzymali się i zsiedli z wierzchowców. Zajdar zdjął dżulbab i kamizelę i bez słowa pobiegł w noc; przez chwilę widzieli go jeszcze jako chudy cień pod Księżycem, potem ciemna sawanna połknęła nimroda. Spętawszy xewrom nogi, przysiedli na ziemi. Ognia oczywiście nie można było rozpalić, drżeli z zimna. Afryka oddychała we śnie powoli, głęboko, trawy gięły się co kilka minut, usypiający szelest płynął przez równinę, szszszszlchsz, śpij. Między trawami błyskały ślepia ścierwojadów. Nikt nic nie mówił, czekali na nimroda. Pan Berbelek rozgrywał w głowie czarne przyszłości, bardzo przekonujące w swym absurdzie: Zajdar wywiódł go tu celowo, nie kłamał tylko w tym, że tam, w ciemności, rzeczywiście ktoś się czai — na niego, na esthlosa Hieronima Berbeleka, teraz dopadną go tu bez problemu, oddzielonego od karawany i wojska, z jednym żołnierzem i jednym aresem, a ich, ich może być dwudziestu, zastrzelą go bez ostrzeżenia, bo uwierzył i dał się poprowadzić w zasadzkę, kiedyś nie miałby wątpliwości, nikt nie byłby zdolny skłamać mu prosto w oczy i nie zdradzić się, ale teraz —

— Dwóch, śpią, zebry po przeciwnej stronie, chodźcie — sapnął na wydechu nimrod, wyłoniwszy się z nocy.

Podnieśli się, wyciągnęli spod siodeł długie keraunety, każdy po dwa, także Ihmet. Sprawdzili ładunki, sprawdzili młoteczki i kowadełka, zarzucili broń na plecy, po czym ruszyli za nimrodem, który narzucił tempo szybkiego marszu. Skromny zagajnik ratakacjowy wyłonił się z nocy nierównym księżycowym cieniem. Zajdar pokazał na zachód: zebry. Pan Berbelek skinął na Liwiusza. Tobiasz odbiegł w tamtą stronę, zataczając szeroki łuk.

Ostatnie sto pusów pokonali przygięci do ziemi, prawie kryjąc się w trawie. Przycupnąwszy za pniem pierwszej ratakacji i uspokoiwszy oddech, pan Berbelek w sześciu krótkich gestach przedstawił plan, prosty jak wszystkie najlepsze plany. Nimrod oddał Hieronimowi i Zuei swoje keraunety, wyjął długi nóż myśliwski. On podejdzie od wschodu, Berbelek i Zueia pokryją teren pod kątem prostym, od północy, by zachować otwarte pole ostrzału. Hieronim klepnął Ihmeta w bark. Rozdzielili się.

Zwiadowcy spali pośród korzeni krzywej ratakacji, zgarbionej nisko nad małą polanką, korona prawie dotykała ziemi. Ares i pan Berbelek, ułożeni do strzału pięćdziesiąt pusów dalej, w gęstych krzakach, dostrzegali w cieniu tego drzewa tylko zarys ciemnych pagórków — ciała lub nie ciała, trzeba wierzyć nimrodowi. Czekali na ruch Zajdara. Co kilka minut gałęziami wstrząsał długi oddech Afryki, zimne westchnienie z głębin niepoznanego lądu, tchchchch, i znowu cisza, i wdech, i wydech, i wdech, i wydech, w ogóle nie zobaczyli nimroda, dopóki nie wyprostował się nad nieruchomymi zwiadowcami i nie machnął ręką. — Już!

Podeszli. Zawiniętych w wełniane koce, leżało tu dwóch mężczyzn, dwadzieścia i trzydzieści lat, obaj aegipskiej morfy, może bardziej południowej — Nubia? Axum? Pan Berbelek lufą keraunetu strącił z nich koce. Brudne, podniszczone odzienie; zarazem jednak — złoty pierścień na kciuku starszego. — Zwiąż ich — rozkazał Zuei i poszedł po Liwiusza. Sam przyprowadził na polankę zdobyczne zebry, Tobiasza posłał po xewry.

Tymczasem młodszy zbój, najwyraźniej słabiej ogłuszony przez nimroda, a może o twardszej czaszce, odzyskał przytomność. Pan Berbelek skinął na Zajdara. Pers splunął, przesunął klingę noża po języku, po czym zaczął odcinać więźniowi palce — więzień w krzyk, aż wystraszyły się zebry — jeden po drugim, począwszy od lewego kciuka; odpadały od dłoni niczym dojrzałe owoce. Po piątym oprzytomniał starszy zbój, łysy jak kolano Axu-

mejczyk. Wytrzeszczył oczy na Hieronima i Zueię, przykucniętych z kerau-netami przełożonymi przez uda, na siedzącego okrakiem na jego towarzy-szu Zajdara, skrupulatnie zlizującego krew z noża po każdym cięciu. — Po-tem ty — rzekł pan Berbelek po grecku i powtórzył to w łacinie i pahlavi. Axumejczyk natychmiast zaczął mówić, łamana greka popłynęła rwanym potokiem; nimrod zatrzymał ostrze. Młodszy zbój, któremu pozostały u rąk wszystkiego dwa palce, naprzemiennie szlochał i rzęził.

Co się okazało: dżurdże zdążyły obrosnąć całym przemysłem, tym legal-nym i tym nielegalnym. Pograniczne bandy, takie jak ta, żyjące z rabunków i rozbojów na owym obrzeżu cywilizacji, pomiędzy królestwami i anthosa-mi kratistosów, zwietrzyły swoją szansę. Oczywiście nie było mowy o fron-talnej napaści na dżurdżę, zresztą znacznie lepiej opłaciłby się atak na kara-wanę kupiecką, one przynajmniej wiozły jakieś bogactwa; ale istniał inny sposób na wyciśnięcie pieniędzy z aristokratów północy. Czekano, aż odda-li się na jakieś dłuższe polowanie kilkuosobowa grupka — i porywano co znaczniejszych myśliwych. Aby nie popełnić błędu identyfikacji, obserwo-wano pilnie członków dżurdży jeszcze w miastach Złotych Królestw: kto tu jest ważny, kto płaci, komu się kłaniają. Najlepiej porwać jego krewnych; a wprost wymarzoną ofiarą są dzieci. Aristokraci płacą setki talentów. Wy-mian dokonuje się w pustynnych częściach Sadary lub w głębi dżungli, pod dzikimi anthosami.

Pan Berbelek przypomniał sobie rzekomego złodzieja na targu w Am-Szasie. No tak, powinienem był się domyśleć.

Tymczasem wrócił Liwiusz z xewrami.

— Trudno mi uwierzyć — kręcił głową. — Alexandria huczałaby od plo-tek. A nikt nawet się nie zająknął.

— To nie jest miasto, w którym człowiek dobrowolnie przyznaje się do słabości — rzekł pan Berbelek.

Tobiasz stanął nad zbójem.

— Przecież większość dżurdż jest prowadzona przez nimrodów, jak mo-gliście się spodziewać, że was nie wytropią?

— Nie wytropili. Nigdy dotąd. Trzy razy.

Hieronim spojrzał na Ihmeta, uniósł brew. Pers przyłożył dłoń do czoła.

Wrzucili spętanych porywaczy na zebry i ruszyli stępa z powrotem ku obozowi dżurdży. Słońce jeszcze się nie zaczęło wygrzebywać spod ziemi. Pan Berbelek jechał przy zebrze starszego zbója (zwał się on Hamis) i wy-

słuchiwał w ciszy afrykańskiej nocy pospiesznej spowiedzi — co tylko Hamis mógł zdradzić, co się do zdrady nadawało. Jest ich piętnaścioro, przywódca nazywa się Hodżrik Kafar, to dezerter z Gwardii Memphiskiej. W Aegipcie, Axum, Huratii, Efremowych szejkanatach i w Złotych Królestwach wyznaczono nagrody za głowy pięciu z nich. Nie ma między nimi żadnego aresa ani nimroda, jeno jeden demiurgos Wody, który otwiera im źródła na pustyniach. Wszyscy uzbrojeni w keraunety. Do ich obozu można trafić tak a tak; wymieniają się wtedy i wtedy; jeśli warta, to tu i tu. Darujecie mi życie, esthlos?

Zmiana zwiadowców miała nastąpić nazajutrz, nie było więc na co czekać. Pan Berbelek oddał więźniów pod kuratelę N’Te. Papugcowi kazał ogłosić, że za godzinę wyruszy wyprawa wojenna, okazja dla zdobycia łupów, sławy i przychylności bogów. Pięćdziesięciu mężnych! Oczywiście wszystkie kurroi poszły w górę. Wybierał Ten, Który Odgryza. Co do myśliwych, to z Hieronimem pojadą naturalnie Ihmet, Tobiasz, Zueia i Papugiec, lecz tu też chętni okazali się prawie wszyscy — przecie to nareszcie była prawdziwa przygoda. Mieli zostać napadnięci przez zbójców! Będzie co opowiadać. Nawet stary Ap Rek wpadł w formy młodzieńczej ekscytacji. Pan Berbelek odmawiał. Abel spytał go tylko raz; jemu też odmówił. Alitea i Klaudia usłyszawszy krótkie „nie”, obraziły się ostentacyjnie. Gdy pakowano na humije zapasy, Hieronim przekazywał Szulimie ostatnie polecenia. Słuchała w milczeniu. Na koniec podała mu rękę. Ucałował wnętrze nadgarstka, gorącą skórę nad pulsującymi żyłami.

Karawana i oddział Berbeleka wyruszyły w przeciwnych kierunkach, szybko niknąc sobie z oczu. Tuzin zwierząt i pół setki negrowych wojowników rozciągniętych w długi wąż — zmierzali prosto we wstające nad sawanną Słońce, w ten tunel gorącego światła, otwierający się na linii horyzontu. N’Zui zaczęli śpiewać, podnosząc głos zgodnie z rytmem biegu. Ihmet od razu wysforował się przed oddział, roztapiając się w Słońcu. Pan Berbelek został z tyłu, zamykając sznur wojowników i zwierząt.

Po pół godzinie pojawił się u jego boku Abel na spoconej xewrze. Na spojrzenie ojca odpowiedział szerokim uśmiechem.

— Sądzisz, że możesz mi czegokolwiek zabronić?

Pan Berbelek chlasnął go ryktą przez pierś. Abel spadł z xewry.

Pan Berbelek zatrzymał Ulgę; poczekał, aż chłopak z powrotem dosiądzie swego wierzchowca.

— A teraz będziesz słuchał moich rozkazów.

— Tak, esthlos.

W Słońce, w Słońce, w Słońce, gdy z każdą minutą rośnie upał i suche powietrze rozdrapuje gardło, z każdym oddechem bardziej ściśnięte; kiedy przychodzi wypowiedzieć zdanie, słowo, trzeba wpierw przełknąć ślinę, ale że śliny brak, sięgasz po bukłak, zanim otworzysz usta. Kaptury naciągnięte na głowy, nasadzone kapelusze, zawinięte trouffy — skądkolwiek pochodzi, błogosławiony jest cień. Cień, chłód, wilgoć, wkrótce już o niczym innym nie sposób myśleć, umysł wymyka się spod władzy woli. Nie zatrzymali się w południe, nie zatrzymają się, póki nie dotrą do celu. N'Zui biegli niezmordowanie; biali znosili to gorzej. Tobiasz zaczął polewać się wodą — gdy za kolejnym swym nawrotem ujrzał to Zajdar, sklął aristokratę w trzech językach. Kiedy po południu mijali błotnistą rzeczkę, tylko nimrod, ares i pan Berbelek nie zatrzymali się przy niej wraz z prowadzącymi humije Negrami.

O Przyklęku Słońca Zajdar przyniósł wiadomość, iż formacja skalna, którą wskazał Hamis — pochylony graniastosłup pośrodku równiny — znajduje się tuż za horyzontem. Należało poczekać do zmierzchu, by nimrod mógł zajść bliżej i rozpoznać dokładne pozycje bandy. N'Te wyznaczył wartowników i ludzi do opieki nad zwierzętami. Pan Berbelek polecił opróżnić kiszki. Żadnego ognia, oczywiście; żadnych fajek i tytońców. Sam oddalił się od kręgu wojowników. Przysiadłszy na rozgrzanym głazie, pisał w promieniach gasnącego Słońca: *Jeśli wszystko ułoży się, jak dawniej się układało, jeśli morfa zgodzi się z morfą — czy będzie to stanowić dowód czegokolwiek? A jeśli poniosę klęskę — czego ona będzie dowodem? Czy naprawdę można aż tak dobrze udawać cudzą Formę? Jestem takim samym synem strategosa Hieronima Berbeleka jak Abel; i obaj pożądamy tego samego. Jeden z nas wróci z tej dżurdży zwycięzcą.* Słońce zaszło, nie mógł dalej pisać. Wrócił między ludzi. Liwiusz poczęstował go rozwodnionym winem, Papugiec rzucił arfagę. W pomarańczowym świetle Księżyca wszyscy wydawali się młodsi, chudsi, ich skóra gładsza. Hieronim przyglądał się Ablowi rozmawiającemu szeptem z Zueią. A jeśli Abel zginie? Może zginąć, niezależnie od posiadanej przewagi, każda bitwa to potencjalna obustronna masakra. A przecież nie mogę mu zabronić, wystawianie się na śmiertelne niebezpieczeństwo należy do jego praw i obowiązków, to jest

czas po temu, właśnie teraz, młodość. Hieronim wysysał arfagę w milczeniu.

Jak zwykle, nikt nie spostrzegł powrotu nimroda.

— Żadnych wartowników. Wszyscy pod zachodnim zboczem, trzynaścioro. Jedno ognisko. Większość zwierząt spętana, kilkaset pusów na południe. Keraunety na podorędziu, zapewne naładowane. Właśnie zaczęli jeść.

Pan Berbelek przywołał Papugca i N’Te.

— Trzy oddziały: Północ, Południe i Odwód. My podejdziemy na wprost na odległość strzału. Północ i Południe po łukach i do skały. Czekać na grzmot. Wtedy atak z obu stron. Odwód za nami. Jeśli ktoś się wyrwie, my go zdejmujemy z keraunetów. Potem wy, i do zwierząt. Nie dobijać. Wszystkie łupy wasze. Zrozumiał?

— Ttak.

— No to już!

Znowu skradali się przygięci do ziemi, rozgarniając rękoma wysokie trawy, z ciężkimi keraunetami na plecach, każdy z dwoma. Złota sawanna podchodziła prawie do samej skały, trzeba będzie strzelać na stojąco. Pan Berbelek ujrzał w mroku pierwszy błysk ogniska zbójców już po stu krokach, musieli jednak podejść znacznie bliżej, by liczyć na jaką taką celność strzałów, nawet w nakładających się anthosach nimroda i aresa. Przynajmniej dzięki tym anthosom wszyscy poruszali się bezszelestnie, nikt się nie potknął, nie kichnął, nie upuścił broni; a takie rzeczy często się zdarzają. Choć zapewne nie wojownikom N’Zui.

Pan Berbelek potrafił już rozróżnić wśród sylwetek ludzi zebranych wokół małego ogniska pod skałą mężczyzn i kobiety (kobiety były dwie). Rozkazał zatrzymać się. Teraz należało odczekać kwadrans, by mieć pewność, że Północ i Południe dotarły na pozycje. Hieronim rozstawił strzelców. On w środku, po lewej Zajdar i Abel, po prawej Zueia i Liwiusz. Przydzielił cele, by uniknąć marnowania kilku kul na jedną ofiarę. Oddział odwodowy rozciągnął się tymczasem za nimi w szeroką podkowę, Bawole Rogi.

Pan Berbelek uniósł rękę. Zbójcy jedli, śmiejąc się i rozmawiając, jeden odszedł wypróżnić się. Strzelcy czekali w szeregu; N’Zui — przykucnięci w trawie, niczym skamieniali. Cisza nad sawanną. Piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście; dobrze. Podrzucił keraunet do oka, ścisnął język spustu. Grzmot — i zaraz cztery kolejne. Podniósł od razu drugi keraunet, nie patrząc nawet, czy jego cel padł. Okrzyk wojenny N’Zui — przeciągły, zwierzęcy ryk, którego nie jest w stanie wydać człowiek cywilizowanej morfy — rozdzierał noc. Deszcz kurroi spadł na bandytów z obu stron, zza północnego i południowego załomu skały. Nikt się nie podniósł, nikt nie uciekał. Negrowie wyrośli dokoła ogniska jak spod ziemi — wzniesione tarcze, ostrza kurroi nad tarczami. Pan Berbelek machnął ręką ku skale. Podniósłszy pierwszy keraunet, pobiegł za rozpędzonym oddziałem odwodowym.

Zgodnie z rozkazem, nie dobito rannych. Żyło jeszcze czterech zbójców, jeden negrowej morfy, jeden mieszaniec, dwóch Aegipcjan. N’Zui zdzierali z pokonanych wszelki dobytek, broń, odzienie, ozdoby, ze zmarłych i żyjących po równo. Pan Berbelek kazał przenieść czterech krwawiących nagusów pod skalną ścianę. Jęczeli i klęli. Negr miał kurroę wbitą w brzuch, wnętrzności wypływały mu z rany, która otwierała się coraz szerzej przy każdym oddechu.

N’Zui rozpalili ogniska, przyprowadzili zwierzęta, zaczynało się świętowanie, śpiewy, tańce i bójki o łupy. Na rozkaz Hieronima N’Te posłał w sawannę czterech wartowników.

Biali zgromadzili się pod skałą.

— Co z nimi zrobimy? — Abel obejrzał się na jęczącego Negra. — Ten nie dożyje świtu. Może gdybyśmy zabrali ze sobą Mbulę…

— Trzeba było od razu ich dobić — mruknął nimrod.

— Za niektórych z nich są wysokie nagrody — rzekł pan Berbelek. — Trupy się nie utrzymają przez parę miesięcy, ale żywych można dowieźć.

Zueia zaśmiała się chrapliwie.

— Ich poprzednie ofiary lub rodziny ofiar zapłacą nawet więcej, przynajmniej za ich wodza.

— No tak, ale jak ich teraz zidentyfikować? — westchnął Tobiasz. — Sądzisz, że się przyznają? A jak zorientują się w sytuacji, to każdy będzie twierdził, że to on jest ten, jak mu tam, Kafar.

Pan Berbelek skinął na Papugca.

— Wytłumacz mu — wskazał brodą czarnego zbójcę — że jeśli nam przedstawi swoich przyjaciół, skrócimy mu męki. Ale jeśli nas okłamie, bardzo łatwo możemy mu je przedłużyć.

Po czym okazało się, że Hodżrik Kafar istotnie żyje — to jeden z Aegipcjan, ten z przestrzelonym lewym barkiem. Poza tym była nagroda za mieszańca, Gucza Jaskółkę.

Zueia przyklękła przy Negrze, przyłożyła mu palce do szyi. Przestał jęczeć, stracił przytomność, umarł.

Okazało się także, że Hodżrik doskonale zna grekę (czego zresztą należało się spodziewać po aegipskim gwardziście). Ledwo jego wypatroszony towarzysz wyjęczał ich imiona, Hodżrik zaczął lżyć i przeklinać swe niedoszłe ofiary.

— Ty lepiej kontempluj swoje szczęście w milczeniu — poradził mu pan Berbelek. — Masz przed sobą jeszcze kilka miesięcy życia.

— Myślicie, że wam nie ucieknę? — warczał za nimi Hodżrik, obnażając krzywe zęby i szarpiąc się w więzach. — Myślicie, że nie ucieknę tym ślepym psom Hypatii? Trzy razy uciekałem, ucieknę czwarty! Wy ścierwojady, wy zarzy morowe! Nie takich jak was! Gnój będziecie żreć na jedno moje słowo, gnój! Sprzedam wasze kobiety, zjem dzieci, będę was palił kończyna po kończynie! Nigdzie mi nie uciekniecie, nigdzie się nie ukryjecie! Znam wasze imiona! Berbelek! Lotte! Amitace! Weroniusz! Latek! Rek! Znam was! Nie będziecie bezpieczni! Za rok, za dwa, Hodżrik Kafar w waszych drzwiach — gnój, gnój powiadam — nie takich jak wy! Ja pamiętam! Po raz czwarty! Choćbym miał sobie rękę odgryźć!

Pan Berbelek zawrócił i poderżnął mu gardło.

— Przekonał mnie — rzekł w odpowiedzi na ich zdumione spojrzenia, wycierając ostrożnie kręte ostrze chaldajskiego sztyletu.

Do ruin Marabratty mieli jeszcze dwa tygodnie drogi, tymczasem przecież Afryka oferowała wielką obfitość naturalnej zwierzyny, łatwiej ustrzelić kudu niż jakiegoś nieprawdopodobnego kakomorfa. Trzy dni po incydencie z porywaczami Alitea upolowała swe pierwsze zwierzę, młodą tapalopę. Nie towarzyszył jej akurat ani Zajdar, ani Zueia, strzał był nieczysty, tapalopę musiał dobić swą kurrote wojownik N’Zui. (Pan Berbelek przydzielał wojowników każdemu myśliwemu oddalającemu się od karawany). W sumie bardzo to było nieestetyczne: dużo krwi, brzydka rana, tapalopa odczołgująca się konwulsyjnie gdzieś w kolczaste krzewy, jej tylna noga prawie oderwana, Negr walący hakowatą maczugą, zarzy już zlatujące się na lepkie od czerwonej posoki truchło, duszący smród.

Wieczorem zjedli tę tapalopę. Alitea nie odmówiła mięsa, nie wyglądała jednak na dumną ze swego pierwszego sukcesu łowieckiego. Pan Berbelek postanowił poprosić Ihmeta, by przez kilka kolejnych dni zabierał ze sobą Aliteę na polowania, w gorącym anthosie nimroda dziewczyna szybko wyzbędzie się awersji do krwi i nieodłącznej ohydy mordu, zapomni o właściwych ludziom cywilizowanym wyobrażeniach na temat śmierci.

— A mówią: szlachetna rozrywka! — krzywiła się Alitea, ocierając usta z tłuszczu. — Po prostu strzelam i zabijam.

— Poczekaj, aż staniesz naprzeciwko lwa, mantikory.

— Co wtedy?

— Nie trafisz, sama zginiesz.

— No i co z tego, że na dodatek niebezpieczne?

— Dlatego nazywają to szlachetną rozrywką. Człowiek mały nie rozumie, jaka przyjemność w wystawianiu się na śmiertelne ryzyko, przełamywaniu swego strachu i słabości, w sprawdzaniu granic swych umiejętności. Lecz aristokraci — właśnie dlatego są aristokratami.

Alitea nadal się krzywiła. Rąbkiem lnianej chusty ścierała tłuszcz z piersi.

— Ale to jest takie… obrzydliwe. Pfuee!

— Nieważne, jakie jest; ważne, jak patrzysz. Wszystko, co najwznioślejsze, wzbudza obrzydzenie u tych, co pełzają w pyle i patrzą z błota: narodziny, śmierć, miłość, zwycięstwo. Gdy człowiek przychodzi na świat — widziałaś tę ohydę brudnej fizjologii? Gdy z niego odchodzi — nie ma kwiatków, ptaszków śpiewających, woni cudnych i zorzy na niebie, nie odchodzi z uśmiechem na ustach. Gdy łączą się ciała — z zewnątrz widzisz tylko ciała i to, co cielesne. I gdy zwyciężasz — zawsze jest ten pokonany, ten obrzydliwy, na którego już patrzeć nie możesz.

— No bo nie mogę. Co poradzę, że brzydkie?

— To teraz; a sądzisz, że kakomorfy umierają ładniej?

Pierwsze kakomorfy Skoliodoi napotkali na ponad tydzień przed dotarciem do Suchej Rzeki. Mniej i bardziej subtelne oznaki deformacji flory dostrzegali już od dawna. Po prawdzie pierwszy dostrzegł je Gauer Szebrek. Babiloński sofistes najwyraźniej nie miał serca do łowów, znacznie bardziej interesowała go fauna i flora Afryki w stanie naturalnym, to znaczy żywa i nie zdemorfowana przez człowieka. Wyjeżdżał w sawannę z książkami i szkicownikiem w jukach. Wracając wieczorem, miał je pełne rozmaitych okazów — liści, kwiatów, owoców — a szkicownik pełen rysunków tego, czego do juków zabrać nie mógł. Jego sześciopalce dłonie posługiwały się węglem z zadziwiającą precyzją i delikatnością kreski. Przy ognisku w kręgu wozów owe rysunki często wędrowały z ręki do ręki, podziwiane i komentowane przez wszystkich. Szebrek nie należał do artystów wstydzących się swych dzieł, zresztą wypierał się jakiegokolwiek artyzmu. Alitea i Klaudia wyprosiły u niego swoje portrety; potem drugie i trzecie — szkicował je

co wieczór. Zenon w ramach grzecznościowego flirtu wykupywał je od Babilończyka za symboliczne sumy.

Gauer Szebrek chciał napisać książkę na podstawie obserwacji poczynionych podczas dżurdży — *Botanika niedoskonała w świetle Afrykańskiego Skrzywienia*. Pan Berbelek nie bardzo wiedział, co o nim sądzić. Gdyby Szebrek naprawdę był szpiegiem Siedmiopalcego, jak twierdził Panatakis, postępowałby nie inaczej — maksymalnie rozbudowując swą legendę i przy byle okazji rozwodząc się o rzekomych fascynacjach naukowych.

— Dwie są główne teorie przyrodnicze próbujące opisać i zorganizować świat tego, co żyje: tak zwane zoologia i botanika doskonałe oraz niedoskonałe. Obie opierają się oczywiście na aristotelesowskich twierdzeniach o niezmienności gatunków i klasyfikacjach definicyjnych Stagiryty. Perfekcjoniści zakładają wszelako, iż dążenie do entelechii, kształtu maksymalnie wypełniającego przeznaczenie danej Substancji, dotyczy także przyrody jako takiej. A zatem, aczkolwiek gatunki, jako realizacje skończonych Form, same w sobie są niezmienne, to zmienia się liczba i rodzaj gatunków akurat zaktualizowanych, od tych mniej do coraz bardziej doskonałych. Prace teknitesów fauny i flory wspierają owe sądy, jako że istotnie morfuje się gatunki zawsze ku większej użyteczności, a nie ku bezcelowemu chaosowi, człowiek bowiem jest doskonalszy od wszystkiego, co ku sobie przyciąga. Spójrzcie na te drzewa kiełbasiane. Ongiś rozmnażały się zapylane przez nietoperze. Teraz funkcję tę przejęły ifryty, wymorfowane przecież do zupełnie czegoś innego; ale ponieważ większa doskonałość była możliwa do osiągnięcia, Forma została wypełniona. Albo spójrzcie na aloesy. W anthosie Illei przemorfowały się do odmian nie tylko leczniczych i przyjemnych dla oczu — popatrzcie na te kwiaty, czyż nie piękne? — ale także bardzo pożywnych. Naturalna teleologia wszechświata wyklucza dążenie ku chaosowi. Ale co mówią imperfekcjoniści: skoro wszystkie Formy, wszystkie gatunki są z góry określone i teknitesi po prostu przesuwają Substancję od gatunku do gatunku, spod Formy pod Formę bliższą ich anthosowi — to znaczy, że potencjalnie, niezaktualizowane, istnieć muszą także gatunki bliższe chaosowi i pustej hile. Poniekąd wynika to z samego Dowodu Samorództwa z Teofrastowego traktatu *O przyczynach w świecie roślin*: skoro na początku był jedynie chaos materii nieożywionej, a teraz życie istnieje bez wątpienia, to akty samorództwa zachodzić muszą: żywe rodzi się spontanicznie z martwego. Cokolwiek więc mógłby wymorfować najbar-

dziej nawet szalony teknites — istnieje w potencji. Pytanie, czy można zaktualizować właśnie taką teleologię „skrzywioną”, zmierzającą gdzieś w bok od doskonałości, albo wręcz jej przeciw? Sofistesi z obu stronnictw powołują się na klasyczne pisma, od samego Aristotla i Teofrasta, do Florena, Provegi, Boreliusza i Ulryka Fizyka. Być może jednak jest to jedna z owych kwestii, w których Stagiryta i jego interpretatorzy nie mieli racji. Należy więc uważnie badać przyrodę. Każdą Formę roślinną i zwierzęcą przypisać pod genus proximus i określić jej differentia specifica, i zorientować ją na osi doskonałości i celu. Gdyby potwierdziły się doniesienia myśliwych i opowieści dzikusów o demorfach Skoliodoi, byłby to dowód trudny do obalenia przez perfekcjonistów.

Nic więc dziwnego, iż to właśnie Szebrek, skrupulatnie notujący wszelkie zaobserwowane aberracje natury, pierwszy znalazł ślady Krzywej morfy. Z początku rzeczy drobne: barwa liści i kory drzew masłowych, dzikie busze kawowców, kwiaty odstraszające owady, miast je przyciągać. Potem wypatrzył grupę młodych palm daktylowych, wysokich na sto pusów, które owocowały nie kiściami żółtych daktyli, lecz czarnymi gorylimi czerepami. Kilku N’Zui wspięło się i zrzuciło je Szebrekowi. Podobieństwo do małpich łbów było nie tylko zewnętrzne. Po rozłupaniu owoców ukazywały się mózgi, zatopione w brunatnej, lepkiej mazi. Babilończyk zanurzył w niej szósty palec, powąchał, dotknął czubkiem języka.

— Słodkie.

Gdy przejeżdżali przez stary las baobabowy, Gauer miał trudności ze znalezieniem podobnych fenomenów — Substancja, która już dawno osiągnęła entelechię, nie tak łatwo zmienia morfę — potem jednak wyjechali na ostatnią równinę dzielącą ich od Marabratty i tu bliskość Krzywych Krain objawiła się znacznie wyraźniej, nie tylko we florze, lecz i w faunie.

Ósmego Sextilisa upolowali pierwszego kakomorfa. Zginął on od grzmotu esthlosa Lotte. Zenon nawet nie wiedział, co ustrzelił, dopóki nie podjechał do padłej zwierzyny. N’Zui przewrócił lwicę na grzbiet. To nie była lwica, z karku zwierzęcia wyrastała żółta, mięsista bulwa gniazda os — natychmiast wyroiły się, zaatakowały Negra i xewrę. Negra, który nie zdołał uciec, kurował potem Mbula Szpon. Szebrek zdobył truchło, wypędziwszy owady z gniazda dymem. Początkowo chciał zabrać padlinę do Alexandrii (to znaczy skórę, szkielet i to gniazdo; N’Zui byli wprawieni w takim pre-

parowaniu zwierząt), lecz podobnie jak Zenon, doszedł do wniosku, że z czasem trafią się znacznie lepsze okazy.

Rzeczywiście, nazajutrz przeczesujący ruiny Marabratty Ihmet Zajdar ustrzelił dwugłowego geparda. Kakomorf umykał wyjątkowo ociężale. Była to samica; po rozcięciu brzucha wypadły płody gepardów trzygłowych. N'Zui zinterpretowali to jako szczęśliwy omen. Rozstawiając obóz, umieścili dokoła niego nabite na paliki truchła nieurodzonych kakomorfów, na wschodzie, południu, zachodzie i północy; jedno zjedli. Mbula ostrzegał ich przed trucizną Skrzywienia; niepotrzebnie, nie pochorował się nikt.

Marabratta — tak się ponoć zwało to starożytne królestwo, istniejące tu jeszcze tysiące lat po spustynnieniu Sadary i wielkiej migracji na wschód, nad Nil i do Babilonu. Wszystko, co po królestwie pozostało, to kilka legend opartych na jeszcze starszych legendach oraz ruiny.

Dżurdża dotarła do nich 11 Sextilisa. Tu kończyła się też łatwiejsza część podróży. Ciągnięte przez chowoły wozy pojadą jeszcze kilkadziesiąt stadionów korytem Suchej Rzeki, ale potem przyjdzie skręcić na południe, wejść w dżunglę, gdzie w najlepszym razie da się odnaleźć ścieżki szerokie na pojedynczego humija. Pan Berbelek musiał podjąć decyzję, czy pozostawić wozy i część sprzętu z kilkunastoma ludźmi tutaj, w ruinach Marabratty, czy dopiero w Suchej. Wybrał ruiny — one przynajmniej dawały jaką taką osłonę, z niektórych budynków zachowała się więcej niż jedna ściana.

Rozłożyli się obozem między dwoma wielkimi, obalonymi posągami ludzi-kotów. Rzeźby miały w swych proporcjach coś dziwnie irytującego — Hieronim nie potrafił zdecydować, czy są to symbole zapomnianej religii, czy może realistyczne obrazy jakiejś pierwotnej, przedludzkiej Formy. Przypomniały mu się słowa alexandryjskiego taxodermisty, szaleństwo Empedoklesa.

Nie sposób było powiedzieć, gdzie konkretnie ruiny się kończą, pochłonęła je ziemia, pokryła trawa, zarósł rzadki las. Po rozstawieniu obozu pan Berbelek wybrał się na przechadzkę. Ryktą rozgarniał wysokie źdźbła, dzikie kwiaty i kolczaste chwasty. Z zieleni wyłaniały się pogruchotane kamienne bloki wielkości elefanta. Sądząc po fundamentach, tu zwaliła się wieża o trójkątnej podstawie; tamten trójkąt wkopany w ziemię to pozostałość ocembrowania studni. Forma Marabratty opierała się najwyraźniej na liczbie trzy. Pan Berbelek zmierzył ryktą długość i szerokość kamiennych bloków — proporcja jeden do trzech.

Szelest traw. Obejrzał się.

Gauer Szebrek, w przekrzywionym kapeluszu i ze szkicownikiem pod pachą, wskoczył na zachwaszczone gruzowisko. Ukłoniwszy się w milczeniu Hieronimowi, przysiadł na szczycie, otworzył książkę, zaczął rysować. Pan Berbelek podążył za jego wzrokiem. Babilończyk najwyraźniej rysował te dwa wielkie, symetryczne filary bramy prowadzącej do jakiegoś równie monumentalnego budynku, po którym wszakże nie pozostał ślad, tam już rosły rozłożyste akacje, poczerniałe ze starości, potężne baobaby i hiewoje — brama stanowiła wejście do pogrążającego się w tłustych cieniach lasu. W Afryce wieczór i świt trwają bardzo krótko. Zaraz wszystko obróci się przeciwko światłu i brama zatrzaśnie się. Słońce już wtapiało się w horyzont za gruzami.

Pan Berbelek wspiął się na kamienie, przysiadł obok sofistesa, zajrzał mu przez ramię. Szebrek nie rysował ruin, rysował pogrążony w dżungli pałac-fortecę, wrota były zawarte, ich filary pokrywały złocone płaskorzeźby przedstawiające fantastyczne stworzenia, nad wrotami płonął wysoki ogień. Pan Berbelek wytężył wzrok. Rzeczywiście, cienie na powierzchni kolumn układały się w podejrzanie regularne wzory.

— Byłeś tu już kiedyś?

Szebrek pokręcił głową.

— Czytałeś coś o Marabratcie? — dopytywał się Hieronim. — Z jakiego języka pochodzi w ogóle ta nazwa: „Marabratta”?

— Nie ma czego czytać — odparł Babilończyk, nie przestając rysować. — Nic nie napisano. Może ja napiszę. Jeszcze nie zdecydowałem, w którą legendę uwierzyć. Kto tu mieszkał? Kto rządził tym królestwem? Co to byli za ludzie?

— A może jeszcze nie ludzie, może coś wcześniejszego — mruknął pan Berbelek. — Czy mieli swojego kratistosa, czy miasto to powstało właśnie w trypletowym anthosie ich władcy? — Wskazał ryktą trójkątną studnię, trójskrzyżowanie brukowanych ulic. — Kto wie, czy na tysiące lat przed Aristotelesem jakiś mędrzec przedaegipski nie domyślił się prawdy o naturze rzeczywistości i nie nauczył swego ludu metod manipulowania własną i cudzą Formą, rzeźbienia kerosu — a potem to wszystko zostało zapomniane, wiedza zginęła wraz ze starożytną cywilizacją…

Szebrek zerknął na pana Berbeleka, wydął policzek.

— Być może jednak przetrwały jej twory, być może to, co bierzemy za naturalny porządek rzeczy i kosmiczną teleologię życia, być może to już są dzieła takich marabrattackich teknitesów flory i fauny…? Rośliny, zwierzęta. My.

Światło uciekało spomiędzy ruin niczym morze podczas gwałtownego odpływu. Pan Berbelek prawie słyszał szum wlewających się na to miejsce czarnych fal nocy. Drzewa, krzewy, trawa, kamienie, złota sawanna na północy, las na południu, wszystko tonie. Zmienia się także barwa dźwięków, inna jest bowiem muzyka dnia, inna jest muzyka ciemności. Na gruzowisko sfrunął kolorowy ptak, rozdziawił dziób, skrzekliwy gulgot przeszył półmrok. Poza tym cisza; obóz jest zbyt daleko, nie dochodzi echo wieczornej krzątaniny, nie dochodzą śpiewy N’Zui, parsknięcia i porykiwania zwierząt. Nie ma wiatru, milczą więc również rośliny. Cisza stanowi formę wszelkich ruin, to też jest rodzaj bezruchu. Coraz ciemniej, Babilończyk przestał rysować. Zdjął kapelusz. Na niebie nad starożytnym miastem pokazały się gwiazdy i krzywa szabla Księżyca. Pan Berbelek przyjrzał się w ich blasku temu ptakowi, który zdzierał gardło trzy głazy dalej. Zamiast pazurów ptak miał małpie paluchy, z ogona wyrastał mu chwost złotej trawy, kameleonowe oczy obracały mu się na wszystkie strony, jedno niezależnie od drugiego. W pewnej chwili spojrzał na pana Berbeleka, ślepia znieruchomiały. Hieronim machnął ryktą. Gulgocząc, kakomorf wzleciał ponad ruiny.

— Dotarliśmy do granicy.

— Zacznij lepiej zapisywać swoje sny, esthlos.

13 Sextilis. Stanęliśmy nad Żółwią. Na południowym brzegu otwiera się królestwo Krzywej Formy. Nurt jest rwący, rzeka głęboka. Budujemy tratwy. Kakomorfia zaczyna dotykać ludzi, w nocy dwóch wojowników N’Zui zrosło się plecami, kręgosłupy jak spirale. N’Te odprawia plemienne rytuały. Postanawiam wycofać główny obóz kilkadziesiąt stadionów na północ, z powrotem wgłąb dżungli, N’Zui wyrąbią ścieżkę, tu postawimy tylko posterunek przy promie. Zajdar wspiął się przed świtem na wierzchołek zdeformowanego balsamowca; mówi, że widział światła, tam, wgłębi Skoliodoi. Może istotnie miasto. Szulima chce pójść, zobaczyć na własne oczy. Więc oczywiście ja także; jakże mógłbym odmówić? Budujemy tratwy.

Pan Berbelek pierwszy postawił nogę na ziemi Krzywych Krain. Nie obejrzał się na tratwę, wioślarzy N’Zui, zbełtaną powierzchnię Żółwiej Rzeki, na Szulimę, Zueię, Zajdara i Szebreka przeskakujących za nim na stromy brzeg; poprawił plecak, bukłak oraz zarzucony na ramię keraunet i rozchyliwszy ryktą zarośla, wszedł w skoliotyczną dżunglę. Na podstawie nocnych obserwacji nimroda obliczono kierunek i odległość: rzekome miasto kakomorfów powinno znajdować się około osiemdziesięciu stadionów na południe od Żółwiej.

Rzeka zwała się tak, bo kiedyś istotnie roiło się w niej od żółwi błotnych; obecnie to, co wypełzało z niej na ląd, to były asymetryczne zlepy szlamu, otoczaków i zielonych mięśni skręconych z podgniłych wodorostów. Niektóre posiadały nawet skorupy — z czarnego lodu, roztapiającego się w promieniach słonecznych — oraz po kilka łap. W kanciastych łepkach obracały się żwirowe móżdżki.

Pan Berbelek wyznaczył dla wyprawy sztywne ramy czasowe: jeśli nie dotrą do celu w ciągu trzech dni, zawrócą bez względu na okoliczności. Osiemdziesiąt stadionów przez dżunglę to jest wyzwanie nawet przy płaskim kerosie. Chęć wejścia w kraj tajemniczej morfy wyrazili prawie wszyscy uczestnicy dżurdży — jedynie Weroniusze i Ap Rek nie okazali się aż tak bardzo ciekawi — ponieważ wszakże N’Te stanowczo odmówił posłania swych wojowników za rzekę, wyprawę trzeba było ograniczyć do kilkuosobowego rekonesansu. Dopiero gdy znajdą pewną i bezpieczną drogę, pomyślą o masowym przejściu. Pan Berbelek mógłby wprawdzie bezpośrednio nacisnąć na N’Zui, lecz wolał nie próbować; jakikolwiek sukces by tu odniósł, prędzej czy później zapłaciłby zań utratą części oddziału. Gra nie była warta świeczki, Negrowie już zaczęli się wytrącać, tak jak przewidziała była esthle Amitace. Jeszcze w Marabratcie kakomorfia dotknęła chowoły i humije, nie chciały jeść, ich kopyta zapuszczały korzenie w wilgotnej glebie, trzeba było wpędzać je na noc na kamienie. Rogi chowołów przez noc wygięły się w przedziwne rzeźby, Papugiec opowiadał, jak to N’Zui usiłują odczytać z ich konfiguracji przesłanie od bogów; wszak sami Negrowie zwykli morfować rogi swego bydła, ich kształt opowiadał Formę plemienia, rodu. Natomiast długa sierść humijów poczęła wypuszczać purpurowe pąki. W czasie podróży przez dżunglę ku Żółwiej rozwinęły się one w asymetryczne kwiaty. W nocy zlatywały się do nich świecące owady wydychane przez chrapiących Negrów. Jeden zakrztusił się i zmarł we śnie;

Mbula Szpon rozpruł go potem, wyjął płuca — świeciły oślepiającym blaskiem, aż musieli odwracać oczy. Gauer Szebrek kupił płuca zmarłego od Tego, Który Odgryza za dwie drachmy. Białych kakomorfia na razie tak nie doświadczała, ich Forma była silniejsza — ale też większość z nich była aristokratami. Pan Berbelek bał się o Porte i Antona, i o młodych: Aliteę, Klaudię, Abla. To głównie z ich powodu kazał cofnąć obóz dżurdży znad brzegu Żółwiej. Niech sobie tymczasem zapolują w północnej dżungli, tam też obfitość wielka najrozmaitszych kakomorfów — dopiero co Liwiusz usiekł drewnianą małpę o wężowych łapach — chociaż istotnie keraunet w tym gąszczu nie na wiele się zdaje. Zajdar rozdawał chętnym myśliwym włócznie, miecze, noże. Oto jest dżurdża: twarzą w twarz z bestią, w drżeniu mięśni, z krwią na ostrzu, jej lub twoją. O ile oczywiście bestia krwawi; z małpy tylko drzazgi leciały. W plecach miała dziuplę, w tej dziupli niosła mały obsydianowy posążek, kolczaste jajo. Tobiasz schował je w swoich jukach. W nocy zniknęło, ktoś musiał ukraść.

Pan Berbelek szedł przez Skrzywioną dżunglę równym, spokojnym krokiem, patrząc pod nogi, omijając korzenie drzew i węzły lian, starając się stąpać po nagiej ziemi i kamieniach — co wszakże w dżungli jest prawie niemożliwością. Zaraz wyprzedził go nimrod: on będzie prowadził, jedyny, który nigdy nie straci orientacji. Szebrek, co prawda, zabrał ze sobą kompas. Już wkrótce bowiem niebo zostało całkowicie przesłonięte przez szczelny dach dżungli: splątane, zbite, zrośnięte korony drzew i tego, co zajęło tu miejsce drzew. Storturowany keros wykręcał wszelkie formy. Nie było już ani rośliny, ani zwierzęcia, które Hieronim mógłby wskazać i rzec z przekonaniem, że należy do takiego a takiego gatunku, że takie jest jego imię. Wraz z przekroczeniem Żółwiej Rzeki przekroczyli granice języka. Trzeba szukać przybliżeń w złożeniach, odwróceniach i kaleczeniu znanego. Na przykład: nie drzewo, lecz zdrewniały mięsień wybity spod ziemi na sześćdziesiąt pusów, wyciągnięta ku niebu kończyna pogrzebanego pod dżunglą olbrzyma. Albo: nie liana, lecz kręty płomień (a dotknięta parzy). I inna liana — napięta żyła, w której pulsuje ciemna maź. I jeszcze inna liana — warkocz ludzkich włosów, długi na stadion. Albo: ptak o sześciu skrzydłach. (Zajdar go ustrzelił. Ptak spadł; zaraz zmartwychwstał i wkopał się pod pień krokodylowego drzewa). Albo: ukorzenione głazy składające jaja. Szebrek już ani na chwilę nie zamykał swego szkicownika.

Na razie jakoś omijali ich kakomorficzni drapieżcy. Zajdar szedł na przedzie, Zueia na końcu. Byle tylko nic nie wypadło wprost z dżungli, nie skoczyło z boku, nie chwyciło za nogę, nie sięgnęło spod ziemi… No, nie myśleć o tym! Ofiarę można poznać tak samo jak niewolnika — niby niczym się nie wyróżnia, ale wystarczy spojrzeć i już wiesz: ten przegra, a ten się podda.

Szulima szła tuż za Hieronimem, zrównując się z nim, gdy dżungla na to pozwalała.

— A więc jak chciałaś: razem w głąb Skoliodoi.

Uśmiechnęła się lekko.

— A ty nie?

— Chciałaś, żebym chciał.

— Biednýś. Co ja z tobą zrobiłam. A tyle atrakcji czekało na ciebie w Vodenburgu i Val du Ploi.

Roześmiał się głośno, aż obejrzał się na nich nimrod. Lecz pan Berbelek czuł, jak wraz ze śmiechem wyrzuca z siebie w tę mroczną dżunglę jakąś flegmę duszy, złą żółć, wypluwa stare strupy, zgniłą krew. Nie zwalniając marszu, przyciągnął i pocałował Szulimę. Czy teraz się opierała? Rzecz w tym, że później nie potrafił sobie nawet przypomnieć, nie zważał na to — jego była Forma. Oderwawszy się, odruchowo strącił jej z piersi piaskowego komara, który już ciął brązową skórę i sięgał krwi.

Wszyscy byli w szalwarach o wąskich nogawkach i w butach z wysokimi cholewami, jugrach lub podobnych. Już po kilku minutach pot spływał po torsach i plecach. Przyciągał on insekty Skoliodoi niczym miód pszczoły; może to zresztą były także kakomorfowane pszczoły. Zabijali je, ledwo przysiadły na skórze. Czasami ginęły od jednego klepnięcia, czasami jednak trzeba było je miażdżyć z wielkim wysiłkiem: ślimaki o motylich skrzydłach, ważki o żelaznych tułowiach, pająki o lodowych kościach. Szulima zdjęła Hieronimowi z karku czarną gąsienicę o segmentach wypełnionych aerem — szybowała w powietrzu, zwijając się w obwarzanek i rozwijając. Może i należało okryć się jakąś kurtą, grubą koszulą, lnianym chimatem — ale po prostu było zbyt gorąco, panowały zbyt wielka wilgoć i duchota.

Im dalej na południe, tym większe pomieszanie żywiołów. Wkrótce wszyscy kaszleli, wypluwając zbierający się w ustach piasek: szkliste drobiny unosiły się w powietrzu, lśniąc w półmroku — kalecząca skórę, twarda

mgła. Powietrze pachniało i smakowało starą spalenizną. Pogarszała się widoczność. Woda ściekała po pniach zdemorfowanych drzew, tryskała z lian, wzbijała się z ukrytych źródeł spiralnymi wodowznosami, porywając z sobą kamienie i gałęzie, i małe zwierzęta; toczyła się także po ścieżkach wielkimi jak psy kroplami: spłaszczone kule mętnej cieczy, myszkujące po ciemnym gąszczu, to tu, to tam, odbijające się od przeszkód, wpełzające na pochyłości. Pan Berbelek przebił jedną z nich ryktą. Zasyczała i rozlała się w brudną kałużę. Była to Woda, hydor, ale nie w Formie Wody. Co się zaś tyczy Ognia, to wkrótce przekroczyli jakąś następną tajemną granicę Skoliodoi i odtąd większość dostrzeżonych zwierząt posiadała sierść złożoną z miliona maleńkich płomyków, skóry z ognia, pancerze z lawy, żarzyły się w ciemności daimonicznym blaskiem. Owe kakomorfy dostrzegali bez trudu, zwłaszcza gdy płynęły dostojnie nad ich głowami przez tę zawiesinę aeru, hydoru i ge, jaka pełniła tu rolę powietrza. Czasami któryś zrywał się do nagłego lotu, skoku, biegu — cap i dopadał ofiarę. Jedna z ofiar eksplodowała niczym mina oblężnicza, posypał się na myśliwych trupi deszcz, a struga powietrza pomiędzy kakomorficznymi drzewami zapłonęła zielono.

Wkrótce widoczność spadła do dwudziestu pusów, powietrze trzeba było gryźć, nogi grzęzły w błotnistej mazi, dżungla huczała, trzeszczała, grzmiała, klekotała, ryczała, jęczała, syczała, szlochała, chichotała, szeptała niezrozumiałe słowa. Minął ich wielki wąż utoczony z wody i ognia. Wszystko mieszało się ze wszystkim, zacierały się granice, świat obrócił się w jedną wielką kakomorfię.

— Odczyponek! — krzyknął pan Berbelek.

Usiedli na pniu miedzianej ryby. Pod koroną gazowej palmy wisiał ognisty hipopotam, z pyska kapały mu przezroczyste kamienie, musieli się przesunąć na pniu, po rozbiciu wybuchały przepalającym skórę śniegiem.

Gauer Szebrek zaczął kląć, gdy zorientował się, że nie może odjąć od dłoni rysika, rysik wrósł mu w kości, oto sofistes miał już siedem palców u prawej ręki.

— Kto jeszcze?

Szulima przeszła wzdłuż pnia. Gauer miał również coś nie tak z uszami, wylewała się z nich lepka maź. Zuei żebra wyrosły ponad skórę, symetryczne grzebienie czarnego szkła. Zajdar nie mógł zdjąć plecaka, rzemienie splątały się z mięśniami jego barków. W brodzie wyrosły mu czerwone

kwiatki. Spostrzegłszy to, chciał zakląć, nie mógł, okazało się, że stracił głos. Zacharczał — z ust buchnęły mu białe pióra, kurzawa ciężkiego puchu. Obłok uniósł się zaraz w powietrze, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści pusów; tam, na wysokościach, oddech nimroda spłonął na brzuchu hipopotama. Hipopotam ziewnął — tsztrkk! — fontanny śniegu. Amitace pochyliła się z kolei nad Berbelekiem, obróciła go, kazała podnieść ręce. Spodziewał się najgorszego, ale nie zdołała znaleźć żadnej aberracji. Pokiwała w milczeniu głową. Na koniec ekwipunek i ubranie zdjęła sama Szulima — również na razie trzymała się w Formie.

— Jak delako zaszyliśmy? — pan Berbelek zwrócił się do nimroda.

Ihmet pokazał na palcach: piętnaście.

— Piętnaście stadidiotów? To nieźle.

— No nie wiem — Szulima uniosła głowę. — Według mnie już spierzcha.

— Szyliśmy cały cień? Nieźlimowe.

Sięgnęli do plecaków po prowiant. Suszone owoce i suchary utrzymały się jakoś, lecz reszta pożywienia w większym lub mniejszym stopniu zmieniła kształt i konsystencję, po części zyskując nawet pozory życia: wędzone mięso drgało dotknięte, placki wypuściły kolczaste pędy. Przynajmniej woda w bukłakach pozostała wodą.

— Tak człowak, musimy tu przeconować — westchnął pan Berbelek. — Jutro zobyczamy.

Czuwali na zmianę, pierwszy Hieronim. Od tego przegęszczonego, zanieczyszczonego powietrza łzawiły mu oczy. Nie chciał ich przecierać brudnymi rękoma, toteż świat postrzegany do reszty utracił formę, przed panem Berbelekiem pływały już tylko amorficzne plamy ciemnych kolorów, ciemniejszych z każdą minutą, aż w końcu noc zalała Skoliodoi i odtąd wszystkie światło pochodziło z ogniowych roślin i zwierząt.

Obudziwszy Szulimę na jej wartę, Hieronim rzekł:

— Te światła, które widział wyzlewoniec Szpona — to nie musi nic oczaznać, sama widzisz.

Amitace wstała, strąciła z siebie ziemię, wodę, ogień, żywe i martwe, wszystko, co na nią wpełzło podczas snu.

— Wierzę, że istjenie. Jeśli nie miasto, to coś innego, szcze błęgiej.

— Ale dlaczego?

Usiadła na rybie.

— Pokaż pamę.

Wyszarpnęła z kamienia czarny sopel i podpaliła go od przebiegającego obok węża. Przysunąwszy brudny ogień nad pergalon, wskazała zaznaczony na czerwono obszar Skoliodoi, przesunęła palcem wzdłuż Żółwiej Rzeki.

— Jak delako weszyliśmy? Ledwie przeczykroliliśmy granicę. A widzisz, że z każdym zdadionem demorfacja jest coraz silniejsza, keros wypacza się stopniowo, ponyczając od rzeki, a właściwie od tych podyjenczych kokamorfii przed nią. Więc spójrz, policz. Skoro to tak rośnie — a my jesteśmy zaledwie tutuj — a tu niby to miasto, też niewiele dalej — to co znujdaje się tam — w sercu, w centrum, w jądrze Skoliodoi?

— Stolica Krzywych Krain? Kobelka szalonego krastitosa?

— Naprawdę rządzisz, że ktokolwiek mógłby tam przeżyć? Ja już nawet nie pytam o przyszynę; ja pytam, jakie jest maksimum tego Skrzywienia? Jak to wygląda? Jaki to świat?

— To co najmniej dżderysta stadidiotów od Żółwiej.

— Tak.

Zasypiając, pan Berbelek usiłował sobie przypomnieć, w którym dokładnie momencie Szulima po raz pierwszy wspomniała o Skoliodoi i dżurdży, jakie były jej słowa i jak brzmiała treść zaproszenia. Potrzebuje strategosa Hieronima Berbeleka, tak twierdzi, choćby musiała go z martwych podnieść — ale do czego jest on jej potrzebny? Do podboju Skoliodoi?

Zasnął. Śniło mu się to, co zawsze: uwięzienie w nieskończoności, ból podzielenia, pęd ku czemuś, co miał w ręce — choć oczywiście nie miał rąk — zagubienie pośród niewypowiadalnego. Tym razem jednak przynajmniej zapamiętał, czego nie mógł wypowiedzieć; pozostało z nim na jawie.

Rano nie mogli dobudzić Szebreka. Babilończyk miał przedostatnią wartę; zastępowany przez Zueię, jeszcze trzymał się Formy, musiało dopaść go krótko przed świtem. Zapuścił korzenie, wrósł w ziemię. Nie dało się go wykopać, musieli go odciąć. Wtedy się ocknął — z wrzaskiem. Bełkotał bez sensu, nic nie rozumieli. Z uszu płynęły mu strumienie kleistych łez. Potrafił iść tylko tyłem, ktoś go musiał prowadzić, żeby się nie przewrócił i żeby za wysoko nie podskoczył — był bardzo lekki, silniejsze pchnięcie unosiło go w powietrze. Zmusili go, by zjadł podwójną porcję, owoce miały go dociążyć. Zwymiotował wrzącą lawą, oparzyła mu pierś i brzuch. Skóra

najpierw się zaczerwieniła, potem zaczęła świecić. Węglowym palcem drapał się po oparzelinie — czarne pismo w ogniu, taki sam bełkot.

Wypluwając fontanny pierza, Ihmet Zajdar wskazał na północ. Pan Berbelek machnął ryktą.

15 Sexlitis, rano. To nie ma sesnu. Wracamy.

W obozie w dżungli za Żółwią Babilończyk odzyskał Formę już po niecałym dniu. Pozostały blizny na dłoni, na plecach, na piersi, ale z nimi poradzi sobie byle teknites somy. Bynajmniej nie w ich sprawie chodził do medyka dżurdży.

— Mbula, czy potrafiłbyś sporządzić taką truciznę, która zadziałałaby i zabiła dopiero po dziesięciu dniach, i antidotum na nią? Tu, teraz. Potrafiłbyś?

Plan Szebreka był następujący: zatruć hodżrikowych zbójów i posłać ich do miasta kakomorfów. Niech wrócą i opowiedzą; tylko tak się uratują. Pięć dni tam, pięć dni z powrotem — powinni zdążyć. Niech będzie w końcu jakiś pożytek z tych bandytów, skoro pozostawiliśmy ich przy życiu i poimy, i karmimy — przynajmniej pożytek dla zofii. W sumie więźniów mieli czterech: dwóch zwiadowców i dwóch rannych z głównego oddziału, w tym jednego, za którego głowę wyznaczona była nagroda, owego Jaskółkę. Drugi ranny miał roztrzaskane biodro, do którego uleczenia, w braku teknitesa somy, sam Szpon potrzebowałby kilku miesięcy. Pozostawał więc Hamis i jego towarzysz, Abu Hadżan.

— No dobrze, ale skąd możemy mieć pewność, że po prostu nie posiedzą parę dni tuż za rzeką, nie wrócą potem i nie opowiedzą bajek? — powątpiewał Zenon.

Pan Berbelek i Szulima wymienili spojrzenia.

— Tym akurat bym się nie przejmowała. Wierz mi, poznamy, czy kłamią, czy tam poszli, czy nie.

Trucizna Szpona miała postać czarnej, cuchnącej mazi. Obtoczone w niej palce demiurgos wcisnął przemocą do ust, uszu, odbytów i przez pępki do wnętrzności dwóch bandytów. Wierzgali, pluli, przeklinali. Szebrek objaśnił im warunki, pokazał mbulowe antidotum, dał wyrysowaną na wyprawionej skórze mapę i zapasy prowiantu. N’Zui zabrali ich do Żółwiej Rzeki i przewieźli na południowy brzeg.

Nastąpił najspokojniejszy dla Hieronima tydzień podczas całej dżurdży. Dżungla tu była po większej części naturalną dżunglą afrykańską, kakomor-

fie we florze — rzadkie i nigdy zupełne; kakomorfy zwierzęce trafiały się częściej, zwłaszcza ptaki, które przelatywały swobodnie ze Skoliodoi zza Żółwiej. Zauroczone wyjątkowo efektownym okazem, dziewczęta postanowiły złapać sobie kilka takich ptaków żywcem — zabiorą je do Alexandrii, będą trzymać w klatkach, nikt w całym Aegipcie nie ma podobnych. Pan Berbelek zauważył, że w anthosie Nabuchodonozora nic nie utrzymuje swej Formy, im dziksza, tym prędzej morfuje ku kratistosowi. Ale dziewczęta były zdecydowane: niechby nawet kakorneony w niewoli częściowo zmorfowało — zawsze pozostanie jakiś obraz cudu. N'Zui upletli z lian wielkie sieci. Klaudia i Alitea znikały w dżungli na całe dnie, zabierając ze sobą po czterdziestu, pięćdziesięciu wojowników, czasami nakłaniając do pomocy nimroda. Zajdar krążył po dżungli przed i po zmroku, właściwie nie sypiając, a może śpiąc bez przerwy, w jakimś transie łowieckim, zawsze na tropie, pozornie skupiony na czymś innym, wcale nie na tym, na co patrzył nie mrugającymi nigdy oczyma. Weroniusze upolowali przy nim wielkiego kakomorfa aeru i hydoru, mgielną bestię rozciągniętą między drzewami na kilkadziesiąt pusów, powietrzną ośmiornicę wsysającą, pochłaniającą, trawiącą w locie ptaki, owady, nietoperze. Ośmiornica niestety rozpłynęła się w kilka godzin po śmierci; ale Szebrek zdążył ją narysować, z Weroniuszami stojącymi dumnie na jej cielsku.

Pan Berbelek niewiele polował. Szedł na łowy wyłącznie wtedy, gdy szła Szulima. A może to Szulima szła, gdy on szedł. W tym momencie już trudno było to rozsądzić między nimi, jedna Forma stanowiła odbicie drugiej, ale która której? Nawet jeśli zabierali z sobą Zueię — wystarczyło, że skinął głową i niewolnica znikała im z oczu, teraz i on był jej panem. Skinął głową, pociągnął Szulimę, albo też to ona go ciągnęła, w zieleń, w czerwień, w cień i półmrok, w gorącą gęstwinę, i już ręce na ciele, język na skórze, dzikość pod formą dzikości, dżungla w sercu, szpony, nie paznokcie, kły, nie zęby, mięso, nie ciało, zwierzę, nie człowiek, głód, nie pożądanie. Tak, tak, takie właśnie pragnienie sobie zaplanował, to mu była obiecała — bez słów, bez myśli — jeszcze w Vodenburgu, w to uwierzył i to otrzymał: te zielone oczy patrzące tylko na niego, te długie palce zaciskające się na jego ramieniu, te jasnozłote włosy pod jego dłonią, te alexandryjskie piersi pod jego wargami, te usta uśmiechnięte — nie uśmiechnięte, wykrzykujące nieprzyzwoitości pod morfą Hieronima Berbeleka. W dżungli kakomorficz-

nej, na granicy Skoliodoi. Gdyby tam i wtedy esthle Amitace poczęła — jaka potencja zmaterializowałaby się w jej łonie?

Pewnego dnia Ihmet Zajdar usiekł wyjątkowo efektownego kakomorfa: humanoidalna sylwetka, gigantyczne skrzydła ćmy, aureola czarnych płomieni wokół kamiennego łba, ogon z czystego światła, kolorowej tęczy, wlokący się przez dżunglę pół stadionu za bestią. Dopiero gdy Zajdar odrąbał mu łeb i N'Zui przyciągnęli truchło do obozu, ktoś rozpoznał strzępy ubrania i żelazny amulet na nodze kakomorfa. Był to Abu Hadżan. Pan Berbelek wysłał nimroda, by poszedł po tropie bandyty i odnalazł jego towarzysza, jeśli i on wrócił zza Żółwiej — bo może akurat nie miał skrzydeł, nie potrafił przefrunąć rzeki, a posterunek przy promie o żadnych próbach powrotu zbójów przecież nie doniósł. Zajdar zjawił się o świcie, ciągnąc na długim powrozie zmorfowanego Hamisa. Hamis nie potrafił się wyprostować, chodził podpierając się rękoma. Z czoła wyrastał mu wielki, kręcony róg z pulsującego purpurowym blaskiem kryształu, najwyraźniej bardzo ciężki, gdyż kakantrop w ogóle nie unosił głowy, co najwyżej przekręcał ją w lewo, ukazując porośnięte mchem oblicze i pływające w błotnych oczodołach błędne ogniki. Cierpiał na ciągłą biegunkę, wydalając fosforyzujące muszle, pozostawiał za sobą ślad, po którym nimrod bez trudu go odnalazł. Z muszli wyłaniały się po chwili małe gnojowe ifryty; unosiły się w powietrze i krążyły wokół Hamisa niczym stado zarz. Odganiał je rogiem, potrząsając głową. Mbula Szpon wtarł w jego ciało antidotum, lecz kakantrop chyba nawet tego nie zauważył. Wszakże babiloński sofistes nie dał tak łatwo za wygraną. Przywiązawszy Hamisa do drzewa, jął go przepytywać, bijąc ryktą dla zwrócenia uwagi. Jak daleko zaszli? Czy widział miasto? Kto tam mieszka? Jak wyglądają? Co powiedzieli? Czego chcą? Czy widział miasto? Pan Berbelek przysłuchiwał się tym pytaniom z zainteresowaniem; znacznie trudniej łgać, pytając niż odpowiadając, Babilończyk zdradzał tu swoje prawdziwe intencje. Szebrek po chwili porzucił ryktę, poszedł po rukatę. Smagając zbója biczem, powtarzał swoje. Mów! Mów! N'Zui patrzyli w milczeniu. Hamis trząsł łbem, walił rogiem o pień, ognie obracały mu się w czarnych oczodołach, gnój-ifryty tańczyły wokół niego po ciasnych spiralach. Z krwawiących ust począł płynąć kakologiczny bełkot: — Miasto, miast to, miast sto, i żyją, i żyłą, w żogniu, w okropie, jak cztyłem tam i słupałem, co mi żegali, od leba do leba, żupaj ty mnie, jak onni wycierpali mi tu, i tu, i tu, że żjaden okrop nie podrodzi, i w głupce, w mojej głupce,

co ja szumiem, nie szumiem, że trujdą, że rozkropią, żar na kłościach, tak, tak, na całym źlecie, niktor przyżyle, się wypleją, i co grobicie, źlet się okropi na drub, trup, strup, grób, chrup, chrup-chruj, krój, bój, czuj, kuj, truj, żruj, żruj mnie, żuj mnie, żuj!

28 Sextilis. Podjąłem decyzję opowrocie do Marabratty. Pójdziemy dalej na zachód, gdzie Żółwia przecina otwarte sawanny i Skoliodoi otwiera się aż po horyzont. Dobrze będzie też na jakiś czas wycofać się na płaski keros, ludzie jednak ciężko znoszą to Skrzywienie, Alitea skarżyła się na koszmary. Nie pytam, jakie.

— Rodzinne polowanie — mruknął Abel, wsiadając na swoją xewrę. — Cóż, nie miałbym nic przeciwko takiej tradycji.

Alitea zawiązała pod brodą rzemienie kapelusza. Jeszcze Słońce nie wstało, jeszcze na złotej trawie skrzył się szron, gdy czarnowłosa panna wyszła z namiotu w zapiętej pod szyję grubej kurcie, wskoczywszy na wierzchowca, nałożyła szerokoskrzydły kapelusz i naciągnęła skórzane rękawiczki. Para tropicieli N'Zui ruszyła w noc, nie czekając na rozkaz pana Berbeleka. Hieronim trącił Ulgę piętami. Za jeźdźcami truchtało tuzin Negrów, na końcu dwa obładowane sprzętem humije — polowanie może potrwać dłużej niż jeden dzień, może zanocują gdzieś na sawannie.

Reszta obozu spała, wyjechali na ciemną równinę w całkowitej ciszy, każde parsknięcie zwierzęcia rozlegało się niczym keraunetowy grzmot; oczywiście nikt nic nie mówił, formą łowów jest milczenie. Księżyc w nowiu, pozostały jedynie gwiazdy, by wskazywać, gdzie północ, gdzie południe, gdzie wschód i zachód, zachód, dokąd myśliwi zmierzają, sylwetki czarnych tropicieli wtopione w czerń największą, ten mrok przedświtu, gęsty, że aż stają zegary i myśli grzęzną pod powierzchnią jawy; zasnęliby, gdyby nie szczypiący skórę chłód.

Pan Berbelek jechał zakutany w równie czarną kirouffę, kaptur krył mu twarz. Czasami zwalniał, czasami poganiał Ulgę. Mijając ich, mógł swobodnie przypatrywać się synowi i córce. Oboje trzymali się już w siodłach z podświadomą pewnością siebie wziętą z Formy nimroda; strzemiona, na herdońską modłę, podciągnięte mieli wysoko, nogi zawsze ugięte, wodze w lewej dłoni, prawa wolna, by w każdej chwili móc sięgnąć po keraunet — nie dalej jak przedwczoraj Abel ustrzelił tak, z sekundowego złożenia,

drapieżnego kakomorfa, który rzucił się na pasące się chowoły. Keraunety (po dwa przy każdym siodle, po lewej, kolbą ku łbu xewry) były zawsze naładowane i z odwiedzionymi młoteczkami, czyścili je sumiennie dwa razy dziennie, nawet Alitea. Aliteę ostatnio zabrał na kilka polowań Zenon Lotte i chyba zdołał zarazić ją łowiecką gorączką, a przynajmniej dał jej odczuć ten żar. W każdym razie twierdziła, że ustrzeli dzisiaj swego pierwszego kakomorfa. Co zaś się tyczy Abla, to po Zajdarze miał on na koncie najwięcej kakomorfów. Do niego należały niektóre z najbardziej egzotycznych stworów złożonych w wozach dżurdży, a właściwie ich szczątki (mięso kakomorfów, gnijąc, cuchnęło przeraźliwie).

Gdy pan Berbelek wyprzedzał teraz syna, ścigając tropicieli, dojrzał na piersi Abla, wyrzucony na wierzch koszuli, amulet sporządzony przez N’Te z kości jednej z położonych przez Abla bestii. Lśnił zimno w świetle gwiazd: rurka suchego lodu, w której wnętrzu gotuje się nieustannie biała krew kakomorfa, nie wylewająca się z żadnej strony. Abel twierdził, iż wystarczyło wciągnąć powietrze z zapachem tej krwi (przykładał sobie rurkę do nosa, zaciskał drugie nozdrze, odchylał głowę), aby przegnać z ciała wszelkie zmęczenie i uzyskać kryształową czystość myśli.

Owi tropiciele N’Zui, aczkolwiek zazwyczaj pod nieobecność nimroda istotnie wykorzystywani do odnajdywania i wypłaszania zwierzyny, dzisiaj mieli za zadanie jedynie doprowadzić myśliwych do miejsca opisanego wcześniej przez Zajdara.

Pozostało do świtu jeszcze pół godziny, gdy wjechali — pan Berbelek pierwszy — pod korzenie aer-figowców, zgromadzonych w tym gaju pół stadionu od północnego brzegu Żółwiej Rzeki, toczącej się przez sawannę w szerokim, płytkim korycie. Skoliotyczne figowce unosiły się w powietrzu dziesięć-piętnaście pusów nad ziemią. Sięgały jej natomiast ich korzenie, kielichowatymi baldachimami rozpościerające się pod pniami. Gdy nad sawanną wiał mocniejszy wiatr, cały gaj żeglował kilka stadionów w tę lub we w tę, a wiotkie pędy za każdym razem na nowo próbowały się zanurzyć w glebie. Zapewne w ten właśnie sposób aer-figowce przybyły tu z Krzywych Krain.

Myśliwi i zwierzęta ukryli się pod korzeniami kakomorficznych drzew, Hieronim, Abel i Alitea pod tym wysuniętym najbardziej na południe. Usiedli na rozpulchnionej, zimnej ziemi, przygotowali keraunety, pan Berbelek przeczyścił szkła lornety, Abel otworzył butelkę „gorzkiego złota”, poczę-

stował ojca i siostrę, Alitea zrzuciła kapelusz na plecy… Potem już tylko bezruch i milczenie, nie pozostało im nic więcej do zrobienia, nic do powiedzenia. Czekali na wschód Słońca.

Żeby to milczenie było wymuszone, sztuczne, jakoś niezręczne; ale nie, należało do formy chwili, i była to dobra forma. Pan Berbelek zapamiętał delikatny szept liści aer-figowca nad głową, trzeszczenie jego korzeni, pojedyncze, głośne pierdnięcie humija, zapach ziemi, smak zimnej wilgoci, gdy zerwał i wsunął do ust złote źdźbło, monumentalną ciemność afrykańskiego nieba — i bliską obecność czekających spokojnie syna i córki, ich obecność, jak jeszcze jeden kolor, dźwięk, zapach, a przecież nie kolor, nie dźwięk i nie zapach, tym niemniej bezpośrednie doświadczenie zmysłowe: Abel, Alitea — tu i tu, pod skrzydłami mojego anthosu.

Na linii widnokręgu po lewej ręce pana Berbeleka wybuchło czerwone światło. Najpierw pozioma linia krwi, potem zaciek różu, wchodzący coraz wyżej na gwiazdoskłon i gaszący kolejne konstelacje, nareszcie pozioma fala ognia, od której cała sawanna zatrzęsła się i zachwiała, pękając z trzaskiem na dwa: jasność i cień. Nagle wszystko broczyło cieniami; myśliwi pod aer-figowcem znaleźli się w cieniu najgłębszym. Trwożliwy szum przeszedł po równinie, zerwał się wiatr, drzewa zadrżały. Z grobu podnosił się bóg. Pierwszy krok; drugi krok; trzeci krok; głowa wzniesiona. Zniknęła ostatnia gwiazda, ciemny błękit zalał niebo, ostre światło przekłuło oczy wszystkiego, co żyje i ma oczy. Wstał dzień nad Afryką.

Pan Berbelek z lornetą przy oku pochylał się do przodu między korzeniami. Abel wyciągnął do siostry rękę z butelką „gorzkiego złota”. Pokręciła głową. Ściągnęła rękawiczki, rozpięła kurtę.

Pan Berbelek odłożył lornetę i chwycił za keraunet. To był sygnał; złapali za swoje keraunety, przyklękli obok ojca.

Pojawiły się na południowym horyzoncie, odcinając się zaraz od tła jaskrawofioletową barwą. Musiały lecieć bardzo szybko, w niecałą minutę można już było rozróżnić poszczególne sylwetki. Pan Berbelek gołym okiem policzył: dwa, cztery, pięć.

— Drugi z prawej, największy — rzekł.

Wszyscy mieli strzelać do tego samego; nie było pewności, czy nawet od trzech, czy od sześciu kul padnie.

Gdy zeszły nad Żółwią, szykując się do wylądowania na północnym brzegu, w łagodnym piaszczystym zakolu — jak nimrod zapowiedział był,

że uczynią, to ich wodopój — pan Berbelek podrzucił keraunet do policzka i ścisnął spust. Grzmot. Drugi grzmot, trzeci. Sięgał już po zapasowy keraunet. Ofiara miotała się tuż nad ziemią, pozostałe cztery kakomorfy wzbiły się w panice w niebo i pomknęły z powrotem na południe. Grzmot, grzmot, grzmot. Alitea rozkaszlała się od pyrosowego dymu. Abel podał jej butelkę; teraz przyjęła. N'Zui, wrzeszcząc wniebogłosy, pędzili ku Żółwiej ze wzniesionymi tarczami i kurroi. Pan Berbelek wolnym krokim podążył ich śladem, Abel i Alitea szybko go wyprzedzili.

Negrowie tańczyli wokół ciskającego się w rzecznej płyciźnie potwora, kłując go kurroi, bijąc kurrote, odskakując i znowu przyskakując; ale on nie chciał umrzeć. Miał prawie pięćdziesiąt pusów długości, musiał ważyć ponad setkę lithosów. Głowa kobiety, tułów szakala, skrzydła nietoperza, łapy (kilkanaście łap) krokodyla, małpy, pająka, geparda, ogon-nie ogon, wielka kiść paproci, na grzbiecie łańcuch kwarcowych skał, na barkach szare termitiery, we włosach liany; a wszystko to pomnożone przez dziesięć i wściekle fioletowe. Kakomorf młócił wodę tak zapamiętale, że wkrótce nikt nie pozostał suchy. Zahaczył skrzydłem jednego z wojowników, posyłając go na dwadzieścia pusów w powietrze. Otworzył gigantyczne czerwone usta i zaczął jęczeć, eeuuuiiiiii, eeuuuiiiiiiiiiiii, nie dało się tego wytrzymać, gdy obrócił się na moment tyłem, pan Berbelek skoczył i dziabnął kakomorfa chaldajskim sztyletem w jedną z tylnych łap. Bestia zapewne w ogóle tego nie poczuła. Niemniej już po kilkunastu sekundach wyraźnie zwolniła i osłabła, skrzydła opadły na powierzchnię wody, umilkła, przestała wierzgać, na koniec opuściła głowę i znieruchomiała. N'Zui wyli, bijąc rytmicznie kurroi o tarcze.

Pan Berbelek wspiął się na brzeg, zdjął przemoczoną kirouffę. Słońce przytuliło się do jego pleców, westchnął, przeciągając się.

— Przekąsiłbym coś.

Przyprowadzono zwierzęta, wbito w ziemię drzewce i postawiono prymitywny namiot. Myśliwi usiedli na perskim kobiercu. Alitea, zrzuciwszy kurtę i rozpuściwszy włosy, wyciągnęła się na boku i tak po grecku raczyła się miodowymi plackami i cukrowanymi ślibłkami. Pan Berbelek i Abel obserwowali N'Zui, próbujących coraz to nowych sposobów, by wyciągnąć na brzeg gigantyczne truchło. Kilka psich kakomorfów — skrzydła szarańczy złożone wzdłuż ubłoconych boków — przyglądało się temu z drugiego brzegu, przysiadłszy na zadach i wywiesiwszy białe jak śnieg ozory. Pan

Berbelek otworzył butelkę wina. Alitea zaczęła nucić coś pod nosem, dwusylabową mamrotankę, stukając do rytmu kielichem o misę z owocami. Abel się przyłączył, kląskał językiem o podniebienie. Hieronim wyjął fajkę, nabił, zapalił. Położył się na wznak, opierając głowę o jeden z palików, cybuch spoczął na piersi, grzejąc go pod sercem. Skoliotyczny motyl wleciał w strugę fajkowego dymu, zatrzepotał panicznie wszystkimi trzema skrzydełkami i spadł martwy na kobierzec. Pan Berbelek ujął owada między dwa palce, uniósł, zmrużył oczy. Przechodząc przez te skrzydełka, światło w przedziwny sposób —

— Co to jest? Ej, tato, gdzie schowałeś lornetę?

Abel wstał, przyłożył do oka podane opticum, obrócił je na zachód.

Z początku wszyscy sądzili, że to wrócił któryś z pobratymców ubitego kakomorfa, lecz kształt na niebie był żółty, nie fioletowy, i posiadał ostre, proste krawędzie. Dziesięć, piętnaście stadionów? — bez wiedzy o faktycznej wielkości stworzenia trudno było określić odległość. Co dziwne, wydawało się ono wcale nie poruszać, tkwiło w tym samym punkcie na niebie, niczym przyśrubowane do błękitu.

Nabiwszy keraunety i zwoławszy sześciu wojowników, wsiedli na xewry i ruszyli wzdłuż Żółwiej Rzeki, zgodnie z biegiem jej wód i promieni Słońca. Lorneta wróciła do pana Berbeleka i to on, gdy po kilku minutach po raz kolejny przystanęli, dostrzegł długi, prosty, sięgający ziemi ogon kakomorfa. Lecz kilka stadionów dalej już gołym okiem było widać, iż nie jest to żaden kakomorf, nie jest to w ogóle żywa istota — lecz gigantyczny latawiec, szybujący na uwięzi znikającej za pagórkiem porośniętym gęsto palmami. Równocześnie dostrzegli między palmami sylwetki ludzi i zwierząt. Słońce mieli jeźdźcy za plecami, sami pozostali niedostrzeżeni.

Pan Berbelek rozkazał wówczas zatrzymać się, zsiadł, położył Ulgę w trawie, Abel i Alitea pociągnęli na ziemię swoje wierzchowce. Lorneta przechodziła z rąk do rąk. Kolejni bandyci? Nie wydawało się to prawdopodobne, nie tutaj, u granic Skoliodoi; no i na co byłby im ten latawiec? Najpewniej po prostu inna dżurdża. Wysłać N’Zui na zwiady? Tamci mieli swoich Negrów, akurat czarnoskórych postaci kręciło się między palmami najwięcej. Pan Berbelek widział wszakże również białych, ubranych w identyczne, ciemne spodnie i kaftany, nawet w tym upale zapięte aż po ostatni guzik wysokich kołnierzy.

Oddał lornetę Ablowi.

— Cofnijcie się dwa stadiony. Obserwujcie. Gdybym nie wrócił, jedźcie po Zajdara i esthle Amitace, zbierzcie wszystkich N’Zui.

Abel i Alitea wymienili spojrzenia.

— A jeśli —

Pan Berbelek uniósł rękę. Nic już więcej nie zostało powiedziane.

Wdział czarną kirouffę, nie zapinając jej, kaptur narzucił jednak na głowę. Szarpnął za wędzidło Ulgi, poderwał ją na nogi i wskoczył na siodło. Ruszył stępa; nie obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy wypełnili polecenie.

Nie odwracał wzroku od obozu pod palmami. Gdy dostrzegł w nim nagłe wzmożenie ruchu, zatrzymał xewrę. Czekał. Teoretycznie mogli go teraz zastrzelić, ale wiedział, że tego nie zrobią, zakładają bowiem, iż tylko dlatego wyjechał tak na środek międzypola niczym herold wysłany od armii do armii, że faktycznie stoi tam za nim jakaś armia, siła przynajmniej równa ich sile; taka była forma zachowania pana Berbeleka. Czekał spokojnie, od czasu do czasu poklepując Ulgę po zielonej szyi.

Dziesięć, piętnaście minut, tyle to trwało, zanim od palm wyjechał ku niemu na czerwonogrzywym siwku czarno odziany mężczyzna. Czerń do czerni — gdy spotkali się pod sięgającym zenitu Słońcem, cienie zlepiły się z miękkim mlaśnięciem. Mężczyzna miał rude włosy, gęstą brodę, szeroki nos. Jak na uczestnika dżurdży, był stanowczo zbyt blady, jakby przez cały czas krył się pod namiotem lub na wozie. Wieku średniego, wyprostowane plecy, amulet z krzyżem na piersi — kristjanin. Po morfie sądząc, urodzony w Herdonie. Nie aristokrata, lecz zdecydowanie wyższe warstwy.

Zajechał xewrę z lewej.

Pan Berbelek zrzucił kaptur.

— Esthlos Hieronim Berbelek — rzekł, unosząc na powitanie dłoń, pierścień Szarańczy błysnął w słońcu.

Herdończyk skłonił się w siodle.

— Teofil Agusto, Białe Jeruzalem, sofistes Królewskiej Akademei Nowego Rzymu.

Pan Berbelek wskazał na niebo za sofistesem.

— Wzięliśmy to za kakomorfa — powiedział, czym prędzej używając liczby mnogiej. — Dopiero co ustrzeliliśmy jednego. Czy to jest przynęta?

Agusto obejrzał się przez ramię, jakby sam zaskoczony widokiem latawca.

— Nie. Prowadzisz dżurdżę, esthlos? My nie polujemy. Jeśli, rzecz jasna, nie jest to konieczne.

— Więc?

— Ach. Chcemy zajrzeć jak najdalej w Skrzywienie.

Pan Berbelek ponownie uniósł wzrok na latawiec.

— Przymocowaliście do tego człowieka?

— Tak, doulosa obdarzonego wyjątkowo dobrym wzrokiem.

— I w jaki sposób przekazuje wam informacje?

— Opowie wszystko, gdy go ściągniemy. Poza tym rysuje tam teraz mapę.

— Mapa może ocaleje.

— Wszystko dokładnie opracowaliśmy, esthlos. Latawiec jest skonstruowany z drewna aerowców, może widziałeś je, krążą tu zagajnikami po równinie…

— Tak.

— Więc nie potrzebuje wiatru, by się utrzymać w górze. Cała sztuka polega na uniknięciu nagłego podmuchu w momencie ściągania i wypuszczania latawca. Ale mamy wśród nas dwóch demiurgosów meteo.

— Nie prościej byłoby posłużyć się świnią powietrzną?

— Otrzymaliśmy od króla Gustawa obietnicę, że sfinansuje ubezpieczenie lub zakup aerostatu, jeśli ta ekspedycja przyniesie konkretne rezultaty. Wylądowaliśmy na Wybrzeżu Zębów dwa miesiące temu i posuwamy się na wschód wzdłuż Żółwiej Rzeki. Jeśli posiadasz jakiekolwiek informacje o ziemiach leżących na południe od rzeki i naturze ich kakomorfii, bylibyśmy niezwykle wdzięczni, esthlos, gdybyś się nimi podzielił.

— Dlaczego sami tam nie wejdziecie?

Sofistes zamrugał zdumiony.

— Raczysz żartować, esthlos.

— Czy ja żartuję?

— To jest chora kraina. Nie odważyłbym się wejść ani na kilka kroków w głąb Skrzywienia. Nawet nie nocujemy w pobliżu rzeki, wracamy co wieczór do wozów na północ.

Pan Berbelek wykonał lewą ręką gest o niejasnym znaczeniu, złapał i wypuścił powietrze.

— Jeśli jesteś wystarczająco silny… Tu zresztą jest bezpiecznie, otwarty teren, możesz szybko pokonać wiele stadionów, a i Skrzywienie nie posiada

aż takiego oparcia w przyrodzie, co dalej na wschodzie, tam, w dżungli. Ale nawet w dżunglę możesz spokojnie wejść na dziesięć stadionów.

Sofistes milczał przez dłuższą chwilę.

— Wszedłeś, esthlos — szepnął wreszcie, nie patrząc na pana Berbeleka.

— Ja i inni.

— Czy ty w ogóle wiesz, co to jest?

— Wy wiecie?

— Nie. Ale obawiamy się najgorszego. Król Gustaw posłał nas, ponieważ sam kratistos Anaxegiros jest zaniepokojony.

— I to najgorsze — co to takiego?

Teofil Agusto spojrzał panu Berbelekowi prosto w oczy.

— Co sprawia, że świat jest, jaki jest? Co czyni kamienie kamieniami, wodę wodą, konia koniem, człowieka człowiekiem? Forma, Forma, która organizuje Materię do konkretnych Substancji. Gdyby nie morfa, istniałoby tylko jednorodne błoto nieurobionej hile, nieskończone bagno nieskończonego wszechświata. Gdzie wszakże zapisana jest potencja danej Substancji, zanim w ogóle stanie się ona Substancją? Co zmienić musi teknites ciała, gdy zmienia Formę łysego na Formę kędzierzawego bruneta, raz tylko objąwszy owego człowieka swym anthosem? W czym zawierają się te siły, które formują Formy? Nazywamy ów domyślny poziom rzeczywistości kerosem, woskiem, ponieważ każda morfa odciska się w nim jak pieczęć, lecz żadna na stałe i żadna nie potrafi zmienić natury samego kerosu. Co jednak by się stało, gdyby keros został z n i s z c z o n y? Czy potrafisz to sobie wyobrazić, esthlos? To nie byłby nawet koniec świata; koniec świata też posiada swoją Formę. Tego w ogóle nie sposób sobie wyobrazić, bo to jest śmierć wszelkiej Formy. Czy rozumiesz, co ryzykujesz, wchodząc do Skoliodoi? Nie zdrowie, nie życie, nie ciało, nie duszę. To wszystko możesz stracić, a mimo to pozostać esthlosem Berbelekiem: chorym, martwym, bezcielesnym, bezdusznym. Lecz gdy pęknie twój keros… Nie będzie można wypowiedzieć w zgodzie z prawdą żadnego twierdzenia o Hieronimie Berbeleku, nawet tego, że nie ma już Hieronima Berbeleka.

Abel obudził się tego ranka z przeczuciem cudu wypełniającym wspomnienia późnonocnych snów. Gorąca energia płynęła jego żyłami, nie krew, lecz strumyki małych piorunów, łaskoczących od wewnątrz mięśnie i skórę. Dzisiaj poprowadzi polowanie, dzisiaj wyruszy, dzisiaj się zdecyduje!

Ogolił się pośpiesznie nad strumieniem (to właśnie w czasie dżurdży pojawił się na jego twarzy pierwszy zarost, a że żaden teknites ciała nie wymorfował mu dotąd skóry ku wiecznej gładkości, musiał szybko opanować obcą aristokratom sztukę operowania ostrą klingą na własnym gardle). Wrócił do swego namiotu i wdział skórzane szalwary, wysokie jugry, zawinął trouffę wokół głowy. Zapiął jeszcze przy pasie gocki kandżar, wziął głębszy oddech i wyszedł przed namiot.

— Papugiec!

Wiedział, że nikt go nie powstrzyma: Zajdar nie wrócił z polowania z Markiem, Justyną i Klaudią Weroniuszami, ojciec zniknął na kilka dni wraz z Szulimą, Liwiusz odsypiał nocny wypad za Żółwią. Esthlos Ap Rek i Gauer Szebrek co najwyżej pomarudzą chwilę i pokiwają ostrzegawczo palcami.

— Tuzin wojowników, trzy humije, zapasy na pięć dni, już, już, już! — warknął na Papugca, ledwo ten przybiegł od wozów.

Byle czym prędzej opuścić obóz, kalkulował sobie Abel; potem będę już jedynym białym, a ponieważ nie ma N’Te, utrzymanie posłuchu nie powinno sprawić kłopotu. Wziąć ze sobą tłumacza? Nie, umowa jest, że on zawsze zostaje w obozie; potem mogą mieć pretensje, że z mojego powodu —

— A ty gdzie się znowu wybierasz?

Alitea!

— Oj, dajże spokój, nie będziesz mi chyba robiła problemów — co, pojedziesz poskarżyć ojcu?

Ale siostra, jeszcze cała mokra po porannej kąpieli, zawinąwszy jedynie wokół bioder lekką bawełnianą burdę i wykręcając ponad ramieniem długie włosy, spoglądała na Abla w milczeniu, z ironicznym uśmiechem na ustach, lewa brew lekko uniesiona — i już wiedział, że nie złamie tej formy.

— Dobrze — westchnął. — Ale masz tylko kwadrans, pogoń Antona. Ubierasz się i wskakujesz na xewrę.

Cmoknęła go w policzek i pobiegła do swojego namiotu.

Spojrzał za nią, biegnącą — biały materiał kleił się do jej mokrych nóg, potknęła się o jakiś kamień, wymachując rękoma i krzycząc na sługę zniknęła za ścianą namiotu — i na sekundę oślepiła go wizja bliskiej przyszłości: Alitea z oczyma rozszerzonymi strachem, Alitea, której nie mogę pomóc, Alitea rozszarpana przez kakomorfa, ofiara mojej bezsilności, oto przywożę do obozu jej zmasakrowane ciało i kładę je przed ojcem. Gorąca

krew uderzyła mu do głowy, musiał głową potrząsnąć, niczym ogłuszony byk. Nie, nie, nie zdarzy się. Zresztą i tak nie ma odwrotu, ona mnie nie posłucha.

O czym ja w ogóle myślę? Takie rozważania to modlitwa o klęskę.

Wyjechali o czasie, nie musiał czekać na siostrę. Obyło się bez dramatycznych zmagań woli, na jakie się w duchu gotował. Machnął ręką, wskazał kierunek — i ruszyli bez słowa. Nikt się nie dziwił, nikt o nic nie pytał; ot, kolejne polowanie. Było to oczywiście zwycięstwo największe, tryumf narzuconej formy tak bezdyskusyjny, że nawet przez nikogo nie zauważony — niemniej Abel czuł jakiś niedosyt.

Od razu skręcili ku Żółwiej, ku brodowi. Po godzinie byli już na sawannie Skoliodoi, źdźbła Skrzywionej trawy sięgały wyżej piersi xewry, N’Zui ginęli w nich prawie całkowicie.

Abel przemyślnie zabrał ze sobą bambusową ryktę — teraz trącił nią bark najbliższego Negra i wskazał na południe, unosząc lewą rękę z wyprostowanymi czterema palcami. N’Zui wymienili kilka skrzekliwych okrzyków i czwórka zwiadowców pomknęła w głąb Krzywych Krain — już po chwili dostrzegalni jedynie jako krótkie fale na powierzchni morza traw.

Alitea poprawiła kapelusz. Zmrużywszy oczy, spojrzała na niebo.

— Te chmury, które przychodzą znad Skoliodoi… Myślisz, że znowu będzie padać?

Tydzień temu spadł na północną sawannę skoliotyczny deszcz — wypłukiwał włosy ze skóry, oczy z oczodołów, kąty proste z drewnianych i kamiennych przedmiotów, biel ze wszystkiego, co białe — a Alitea i Klaudia nie zdążyły osłonić przed nim klatek z kakorneonami, w efekcie jedna trzecia pochwyconych cud-ptaktów zdechła. Abel był ciekaw, jak zniósł deszcz Skrzywiony Hamis. Ojciec przekazał go herdońskim sofistesom — gdy okazało się, że kakantrop nie wraca z czasem do człowieczej Formy, nie było sensu dłużej go trzymać. Mimo wszystko Abel znajdował tę decyzję w pewnym sensie nieuczciwą — „przecież to n a s z więzień!” — nie potrafił jednak wskazać, wobec kogo nieuczciwą.

— Widziałaś Zenona? Pożyczyłem mu wczoraj swoje kopie map; dzisiaj polazł gdzieś jeszcze przed świtem.

Alitea wzruszyła ramionami. Pochyliła się nad karkiem xewry, w prawej dłoni podsuwając zwierzęciu pod pysk palone miodowniki.

— A niby dlaczego miałabym wiedzieć, gdzie on się plącze?

— Ha, nie odgrywaj mi tu grzecznej dziewczynki! — zaśmiał się Abel. — Śliczny aresik po drugiej stronie Afryki, więc dalejże —

— Świnia.

— Dziwka.

— Zarzojad zasrany.

— Szlejwa.

Splunęła na niego; on strącił jej ryktą kapelusz z głowy, złapała w ostatniej chwili.

— Podsłuchałam ich — powiedziała po chwili.

— Kogo?

— Noo, ojca i Szulimę. Kiedy to… w Dzień Jowisza. Pamiętasz, tańczyli wtedy do bębnów N'Zui. No i słyszałam ich rozmowę w jej namiocie. Przeszli na ocki i nie wszystko pojęłam… Ale brzmiało to tak, jakby ona chciała go wynająć. Pytał się o cenę. Ona się śmiała, ale to było serio, wiem.

— Wynająć? Do czego?

— Jako strategosa.

Abel spojrzał na nią zdumiony.

— Coś poplątałaś. Jaką to niby armią miałby dowodzić?

— Słyszałam. — Alitea zacisnęła wargi. — I on też się o to pytał. A ona: „Największą". I śmiała się. Ale to było serio, wiem, znam ją.

— Poplątałaś — powtórzył. — Co to znaczy „największą"? Przekomarzali się, a ty —

Ryk i rozmazana plama czerwieni, nie kształt nawet, jedynie wrażenie koloru i ruchu, Abel nie zdążył obrócić głowy — to wypadło spomiędzy złotych traw z kamiennego przyczajenia, uwolniona sprężyna, w przód i wzwyż, prosto na Aliteę — rrrraaargr! Xewra dziewczyny wierzgnęła z kwikiem, próbując zarazem odskoczyć i obrócić się do napastnika zadem — nie udało się jej, ale przynajmniej strąciła z siodła Aliteę i kakomorf spadł na pusty grzbiet wierzchowca. Teraz na ułamek sekundy zamarł, Abel skupił na nim wzrok — co to jest? co za Forma? gdzie ma głowę, gdzie tułów, z czego zbudowane? Tamten zamarł, by wczepić się mocniej w xewrę: albo już wcześniej miał te łapy, albo właśnie je wykształcił, albo miał te szpony, albo właśnie mu wyrosły, czerwone haki rogowej tkanki, trrrrraktch! — w boki miotającej się bezsilnie i rżącej przeraźliwie xewry, pod żebra, w głąb, kolczasta czerwień miażdży kości, wnętrzności, kręgosłup wierzchowca, który pada na ziemię przełamany w pół, tryskają naokoło

fontanny krwi i strzępy mięsa. Abel dostał w twarz twardą chrząstką, to dopiero go otrzeźwiło. Gdzie Alitea? Nie widział jej. Wrzasnął na N'Zui, nawet nie słowo — beztreściowy okrzyk bojowy, pusta forma agresji. Sam wyszarpnął keraunet i strzelił niemal z przyłożenia, wylot długiej lufy nie dzieliło od czerwonego kłębowiska więcej jak pół pusu. Grzmot zwrócił uwagę kakomorfa. Znowu nastąpił moment jego bezruchu, po czym — tsztrrrr, wystrzeliwują z wnętrza gładkiego kształtu czerwone stalagmity: strupy-grzebienie, strupy-zęby, strupy-igły, strupy-rogi, strupy-ostrza. Zaraz skoczy na mnie, pomyślał Abel, zabije. Szarpnął głową, złapał za kandżar. Nie zabije! Szacunek dla esthlosa Abla Berbeleka! Syna Hieronima! Kurroi wpadały w potwora i wypadały z niego, czerwone ciało zasklepiało się bez śladu niczym ledwie zmącona powierzchnia jeziora. Już wiem, co to za kakomorf, pomyślał Abel, wiem: Krew. Krew w Formie drapieżcy. Kakomorf ryknął po raz drugi i skoczył na Abla, dwa tuziny strupów najeżone na jednego człowieka. Abel kopnął xewrę piętami, zacisnął dłoń na łbie żelaznej kobry. Zdążył jeszcze ujrzeć powstającą za kakomorfem Aliteę i czarną strunę jej rukaty zawijającą się dwakroć wokół czerwonego cielska, tnącą powierzchnię Krwi — wzniósł kandżar, zakrzywione ostrze błysnęło w słońcu — zanim wielki róg-strup wszedł w jego ciało, tępy pal bólu, rozszarpując jelita, rozsadzając miednicę, zanim runęła na Abla rycząca Krew, ciężka masa płynnej zgnilizny — a wbić w nią kandżar, raz, raz, raz! — póki ręka posłuszna woli, póki światło w oczach, póki oddech w piersi, póki jeszcze słyszy ten ryk — rrrrraaaaaaaaaargr!

Esthlos Abel Latek padł w Skoliodoi, w Krzywych Krainach za Żółwią Rzeką, 17 Septembrisa 1194 PUR. Szesnaście lat, drugie wyzwanie. Szacunek!

ι
Jak ojciec

18 Septembris

Wróciliśmy do obozu. Abel rozszarpany przez kakomorfa, nieprzytomny. Mbula mówi, że umrze. Alitea nie opuszcza jego namiotu. N'Zui biją w bębny, noc świateł ihałasu. Wyszedłem na sawannę. Wiem, że umrze.

19 Septembris

Nadal żyje. Mbula śpi, Alitea śpi. Siedziałem przy nim (głupota). Ma rozpruty brzuch, zmiażdżony kręgosłup, połamane nogi, poharataną twarz, lewe ramię trzyma się tylko na skórze. W tętnicach krew miast powietrza, puls mrówkowy. Dużo flegmy i czarnej żółci, źle. Trzęsą nim czwartaczki. Według Mbuli musi mieć bardzo silną morfę, skoro będąc cały czas nieprzytomny, jeszcze żyje. Byle odzyskał przytomność, byle dusza powróciła, wola naciśnie na Formę, ciało to tylko podła Materia, ademiurgos utrzyma je na powierzchni, dopóki nie dotrzemy do jakiegoś teknitesa somy. Ma bardzo silną morfę, krew aristokratów. Byle odzyskał przytomność. Co za bełkot.

19 Septembris, po południu

Alitea wypłakuje się u Szulimy. Zdaje się, że ma poczucie winy. Papugiec przesłuchał N'Zui, których Abel zabrał był na to polowanie (siedmiu przeżyło). To Alitea odciągnęła kakomorfa od Abla, cięła go tą rukatą, kakomorf był utoczony zcieczy, zkrwi ofiar, którą objęła jakaś dzika Forma. Krzepł i rozpływał się, można go było co najwyżej rozchlapać, ale nie zabić. Dzieciaki nie miały szansy. Musiało się stać.

19 Septembris, noc

Więc co to właściwie jest, to Skrzywienie? Punkt pęknięcia kerosu, od którego rozchodzą się po nim rysy, rozbijające wszelką Formę, jak boją się Herdończycy? Wrócił Zajdar z Weroniuszami. Zajdar przypomniał mi o Al-Kabie: Czarny Kamień, Al-Hadżar Al-Aswad, to również jest martwy przedmiot, miejsce — a wpływa na wszystkie dookolne Formy. Powiadają, że

spadł znieba. Muszę pisać, nie mogę spać. Alitea siedzi przed namiotem, karmi te swoje ptaki, obraca zawzięcie kostkę pitagorejską. A jeśli iona zginie? To jest koniec dżurdży, nie będzie więcej polowań, rozkażę powrót do Aegiptu, najszybciej, jak to możliwe. Księżyc puchnie na niebie. Nie mogę spać.

20 Septembris
Nadal żyje.

20 Septembris, południe
Nadal żyje. Mbula smakował jego krew, mówi, że to może być zakażenie, że zmieszała się z nią krew kakomorfa, krew Krwi, i teraz walczą w Ablu dwie morfy, człowiek i Skrzywienie. Nie rozumiem. Co to wszystko znaczy? Nie ma takiej medycyny. Może należałoby oddalić się od Skoliodoi, wrócić na gładki keros — ale boję się ruszać Abla.

20 Septembris, jeszcze
Szulima mnie przepraszała, następna, która sądzi, że to jej wina. Megalomania nieszczęścia, to chyba jakaś moda.

20 Septembris, północ
Obudził mnie Anton. Abel odzyskał przytomność. Stoję przed namiotem, jęki, cień Szpona. Biegnie Alitea.

21 Septembris, południe
Zasnęliśmy przy nim, Alitea z głową na mojej piersi, nie czuję lewej ręki. Mbula mówi, że będzie dobrze. N'Zui znowu hałasowali przez całą noc, Abel zasnął o świcie. Poznał nas, mówił niewyraźnie, ale nie majaczył, głowa w porządku, nie oszalał, ciało się utrzyma. Będzie dobrze.

21 Septembris, wieczór
Długa rozmowa, teraz Mbula go karmi. Coraz lepiej, wyzdrowieje. Pozostali wyszli, rozmawialiśmy w spokoju. Zaczął oczywiście od samooskarżeń. To jest zła forma, zwłaszcza teraz; przekonałem go. Jaki jest największy tryumf? Nie uciec, gdy śmierć naprzeciwko. Czasami można splunąć jej w twarz i odejść, a czasami trzeba zapłacić pełną cenę; ale nie uciekamy. W takim ogniu wypala się prawdziwa Forma. Zrozumiał to. (Teraz się za-

stanawiam: kłamałem? oszukiwałem? Czy istotnie Kolenica była moim największym tryumfem?) Wiedziałem, że czekał tych słów. Przecież byłem dokładnie taki jak on, młodości nie sposób do końca zapomnieć, do śmierci już tęsknimy za tą niedoskonałością, czasem wielkich potencji. Chciał mnie złapać za rękę, jeszcze nie mógł. Ściskałem mu dłoń, chyba poczuł. W ogóle nie płakał. Jest silny, tak. Mbula twierdzi, że ból musi być ogromny. Więc mówić: przyszłość, Alexandria, a niech tam, kupię im ten dom, przeprowadzę się, gdzie wyzdrowieje szybciej niż wanthosie Nabuchodonozora? Jakieś żarty nieporadne (ale jeszcze nie może się śmiać), opowieści o alexandryjskich romansach, zmyśla czy nie, co za różnica, już z nim dobrze, będzie lepiej. Jak tylko Mbula pozwoli, wracamy na północ. Najlepszego teknitesa w Aegipcie — pół roku i nie pozostanie ślad. A więc zostałem victorem kolenickim, pokonałem Czarnoksiężnika. Ha. Mam wspaniałego syna. Alitea ciągnie mnie do tańca. Ależ jestem zmęczony.

24 Septembris

Zgniłby w drodze do Alexandrii, pogrzebaliśmy go na sawannie nad Żółwią Rzeką.

III

Λ
Szulima Amitace

Krawędź tarczy słonecznej dotknęła krawędzi muru Starego Miasta. Wiktyka wyrwała się nareszcie z zatoru na Trakcie Kanopijskim i skręciła w północną przecznicę. Zatrzymała się przed frontem wąskiego budynku o zniszczonej elewacji. Pan Berbelek i Aneis Panatakis tu wysiedli; faktor skinął na wiktykarza, by jeszcze poczekał.

Zastukał energicznie w główne drzwi. Prawie natychmiast otworzyła je stara niewolnica z dwojgiem małych dzieci uczepionych spódnicy. Krzyczała w pahlavi na kogoś w głębi cienistego korytarza i Aneis musiał zwrócić jej uwagę ostrym klaśnięciem. Dopiero wtedy obejrzała się na gości, skłoniła się i otworzyła szerzej drzwi. Weszli. Niewolnica potruchtała w głąb domu, nadal krzycząc, teraz najwyraźniej kogoś wołając. Pan Berbelek spojrzał pytająco na faktora; ten czekał, machinalnie szarpiąc się za brodę. Z otwartych przejść do pomieszczeń po lewej i prawej wyglądali co jakiś czas doulosi, służący, dzieci. Zagraconym korytarzem przemaszerował dostojnie pręgowany kot; syknąwszy na pana Berbeleka, wymknął się przez nie domknięte drzwi na ulicę.

Po schodach z półpiętra zeszła starsza Aegipcjanka w czarnej chimacie i szarej spódnicy. Umazana mąką kobieta zatrzymała ją na moment, Aegipcjanka odprawiła ją potrząśnięciem głowy. Miała siwe włosy, co było w Alexandrii niezwykle rzadkie.

— Esthlos. Aneis. — Panu Berbelekowi się ukłoniła, Aneisa obdarzyła chłodnym spojrzeniem.

— To ja już pójdę — rzekł pospiesznie Panatakis i uciekł do czekającej wiktyki.

Oglądnęli się za nim, patrzyli, jak odjeżdżał. Kot tymczasem wrócił i z przeciągłym pomrukiem jął się ocierać o nogi Aegipcjanki. Gdzieś na tyłach domu gotowano miodowicę, zapach płynął wzbierającą falą, Hieronim poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Przełknął, przełożył ryktę do lewej ręki.

— Atena Ratszut — zaczęła, opuściwszy wzrok na kota, lecz pan Berbelek przerwał jej, mówiąc cichym głosem:

— Wiem, Aneis wszystko mi opowiedział. I że była pani uczennicą Antidektesa. Mam nadzieję, że Aneis nie naciskał na panią, on nie odróżnia prośby od szantażu.

— Każda prośba jest szantażem — mruknęła w roztargnieniu, oglądając się za siebie, w półmrok domu. Płakało dziecko, ktoś grał na flecie.

Westchnąwszy, odsunęła nogą kota, poprawiła długą spódnicę.

— Właściwie powinniśmy już iść, Słońce prawie zaszło, on zaraz wstaje. Proszę.

Wyszli. Zamknęła za nimi drzwi. Pan Berbelek zawinął się szczelnie w czarną kirouffę, naciągnął kaptur. Uderzył ryktą najbliższego przechodnia, zablokował drogę następnemu — tak włączyli się w strumień pieszych płynący przez starą dzielnicę żydowską Alexandrii.

— Może jednak lepiej byłoby wziąć wiktykę.

Pokręciła głową.

— Nie ma sensu, to niedaleko, przy murze nadbrzeżnym.

Przez chwilę szli w milczeniu. Liczne amulety i kamienie pamięci, jakimi była obwieszona, grzechotały i dzwoniły przy każdym kroku Ateny. Na czole miała lyngourion — jakie to choroby leczy mocz rysia?

Gdy potrącił ją biegnący wbrew nurtowi ulicy brudny nagus, pan Berbelek podał jej ramię.

— Powiedział ci, że zajmowałam się filonekrą, prawda, esthlos? — mruknęła.

Pan Berbelek nie odpowiedział.

— Wiem, że straciłeś tam syna. Jeśli nosisz się z zamiarem —

— Nie — warknął.

— To dobrze. To dobrze. Gdy dusza opuści ciało, można mu już tylko narzucać formy zwierzęce: je, by jeść, oddycha, by oddychać, trwa, by trwać. Z automatonami jest tak samo.

Pan Berbelek spoglądał teraz na siwą Aegipcjankę z zimnym gniewem.

— Skoro już pani poruszyła ten temat — wycedził — chciałbym usłyszeć, co pani sądzi o spekulacjach Ologa. Czytała pani wczorajszy „Geras”? Pani próbowała zbudować taki keromaton, nie ma co zaprzeczać.

— Ponad dwadzieścia lat temu.

— To nie ma znaczenia. Komuś innemu mogło się udać. I teraz mamy Skoliodoi.

Kręciła głową, amulety dzwoniły.

— Nie, nie, to niemożliwe. Nie rozumiesz, esthlos. Olog pisze głupoty. Jakże keromaton mógłby spowodować coś takiego? On posiadał tylko jedną prostą funkcję: generowania zaplanowanej aury. Taki był pomysł Vaika Axumejczyka: martwy przedmiot o żywym anthosie. Mekanizm do tłoczenia kerosu. Elking pisze, że księżycowi kowale aetheru potrafią wkuwać go bezpośrednio w keros. Czy nie widzisz, esthlos, że jest to przeciwieństwo nekromancji? Pomyśl o masowej produkcji keromatonów kalokagatycznych, zegarów piękna i zdrowia. — Z każdym zdaniem Atena coraz bardziej się zapalała, rumieńce pokazały się na jej twarzy, wyprostowała się, lewą dłonią zaczęła się bawić kosmykiem siwych włosów. — Nie widzisz, w każdym domu, w każdym pokoju, przy każdym łóżku jeden taki keromaton, to jakby każdy miał swojego prywatnego kratistosa, którego anthos mógłby dowolnie modelować, daleko silniejszy niż anthos Nabuchodonozora, dla biednych i dla bogatych, dla silnych i dla słabych, dla aristokracji i dla ludu, zdrowie, piękno, mądrość —

— I dlatego mordowaliście niemowlęta.

Uciekła z niej energia, zamilkła.

Kiedy po chwili odezwała się ponownie, mówiła już prawie szeptem; za to po raz pierwszy pojawił się w jej głosie ślad gorycznej złości:

— Taka jest natura rzeczywistości. Tylko głupcy gniewają się, że Słońce wschodzi na wschodzie, zachodzi na zachodzie. Skąd wziąć moc do zmiany obcej Formy, która osiągnęła już entelechię i cała jej potencja została zrealizowana? Keromaton musi czynić Substancje na nowo niespełnionymi, młodymi, podatnymi na formowanie. A co w największej części jest właśnie gorącą potencjalnością? Nasiona roślin. Jeszcze bardziej — jajka. Jeszcze bardziej — szczenięta. Jeszcze bardziej — płody zwierzęce i ludzkie, niemowlęta, dzieci doulosów. Jeszcze bardziej — dzieci aristokratów.

— Powinni byli was końmi rozerwać.

— Naprawdę sądzisz, esthlos, że Vaika wyklęto z powodu tych niemowląt, a nie dlatego, że keromaton to makina wolnej demokracji?

— Co ma polityka do sprawiedliwości? Zabijaliście.

— Ilu ludzi ty zabiłeś, esthlos? I w imię czego?

— W swoim imieniu, w swoim.

Atena zacisnęła wargi. Gdy odwracała głowę, pan Berbelek pochwycił jej ostry profil, linię twarzy podkreśloną wieczornym cieniem. Dwadzieścia lat temu — dwadzieścia lat temu była piękną kobietą, naiwni głupcy klękali przed jej formą, ciepłym dotknięciem błogosławiła młodych mekaników śmierci. Któż by się oparł namacalnej idei dobra?

Na ulicy nadbrzeżnej — to znaczy na deptaku rozciągającym się między najstarszą zabudową żydowskiej dzielnicy, murami Pierwszej Alexandrii i wymorfowanym do wysokiego klifu brzegiem morza — przeprowadzano jeszcze kilka publicznych licytacji, tłum nie rozszedł się do końca. Pan Berbelek rozbijał ryktą ciżbę, otwierając Atenie wolne przejście. Złodzieje i naganiacze omijali ich z daleka, nachalnemu ulicznikowi wybił ryktą oko. Z północnego zachodu, od Króla Burz, szedł mocny wiatr o zapachu morskiej zgnilizny, furkotały w nim szaty przechodniów, zasłony i moskitiery w otwartych oknach, płótna straganów, sztandary wywieszone na starożytnych fortyfikacjach. Przednocne lamenty mew i halbatrosów niosły się nad północną Alexandrią.

Atena Ratszut zatrzymała się przed bramą skrytego w cieniu murów, starego budynku przypominającego kwadratową basztę. Budynek w istocie był wyższy od murów, ostatnia kondygnacja wysuwała się ponad ich szczyt — ale ostatniej kondygnacji właściwie nie było widać z poziomu ulicy, baszta przewieszała się nad krawędzią klifu, wychylała nad podnoszone przez oroneiowy wiatr fale. Na pierwszy rzut oka dwa najwyższe piętra sprawiały wrażenie niedawno dobudowanych do zabytkowej konstrukcji, wyraźnie je odróżniała nabuchodonozorowa architektura.

Atena szarpnęła za dzwonek, raz i drugi. Pojawił się muskularny niewolnik. Poznał Atenę. Poprowadził ich bez słowa przez hol, po schodach i ciasnym korytarzem do bezokiennego przedsionka na trzecim piętrze — na chwilę zniknął za bordową kurtyną, by wrócić i z ukłonem wpuścić Ratszut do środka. Pan Berbelek czekał w milczeniu. Zsunął kaptur, sięgnął zawieszonego na piersi amuletu, błyszczącej rurki wypełnionej białą masą, przytknął ją na moment do nosa. Doulos stał w bezruchu, twarz miał jak ze starego mosiądzu. Pan Berbelek rozprostowywał ryktą fałdy kolorowego kobierca pod stopami. Dom był urządzony bardzo bogato, nawet lampy pyrokijne przymocowano do ścian na srebrnych rzeźbieniach.

Atena wyłoniła się zza zasłony.

— Wejdź, esthlos. Masz czas do północy. Wyświadcza mi przysługę, nie naciskaj.

Nie spojrzawszy więcej na Hieronima, ruszyła szybkim krokiem ku schodom.

Pan Berbelek odsunął ryktą suty materiał i wszedł do pokoju. Do pokoju — do wielkiej sali: pomieszczenie musiało zajmować ponad połowę tej kondygnacji, otwierało się też niską kolumnadą na taras wysuwający się nad nadmorski klif; ta część domu zbudowana została zapewne w jakiejś części z oroneigesu. Sali brakowało nie tylko jednej ściany, ale i części sufitu, żelazne stopnie prowadziły na szczyt baszty. Przez szeroki, prostokątny otwór pan Berbelek dojrzał fragment jakiejś drewniano-metalowej konstrukcji, zachodzące Słońce strzelało krwawymi refleksami od wypolerowanej stali — tam właśnie krzątało się dwóch służących, czyszczących konstrukcję i manipulujących przy niewidocznych jej elementach. Dwoje innych służących, stary Aegipcjanin i młoda Negryjka, rozstawiało na wysuniętym częściowo na taras kaobabowym stole tace, misy, talerze i kielichy. Okazywało się to zadaniem skomplikowanym, jako że ów stół, skądinąd mebel wielki i masywny, zawalony był nieprawdopodobnymi ilościami papierów, pergaminów, map, szklanych i metalowych kolb, alembików, retort i flakonów, poniewierały się na nim dwa uranometry, prosta dioptria, kilka liniałów i cyrklonów, rozmaite urządzenia, których nazw pan Berbelek nie znał, a przeznaczenia ani się domyślał, nadto pożółkłe kości, kilka czaszek (nieludzkich), donica z egzotyczną rośliną, wielki lichtarz, rubiowa kostka pitagorejska, lampa oliwna, złoty posążek Apisa-Byka Przedalexandryjskiego, kałamarze, węgle, pióra, kredy, noże, igły, nożyce, faja złamana, faja niezłamana, hasziszownik, przyłożony kamieniem brudny dżulbab, pęknięty globus, lśniące lunarium, kilkadziesiąt książek i zwojów, w rogu zaś stało wirujące powoli perpetuum mobile.

— No proszę siadać, esthlos, proszę, proszę. Właśnie gotowałem się do, mhm, powiedzmy, że do wieczerzy, chętnie zjem w towarzystwie. Nawet jeśli nie jesteś głodny… proszę się częstować, proszę. Atena powiedziała mi o twoim synu, esthlos, przykre, przykre, oczywiście służę moją skromną wiedzą, jeśli ma to w jakikolwiek sposób pomóc ukoić ból, chociaż przecież nigdy nie… No ale siadajże, esthlos, nie stój tak nade mną!

Pan Berbelek usiadł w podsuniętym fotelu. Służący zdołali jakoś uprzątnąć ten koniec stołu, część wysuniętą na taras, i tu ułożyli naczynia z jedze-

niem. Szybko też zastawa pojawiła się przed Hieronimem. On siedział zwrócony plecami na zachód, gospodarz — twarzą ku zsuwającemu się za starożytny mur Słońcu. Widocznie szczypiące oczy światło pozwalało mu się do reszty rozbudzić. Odkąd Antidektes zajął się astrologią, całkowicie przestawił się na nocny tryb życia.

Pan Berbelek odłożył ryktę, obmył dłonie w podsuniętej misie wody, wytarł w ręcznik. Negryjka rozlewała do szklanic mleko i rozcieńczone wino. Zapalono kadzielnicę, na taras wylała się fala kwaśno-różanego zapachu.

— Musisz wiedzieć, esthlos — ciągnął Antidektes — że przez ostatni rok nie śledziłem zbyt uważnie wieści z południa, pochłonęły mnie nieco inne zagadnienia, może bardziej oddalone od… chociaż, kto to może wiedzieć, tak naprawdę wszystkie porządki się przenikają, tylko chaos jest prawdziwie oderwany od rzeczywistości, każdy zaś porządek musi ściśle współgrać ze wszystkimi innymi porządkami, stanowi zatem również ich odbicie, i harmonie niebieskie, chociaż obawiam się, że to już brzmi nazbyt pitagorejsko, ale harmonie niebieskie, jakkolwiek obecnie niepokojąco rozstrojone i rozbite, niosą nam informacje o najbardziej aktualnych, przyziemnych sprawach, a nie mówię tu o żadnej wschodniej magii, jeno klasycznej zofii, aczkolwiek lud przesądny nigdy nie potrafił dojrzeć różnicy i każdą siłę nazbyt wielką musiał sobie tłumaczyć tajemnymi słowy, święty bełkot miły jest uszom niewolnika, czemu nie jesz, jedz, jedz, czy wiesz na przykład, skąd w ogóle pochodzi ten termin?

Zaskoczony przerwą w słowotoku sofistesa, pan Berbelek omal się nie zakrztusił.

— Jaki?

— Magia. Magowie. Otóż, jak pisze Herodot, w krajach leżących na zachód od ziem przedalexandryjskich Persów żyło plemię Medów, z którego wyłoniła się zamknięta kasta kapłanów, kultywujących pewne specyficzne rytuały, tylko po części zoroasteryjskie. Ich to, bodaj w starym avestańskim, zwano „Magoi”. I kogo pierwszego zapisano w historii jako magów: Zoroastra, Astrampsychosa, Ostanasa, Gobriasa, Pazatesa, ich właśnie. Świętych mężów, nieuświadomionych teknitesów albo zupełnie jeszcze dzikich kratistosów, założycieli religii, mędrców. Aristoteles bardzo dokładnie wyjaśnia w *Magikos*, że żadna magia nie istnieje. Kimże są ci, co dzisiaj mienią się magoi i występują przed tłumami? Cwani demiurgosi, wyspecjalizowani każdy w jednej, efektownej sztuce, na przykład demiurgosi pyru ziejący

ogniem, demiurgosi pędu lewitujący nad dachami, o, wielka mi magia, ale ludzie chcą wierzyć, że są cuda na tym świecie, że nie wszystko da się ogarnąć rozumem, bo tam właśnie żyje ich nadzieja, w tym rynsztoku między poznanym i niepoznawalnym, gdzie —

— Co w takim razie zabiło mojego syna?

Antidektes zamrugał, jakby dopiero teraz, gdy już całkiem zaszło za mur miejski Starej Alexandrii, oślepiło go czerwone Słońce. Odłożył krojony właśnie placek mięsny. Służący zapalali lampy pyrokijne, zapatrzył się na moment na ich pracę. Wiatr Króla Burz szeleścił pokrywającymi stół papierami, potrząsał co lżejszymi naczyniami, dzwoniły cicho, poruszał połami czarnej kirouffy Berbeleka, zielonego dżulbabu sofistesa. Gdy ciemność zapadła poza tarasem, w mieście i nad huczącym morzem, Antidektes, oświetlany wyłącznie brudnym, żółtym światłem pyrokijnym, nareszcie objawił się w oczach pana Berbeleka dokładnie takim zmęczonym, zasępionym starcem, jakiego sobie pan Berbelek był wyobraził na podstawie słów Aneisa Panatakisa. Antidektesa obejmowała morfa suchego wyniszczenia, a jeśli codziennie zwykł spożywać posiłki równie obfite, co teraz w obecności Hieronima, zaiste mocna to musiała być morfa. Wystające z szerokich rękawów dżulbabu nadgarstki składały się wyłącznie z brązowej skóry naciągniętej na ptasie kości. Pomarszczona szyja zdawała się z kolei niewiele grubsza od nadgarstka ręki pana Berbeleka. Cokolwiek trzymało Antidektesa przy życiu, z pewnością niewielką tu rolę odgrywała Materia.

— Byłem nadwornym sofistesem Hypatii przez dwadzieścia siedem lat, do dziewięćdziesiątego pierwszego — podjął na nowo, tym razem mówiąc powoli i z jakimś melancholijnym namysłem; jego wzrok krążył gdzieś ponad lewym ramieniem pana Berbeleka, z rzadka dotykając twarzy gościa. — W tym czasie na polecenie Hypatii i finansowane przez nią odbyły się cztery wyprawy do Krzywych Krain. Uczestniczyłem w dwóch z nich, trzeciej i czwartej. Swoje wnioski przedstawiłem w traktacie *O Skrzywieniu*, który został wydrukowany przez Akademeię Muzeum i jest zresztą dostępny w Bibliotece. Przeczytałeś go, esthlos?

— Przeczytałem wszystko, co napisano o Skoliodoi.

— Taak.

— Opisałeś wiele ciekawych kakomorfii, wykreśliłeś granice i prześledziłeś historię, ale nie napisałeś, dlaczego. Nie wyjaśniłeś. Nie podałeś przyczyny.

— Jesteś pewien, że zadajesz dobre pytanie, esthlos? Czy nie powinieneś raczej pytać o Cel?

— Czyż to nie to samo?

Antidektes przechylił się na fotelu i wyciągnął rękę ponad balustradę tarasu, wskazując rozgwieżdżone niebo.

— A wyjaśnij mi t o. No podaj przyczynę, esthlos.

Pan Berbelek bawił się pustym kielichem.

— Twierdzisz zatem, że Skoliodoi należy do porządku świata, nie zaś łamie go? Jaka zatem jest entelechia Skrzywienia? Dokąd ono zmierza?

— A nie pytasz zarazem, esthlos, skąd przychodzi? — uśmiechnął się lekko sofistes. — Więc postaw sobie tę zagadkę: skąd my przychodzimy? Jeśli teraz istniejemy w porządku, w jakim istniejemy, a w przyszłości czeka nas tylko większa i większa doskonałość — to co było przedtem? Cofnij się — i jeszcze dalej — i jeszcze dalej. Co widzisz, oddaliwszy się tak bardzo od Celu? Skoliodoi. Oto jest Pierwszy Ogród, z którego wylęgło się wszystko, co żyje; a w jego sercu: miejsce początku, hile całkowicie oddzielona od morfy.

— Tak, wiem, wiem — rzekł pan Berbelek, obracając w dłoniach gładki kryształ. — Wszystko się wyłoniło z chaosu i tak dalej, świat i życie, szalona zoologia Empedoklesa.

— Różne są kosmogonie. Inni powiadają, że wszystko zaczyna się od przemiany Ognia w Powietrze, następnie w Wodę i Ziemię. A potem na odwrót — wszystko wraca do Ognia. Świat zatem poczyna się i kona w Ogniu, w procesie powtarzanym nieskończoną ilość razy. W którym rozkurczu płomienia my żyjemy?

— Tak czy owak, jeszcze kilkadziesiąt lat temu nic nie wyróżniało tego fragmentu Afryki. Co więc się tam stało? Cofnął się czas?

Antidektes sięgnął po fajkę, zorientował się, że jest złamana, sięgnął po drugą, zaczął szukać ziela. Pojawił się służący. Pan Berbelek odstawił kielich, czekał.

— Rozmawiałem z Rachelą — rzekł, gdy sofistes otoczył się obłokiem wonnego dymu. — Dlaczego mnie nie powiesz tego, co jej?

— Rozmawiasz z każdym, prawda? Z każdym, kto miał do czynienia ze Skrzywieniem. Wspominało mi już kilkoro znajomych… Właściwie to czekałem, aż się pojawisz u mnie. Nie podoba mi się to, esthlos. Rozumiem cię jako ojca, ale to prowadzi donikąd. Zachowujesz się, jakbyś tropił morder-

cę. Musisz kogoś ukarać za śmierć swego syna. Prawda? A ponieważ posiadasz tak wielką determinację i ludzie uginają się przed tobą po kolei jak trzciny na wietrze… Wyobraź sobie, że w sztormie na Morzu Śródziemnym ginie syn Nabuchodonozora i kratistos postanawia zemścić się za tę śmierć. Wzywa więc wszystkich mędrców i pyta jednego po drugim: jaka jest przyczyna? skąd się biorą burze na morzu? co je wywołuje? gdzie uderzyć? A mędrcy muszą odpowiadać, i kratistos działa na podstawie usłyszanych odpowiedzi. Dokąd by to nas zaprowadziło?

— Może nie byłoby już więcej śmiertelnych sztormów.

— Ha!

— Cóż, nie jestem pierwszy. Xerxes kazał smagać morze żelaznymi łańcuchami. Oliwiusz zrównał z ziemią górę, która zabiła jego przyjaciela.

— Istotnie, historia pełna jest opowieści o szaleństwie władców.

Antidektes zamilkł. Palił fajkę ze zmarszczonymi brwiami, zagryzając ustnik i mamrocząc coś zgrzytliwie pod nosem. Popatrywał na pana Berbeleka przez dym. Pan Berbelek czekał cierpliwie. Oni w końcu zawsze mówią, to jest silniejsze od nich, kobieta nie kryje swych wdzięków, a sofistes chlubi się swą wiedzą, skrytość i milczenie są wbrew ich Formie; wystarczy poczekać.

— Żydowska alkimia! — warknął wreszcie Antidektes. — Oto, co uważam za źródło Skrzywienia!

— Jak? — spytał cicho pan Berbelek. — Powiedz mi, jak to zrobili.

Sofistes odchrząknął, obrócił się w fotelu, odłożył fajkę i jął grzebać pod papierami, aż znalazł mały, prosty nóż z czarnego żelaza.

— Stal puryniczna — rzekł, przesuwając ostrzem po kciuku. — Zwą ją puryniczną, ale tak naprawdę nie jest to czyste ge; wyższej puryfikacji Ziemi nie sposób jednak osiągnąć. Daje się wszakże wydestylować czysty hydor, a od stuleci krążą pogłoski, iż Księżycanie wyciągają u siebie puryniczny aer, wydobywają puryniczny aether. Powiedzmy, że w końcu osiągniemy sukces i będziemy mogli dowolnie dysponować wszystkimi czterema żywiołami w czystej postaci; a może i tym piątym, gwiazdowym pempton stoikheion, uranoizą. Że każdy będzie mógł sobie sięgnąć do szafy — Antidiktes machnął nożem ku pustym kolbom i flakonom alkimicznym — i dowolnie zmieszać: Ziemia, Ogień, Woda, według zachcianki. Więc zleję je do jednej retorty i co powstanie? Aristotel odpowiada: to, czego Forma obej-

mie tę Materię. Ale alkimicy pitagorejscy, żydowscy numerolodzy mówią: to, czego Liczbie odpowiedzą proporcje zmieszanych elementów.

Antidektes odłożył nóż, znalazł czystą kartkę papieru i rysik. Skinął na pana Berbeleka, by ten przysunął się bliżej.

— Leukippos twierdził, że najmniejszą drobiną materii jest atom. My wiemy jednak, że istnieje pięć rodzajów materii. Tego, co najmniejsze, nie sposób dojrzeć, ale można się domyśleć. Nic nie dzieli się w nieskończoność; tam, gdzie kończy się dzielić, staje się jednością, podstawą i zasadą najczystszą. Oto więc mamy pięć arche, z których zbudowany jest wszechświat: ge, zimną i suchą Ziemię; hydor, zimną i mokrą Wodę; aer, gorące i mokre Powietrze; pyr, gorący i suchy Ogień; i pempton stoikheion, przez Aristotla zwany aetherem, przez Provegę i Boreliusza — uranoizą.

Sofistes skreślił pięć znaków:

γ υ α π V

— Dlaczego jednak wino różni się od soku cytrynowego, a stal od piasku? Ponieważ różnią się proporcjami swych składników. Inna jest liczba arche poszczególnych samożywiołów w każdej Substancji. Prawda, sam Aristotel podjął badania w tej dziedzinie, co opisuje w czwartej księdze swej *Meteorologii*. Według alkimików wszakże to właśnie Liczba decyduje o Formie. Cały świat i wszystko, co istnieje, rozpisali oni na liczby. Pierwsze tabele alkimiczne stworzono jeszcze przed Powstaniami Pitagorejskimi; Żydzi przejęli metodę i spisali własne Księgi Życia, opierając się na kodach numerologicznych swych świętych tekstów. Oto są więc te Księgi, cefery:

1γ1υ
1γ1α
1γ1π

— Takie są trzy pierwsze cefery Ziemi, w które, według żydowskich alkimików, hile wiąże się spontanicznie. To jest błoto błota, tak proste, że nawet trudno mówić o jego Formie. Co do Substancji bardziej skomplikowanych, nie ma już zgody między poszczególnymi szkołami. W Aegipcie przeważają Pitagorejczycy Zachodni i oni najdalej posunęli się w swych doświadczeniach. Oto jest na przykład ich cefera piasku:

59γ1υ6α14π

— Oto jest cefera oleju:

8γ171υ7α66π

— Oto jest cefera krwi:

11γ449υ7α19π

— Dostrzegasz może jakieś podobieństwo między liczbami tych cefer, esthlos?

— Nie pytałbyś, gdyby nie było żadnego.

— Spójrz więc na taką ceferę:

10γ20υ4α22π

— Otóż podobna Substancja, esthlos, nie mogłaby istnieć. Gdybyś bowiem zmieszał żywioły w odpowiednich dla niej proporcjach, arche połączyłyby się wpierw w inny sposób, taki mianowicie:

5γ10υ2α11π

— Proporcje pozostają identyczne, ale ta Forma jest prostsza i zawsze zwycięża, podobnie jak sto arche ge to nie jakaś złożona Substancja samożywiołu Ziemi, lecz po prostu sto pojedynczych arche ge. Jest to alkimia znacznie bardziej subtelna od propozycji starożytnych, na przykład Empedoklesa, według którego kości zbudowane były z następujących proporcji:

2γ2υ4π

— Nowoczesna alkimia zgodna jest wszakże w tym, iż każda cefera musi składać się z liczb razem niepodzielnych. A według żydowskich alkimików Forma tym jest silniejsza, im liczby trudniejsze do rozbicia. Ideałem jest oczywiście, gdy liczba każdego żywiołu jest niepodzielna sama w sobie, to znaczy, gdy cefera składa się tylko z liczb euklidesowych, podzielnych wyłącznie przez jeden i przez nie same:

2 3 5 7 11 13 17 19 23 29

— I tak dalej, w nieskończoność; pitagorejczycy nadal poszukują coraz wyższych, coraz mocniejszych euklidesjanów. Taka, jak widzisz, jest cefera krwi: czysto euklidesowa. Forma o przynajmniej jednej liczbie Euklidesa jest silniejsza od Form nieeuklidesowych. Forma o dwóch liczbach euklidesowych jest silniejsza od Formy opartej na jednej euklidesjanie. I tak dalej. Im wyższe liczby, tym Substancja bardziej złożona. Mam tu gdzieś księgę z tabelami… To zresztą właśnie jeden z Ojców Biblioteki, Eratostenes z Kyrene, opracował metodę… Zaraz.

— Nieważne. Skoliodoi.

— Tak. Miałem gdzieś zanotowane… Cierpliwości, esthlos. Ci Żydzi nie wahają się zbrukać rzeczy najświętszych. O! Spójrz:

450950805789854544 53γ759500915108
00166524492237927267489854520529454 13
160073645842090827711υ 590872612825179
551336102196593α4093082899π

— To jest cefera człowieka, isz. A konkretnie, zarodka człowieka, Substancji w poczęciu. Czy rozumiesz, co to oznacza, esthlos? Pieśń sto trzydziesta dziewiąta z ich świętej księgi opisuje taką kreację, „powstanie w ukryciu, utkanie w głębi ziemi”. To jest część ich religii!

— Ale oni przecież nie potrafią tego zrobić, nie potrafią stworzyć człowieka ani żadnej istoty żywej, po prostu mieszając samożywioły, prawda? To wszystko są puste teorie, hipotezy.

Antidektes spojrzał przeciągle na pana Berbeleka. Odsunąwszy papiery, z powrotem zapadł się głębiej w fotel. Fajka mu zgasła; służący zapalił.

Sofistes obrócił się ku bijącemu o wysoki klif ciemnemu morzu i żółtoróżowemu Księżycowi nad nim. Wyciągnął przed siebie chude nogi o bosych stopach.

— Podstawowe pytanie — rzekł powoli — sprowadza się do tego, czy Forma to jest właśnie ta numerologiczna kombinacja i nic więcej, czy morfa równa się Liczbie i wystarczy złożyć stosowną ilość i proporcję arche, a dana Forma powstanie samoistnie, Materia zorganizuje się w jeden konieczny sposób, wzór odciśnie się na kerosie — czy też Forma to coś wię-

cej, dodatkowa informacja i dodatkowa siła, która sama zbiera i organizuje hile w zdeterminowanej konfiguracji, „wciskając” w siebie stosowne elementy, resztę odrzucając, niczym rzeźbiarz wydobywający kształt z bloku marmuru: konieczna Materia jest w bloku, lecz wiedza i wola — w rzeźbiarzu, i choćbyśmy tysiąc razy zrzucali na kupę kamienny gruz w odpowiedniej ilości i proporcji, nie powstanie nam z tego posąg Hermesa. Spór toczy się od tysiącleci. Na przykład Erasistratos przeprowadził takie doświadczenie: zważył dokładnie ptaka, zamknął go i zważył ponownie po dłuższym czasie, ledwie żywego, zważył wraz ze wszystkimi odchodami i zgubionymi piórami. Otóż ta późniejsza waga okazała się mniejszą. Czyli istotnie musi zachodzić emanacja pewnego niewidzialnego czynnika, ta różnica skądś musi się brać — z wagi życia? z wagi Formy? Oto są pytania.

— Ale póki alkimicy nie dysponują samożywiołami, które mogliby tak na ślepo mieszać…

— Lecz czy muszą nimi dysponować?

— Przecież właśnie sam mówiłeś…

— Jeśli Forma jest tylko Liczbą i niczym więcej, nie trzeba cofać się do pojedynczych arche samożywiołów, wystarczy dokonać pewnych o p e r a c j i n a l i c z b a c h. Na tym przecież według pitagorejczyków zasadza się władza nad światem. Powiedzmy, że znalazł się jeden taki alkimik, który nie dążył do puryfikacji hile i budowy wszystkiego od podstaw, ale znalazł metodę n u m e r o l o g i c z n e j r e k o m b i n a c j i w s z e c h ś w i a t a. A przynajmniej rekombinacji poszczególnych Substancji. Jaka jest liczba możliwych konfiguracji arche? Nieskończona. Forma nie musi tu mieć żadnego celu, wystarczy, że jest numerologicznie niesprzeczna. Ile jest takich Form? Nieskończoność — gdy tak permutuje się mekanicznie liczby, zawsze, ale to zawsze, można jeszcze coś dodać, pomnożyć. Jakie jest imię nieskończoności? Chaos.

— I za Żółwią Rzeką…

— Na odludziu. By nikt się nie zorientował.

— Ale w jaki konkretnie sposób? Co to znaczy: „rekombinacja Substancji”? Poszedł i wypowiedział Liczbę?

Antidektes pyknął z fajki, wzruszył ramionami.

— To nie ja zajmuję się pitagorejską alkimią, nie ja dokonałem odkrycia, mnie nie pytaj, esthlos. Ja ci tylko podałem wyjaśnienie. Powiedz mi szcze-

rze, czy mój opis nie odpowiada naturze Skrzywienia? Czy nie to właśnie tam widziałeś?

— Słyszałem wiele takich opisów — rzekł pan Berbelek — i rzecz właśnie w tym, że wszystkie pasują równie dobrze, ale żadnego nie sposób potwierdzić, złapać sprawcę za rękę, ujrzeć metodę Skoliozy. Teraz chcesz, bym zaczął szukać winnego pośród Żydów.

— To ty przyszedłeś do mnie z pytaniem, esthlos.

— Bo, jak sam powiedziałeś, chodzę do wszystkich i wszystkich wysłuchuję. Zdradź mi, dlaczego nie podałeś tego wyjaśnienia w swojej pracy?

Antidektes zaśmiał się chrapliwie.

— A to dobre! Nie udawaj naiwnego, esthlos, sądzisz, że pozwoliliby to wydrukować? Od ponad tysiąca lat rządzą finansami wszystkich Hypatii, przejrzyj spis urzędników dworskich, obsadzają wszystkie ważniejsze stanowiska. Alexandria, Rzym, Izaion, Byzantion, Toloza, Korduba, Chrem, posiadają wpływy we wszystkich większych miastach. Przecież to oni wywołali oba Powstania Pitagorejskie — a znajdziesz coś na ten temat w pracach historyków? Ani słowa. Jak sądzisz, dlaczego Hypatia przestała nagle finansować wyprawy do Krzywych Krain? Poczytaj *Wojny Jeruzalemskie* Ben Szila, esthlos. Nie bez przyczyny Ben Szila wyrzucono z akademei. A ja niby dlaczego straciłem stanowisko na dworze? Ta cała afera defraudacyjna to przykrywka. Naraziłem się im i teraz…

Jadąc do Parseidów, do pałacu Lotte przez nocną Alexandrię w skrzypiącej i trzeszczącej wiktyce, pan Berbelek zastanawiał się nad zagadką żydofobii. Istotnie, Żydzi mają się za naród wybrany i jako jedyni zachowują swą narodową Formę, nawet gdy przez pokolenia żyją pod mocnymi anthosami nieżydowskich kratistosów. Zresztą historia nie zanotowała dotąd żadnego żydowskiego kratistosa, jeśli nie liczyć owego nieszczęsnego religijnego wariata od krzyża; ale też wyjątkowo mało niewolników rodzi się wśród Żydów. Sporo jest natomiast żydowskich demiurgosów i teknitesów, zwłaszcza teknitesów somy i psyche. Żydzi stanowią trzon rządowej biurokracji we wszystkich państwach poalexandryjskich, ich też najczęściej można spotkać w bankach i kompaniach handlowych — Liczba jest mocna w żydowskiej Formie. Nie są to wszakże w żadnym razie przewagi wynoszące ich jakoś ponad inne nacje. Gdyby stąd miała brać się nienawiść, daleko bardziej znienawidzeni powinni być Grecy, Macedończycy, Rzymia-

nie, Persowie czy nawet Herdończycy. A nie są. Przyczyna zatem musi być inna.

Po prawdzie istniała tylko jedna grupa ciesząca się podobną niechęcią, tyleż powszechną, co irracjonalną: pitagorejczycy. Ta sekta od ponad dwóch tysięcy lat, właściwie jeszcze za życia Pitagorasa, wzbudzała strach, nienawiść, pogardę, zazdrość oraz coś na kształt nabożnej czci, jaką człowiek darzy podświadomie To, Co Ukryte. Z początku działali jeszcze jako otwarte stronnictwo polityczne, ale już sam Pitagoras prowokował owe reakcje, wprowadzając skomplikowany system wtajemniczeń, nauczając zza zasłony i w masce, nakazując adeptom wieloletnie milczenie i narzucając rygor rozmaitych religijnych zakazów i zwyczajów, o których Aristotel pisze obszernie w traktacie *Opitagorejczykach*. Już starożytni, gdy chcieli kogoś oczernić, pisali: *Podejrzewa się go o przynależność do pitagorejczyków*. O ile bowiem Żydów można wskazać z twarzy i imienia, o tyle pitagorejczycy istnieją wyłącznie w podejrzeniu. Ktoś zrobi nazbyt szybką karierę, zbyt gładko wkupi się w łaski władcy, ma w interesach powodzenie nieproporcjonalne do siły swojej morfy — znać w tym rękę pitagorejczyków. Nie dalej jak dziesięć lat temu wybuchły na Sycylii wielkie zamieszki, gdy poszła między ludzi wieść, iż w jednej z tamtejszych wiosek rybackich objawił się sam Pitagoras, po raz kolejny odrodzony z łaski Hermesa. Czy zaś owa sekta nadal naprawdę istnieje i funkcjonuje, tego nie sposób stwierdzić. Nawet ci, co się otwarcie przyznają do członkostwa w niej, robią to zapewne z pragnienia uczestnictwa w legendzie, przybrania cudzej formy.

Być może więc są to po prostu dwa imiona dla uczuć równie uniwersalnych i głęboko w człowieku zakorzenionych, co gniew, radość, miłość, chciwość, podziw. Naiwny, kto wierzy w odwrócenie morfy. Tak samo w każdej większej grupie dzieci musi znaleźć się jedno, którym wszystkie inne będą pomiatać; i w każdej większej grupie mężczyzn musi znaleźć się jeden, którego wszyscy inni będą się bać.

W pałacu esthle Lotte dawno już oddzwoniono trzecią wieczerzę, domownicy i goście udali się na spoczynek, paliła się zaledwie co czwarta lampa, na korytarzach panowała cisza i półmrok, pan Berbelek spotkał tylko jednego doulosa, spieszącego dokądś z naręczem prześcieradeł, bose stopy stąpały bezgłośnie po śliskiej posadzce. Korytarz w północnym skrzydle zawijał się w spiralę; gdy Hieronim mijał zamknięte drzwi sypialni Alitei, dobiegł go zza nich przytłumiony śmiech. To już blisko dwa miesiące od

śmierci Abla — ale właściwie dopiero gdy z Górnego Aegiptu powrócił Dawid Monszebe, Alitea wydobyła się z tego depresyjnego cyklu huśtawki nastrojów, w jaki wpadła podczas powrotnej podróży.

Odprawiwszy Porte, zzuwszy jugry i zrzuciwszy kirouffę i szalwary, pan Berbelek skręcił do izby łaziebnej. Szulima leżała na łóżku, wyciągnięta na brzuchu czytała przy świetle olejnej lampy jakiś zwój kaligraficzny, nawet nie uniosła głowy, gdy przechodził.

— On rzeczywiście ma na nią dobry wpływ — mówił pan Berbelek podczas ablucji. — Dzisiaj rano spotkałem go na dziedzińcu —

— Kto? — zawołała Szulima.

— Ten twój Monszebe! — podniósł głos Hieronim. — Możesz sobie pogratulować, jakikolwiek cel masz w tej intrydze. Omalże poprosił o jej rękę…

Spotkanie wyglądało na przypadek, acz z gatunku przypadków możliwych do zaplanowania: pan Berbelek szedł do wiktyki czekającej już na frontowym podjeździe pałacu, był umówiony z Aneisem Panatakisem w Kanopis, gdzie mieli odwiedzić kristjański szpital dla pażubowców; ledwo wszakże wyszedł na schody — z cienia, zza zakrętu wyłonił się Dawid Monszebe. Uprzejme powitanie, wymiana banałów, pan Berbelek się spieszył, lecz ares konsekwentnie narzucał formę leniwej pogawędki i tak, od zdania do zdania, od wspomnienia do wspomnienia — Dawid palący tytońca, Hieronim postukujący ryktą o krawędzie kamiennych stopni — dotarli do tematów niebanalnych i rozmowy jak najbardziej serio. — Od pierwszej chwili, gdy ujrzałem twoją córkę, esthlos, owego wieczoru na przyjęciu esthle Lotty, gdy tylko ucałowałem dłoń Alitei… — Próbujesz mi powiedzieć, że się zakochałeś? — Pan Berbelek bardzo się pilnował, by się nie roześmiać. Ares zmrużył oczy, obrócił się plecami do Słońca. — Tak, chyba tak. — A mówisz mi to, ponieważ…? — Ona darzy cię wielkim respektem, esthlos. — Doprawdy? — Ja również. I nie chciałbym… Z całym szacunkiem, esthlos. — Pan Berbelek uścisnął mocno podaną rękę, nachylając się spod czarnego kaptura nad młodym Monszebem (dziwne: z przyjęcia Laetitii zapamiętał go wyższym). Dawid uśmiechnął się niepewnie. W takiej właśnie Formie się rozstali — niepewność, nieśmiałość owego uśmiechu aegipskiego aristokraty, to drgnięcie warg, gdy unosił wzrok na pana Berbeleka, oto była pieczęć jego hołdu, znak pokory. Jeszcze nie wypowiedział stosownych słów, lecz już Prosił.

— Dlaczego ty mnie zawsze podejrzewasz o jakieś intrygi? I to jeszcze przeciwko tobie. Jakbym chciała wyrządzić Alitei krzywdę! Dawid jest jedną z najlepszych partii w Aegipcie. Nawet jeśli istotnie ożeni się potem z którąś córką Hypatii, Alitea pozostanie Pierwszą Żoną.

Pan Berbelek wszedł do sypialni, klaszcząc mokrymi stopami o gładką powierzchnię mozaiki. Nocny wiatr poruszał białymi firanami w chimeroysowych oknach, blask Księżyca przebijał się przez cienki materiał rozproszonymi snopami; poza tym całe światło w wielkim pokoju pochodziło ze stojącej u wezgłowia łoża lampy. Szulima leżała na zwiniętych jedwabiach, księżycowy cień układał się na jej pośladkach i wzdłuż pleców, jedwab najlżejszy. Rozstawione w kątach sypialni zabytkowe kadzielnice nasączały powietrze ciężkim, tłustym zapachem palonej kory hyexu, niewidoczny dym wsnuwał się przez nos do mózgu — wszystko zdawało się bardziej miękkie, bardziej powolne, bardziej dotykalne, nawet te promienie księżycowe, dreszcz przebiegał, gdy padały na nagą skórę.

Pan Berbelek przeszedł wzdłuż okien, odsuwając firany i zaciągając do podłogi siatki feidiczne; już i tak tłukło się wokół lampy tuzin ciem i bezimiennych robaków nocy. Za oknami znajdował się wąski balkon, z którego z kolei można było zejść do ogrodów pałacowych. Okna jak drzwi, żadnych okiennic i szyb, otwarte schody na zewnątrz — wszystkie instynkty pana Berbeleka krzyczały przeciwko podobnej architekturze, zwłaszcza po latach spędzonych w Vodenburgu. Taki jednak był anthos Nabuchodonozora, takie obyczaje i estetyki przyciągał, i tylko ten, kto mu się uparcie nie poddawał, uważał je za nienaturalne.

— Co to jest? Znowu jakieś starożytne traktaty pokojowe? Po co ty czytasz te rzeczy?

— Nie, nie, to kopia raportu dowódcy legionu, który zagubił się podczas południowej ofensywy Upazuiosa. Pięćset dziewięćdziesiąty ósmy rok od wstąpienia na tron króla Babilonu Nabunasira — to już Era Alexandryjska, prawda?

— Tak, chyba tak.

— Biblioteka twierdzi, że autentyk. Okazuje się, że oni wtedy szli przez ziemie Marabratty, popatrz, tu na przykład —

Pan Berbelek z ciężkim westchnieniem wyciągnął się na łożu.

— Już mi dzisiaj daruj, mam dosyć.

Spojrzała nań ponad zwojem.

— Co, byłeś u tego Antidektesa?

— Próbował mnie poszczuć na swoich wrogów. Zresztą, gdyby miał rację w swych teoriach, owa eksperymentalna huta, w którą włożyłem kilka tysięcy, musiałaby się okazać całkowitą klęską. Może się jeszcze nią okaże… Jutro przyjmie mnie Dyrektor Biblioteki; pojutrze jadę do Pachoras, żyją tam jeszcze ludzie, którzy prowadzili karawany kupieckie szlakami za Żółwią. Co prawda, kiedy znowu pomyślę o tych cuchnących lepiankach fellachów, z nilowej cegły i trzciny…

— Dałbyś sobie wreszcie spokój. Sofistesi od lat łamią sobie nad tym głowy. Co chcesz zrobić, szantażem wycisnąć z nich, czego sami nie wiedzą?

Pan Berbelek wsunął dłoń w jej włosy, rozprostował między palcami jasne loki.

— Umiera mi syn, a ja mam — co? wrócić do robienia interesów? do przyjęć i orgii w słonecznej Alexandrii? zapomnieć?

Prychnęła zirytowana.

— Osobliwe masz rytuały żałobne. Mogę ci podpowiedzieć kilka znacznie lepszych sposobów na wyrównanie rachunków ze swoim sumieniem. Na przykład poświęć ten czas Alitei. Albo mnie. Albo choćby właśnie pieniądzom: jeśli to jest twoja walka, w niej odbudujesz swą siłę. W ostateczności mogę cię porządnie wybatożyć, może w tym znajdziesz ulgę. Wiesz, że jęczysz przez sen?

— Co robię?

— Jęczysz, mamroczesz, skomlesz przez zaciśnięte zęby. Muszę cię budzić, żebym sama mogła w ogóle zasnąć. Dałbyś sobie wreszcie spokój, im dłużej będziesz grzebał w tej ranie, tym bardziej się spaprze.

— A wydawało mi się, że ty akurat będziesz mnie wspierać. Sama — ile lat poświęciłaś na badanie tajemnicy Skoliodoi? Dwanaście? Nie bądź zazdrosna o cudze obsesje. Nie uwierzę zresztą, że już się nie interesujesz. Po co właściwie czytasz te starocie, mhm?

Szulima odłożyła zwój. Przerzuciwszy poduchę na drugą stronę łoża, wsunęła się na leżącego na wznak Berbeleka, rozprostowała nogi wzdłuż jego nóg, oparła się przedramionami na jego piersi, gorące ciało na ciele chłodnym i wilgotnym. Odgarniał dłonią jej włosy, by nie spadały mu na twarz.

Spoglądała z powagą, oddalona zaledwie o trzy, dwa oddechy, znał tę powagę.

— Więc nie odpuścisz? — spytała.

— Nie — odparł, dostosowując się do jej tonu. Szukał w jej twarzy jakichkolwiek znaków zdradzających uczucia, myśli, nastrój, ale — jak zwykle, gdy nałożyła alabastrową maskę esthle Amitace — nie potrafił nic odczytać.

— I naprawdę chcesz wiedzieć. — Przygryzła dolną wargę.

Dopiero wtedy zrozumiał.

— Ty wiesz — szepnął.

— Wiem.

— Ty wiedziałaś, wiedziałaś.

— Wiedziałam.

— Zabrałaś mnie tam — po co?

— Zwolnij trochę. Najpierw — auu, to boli, puść! — najpierw moje słowo: żadnej waszej krzywdy nie chciałam, Abel równie dobrze mógł w ogóle nie jechać, zależało mi tylko, żebyś przeszedł Żółwią, chciałam cię zobaczyć w Skrzywieniu. Wierzysz mi, Hieronim?

— Ty wiesz, że zawsze ci wierzę. — Ujął jej głowę w obie dłonie, przysunął do swojej, pół, ćwierć oddechu, anthosy zlewają się w jeden, zaraz nawet ich serca będą bić w tym samym rytmie. — Na jeziorze w noc Izydy. Co mi powiedziałaś. Wcale nie jesteś gońcem kratistosów. Co to nie byłby nigdy zdolny do kłamstwa.

— Nie mówiłam, że jestem. Przypomnij sobie. Nie mówiłam.

— Po co się zapierasz? Skoro nie jesteś, kłam do woli.

Roześmiała się chrapliwie. Położywszy gorącą dłoń na policzku Hieronima, przesunęła paznokciem po grzbiecie jego nosa, nad ustami, dokoła oka. Wymykała mu się z Formy, nic nie mógł na to poradzić, zaraz i jego skłoni do śmiechu.

— A jeśli sama mówię, że kłamię. To jest to prawda, czy kłamstwo?

— Prawdą jest, że mówisz, że kłamiesz.

— Nie żartuj! Hieronim.

— Kiedy zaczynasz to mówić, jest jeszcze prawdą; gdy kończysz — już kłamstwem.

— A gdybyś dostał taki list: *Wszystko, co tu napisano, jest kłamstwem.*

— Nie ma znaczenia, co by tam napisano. Powiedzmy, że trzymam w dłoni jajko, z którego wykluwa się kurczę. Czy okaże się kogutem, czy kurą? Tego jeszcze nie sposób stwierdzić. Ale ja mówię stanowczo: „To jest kogut”. I niech to faktycznie będzie kogut. Tym niemniej — kłamałem.

— Zatem decyduje intencja.

— Zawsze. Czymże jest kłamstwo bez kłamcy? Przypadkiem słownym.

— A prawda?

— Też.

— Więc nawet jeśli potem przekonasz się, że słowa zgadzają się z rzeczywistością…

— Skoro wypowiedziane w intencji kłamstwa…

— A fałsz wypowiedziany z pełnym przekonaniem?

— Skąd wiesz, że fałsz, skoro uważasz go za prawdę?

— Dowiaduję się potem.

— Ale wtedy już nie utrzymujesz, że jest prawdą.

— Jakże więc? To samo twierdzenie raz jest prawdziwe, a raz fałszywe?

— Wiem, wiem, aristotelesowcy by mnie ukamienowali. Żaden ze mnie sofistes. Kłamstwo i prawda zawsze jednak zależą od tego, kto mówi i kto słucha. Ty na przykład. Kim ty naprawdę jesteś? Cokolwiek powiesz mi teraz — wiem, że ci uwierzę, i to będzie prawda.

Szarpnęła głową, wyrwała mu się z objęć. Podciągnąwszy energicznie nogi, usiadła na piersi Hieronima, kolanami rozsuwając mu ramiona. Siedziała wyprostowana, z rękoma ułożonymi symetrycznie na udach, z włosami odrzuconymi na plecy, głową uniesioną, spoglądała z góry, bez uśmiechu, prawy profil oświetlony, lewy w cieniu, prawa bransoleta lśniąca, lewy wąż w cieniu, niewzruszona poza króla, kapłana, nawet piersi prawie się nie unoszą w spokojnym oddechu, czemu ona jest taka spokojna, gdy spogląda w dół, na niego, jak na gada, którego właśnie przydepnęła, to, co pełza w pyle, nie jest warte żadnego uczucia, nawet pogardy czy obrzydzenia — pan Berbelek w tym momencie dokładnie zrozumiał, dlaczego ów gampantrop bez wahania poszedł był pod nóż esthle Amitace, maiowej nocy powitalnego przyjęcia Laetitii, dlaczego ułożył się bezwolnie u stóp Szulimy, pięknej, najpiękniejszej, i czekał na śmierć.

— Urodziłam się w siedemset trzynastym roku Po Upadku Rzymu — zaczęła w klasycznej grece attyckiej, pół szept, pół śpiew. — W krainie pyru i harmonii. Przez pierwsze dwieście lat nie postawiłam stopy na powierzch-

ni Ziemi. Żyłam w ogniu; żyłam pod Ziemi zielonym okiem, pod jej czarnym ślepiem, półmiesięczny dzień, półmiesięczna noc, wszystko było większe, prawdziwie nieskończone — czas, świat, szczęście, młodość, matka. Cztery wieki w koronie mojej matki, u jej boku, tak, mój drogi, widzisz także ejdolos bogini, dokądkolwiek pójdę, ile lat nie minie, jej morfa pozostanie we mnie, pozostanie mną. Leese zobaczyła i poznała. Przyszła złożyć hołd — lecz jej hołd był taki: wieczne milczenie; musiała zginąć. Nadal bowiem karzą za mnie śmiercią. Narzuciłam sobie inną powierzchowność, choć wiem, że fizys akurat najmniej ważna; gdybym mogła, maskowałabym się lepiej. Ale nie mogę, matka jest zbyt silna. Jest najsilniejszym człowiekiem, jaki się kiedykolwiek narodził. Zanim się przeciwko niej zjednoczyli i ją wygnali, rozciągnęła swój porządek na większą część Europy, połowę Afryki, część Azji. Tak, ogarnęłaby całą Ziemię; i to byłoby dobre, błogosławilibyście ją. Masz rację, ja nie mogę inaczej mówić, nie mogę inaczej myśleć, ale — wierzysz mi, Hieronim?

Ujął jej rękę, przysunął nadgarstek do warg.

— Ja nie mogę inaczej myśleć.

Wyrwała dłoń.

— Patrz mi w oczy. Jestem córką kratisty Illei Kollotropyjskiej, Illei Potnii, Illei Okrutnej, Księżycowej Wiedźmy. Nazywam się Szulima Amitace po ojcu, esthlosie Adamie Amitace, teknitesie psyche. Zstąpiłam na Ziemię, by położyć kres Skrzywieniu świata.

Siedem, osiem, dziewięć, liczył uderzenia swego serca; nie było dobrze.

— Jak mogę złożyć ci hołd i przeżyć?

— Nie chcę, żebyś składał mi hołdy!

Poderwała się w równie nagłym wybuchu energii, co uprzednio, zeskakując z łoża i podbiegając do najbliższego okna; gdyby nie siatka feidiczna, pewnie wypadłaby na balkon, może wybiegła do ogrodu. Wielki owad nocy trzepotał się za siatką — uderzyła grzbietem dłoni, odpadł.

Dłuższą chwilę zajęło jej uspokojenie oddechu i głosu.

— Obiecałam ci największą bitwę wszech czasów. Już od niej nie uciekniesz, ty już jej czekasz. Mamy w niej wobec ciebie dwa plany. Którykolwiek się ziści, nie będzie nam potrzebny Hieronim Berbelek klęczący, lecz Hieronim Berbelek, co pluje kratistosom w twarz. Ja chcę takiego Hieronima Berbeleka.

Nie spoglądała na niego, odwrócona plecami, gdy mówiła, zapatrzona w alexandryjską noc. Pan Berbelek usiadł, dotknął stopami zimnej posadzki. Zapach hyexowego kadzidła spowalniał jego ruchy i myśli. Smukła sylwetka kobiety w wysokim prostokącie okna — ten jeden obraz wykreślał się w jego źrenicach jasno i wyraźnie. Przypomniał mu się irgowy sztylet pozostawiony pod kirouffą. Za późno, za późno, na wszystko za późno, morfa młodzieńczej miłości ściskała mu serce. Abel, Alitea — z was się narodziłem. Abel, Abel, Abel.

Pan Berbelek potrząsnął głową, zrezygnowany.

— Co zatem, co, kto Skrzywił Afrykę?

Żółty blask Księżyca nadawał ciemnej skórze Szulimy Amitace gładkość i barwę tysiącletniego posągu z brązu.

— Pora już, byś spotkał się z moją matką.

M
Wyniesienie

Światła Knossos, ryk rozbijającego się o falochrony morza, krzyk ptactwa, smród wielkiego miasta, ognie Labiryntu — zostawili już to wszystko za sobą. Czarnowłosa pastereczka wyprowadziła pana Berbeleka — przez gaje oliwne i figowe, przez winnice, polnymi dróżkami i między łanami neomorfowych zbóż — na zielone łąki rozciągające się na stokach wzgórz południowych. Cały Kaftor to góry skaliste i góry zielone, bogowie po wielekroć przeorali go wszerz i wzdłuż, niezliczone trzęsienia ziemi, eksplozje wulkanów, był to kraj wielkiego nieporządku i zmęczenia przyrody, dopóki Pani Illea nie wzięła go pod swoje skrzydła. Czy to tu zaczął rosnąć jej anthos, czy stąd właśnie wyszła w świat? Nie ma zgody między kultami i historykami. Ta wyspa wszakże wykarmiła się na jej piersi jako jedna z pierwszych, jeszcze zanim kratista ruszyła na północ, na wschód, na południe, wygładzając i porządkując keros, gdziekolwiek stąpnęła. Obecnie Kaftor balansuje na granicy trzech koron: Czarnoksiężnika z północnego wschodu, Siedmiopalcego ze wschodu i Nabuchodonozora z południa. I bynajmniej nie cała morfa Księżycowej Wiedźmy została stąd wytarta; czyż to nie dzięki niej mogli teraz, w środku zimy, o wilgotnym przedświcie krótkiego dnia wędrować bezśnieżnymi łąkami, odziani jedynie w lekkie płaszcze, z soczystą trawą pod stopami?

Ledwo skręcili w lewo, na wschód, wyświetliła się ponad grzbietem góry poszarpana linia brzasku. Pastereczka wskazała kijem przed siebie, na wzgórza nad Amnisos i sam port poniżej, na północy. Nie znał jej imienia, nie przedstawiła mu się; schowawszy monetę, tylko uśmiechnęła się była milcząco. Od chwili opuszczenia Knossos nie zamienili ani słowa. Szła powoli, za co był jej wdzięczny: mimo wszytego w dno plecaka płaskiego kamienia oroneigesowego, ciężar bagażu wyciskał z pana Berbeleka pot i skracał oddech. Tylko tyle, ile sam uniesie, powiedziała mu Szulima. A bądź gotów nie na tygodnie, lecz miesiące; to nie jest wyjazd do wiejskiej

posiadłości aristokracji ani nawet nie dżurdża. Opuścisz ziemską sferę, świat czterech żywiołów i praw ludzkich.

Gdy stanęli na terasie wzgórza nad Amnisos, Słońce wisiało już na niebie palec nad horyzontem. Ziemia powoli się ogrzewała, z niższych łąk podnosiła się biała mgła, rozpraszana przez poranny wiatr.

— Plac Ołtarzy — odezwała się przewodniczka, zataczając kijem w powietrzu okrąg. Obróciła się ku płytkiemu wąwozowi i wskazała grupę starych figowców. — Eileithyia. — I na północ. — Amnisos, Dia.

Pan Berbelek skinął jej głową. Z westchnieniem ulgi zrzucił plecak z ramion.

Skłoniwszy się jeszcze grzecznie, pastereczka ruszyła szybkim krokiem, pół biegnąc, w dół i ku wybrzeżu. Zniknęła Hieronimowi z oczu za którymś ze wzniesień.

Według słów Szulimy księżycowy przemytnik winien był przybyć o świcie. Zapewne obserwował łąkę z ukrycia, czekając, aż pan Berbelek pozostanie sam. Hieronim przeszedł powoli wzdłuż zbocza i wąwozu. Pozostało tu może tuzin wielkich prostopadłościennych głazów — to były te starożytne ołtarze. Po Wygnaniu Illei zakazano wszelkich kultów pokrewnych jej morfie, zwłaszcza na ziemiach jej anthosu, wszakże w przypadku religii podobne zakazy bywają często przeciwskuteczne. Głazów nie zarosły chwasty, nie pokrył mech; na powierzchni niektórych z nich pan Berbelek dojrzał ślady wosku, spalenizny, ciemne plamy (zaschniętej krwi?), wydrapane rysunki. Z daleka widać było bycze rogi. Po tylu wiekach niezbyt rygorystycznie egzekwowano zakazy. Nikt się na przykład nie zdziwił w mieście, gdy cudzoziemiec pytał głośno o przewodnika do Groty.

Z Placu Ołtarzy i sprzed wąwozu otwierała się niczym nie przesłonięta panorama Amnisos i ciemnego, wzburzonego morza aż po północny widnokrąg; karożaglowa łódź rybacka mijała właśnie skalistą wysepkę Dię. Pan Berbelek obrócił się plecami do morza i zszedł w gąszcz figowców. Wejście do Groty Eileithyckiej ukryte było za najstarszymi drzewami. Trudno mówić o wydeptanej ścieżce — niemniej nie było zarośnięte. Nachylił się do wnętrza groty, czy nie zobaczy tam światła, czy coś nie błyśnie w ciemności. Grunt schodził tu w dół niezbyt stromo, sklepienie, acz niewysokie, pozwalało swobodnie się wyprostować. Po bliskim przewężeniu przedsionka jaskinia otwierała się w długą, szeroką na ponad dwadzieścia pusów komorę, co pan Berbelek ujrzał, kiedy tylko minął owo przewężenie, zostawiając

za sobą blask zimowego dnia — gdyż Eileithyia w istocie pulsowała miękkim, czerwonym światłem, dostrzegalnym już od wejścia. Ktoś rozpalił ognisko w głębi groty.

Potykając się na zalanych oleistymi cieniami nierównościach, na żwirze i skalnych ułamkach, pan Berbelek szedł ku światłu, mijając stalagmity, stalaktyty i potężne, szerokie stalagnaty, rzeźbione lub w naturalny sposób uformowane w fantastyczne kształty, kamienne sny o ludziach, zwierzętach, daimonach. Nawet w tym słabym, migotliwym świetle widział niezliczone malunki i ryty pokrywające powierzchnie okopconych ścian. Poniewierały się tam szmaty, przegniłe drewno, ogarki świec, chyba nawet kości, potknął się i na nich.

Starzec klęczał przy małym ognisku, zwrócony bokiem do wejścia. Musiał usłyszeć nadchodzącego pana Berbeleka, nie obejrzał się nań jednak. Na szerokie bary narzuconą miał grubą kurtę z niewyprawionej skóry biedźwiedzia. W lewej dłoni obracał powoli gliniany kubek. Obok leżał worek z juty.

Pan Berbelek przykucnął za ogniskiem. Białe, krzaczaste brwi, grube rysy, blada skóra — starzec nie pochodził z tych stron, raczej z północy Europy, z aury Thora. Szyję i brodę pokrywał mu skomplikowany morfunek, błyskający przez pomarszczoną skórę stalą i zwierzęcą kością.

— Błogosławieństwa od Pani Błogosławieństw, Potnii Atany, meter o stu imionach — rzekł pan Berbelek w he koine dialektos.

Starzec uniósł kubek.

— Pod ziemią mówisz do Eleuthii — zachrypiał.

— Mówię do ciebie, epistates.

— Pod ziemią Eleuthia słucha.

Pan Berbelek zrozumiał, że stary odurzył się hasziszowym dymem lub jakimś narkotycznym napojem; pijany bowiem nie był. Hieronim usiłował zajrzeć mu w oczy, lecz tamten zagapił się do wnętrza kubka, ciężkie powieki zakryły błękitne źrenice.

Pan Berbelek ujął go za ramię, pociągnął.

— Chodź, chodź, jest już dzień, czas ucieka, byliśmy przecież umówieni, czyż nie złożyłeś jej przysięgi, wyjdź na świeże powietrze, no, musimy iść.

— Tak, koniec nocy, jak przysięgałem. Wypij. — Wcisnął panu Berbelekowi w dłoń kubek z resztką ciemnego płynu na dnie. — Jak inaczej ich spotkasz? Tak samo dzisiaj, jak i przed pięcioma, dziesięcioma tysiącami

lat. Stał tu, w tym dokładnie miejscu, mały labirynt, prosta ściana pięciokroć zawinięta. Nie ma śladu. I ilu tu pogrzebano pod jej imieniem, nie ma śladu. Ale spójrz na skały. Widzisz ich? Wychodzą nocą, gdy rozpalisz dobry ogień, nie za mały, nie za duży, i wypijesz mleko Makowej Bogini. Ich morfa przedludzka: łby zwierząt na torsach mężczyzn i kobiet, głowy człowiecze na ciałach bestii — daimony sprzed początku świata. Nie przywitasz się? Ukłoń się im. Masz. Pij. Widzisz?

Migotliwe światło ogniska skakało po ścianach, stalaktytach, stalagmitach, stalagnatach, piargach żwirowych, jedna konfiguracja cieni prawie już coś oznaczająca, druga — przeciągły bełkot ciemności.

Pan Berbelek warknął przekleństwo i cisnął kubek w głąb jaskini.

— Wstań!

Stary poderwał głowę; wyprostowawszy ramiona, spojrzał na nachylającego się nad ogniskiem pana Berbeleka, zamrugał. Cienie skakały także po twarzy i sylwetce Hieronima.

— Tak, esthlos.

Wyszli na Plac Ołtarzy.

— Dokąd teraz?

— Tędy, esthlos.

— Z głową już wszystko w porządku?

— Tak. Przepraszam. Jestem starym człowiekiem.

— Czekaj, muszę zabrać plecak.

Po zboczu na północny wschód i potem znowu wzwyż po porosłym palmami stoku przemorfowanej góry (miała nazbyt regularny kształt), i do źródła zimnego strumienia, i między ruinami nadmorskiej wieży obserwacyjnej, i znowu w dół, i po wzgórzach wzdłuż wybrzeża — tak prowadził pana Berbeleka księżycowy przemytnik, stary Nanu Agilatyla, który, jak twierdził, pamiętał czasy króla Ataposa Czternastego, ostatniego z dynastii Ewerytów Kaftorskich. Jakby zawstydzony swoim zachowaniem w Eileithyi, na wszelki wypadek nie pozwalał teraz dojść panu Berbelekowi do słowa, ciągnąc nieprzerwanie głośną gawędę o czasach, które minęły.

— Jej świątynie, jej labirynty, Knossos, Faistos, Zakro, Mallia, Kydonia, Rethymnon, Gournia, Monastiraki, tu się narodziła, tu wyłoniła się na świat z cienia, spod ziemi, tu usłyszała swe pierwsze imiona. Co dał jej Wschód, co dał jej Aegipt — płeć, miejsce pomiędzy niebem a ziemią; bo narodziła się tutaj. Jeśli dane ci będzie ujrzeć ją, esthlos, choćby z daleka… Ach,

nadal są ludzie, którzy czekają jej powrotu, chociaż oczywiście nie powiedzą tego głośno obcemu, Czarnoksiężnik wbija na pal, Siedmiopalcy pali, K'Azura ścina, Nabuchodonozor ścina, jakże się oni jej boją. Nadal są ludzie — a wszystko, co o niej wiedzą, to legendy o legendach. W milczeniu. Zauważyłeś, esthlos, jak zgodnie tu o niej milczą? Odwiedzam Kaftor raz, dwa razy do roku. Zapada w nich coraz głębiej, to milczenie, ta głucha tęsknota. Przecież w pierwszych wiekach Po Upadku Rzymu Kaftor w jej aurze na powrót stał się największą potęgą Morza Śródziemnego, jak cztery, pięć tysięcy lat wcześniej, znowu rządził całym handlem morskim, rozciągał swe kolonie na wybrzeża Europy i Afryki, stąd właśnie, widzisz te ruiny, esthlos, stąd wypływały codziennie setki statków, tu zwożono największe bogactwa świata, do jej świątyń, do labiryntów, nadal nie odkryto wszystkich ich tajemnic, nie wierz w oficjalne wersje, ona sprowadzała teknitesów ge z najdalszych krain, przez wieki pracowali w podziemiach, w grotach podmorskich, podobno istnieją sekretne wejścia z górskich sanktuariów; i tam rozpościera się labirynt największy, wiecznotrwała Forma Ziemi, odporna na wszystkie kataklizmy, jak Kaftor długi i szeroki, a nawet dalej, pod dnem morza: korytarze na setki stadionów, komnaty pyru, skarbce, czarne pałace, ołtarze najstarsze, miasta w skale. Kiedyś powróci.

W południe zatrzymali się na szczycie nadmorskiego urwiska, sto pusów nad falami rozrywającymi się w grzmocie o kły skalistej zatoki — żaden statek by tu nie wpłynął, nikt by nie zszedł po pionowej ścianie — i Agilatyla po raz pierwszy zamilkł, gdy spożywali zimny posiłek: ser i suchary popijane gorzką agryttą. Niebo było szare, chmury niskie, rozpuchłe złymi fermentami aeru i pyru, silny wiatr zachodni przeganiał je nad wyspą, stłaczając w masywne fronty i dzięki temu właśnie na krótkie chwile ukazywały się brudne niebiosa.

Beknąwszy, stary przemytnik wyciągnął się na wznak, podkładając ręce pod głowę. Pan Berbelek zrozumiał, że to nie jest przystanek w połowie drogi, że dotarli na miejsce. Siedział obok na swym płaszczu, przeżuwając źdźbło zimowej trawy. Dwie łodzie rybackie halsowały odważnie wbrew wzburzonym falom i porywistemu wiatrowi, ich ściągnięte nisko żagle to pojawiały się, to znikały na tle ciemnozielonej kipieli.

— Pięćdziesiąt lat już jej służę — mamrotał Nanu. — Raz udało mi się odwiedzić jej królestwo. Nie jestem głupi, wiem, że ona nawet o mnie nie słyszała. I o ilu takich jak ja, którzy zadowalają się cichą nadzieją, często

płacąc swym życiem. My przemijamy; wy pozostajecie. Co o nas tak naprawdę myślicie?

Pan Berbelek żuł źdźbło. To „wy” z ust Agilatyli zrobiło jednak na nim wrażenie, choć starał się je ukryć.

— Nie chcesz szczerości — mruknął.

Stary usiadł, spojrzał na pana Berbeleka.

— Chcę.

Pan Berbelek wypluł źdźbło.

— Nie jesteście ludźmi. Nie posiadacie własnej woli. Rządzi wami cudza Forma. Pięćdziesiąt lat i co z tego masz? Nawet jej nie widziałeś. Umrzesz, zostaniesz zapomniany, nic nie przetrwa. Wierność bezwarunkowa przystoi doulosom.

— Spójrz, esthlos, już są.

Agilatyla wstał i zaczął machać rękoma.

Przez zawał burzowych chmur na północy przebiła się kamienna wieża, spadając po łuku ponad morzem ku urwisku. Pan Berbelek również wstał, zagapił się na zjawisko. Minaret szybował w powietrzu położony na boku, smukłą kopułą do przodu; z okien i krużganków wywieszały się długie sztandary, strzelające na wietrze niczym rukaty. Wzdłuż górnego boku wieży przymocowano wąskie wrzeciono aerostatu, dziesięciokroć węższe od najchudszej świni powietrznej. Wrzeciono było czarne, a kamienie wieży ciemnoczerwone, ognisty marmur — teraz już pan Berbelek domyślił się, iż zbudowano ją w całości z oroneigesu. Jej architekt upodobał sobie kształty muszli, spiral, otwartych okręgów, niesymetrycznych łuków — tak się układały w niej poziome i pionowe piętra, kondygnacje zawinięte w wyszczerzone na powietrzną otchłań kolumnady, serpentyjne tarasy otoczone rzeźbami bogów, ludzi, zwierząt, daimonów. Na dziobowej kopule stał kamienny anioł i kryształową kosą wskazywał kierunek lotu, od jego skrzydeł ciągnęły się długie na kilkadziesiąt pusów białe wstęgi, rozstrzępione bandaże zdarte z ozdrowieńca przez wiatr; aniołowi brakowało lewego przedramienia, utrąciła je była jakaś podniebna przeszkoda.

Wieża opadała coraz wolniej, osiągając w końcu poziom urwiska i obracając się do niego bokiem. Zgromadzeni na jej głównym tarasie ludzie (Agilatyla krzykiem wymieniał z nimi żarty i przekleństwa) rzucili na szczyt klifu kilkanaście lin z hakami.

Pan Berbelek wskazał na czarne burty aerostatu i ciągnący się wzdłuż nich srebrny wzór: splątane ciernie, jak łańcuch stalowych błyskawic.

— Nie znam tego godła.

— Nie sądziłeś chyba, esthlos, że zabiorę cię prosto na Księżyc? — zaśmiał się starzec.

— Czyj to aerostat?

— Wygnańcy trzymają się razem. Król Burz pozostaje wierny Pani Illei. Choć tym bardziej mu nie przystoi. Przeskoczysz, esthlos, czy mam cię związać?

Życie w Oronei w istocie nie różniło się od życia na powierzchni Ziemi. Przez tydzień pan Berbelek zyskał tam jednego wroga, jednego sprzymierzeńca i kilkoro poddanych; zakochała się w nim także pewna anielica.

Anioły mijały wzniesiony przy krawędzi Oronei Dwór Księżycowy każdego dnia o poranku i zmierzchu, gdy szły na żniwa wichrorostów i gdy z nich wracały. Oczekujący na przybycie łodzi księżycowej podróżni wychodzili na łąkę przed Dwór, przyglądając się nieregularnemu pochodowi. Anioły byli to ludzie o morfie aerowej, potomkowie najstarszych rodów Oronei, całkowicie przeżarci przez anthos Króla Burz. Nosili ozdobne zbroje z brązu i żelaza, nogi i ramiona obiegały im łańcuchy ciężkiej biżuterii. Bez nich byliby nazbyt lekcy, miejsce naturalnego spoczynku aniołów znajdowało się gdzieś pomiędzy niebem i ziemią. To właśnie oni spuszczali się w dół wichrorostów (stadiony i stadiony pod płytę płaskowyżu), doglądając je i ścinając w porach żniw. Anioły, nawet jeśli spadną — nie spadną. Także gdy szły zmieszane z tłumem innych robotników rolnych, można było je bez trudu rozpoznać: ich włosy, jeśli nie zawinięte wokół szyi lub krótko ścięte, unosiły się za nimi poziomą falą, rozbijając się w strzępiastą aureolę, gdy anioły obracały głowy lub czyniły krok wstecz — jakby powietrze wokół nich miało gęstość wody.

Na polach i drogach Oronei leżała gruba warstwa oślepiająco białego śniegu. Codziennie, zazwyczaj przed świtem, kratistos sprowadzał obfite opady. Księżycowy Dwór, podobnie jak wszystkie inne domy (pan Berbelek nie był w mieście, lecz tak opowiadali mu Oronejczycy), na dachu i na tyłach posiadał wielkie zbiorniki, z których czerpano deszczowy lub śniegowy hydor. Po przybyciu pana Berbeleka Dwór gościł już w sumie dwa-

dzieścioro pięcioro podróżnych oczekujących na łódź na Księżyc; po doliczeniu służby i stałych mieszkańców Dworu tudzież sezonowych rezydentów w rodzaju Agilatyli, okazało się, że wody nie może starczyć dla wszystkich w ilości, jakiej by sobie życzyli, i wprowadzono jej racjonowanie. Wielkość tych racji odpowiadała oczywiście pozycji, jaką zdołał sobie wywalczyć każdy z podróżnych — tak ustaliła się hierarchia (bo jakaś ustala się zawsze) i taki był powód pierwszych starć woli.

Jak rozumuje urodzony doulos? „Przecież to głupota, nie będę się bił o parę kubków wody więcej, niech się ci idioci żrą między sobą". Ustępuje zatem i już wszyscy znają jego miejsce — tak rodzi się Forma. Jak rozumuje aristokrata? „Żadna obca wola nie ogranicza moich czynów. Czy ja składałem mu hołd, by spełniać teraz jego życzenia?" Uległość nie leży w jego naturze. Pan Berbelek zażądał dla siebie nielimitowanego dostępu do wody, a gdy sprzeciwiła się temu jedna z heltyckich kapłanek, Arianna, zmusił ją do ucałowania swych stóp. Tak zyskał wiernego sprzymierzeńca. Wieczną wrogość poprzysięgła mu natomiast nastoletnia córka kapłanki, Marianna. Większość pozostałych podróżnych w milczeniu skłoniła głowy.

Oprócz pięciu kapłanek z Heltii na łódź oczekiwała także liczna grupa Cyganów. Bo kto właściwie uczestniczył w tych sekretnych pielgrzymkach do Pani Księżyca? Jej wyznawcy, jej agenci, członkowie jej kultów i kultów symetrycznych do jej morfy, a także rozmaitej proweniencji banici, uciekinierzy spod anthosów wrogich jej kratistosów, poszukujący azylu poza sferą ziemską, czy wreszcie sofistesi, którzy zdołali jakimś cudem zyskać zaufanie przewodników i wykupić sobie podróż na Księżyc — dobrze wiedząc, że najpewniej nigdy już nie uzyskają pozwolenia na jego opuszczenie, nie po tym, co uczynił Elking. Pani wszak żywiła się tajemnicami, Pani najpotężniejsza była w nieopisaniu.

Z urywanych rozmów podczas posiłków, z szeptów służby, z plotek podsłuchiwanych na spacerach przez śnieg pan Berbelek budował historie poszczególnych podróżnych. Na przykład dwóch młodzianów o anaxegirosowej morfie okazało się poszukiwanymi przez wszystkie milicje Herdonu zawodowymi bogobójcami, Janem i Hanem Zarzog. Herdońskie kompanie wynajmowały ich, by mordowali kulty tubylcze. Bracia udawali się w dzicz, odnajdywali kapłanów, święte miejsca i cudowne personifikacje, po czym wymuszali rytuał upokorzenia, odbierając hołd dla Anaxegirosa bądź króla. Sztuka polegała na wybraniu dla tego rytuału takiej Formy, aby

żadnemu dzikusowi nie pozostała potem najmniejsza wątpliwość co do mocy poszczególnych bóstw. Zarzogowie zabijali bogów wzdłuż wschodniego i południowego wybrzeża Herdonu, pozostawiając za sobą zgliszcza snów, popioły marzeń i trupy nieśmiertelnych. Na nieszczęście posiadali poczucie humoru. Gdy wyszło na jaw, iż zwykli odbierać hołdy także w imieniu władców nieistniejących, tworząc na poczekaniu dla półzwierzęcych autochtonów zwariowane religie i obrazoburcze mitologie, wyrok zapadł szybko. Bogorództwo jest znacznie bardziej brudnym i niebezpiecznym zajęciem od bogobójstwa.

Pan Berbelek wymieniał ze współpodróżnikami zdawkowe uprzejmości i oględne żarty. Kilka razy wybrał się na spacer w towarzystwie starego frankońskiego sofistesa, samozwańczego biografa Illei Kollotropyjskiej, Szarla Donta. Katrina, brytyjska aristokratka o wesołym usposobieniu, również spędziła z Hieronimem kilka poranków; Hieronim podejrzewał, iż pełniła ona podobną funkcję (funkcję szpiega i agenta Illei), co Zueia. Wspinali się razem na szczyt wału, zaglądali w przepaść, Katrina śmiała się, ciskając w chmurną otchłań kamyki i śnieżki.

Księżycowy Dwór znajdował się zaledwie stadion od wału ciągnącego się wzdłuż krawędzi podniebnego płaskowyżu. Owa ziemna zapora wysoka była na prawie sto pusów; o samym zmierzchu i świcie jej cień rozlewał się po śniegu aż na próg Dworu. Miejscami wał zmieniał się w regularny mur, z furtami, bramami i wywieszanymi pomostami, z których — na skomplikowanych systemach dźwigarów i wielokrążków — aniołowie spuszczali się w gąszcze wiszących ogrodów i winnic. Także właśnie na wale opierały się wysokie pochylnie i spirale Schodów do Nieba. Do nich to cumowały przybywające do Oronei powietrzne świnie, Król Burz wydał bowiem zakaz zbliżania się aerostatów do samego miasta, w sercu anthosu kratistosa dziwne rzeczy mogły się dziać ze ściśniętym w trzewiach świni aerem, nawet w przypadku tak niewielkich ilości aeru, jakich używano do sterowania wysokością lotu wież oroneigesowych.

Dwór stał przy drodze prowadzącej od miasta do jednych z głównych wrót w wale; tuż obok strzelała wzwyż arabska architektura Schodów do Nieba przeznaczonych dla łodzi księżycowych. Pan Berbelek dociekał, jaką też rolę pełni brama dla miasta, do którego prowadzą wyłącznie drogi powietrzne. Zresztą miasto — widoczne z Dworu masywem oślepiającej bieli, to znów poszarpanym cieniem, w chmurze tysiąca łopoczących sztandarów

— posiadało własny mur i wrota w tym murze. Z drugiej jednak strony (i to pan Berbelek rozumiał doskonale) Forma miasta bez murów, bez bram byłaby zawsze w pewien sposób ułomna, niepełna, słabsza.

Pan Berbelek miał teraz sporo wolnego czasu i praktycznie nic do roboty. W bibliotece Dworu znalazł kilkanaście różnych wydań i tłumaczeń *Mojej podróży na Księżyc ico tam ujrzałem* Ferdynanda Elkinga; czytał ją w dzieciństwie, teraz sobie przypomniał. Także *Podróże Gaudata* pióra Jana Gaudata, *Sen Scypiona* Cycerona, *Pharsis* Ibrahima ibn Gassana. Powróciło wrażenie nierealności, bajkowości całej tej wyprawy.

Może tak naprawdę nigdy nie opuścił Vodenburga, może zasnął tam w ciepłej kąpieli, w mroku ciasnej izby łaziebnej, nareszcie podciąwszy sobie żyły, a to wszystko — to jeden długi przedśmiertny sen…? Lub sen pośmiertny. Filozofowie piszą, że podobnych przypuszczeń nie sposób zweryfikować, pan Berbelek widział jednak jasno, iż nie może być ono prawdą: tamten Hieronim Berbelek, w którego Formie mieściło się samobójstwo, nie śniłby o takim Hieronimie Berbeleku, który prowadzi dżurdże w dzikie kakomorfie Afryki, zgina karki kobiet i mężczyzn i który włada rozkoszą córki Księżycowej Wiedźmy.

Rozważał napisanie listu do Alitei. Z Oronei do Alexandrii świnie powietrzne latały co dwa, trzy tygodnie. W liście mógłby napisać, czego nie mógł powiedzieć — forma listu jest inna, pozwala na pewną bezosobową szczerość, nazbyt przecież krępującą, gdy stoi się twarzą w twarz z kimś bliskim, z córką, zwłaszcza z córką. Całkowicie nieskrępowanym można być jedynie w obecności osób całkowicie obcych, których myśli i uczucia nic dla nas nie znaczą. Każda miłość to rodzaj hołdu dla cudzej Formy — matki, ojca, kochanki, dziecka.

Nie potrafił wówczas zamknąć swego serca w żadnej liczbie, jego pożegnanie z Aliteą było krótkie, suche i beznamiętne. — Powinienem zdążyć przed latem. Mówiłaś, że nie chcesz wracać na północ, do Neurgii. U esthle Lotte możesz mieszkać, jak długo chcesz; zresztą wiesz, że Laetitia bardzo cię lubi. O Dawidzie porozmawiamy, gdy wrócę. Wynająłem dla ciebie tutorów. Po pieniądze zawsze możesz się zwrócić do Aneisa Panatakisa; i niech ci nie wmawia, że akurat celnicy wyczyścili mu skarbiec. Szulima zostaje. Jej słuchaj. I tak jej słuchasz. — Nie musiał przecież tego nakazywać. Szulima się wszystkim zajmie. Ona, odbicie formy Illei, i Alitea,

w której z kolei odbijała się forma Amitace… W ostatecznym rozrachunku bogini przegląda się w morfie każdej kobiety.

I teraz, w liście, napisze jej właśnie to: jaką dumę znajduje w sobie, dostrzegając u Alitei kolejne oznaki aristosowej entelechii, przeczuwając jej kształt najwyższy, całe to piękno i moc, których ona sama nie przeczuwa.

Oczywiście nigdy nie posłał owego listu.

Oczekiwanie zdawało się przeciągać w nieskończoność; była to jedyna czynność, jakiej mogli się tu z pełnym zaangażowaniem oddawać: czekać. Niektórzy wróżyli z chmur i gwiazd, z lotu ptaków i świń powietrznych; inni się upijali. Cyganie grali w swoje gry, całkowicie niezrozumiałe dla obcych. Herdońscy bogobójcy piekli wielkie ilości obrzydliwie słodkich ciast. Pan Berbelek zaś chadzał na wał, wspinał się na szczyt bramy i stąd wypatrywał łodzi, przyglądając się pracy aniołów i powolnemu falowaniu gigantycznych wichrorostów.

Tak zastała go młoda anielica. Zakutana w białe futro z jakiegoś oronejskiego zwierzęcia — może ptaka, bo wyglądało niczym splecione z miliona gołębich piór — przysiadła obok (przy każdym jej ruchu chrzęściła niewidoczna zbroja) i poczęstowała pana Berbeleka tytońcem. Tytoń był w Oronei bardzo drogi, nie chciał rosnąć w koronie Króla Burz, a świnie z Herdonu przylatywały nieczęsto.

Pan Berbelek podziękował. Znała grekę. Zapalili.

Anielica wymachiwała nogami w ciężkich butach, przewieszonymi przez ośnieżone blanki. Hieronimowi przypomniały się Alitea i Klaudia Weroniusz na pokładzie „Powstającego”.

— Mam córkę w twoim wieku.

Anielica przekrzywiła głowę, jasne włosy zakręciły się wokół niej w krzywej spirali.

— Po co tam lecisz? Przecież nie musisz, jesteś od nich silniejszy.

Czy rzeczywiście na Księżyc udawali się głównie ludzie złamani, o strzaskanej Formie?

— Mam poprowadzić dla niej armię.

Anielica uniosła brwi.

— Chce wrócić?

Pan Berbelek wzruszył ramionami.

— Jak ci na imię?

— Loilei.

Wyciągnęła do niego rękę, zaszeleściły na wietrze pióra. Uścisnął mocno nadgarstek.

— Hieronim Berbelek.

Nazajutrz ponownie znalazła go nad bramą. Tym razem — widział to — już go szukała.

— Esthlos.

Zerknął na nią podejrzliwie. Uśmiechnęła się szelmowsko.

— Dziadek interesuje się polityką — rzekła, usiadłszy obok, na swoim miejscu. — Powiedział, żebym trzymała się od ciebie z daleka.

— Nie słuchamy dziadunia.

— Piorun Vistulii, ha! No więc w ilu bitwach zwyciężyłeś?

— Wszystkich. Oprócz ostatniej.

— Powiedział, że kazałbyś mi przebić się nożem i ja bym się przebiła.

Postanowił zabawić się jej kosztem. Obrócił się ku niej, ujął ją za ramię, pochylił się ku anielicy.

— Loilei — szepnął.

Otworzyła szerzej jasnobłękitne oczy.

— Tak…?

Czekał, nie odwracając od niej wzroku. Nie mrugał, więc ona też nie mogła zamrugać. Widział, jak przyśpiesza jej oddech. Ramię w jego uścisku zaczęło drżeć, pióra futra szeleściły w trwodze. Rozchyliła usta, lecz nie była w stanie wydać z siebie głosu. Ścisnął silniej. Jęknęła.

— Co… chcesz… żebym…

Zaśmiał się, puścił ją.

Obrócił się z powrotem ku chmurnej przepaści. Wyjął tytońcówkę i zapałki. Chciał ją poczęstować, ale gdy wyciągnął rękę, poderwała się i uciekła, zeskakując z muru susem długim na ćwierć stadionu — szybko zniknęła mu z oczu, biel na tle bieli.

Dwa dni później anonimowy goniec przyniósł do Księżycowego Dworu dla pana Berbeleka pierwszy list miłosny od Loilei Icuzza. Podała adres, na który mógł odpisać. Nie odpisał. Nazajutrz przyszedł następny list. Nie histeryzowała; pisała spokojnie, że śni tylko o nim i że będzie czekać na jego powrót na czele armii Illei Okrutnej. Napisał jej, żeby nie czekała. Loilei odpisała, że jeśli nie spotka się z nim twarzą w twarz, to Hieronim nie zmusi jej, by o nim zapomniała. Teraz już pan Berbelek w ogóle nie opuszczał Księżycowego Dworu, by uniknąć takiego „przypadkowego” spotkania. Po-

wstrzymał się od dalszej korespodencji. Listy od anielicy przychodziły codziennie, coraz dłuższe. Opisywała mu swoje życie, ambicje, nadzieje, opisywała historię rodu i historię Oronei. Jej greka była sztywna i dosyć uboga, tym niemniej oddawała całą tę naiwną szczerość, z jaką Loilei snuła w niej swoje zwierzenia. Pan Berbelek powinien był spalić te listy; miast tego chował je starannie za okładki swego diariusza. Przypominał sobie, ile podobnych wyznań miłosnych otrzymywał po każdej victorii. Dlaczego się dziwił? Taka była Forma strategosa: zdobywał. Przecież nie zaplanował, nie chciał, nie miał zamiaru. Lecz leżało to w jego naturze.

W godzinie najcięższych koszmarów, gdzieś między północą a przedświtem, rozległ się przeciągły dźwięk gongu, wszywający się metalicznymi wibracjami w mury, boazerie, posadzki, dywany i meble Dworu, pod koce i pod sny jego gości. Przebudzili się natychmiast. Nikt nie musiał ich popędzać i tłumaczyć, co oznacza ten dźwięk. Bagaże mieli od dawna przygotowane. Schodzili przez zimny hol i z zadaszonej werandy na łąkę i drogę do Schodów, zasypane śniegiem mieniącym się wszystkimi barwami ogni Dworu. Doulosi i służący wyroili się z lampami i pochodniami w rękach. Podróżni maszerowali w milczeniu, z pochylonymi głowami, naprzeciw wiatrowi, w wirujących płatkach hydoru — conocna śnieżyca rozszalała się właśnie nad Oroneią. Pan Berbelek, Heltyjki, Cyganie, Dont, Katrina, szpiedzy i banici, bogobójcy i bałwochwalcy, dwa tuziny zawiniętych w futra i płaszcze sylwetek. Śnieg przed panem Berbelekiem był czysty i gładki, każde stąpnięcie łamało jego zmrożoną powierzchnię. Lecz oprócz owego trzeszczenia i chrzęstu — cisza. Słowa zastępowały obłoki pary, wyrywające się z ust co krok.

Nawet w głębokim śniegu na przejście stadionu nie trzeba więcej niż kilkanaście minut. Wokół Schodów do Nieba rozwieszono dziesiątki lampionów. Najsilniejszy blask bił wszakże znad i zza szczytu Schodów, gdzie jasnobłękitnym ogniem gorzał wielki kadłub księżycowej łodzi. Nazywała się „Urkaja” — co w języku, o który pan Berbelek nie zapytał, znaczyło „Podgwiezdna”. Zbudowano ją w niebiańskich stoczniach dla żeglugi przez sfery Ognia i aetheru, te więc żywioły stanowiły podstawę jej konstrukcji. Pyr oznaczał żar i jasność, aether oznaczał wieczny ruch po okręgu. „Urkaja” bezustannie płonęła gwiazdowym ogniem i wirowała sama wokół siebie.

Wchodzili do jej wnętrza po rozciągniętym nad czarną przepaścią sznurowym pomoście; wnętrze łodzi było ciemniejsze niż zewnętrze, nareszcie

mogli przestać mrużyć oczy. Ostatnie spojrzenie za siebie, gdy wiatr jeszcze chlaszcze twarz zmrożonym hydorem: ścieżka ognia i ciemna Oroneia za zasłoną śniegu. Ostatnie spojrzenie na „Urkaję”, obracającą się wokół poziomej osi, wzdłuż której wchodzą do paszczy tego półprzezroczystego skorpiona: wielkie kleszcze zaczynają się rozwierać w aetherowe żagle, od pyrowych burt buchają kłęby pary, czerwone lśnienie biegnie wokół gadzich pierścieni „Podgwiezdnej”, spiralny ogon rozpędza się w tysiącu misternych wiecznomakin uranoizowych — rozkwitająca róża perpetua mobilia. Płonący człowiek wychyla się z unieruchomionego na osi obrotu łba skorpiona i otoczony obłokiem śnieżnej pary, dmie w czarny róg, uuuuuuuuurrrrmmm! Czas opuścić Ziemię.

Pan Berbelek odwrócił się od nocy i wszedł w jasność.

3 Januarius 1194. Zaczynam dziennik od nowa. Zepewne nie władam piórem ze sprawnością Elkinga, ale nie darowałbym sobie, gdybym nie zapisał. Największy głupiec, kto wierzy własnej pamięci.

Opuściliśmy właśnie sferę aeru, łódź weszła w domenę pyru iaetheru. „Urkaja” ma dwa brzuchy: wewnętrzny, gesowy, w którym mieszkamy, i zewnętrzny, aetherowy, który obraca się dookoła wewnętrznego i przez który widzimy oddalającą się powierzchnię Ziemi, już jasną, gdyż Słońce pojawiło się nad naszymi głowami — podobnie zresztą jak Księżyc, a jego to właśnie będziemy musieli dogonić. Trzy godziny temu zaczęliśmy rozwijać główne skrzydła inadal je rozwijamy.

Robi się coraz goręcej. Wszyscy zrzucają odzienie. Księżycanie chodzą nago, ich skóra w dotyku zdaje się chorobliwie rozpalona — jak skóra Szulimy. Posługują się dziwnym greckim dialektem; zrozumiałym, lecz drażniącym ucho. Mieszkają w kabinach w aetherowym łbie „Urkai”. Widziałem zaledwie kilku, lecz załoga liczy co najmniej trzy tuziny. To jest ogromna łódź. Przeszedłem po najniższej kratownicy jej wewnętrznego brzucha, licząc kroki: dwieście czternaście.

Po wieczerzy — gdy Słońce przegoniło Księżyc, wyłaniając się zza niego ognistym łukiem — przyszła czarnowłosa Księżycanka waetherowej biżuterii i powiedziała, że kapitan chce się ze mną widzieć, przyjmie mnie, gdy wybije północ. Zdawało mi się, że północ wybiła krótko przed naszym odlo-

tem z Oronei, ale oni tu mają inne północe iinne południa, inni Cyganie projektowali zegary Księżyca.

Sofistes Dont szepcze mi, żebym przypadkiem nie rozgniewał kapitana (większość pasażerów szepcze, choć nikt nie podsłuchuje); że wich żyłach płynie Ogień, niewiele trzeba, by rozpalić furię Księżycan; żebym się pokornie przywitał inic więcej nie mówił. Dureń. Wdziałem kirouffę z białego jedwabiu, sztylet omantikorowym ostrzu kryje się w rękawie bez śladu. Myślę: furia. Furia. Furia!

— Oronejczycy mówią, że przysyła cię Lakatoia.

— Kto?

— Panna Wieczorna. Córka. Szulima.

Omixos Żarnik, hegemon „Urkai”, gościł pana Berbeleka na śniadaniu północnym w swej prywatnej kabinie na dziobie, to jest we łbie łodzi. Wszystkie cztery niskie żywioły dążą zawsze ku centrum wszechświata, centrum Ziemi, i jakkolwiek pasażerowie i załoganci przemieszczali się po łodzi, Ziemię — czarną lub zieloną — mieli nieodmiennie pod stopami, pod przezroczystą skorupą z pempton stoikheion. Aetherowe kabiny dziobowe, cała głowa skorpiona pozostawała natomiast nieruchoma, co zdawało się przeczyć samej naturze uranoizy. Omixos wyjaśnił ów sekret gwiezdnej mekaniki panu Berbelekowi niepytany, widząc badawcze spojrzenia gościa i ostrożność, z jaką stąpa po przezroczystej podłodze. Sztuka aetherowej alkimii polega właśnie na tym: na kiełznaniu wiecznego ruchu okrężnego arche uranoizy. Nie można tego ruchu zatrzymać, można wszakże zmieniać jego orbitę i kierunek — i takim właśnie misternym mekanizmem składającym miliony kołowych ruchów ciał aetherycznych jest „Podgwiezdna”. Ruch samego łba łodzi jest natomiast Provegowym „ruchem ukrytym”: niewidocznym z wewnątrz, widocznym jedynie w zewnętrznym porównaniu; możliwym dzięki zamocowaniu łba na nieruchomej osi „Urkai”. Pan Berbelek próbował sobie to wszystko bardzo dokładnie wyobrazić podług słów hegemona i po chwili poczuł, jak dopiero co przełknięta potrawa podchodzi mu z powrotem do gardła.

Potrawy podane przez doulosów przyrządzono po większej części ze składników nie pochodzących z Ziemi, w każdym razie były to smaki i zapachy całkowicie panu Berbelekowi obce. Paliły w ustach żywym ogniem, musiał często i dużo popijać; zażyczył sobie czystej wody, księżycowe wino również bowiem przepalało przełyk. I nie o to chodziło, że potrawy

owe były ostre lub gorące. Nawet słodkie, zimne księżycowe owoce (przemorfowane jabłka, grusze, pomarańcze, arfagi, śliwy) okazywały się trudne do tolerowania przez ziemski organizm.

Omixos otwierał długim paznokciem kciuka skorupy kargatów — po rozszczepieniu kargaty wybuchały krótkim ogniem — i połykał w całości płonące owoce. Kiedy się śmiał, a śmiał się gromko prawie bez przerwy, iskry sypały się z jego ust, nozdrzy i kącików oczu.

— Ryter pyru, hyppyres, Jeździec Ognia — rzekł był panu Berbelekowi, gdy ten syknął, cofając rękę z parzącego mu skórę powitalnego uścisku. — To my pójdziemy w bój.

To oni pójdą w bój — jaki bój? O to Hieronim oczywiście spytać nie mógł; Omixos zakładał, iż pan Berbelek posiada tę wiedzę, i przyznanie się teraz do ignorancji stanowiłoby oznakę słabości, akt niewątpliwego samoupokorzenia.

Hyppyroi stanowili najwyraźniej wśród Księżycan rodzaj kasty ryterskiej. Ponieważ tylko jeden Jeździec Ognia znajdował się na pokładzie „Urkai” — jej kapitan właśnie — pan Berbelek nie potrafił rozróżnić, co w jego morfie należy do morfy hyppyroi, a co wyłącznie do morfy Omixosa Żarnika. Hegemon wzrostem dorównywał panu Berbelekowi, pod skórą jak wypolerowany mosiądz skręcały się supły mięśni, schodzące — niczym w anatomicznym modelu — z szerokich barów na mocarne ramiona, przez tors i wklęsły brzuch, w wyraźnie wyciętą muskulaturę ud i łydek. Hyppyres był nagi, całkowicie bezwłosy, na powierzchni idealnie kulistej czaszki odbijało się światło Słońca, Ziemi i gwiazd, przeszywające aetheryczne ściany łba „Podgwiezdnej”.

Kabinę urządzono bardzo skromnie, zapewne aby nie przesłaniać panoramy kosmosu — brak mebli, brak dekoracji, kilka kobierców i poduch rzuconych na podłogę. Najbardziej tłumiło blask gwiazd immanentne światło łodzi, przepalający ją również do wewnątrz pyrowy żar.

— Lakatoia, Panna Wieczorna — ile to już razy woziłem ją na dół i z powrotem? Ostatnio chyba półtora roku temu, tak; i mówiła mi, że chyba wreszcie znalazła człowieka. To już się za daleko posuwa, nie ma co czekać, Pani powinna podjąć decyzję, jak tylko zaczęło się na okeanosie, na południowych wyspach, i w Ziemi Gaudata, w Lodzie Południowym, kto wie, co tam się dzieje, w mrozie, w zawiejach śnieżnych. Lakatoia chciała, żebym zszedł tam prosto z nieba, ale „Urkaja” nie wytrzymałaby tego zim-

na. Wiem, Pani ma swoje powody, stare nienawiści, dlaczegóż w końcu miałaby ratować tych, co ją Wygnali — ale najpierw przyszło to do nas. Odwiedzisz Odwrócone Więzienie? Każ się zawieźć. Trzeba uderzyć jak najszybciej.

Uderzyć. Jak najszybciej. Pan Berbelek gryzł w milczeniu grorzechy. Wykorzystują mnie, jak wiedziałem, że Szulima mnie wykorzysta, ślepe narzędzie. (Furia!) Czy naprawdę nie chciała śmierci Abla? Z pewnością nie przeszkodziła ona w planach Szulimy. Furia! Ale właśnie furii ode mnie chcą.

Otrzepał dłonie, uniósł wzrok na okrągły cień Księżyca, który „Podgwiezdna" goniła po niższym łuku; Słońce, w swym codziennym obiegu Ziemi, było teraz zupełnie niewidoczne zza okrążającego Ziemię prawie w tym samym tempie Księżyca — lecz owa zmiana wynikła ze zmiany położenia łodzi, nie z mekaniki astronomicznej. Słońce jest jednak szybsze od Księżyca i w końcu wyłoni się zza niego (lub spod niego, jeśli łódź zmieni płaszczyznę orbity). Wtedy zaciągnie się wokół wewnętrznego brzucha „Urkai" czarne jedwabie, by Ziemianie nie oślepli. Co wszakże poczną w jej łbie sami Księżycanie?

— Nic nie zostało przesądzone — rzekł pan Berbelek, wypatrując w nocy Księżyca świateł miast Illei. — Jeśli cena będzie odpowiednia…

Omixos Żarnik wybuchł śmiechem, aż zapaliły mu się na bicepsach i piersi tuziny malutkich płomyków, jakby wypacał z siebie ogień bezpośrednio przez otwarte pory skóry.

— Chcesz się z nią targować! Rzucisz Illei cenę i — „zgadzasz się albo nie!" Hah!

— Skoro jej córka poświęciła tyle czasu… Myślę, że będzie musiała się zgodzić.

— Ha! — Jeździec Ognia wytarł sobie z oczu złote iskry. — Chciałbym to zobaczyć!

— Powiedz — pan Berbelek obejrzał się na hyppyresa — jaka jest stosowna cena za pierworodnego syna?

— Ach!

Omixos zamilkł na chwilę. Dolał sobie wina, gościowi wody.

— Zemsta — rzekł wreszcie.

— Tak.

— Kogo winisz? Illeę?

— Wydaje mi się, że one chcą kupić moją zemstę, że tak to sobie zaplanowały. Nie wiem, czy w ogóle bym tam teraz leciał, gdyby nie dla zemsty właśnie. Sam chyba nigdy nie pomyślałem „zemsta”. Lecz teraz widzę, że taka jest Forma. I tak z ich strony to wygląda. Czy musiał zginąć? Nie wiem. Ale pomogło.

Omixos spoważniał, podrapał się po nagiej czaszce. Spoglądał badawczo na pana Berbeleka spod ciężkich powiek. Znad jego prawego ramienia wschodziła jakaś wyjątkowo jasna gwiazda — Wenera?

— Zaszczycasz mnie swoją szczerością — mruknął; naprawdę wyglądał na skrępowanego, to nie była ironia. — Cóż ja ci mogę rzec, esthlos? Tylko raz widziałem Panią Illeę, z daleka, gdy odbierała hołd hyppyroi. Nie jestem mędrcem. Ale. Ale tak. Dlaczego nazywają ją Okrutną? Pomyśl. Posłała na dół, między największych wrogów i w paszczę największego niebezpieczeństwa, swoją jedyną córkę.

Pan Berbelek skinął głową.

Już do końca rozmowy jej forma utrzymała się po stronie melancholii. Powstawszy do wyjścia, patrząc, jak hegemon „Urkai” otwiera przed nim drzwi i dziękuje krótkim ukłonem za morfę jasnej szczerości, pan Berbelek pojął, że w istocie wygrał i podporządkował sobie hyppyresa, chociaż wcale tak tego nie planował; że to też jest metoda i również takimi ścieżkami wstępuje się na trony.

Mimo bólu uścisnął mocno nadgarstek Omixosa.

— Lakatoia miała rację — rzekł Żarnik. — Dobrze wybrała, esthlos. Kogoś takiego przecież właśnie potrzebujemy.

— Kogo?

— Kratistobójcy.

5 Januarius 1194. Skrzydła w pełni rozłożone, ogromne płaty aetheru, długie na pięć, siedem stadionów. Ich samych nie sposób dostrzec, światło przechodzi przez nie na wskroś; jedynie ich żebra, twardą konstrukcję nośną, jak żyły w gigantycznych, kosmicznych liściach, jedynie one są widoczne na tle gwiazd. Teraz zapiszę, jak mi to wytłumaczono: aether krąży wokół Ziemi po orbitach zależnych od stopnia jego zagęszczenia, od prędkości i od rodzaju arche, z jakimi się związał (pyru w przypadku Słońca). Aby wspiąć się z Ziemi na orbitę Księżyca, łódź musi chwytać w swe „żagle” coraz wyższą uranoizę, aż zrówna się ze picyklem Księżyca; ogon zaś służy wówczas za dodatkowy ster. W ten sposób halsuje się przez sfery niebieskie.

Mieli rację ci, co szeptali. Przez gorące powietrze wypełniające wnętrze łodzi dźwięki biegły setki pusów po sekretnych aetherowych orbitach, spływając — niczym górskie strumyki — do ciemnych zakamarków i otwartych skrzyżowań gesowego szkieletu „Urkai”. Kto znał miejsca przecięcia niewidocznych orbit, mógł podsłuchać wszystkich. Tak też podsłuchana została Marianna Heltytka, gdy próbowała przekupić swymi wdziękami jednego z Cyganów, by sporządził aerową truciznę; Cygan spytał, dla kogo to, ona nie odpowiedziała, ale przecież wszyscy dobrze wiedzieli. Podsłuchała to jedna z nawigatorek „Urkai”. Opowiedziała hegemonowi. Nie było przesłuchania, procesu, pytań o winę i próśb o przyznanie się. Omixos kazał wyrzucić Mariannę za burtę.

Związali jej ręce za plecami, wokół lewej kostki zakuli puryniczny łańcuch. Księżycowi doulosi zawlekli ją na rufę łodzi, przymocowali łańcuch do ogona skorpiona i wypchnęli dziewczynę w pustkę. Wszystko to było doskonale widać przez jasne ściany „Podgwiezdnej”; Księżycanie nie patrzyli, lecz pasażerowie zebrali się na rufie. Arianna szlochała bezgłośnie, trąc czołem o gorącą uranoizę. Pan Berbelek stał za nią, ściskając jej ramię. Córka kapłanki kręciła się na długim łańcuchu wokół rozedrganego tysiącem wiecznomakin ogona „Urkai”. Zapewne krzyczała, sądząc po otwartych szeroko ustach, lecz niczego nie słyszeli we wnętrzu łodzi. Przez pierwszą godzinę miotała się tak na uwięzi, próbując się uwolnić z łańcucha tudzież przyciągnąć do ogona; bezskutecznie. Potem zaczęło się na niej tlić ubranie, odpadać co większymi płatami. Spopieliły się powoli także włosy. Kaszlała i drapała się po gardle, mało aeru, zbyt wiele pyru, płuca tego nie wytrzymywały. W trzeciej godzinie zahaczyła biodrem o epicykl jakiegoś większego skrzepu uranoizy i aether wbił się jej w ciało, rozpruwając skórę i mięśnie i miażdżąc kości. Ogień natychmiast wypalił ranę. W czwartej godzinie straciła przytomność. W szóstej ponownie się ocknęła; płonęła już wówczas jej skóra, aether wżerał się w krwawiące ciało, z twarzy pozostała brunatna maska czaszki i naczyń krwionośnych. W siódmej godzinie zza Księżyca wyszło Słońce.

7 Januarius 1194. Dogoniliśmy Księżyc. Wchodzimy wjego sferę Powietrza. Słońce już na dobre wyprzedziło Księżyc, sfery aetheru zapłonęły czerwono, biało iniebiesko. Żyjemy tu wkokonie czarnych jedwabiów, tylko za nimi bezpieczni. Księżycanie chodzą wommatorach zwęglowych kryształów, wyglądają jakby z oczodołów powyrastały im kanciaste kamienie. Mówią,

że to już koniec, że dzisiaj lub jutro wylądujemy. Zaczęliśmy zwijać żagle, czarna powierzchnia Księżyca pod nami, nagle to jest centrum wszechświata, nie Ziemia nad głowami, obrócił się kosmos, nie rozumiem tego, przecież nie może być dwóch środków. Ogon skorpiona bije jak oszalały, aetherowy pancerz wiruje w księżycowym aerze. Spadamy w ciemność.

N
Światło naszej Pani

Płonie, płonie, płonie wszystko, powietrze, woda, ziemia, ciało pana Berbeleka. Nawet gdy stoi w bezruchu pod czarnym niebem — zielona Ziemia pośrodku jednolicie mrocznego nieboskłonu jedynym źródłem światła, noc spowija Księżyc, długa, dwutygodniowa noc — nawet teraz pyr, związany tu z każdą cząstką materii ożywionej i nieożywionej, wżera się przez kirouffę, przez skórę, do kości i do serca pana Berbeleka. Każdy oddech szczypie gardło i kłuje płuca, każde przełknięcie śliny przepala krtań, każdy krok to nowy żar ziemi pod podeszwami stóp (Księżycanie chodzą boso), każdy ruch to ruch przez piekło.

Oczywiście nie widać płomieni, nie widać popiołu, kirouffa nie dymi, skóra pana Berbeleka zaledwie się zaczerwieniła, jak w chorobliwej opaleniźnie. Słońce jeszcze nie wyprzedziło Księżyca na tyle, by pokazać się na niebie ponad krawędzią Krateru Midasa — ale zagęszczenie arche pyru w atmosferze Księżyca nie zależy od pory dnia, pory miesiąca.

Pomimo bowiem iż kratista Illea spędziła tu ponad pół tysiąca lat, nadal nie zdołała przyciągnąć tego globu do postaci całkowicie zbieżnej z jej naturą — ludzką, ziemską, życiodajną, uporządkowaną. Substancja powstaje przecie z takiej Materii, jaka jest akurat dostępna. Księżyc Pani Błogosławieństw rodzi się z Ognia najwyższej sfery Ziemi, z czystej uranoizy oraz z żywiołów niższych, uwalnianych sukcesywnie z cefer aetherycznych, w jakich związane są one we wszystkich ciałach niebieskich. Te pola, te ogrody, sady, winnice, na które pan Berbelek teraz patrzy z grzbietu spielnika, wszystko to powstało i wyrosło z żywiołów samoistnie oczyszczonych z uranoizy w koronie Księżycowej Wiedźmy. Tak oto, w skali stuleci i tysiącleci, czarny, martwy Księżyc przepływa ku Formie raju, złotej krainy urodzaju i szczęścia, jakiej nie dane było Potnii stworzyć ongiś na Sadarze.

Tymczasem jednak jest to dla pana Berbeleka kraina cierpienia. Chodzi powoli i mówi tylko szeptem, powstrzymując się od głębszych oddechów.

Spielnik ciągnął się wzdłuż całego majątku Omixosa, aż do wschodniego zbocza krateru. Podobne żyły uranoizy widoczne są z Ziemi jako jaśniejsze pręgi na twarzy Księżyca, miejsca mocniej odbijające światło.

Kilkadziesiąt lat temu wygładzono powierzchnię owego spielnika i teraz służył jako główna droga wewnętrzna majątku (owe księżycowe latyfundia zwano imopatrami). Prowadziła ona od samego gaju dynastosowego, na południowym zachodzie, do Karuzeli na północnym wschodzie: blizna purynicznego aetheru wystająca z ziemi Księżyca niczym obnażona jego kość, długi na setki stadionów biały piszczel.

Z grzbietu spielnika, z wysokości kilkudziesięciu pusów rozciągał się królewski widok na pola uprawne gryżu i sady, gdzie pracowali chłopi i niewolni Omixosa. Krater Midasa był też źródłem jednego z najpopularniejszych gatunków win księżycowych — nim to Żarnik częstował pana Berbeleka na pokładzie „Urkai”, winem midajskim.

W zielonym świetle Ziemi cała ta panorama sprawiała wrażenie zanurzonej w podmorskim cieniu, jakby Imopatra Midasa leżała w istocie na dnie okeanosu, którego wody uczyniono jakąś tajemną alkimiczną transmutacją zdatnymi do oddychania.

Aurelia Krzos, biegnąc po szczycie spielnika, wyprzedziła Hieronima o dobry stadion; teraz zawróciła. Bratanica Omixosa Żarnika również była urodzonym hyppyresem, twardą muskulaturę jej bezwłosego ciała można by użyć jako wzór dla posągu Artemidy Polującej. Hyppyres z im większą energią się porusza, im większy impet posiada dana część jego ciała, tym więcej pyru wytrąca się na powierzchni ciemnej skóry. Biegnąca truchtem Aurelia z każdym szarpnięciem nóg i ramion wypalała w powietrzu ogniste smugi, których powidok kaleczył źrenice Hieronima; wokół przedramion, a nimi wymachiwała najsilniej, wybuchały na ułamki sekund grzywy białych płomieni. Nawet gdy zatrzymała się po biegu, lekko zadyszana, drobne ogniki tańczyły na jej piersiach, ramionach, czaszce.

— To już niedaleko, za palmami.

Nie miał ochoty tłumaczyć jej, że owe skorupopienne drzewa o gorejących czerwono liściach dzielą z morfą palmy jedynie właśnie nazwę.

Za pyrowymi palmami od spielnika odrywała się niska odnoga perłowego aetheru, pół stadionu dalej zabudowana kratownicowymi konstrukcjami, wieżami i dźwigarami, wokół których krzątało się dwa tuziny ludzi, drugie tyle doulosów. Obracały się tam na krzywych osiach uranoizowe wieczno-

makiny — niezmordowany napęd kołowrotów, spuszczających w dół, w jasno oświetlone szyby, sploty grubych powrozów i czarne łańcuchy. W takich właśnie głębokich kopalniach księżycowych wydobywano czysty pempton stoikheion, nie zmieszany z arche niższych żywiołów; następnie brali go w swe ręce kowale aetheryczni, demiurgosi uranoizy, i skrzywiali jego epicykle, zmieniając jego ruch z ruchu po okręgu wokół Ziemi, jak porusza się w swej aetherycznej naturze reszta Księżyca, na ruch po nowej orbicie: małej jak obwód palca — dla jubilera na wir-pierścionek — albo o średnicy stadionu — na Karuzelę — albo gdzieś pomiędzy, do jakiegoś przemysłowego perpetuum mobile. Kiedyś Midasowa kopalnia uranoizy przynosiła większe dochody i była eksploatowana intensywniej; teraz otwierano ją i zamykano w zależności od fluktuacji cen na księżycowym rynku aetheru.

Aurelia zbiegła na plac przy głównej wieży nad środkowym szybem. Już czekało na nią kilka osób, skłonili głowy, doulos padł na kolana. Zanim pan Berbelek do nich dotarł — schodząc po spielniku równym, spokojnym krokiem, który maskując cierpienie ciała, narzucał zarazem formę pewnego dostojeństwa — zdążyli zdać Aurelii raport z incydentu i wskazać kierunek; pobiegła, machając na Hieronima. Pan Berbelek przystanął na moment w cieniu wieży, w hurgocie kanciastej wiecznomakiny. Ponownie skłonili głowy. Obrzucił ich obojętnym spojrzeniem. Padli na kolana, wolni i niewolni pospołu. Minął ich w milczeniu. Od jakiegoś już czasu nie krył twarzy pod kapturem, wracały doń odruchy przeciwne, anonimowość należy do form ludzi słabych.

Zagnane w zaułek pod hałdą zmielonego urobku, monstrum miotało się bezsilnie na wszystkie strony. Pan Berbelek zamrugał, skupił wzrok. W rzeczywistości anaires się nie przemieszczał, on po prostu sam składał się z ruchu, aether był jego ciałem, wysokoenergetyczna uranoiza rozpędzona w milionie nieskładnych epicykli. Wszystko w nim wirowało, obracało się wokół siebie, ciało wokół ciała, jeśli można w ogóle mówić tu o ciele, bo gdzie ręce, gdzie nogi, gdzie głowa, gdzie tułów, nie ma, nie ma, wiecznoruch zamazuje kontury, gdzie skóra, gdzie mięśnie, gdzie krew — ale przecież to wszystko gna, iskrzy w skrzyżowaniach orbit, trze o ziemię i młóci powietrze, nie członki, lecz wiązki epicykli, nie korpus, lecz oś osi, nie oczy i uszy, lecz wielkie okręgi szybkiego aetheru, przecinające przestrzeń dokoła potwora, jak czułki owada: co dotknie, co zakłóci ruch, o tym bie-

gnie informacja do organizmu. Taki jest jedyny zmysł anairesa, ta chmura aetherycznych drobin rozpylona na kilkanaście pusów wokół kreatury.

Ledwo Aurelia Krzos w nią wstąpiła, potwór szarpnął się jeszcze głębiej w zaułek, rozbijając swoje organy/orbity o zbiegające się tam zbocza hałdy. Najeżył się przy tym w chrobotliwym trzasku i grzechocie lśniącymi epicyklami uranoicznych ostrzy, kolców, zadziorów — a wszystkie one gnające coraz szybciej i szybciej, paniczne tornado aetherycznego śmiecia; jakże musiał być przerażony!

Aurelia obejrzała się przez ramię na pana Berbeleka. Wyszczerzyła zęby, podekscytowana. Na plecach, wzdłuż kręgosłupa, i wokół długich mięśni jej ramion rozwijały się błękitne i czerwone języki ognia.

— Esthlos! Patrz!

Rzuciła się w przód, wprost na potwora. Było to tak nagłe, że na ułamek sekundy w ogóle znikła Hieronimowi z oczu, stał zbyt blisko — zresztą zniknęłaby mu tak czy owak, musiał osłonić twarz, podmuch ognia uderzył go jak miękka pięść Heliosa. Zdołał odtworzyć ruch Aurelii z powidoku wypalonego na źrenicach — jak, otoczona słupem pyru, wpada na potwora i sięgnąwszy z zamachu prawą ręką do jego wnętrza, rozrywa go w pusty chaos. Nastąpił huk, jakby wysadzono w powietrze kuźnię lub warsztat mekanikosa, po czym na wszystkie strony — w tym na pana Berbeleka, osłaniającego głowę przedramieniem — poleciała ulewa drobnych odłamków aetheru, uwolnionego na otwarte orbity spod morfy zabitego zwierza.

Ryter pyru obróciła się do pana Berbeleka. Sycząc przez zaciśnięte zęby, ścierała ze skóry spieczoną krew z tysięcy ran. Większość wrogiego aetheru została spalona w jej ogniu, lecz nawet już płonąc, kaleczył on ciało dziewczyny. W najgłębszym rozcięciu, na lewych żebrach, skwierczał jasny żar, pręga okrutnej bieli od piersi do pępka.

— Oj — sapnęła, postępując niepewnie ku Hieronimowi. — Dużo. Zaraz. Usiądę.

Pan Berbelek wykonał krótki gest w stronę kilkunastu górników zebranych przy drugim końcu hałdy. Podbiegli, ujęli hyppyresa pod ramiona, wyprowadzili pod spielnik. Ktoś przyniósł kwiatorzec, rozścielił na ziemi, ktoś inny przydźwigał butlę wina, dwaj doulosi przytargali kandżę purynicznego hydoru i jęli obmywać Aurelię, ledwo spoczęła na kwiatorcu. Pan Berbelek przysiadł obok, skrzyżowawszy nogi.

Gapie schodzili się zewsząd, rósł szmer ich szeptanych rozmów.

— Precz! — warknął pan Berbelek.

Na kogo spojrzał, ten, nie potrafiąc zignorować wzroku esthlosa, szybko wycofywał się poza jego zasięg. Nie minęło pięć minut, a pochowali się nawet nadzorcy wind kopalnianych.

Krzos przekleństwem odpędziła również doulosów. Westchnąwszy głośno, wyciągnęła się na wznak na fiołkowym kwiatorcu. Hieronim sięgnął powoli po butlę i kielich, nalał sobie wina.

Minęły trzy dni od przybycia pana Berbeleka na Księżyc — trzy dni, bo trzy razy okrążyli Ziemię, trzy razy powtórzyły się nad panem Berbelekiem kształty brunatnych kontynentów i zielonych mórz, zawsze w podobnym malunku światła i cienia. Hieronim widział to tym lepiej, że czarne niebo z nieruchomą Ziemią stanowiło jedyny dach księżycowych domów, nie wznoszono tu piętrowych budowli, a parterowych nie było sensu kryć. Deszcze padały bardzo rzadko (opowiadano o nich potem miesiącami), mocniejsze wiatry również się nie zdarzały, temperatura była stała. Raz na miesiąc, o wschodzie Słońca, po powierzchni Księżyca przechodziła długa fala gęstej mgły, która skraplała się następnie w kałuże purynicznego hydoru — to był Dzień Oczyszczenia.

Księżycanie żyli na otwartych przestrzeniach, nieczęsto uciekając między ściany. Gaj dynastosowy rodu Żarnika był właśnie tym: gajem, gajem przemyślnie zmorfowanych drzew i krzewów, regularnym labiryntem ognistej flory Księżyca. Przez pierwsze kilkanaście godzin pan Berbelek — ledwo zszedłszy z pokładu „Podgwiezdnej”, która zaraz udała się w dalszą drogę, Omixos miał czas tylko przywitać się z rodziną i przekazać Hieronima w pieczę brata — przez pierwszy dzień pan Berbelek leżał na gorącym runie swej polany, przepalany na wylot pyrowym powietrzem Księżyca, to śpiąc, to budząc się, z Ziemią nad głową, doglądany przez domowych doulosów, którzy obmywali jego ciało chłodną wodą, ale i to nie przynosiło ulgi, bo ten źródlanie zimny hydor również palił mu skórę, aż różowy od rozpuszczonego w nim pyru.

Taki był Dzień Oczyszczenia pana Berbeleka. Leżąc tam w cichej męce, palony od wewnątrz i od zewnątrz, sam na sam ze swym chrapliwym oddechem i cudownie piękną planetą przed oczyma, przechodził Hieronim rytuał puryfikacji duszy.

Czy naprawdę to, co czuje, ta nieukierunkowana, cicha wściekłość, kolczasta makina gniewu w jego piersi, nakręcona gdzieś pod strasznym słoń-

cem Afryki — czy więc to zemsta właśnie nim porusza, pragnienie zemsty za syna? I czymże jest owo pragnienie, jeśli nie rodzajem chęci zadośćuczynienia za zranienie dumy? Tak mszczą się aristokraci: przez równość poniżeń. Cierpienie poniża, poniża słabość odczuta i okazana, poniża tęsknota, miłość poniża — w oczach cudzych i własnych. Przecież nie o to chodzi, by zmarły poczuł się lepiej, skoro sprawca jego śmierci zginie; zmarłemu żadne zadośćuczynienie nie pomoże. Można, co prawda, wierzyć w te lub inne prawa rządzące zaświatami i działać podług owej wiary; nie był to jednak przypadek pana Berbeleka, który zwykł był ordynować śmierć w takich ilościach, że na podejrzenie istnienia jakichkolwiek zaświatów po prostu nie mógł sobie pozwolić. Można jeszcze dopatrywać się motywów dla zemsty w dążeniu do sprawiedliwości. O ile jednak zemsta jest wymierzeniem sprawiedliwości, o tyle nie jest zemstą; i o ile sprawiedliwość jest zemstą, o tyle nie jest sprawiedliwością. Panu Berbelekowi wszakże ani postało w głowie szukać ratunku w miarach sprawiedliwości — to droga doulosów. Mści się zawsze dla siebie i za siebie samego.

Bo to też jest Forma, i jakże potężna — ojciec-mściciel! Na pewno silniejsza od Formy starego kochanka. Czyż trzeba dodatkowych motywów? Tak samo, jak zaplanował był swe pożądanie Szulimy — gdy jeszcze jej nie pożądał — tak samo dziś już widział się w tych nowych postaciach: Berbeleka-kratistobójcy, Berbeleka-strategosa Księżyca. One wzajem się wykluczały, ale to nie miało znaczenia; ojciec-mściciel i tak odchodził w cień. Jeśliby teraz zabił Illeę, to już nie z zemsty przecież.

Zabić Illeę — bo słowa Omixosa Żarnika wciąż brzmiały mu w uszach. Nie dociekał, jaka myśl za nimi stała; wyobrażenie już żyło swoim życiem. Kratistobójca! Czuł, jak ta morfa go powoli a nieubłaganie przyciąga, niczym wąż zahipnotyzowanego królika.

Zabić Illeę — nie był w stanie wyciągnąć sztyletu nawet na jej córkę. Rozumując więc pod dzisiejszą morfą — pan Berbelek płonący w milczeniu w midasowym gaju, pod zieloną Ziemią — nie widział tu dla siebie szansy. O wiele bardziej prawdopodobne zdawało mu się zapadnięcie w alternatywną Formę. Strategos Księżyca. Armie Pani. Największa bitwa wszech czasów. Wiedziały, że go skuszą. Nie byłby sobą, gdyby odrzucił ofertę. Zemsta? To też egoizm, tylko innego koloru. Zresztą przyczyna śmierci Abla była taka sama jak przyczyna śmierci każdego człowieka:

Abel zginął, bo był Ablem. Gdyby był kim innym, nadal by żył. Tak czy owak, czas Abla na tym świecie dobiegł końca.

Ale potem pan Berbelek zamykał oczy i znowu na moment zwyciężał ojciec-mściciel. To był mój syn! Gdyby nie Szulima! Gdyby nie Skoliodoi! Gdyby nie Illea!

Bezpłomienny ogień oczyszczał go z myśli fałszywych i Form przypadkowych.

Wreszcie podniósł się na nogi i wyprostował w bólu — Hieronim Berbelek i wszystko to, co nim jest, i nic, co nim nie jest.

Powiedzieli mu, że Ziemianie adaptują się po tygodniu-dwóch, pyr wchodzi do ich organizmów, wyrównują się proporcje arche i w końcu przestają oni nawet odczuwać ból, żyjąc w atmosferze Księżyca. Tak zresztą opisywał to Elking. Pan Berbelek powiedział sobie: drugiego dnia chodzę, trzeciego dnia jem i piję, prowadzę towarzyskie konwersacje, czwartego dnia jestem Księżycaninem. Plan powiódł się połowicznie. Można narzucić swemu ciału morfę ignorowania bólu, nie można narzucić światu morfy ignorowania ciała. Chyba że jest się aż tak szalonym kratistosem.

— Myślałem, że masz więcej rozsądku. Przecież sami mogli go zatłuc kijami. Prawda? To chyba nie jest zwykły sposób, ta twoja szarża. Masz, napij się.

Lewą dłonią drapała się po rozżarzonej ranie.

— Widziałam, jak ojciec tak zabił jednego. To są najsłabsze anairesy, te ze środka jej anthosu. Rzeczywiście, mogliby sobie z nim sami poradzić. Ale prawo jest prawo.

— Często tak?

— Niee. Prawie w ogóle. Ale jak się na powrót uruchamia kopalnię, zawsze coś tam z ciemności wyskoczy. Głupie to, słabe, zdezorientowane; zaganiają gdzieś w kąt i posyłają gońca do gaju.

Wstała, odetchnęła głębiej. Podskoczyła kilka razy, uderzyła się pięścią w mostek, zamachała ramionami, zafurkotały płomienie.

— Kiedyś, na początku, gdy Pani przybyła na Księżyc nagiej aetherowej skały i rozpędzonego w orbitalnych wichurach Ognia, one były tu jedyną naturalną formą życia. Anairesy, Wydobywane z Głębin. Jak rodzi się najpodlejsze robactwo, z wody, gnoju, błota, ciepłej ziemi, wilgotnego brudu — przecież u was na dole jest tak samo, prawda?

— Tak. Początek życia, samorództwo. Glisty, muchy, karaluchy, dżdżownice.

— No właśnie. Żywa morfa porusza martwą hile. — Usiadła z powrotem, dolała sobie więcej wina. — Więc wtedy była tu tylko morfa Pani i hile uranoiczna. I na granicy anthosu Illei, gdzie najsłabsza równowaga i Forma złamana, poczęły się wyłaniać z głębin morfowanego Księżyca samonarodzone bestie brudnych żywiołów. Tysiące, dziesiątki tysięcy anairesów okrążały ludzi, napadały, niszczyły plony, łamały młode jeszcze drzewa. Próbowały dopaść nawet samą Illeę.

— Działały w porozumieniu? Mówisz tak, jakby miały plan.

— Noo, jak stado. Nie wiem. — Trzepnęła otwartą dłonią o udo. — Tak piszą historycy. W każdym razie wielu ludzi zginęło. I Pani powołała wówczas Jeźdźców Ognia, by chronili ludzi przed anairesami, Pani urodziła Hierokrisa Pięknego. My bowiem możemy wyjść poza anthos Illei, w dziki Księżyc, w pustkę pyru i aetheru, możemy walczyć w sferach niebieskich, pod Słońcem i w ciemności, w biegu kosmicznych epicykli. Znaleźć i zabić anairesy na samej granicy kraju Pani i poza tą granicą, zanim wejdą na ziemie zamieszkałe — tam, gdzie się one samorodzą, a jeszcze lepiej zabić nienarodzone, nadal martwe. I tak od wieków — pełnimy straż. Anthos Pani obejmuje już prawie całą Niską Stronę, granica przebiega daleko stąd, ale jest znacznie dłuższa niż wtedy. Nie rodzą się już zresztą tak często, nie w takich ilościach.

— W końcu Illea zamknie w swej koronie cały Księżyc.

— Tak, kiedyś. Może wtedy staniemy się tacy jak wy. Mówią, że na dole, na Ziemi ryter to tylko tytuł honorowy, który można sobie kupić, nawet gdy nigdy się nie walczyło i nigdy nie będzie się o nic walczyć; że nawet nie aristokraci sobie te tytuły kupują.

— To prawda.

— Moi rodzice, moi dziadkowie i pradziadkowie, moi kuzyni i siostra, wszyscy to hyppyroi. Nasze morfy są ostre i silne, moglibyśmy żyć sto, sto pięćdziesiąt lat. Tak mówią. Ale nikt nie żyje. Hyppyroi giną w boju.

— Zginiesz.

— Tak. — Odstawiła kielich, ponownie położyła się na kwiatercu, wsuwając ręce pod głowę. — Nie ma cmentarzy. Gdy Forma pęka, pyr zwycięża i przepala nas na popiół, pochłania nas ziemia, tam, gdzie zginęliśmy, pochłania nas Księżyc.

— Rodzinne legendy… — mruknął pan Berbelek. — Tak, jest ci to zapewne przeznaczone. A nie wyobrażałaś sobie nigdy innej przyszłości? Wiesz, dzieci się buntują. Forma przeciw formie: kopia lub odwrotność.

Zaśmiała się.

— Ale to właśnie jest mój bunt!

— Przeciwko czemu? Przeciwko komu?

— Sobie samej. Wyobraziłam się sobie i wybrałam siebie, którą się stałam. Ja. Aurelia Krzos. Bo chcę.

— I koniec.

— Noo, oczywiście jestem ciekawa, jak tam jest. — Wskazała Ziemię zawieszoną nad nimi pośrodku ciemnego nieba. — Myślisz, że mogłabym…? Ale nie po prostu polecieć z wujem tam i z powrotem — tylko swobodnie wędrować po powierzchni, w przebraniu, w miastach, między ludźmi. Esthlos? Czy to jednak nie nazbyt niebezpieczne? Co byście sobie pomyśleli?

— Że jesteś demiurgosem ognia.

— Jestem demiurgosem ognia.

— Ha!

Naraz pan Berbelek obrócił się na kwiatorcu, nachylił nad Aurelią.

— A chcesz?

— Co?

— Bo ja tam wrócę. Prędzej czy później. Omixos dawno już ich powiadomił, przyślą po mnie. I jakiekolwiek Pani ma wobec mnie plany… Skoro potrzebuje strategosa… Ja tam wrócę. Z armią lub bez. Więc jak?

Iskry zaczęły strzelać z kącików szeroko otwartych oczu hyppyresa, smugi dymu pojawiły się między jej brązowymi wargami.

— Jako kto?

Teraz on się zaśmiał.

— Nie, dziecko, wcale nie marzę o nocnym całopaleniu, płonące łoża pozostawmy poetom. Jako moja — mój żołnierz.

Usiadła.

— Nie złożę ci przysięgi.

— Czy ja cię proszę o przysięgę?

— Esthlos…

Wyczuwała pułapkę, lecz była zbyt młoda, by ją rozpoznać. A najgroźniejsi są właśnie ci, którzy żadnych przysiąg nie potrzebują.

Rozdrapywała w zamyśleniu gorącą ranę. Spoglądając na pana Berbeleka, przekrzywiała głowę, wydymała policzek, unosiła wymorfowaną z czarnego koralu, bezwłosą brew. Znał tę formę.

— Panna Wieczorna czeka na mnie — rzekł. — Wrócę tam, z tobą lub bez ciebie.

Wyciągnął rękę. Energicznym ruchem złapała go za przedramię, uścisnęła.

Skrzywił się z bólu. Płonie, płonie, płonie wszystko.

— Hierokharis, syn Hierokrisa, syna kratisty Illei Kollotropyjskiej, Pani Księżyca, kyrios, kyrios, kyrios, Pierwszy Hyppyres, Ogień na Jej Dłoni, Hegemon Księżyca, do esthlosa Hieronima Berbeleka, Strategosa Europy, w gościnie rytera Omixosa Żarnika, w powitaniu i z darami ziemi, po trzykroć, przybył.

Dźwięk gongu niósł się po gaju, przechodząc długą falą przez ogniste żywopłoty i zawinięte wokół altanowych szkieletów gęstwy żar-powojów. Był szósty dzień pobytu pana Berbeleka na Księżycu, godzina Herdonu (Herdon świecił spod granicy cienia przecinającej Ziemię).

Hierokharis przybył w aetherowej karocy, ciągnionej przez dwójkę apoxów, koni księżycowych o ognistych grzywach i ogonach. Towarzyszyła mu skromna świta: dwoje hyppyroi, sekretarz i tuzin sług. Słudzy przydźwigali od karocy skrzynię z darami. Otworzyli ją przed siedzącym pod wierzbą polany biesiadnej esthlosem Hieronimem Berbelekiem. W skrzyni wirowały aetheryczne majstersztyki księżycowego rzemiosła, płonęły gwiazdowym żarem prześwietne stroje kroju illeicznego.

Pan Berbelek wstał, skłonił głowę. Hierokharis podszedł doń, szeroko uśmiechnięty i równie wylewny w geście i manierze, co wszyscy hyppyroi, ich charaktery ogniste jak ich ciała, gorąca serdeczność lub piekielny gniew; podszedł, uścisnął nadgarstek pana Berbeleka, klepnął go w ramię.

— Esthlos! Musiałem przekonać się na własne oczy, czy tym razem wybrała dobrze!

Pan Berbelek uśmiechnął się powściągliwie. W głowie wybuchnął mu szrapnel tysiąca nowych podejrzeń. „Tym razem”! Nic jednak nie powiedział.

W gaju midajskim planowano od razu wielką ucztę na cześć wnuka Pani, lecz Hierokharis szybko ogłosił, że wyjeżdża, gdy tylko esthlos Berbelek

się spakuje. A cóż miał Hieronim do pakowania, cały jego bagaż nadal mieścił się w jednym plecaku — no i w tym kufrze z darami, który służący Hegemona Księżyca zaraz zanieśli z powrotem do karocy. Pożegnania również nie trwały długo, krótkie uściski rąk, z Aurelią Krzos równie krótki, tylko uśmiechnęła się szerzej i jaśniejsze skry strzeliły w jej oczach. Pan Berbelek zasznurował jeszcze kirouffę, zaciągnął mocniej rzemienie pochwy sztyletu, przytknął do nozdrza białą rurkę amuletu, policzył do siedmiu — i opuścił gaj.

Kareta — pozbawiona dachu ażurowa makina uranoizowa, o sześciu olbrzymich kołach i sześciu jeszcze większych kołach zamachowych, perpetua mobilia, wirujących nieprzerwanie wysoko ponad jej konstrukcją. Zatrzaskiwano je na dolnych osiach na czas jazdy i przesuwano wzwyż dla zatrzymania ruchu wozu. Z aetheru wykonana była także cała górna część karocy, skomponowana z symetrycznych epicykli uranoizowych wachlarzy, otwierających się i zamykających baldachimów, klaszczących miękko siatek hydoroporowych.

Długa na czterdzieści pusów, szeroka na pusów piętnaście kareta Pierwszego Hyppyresa nie była zatem tak naprawdę ciągniona przez tę parę apoxów — nimi woźnica powodował za pomocą wodzów i ognistego bicza dla zmiany kierunku jazdy, czego już nie sposób było czynić wyłącznie przez manipulację stałymi orbitami wiecznomakin.

Woźnica krzyknął, strzelił batem, konie prychnęły dymem, perpetua mobilia opadły na tryby żelaznych kół — ruszyli.

Hierokharis i pan Berbelek siedzieli w środkowej części powozu, przed kratownicami zabezpieczającymi bagaże, a za niższym przedziałem służby, schowanym częściowo pod siedzeniem woźnicy. Podłoga karocy także składała się z twardodrzewnych kratownic, jeno szlachetniej rzeźbionych i tworzących bardziej skomplikowane szkielety. Pan Berbelek obserwował przez nie przemykającą pod nimi coraz szybciej Ziemię. Wkrótce wjechali na spielnik, aetheryczna kość Księżyca zalśniła pod stopami pasażerów.

— Musimy zdążyć przed Dies Solis, Illea chce z tobą pomówić, zanim wyjedzie na urodziny Rakatoszu.

Pan Berbelek uniósł pytająco brew.

Hierokharis machnął ręką na południe.

— Nowe miasto, tysiąc stadionów od równika.

Księżycowy równik wykreślano na mapach globu wzdłuż linii blasku Ziemi i granicy Odwróconej Strony.

— Midas leży — ile, sześćset stadionów od Labiryntu? — mruknął pan Berbelek. — Szybko.

— Sprzedaliśmy kilka takich karet na Ziemie Gaudata, mają tam wielkie, płaskie pustynie, na których padają nawet najwytrzymalsze zwierzęta. — Hierokharis wskazał ruchem głowy zieloną latarnię na niebie. Południowy, trapezowaty kontynent nie był jeszcze widoczny. — Ale okazało się, że sofistesi mają rację, w tak niskich sferach aether jest zbyt niestabilny, po kilku tygodniach makiny zaczynają się rozpadać, uranoiza wyrywa się na wyższe orbity, każdy żywioł dąży do swej sfery.

— W Herdonie ponoć testowali automatony napędzane aerem o Formie aetherycznej.

Hegemon trzepnął dłonią o udo.

— To już prędzej.

Dotarli pod wschodnie zbocze krateru, zjechali ze spielnika, zataczając szeroki półokrąg, by wjechać na rampę Karuzeli. Woźnica szarpnął za rzeźbioną w smoki i mantikory wajchę i podniósł koła zamachowe karety. Apoxy ciągnęły wóz powoli, podchodząc do krawędzi rampy. Gigantyczna Karuzela, wiecznomakina skonstruowana na długiej na kilka stadionów obręczy białego aetheru, obracała się z gwiazdową powolnością: od dna do szczytu krateru prawie dwie godziny. Ale też właśnie dzięki tej powolności wóz Hegemona mógł bezpiecznie wjechać na jedną z wbudowanych w uranoizową obręcz gesowych platform. Platformy stabilizowały się nieustannie do poziomu, trzeszcząc w zawieszeniu na osiach grubych jak pień baobabu.

Pasażerowie wysiedli z karocy. Pan Berbelek podszedł do poręczy — dno Krateru Midasa już się oddalało, stopniowo zmieniała się perspektywa panoramy zanurzonych w seledynowej poświacie pól, sadów, winnic, gajów. Pan Berbelek uniósł głowę. Wysoko, nad grzbietem zbocza krateru płonęły ognie górnej rampy, symetryczny trójkąt wysunięty z cienia stoku w gwiaździste niebo.

Karuzela skrzypiała i chrobotała, w osi platformy co chwila coś strzelało ostro, klekotały aetheryczne wiry karety, rżały zaniepokojone rumaki pyrowe.

— Co u niej? — spytał Hierokharis, przystanąwszy przy balustradzie obok pana Berbeleka.

— Mhm?

— Nie widzieliśmy się od ponad dwudziestu lat.

Pan Berbelek wyjął z kieszeni kirouffy tytońcówkę, wybrał z namysłem długiego tytońca — po zapałki sięgnąć nie zdążył, hyppyres strzelił palcami, spod paznokci trysnął niebieski ogień.

— Dziękuję. Kiedy ostatnio ją widziałem, miała się całkiem nieźle.

Hierokharis zaśmiał się serdecznie.

— Och, poznałbym choćby po tym sarkazmie jej mężczyzn! Damien do tej pory nie może się zdecydować, czy ją znienawidzić.

— Damien?

— Szard. Może go spotkasz. Ale przeprowadził się ostatnio do Erzu, za Morze Kruków.

Damien Szard, Damien Szard — tak, Aneis pisał o nim w swoich raportach. Poprzedni alexandryjski kochanek Szulimy, który ponoć zginął na okeanosie. Nie zginął na okeanosie.

— Nie posiadał on sławy wielkiego strategosa. — Pan Berbelek dmuchnął, dym zamigotał w przesyconej pyrem atmosferze.

Hierokharis spojrzał dziwnie na Hieronima.

— A co ona właściwie ci powiedziała, esthlos? To, że jesteś strategosem, to dodatkowe szczęście; nie strategosa przecież szukaliśmy.

Pan Berbelek wyprostował się, obrócił do hyppyresa. Był odeń wyższy o ponad tuk.

— Odbiorę ci władzę — rzekł. — Jeśli Pani powierzy mi dowództwo. — Strzepnął popiół z tytońca, wysunął do przodu prawą stopę, lewą dłoń złożył na poręczy. — Taka jest nieunikniona konsekwencja. Ukorzysz się, gdy zażąda?

Wokół czaszki i na ramionach Hierokharisa strzeliły krótkie płomienie. Służący przestali rozmawiać, sekretarz postąpił ku niemu dwa kroki. Karuzela trzeszczała głośno w księżycowej ciszy.

Pan Berbelek nie odwracał wzroku. Uniósł powoli tytońca do warg.

— Ha! — zaśmiał się wtem Hierokharis. — Przecież tak naprawdę ty nie wiesz, co cię czeka! Esthlos! Czy sądzisz, że ci dwaj przed tobą — że Pani ich odrzuciła? Nie. Szukaliśmy dalej, bo okazali się zbyt słabi.

— A ty?

— Ja wiem, że jestem zbyt słaby. Tu przecież nie chodzi o dowodzenie w bitwie.

— Szukacie kratistobójcy.

Hierokharis przechylił głowę.

— Tak, można tak powiedzieć. Chociaż oczywiście to będzie tysiąc razy trudniejsze.

Pan Berbelek żachnął się. Historia nie zna przypadku, by kratista lub kratistos zginęli z ręki kogoś innego niż jeszcze silniejsza kratista lub kratistos, jedynie tępy lud powtarza sobie bajki o Izydorze Rodyjskim i bohaterskich pasterzach wstępujących na trony. Z definicji, kto zwyciężył kratistosa, zaprawdę jest Najpotężniejszy. Tysiąc razy trudniejsze? Toż to bełkot.

— Dlaczego nie powiesz mi tego jasno i bez aluzji?

— Skoro Szulima ci nie powiedziała… Pani będzie wiedziała, jak najlepiej zarzucić na ciebie sieć. — Hyppyres wyszczerzył białe zęby. — Esthlos. Zresztą to nadal jest tajemnica.

— Ryter Żarnik wiedział.

— Owszem, niektórzy hyppyroi stoczyli już pierwsze potyczki.

Pan Berbelek cisnął niedopałek poza platformę, ku odległym polom midajskim. Byli coraz bliżej szczytu krateru.

— Ale ty chciałeś mnie zobaczyć, zanim jeszcze stanę twarzą w twarz z Panią. Ty się spodziewasz, że ona złoży mi taką ofertę i będziesz musiał ustąpić mi miejsca.

— Tak, chciałem się z tobą spotkać, zanim ona się z tobą spotka. Póki jesteś tym Hieronimem Berbelekiem, o którym pisała mi Szulima.

Gdy wyjechali z Karuzeli na zewnętrzny stok Krateru Midasa, otworzyła się przed nimi panorama księżycowego królestwa Illei, równiny, doliny, rzeki, jeziora i morza, niższe kratery i niższe góry, aż po horyzont, niezbyt przecież odległy, jako że Księżyc jest znacznie mniejszy od Ziemi, 35000 stadionów obwodu, jak Hierokharis poinformował pana Berbeleka podczas któregoś z nielicznych postojów.

Woźnice zmieniali się na koźle, apoxy potrafiły biec bez przerwy przez kilkanaście dni, nie męcząc się i nie potrzebując snu, ich organizmy zgrane są z miesięcznym cyklem słonecznym — a perpetua mobilia nie męczyły się nigdy. Pędzili więc przez Księżyc prawie w ogóle się nie zatrzymując, kunsztowna makina srebrnego aetheru, rozedrganego na tysiącu misternych orbit — smuga rozstrzępionego blasku dla oczu mijanych Księżycan. Księżyc pokrywała sieć Dróg Pani, po części wykorzystujących grzbiety naturalnych spielników, a po części wymorfowanych z żużlowego gesu; sieć

tym gęstsza, im bardziej się zbliżali do serca anthosu Illei. Coraz gęstszy był także ruch na nich — lecz nie zwalniali. Wszyscy inni podróżni ustępowali przed widoczną z daleka karetą potomka Pani. Zaiste, był to kraj harmonii, naturalnego porządku odciśniętego w kerosie tak głęboko, że zapewne nie spisywanego już w żadnych prawach. Pan Berbelek dopiero teraz zdał sobie sprawę, obok kogo właściwie siedzi w aetherycznym powozie, komu rzucił wyzwanie i kto się przed nim cofnął, naprawdę ugiął się i ustąpił: Władca Księżyca, druga na nim osoba po kratiście Illei, dzierżyciel potęgi militarnej, której prawdziwych rozmiarów Hieronim dopiero zaczynał się domyślać.

Tymczasem rozmawiali o banałach, wymieniali anegdoty, Hierokharis opowiadał historię mijanych miejsc, pan Berbelek — śmieszne i straszne legendy o Księżycu krążące na Ziemi. Hierokharis kilkakrotnie zapadł również w melancholijne wspomnienia o dzieciństwie spędzonym z Szulimą. Był od niej młodszy o prawie sto lat. Ona pierwsza zabierała go na wycieczki do pyrowych puszcz, z nią pierwszą żeglował po gorących morzach Księżyca, pod jej okiem ustrzelił pierwszego anairesa, jej szeptał w sekrecie o swych pierwszych miłościach, na jej rozkaz wykonał pierwszy wyrok, wykrawając serce kakantropa. Pochodzili z nasienia różnych mężczyzn (ojcem Szulimy był Adam Amitace, teknites psyche, dziadkiem Hierokharisa — Urax, ares), lecz najsilniejsza w nich pozostawała przecież morfa Illei i podobieństwo przeważało.

— Pamiętasz go? — pytał pan Berbelek.

— Kogo?

— Jej ojca, esthlosa Amitace.

— Zmarł przed moimi narodzinami.

— Ach. No tak. Los śmiertelników pokochanych przez bogów.

— Przynajmniej zakładasz, że naprawdę go kochała — zaśmiał się Hierokharis. — Dzięki i za to.

— Ona go kochała, ale on m u s i a ł ją kochać. Między silnymi a słabymi nie ma miłości, przyjaźni, szacunku, wdzięczności. Jest tylko gwałt.

— Tak mówią — mruknął Hierokharis. — Być może jednak dla kratistosów naprawdę potężnych i ta niemożliwość staje się możliwa.

O godzinie Azji w Dies Solis — a Słońce naprawdę już wstawało nad Księżycem, przegoniwszy go dalece w comiesięcznym wyścigu dokoła Ziemi — kareta minęła Przełęcz Tronową i zjechała na Abazon, centralny pła-

skowyż zawinięty wzdłuż brzegu Morza Poronnego. Od rozpuszczonego w jego wodach pyru wysokie fale płytkiego morza nabierały w świetle słonecznym barwy bladego różu, w nocy zaś — brudnego, rozgotowanego cukru.

Na Abazonie rozciągał się Labirynt. Dom Pani, pieczęć jej aury, Miasto Harmonii, stolica Księżyca, miejsce początku, gdzie wylądowała po Wygnaniu i skąd jej anthos począł obejmować glob; Czwarty Labirynt. Ziemianie mogli go dostrzec na twarzy Księżyca jako małą trójkątną mozaikę, astronomiczną broszę splecioną z setek geometrycznych linii. Spoglądający przez lunety astrologowie odrysowywali jego kształty z detaliczną precyzją, przez dziesięciolecia spierając się między sobą o solidność owych obserwacji. Labirynt bowiem nie posiadał stałej formy, zmieniał się w czasie; jego Formą była zasada regularności, nie zaś konkretna postać fizyczna. To już było centrum korony Illei, oś jej morfy, osadzona w kerosie tak mocno i głęboko, że w jakimś sensie sam Labirynt był Illeą — podobnie jak poniekąd były Czarnoksiężnikiem straszne geomorfie gór Uralu.

Labirynt ciągnął się dwadzieścia stadionów wzdłuż brzegu morza i pięćdziesiąt stadionów w głąb lądu — równoramienny trójkąt jasnych świateł i drżącego aetheru. Wjeżdżali weń od północnego zachodu, między szeregami młynów uranoizowych, mielących księżycowe zboża z północnych farm. Tu już musieli zwolnić, woźnica uniósł perpetua mobilia karety, apoxy same ciągnęły aetheryczną konstrukcję. Pan Berbelek rozglądał się po alejach i placach Labiryntu. Jego ściany to zbite masy ognistej roślinności, naturalne formacje skalne, morfunki Ziemi i Ognia; część Labiryntu leży pod powierzchnią Księżyca. Jego ściany to także wielkie, skomplikowane makiny zawieszone na pajęczych perpetua mobilia, świecących na niebie nad Labiryntem w runicznych konstelacjach — ich obroty determinują zmiany konfiguracji Labiryntu. Tak przesuwają się ulice, strumyki przeskakują z koryta do koryta, polany i gaje dynastosowe to wyłaniają się na światło, to pogrążają w cieniu, całe dzielnice to zapadają się pod ziemię, to wypływają ponad Labirynt na spielnikowych szkieletach, wokół pyrowych baobabów zawijają się i rozwijają spirale powietrznych domów, pałace ognistej flory odwracają się tyłem do alei, zmieniają kierunek same aleje.

O tej porze pełno na nich ludzi i wzburzenie kerosu wpływa także na morfy pasażerów otoczonej przez tłum karety. Pierwszy Hyppyres nachyla

się ku panu Berbelekowi, lewą ręką ściska go za ramię, prawą wskazuje ponad płomiennymi grzywami apoxów, ku centrum Labiryntu.

Hałas jest zbyt wielki, Hierokharis mówi głośno wprost do ucha pana Berbeleka.

— Potem cię poprowadzę. Nie odstępuj mnie ani na krok, bo się zgubisz. W karecie zostawisz całe odzienie, wszystkie przedmioty noszone na ciele i w ciele. Opróżnisz pęcherz i jelita. Dam ci się napić purynicznego hydoru; jeśli zwymiotujesz przed nią, to lepiej czystą wodą. Na koniec dostaniesz cierń różany. Trzymaj go w dłoni; gdy poczujesz, że tracisz przytomność lub nie możesz myśleć, zaciskaj pięść. Krew jest dozwolona.

— Co powinienem…?

— Nie ma etykiety, nie ma rytuału. Rytuał jest wyryty w kerosie. Zachowasz się, jak będziesz musiał się zachować. Czy sądzisz, że byłbyś w stanie w jakikolwiek sposób ją obrazić?

— Wiem, że nie. Nie jesteśmy ludźmi. Nie posiadamy własnej woli. Rządzi nami ich Forma.

— Wjeżdżamy.

Labiryntu nie otaczają żadne mury obronne, zewnętrzne ni wewnętrzne, nie istnieje granica między miastem zwykłych Księżycan a ogrodami, pałacami i jaskiniami Pani. Nie ma bram, fos, furt, drzwi, łańcuchów, straży. Każdy może wejść. I wyłącznie od jego morfy zależy, jaką wybierze drogę, jaką drogę pomyśleć jest w stanie jego umysł. Tak głęboko więc dotrze przez dzielnice regularnych ogrodów i altan mieszkalnych: na Trzy Rynki, gdzie co godzina ustalane są nowe ceny każdego towaru i z ręki do ręki przechodzą fortuny w aetherze, złocie i tabliczkach illeackich; głębiej, do księżycowych akademei ukrytych w parnych żar-gajach; jeszcze głębiej, do biur świątynnych, gdzie w tajemnych językach zapomnianych kultów spisywane są nieprzerwanie statystyki całej gospodarki Księżyca; jeszcze głębiej, do sanktuariów ofiarnych, gdzie za symboliczną lub śmiertelną ofiarę Pani lub jej kapłani-teknitesi spełnią lub nie spełnią prośbę ofiarnika; i najgłębiej, do serca Labiryntu, przed oblicze Illei Okrutnej.

— Pani.

— Wstań.

Wstaje.

Trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście.

— Liczysz?

— Muszę.

— Chodź.

Idzie.

Wysoko na niebie — oświetlona niemal w połowie Ziemia, przesłonięta przez ażurową wiecznomakinę, obracającą się powoli na pochyłej osi ponad samym środkiem Labiryntu.

— Jesteś wyższy.

— Tak.

Idą przez cieniste gaje. Drzewa są tu młode, niskie, pyr w ich liściach i korze gorzeje głęboką czerwienią. Po ciepłej, wilgotnej ziemi przemykają czarne węże, dziesiątki drobnych ciał. Pan Berbelek stąpa zapatrzony pod nogi.

— Spójrz mi w oczy.

— Pani…

— Spójrz mi w oczy.

Pan Berbelek unosi wzrok.

— Mnie w twarz nie spluniesz, prawda?

Pan Berbelek wybucha śmiechem.

— Dobrze. I tak nie mogłabym ci poświęcić dziś wiele czasu. Pojedziesz na Drugą Stronę, do Odwróconego Więzienia.

— Pani…

— Pojedziesz, mój Hieronimie, pojedziesz. Wiesz, dlaczego w ogóle się tu znalazłeś? Dlaczego wybrała się do Europy, dlaczego wyciągnęła cię z Vodenburga, przywróciła do życia, powiodła do Afryki? Pisała mi, że jeśli jakikolwiek człowiek jest w stanie to zrobić, to właśnie ty, który stanąłeś przeciw Czarnoksiężnikowi i patrząc mu w oczy, mimo miesięcy spędzonych w jego anthosie, sprzeciwiłeś się najpotężniejszemu kratistosowi Ziemi. Tacy ludzie o twardości diamentu — znaleźć ich jeszcze trudniej niż diament.

— To nie było tak.

— A teraz sprzeciwiasz się mnie. Dobrze wybrała. Śmiej się, śmiej.

— Wybacz, Pani.

— Prosisz mnie o wybaczenie? Nie rób tego nigdy.

— Jesteś zbyt piękna.

— Oślepiam cię? Wyprostuj się! Ach. Tak. Hieronimie, Hieronimie. Napisała mi, że nie wszedłeś głębiej w Skoliodoi, nie widziałeś ich. Musisz wiedzieć, z czym walczymy, z czym ty będziesz walczył. Nie ze słów; wiedzieć znaczy doświadczyć. Wyrzuć ten cierń.

— Nie widziałem? Kogo? Czego?

— Adynatosów, Niemożliwych. Wojna wybuchnie prędzej czy później, planety zmieniają orbity.

— Ci ludzie… Twoja córka obiecała mi głowy sprawców Skrzywienia.

— To nie są ludzie. Sądzisz, że przed moim Wygnaniem utrzymałaby się na powierzchni Księżyca chociaż kropla Wody, że nie spadłby stąd ku środkowi świata, do swojej sfery, choćby najlżejszy obłok aeru? Istnieje więcej niż jeden środek i więcej niż jeden Cel. Poczytaj starych filozofów, Xenofanesa, Anaxagorasa, Demokryta, oni byli bliżej prawdy.

Światło i cień, wiatr, liście na wietrze, wolny pył księżycowy, owady i małe zwierzęta, w rojach, w stadach — ta regularność, ten wzór, jak wszystko obraca się wokół niej, organizuje przez odbicie morfy, porządek dookolnego świata — nawet srebrna powierzchnia świętej sadzawki, w której przeglądają się gwiazdy, aetherowa wiecznomakina i Ziemia. Tu: środek, Cel.

— Na co patrzysz? Podejdź.

— Te węże…

— Należą do Formy starszej ode mnie. Czym naprawdę są bogowie? Morfą odwiecznych snów i koszmarów, marzeń i lęków. Odziedziczyłam ją, wypełniłam, istniała, zanim przyszłam na świat. Tak samo jak morfa strategosa istniała, zanim pierwszy strategos wydał pierwszą bitwę. Podejdź.

Podchodzi.

Pocałunek złożony na zroszonym potem czole zaskakuje go zupełnie. Nie czuje nic.

Aż jad rozlewa się w nim gorącą falą.

— Ty —

— Stój! Teraz jesteś mój. Idź, prześpij się. To jest dobry ogień. Gdy wrócisz, opowiem ci o twoim przeznaczeniu.

Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści.

— Dobrze, już dobrze. Idź.

Idzie.

Ξ
Inny

19 Januarius. Naprawdę chciałbym ją opisać.

— Rzecz w tym — powiedział ryter Omixos Żarnik, składając się do strzału do szarżującego anairesa — żebyś ty wiedział i żebyśmy my wiedzieli, czy będziesz w stanie stanąć naprzeciw arretosowego kratistosa — stanąć, zdzierżyć jego morfę i zabić go. Odsuń się.

Grzmot keraunetu wstrząsnął równiną i nagimi skałami Księżyca. Lecąc przez tak przesyconą pyrem atmosferę, rozżarzony pocisk wypalał za sobą prostą linię oślepiającej czerwieni. Anaires został przebity przez grot długiej na pół stadionu włóczni — trrrrrachttt! — po czym nastąpiła eksplozja uranoizowego śmiecia. Żarnik potrząsnął tryumfalnie ciężkim keraunetem o aetherycznej lufie i kolbie w kształcie zwiniętego w skomplikowany kształt żelaznego węża (kolba musiała pasować do zbroi hyppyresa). Zaiste, Omixos miał się z czego cieszyć — udane trafienie z tej odległości nie zdarzało się często.

W przypadku anairesów, z uwagi na ich rozpędzone w milionie orbit ciała, należało trafić dokładnie w centrum, w oś, w tajemną linię równowagi zwierza, co okazywało się tym bardziej trudne, że anaires maskował swój prawdziwy wygląd i kierunek ruchu chmurami ciemnego ge na zewnętrznych epicyklach. Owe samorodne potwory Drugiej Strony potrafiły osiągnąć nawet dwa tuziny pusów średnicy. Hyppyroi zwali je żartobliwie dżinnami. Pan Berbelek zobaczył dzisiaj, jak taki dżinn powstaje z przyczajenia, ze snu w bezruchu, w przemieszaniu z naziemnym pyłem. Lecz w tej samej sekundzie, gdy wjechały nań apoxy — wzwyż strzelił słup aetheru i ge, morderczy wir natychmiast szlachtujący skórę, mięśnie i kości, setka rozpędzonych pił zębatych. Trlacht! — i po rzeźni.

Inna rzecz, że Jeźdźcy Ognia w pełnych zbrojach niewiele się różnili od anairesów. Omixos nie musiał prosić pana Berbeleka, by ten się odsunął — odkąd założyli swe rynsztunki, Hieronim starał się trzymać przynajmniej na dwa kroki od najbliższego rytera. A wdziali je byli zaraz po przekroczeniu

Mostu Apatii, jeszcze z Ziemią nad głowami i w koronie Pani. Na rozkaz Omixosa trzy karoce zjechały na pobocze drogi (od dłuższego czasu i tak nie widzieli już na niej innych podróżnych), woźnice otrzymali pół godziny na zajęcie się apoxami, a pan Berbelek — na rozprostowanie nóg; hyppyroi natomiast zbroili się. Odwrócone Więzienie leżało daleko po Drugiej Stronie, będą musieli opuścić anthos Illei i przejechać przez ziemie anairesów, zagłębić się w dziki Księżyc.

Zbroje Jeźdźców Ognia wykonane były z purynicznego aetheru. Po większej części pozostawały prawie niewidoczne w zielonym półmroku księżycowej nocy; w blasku Słońca zdradzały swój kształt seriami błysków, oślepiających refleksów, falami srebrnego lśnienia. Nawet wówczas zdawały się bardziej ażurową, lekką jak płatek śniegu, senną konstrukcją, tworem raczej demiurgosa-jubilera niż snycera, cudem biżuterii zbyt delikatnej, by była w ogóle możliwa na jawie. Wrażenie wprowadzało wszakże w błąd.

Wykonano je z aetheru, co oznaczało wieczny ruch po kolistych orbitach — i to właśnie ryterzy wdziali na siebie z wyćwiczoną precyzją: epicykle morderczych perpetua mobilia. Sprzęgi przemyślnie zaprojektowanych wiecznomakin otaczały torsy hyppyroi, rozpędzone obręcze uranoizy schodziły wężowymi spiralami wzdłuż ich ramion i ud. Wokół barków i miednic, wokół łokci i kolan, wokół kostek nóg i nadgarstków, wokół szyi — obracały się małe i wielkie koła zamachowe ciężkiego aetheru, skomponowanego w kunsztownych konfiguracjach, na osiach pochyłych i przesuwających się w zależności od położenia i ruchu rytera. Wszystko to działać musiało w wielkiej synchronii, aby aether nie wybijał sam siebie z przecinających się orbit — i tak działało: arcydzieło wojennego zegarmistrzostwa.

Kiedy Jeździec Ognia stał nieruchomo, zbroja ledwie wirowała — okółpierśnik co uderzenie serca, okółramienniki co pół, okółhełm co jedna czwarta, okółgolenniki co jedna dwunasta (w pitagorejskiej harmonii). Wszakże gdy hyppyres się poruszał, gdy biegł, gdy uderzał, gdy szedł w bój — wiecznomakiny przyśpieszały, raz, dwa, cztery, osiem, szesnaście, sto dwadzieścia osiem, tysiąc dwadzieścia cztery razy. Przyśpieszały i zwielokrotniały swe epicykle, rozdymając orbity do granic możliwości, to znaczy aż do powierzchni gruntu lub do samego ciała rytera. Uranoizowe koła barkowe nagle rozrastały się do średnicy dziesięciu pusów, pęczniały w wiry czarnego lodu, przezroczystego cienia: aether utuczony brudnym ge.

Zbroja reagowała na najmniejszą zmianę morfy hyppyresa. Wystarczyło, że cofnął ramię do ciosu — już okółramienniki i barkowe perpetua mobilia rozpędzały się i pęczniały, w ułamku sekundy asymetryczny wir pociągał rytera ze sobą, zatrzaskiwały się niewidoczne przekładnie i delikatne mekanizmy, i cios spadał ognistą smugą podniesiony tysiąckroć w swej mocy, wyładowanie całego dodanego przez zbroję impetu. Gdrumm! Tak miażdżyli kamienie, kruszyli powierzchnię spielników i tak rozrywali na strzępy anairesy.

Było ośmioro ryterów w dowodzonej przez Omixosa świcie pana Berbeleka. Czworgu z nich Żarnik polecił biec obok, przed i za karocami; biegli w niezmordowanym rytmie perpetua mobilia, ich obręcze miednicze i kolanne grube i czarne od kumulującego pęd balastu ge. Pozostała czwórka jechała w powozach, z keraunetami w garści, wypatrując anairesów.

Nie uchroniło ich to przed zasadzką uśpionego potwora. Byli już na Drugiej Stronie, sto stadionów od Strażnicy Cienia. Ziemia zniknęła z nieboskłonu, nad horyzont nadal jednak wystawał rąbek tarczy słonecznej i skalista powierzchnia Księżyca zaszyfrowała się w labiryntach głębokich i płytkich cieni. Nie istniała tu już droga jako taka, pędzili wzdłuż linii czarnych posągów — one rzucały cienie najdłuższe. Pan Berbelek jechał w karocy środkowej. Gdy pierwsza wtem zakręciła i wywróciła się na bok, woźnica drugiej szarpnął w prawo i pognał po szerokim łuku, byle dalej od miejsca zdarzenia; karoca trzecia odbiła w lewo. Pan Berbelek stał, trzymając się oparcia i rzeźbionej w rajskie ptaki podstawy parasola. Zdołał jeszcze zobaczyć rozbiegających się momentalnie po spirali hyppyroi i tego rytera z wywróconego powozu, jak w strasznym wirze swej zbroi, objęty czerwonym płomieniem Gniewu, spada na drugi wir, jeszcze większy. Aether starł się z aetherem. Po równinie pyru przetoczył się odgłos suchego pioruna, jakby Dzeus strzelił z rukaty. Omixos Żarnik, który jechał w karecie razem z Hieronimem, krzyknął na woźnicę, by zawracał. Dokończyli okrążenie. Omixos zeskoczył z rozpędzonej karety z keraunetem w dłoni.

Postawienie na koła i naprawa uranoizowego pojazdu musiały potrwać dłuższy czas, a zwabione głośną śmiercią swego pobratymca anairesy już ściągały ku nim z całej okolicy. Hyppyroi ustawili się w okręgu wokół trzech karet i strzelali do szarżujących kreatur, dopóki nie trafili lub dopóki one nie dotarły na kilkanaście pusów — wtedy ryterzy pyru rzucali się na nie w nagłych aureolach oślepiającego ognia i rozbijali w aetherowy pył.

— Rzecz w tym — tłumaczył Omixos Żarnik — że Damien odmówił, tak, wiedział, że jest za słaby, ale ten poprzedni, ten pierwszy, jakże jego imię, Mikael bodajże, jego Pani tak samo przyjęła i posłała do Więzienia.

— No i?

Hegemon „Urkai” ładował spokojnie keraunet. Zbroja znowu wirowała z otępiającą powolnością, pan Berbelek gołym okiem mógł rozróżnić kształty aetherycznych makin zawijających się po pochyłych orbitach wokół roziskrzonego ciała Omixosa: koronkowe spirale, cienkonożne pająki, rozwibrowane ich pajęczyny, migotliwe motyle, wstęgi bez końca i początku, kiście kryształowych kul, sople ostrej jak brzytwa uranoizy, uranoiza wykuta w smoki, łabędzie, węże, skorpiony, mantikory, orły, ważki, miecze i topory, wielkości kciuka i jeszcze mniejsze, filigranowe statuetki legendarnych ryterów starożytności.

— I został tam. Adynatos go przyciągnął, przemorfował, wchłonął w swą koronę. A przecież to żaden kratistos, jakiś nieuważny zwiadowca prędzej, najwyżej teknites, zresztą czy u adynatosów można w ogóle wyróżnić demiurgosów i teknitesów, ba, czy w ogóle można wyróżnić kogokolwiek i cokolwiek, sofistesi Pani nadal się spierają. Uważaj.

Grzmot. Omixos ustrzelił następnego. Ponownie zaczął ładować keraunet. Jego pięciopusowa lufa wykonana była z aetheru, co oznaczało nieustanne wirowanie wokół osi strzału — hyppyroi twierdzili, że dzięki temu ich kule uderzają celniej, czerwone linie pyru w powietrzu są znacznie bardziej proste.

— Powinniśmy zabrać psy — mruknął Żarnik. Obejrzał się na woźniców i doulosów pracujących przy uszkodzonej karocy. — Ile jeszcze?!

— Już! — odkrzyknęli. — Tylko przeprząc konie!

— No to na co czekacie, mór by was!

Pan Berbelek widział był owe psy, które miał na myśli Omixos. Przed odjazdem z Labiryntu, gdy biurokrata Pani zaprowadził Hieronima do żargaju hyppyroi, by przydzielić mu eskortę do Odwróconego Więzienia (nie wiedzieli jeszcze, że „Urkaja” wróciła z Erzu i Omixos skończył służbę gwiezdną), pan Berbelek dojrzał kilka par pyrogarów przebiegających w czerwonym półmroku między pniami ognistych dębów i jasionników. Ślepia pyrogarów jarzyły się niczym krople hutniczej surówki, ich szara sierść spieczona z gorącego popiołu pozwalała wszakże wtapiać się im niezawodnie w każdy cień. Jedna para przystanęła, odsłoniła kły (buchnął spo-

między nich błękitny płomień), zawarczała na Hieronima. Hieronim syknął przez zęby. Cofnęły się. Psy, psy, przecież ja miałem psy, hodowałem je, polowałem w vistulskich lasach ze sforami najszlachetniejszych ogarów, lubiłem psy… Psy! Nadija! Mogiła w lesie i głuchy szum Światowidowej zieleni — znów wszystko powraca — Nadija i jej głos, twarz, zapach, słowa — a już prawie zapomniałem — psy, psy. Pan Berbelek uciekł z tego gaju.

— Otóż, uważasz, esthlos, weterani w jednym są zgodni: adynatosów nie da się opisać. Długośmy o tym dyskutowali, nie sądź zresztą, że nadal mnie to nie dręczy, bo dręczy; sofistesi dawali nam wskazówki, gdy lecieliśmy na ten zwiad za sferę Marsa, cobyśmy się przez ignorancję sami nie pozabijali, jeszcze wtedy nie mieliśmy go tam w Więzieniu i nikt nie wiedział, o co tu właściwie chodzi. Zresztą nadal nie wiadomo, ale — no już, już, już, ruszamy, wskakuj, esthlos! — ale tyle można o nich powiedzieć, że nie można ich opowiedzieć. Podobno, esthlos, wszedłeś w jeden z ich przyczółków na Ziemi. Jak głęboko?

— Kilkanaście stadionów. Ale rzeczywiście, jedynie drobny ułamek drogi do samego środka. Tylko że tam się wszystko rozpada, zupełny chaos Formy, i jeśli to tak postępuje do centrum… tam nie ma co opisywać.

— Czyż nie dlatego zwiemy ich arretesami? — zaśmiał się Omixos. — Nie pochodzą ze sfer ziemskich, nie są do pomyślenia ni opisania pod ludzką morfą.

— Ale skąd właściwie wiemy, że to atak, że źle nam życzą? Były jakieś otwarte akty wojny z ich strony?

— A po czym tu odróżnisz wojnę od pokoju? Poślesz herolda w poselstwie pojednania zapytać o warunki i wytargować cenę przejścia? Na zewnątrz arretesowej morfy pozostanie człowiekiem i możesz go wtedy pytać i żądać odpowiedzi; ale gdy wejdzie w anthos adynatosów, a tym bardziej, gdy zbliży się do nich na tyle, że faktycznie się z nimi porozumie — do kogo będziesz mówił? Kim on wróci? Nie wróci. Nie można zarazem posiadać morfy ludzkiej i adynatosowej. Jeśli ich rozumiesz, jeśli jesteś w stanie powiedzieć, kim są, jak myślą, po co przybyli, czego chcą i czy to jest wojna, czy nie, czy w ogóle znają pojęcie wojny — jeślibyś to rozumiał, musiałbym cię natychmiast zabić.

— Przesadzasz.

— M u s i a ł b y m c i ę n a t y c h m i a s t z a b i ć. I każdego innego, kto podobnie może nas zarazić ich Formą. Czyżbyś nie wiedział, strate-

gosie? Po czym poznać przesunięcia granic aur kratistosów? Że stopniowo zaczynasz lepiej rozumieć racje, obyczaje i ideały zwycięzcy, że to jego władza i on sam wydaje ci się bardziej — bardziej n a t u r a l n y. Dlaczego Pani musiała uciec z Ziemi, dlaczego zjednoczyli się przeciwko niej? Była Matką wszystkich ludzi.

— Może więc pośrednio. Jak to się robi z dzikusami. Hoduje się mieszańców, tłumaczy o morfie rozciągniętej pomiędzy.

— I chcesz to robić? Naprawdę tego chcesz, esthlos?

Pan Berbelek nie odpowiedział, bo właśnie przypomniał sobie los zbója Hamisa. Nie wiedzieli tego, gdy posyłali Hamisa w głąb Skoliodoi (Hieronim nie wiedział — Szulima wiedziała doskonale), ale to był właśnie ich herold, ich Papugiec do rozmów z adynatosami. I poszedł był pod arretesową Formę, i wrócił, i opowiedział — co zrozumieli?

Zbyt wiele było jeszcze w Hamisie antropomorfy, by sam naprawdę pojął, co zobaczył; i zbyt wiele w nim już było morfy arretesowej, by potrafił wypowiedzieć to, co pojąć zdołał.

— Wojna wszakże jest wojna — mruknął pan Berbelek. — Nie wylądowali w Rzymie, w środku Europy, na Rynku Świata w Alexandrii, nie wylądowali nawet u was na Księżycu. Wybierają najbardziej odludne ziemie.

— Więc co to ma oznaczać? Że nie chcą nam szkodzić, czy że szykują się właśnie do skrytego ataku? — żachnął się ryter. — Na Szeol, panie Hieronimie, przecież wojną jest sama ich tu obecność!

W jaki sposób kratistosi spotykają się i negocjują? Nie spotykają się.

Jeśli nagle Czarnoksiężnik decyduje się wybrać w odwiedziny do swego sąsiada Światowida, to — jakiekolwiek by nie były jego cele, chociażby szedł sam jeden, bez wojska i śląc przed sobą tuziny heroldów pokoju — to jest to wojna, starcie Formy z Formą.

Pomiędzy obcym i obcym — może być tylko gwałt.

Porozumienie — jedynie pomiędzy istotami tej samej Formy.

Porozumienie — to znaczy zwycięstwo Formy silniejszego, którą przyjąwszy, słabszy zrozumie teraz jasno i wyraźnie, dlaczego nie miał racji.

— Skąd oni właściwie przylecieli?

Omixos nie mógł w zbroi klasnąć dłonią o udo, tylko więc prychnął czarnym dymem.

— Spoza sfery gwiazd stałych. A czy za nią jest w ogóle jakieś „gdzie” i „skąd”? To już pusta zabawa sofistesów.

— Ale po co, po co tu przybyli?

— Och, dajże spokój, esthlos, może sam go spytasz, co? Na pewno wyjaśni ci w prostych słowach, a ty nam wtedy powtórzysz.

Pan Berbelek uniósł brew.

— Wybacz — mruknął ryter.

Aetheryczne karety pędziły rozmigotaną karawaną wzdłuż linii cieni czarnych posągów. Uprzednio każdy wóz poprzedzały cztery apoxy, teraz podzielono pozostałą ósemkę koni następująco: dwa, trzy, trzy. Posągi przedstawiały rozmaite historyczne i legendarne postaci z przeszłości i mitologii Księżyca. (Oprócz Alei Bohaterów, Drugą Stronę przecinała także Aleja Bogów, wiodąca do mauzoleum Hierokrisa Pięknego, oraz Aleja Daimonów). Posągi migały jednak obok pana Berbeleka zbyt szybko, by zdążył się im przyjrzeć i rozróżnić wyrzeźbione postaci. Zresztą srebrny blask uranoizowych makin lekko oślepiał Hieronima i cała ta rozkołysana panorama ciemnego Księżyca — zwłaszcza że ostatecznie opuścili strefę słonecznego światła — zlewała mu się w jeden chropowaty cień: krater, spielnik, krater, czarna pustynia, krater, pyrowisko, krater. To już była kraina takiego zagęszczenia pyru, a raczej takiej jego przewagi nad aerem, że gdyby nie alkimiczne perpetua mobilia karet, mielące niezmordowanie ognistą atmosferę i wwachlowujące w twarze pasażerów puryniczne Powietrze, dawno leżeliby na kratownicach powozów zwinięci w męczeńskich pozach, zaduszeni, z przepalonymi gardłami i płucami, z krwią na ustach i w nozdrzach. Może nie hyppyroi, ale pan Berbelek na pewno. Kondensacja arche Ognia powodowała spontaniczne ulewy płomieni, spadające po liniach orbit nadksiężycowej uranoizy. Astrometria tych niewidocznych epicykli wypalała na powierzchni Księżyca płaskie, szklane pyrowiska, stawiała też gigantyczne pioruny pyrowników. Co kilka i kilkadziesiąt tysięcy lat, gdy astrologiczna mekanika nieba doprowadza do kolizji, rozsprzężeń i nałożeń epicykli uranoizy, naniesiony jej obrotami pyr samozapala się w naprawdę potężnych eksplozjach — stąd owa obfitość kraterów na powierzchni Księżyca i planet, niekiedy tak wielkich, jak ten, którego dnem właśnie jechali, godzina i godzina; cóż to musiał być za ogień…! Astrologowie, bogaci zapaleńcy pokroju Antidektesa, nieprzerwanie obserwują niebo, skrzętnie notując kolejne rozbłyski między gwiazdami. Z ich pitagorejskiej harmonii wydedukować można zasady budowy Kosmicznego Zegara, a niektórzy twier-

dzą, że również — przewidzieć przyszłe obroty Zegara Ziemi, a nawet — ujrzeć Cel, to znaczy Boga.

Oczywiście teraz, po wtargnięciu adynatosowej aury w sfery ziemskie, zegar się zepsuł, matematyka niebios przestała rezonować miłymi dla ludzkiego ucha dźwiękami.

Pan Berbelek, przesunąwszy się na rozkolebanym fotelu karety pod aetheryczną lampę, wirującą pod asymetrycznym parasolem, otworzył swój dziennik i począł notować. Pisał powoli, z namysłem, unosząc rysik, gdy wpadali na serię większych nierówności gruntu:

Owi filozofowie najstarsi, mędrcy przedaristotelesowi, o których ona wspomniała: Xenofanes, Anaxagoras, Demokryt. Przed wyjazdem sprawdziłem w bibliotece akademei Labiryntu. To prawda, oni wiedzieli. Xenofanes twierdził, że światów jest nieskończenie wiele; podobnie Demokryt: nieskończoność światów, rodzących się i ginących, z nieskończoności atomów, poruszających się i tworzących Ziemię, Wodę, Powietrze, Ogień. Anaxagoras głosił prawdy, które w istocie okazały się przepowiedniami: że Księżyc jest zamieszkany, z jego górami, dolinami, pustyniami i grotami. Ale też prawdy zofii: że pierwsze zwierzęta zrodziły się z wilgoci, ciepła i Ziemi.

To wszystko dawno zostało powiedziane i spisane, było już niegdyś oczywistością; dlaczego więc się dziwię? Najtrudniej jednak zaakceptować oczywistości upokarzające, złamać własną dumę. Jeśli Illea potrafiła narzucić Księżycowi swą morfę, przeciwstawić go Ziemi-środkowi wszechświata, że teraz są dwa środki, dwie hierarchie sfer Materii i możemy podróżować po powierzchni Księżyca przyciągani do jego wnętrza, a nie do sfery ge Ziemi… dlaczego tylko dwa środki, czemu nie trzy, cztery, pięć? Następnego kratistosa wygnajmy na Wenerę! Kolejnego na Jowisza! Czemuż więc nie mogłyby istnieć inne Środki, inne Cele i inne Teleologie poza sferami niebieskimi Ziemi? W nieskończoności światów, rodzących się i ginących. Istnieją.

Zostaliśmy upokorzeni. Jedna z wielu rozmaitych doskonałości — cóż warta taka doskonałość, cóż warty taki Bóg? Dusza być może daje nam samoświadomość, lecz wola życia pochodzi skądinąd: z gorącego thymos, poczucia dumy z Formy obecnej lub dopiero wyobrażonej, do której dążymy. Że nie zegniemy karków; że podniesiemy się zbłota po raz tysięczny; że wiemy, iż z dwóch doskonałości nasza jest zawsze lepsza. Czuję, jak rośnie we mnie ten ogień. Nie musiała truć mnie swoim jadem inie potrzeba mi pyru

we krwi. Sam siebie uwiodłem. Wiem, dokąd dążę, jakiego siebie wybieram, co mnie przyciąga i gdzie leży moja doskonałość, konieczny kształt zupełny, od którego nie mogę, nie chcę, nie odwrócę się. Kratistobójca! Po to się urodziłem, to jest moja entelechia. Żyję już dumą tej morfy. To nie pycha. Znam swoje miejsce. Kratistobójca! Zrobię to.

Odwrócone Więzienie znajdowało się na dnie krateru o średnicy ponad siedmiu stadionów. Aetheryczna Tortura wirowała nieprzerwanie ponad zboczami kaldery, odcinając Więzienie i adynatosa w nim od reszty Księżyca. Na północnym grzbiecie krateru wznosiła się wieża strażnicza; z niej, ponad rozpędzoną Torturą, spuszczano na wielokrążkowych makinach żelazny pomost, po którym sofistesi, skazańcy i kandydaci na kratistobójców schodzili w arretesową aurę. W wieży od dwóch lat mieszkał Aker Numizmatyk, wiekowy sofistes Labiryntu, jeden z wielu dopuszczonych przez Panią do tajemnicy. Rzecz jasna, nie on pełnił straż; strażnikami było pięcioro Jeźdźców Ognia.

Owego dnia Aker obudził się wstrząsany zimnym dreszczem, z głową pękającą już od przeciągłego, basowego dźwięku, który wprawiał w drżenie wszystkie szkła i metale w wieży. Jęki adynatosa niosły się po Księżycu powolną falą, przenikając wszelką materię i naciskając na umysły. Aker podniósł się i klnąc, podszedł do okna. Czasami można było zobaczyć ów dźwięk, tworzył w gęstym pyrze zmarszczki, wzdłuż których wypalały się wstrząśnięte arche Ognia. Tym razem wszakże sofistes ujrzał tylko jedną odległą ulewę płomieni; niebo nad kraterem więziennym pozostawało czyste.

Inne światło przyciągnęło wzrok Numizmatyka. Po lewej, ponad zboczem, na Drodze Bohaterów przesuwała się plama srebrnego blasku. Zmrużył oczy; jak zwykle zapomniał gdzieś opticum. Zadzwonił na doulosa — tak czy owak, jacyś goście przybywają do Więzienia.

Aker Numizmatyk na starość wyłamał się z lunarnego cyklu snu oraz czuwania i — jak działo się to często z wiekowymi Księżycanami — wrócił do morfy najpierwotniejszej, nocy i dnia liczonego w godzinach; a im bardziej posuwał się w latach, tym mniej godzin zawierało się w owym cyklu. Zszedłszy na parter wieży, zastał na nogach tylko jednego hyppyresa, rytera Chiratię; pozostali spali jeszcze. Chiratia zakładała właśnie zbroję, już wiedziała o gościach. Aker wydał polecenia nielicznej służbie, by przygotowała kwatery i zimne posiłki dla wizytantów. To zazwyczaj byli sofistesi lub

hegemoni, przybywający dla zapoznania się z wrogiem. Odjeżdżali, zanim Aker zdążył dwa razy się zdrzemnąć i obudzić. Niekiedy zresztą mylili mu się na jawie.

Wyszedł na taras pod dźwigarami pomostu. Od głębokiego, monotonnego jęku adynatosa dzwoniły łańcuchy makiny.

Po raz pierwszy spostrzeżono go na Niższej Stronie, już w granicach korony Pani — lecz nie był przez to ani trochę bardziej ludzki. Na podstawie wstępnych raportów — gdy ludzie po prawdzie nie wiedzieli jeszcze, o czym raportują — wytyczono jego marszrutę. Przedłużenie tej wykreślonej na mapie linii wskazywało prosto na Czwarty Labirynt.

Działo się to tuż po pierwszej większej potyczce z adynatosami, ochrzczonej potem Bitwą Marsjańską, chociaż Mars podówczas znajdował się akurat po przeciwnej stronie swej sfery, na niskim epicyklu. Nic dziwnego, że całe zdarzenie zinterpretowano jako zwiad przed generalnym uderzeniem adynatosów na Abazon. Hierokharis pchnął przeciwko zwiadowcy Skrzywienia znaczne siły, cały enneon, to jest dziewięć trypletów hyppyroi. Wszakże Pani z jakiegoś — znanego tylko Pani — powodu zakazała bezpośredniego ataku na adynatosa. W wielkim pośpiechu ściągnięto więc astromekaników, kowali aetheru, teknitesów sztuki gwiezdnej rzeźby. Po tygodniowych zmaganiach zamknięto adynatosa w uranoizowej Torturze i powleczono mozolnie na Drugą Stronę, do Odwróconego Więzienia.

Po każdym żywym stworzeniu, jakkolwiek głupim i prymitywnym, należy się spodziewać ludzkich reakcji przynajmniej na ból i okaleczenie; nikt nie powtarza dobrowolnie czynności samobójczych. W adynatosie nie było nawet tyle człowieka. Torturę spleciono z purynicznego aetheru, skrzepłego w chmurę miliona drobnych ostrzy, cykliczną burzę białych igieł, drzazg i noży. Adynatos nieustannie na nią nacierał, jakby próbując Skrzywić czysty aether. Tortura go cięła, rozrywała, szarpała. Wówczas cofał się, rozbity na długie wstęgi chaosu, by zbierać się potem — niczym wiosenna burza, równie nieubłaganie i w jednostajnie narastającym tempie, przy dźwiękach owej drażniącej uszy kakofonii — aż przychodził moment kolejnego natarcia; i tak bez końca: Chaos na Mękach.

Popijając lodową qahwę, sofistes szacował dzisiejsze kształty cieni, nachylenie skał i położenie obłoków żółtego dymu. Czasami poruszenia adynatosa były dostrzegalne jedynie przez porównanie wskazań zegarów rozmieszczonych dokoła krateru oraz z analizy subtelnych zmian nachylenia

orbity Tortury. Czasami nie były dostrzegalne w ogóle. Stanowiło źródło perwersyjnej satysfakcji Akera, iż kilkakrotnie udało mu się przewidzieć zachowania adynatosa wbrew wskazaniom statystycznych tabel obserwacyjnych. Za każdym kolejnym razem inni sofistesi oraz hyppyroi patrzyli na Numizmatyka z większą podejrzliwością. Rechotał w duchu, wychwytując te ich ukradkowe spojrzenia — kto spostrzeże pierwszą kakomorfię u zrzędliwego starucha? Nie zdziwiłby się, gdyby przyjmowali między sobą zakłady. Ludzie starzy najbardziej są podatni na zewnętrzne deformacje — słaba Forma, słabe ciało, nawet już najlepszy teknites somy tu nie pomoże, wszystko się rozpada, gnije, degeneruje: mięśnie, zęby, włosy, pamięć, osobowość. Numizmatyk patrzył na Więzienie ponad krawędzią zimnej czary. Nie będzie to może najlepszy koniec, ale przynajmniej starości koniec niebanalny. W bibliotece Labiryntu czytał o dzikusach na Ziemi, którzy wynoszą niedołężnych starców na pustkowia, gdzie pozostawiają ich na pastwę ptasich i psich padlinożerców. O ile wcześniej starcy nie pójdą tam z własnej woli.

Wrócił do wieży, zanim zaczęło go palić gardło. Goście już weszli. Zastał Chiratię w pół ukłonu przed wysokim Ziemianinem w białej szacie, ciemnowłosym aristokratą o drapieżnym spojrzeniu, który właśnie przytykał sobie do nosa rurkę z jakąś białą substancją. Ziemianin nawet nie zwrócił uwagi na Chiratię. Towarzyszący mu Jeźdźcy Ognia rozchodzili się po wieży, zawsze oglądając się na niego w drzwiach; też nie zwracał uwagi. Pozostał jeden, w szybkim okółhełmie hegemona.

Skinął na Akera.

Oddawszy czarę doulosowi, sofistes podszedł doń, przesadnie powłócząc nogami.

— Esthlos Hieronim Berbelek, z życzenia Pani — rzekł hyppyres. Nie wskazał w żaden sposób Ziemianina, ale Forma była oczywista.

— Drugi? — spytał Aker i obrzucił Berbeleka taksującym spojrzeniem.

Ziemianin pochwycił je i uśmiechnął się krzywo.

— Może jednak najpierw to załatwmy, a uprzejmości wymienimy, jak wrócę. Tędy?

Numizmatyk wciągnął powietrze przez zęby.

— To nie jest dobry czas. On wydaje się dziś dość niespokojny…

Berbelek przeczekał milczenie sofistesa.

— Nie słyszysz? — dodał po chwili Aker, gdy przeciągły jęk na nowo przepłynął przez wnętrze wieży. Zbroje hegemona i Chiratii zaśpiewały w rezonansie.

— To j e s t dobry czas — rzekł Berbelek.

Zaskoczył Numizmatyka, pochylając się nad nim i ściskając go delikatnie za ramię.

— Nie bój się — szepnął mu do ucha. — Nic mu nie zrobię.

I wyszedł na taras.

Hyppyroi podążyli za nim, hegemon pierwszy. Aker zawahał się w pół kroku, skręcił do bocznego korytarza, otworzył metalowy regał i wyjął zeń aetheryczny aeromat. Z rozwibrowaną makiną pod pachą wyczłapał bocznym wyjściem pod cień podniesionego pomostu.

Stali przy schodach. Chiratia na skinięcie Ziemianina pośpieszyła uruchomić ciężki mekanizm wielokrążkowy, spuścić na tryby wewnętrzne perpetua mobilia. Berbelek i hegemon spoglądali w milczeniu ponad osmalonymi blankami do wnętrza Więzienia, do wnętrza srebrnego kręgu Tortury. Berbelek zaczynał kaszleć.

Aker podał mu aeromat. Ziemianin obrócił go kilkakroć w dłoniach. Numizmatyk już otwierał usta, gdy Berbelek szybkim ruchem naciągnął kaptur na głowę i zaciągnął rzemienie. Uranoizowe wiry zaczęły mu nawiewać gorące Powietrze prosto w twarz.

Pomost grzechotał i zgrzytał, opuszczany. Berbelek zawinął ściślej swą długą, powłóczystą szatę i wszedł po ośmiu schodach między grube łańcuchy. Pomost zbliżał się już do poziomu. Aker przypomniał sobie o zewnętrznych aeromatach wieży i cofnął się na moment do sieni, by otworzyć dysze nawiewu na taras. Gdy wrócił, pomost był do reszty opuszczony (ustał grzechot i zgrzyt), a Berbelek szybkim krokiem maszerował po stromej pochylni w głąb krateru. Przeszedł ponad szumiącą lekko Torturą, przeszedł ponad Pierwszym Zegarem i przeskoczył na żużlowy kopiec na zboczu krateru; białe poły rozwinęły się za nim, wylądował w przyklęku, na materiale pozostały długie smugi czerni. Nie obejrzał się, zbiegał szybko w dół stoku. Hyppyres ponownie uruchomiła ciężkie makiny, pomost począł się podnosić.

Stali przy blankach, Aker, hegemon i Chiratia, zapatrzeni w jeden punkt. Biała postać dotarła do dna kaldery i skręciła ku ciemnej chmurze kurzu i dymu, kłębiącej się na południowy zachód od środka niecki.

— Skąd ta burza pyłowa? — spytał hegemon. — Chciałbym go nareszcie zobaczyć.

— Ależ widzisz, widzisz — zarechotał Numizmatyk.

— Widzę tylko kłąb śmiecia na wietrze.

— Bo nie obejmuje nas arretesowa aura. Patrz na esthlosa.

Ziemianin znajdował się zaledwie kilkadziesiąt pusów od granicy kurzawy. Należałoby się spodziewać, że wicher wpierw zmierzwi jego szatę, lecz z nią zaczęło się dziać co innego: utraciła jednolitą barwę, smugi czerni rozlały się w plamy wszelkich odcieni szarości, potem utraciła kształt, rękawy, poły, odrzucony na plecy kaptur, z każdym kolejnym krokiem Berbeleka nakładało się to na siebie, mieszało, rozrywało, wir pstrokatych szmat, na koniec nawet utraciło fakturę tkaniny i Ziemianin szedł odziany w taki sam kłąb pyłu-niepyłu, woal wszechbarwnego dymu, jak ten, ku któremu zmierzał, a w istocie był już na jego granicy, już go dotykał, ręka, głowa, pięta — wszedł, zniknął.

Hegemon westchnął głośno.

— Po nim.

Aker przekrzywił głowę.

— Cienie dobrze się wokół niego układały, poczekajmy.

Hegemon prychnął czerwonymi iskrami.

— Wierzysz w takie rzeczy? Może jeszcze wróżysz z odbicia anthosu w wodzie i wietrze? Sofistes!

Numizmatyk przytknął artretyczny palec do warg.

— Plutarch opowiada, jak to filozof Anaxagoras próbował wydobyć swego przyjaciela, hegemona Peryklesa z wiary w zabobony. Otóż przyprowadzono do Peryklesa barana urodzonego z jednym tylko rogiem. Obecny w obozie jasnowidz Lampon szybko odczytał ten cudowny znak i przepowiedział Peryklesowi zwycięstwo i najwyższą władzę. Zirytowany Anaxagoras rozkazał rozłupać czaszkę jednorogiego barana. Następnie objaśnił wszystkim zgromadzonym, w jaki sposób anomalia taka zrodziła się z naturalnych, anatomicznych przyczyn. Miał oczywiście rację i zgodzono się co do jego wyjaśnienia, a jasnowidz Lampon odszedł w niesławie.

Aker mówił bardzo powoli, przeciągając chrapliwie słowa i co jakiś czas spluwając przez blanki, co tylko wzmagało niecierpliwość ognistego rytera, aether jego zbroi przeskoczył na odrobinę wyższe epicykle.

— No i?

— I wkrótce potem Perykles został najwyższym władcą — rzekł Numizmatyk.

— Nigdy nie wiem, kiedy zmyślasz — mruknęła Chiratia.

Nowy jęk podniósł się z dna kaldery, hyppyresowe zbroje odpowiedziały swoją muzyką.

Hegemon wykonał gest oduroczny.

— Bez przerwy tak wyje?

— Mhm. Nie sądzę, żeby to był jego głos.

— Co?

— Oczywiście inni sofistesi się ze mną nie zgadzają. Ale ja myślę, że dźwięk nie należy w ogóle do jego morfy. Podobnie jak nie należy do niej płeć — więc tak naprawdę nie mamy prawa mówić „on", ani „ona" — nie należy mowa, nie należą ręce, głowa, krew, skóra, zapewne w ogóle ciało, cielesność to cecha ziemskiej morfy. Nie mam też pewności, czy w morfie adynatosów mieści się śmierć. A więc oczywiście i życie, tak. Nie wiem, czy można w ich aurze mówić, że ktoś żyje albo nie żyje. Na pewno nie potrzebuje żadnego pożywienia i niczego nie wydala. Nie wiem też, czy można w ogóle mówić o jedności i mnogości: że jest jeden lub że jest ich wielu. Ani to, ani to. Czas, przestrzeń — że jest tu i tu, że jest wtedy i wtedy — to też kategorie człowieka, ziemskich sfer. Im dłużej go badam, tym głębiej się cofam w niepewność. Tak trzeba się pozbywać oczywistości człowieczej Formy, jeśli chce się dotrzeć do prawdy. Na przykład pięć żywiołów — Ziemia, Woda, Powietrze, Ogień, aether — one stanowią podstawę Materii w sferach ziemskich, ale poza sferą gwiazd stałych, tam świat może być zbudowany z czegoś zupełnie innego. Część z tych skazańców posyłaliśmy tu na dół właśnie po to, żeby spróbowali nam przynieść próbkę oryginalnej Materii adynatosa.

— Przynieśli?

— Być może najwięcej nauczylibyśmy się z obserwacji stanów przejściowych, tego frontu zderzenia Form, jaki musi rozkładać keros do samych kości, tam, na Ziemi, na granicy ich przyczółków, gdzie to ziemskie Substancje skręcają ku arretesowym Formom, nie na odwrót. Gdy zmysły postrzegają coś więcej niż kompletny chaos.

— Kiedy podchodziliśmy za Marsem do ich floty —

— Floty, powiadasz. I już na pewno dobrze pamiętasz, że widziałeś flotę.

— Noo…

Numizmatyk wskazał palcem dno krateru.

— Powiedz, co widzisz.

— Adynatosa.

— Nie. Powiedz, co w i d z i s z.

— Chmurę kurzu.

— Czy to jest kurz? Czy to jest chmura? Powiedz, co w i d z i s z.

— Coś, co wygląda jak chmura kurzu.

— Myślisz: chmura kurzu jest podobna. Ale wcześniej, cofnij się przed tę myśl — powiedz, co w i d z i s z.

— Nie wiem!

— Jak możesz nie wiedzieć, co widzisz? Oślepłeś?

— Nie potrafię nazwać!

— Dlaczego?

— Wiem, o co ci chodzi. Nigdy wcześniej nie widziałem, więc mogę tylko porównywać. Co mi się kojarzy. Chmura kurzu.

— Ależ potrafisz nazwać. Jak nazywasz to, czego nigdy wcześniej nie widziałeś i nie potrafisz opisać?

— Arretes. Jeśli nie potrafię opisać…

— Czy widziałeś kiedykolwiek taki kamień? Skąd wiesz, że to kamień?

— Ma formę kamienia.

— Ach! A to?

— Rozumiem. Nie ma formy.

— Co było przed Formą?

— Chaos.

— Jakie więc jest jedyne imię wszystkiego, co naprawdę obce?

— Chaos.

— Co widzisz?

— Chaos.

— Co widzisz?

— Chaos.

— Co widzisz?

— Chaos, chaos.

Basowy jęk na moment ucichł, po czym podniósł się na nowo.

Doulosi przynieśli na taras tace z ciastami, owocami i winem. Hegemon zdjął okółhełm i położył go na blankach, między kielichem i dzbanem.

— Nie rozumiem, jak może istnieć Substancja całkowicie amorficzna.

— Nie może. On posiada Formę, swoją Formę. Po prostu my nie jesteśmy w stanie jej rozpoznać. Spójrz w niebo. Gdyby ci rodzice nie opowiedzieli, wiedziałbyś, że te kilka gwiazd to Orion?

Hegemon wypił i dolał sobie wina.

— Mhm. Jeśli my nie jesteśmy w stanie dostrzec ich Formy… Skąd wiemy, czy oni w ogóle dostrzegają naszą?

— Nie wiemy. Ale — Numizmatyk ponownie uniósł palec, uśmiechnął się złośliwie — to oni do nas przybyli.

Czarny jęk opadł jeszcze o pół harmonii. Zadźwięczały misy, dzbany i kielichy.

— A jednak — mruknęła Chiratia. — Przecież słyszę w jego głosie tęsknotę, cierpienie, złość, smutek.

— To nie jest jego głos. Wydaje ci się.

— Klaudiusz też to słyszy — upierała się. — Następnym razem przywiezie lirę, to można zagrać, jest w tym melodia, zagra, wtedy się przekonasz.

— Tucydydes Trzeci, Wojny Gockie. Owej nocy Zamos i Iloxas o przydomku Euexis postanowili zaatakować obóz Gotów z zaskoczenia. Zdjąwszy ciężkie zbroje i umalowawszy twarze błotem, przekradli się ze swymi ludźmi przez mokradła. Nikt ich nie spostrzegł. Widzieli już ogniska nieprzyjaciół i słyszeli ich głosy. Usłyszeli także pieśni, jakie śpiewali nocą barbarzyńcy, by nie poddać się senności. Zamos i Iloxas oczywiście nie rozumieli tych dzikich ballad, niemniej zadrżały ich serca w zimnej nocy i wojownicy zapłakali bezgłośnie w ciemności. O świcie, gdy Zamos dał znak, runęli na zaskoczonych Gotów. Kroniki nie wspominają, by przeżył ktokolwiek spośród barbarzyńców.

— Jest!

Rzuciła się do makiny, opuszczając w zgrzycie i hurgocie długi pomost.

Z powrotem szedł wolniej. Był nagi, pod napiętą skórą wyraźnie rysowały się żebra. Przystawał, zginał się w pół, pluł i kaszlał. Po aeromacie nie pozostał ślad. Włosy miał zmierzwione i krew na rękach. W lewej dłoni ściskał sztylet o ostrzu jak płomień.

Zeskoczywszy ze schodów na taras, długą chwilę stał i dyszał głośno, wciągając do płuc ciepły aer. Wodził przy tym dzikim spojrzeniem od hegemona do Chiratii, do Akera i z powrotem. Palce na rękojeści sztyletu zaciskał tak mocno, że drżała mu cała ręka.

Sofistes przyjrzał się dokładnie ciału Berbeleka. Przebarwienie pigmentu na lewym udzie, dodatkowa kość ponad prawym obojczykiem oraz mały płomień drgający na czole — ale to wszystko.

Hegemon postąpił ku Ziemianinowi, iskry podniecenia strzelały z sykiem pod aetheryczną zbroją.

— Widziałeś go, esthlos? — naparł. — Jak wygląda? Przecież coś powiedzieć możesz! Zauważył cię w ogóle? Esthlos!

Berbelek zamachał rękoma, także tą ze sztyletem. Wszyscy odsunęli się o krok. Wcześniej jednak zdążył zahaczyć grzbietem dłoni o okółramiennik Chiratii, z rozdartej ręki buchnęła krew. Berbelek zdaje się w ogóle tego nie poczuł. Zagapił się na hegemona, zmarszczył brwi, zamrugał. Otworzył usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

Aker Numizmatyk podszedł do niego powoli, położył artretyczną dłoń na ramieniu wyższego mężczyzny.

— Spokojnie — szepnął. — Pomału. Wszystko wróci. Przypomnisz sobie. Słowa są w tobie, pamięć jest w tobie, jest w tobie esthlos Hieronim Berbelek, wróci. Chodź.

Esthlos Berbelek szarpnął się z gniewem. Drżenie ogarnęło całe jego ciało, dygot osiągał szczyt rezonansu. Berbelek poruszył jeszcze kilkakrotnie wargami i wrzasnął:

— Sto dziewięćdziesiąt cztery! Sto dziewięćdziesiąt pięć! Sto dziewięćdziesiąt sześć! Co tak stoicie? Niech ktoś mnie opatrzy, na Szeol! Macie tu jakiegoś demiurgosa somy? Albo chociaż medyka? Omixos, kwatera, zaraz padnę z nóg. Nalej mi tego wina. Kiedy Wiedźma wraca do Labiryntu, pojutrze? O co właściwie chodzi z tymi zegarami? Ty, starcze, jak się nazywasz?

— Aker Numizmatyk, panie, sofistes Labiryntu, u twych stóp.

— Teraz będzie czas na uprzejmości. Esthlos Hieronim Berbelek, Strategos Księżyca. Muszę zwymiotować, zdaje się, że coś tam połknąłem, czuję, jak porusza mi się w żołądku. Jeszcze wina. Aker, opowiesz mi wszystko, co się o nim dowiedzieliście, wszystko, czego się domyślacie. A teraz się odsuń. Bogowie, co za gówno.

— Pani.

— Wstań.

Wstaje.

Ziemia, zielony lampion, wisi tuż ponad Labiryntem, ponad ogniopłotem i pod spiralną wiecznomakiną, dokładnie naprzeciwko pana Berbeleka; wstał, uniósł głowę, uniósł wzrok i teraz mruga, wpółoślepiony. To go irytuje, wykrzywia się w gniewnym grymasie, szarpie się w strudze światła, niczym przyszpilony do matowego półmroku owad.

— Spokojnie. Pokaż mi się. Tak. Widzę, że nie pozostał nawet ślad. Jesteś dokładnie tym, kogo szukaliśmy, Hieronimie.

— Znasz moją cenę.

— Nie bój się.

Pan Berbelek śmieje się szyderczo.

— Usiądźmy. Zawsze lubiłam stawy, wolałam je od strumieni. To, co nieruchome, bardziej jest sobą niż to, co w ruchu. Chcesz się ochłodzić? To puryniczny hydor, napij się.

— Już piłem.

— Stawiasz opór, to dobrze. Wiesz, że to była pierwsza rzecz, jaka zwróciła jej uwagę.

— Szulimy?

— Tak. Legenda o strategosie, co złamał morfę najpotężniejszego kratistosa Ziemi. Bo jeśli ktoś taki nie wytrzyma pod arretesową Formą, jeśli nie on zada cios kratistosowi adynatosów — to kto?

— Ty. Inny kratistos.

— Ach.

— Ale wasze życie nazbyt cenne, prawda?

— Ja. Ależ tak, oczywiście, stanę do boju. Lecz wiesz, jaka będzie moja walka: Forma przeciwko Formie. W tym nikt mnie nie zastąpi. Ktoś musi wszakże zbliżyć się i zniszczyć Materię.

— Nie wiemy, czy oni w ogóle umierają.

— Ale na pewno istnieją, gdy istnieją, i nie istnieją, gdy nie istnieją.

— I nie wiemy, czy mają tu tylko jednego kratistosa.

— Tego też właściwie możemy być pewni. Moi astrologowie obserwują ruchy planet. Arretesowy anthos wypacza bowiem także Formę aetheru i zmieniają się epicykle ciał niebieskich. Astrologowie śledzą w ten sposób ruchy ich floty poprzez gwiazdoskłon. I jest tylko jedno ognisko zaburzeń niebiańskiej harmonii.

— Może ich być tam dwóch, trzech.

— Dwóch kratistosów w tym samym miejscu? Z definicji nie byliby kratistosami. Tak czy owak, będziesz musiał zabić Najpotężniejszego.

— Może drugi wylądował na Ziemi.

— To było pierwsze pytanie, z jakim posłałam tam Lakatoię. Sprawdzić zasięg, siłę i umocowanie w kerosie arretesowych przyczółków na Ziemi. Zapewne wylądowali tam sporymi siłami, nie wykluczam demiurgosów i teknitesów, lecz żadnego kratistosa z nimi nie ma. Po prostu — po prostu z a d o m o w i a j ą s i ę.

— Taak.

W tej sadzawce żyją małe pyrybki o migoczących jaskrawo łuskach. Pan Berbelek obserwuje ich zgrane poruszenia, taniec niewielkiej ławicy. Kształt fali podwodnych ogników oraz jej szybkość korespondują z wypowiedziami Pani. Gdy ona milknie na dłuższą chwilę, pyrybki zatrzymują się w bezcelowym dryfie i ławica rozpada się na tuziny osobnych strumieni żaru.

— Kiedy atakujemy?

— Kiedy będę pewna zwycięstwa.

— Jest silniejszy?

— To możliwe. Ale problem w tym, że jakkolwiek by nie manewrować, ilu hyppyroi bym nie wystawiła i jak wielki strategos by nas nie prowadził — w kosmosie, na niebie nie otoczę sama jedna adynatosów, żeby nie mogli jakoś umknąć spod mojej morfy. Trzeba ich zamknąć przynajmniej z czterech stron.

— Gdybym ja…

— Jeśli uciekną spod ludzkiego anthosu, nic nie poradzisz. Być może jedyna twoja szansa to cios zadany właśnie pod Formą życia i śmierci, kruchego ciała i krwi drogocennej.

— Więc co?

— Taki był drugi cel Szulimy: sprawdzić delikatnie gotowość innych kratistosów do uczestnictwa w ofensywie przeciwko adynatosom. Zdajesz sobie sprawę, jak trudna i ryzykowna to misja. Potraktują Szulimę serio, tylko wiedząc, od kogo przychodzi, kim jest; a skoro się tego dowiedzą, zabiją ją, zanim zdoła cokolwiek powiedzieć.

— Wnoszę, że wielkich sukcesów nie osiągnęła.

— Musisz zrozumieć naturę sytuacji. Jest to węzeł gordyjski, którego żaden Alexander nie rozetnie. Kratistos, który opuści Ziemię, po powrocie bę-

dzie musiał tam walczyć od nowa o każdy pus kerosu, zagarniętego w korony sąsiadów natychmiast po cofnięciu jego korony. Królowie i narody z jego ziem padną ofiarą sąsiednich władców i cywilizacji. Tu nawet nie ma co myśleć o jakichś paktach, przysięgach, rozejmach — taka jest naturalna kolej rzeczy. Patrz, jak woda spływa w dół i wypełnia puste zagłębienia; tak siła wypełnia każdy niedostatek siły, to znaczy słabość. Żaden kratistos nie uda się dobrowolnie na Wygnanie, ponieważ gwiazdy akurat zmieniły odrobinę swe drogi na niebie.

— Ale gdyby powiedziała im, jak sytuacja naprawdę wygląda… Czy powiedziała któremuś?

— Zabroniłam jej jeszcze zdradzać swą tożsamość. I niby jak sytuacja wygląda naprawdę, mój Hieronimie?

— Forma człowieka może ulec zniszczeniu. I nie będzie więcej ludzi, jeno jedna wielka kakomorfia.

— I tym mieliby się przejąć?

— Nie śmiej się! Ty się przejęłaś.

— Za ten krzyk zapłacisz mi krwią. Och. Czy ja się przejęłam? To w moją koronę wtargnęli. Bronię się. Więc tak, przejęłam się.

Krew rozpływa się w krystalicznie przejrzystym hydorze ciężką, mięsistą chmurą czerwieni, jakby to jakiś żywy organizm wyjadał od środka wnętrzności Wody. Czerwone macki potwora ścigają żar-rybki, a że Pani milczy, czerwień dogania i pochłania niektóre z nich.

— Na początek masz Króla Burz — mówi pan Berbelek, złapawszy oddech.

— Na początek.

— I może Urwalda z Ziemi Gaudata.

— Może.

— Szulima z pewnością nawiązała jakieś kontakty. Wiem, że rozmawiała z Czarnoksiężnikiem.

— Nadal chyba nie myślisz jak strategos. Powiedzmy, że jakimś cudem zbiorę tych kilku kratistosów i razem wgnieciemy adynatosów w keros. Co zobaczą pozostali kratistosi?

— Księżycową Wiedźmę na czele potężnego sojuszu. Tak, masz rację, Siódma Wojna Kratistosów.

— Mówiłam ci: węzeł gordyjski.

— Na co więc czekamy?

— Na okazję. Na wyjątkową chwilę, zaskakujący wszystkich zbieg okoliczności. Gdy żyje się tysiące lat, zaczyna się spodziewać niespodziewanego; w końcu każda szansa przyjdzie do ciebie z własnej woli i złoży ci spokojnie głowę na kolanach. Trzeba cierpliwie czekać.

— Mówisz o dziesiątkach lat.

— Tak.

— Może setkach.

— Tak.

— Chyba wiem, jaki jest trzeci cel Szulimy: szukać dalej, szukać moich następców.

— Hieronimie, Hieronimie.

— Jesteście tak potwornie cierpliwe, gotujecie oręż, nie wiedząc, czy w ogóle go użyjecie, ten lub dopiero piąty, dziesiąty, setny, byle mieć jakiś pod ręką, gdy ta szansa nadejdzie; a tymczasem ostrzyć go i czyścić, by nie zardzewiał. A jeśli nie będę chciał czekać? Zamierzasz mnie tu więzić? Co? Skłamałabyś i uwierzyłbym ci. Możesz mieć strategosa i możesz mieć posłusznego psa, ale nie obu w jednej Formie. Na co więc liczysz? O, bez wątpienia jest twoim dzieckiem, Matko Okrutna, odbiciem słabszym, lecz wiernym. Znam was. Poznałem was.

Jej skóra jest w dotyku zaskakująco chłodna; to normalna temperatura ludzkiego ciała, lecz na Księżycu zaskakuje niczym parzący lód.

— Przechyl głowę. Patrz w górę, czyż tęsknota nie ściska ci serca na sam widok? Och, ależ wiedziałeś, że będziesz musiał zapłacić za każdy moment dumy.

Wściekła ośmiornica krwi atakuje pyryby, czerwony potwór mąci sadzawkę, ta woda nie jest już czysta, krew strategosa przyjmuje w zawirowaniu anthosu wróżebny kształt — czyj wszakże jest to anthos, komu wróży, na co ta ofiara…?

— A teraz idź, idź już, zagub się w Labiryncie.

Idzie.

Ponieważ rytuał jest formą najsilniejszą, dziedziniec posiadał kształt trójkąta. Bestie wychodziły od północy, tancerze czekali pod południową ścianą. Ich natarte gorącymi olejami ciała lśniły w blasku wiecznomakiny nakręcającej tę dzielnicę Labiryntu. Pan Berbelek przystanął na moment na drugiej terasie, pod czerwonymi aeróżami ogrodu przepływającego właśnie

nad dziedziniec. Publiczność gwizdała i klaskała, gdy tancerze przeskakiwali nad potworami i reorganizowali się w nowe formacje, zanim bestie zdążyły się od nowa rozpędzić. Grała muzyka. Pan Berbelek drapał nerwowo bliznę na szyi; dotyk kirouffy, choć wykonanej z najlżejszego ziemskiego jedwabiu i przecież nie zapiętej, drażnił rozpaloną skórę. Sprzedawca żarbłek usunął się z drogi, ledwo pochwyciwszy jego spojrzenie. Pan Berbelek szedł w chmurze zimnego gniewu; bezpańskie psy, o których nawet jeszcze nie pomyślał, by odpędzić je kopnięciem, uciekały, skomląc jak kopnięte.

Na trzeciej terasie odbywały się tańce innego rodzaju, chociaż do tej samej muzyki. Tu też przystanął na moment, nie znał tych kroków, nie znał tego rytmu. Księżycowe obyczaje zachowały w sobie coś z tej naturalnej dzikości i okrucieństwa, które poprzedzały czas cywilizacji i kratistosów, a których ślad nigdy do końca nie da się wymazać z Formy człowieka. W cieniu, pod drzewami, sprzedawcy rozlewali do aetherycznych kubków i kielichów płonące wino. Tu natomiast, na miękkiej trawie i ciepłej ziemi, tańczono boso do melodii fletów, bębnów i kithar. Jakaś uroczystość, wesele, urodziny, modlitwa do Pani, święto płodności? Nie potrafił rozpoznać, był tu obcy. Jasnowłosa Księżycanka w nieprzyzwoicie krótkiej spódnicy, odsłaniającej prawie pół łydki, podtańczyła do pana Berbeleka, dygnęła przed nim lekko, porozumiewawczo uśmiechnięta, i pociągnęła go między tancerzy. Było to tak niespodziewane i tak przeciwne jego aktualnej morfie, że w bezmyślnym odruchu wzniósł dłoń do ciosu; powstrzymał się z wysiłkiem. Kobieta pokazała mu kroki, poprowadziła do muzyki, w jakimś stopniu narzuciła nawet swoją Formę, że aż odpowiedział suchym uśmiechem na jej uśmiech. Wymijali się z innymi tancerzami. Przyglądała mu się z podniecającą bezczelnością — szeroko otwarte, nie mrugające oczy i tajemniczy uśmiech. Po chwili przestał liczyć kroki i odmierzać w głowie rytm. Wokół lewego jej sutka wirował aetheryczny pierścyk, w zetknięciu z białym jedwabiem kirouffy wydający przeciągły świst i budzący w materiale fale niewidzialnych iskier, dodatkowo drażniących skórę pana Berbeleka.

Potem poszli pod drzewa popielne, napił się płomiennego wina. W obracającej się powoli czarze kielicha mieszały się ciecz i ogień, nie do końca odróżnialne, nie był też Hieronim do końca pewien, co spływa mu przez gardło. Nie spocił się. Naraz jednak dreszcze przebiegły mu po plecach. Ja-

snowłosa Księżycanka przylgnęła do jego boku, ucałowawszy go w policzek, zanim zdążył obrócić głowę, uniosła do ust jego rękę i ugryzła go w nadgarstek, natychmiast przysysając się do rany. Powalił kobietę na ziemię, oblał ogniem. Uśmiechała się, oblizując wargi.

— Naznaczyła cię, weszła ci w krew, zawsze was rozpoznaję, umrzesz dla niej!

Kopnął ją, splunął i odszedł, nie oglądając się.

Jeszcze coś za nim krzyczała, ale nie zrozumiał słów, zniekształconych przez księżycowy akcent.

Na czwartej terasie było niewielu ludzi, tu już zaczynały się labirynty altan mieszkalnych. Muzyka pozostała za panem Berbelekiem, otrząsnął się z jej formy. Zaczął kląć szeptem po vistulsku. Zamilkł dopiero, przycisnąwszy rozdarty nadgarstek do warg — inna była jego intencja, lecz tak samo pił gorącą krew, słona, żelazista maź kleiła się do języka. Teraz już za późno, nie wyssie jadu Illei. Szedł, patrząc na niebo, orientując w głowie splątane konstelacje wiecznomakin względem Ziemi i próbując obliczyć, gdzie wobec tego znajduje się obecnie Spirala Abazońska, dzielnica Czwartego Labiryntu, w której posiada swój gaj Omixos Żarnik — tam bowiem zatrzymał się pan Berbelek na czas wizyty u Illei Potnii. Czyli być może na resztę życia. Uwięziony! Strategos Księżyca, ha! Splunął krwią.

Pląsy naniebnych perpetua mobilia ostatecznie przyprawiły go o zawrót głowy, przysiadł w pierwszej z otwartych altan. W ich zarośniętych pyrowymi powojami ścianach pozostawiono otwory na kamienne bloki z wyrzeźbionymi na płaskim szczycie szachownicami; figury czekały ustawione na swoich pozycjach. Był to Labirynt Szachistów. Ledwo pan Berbelek usiadł, w otworze ponad kamiennym blatem pojawiła się chuda dziecięca dłoń. Hieronim zawahał się, lecz sięgnął do kieszeni i rzucił chłopcu (a może dziewczynce) najmniejszą tabliczkę illeacką.

W szachy można grać na dwa sposoby: z przeciwnikiem lub z jego figurami. Z przeciwnikiem gra się twarzą w twarz, człowiek przeciwko człowiekowi, wola przeciwko woli, układ figur stanowi wówczas jedynie odzwierciedlenie stopnia uległości jednej morfy wobec drugiej. Inteligencja i doświadczenie w grze nie są tu oczywiście bez znaczenia, acz ich rola pozostaje drugorzędna, nie one decydują.

Ale można grać przeciwko figurom, przeciwko abstrakcyjnemu problemowi strategicznemu zaprezentowanemu na szachownicy przed tobą —

nieważne, przez kogo, być może przez nikogo, przez świat, z którego przeciwnościami walczy się na oślep, nie pytając o Przyczynę i Cel. I w grze na ten drugi sposób znaczenie posiada tylko rozum; w ten sposób niewolnik może pobić kratistosa.

Goniec biegał w labiryncie altan szachowych, przenosząc posunięcia z oddalonych od siebie szachownic. Partie zestawiano prawdopodobnie podług układu zajętych altan oraz aktualnej konfiguracji sprzężonych z nimi wiecznomakin Labiryntu. Z pewnością partnerzy w grze zmieniali się między kolejnymi rozgrywkami. Przytknąwszy amulet do nosa, pan Berbelek wygrał łatwo dwie pierwsze partie, w trzeciej poszedł na wyniszczenie, kończąc wroga w uścisku między dwoma elefantami, w czwartej znowu białe podłożyły mu się jeszcze w otwarciu, piąta zaś była najtrudniejsza, obaj postępowali niezwykle ostrożnie, wielokrotnie ubezpieczając każdą figurę i budując piętrowe pułapki, pan Berbelek zapomniał się w grze, zapomniał o piekących bliznach, strasznej Pani i nieludzkiej Formie Wykrzywiającej świat, oto znowu widział tylko czysty i jasny problem strategiczny, wyzwanie dla umysłu i fascynujące piękno konstrukcji myślowej, takiego piękna był koneserem, takie piękno tworzył, ostre i lśniące rzeźby wewnątrz swego umysłu, logiczne mekanizmy nieuchronnego zwycięstwa, zwyciężył i teraz; a partia szósta — kolejna rzeź bezlitosna.

Goniec po raz siódmy wyciągnął dłoń (czy to nadal ten sam dzieciak?), pan Berbelek nie znalazł już jednak więcej tabliczek w kieszeni. Ponownie przycisnął do nozdrza białą rurkę. Oparł się o szkieletową ściankę obleczoną w rozpalone powoje, odchylił głowę. Ziemia zaświeciła mu prosto w oczy. Księżyc przelatywał właśnie nad Azją, mierzwa szarych chmur przesłaniała Dzunguo. Goniec wrócił nieproszony, rzucił na szachownicę zwiniętą kartkę: *Wyzwanie od mistrza Geminesa, rewanż osobiście, zaproszenie dla Nieznajomego.* Pan Berbelek, zachichotawszy bezgłośnie, schował ją do kieszeni.

Można grać na dwa sposoby i dobrze, że na czas przypomniał sobie, iż strategos to ktoś więcej niż tylko wódz o przemożnej Formie porządku, odwagi i posłuszeństwa. W istocie bowiem strategos rozgrywa bitwy zawsze w samotności, w swojej głowie, sam ze sobą, i to tam albo odnosi victorie, albo ponosi klęski. Każdy problem, gdy wyjęty z cudzej morfy i złożony na powrót w myśli, jest do rozwiązania i pokonania — jak dowolny atak sza-

chowy owych niewidocznych graczy. Nie ma znaczenia, z kim tu gra, mógłby tak grać nawet z Panią i też by zwyciężył.

Dotknął po kolei swych blizn, jakby wykonywał rytuał oczyszczający, gest modlitewny, złamany krzyż kristjański. Wszyscy ostatnio toczą z niego krew, niczym z wołu ofiarnego. Nieopisywalna ludzkimi słowy woń amuletu przepalała mózg pana Berbeleka. Oczy zachodziły mu łzami, zamrugał, zielona plama rozpłynęła się na czarnym niebie. No i powiedz mi, Hieronimie, skąd u ciebie ten żal, skąd ten gniew, dlaczego się wściekasz? Na co niby liczyłeś? Nie zachowuj się jak dziecko. Nikt ci niczego dobrowolnie nie podaruje. Oczywiście, że nie możesz wierzyć ani Illei, ani Pannie Wieczornej. Wrogami są wszyscy, różnica polega jedynie na tym, że niektórych wrogów się niszczy, a innych wykorzystuje do zniszczenia tamtych. Postaw sobie cele i nakreśl plan. Coś, co zadziała tak samo dobrze pod dowolną Formą. Potrafisz to zrobić. Robiłeś to nieraz. Jesteś do tego stworzony, to leży w twojej naturze. Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia; dobrze. Oto jak przedstawia się łamigłówka. Teraz —

Kto jest twoim wrogiem największym?

ξ
Jak strategos

— Wyzwanie, przed którym stoimy, w gruncie rzeczy sprowadza się do jednego problemu: jak doprowadzić do wspólnego wystąpienia przeciwko adynatosom wszystkich kratistosów Ziemi, i to nie pod twoim przywództwem, lecz z ich własnej inicjatywy. Wystąpić muszą wszyscy, a w każdym razie większość z ziem ciasnego podziału kerosu: Europy, Azji, północnej Afryki. Anaxegiros i Urwald byliby mile widziani, acz ich uczestnictwo nie jest konieczne: są bezpieczni w swym oddaleniu i nie zagrażają w tym oddaleniu natychmiastowym wypełnieniem pustki po cudzych aurach. I nie możesz dowodzić ty, ani nawet nikt bezpośrednio zależny od ciebie, żeby nie miało to żadnego pozoru próby narzucenia twej woli. Zebrać się muszą samoistnie, jak pyrownik spontanicznie schodzący po orbitach uranoizy. Coś ich musi przyciągnąć, jakiś cel. Zadajmy więc sobie pytanie: jakie przykłady podobnych zdarzeń znamy z historii? Cóż, chociażby zdarzenia, które doprowadziły do twojego Wygnania. W pewnym momencie miałaś przeciwko sobie wszystkich; w każdym razie nikt nie zajmował otwarcie odmiennego stanowiska. Zjednoczą się, jeśli się poczują bezpośrednio zagrożeni. To oczywiste. Ale oczywiste jest też, że nie możemy czekać, aż adynatosi wejdą tak głęboko, że kakomorfia stanie się na Ziemi zagrożeniem powszechnym. Tak, masz rację, ja nie mogę czekać. Potraktuj więc moją niecierpliwość jako tę swoją niespodziewaną szansę; chociaż przecież się jej spodziewałaś, prawda? A zatem. A zatem oto, co trzeba zrobić: połączyć jednoznacznie obecność adynatosów w sferach ziemskich z niebezpieczeństwem, którego kratistosi już są świadomi i które już ich dotyka. Żeby nie mogli wystąpić przeciwko jednemu, nie występując zarazem przeciwko drugiemu. Następnie — następnie sprowokować eksplozję tego pyrownika. Jak to się na przykład dzieje, że ulewy ognia nie spływają nigdy na Labirynt i inne zamieszkane ziemie Księżyca? Posyłasz astromekaników, by zapalali fałszywe pyrowniki na co mniej stabilnych orbitach aetheru. Eksplozje spadają na i tak już spopielone ugory i na wylęgarnie anairesów. Taak.

Nie pytasz, bo wiesz, kto jest największym już istniejącym zagrożeniem dla Potęg i na kogo spuścić ognistą zagładę. Przecież nie zapomniałem. I wiesz, że się tu przed niczym nie cofnę, że to jest silniejsze od jakiejkolwiek przysięgi. Powiedzie mi się. Nie może się nie powieść. Zrobię to; nie pytaj, jak. Wiesz, że potrafię rozgrywać takie gry. To nieprawda, że nie szukałyście strategosa. Potrzebujecie strategosa, strategos jest waszą jedyną szansą, intryga i oszustwo zimne i bezosobowe, nie oparte na potędze twojej morfy, nieskażone twoją morfą. Armia przeciwko armii, naród przeciwko narodowi, porządek przeciwko porządkowi. Wystarczy, że otworzy się przede mną okazja. Wystarczy, że spuścisz mnie ze smyczy. Spuść mnie ze smyczy.

— Idź.

IV

II
Król szczurów

Bitwa morska gorzała przez większą część nocy. W sumie na pokładach statków znajdowało się dwunastu nimrodów oraz siedmiu aresów — no i jeden strategos — wynik więc każdy mógł przewidzieć; lecz potwór był zaiste ogromny. Jego obscenicznie rozprute cielsko unosiło się teraz na spokojnych falach okeanosu, lśniąc i migocząc w czystym świetle wschodzącego Słońca. Ihmet Zajdar przypatrywał się truchłu, paląc tłustego hasziszowca, oparty o topornie rzeźbiony reling. Nadal był nieco roztrzęsiony po nocnym boju, nadal czuł na języku smak dzikich łowów, a w mięśniach — owo napięcie niechybnego ciosu, energię radosnej przemocy. W nałożeniu tylu śmiercionośnych aur keros stał się tu ostry niczym puryniczna brzytwa — ponoć jakiś marynarz z „Euzulemy” wykrwawił się na śmierć, w podnieceniu walką ugryzłszy się w policzek. Ihmet Zajdar operował zapałkami z wielką ostrożnością. Miękkie ciepło hasziszu wpłynęło weń w błękitnym dymie, kojąc nerwy.

Wąż morski liczył sobie ponad stadion długości. Martwy, unoszący się bezwładnie na turkusowych falach, zdawał się nawet większy niż podczas bitwy, w nocy, kiedy widzieli go wyłącznie fragmentami i w krótkich chwilach — gdy atakował. Ihmet nigdy nie słyszał o potworze, który zaatakowałby w pojedynkę flotę siedemnastu okrętów. Nigdy zresztą nie słyszał również o potworze Powietrza żyjącym pod wodą — ale to był kakomorf tak ewidentny, że Zajdar nie oczekiwał w jego anatomii żadnych reguł i praw, żadnej elegancji formy; zapewne też okaże się on stworem jedynym w swoim rodzaju i nikt nic doń podobnego już nie spotka.

Ihmet słyszał marynarzy sprzeczających się pod pokładem. Mówili o „klątwie Czarnoksiężnika”. Nimrod uśmiechnął się pod wąsem. Nie wiedział, ile w tych przypuszczeniach mogło być prawdy — lecz strategos oczywiście nie przepuściłby podobnej okazji dla wzniecenia plotki. W końcu jakie było prawdopodobieństwo, że zostaną napadnięci przez okeanosowego kakomorfa właśnie teraz, właśnie tu, na absolutnym morskim pustko-

wiu i wypłaszczeniu kerosu, gdzie zebrało się szesnaścioro szczurów największych potęg tego świata? Prawdziwe przypadki — w nie uwierzyć najtrudniej.

Bitwa rozpoczęła się była tuż po północy. „Filip Apostoł” znajdował się na zachodnim krańcu skupiska okrętów, a wąż natarł od wschodu i nawet po wszczęciu alarmu trzeba było kilkudziesięciu minut, by zorganizować obronę. Wtedy już jednak esthlos Berbelek narzucił swoją komendę i marynarze przestali spadać z want, statki zamknęły szyk, a puszkarze poczęli obracać pyresidery z wielką sprawnością i pewnością siebie. Jednak pomimo dwugodzinnej kanonady w ciężkiej aurze aresów i nimrodów, wąż nie dawał za wygraną. Przebił się przez dno „Szałabaja”; gdyby nie paru zdolnych demiurgosów na jego pokładzie, statek poszedłby pod wodę. Potwór atakował z coraz to innych kierunków, objawiając się zawsze tuż przed uderzeniem — był czas co najwyżej na jeden strzał, i to wyłącznie z najbliższych okrętów. Berbelek rozkazał wziąć się za harpuny. Potwór rwał liny i szarpał okrętami. To jednak pozwoliło mimo wszystko na nieco gęstszy ostrzał. Trafiono go w łeb, począł broczyć ciemną posoką. Nadął się wtedy niczym świnia powietrzna i wyprysnął ponad wodę, unosząc się ku gwiazdom. Ciskano weń harpunami ze wszystkich pokładów, grzmiały pyresidery za pyresiderami; Ihmet zapamiętał wściekły wrzask, z jakim ściskał spust keraunetu. Na koniec jednak aerowa morfa bestii okazała się za słaba jak na ciężar złączonych z nią linami harpunnymi okrętów i kakomorf został ściągnięty z powrotem na powierzchnię morza. Ihmet poprowadził wówczas na rozkaz Berbeleka oddział ludzi z bosakami, siekierami i piłami; towarzyszyło im troje nimrodów z sąsiednich statków. Przeskoczyli na rozkołysany, rozedrgany grzbiet potwora i rozrąbali go wzdłuż kręgosłupów, od rozłożystych rogów na kwadratowym łbie do kwiecistego ogona. Wszystkie okrętowe lampy i żużelnice były zapalone, pracowali pośród nocy w łunie żółtego ognia, z czarnego cielska parowały jakieś cuchnące wyziewy, brodzili w smrodliwej mgle, w unoszących się kawałkami w niebo aerowych organach kakomorfa, stopy ślizgały się im w lepkiej wydzielinie, zapadali się po kolana w galaretowate wnętrzności monstrum. Berbelek przyglądał się im przez cały czas z mostka „Filipa”, nikt nie spadł z węża, nikt się nie skaleczył i nikt nie utopił.

Ihmet dwakroć się potem obmył, lecz nadal miał wrażenie, że skórę i odzienie oblepia mu ciemny śluz; nadal czuł ten odór. Łapczywie wdychał

hasziszowy dym. Samo powietrze było zimne, twarde, chropowate. Świt w pierwszym kręgu, w drugim liściu zachodnim, pośrodku okeanosu.

Okręty zdążyły się ponownie rozproszyć. Zajdar liczył nagie maszty, liczył bandery i ślady białej piany na powierzchni morza. Trzy, cztery, sześć, osiem, po drugiej stronie jeszcze pięć — czy statek K'Azury już odpłynął?

Od karożaglowca Nabuchodonozorowego posła sunęła powoli ku „Filipowi Apostołowi" szalupa pod złotym godłem kratistosa, zataczając szeroki łuk wokół truchła kakomorfa.

— Zimno.

Obejrzał się.

Przyboczna strategosa zawinęła się ściślej w biały płaszcz humijowy. Uśmiechnąwszy się porozumiewawczo do Ihmeta, pochyliła się nad relingiem, krzyżując przedramiona na poręczy.

Owo porozumienie zostało między nimi zbudowane na żartach, aluzjach, kwaśnych docinkach i wymianach niedopowiedzeń, a w największej części na tym, czego w ogóle nie powiedzieli, na milczeniu.

— Akurat ci zimno, nigdy nie jest ci zimno — mruknął. — Parujesz jak nowo narodzone szczenię.

Aurelia przesunęła dłonią po gładkiej czaszce, ślady palców pozostały na ciemnej skórze.

— Deszcz wyprowadza mnie z równowagi.

Przed świtem, już po ubiciu kakomorfa, przeszła była krótka ulewa, gwałtowny wicher dodatkowo roztrącił okręty. Przyboczna Berbeleka zazwyczaj kryła się przed deszczem; nimrod sądził, że raczej dla uniknięcia plotek i by nie powodować skrępowania innych, aniżeli przez prawdziwy dyskomfort obcowania z wodą. Ihmet poznał Aurelię tuż po powrocie Berbeleka do Afryki, przeszło dwa lata temu. Strategos nijak jej jeszcze wówczas nie przedstawiał, po prostu: towarzyszyła mu; towarzyszyła, spełniała jego polecenia, troszczyła się o jego bezpieczeństwo. Była demiurgosem Ognia — stało się to dla Zajdara boleśnie oczywiste owej babilońskiej nocy, gdy spopieliła nasłanych na nich siepaczy z Szarej Gwardii Siedmiopalcego: w płonącym ubraniu, w smudze dymu i aureoli falującego od żaru powietrza, w mgnieniu oka wypaliła Babilończykom twarze, ich klatki piersiowe obróciła w czarne kratery organicznego żużlu. Upadali pod pióropuszami tłustej sadzy. To była jedna twarz Aurelii od Pioruna. Druga twarz ukazywała się natomiast w takich sytuacjach — gdy padał deszcz, gdy mu-

siała przebywać między zwykłymi ludźmi, a jej morfa wykluczała ją poza nawias wszelkich sytuacji towarzyskich, w niezręczność, w milczenie, nieśmiały bezruch w ciemnym kącie pomieszczenia, gdzie być może nikt nie zwróci uwagi na demorfunki jej brwi, na tańczące na skórze skry, na otaczający ją zawsze delikatny zapach spalenizny, mdłe pachnidło krematoryjne. Natura Aurelii była jednak inna (ognista). Prowokowała ją do wybuchów szczerej jowialności, głośnego śmiechu, okrzyków zdziwienia, podziwu, prędkiego jak uderzenie kobry gniewu — tak potrafiła się zapomnieć. Ihmet był świadkiem owych wybuchów, bo to zazwyczaj istotnie były wybuchy, i z tego mimowolnego świadkowania zrodziło się było porozumienie między Persem i dziewczyną. Nie pytał, nie kpił, nie udawał, że nie widzi, i nie unikał jej obecności. Znał przecież nimrodów tak dzikich, że faktycznie tęskniących już do form zwierzęcych, przedcywilizacyjnych, przedludzkich; znał aresów tak agresywnych, że przemocą skuwanych na noc, by nie wydrapali sobie we śnie oczu, nie wyrwali serc; znał demiurgosów psyche pozbawionych własnej psyche. Oczywiście tego Aurelii również nie powiedział — jak zresztą przyjęłaby takie porównania? — ale ponieważ zazwyczaj nie mówił właśnie nic, mogła teraz podejść do niego i swobodnie zagaić rozmowę. Bo była też ta trzecia Aurelia: po prostu samotna dziewczyna, szukająca ostrożnie jakiegoś kontaktu z drugim człowiekiem, skoro — jak wyobrażał to sobie Ihmet i nie był pewien tego wyobrażenia — skoro została rzucona w świat, sytuacje i między ludzi całkowicie jej obcych, obcych jej sercu i obcych jej rozumowi. Nie potrafiłby wskazać, skąd to wyobrażenie, z jakich znaków je zbudował; dotyk morfy jest miękki i subtelny. Aurelia splunęła za burtę i puściła do Zajdara oko. Cienie hadesowych pożarów pełgały w jej źrenicach. Majtek z pobliskiego „Aceusza” zaklął chrapliwie w ciszy świtu i nimrod odwrócił głowę.

— Czasami sprawiasz wrażenie, jakbyś spadła prosto z Księżyca — rzekł, śledząc wzrokiem zbliżającą się szalupę ze szczurem Nabuchodonozora.

Kątem oka dostrzegł jednak — kątem oka nimroda — jak Aurelia odruchowo prostuje się na te słowa i ogląda przez prawe ramię.

Zrozumiał dopiero po siedmiu uderzeniach serca: gdyby w ogóle był teraz widoczny, tam właśnie powinni byli go widzieć — Księżyc.

Wypuścił z płuc obłok haszyszowego błękitu.

— A ja się zastanawiałem, skąd on posiadł nagle tak wielką wiedzę o ruchach ciał niebieskich i życiu sfer nadziemskich. Ten jego Antidektes… — Ihmet oparł głowę na dłoniach. — A obsesja zniszczenia kakomorfii — to niby na skutek śmierci syna. Noo, bardzo ładne. Tymczasem ona po prostu chce się zemścić za swoje Wygnanie… Dobrze, że nie złożyłem mu hołdu.

Widział, jak rosną nad jej czaszką łuki iskier, a z rękawów płaszcza wysnuwają się strużki siwego dymu.

— Służyłeś mu trzy lata — rzekła cicho, i to była już ta pierwsza Aurelia. — Obiecywał ci coś? Zapłatę? Ideał? Wroga? Dlaczego więc służyłeś i dlaczego teraz miałbyś się cofnąć?

— Nie będę służył jej. Spalisz mnie?

— Opowiadano mi, że tacy właśnie jesteście. Jeśli oddajesz swoją lojalność człowiekowi, który z kolei odda swoją komuś, kto ci się nie podoba — czy to znaczy, że już nie musisz być lojalny? Cóż to więc za lojalność? Co za wierność? Gdy każdorazowo wybierasz i decydujesz podług własnego upodobania — to nie wierność, to zwierzęca wygoda. Prawdziwych panów się nie wybiera. Oni wybierają nas. Sądzisz, że możesz odejść? Idź i powiedz mu to.

— Powinienem był wcześniej się domyśleć. Choćby zeszłej zimy w Alexandrii, gdy zastałem cię w termach z Amitace i jej aresem, cała forma owej sytuacji, jak na mnie spojrzałyście… Ha! A ja nie mogłem pojąć, czemu nie zabił tej żmii. Manat mnie oślepiła, nic innego. Szulima wkradała się w łaski Czarnoksiężnika po to, by go zniszczyć — już w Chersonezie — kratistosi nigdy nie wybaczają, nie zapominają— nie zamierzam brać w tej grze —

— Zostaw nóż w spokoju.

Humijowy płaszcz począł się tlić na ramionach Aurelii. Obróciła się przodem do nimroda, odsuwając się od relingu. Najbliższy marynarz znajdował się kilkanaście pusów dalej, drzemał za nie do końca rozplątanym zwojem grubej liny. Szalupa ze szczurem Nabuchodonozora wyłaniała się zza rufy „Aceusza”. Wiatr poruszał lekko grzywą martwego węża morskiego.

Ihmet nie wyprostował się, nie obrócił od relingu. Złożył puste dłonie symetrycznie na poręczy. Przyglądał się, jak wnętrzności potwora zmieniają kolor w promieniach wschodzącego Słońca.

— Czy uwierzysz, że gdy go po raz pierwszy spotkałem, był niższy ode mnie i nawet podczas konwersacji przy stole nie bardzo go słuchali, wchodzili mu w słowo? To było szlachetne: pomóc Berbelekowi Kolenickiemu, gdy potrzebował pomocy, użyczyć siły, gdy sam jej nie posiadał. Ale potem zaczął wypełniać kolejne podsuwane mu Formy, każdą większą od poprzedniej: kochanka, ojca, hegemona dżurdży, mściciela, strategosa. Ona jest jakimś wiedźmowym teknitesem psyche, prawda? Szulima. W zeszłym miesiącu w Argentoratyjskiej palarni… już mówił o sobie: kratistobójca, kratistobójca. Pójdzie na Czarnoksiężnika i zginie.

Aurelia przysunęła się do Zajdara, poczuł falę ciepła.

— A przecież jesteś mu wierny — szepnęła. — Zależy ci.

— Nie było cię, gdy w Sextilisie wziął z niecałą setnią twierdzę Danzig. Reszta obrońców sama rzuciła się na skały. Czuło się, że oto idzie Historia; my krok za nią. To nie to samo, co konwojowanie karawan i ochrona statków.

— Nie opuścimy go.

Obrócił się nagle, chwytając ją w ramiona. Forma była już całkowicie inna, Aurelia tylko odrzuciła głowę i zaśmiała się chrapliwie (Aurelia trzecia).

Ihmet pocałował ją w gorący nadgarstek.

— Moje wnuczki… jesteś młodsza chyba nawet od nich.

— Panie Zajdar, co też pan! — cmoknęła głośno.

— Pan Zajdar upalił się hasziszem, trzeba ognia, żeby ugasić ogień, oj, dopiero zadymi ci się tyłeczek.

Prychnęła mu gorącymi iskrami w twarz. Klnąc, począł gasić wąsy i brodę. Śmiała się, odchodząc. Obudzony marynarz zawołał coś do niej w gaelickim. Posłała mu w powietrzu całusa.

— Jeszcze przed pełnią! Zobaczysz! — zakrzyknął Ihmet. — W łowach powodzi mi się zawsze! Ha!

Nie oglądając się, machnęła ręką.

Patrzył, jak skręca ku rufie i znika za podstawą masztu. A więc Księżycanka, tak. Czyż nie w ten sposób opisywał ich Elking? „O ciałach gorejących i duszach spopielonych”. Wystarczyło spojrzeć w oczy esthle Amitace. Żmija, Żmija. Od pierwszego momentu, gdy ujrzałem ją w cyrku — uśmiech, gest, spojrzenie, już wtedy próbowała pochwycić mnie w sieć, zmanipulować. Esthlos Berbelek tego nie widział, bo on pragnął zostać

zmanipulowanym; ale w ten właśnie sposób człowiek się uzależnia: nie widzi już siebie, tylko swoje odbicie w cudzych oczach, i stamtąd czerpie morfę. Nawet gdy potem, w Afryce, Amitace mu ulegała — ulegała mu, ponieważ takiego właśnie Hieronima Berbeleka chciała: który wymuszałby uległość. Ona, a raczej jej Pani, Księżycowa Wiedźma. Teraz Berbelek budzi w Europie nowy sztorm historii, podnosi falę starych nienawiści, że nagle modnie, słusznie i jedynie właściwie jest odwrócić się od Czarnoksiężnika i wznieść sztandary przeciwko Moskwie, że taka jest Forma końca wieku. Wszyscy wiedzą, dlaczego to robi, wszyscy znają jego imię i jego zemstę, tak, Berbelek sam stanowi tak oczywisty element historii, że nikt o nic nie pyta. I sam nie pytałem, morfa jest przemożna: Powrót Berbeleka. Tak jest modnie, słusznie i jedynie właściwie. A Wiedźma świetnie o tym wie: nikt nie będzie dociekał motywu ukrytego, gdy istnieje jawny, tak oczywisty. Potrzebowała kogoś, kto powiódłby ich na Czarnoksiężnika — i znalazła Hieronima Berbeleka, narzędzie idealne. Trzeba było tylko przywrócić go do życia. Przyciągnąć do Form potęgi, jeszcze zamącić w głowie bajkami o wszechświatowej kakomorfii, zgubie jego syna, kłamstwo tak wielkie, że nieobalalne przez samą swą wielkość — i już: bezpieczna zemsta cudzymi rękoma. A Szulima nadal mąci mu umysł, obecna czy nieobecna, zatruwa mu psyche, czarny szczur Illei. Z tego zaklętego kręgu nie ma wyjścia. Splunął za burtę. Muszę samemu ją zabić, zabiję Żmiję. Zanim wyprawi go na śmierć. Jemu nawet nie ma o tym co wspominać, nic nie widzi. Ktoś go jednak powinien bronić przed Księżycem. A nie Aurelia przecież.

Szalupa Nabuchodonozora mijała powoli rozciągnięty na falującym morzu pawi ogon węża morskiego.

Aurelia Krzos zeszła rufową schodnią na pierwszy podpokład, skręciła w główny korytarz i stanęła przed drzwiami do kabin pasażerskich. Gdy „Filip” nie przewoził pasażerów, rezerwował je kapitan, Otto Prünz, tudzież właściciel; teraz zajął je wszystkie strategos Berbelek, jako że istotnie był współwłaścicielem „Filipa Apostoła”, jak i całej floty handlowej Domu Kupieckiego Njute, Ikita te Berbelek. Przed drzwiami stało dwóch horrornych, ciężkie, żarłogębne keraunety opierali w zgięciach łokci — te „żarłacze”, o lufach niczym asymetryczne muszle, ładowano zazwyczaj gwoździami

i żwirem; w wąskich pomieszczeniach (jak tutaj) jeden z nich strzał kładł pokotem wszystko, co żywe. Horrorni zasalutowali Aurelii. Strzepnęła popiół z humijowego płaszcza i weszła.

Po lewej salon i kabina armatora, po prawej kabiny luksusowe. Statek zakołysał się lekko pod jej stopami, odruchowo zbalansowała ciałem. Przez rozetowy bulaj wpadały poziome promienie wschodzącego Słońca; nie zmrużyła oczu: nic nigdy jej nie oślepiało. Otworzyła bez pukania drzwi lewe.

— …na wpływy Trzeciego Pergamonu, jeśli Mariusz Seleukidyta Bez Korony stanie pod murami Amidy. Tam stykają się anthosy Czarnoksiężnika i Siedmiopalcego. Gdy będziesz miał za sobą tę zwycięską kampanię w Europie, powitają cię z otwartymi ramionami, esthlos, to mogę powiedzieć z pewnością.

— W imieniu?

— Zawsze mówię w jego imieniu. Chyba że powiem, że nie.

Wszyscy się roześmiali.

Aurelia weszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. Kilka głów obróciło się w jej stronę, lecz nikt nie skomentował przybycia śniadoskórej dziewczyny.

Obszerną kajutę wypełniał niewidoczny dym harkazowego kadzidła, zmarszczyła nos. Przeszła do otwartego gabinetu win (bose stopy nie wydawały dźwięku, gdy brodziła w futrach Nordu i perskich kobiercach) i nalała sobie czarę midajskiego.

Gdy się odwróciła, strategos Berbelek stał nad rozłożoną na stole mapą i wodził palcem po morzach, górach i miastach. Podeszła. Pomyślał, że wino jest dla niego i wyjął jej czarę z dłoni. Skinęła głową.

Berbelek wypił, postawił kielich za Uralem i spojrzał pytająco na Jakuba ibn Zazę, szczura kratistosa Efrema od Piasków. Szczury siedziały w skórzanych fotelach rozstawionych w nieregularnym półokręgu wokół owalnego stołu. Było ich sześcioro — oczy, uszy i głosy Potęg, z którymi esthlos Berbelek zawarł był już sojusz takiego czy innego rodzaju.

Jakub ibn Zaza, ejdolos Efrema od Piasków, którego korona dotyka na północy koron Siedmiopalcego i Nabuchodonozora, a który kładzie swą morfę na całym Dżazirat al'-Arab, aż do Okeanosu Wschodniego.

Esthle Anna Ormicka, ejdolos Światowida, Pana Lasów i Łąk, zepchniętego za Vistulę przez armie Moskwy, ściśniętego teraz między ziemiami Gotów, Celtów, Nordlingów i Hunów a anthosem Czarnoksiężnika.

Ryter Olaf Splamiony, ejdolos Thora, którego korona sięga od Bałtyku do Lodu Północnego, a w którego morfie rodzi się po równo gorące szaleństwo i zimne piękno.

Lapides, anioł żelaza i brązu, ejdolos Juliusza Kadecjusza, Króla Burz, bazyleusa Oronei.

Esthle Rabitia Szwejg, ejdolos Ruperta Młodego, Protektora Gotów, którego granice aury pokrywają się z granicami Gothlandu, od Thora do Leo Vialle, teraz także do Eryka Helwety.

Mussija, ejdolos Mauzalemy, najsłabszego z Trojaczków Indusu, osiadłego najdalej na północy, Śpiącego Kochanka, w którego morfie każdy odnajduje miłość swego życia, o koronie ocierającej się o korony Efrema, Siedmiopalcego i Czarnoksiężnika; trzysta lat temu Czarnoksiężnik porwał, zmorfował i ukrzyżował córkę Mauzalemy, odtąd trwa wojna między książętami Indu i hordami uralskimi.

Jakub ibn Zaza tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi na spojrzenie Berbeleka.

Strategos uniósł brew.

— Seleukidyci siedzą nam na karku już sto lat — westchnął szczur Efrema. — Oficjalnie jednak to nie korona Dziadka Pustyni ich chroni. Po prostu: udali się na Pielgrzymkę do Kamienia i nie wrócili. Rezydują w anthosie Al-Kaby. Może, esthlos, powinieneś wezwać ambasadora Kamienia, he, he, he.

Aurelia spojrzała na mapę. Była to mapa kerograficzna: barwy, linie i opisy na niej dotyczyły podziału kerosu świata, odzwierciedlały aktualną równowagę sił kratistosów, pokazywały ogniska ich anthosów, kierunki spadku natężenia morfy i granice aur. Mapa obejmowała Europę, północną Afrykę i większą część Azji. Pośrodku rozlewała się fioletowa plama anthosu Czarnoksiężnika, czarnymi pentagramami oznaczono trzy twierdze uralskie, Moskwę i Rodzieżogród Aralski. Syberyjskie szlaki plemion spod morfy Dziadka Mroza kończyły się i zaczynały gdzieś poza wschodnim krańcem mapy. Berbelek postawił był czarę w samym sercu fioletu.

— Seleukidyci nie mają żadnej armii — rzekł strategos. — Mariusz jest nie tylko Bez Korony, ale i Bez Miecza.

Aurelia przypomniała sobie te wypalone przez słońce na żółtą kość mury przedwiecznych cytadeli, toporne budowle wyrastające gdzieś spośród gorących piasków, i chudych strażników na ich krenelażach, dachach, wie-

żach, zakutanych w czarne burnusy, tylko oczy świeciły spomiędzy zawojów. Zza pleców wystawały im wyszczerbione keraunety o absurdalnie długich lufach pokrytych wypalonymi w pahlavi wersetami Koranu. Półdzikusi patrzyli na nią z pogardą — dopóki nie stanęły w płomieniach ich zapiaszczone szaty. Piasek, piasek, piasek, w powietrzu, w wodzie, w skórze, straszne wiry piaskowe idące wprost z serca pustyni. Niektóre to tylko ślepe fenomeny aeru i ge, a niektóre — objęte Formą życia, prawdziwe dżinny, groźniejsze od największych anairesów księżycowych. Wszyscy wówczas kryją się we wnętrzu owych bezokiennych budowli o ścianach grubych na dwa pusy i przeczekują wycie geozoonów, dzień, noc, dzień. Takie jest życie ludów pustyni. Lecz nie owych plemion wędrownych, uznających tylko morfę Kamienia, rozproszonych po pustkowiach piasku i słońca. Oni to przemycali Berbeleka i jego ludzi do Babilonu i z powrotem, milczący jeźdźcy wielbłądów i humijów, nigdy nie odsłaniający twarzy, o Formie twardej jak głaz, oszlifowani przez najwścieklejsze chamsiny. Słyszała, że znają język dżinnów, że rozmawiają z pustynią, z rozpędzonym piaskiem, ich kobiety wychodzą w bezksiężycowe noce na hamadę, kładą się pod gwiazdami z wyjącymi dżinnami, tak poczynają się iganazi, Daimony Chamsinu, w których żyłach toczy się czarnymi grudami Ziemia, tak jak w żyłach hyppyroi płynie Ogień. Esthlos Berbelek wyszedł owej nocy na wzgórze ruin Al-Razzy, by spotkać się i zawrzeć umowę z Mariuszem Seleukidytą. Poszła za nim w ukryciu, strzegąc go nawet wbrew jego woli, jak Pani przykazała. I zobaczyła wówczas monarchę na wygnaniu w jego prawdziwej morfie, w szacie piaskowej, powstającego ze żwiru i piachu, aristokratę iganazi — oto jak Marija Seleukidycka przeżyła była samotną ucieczkę przez hamadę i z czyjego nasienia porodziła potomka starożytnego ludu. Esthlos Berbelek zawarł z nim owej nocy honorowy sojusz — słowo, uścisk ręki i zmieszana krew — którego treści nie znała. Ileż podobnych zaprzysiężeń już widziała — być może odbierał je w imieniu Pani (w co wątpiła), tym niemniej to on i jemu przysięgano, jego Formie wierzyli.

Nalała sobie kolejną czarę midajskiego.

— Nie otworzymy tam w Pergamonie drugiego frontu — ciągnął strategos — dopóki Siedmiopalcy i Jan Czarnobrody nie ogłoszą neutralności. Nawet pierwszy front w praktyce nie istnieje, jeżdżę od potyczki do potyczki i przesuwam po kilka setni tu i ówdzie, jak mi miejscowy królik pozwoli.

Esthle Anna złożyła głośno wachlarz.

— Przecież dobrze wiesz, esthlos, że to nie jest tak, iż kratistos wzywa do siebie króla i mówi mu: „A teraz będziesz słuchał Hieronima Berbeleka”. Oni z czasem wszyscy zaczną podzielać jego przekonania i zwycięży Forma nowej odwagi, sprzeciwu wobec Czarnoksiężnika i nadziei na tryumf; ale to potrwa, a najdłużej właśnie w przypadku aristokracji. Oczywiście, im więcej zwycięstw sam im przyniesiesz i im większą nadzieję dasz, tym szybciej to pójdzie. Ale w tym momencie powienieneś już zacząć pertraktować bezpośrednio z królami.

— Gdybyś oficjalnie najął się u kogoś jako strategos — mruknął Olaf — miałbyś od razu armię do dyspozycji.

— Gdybym się najął — sarknął Berbelek — natychmiast zaczęlibyście podejrzewać tego króla o ukryte ambicje. Ja b ę d ę miał tę armię, ale czas, czas, to wszystko zabiera tyle czasu! — Walnął pięścią w stół, rozdzierając pergalon.

— Cóż znaczy kilka lat więcej? — westchnął Jakub, przeczesując palcami długą, siwą brodę. — Maksym nigdzie ci nie ucieknie, esthlos.

— Nie rozumiesz — zaszydziła esthle Rabitia. — Niecierpliwość to jego najsilniejsza broń, jeśli nią ich nie zarazi, cała reszta na nic.

— Jak brzmi ów aforyzm Kommarcha? — Jakub podrapał się w nasadę garbatego nosa. — „Nie byliśmy już młodzi, przynajmniej więc byliśmy niecierpliwi”.

Strategos dźgnął palcem w jego kierunku.

— Ty! Ty, Efrem, on powinien wiedzieć najlepiej! Czyż nie słał setek szpiegów za Nil i Suchą, czyż nie wykupywał aegipskich i axumejskich karawan? Każdy rok więcej to silniejsze Skrzywienie, głębiej i dalej rozlane Skoliodoi, mocniejszy pomiot Czarnoksiężnika. W końcu wgryzą się tak głęboko, że nie będą potrzebować żadnego wsparcia Roga; nie musi już ich przyzywać, sami przyzywają sobie posiłki zza gwiazd. Słyszeliście, co Antidektes mówił o orbicie Saturna i Wenus? Mamy może czekać, aż niebo spadnie nam na głowy, co?!

— Może przyzywają, może nie przyzywają — policzył w śpiewnej grece Jakub. — To prawda, że Rog miał babkę Żydówkę i że babrał się w pitagoreizmie, to prawda, że od wieków wyrzuca z tych uralskich hodowli jakieś poronione kakomorfie, ale —

— Ale co? — warknął strategos. Obrócił się od stołu ku staremu Arabowi. Dzieliło ich co najmniej sześć pusów, lecz Berbelek był na tyle wysoki,

że i tak zdawało się, iż nachyla się i napiera ciałem na Efremowego szczura. Jakub ibn Zaza skrzywił się, odwrócił wzrok, zapadł głębiej w fotel. — Ale co? — sierdził się Berbelek. — Wiecie, że to jego robota, ale wolicie nie włączać się bezpośrednio do wojny, na której nie zyskacie żadnych ziem, tak? Ty i Rabitia, tylko wy tutaj nie graniczycie z Czarnoksiężnikiem. Chcecie się wycofać, jak reszta? — Machnął ręką, obejmując gestem niewidoczne okręty innych szczurów. — Na bogów, trochę wyobraźni! Kiedyś on stanie na waszych granicach i wtedy co — co powiecie na przykład Anaxegirosowi? „Czekaj, nie twoja sprawa, jeszcze nie Krzywi ci Herdonu?" Kretyni! Tchórze! Kratistosi o sercach doulosów! A gnijcie w swoich twierdzach, czekajcie, aż adynatosi podejdą wam pod mury. Tfu!

Milczeli, zażenowani.

Strategos wyrwał Aurelii drugą czarę i wypił jednym haustem resztę midajskiego. Księżycowe pyrwino nie robiło już na nim wrażenia, Aurelia wiedziała, że jad Illei związał na stałe Ogień w jego ciele, w ciele i w duszy — od krzyku esthlosa Berbeleka drżały klosze lamp.

Wszystkie te tyrady, wyzwiska, miotanie się nad mapami, wszystko to jednakowoż przynosiło efekt. Uczestniczyła przecież także w poprzednich spotkaniach szczurów na okeanosie (na pierwsze wezwanie przybyło ich tylko troje). Wracali potem do swych panów zawsze odrobinę skręceni ku Formie Berbeleka, z odciskiem jego morfy w myślach, słowach i zachowaniu, zanosili to świadectwo kratistosom; odbita fala powracała spotęgowana. Oczywiście sami kratistosi nie ulegną Formie żadnego strategosa, jakkolwiek potężnego — ale biorą odtąd tę Formę pod uwagę, ujmują ją w swoich planach i zmieniają je podług niej. Oto jest nowe narzędzie do wykorzystania. Może istotnie da się go użyć do Wygnania Czarnoksiężnika? Może istotnie coś na tym zyskamy? Maksym rzeczywiście przesadził z tymi arretesowymi kakomorfami, nie powinien był Krzywić kerosu. Dajmy strategosowi szansę. Potem trochę większą. I jeszcze większą. Jeśli się mu powiedzie — tylko głupiec nie korzysta z Formy zwycięstwa.

Esthlos Berbelek nie może więc ponieść ani jednej klęski. Na ponowną odbudowę nie starczy mu już czasu. Musi iść od victorii do victorii, coraz efektowniejszej.

Na razie mu się to udawało, ale Aurelia wiedziała — wymieniła ze strategosem spojrzenia, uśmiechnął się porozumiewawczo, iskry zaszczypały ją w kącikach oczu — ale wiedziała, że nie może to trwać wiecznie, nawet

kratistos nie zwycięża bez końca. Nawet kratista najpotężniejsza — wtedy bowiem wszyscy jednoczą się przeciwko niej.

Ostatecznym celem każdego Zwycięstwa jest Porażka — tak jak celem Życia jest Śmierć. Któż może być bardziej tego świadom od Hieronima Kolenickiego?

„Filip Apostoł" podskoczył na fali, zatrzeszczały wręgi, esthlos Berbelek potrząsnął głową i obrócił się do Lapidesa.

— Więc muszę mieć swoją armię — podjął cicho. — I będę miał. Pytanie: kiedy?

— To z konieczności idzie powoli — rzekł anioł. — Inaczej rynki się zapadną.

Aurelia nadal nie była przekonana, czy w istocie rozsądniejszym posunięciem nie byłoby bezpośrednie przerzucenie wojska z Księżyca na Ziemię. Jednak nawet Aurelia zdawała sobie sprawę ze wszystkich komplikacji politycznych, jakie spodowałoby pojawienie się w Europie zbrojnych Zastępów Pani. Berbelek, Omixos i Lakatoia odrzucili z miejsca ów pomysł. Co natomiast mogli bezpiecznie sprowadzać z Księżyca: bezimienne pieniądze, by sfinansować armię miejscową. Od dwóch lat przez Oroneię szedł więc przemyt nieprzebranych bogactw Labiryntu. Illea Okrutna kupowała Berbelekowi wojsko.

— W tej chwili angażujemy dwie trzecie śródziemnomorskiego czarnego handlu — stwierdził Lapides. — Twój Aneis Panatakis, esthlos, przerzuca księżycowe złoto i diamenty Nilem i karawanami do Axum i Agorateum i przez Wschodni Okeanos do Indii i Dzunguo, tam jeszcze ceny się trzymają. Rynek brytyjski zabiliśmy już całkowicie. Nie ma nic kosztowniejszego od wojny.

— Kristoff miał otworzyć linię do Iponu.

— Ryter Njute okazał się niezdolny przekonać pana Ikitę, ponoć Cesarz wydał edykt zamykający granice. Pomijając wszystko inne, to znaczy nie licząc już nawet strat wynikających ze spadków cen, nie możemy rzucić więcej niż określoną ilość danego surowca w roku, inaczej wszyscy domyślą się źródła drogą prostej eliminacji.

— Kratistosi przecież już wiedzą — mruknął Berbelek.

— Też nie wszyscy — zauważył Olaf. — A już na pewno nie królowie i aristokracja. I nie lud. Nie zdradzasz się nawet przed własnymi ludźmi.

I postępujesz rozsądnie. Ilu by za tobą poszło, esthlos, gdyby wiedzieli, że czerpiesz ze skarbców Księżyca?

— Illea to finansuje, bo ona jest najbardziej narażona na adynatosową deformę.

— Może tak, może nie — pokiwał głową Jakub. — Na twoim miejscu, esthlos, nie byłbym taki pewien motywów kratisty.

— Ależ proszę bardzo, sami dajcie mi wojsko lub fundusze, jestem otwarty na propozycje!

Zaśmiali się uprzejmie.

— Prawda jest taka — rzekła Anna Ormicka — że Illea po prostu wykorzystuje sytuację.

— Oczywiście — sarknął strategos. — Tak samo jak ja, tak samo jak wy. Na tym to przecież polega. Dopiero stalibyście się podejrzliwi, gdyby ktoś działał bez widoku na osobiste korzyści!

— Ale wiesz, co pomyśli większość. Wygnaliśmy Illeę, mamy Czarnoksiężnika. Pozbędziemy się Czarnoksiężnika…

— Ona nie zamierza wracać.

— Tak mówi.

— Od kiedy to Wdowiec stanowi gwarancję bezpieczeństwa przed Illeą? A przede wszystkim pozbędziecie się Skoliozy. Tu nie ma alternatywy, z adynatosami nie ułożycie sobie żadnej współpracy, nie wypracujecie równowagi, nie zamkniecie granic przed kakomorfią.

— Toteż przyjęliśmy twoją ofertę, esthlos — zaburczał basem Olaf. — Otworzyliśmy dla ciebie fronty i rozważamy twój plan. Na te spotkania przypływają już najwięksi wrogowie Illei. Doceń to.

— Powinieneś wznieść sztandar Księżyca, kyrios — odezwała się Aurelia, wróciwszy z trzecim pucharem.

Obejrzeli się na nią wszyscy.

— Prędzej czy później… — wzruszył ramionami Lapides.

— Kiedy ruszycie na adynatosów, w sfery nadziemskie, będziecie musieli skorzystać z jej floty, z jej ludzi. Chcecie czekać z ujawnieniem do ostatniej chwili? Wasi właśni królowie uznają was za zdrajców.

— Jeszcze się to całe przymierze może rozpaść — mruknął Jakub. — Jeszcze nie masz gwarancji większości kratistosów. A przede wszystkim — jeszcze nie pokonałeś Czarnoksiężnika, esthlos. A nie zostawimy sobie za plecami jego i Skoliodoi. Wszystko po kolei.

— Ale wiecie, jak to będzie wyglądać. — Lapides przegryzł pszenne ciastko. — W ostatnim momencie każdy kratistos zacznie kombinować, jak by tu się wykręcić i pod nieobecność innych wydrzeć jak najwięcej dla siebie.

— Dlatego mówię: nie zabijać Czarnoksiężnika — nacisnął Jakub. — Jeśli wygnamy go z Ziemi i ucieknie do tych swoich adynatosów, nikt nie będzie kombinował, bo niebezpieczeństwo pozostanie nazbyt realne: pójdą, żeby go wykończyć, jego i ich.

— Taniec na ostrzu noża — skrzywił się Lapides.

— Mauzalema nie wyraża na to zgody — rzekł sucho Mussija. — W grę wchodzi jedynie natychmiastowa egzekucja Roga. To jest żelazny warunek.

— Wystarczy, że będziemy w większości — stwierdził Berbelek, przysiadłszy na krawędzi stołu. — Reszta nie ośmieli się wówczas niczego zrobić pod waszą nieobecność. Bo że zlikwidować trzeba nie tylko Czarnoksiężnika, ale i jego arretesowy pomiot, nikt, mam nadzieję, nie wątpi.

— Och, z wyjątkiem Siedmiopalcego istotnie nie znajdziesz nikogo, kto darzyłby Wdowca jakąkolwiek sympatią — zauważył Jakub ibn Zaza. — Nie o to tu przecież chodzi. Wszyscy zgadzamy się, że to zakała świata, czarny kratistos i trucizna kerosu. Niemniej istnieją pewne obyczaje, niepisane prawa, sposób postępowania między Potęgami, pewna forma stosunków między nimi. Jeśli więc teraz złamiemy ją i wrócimy do tradycji Wojen Kratistosów, tradycji Wygnań najsłabszych i najsilniejszych… Co stanie na przeszkodzie zmówić się jakiejś innej koalicji przeciwko, powiedzmy, Józefowi Sprawiedliwemu i Huratom albo Hebanowemu Meuzulekowi?

Strategos założył ręce na piersi.

— Czyżby Józef zabrał się nagle za czarny pitagoreizm i kumał z adynatosami? — spytał zimno.

— Ajajaj, to są szczegóły, jakiś pretekst znajdzie się zawsze.

— Szczegóły! Skoro nie mamy prawa bronić się przeciwko kakomorfii, to może od razu się poddajmy!

— Nikt się nie poddaje. Mówię tylko, że w ten sposób łamiemy tradycję i konstytuujemy nową. Czy naprawdę będzie się nam ona podobać?

— Jak mądrze mówisz, czapki z głów — tylko taki drobiazg: czy mamy jakieś inne wyjście? — zirytował się Lapides. — Był spokój tyle wieków, od ostatniej Wojny Kratistosów, więc stan istniejący przyjmujemy za dany na wieczność. Lecz żaden Bóg nam go nie zagwarantował. Trzeba walczyć.

Postać świata zawsze jest jedynie odbiciem aktualnego stosunku sił między Potęgami.

— Taaa — ziewnął Jakub. — Dziwne tylko, że wszyscy, którzy się tu z tym zgadzamy, albo jesteśmy starymi wrogami Czarnoksiężnika, albo sprzymierzeńcami Wiedźmy. Cóż za zbieg okoliczności! He, he, he.

— Rano miałem wspólne poselstwo od Urjanny i Anaxegirosa — rzekł Berbelek. — Będziemy jeszcze negocjować jutro. Inni też przypłynęli nie tylko po to, by wysłuchać pustej oferty. Przyłączą się.

— Oczywiście — przytaknął Jakub, przyglądając się koniuszkowi swej starannie zaplecionej brody. — Skoro zobaczą, że zwyciężasz. Przyłączą się do zwycięzcy, tak.

Po wyjściu szczurów zostali na chwilę sami. Porte zajrzał do wnętrza kabiny, ale ledwo otworzył usta, by zapytać o śniadanie, pochwycił spojrzenie pana i cofnął się z progu w głębokim ukłonie, siwa głowa tylko mignęła w uchylonych drzwiach. Aurelia sama pozbierała naczynia i popielnice po gościach.

Strategos otworzył szeroki bulaj, wpuszczając chłodne powietrze, i usiadł z ciężkim westchnieniem w największym z foteli, nogi w skórzanych jugrach wyciągając na środek salonu.

— Mówiłam szczerze — odezwała się Aurelia, gasząc kadzidło. — Powinieneś wznieść sztandar Księżyca, kyrios.

— Za wcześnie, za wcześnie — mruknął. — Zbyt słaby jeszcze jestem. Przerazi ich imię Illei.

— Nigdy nie będzie czasu stosownego, nigdy jej nie przyćmisz tak, by nie miało ono znaczenia.

— Za wcześnie.

— Ludzie zaczynają się domyślać, kyrios. Zajdar mnie rozpoznał. Kto wie, co sobie wyobraża.

— Porozmawiam z nim. Wieczorem. — Przeciągnął się, fotel zatrzeszczał. — Antidektes?

— Śpi, położył się o świcie. A będzie potrzebny?

— Kto teraz?

— Nabuchodonozor. Zostać, kyrios?

— Siadaj tu. O Boże, całą noc nie spałem, oczy mi się zamykają. Jak na wojnie, jak na wojnie. Która godzina? Myślisz, że ich przekonałem?

— Tak. Dobrze kłamiesz, kyrios.

Zerknął na nią podejrzliwie.

— Dobrze kłamię… A ty od kiedy taka mądra się zrobiłaś?

— Bo to wszystko o Czarnoksiężniku to kłamstwo, mam rację?

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wiedziałam!

— Dobra, dobra, nie spal mi dywanu. Gdzie popełniłem błąd?

— Nie popełniłeś błędu, kyrios. Po prostu… Nie wiem, jak to powiedzieć. No, żeby kłamać tak konsekwentnie, trzeba po troszę zmienić się samemu, kłamstwo musi wejść w morfę, żeby być wiarygodnym. Nie możesz kłamać wbrew sobie, bo to widać, więc musisz wpierw przyjąć Formę tego kłamstwa, i kiedy teraz podjudzasz ich wszystkich przeciwko Czarnoksiężnikowi…

— Tak?

— Ty go przedtem wcale nie nienawidziłeś, kyrios.

— Czego to się człowiek o sobie nie dowiaduje.

— Wróg, to na pewno, i miałeś powód do zemsty; ale to raczej był podziw i szacunek. Nienawiść wmówiłeś sobie wraz z kłamstwem. Widziałam. Jestem przy tobie od trzydziestu miesięcy, żyję w twojej morfie, nawet już mówię jak ty. Bardzo dobrze kłamiesz.

— Ale to wszystko może jeszcze okazać się prawdą! Nikt przecież nie ma pojęcia, dlaczego oni przybyli do sfer ziemskich. A Rog naprawdę słał agentów i szczury, całe ekspedycje do Skoliodoi, zresztą nie tylko tego afrykańskiego; teraz już wiemy, że to on przejął przemocą większość szlaków sadaryjskich i faktorii w Złotych Królestwach, on wykańczał kupców alexandryjskich. I ostatnie Powstanie Pitagorejskie finansowała właśnie Moskwa. A jego babka naprawdę była Żydówką. I od wieków wypuszcza ze swych uralskich stajni kakomorfów, o jakich nikomu się przedtem nie śniło.

— Widzisz, jak świetnie kłamiesz? Sam sobie uwierzyłeś.

— Ale to może być prawda!

— Nawet jeśli. Nie wiesz tego. Kłamiesz, kyrios.

Potarł czoło, pozostały czerwone ślady na skórze.

— Jestem strategosem. Oszustwo leży w mojej naturze. Oszukać wroga, niech się odwróci plecami, wtedy uderzyć. Szczerość i prostota to klęska.

— I świetnie sobie radzisz, przysięgam.

— A żeby cię trąd, o co ci chodzi?!

Odwróciła wzrok, przechyliła głowę.

— Nie wiem. Może nie powinnam się była przysłuchiwać rozmowom o sprawach kratistosów… Forma Jeźdźców Ognia jest inna: twarzą w twarz, w bój po śmierć. A te wszystkie intrygi zaczynają mnie skręcać, wykrzywiać. Nie mam już pewności, jak bym się zachowała w bitwie. Daj mi słowo, kyrios, że pozwolisz mi walczyć.

— Zbroja jeszcze ci się nie rozpadła?

— Dostrajam ją za każdym razem, gdy wracamy w sfery aetheru. Daj mi słowo, kyrios. Jakie teraz masz plany, z powrotem do Rzymu?

Wykrzywił usta, wbił wzrok w sufit.

— Potrzebuję jakiegoś głośnego, symbolicznego zwycięstwa. Które wszakże dałoby się osiągnąć niewielkimi jeszcze siłami. Kiedy ma wpłynąć pierwsza rata na Horror Byzantyjski?

— Mówiłam ci, kyrios. Dwudziestego.

— Czas, czas, na Szeol, coraz mniej czasu. Widziałaś, gdzie wzeszła dzisiaj Wenera? A ten potwór w nocy! Wszystko się Krzywi.

— Ojciec mówił, że to jeszcze co najmniej kilkadziesiąt lat, zanim adynatosi przeprowadzą regularną inwazję na Księżyc i Ziemię.

— Taak, wiem, Pani może czekać. Ale nie powinna. Zapytaj byle strategosa: czy lepiej atakować wroga słabego i zdezorientowanego, czy już okopanego, skrytego za umocnieniami, z podciągniętym wsparciem. Bo wy wciąż nie pojmujecie jednego: my w istocie możemy tę wojnę przegrać, nie jedną bitwę, ale całą wojnę, człowiek może ulec adynatosowi; i na zawsze zginie antropomorfa, nie pozostanie nawet pamięć, nawet ruiny, nawet słowo, odejdzie, rozpuści się, zdemorfuje wszystko, co ludzkie. Tu nie kłamię.

— Wierzysz w to, tak.

Ejdolos Nabuchodonozora pojawił się na zwołanym przez strategosa Berbeleka spotkaniu po raz pierwszy. Na poprzednie zaproszenia Złoty nie odpowiadał w ogóle. Teraz natomiast przysłał karożaglowego okeanika z osobistym posłem. Szczurem Nabuchodonozora okazała się niejaka esthle

Ignatia z Aszakanidów i gdy tylko przekroczyła próg kabiny, Aurelia zrozumiała, że esthle i strategos się znają. Berbelek nie został zaskoczony, bo wcześniej wymieniono między okrętami dyplomatyczne uprzejmości i znał tożsamość wszystkich szczurów — niemniej Forma ich powitania zdecydowanie kryła coś więcej aniżeli tylko ironiczną grzeczność.

Strategos przyjął esthle Ignatię na prywatnym śniadaniu. Ponieważ jednak uczestniczyła w nim także Aurelia, z Aszakanidyjką dla zachowania równowagi zasiadł przy stole jej milczący siostrzeniec o induskiej morfie — zaskakujący wybór, jak na powiernika aegipskiego kratistosa. Siedzieli więc naprzeciwko siebie: Aurelia i Indus, Berbelek i Aszakanidyjka. Potrawy podawali okrętowi doulosi pod nadzorem Porte. Otworzono resztę bulajów, wiała ciepła, rześka bryza poranna, zapach morza przegnał cięższe wonie pachnideł i kadzideł. Sama bryza nie była na tyle silna, by rozkołysać „Filipa Apostoła”, lecz w miejscu takiego zgromadzenia demiurgosów i teknitesów morza i wiatru zawsze było niespokojnie, ścierały się fronty, okeanos się burzył — w kapitańskim salonie „Filipa” dzwoniła zastawa, chlupotały ciecze, kilka krągłych owoców wypadło z misy i potoczyło się po blacie, w ostatniej chwili złapała je Aurelia. To był błąd, ogień strzelił wokół jej ręki błękitną strugą. Esthle Ignatia urwała w pół słowa relację z najnowszych plotek alexandryjskich, ledwo przekazawszy Berbelekowi żartobliwe pozdrowienia od Alitei i Szulimy i wspólnych aegipskich znajomych. Zamrugawszy, zapatrzyła się na Aurelię. Aurelia powoli odłożyła owoce i opuściła wzrok. Zarumieniłaby się, gdyby rumieniec nie stanowił dla niej sprzeczności samej w sobie. Zamiast tego zawiązała mocniej humijowy płaszcz i poprawiła fałdy szerokich rękawów.

— Nie gorąco ci w tym futrze, moje dziecko? — zagadnęła ją esthle Ignatia.

Aurelia trzepnęła dłonią o udo, zreflektowała się i wzruszyła ramionami.

Sama esthle Ignatia ubrana była w lekką suknię kaftorską o krótkich rękawach i białym gorsecie ściśniętym pod piersiami; lniana spódnica sięgała podłogi. Esthle była tak piękna, jak należało się tego spodziewać po żywym odbiciu Nabuchodonozora Złotego: lśniąca, miedziana skóra, włosy czarne jak peruka faraonów, klasyczne alexandryjskie piersi o bardzo ciemnych sutkach, twarz o rysach Izydy: królewski nos, wysokie kości policzkowe, jaskółcze brwi… Było to piękno na tyle bliskie ideałom księżycowym, że podziałało także na Aurelię — obraz zrealizowanej doskonałości. Esthle

Ignatia nie musiała się dodatkowo wywyższać; poza, ton głosu, gest i mina stanowiły zaledwie naturalne dopełnienie morfy. Wystarczyło na nią spojrzeć — kark sam się giął, wzrok opadał ku ziemi, zasychało w gardle.

Mówili tylko strategos Berbelek i Aszakanidyjka.

— Robota, jak widzę, pali się wam w rękach. Jesteśmy pod wrażeniem twoich ostatnich sukcesów, esthlos, naprawdę. Ruid, Agnazia, Danzig, i to siłami Vistulii, Gotów, Nordlingów, zaiste: Strategos Europy. Kłopot tylko w tym, że, mhmmm, dziękuję, że Złoty uczestniczył aktywnie w jej Wygnaniu i wie, że ona mu to pamięta.

— Zupełnie nie rozumiem waszego strachu. Na dobrą sprawę to ona powinna się bać i żądać gwarancji: otworzy dla was swoją sferę, odsłoni się na cios — wy wszyscy i ona jedna; takiej koalicji nie było nawet siedemset lat temu.

— Minęło siedemset lat i włada Księżycem. Minęło siedemset lat i co robi? Kupuje sobie na Ziemi armię. Pozyskuje jednego z najzdolniejszych strategosów.

— Nie złożyłem jej hołdu.

— O, doprawdy? To byłoby dla Matki coś nowego. Ależ tak, tak, oczywiście ci wierzę, esthlos. Czyż kochanek Panny Wieczornej musi jeszcze składać hołd samej Okrutnej?

Aurelia wyczuła zmianę w morfie Berbeleka; nie drgnął mu ani jeden mięsień, niemniej zmiana była dla niej oczywista. Oto szczur Nabuchodonozora rzucił Berbelekowi w twarz imię Lakatoi, prawdę o tożsamości esthle Szulimy Amitace. Już nie ma odwrotu — rozstaną się jako sprzymierzeńcy lub wrogowie.

— Odwagę zawsze podziwiam — strategos skłonił głowę przed esthle Ignatią.

— Och, nikt by już nie przyjął twojego zaproszenia, gdybyś mnie teraz zabił albo uwięził — uśmiechnęła się Aszakanidyjka. Skinęła na niewolnika, by dolał jej wody limonowej.

— Zresztą i tak jeden szczur nie byłby wart głowy córki Illei — mruknął Berbelek.

— Otóż to. Zważ jednak, esthlos, że przez dwadzieścia lat Nabuchodonozor nawet jej nie tknął.

— Nie wiedział.

— Wiedział.

— Nie wiedział. No tak, no przecież. Ja ją zdradziłem. Mimowolnie. Przez Bibliotekę. Książka, która nie powinna była istnieć. Podałem im swoje imię. Jakże było tej bibliotekarce — Berenice? Pozwoliłem jej odejść, zdała raport. Mój błąd.

— Nic mi o tym nie wiadomo, esthlos.

— Czy Szulima jeszcze w ogóle żyje?

— Oczywiście. Pomyśl, esthlos. Tylko żywa spełni swą rolę.

— Zakładniczka.

— Oczywiście. Dopóki wojna się nie zakończy i wszyscy nie powrócą na Ziemię, do starego porządku. Wtedy esthle Amitace będzie mogła opuścić Alexandrię. Po cóż Nabuchodonozor miałby sprowadzać na siebie gniew Illei? Szulima odejdzie wolno, nie zdemorfowana.

— Więc taki jest jego warunek.

— Skoliodoi to cierń w boku Aegiptu. Nabuchodonozor oczywiście się przyłączy. Jeśli będzie miał gwarancję bezpieczeństwa i korzyści.

— Omawiał to z innymi kratistosami?

— Sprawę esthle Amitace? A musiał? Zastanów się, esthlos. Ona od kilku lat praktycznie bez przerwy rezyduje w koronie Złotego, mieszka pod jego okiem.

Strategos postukał nożem o talerz z pasztetem ryżowym, raz, dwa, trzy, cztery, pięć; popatrywał w zamyśleniu na pozornie nieporuszoną Aegipcjankę.

— Jeśli sugerujesz, że taki od początku był plan Illei i Szulima świadomie wracała do Alexandrii, by służyć za gwarancję bezpieczeństwa dla kratistosów…

— A musiałeś o tym wiedzieć? Nie musiałeś.

— Mylisz się, mylicie się, tego nie było w planie, Pani przewidywała ofensywę dopiero za kilkadziesiąt lat.

— Więc co ty tu robisz?

— Jest jej jedyną córką, jedynym żywym dzieckiem.

— Nie bez przyczyny zwą ją Okrutną. Zresztą cóż my możemy wiedzieć o uczuciach kratistosów?

Berbelek potrząsnął głową.

— Uczucia kratistosów — rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby ich wcale nie posiadali, jak to się opisuje w poematach i sztukach teatralnych. Niestety, nie jest to prawda.

Aurelia przyjęła, że esthlos Berbelek ma w tej chwili na myśli Maksyma Roga, który przecież nie z innego powodu zapadł się w morfę Czarnoksiężnika, jeno z wściekłości i rozpaczy po śmierci swej żony. Który to już wiek z kolei mści się na świecie i ludziach? Koszmar deformujący pół Azji i Europy, góry, rzeki, lasy i miasta, języki, religie i narody, rodzący w mrokach Uralu bezimienne kakomorfie człowieka i zwierzęcia — stanowił odbicie jednej, bardzo konkretnej Formy. Tylko że strategos nie miał racji: o tym właśnie najliczniej powstawały dramaty i ballady, o Żałobie Wdowca. Sama Aurelia widziała kilka ulicznych przedstawień. Już Xenofanes pisał, iż ludzie tworzą sobie bogów na swój obraz i podobieństwo.

Przy winie (jakimś rozwodnionym słodzie znad Rodanu) konwersacja na moment powróciła w tonie i temacie do początkowej lekkości, do żartów i banałów. Zanim się jednak pożegnali, strategos ponownie zmienił jej formę.

— Być może jednak on w ogóle jeszcze nie podjął decyzji, nie ma tu zdania — rzekł, podając esthle Ignatii zapalonego tytońca. — Czy Hypatia wyśle wojska na Skoliodoi? Czy Nabuchodonozor przyłączy się do rajdu przez sfery gwiezdne? Zapewne tak jak inni czeka, by ujrzeć wpierw, na czyją korzyść ułoży się kształt zwycięstwa. Tylko co zrobi, jeśli ułoży się on pomyślnie dla adynatosów?

— Nie zapominaj, esthlos, że Nabuchodonozor ma na wschodniej flance Siedmiopalcego.

Berbelek wypuścił z płuc siny dym i zaśmiał się chrapliwie.

— Czy to jest cena? Na południowej flance ma Skoliodoi — ale będzie się targował o własną szansę przetrwania?

— Dlaczego nie? Aegipt zajmuje kluczową pozycję: między Skoliodoi a Siedmiopalcym i Czarnoksiężnikiem, przy styku ich aur. A zobacz, co ty wytargowałeś od Wiedźmy!

Śmiali się już oboje.

Aurelia nie rozumiała tego śmiechu, więc na wszelki wypadek milczała. Induski siostrzeniec esthle Ignatii nie rozumiał chyba nic i milczał z zasady.

— Drobiazg, doprawdy, drobiazg! — śmiał się tymczasem strategos. — Zanotuj, Aurelia. Więc jaka konkretnie jest ta cena, esthle?

— Śmierć Czarnoksiężnika — puściła doń oko Aegipcjanka. — I upadek Babilonu.

— Nie ma sprawy. Zapisałaś?

Aurelia postukała się palcem w skroń.

— Przyszły tydzień mamy wolny, esthlos. Jeszcze w Dies Mercurii zburzysz Wielki Mur w Dzunguo i po sprawie.

— No to się dogadaliśmy! — ucieszyła się Aszakanidyjka, wstając od stołu. — Jak to miło negocjować z suzerenem, który nie musi pytać o zgodę żadnego pana!

Berbelek ucałował nadgarstek Aegipcjanki, odprowadził ją do drzwi. Horrorni oddali honory. Esthle pomachała jeszcze wachlarzem. Induski siostrzeniec ukłonił się sztywno.

Wróciwszy do salonu, Berbelek wyrzucił peta przez bulaj i splunął w ślad za niedopałkiem.

— Albo na starość zgłupiała, albo jest w tym jakaś intryga, której jeszcze nie widzę.

— Kto?

— Illea, a kto? Nabuchodonozor kupił sobie właśnie Mezopotamię w zamian za życie Szulimy.

— Naprawdę zamierzasz uderzyć na Siedmiopalcego?

— A mam inne wyjście?

Aurelia przesunęła dłonią po nagiej czaszce, iskry zatańczyły w jej oczach, czarny dym pojawił się w nozdrzach. Berbelek spojrzał na nią, zmarszczył brwi. Nie opuściła wzroku.

— Gdyby Lakatoia zginęła, przebywając w niewoli Nabuchodonozora — powiedziała cicho — zrobiłby wszystko, by uniknąć gniewu Pani.

Przez bulaj wlewało się oślepiająco jasne słońce, obrysowując sylwetkę strategosa i oświetlając twarz Aurelii; nie mrużyła oczu. Statek trzeszczał i skrzypiał, kołysząc się lekko na falach, pokrzykiwali marynarze, brzęczał łańcuch na kołowrocie, na mostku oddzwoniono drugiego neptuna. Minuta, dwie, trzy. Aurelia przyglądała się esthlosowi, rozpalona; wiedziała, że on teraz obraca w myślach liczby, niczym pobożny pitagorejczyk.

— Chyba rzeczywiście za długo już ze mną przebywasz.

Przyklękła i ucałowała pierścień na palcu podanej dłoni.

— Kyrios.

Zabiję Żmiję, zabiję ją. Uśmiechnął się pod wąsem, mijając horrornych. Teraz jest moją zwierzyną; nie umknie mi. Powiem mu, że tak czy owak

muszę się udać do Alexandrii. Nie może mi zabronić. Nie domyśli się, nie ma prawa się domyśleć. Potem mi podziękuje. A nawet jeśli nie — winienem mu tę przysługę. Mam dług. Manat, Allahu, Ohrmazdo, obdarzcie mnie spokojem i siłą. Zapukał. Stary Porte wpuścił go do środka. Nie było z Berbelekiem Księżycanki. Wraz z kapitanem Ottonem Prünzem i Heinemerle Trept pochylał się nad rozłożonymi atlasami nawigacyjnymi. Trept pisała coś w swoim dzienniku pilota, nawet nie spojrzała na nimroda. Poczuł, że wilgotnieją mu od potu wnętrza dłoni — ale w ich obecności było to normalne.

— Esthlos.

— Pozwól no — skinął nań strategos.

Przeszli pod rufowy wykusz. Rozsunięto drzwi i okna, ciepła poświata zmierzchu wlewała się tędy do kajuty, i gdy stanęli w przejściu, ich cienie zaburzyły porządek światła i półmroku. Ktoś krzyknął na doulosa, by zapalił lampy. Strategos musiał się pochylić, by nie uderzyć głową o framugę, cień wygiął się wdzięcznie.

— Odpływamy? — spytał Ihmet, nie patrząc na Berbeleka, wyglądając na okeanos. Prawą dłoń przesuwał po czarnym herdońskim kaftanie, machinalnie wygładzając niewidoczne zmarszczki i wycierając pot.

— Jeszcze nie, jeszcze kilka tur; oni negocjują także między sobą i warunki wciąż się zmieniają. Mówiłeś komuś o Aurelii?

— Nie, esthlos.

— Ta kampania w ostatecznym rozrachunku wymierzona jest w Skoliodoi i ich mieszkańców, wiesz przecież. Finansuje nas Księżyc. Oni pierwsi ucierpieli. Przeszkadza ci to?

— Ach, więc mam być szczery!

Strategos zaśmiał się, klepnął go w ramię.

Ihmet posłał mu roztargnione spojrzenie.

— Nie udawałbyś teraz wobec mnie jowialnego przyjaciela, gdybyś naprawdę chciał mej szczerości, esthlos.

— Nie zdradzałbyś się wobec Aurelii, gdybyś naprawdę chciał mi zaszkodzić. Gadaj, nie mam czasu.

— Wypuść mnie. Podróżowałem z tobą, bo chciałem. Nie płacisz mi, nie składałem ci hołdu, nie wiąże mnie słowo.

— Jak mogę cię wypuścić? Nie płacę ci, nie składałeś mi hołdu, nie wiąże cię słowo. Proszę, idź, dokąd chcesz. Czemu pytasz mnie o pozwolenie?

— Gdybym odszedł bez wyjaśnienia…

— Ale jakie właściwie jest to twoje wyjaśnienie? Towarzystwo Aurelii ci obrzydło?

Ihmet zmarszczył brwi, odchrząknął.

— Nie chcę w tym brać udziału. Uważam, że padłeś ofiarą intrygi Illei, esthlos. I źle się to dla ciebie skończy.

— Intrygi mającej na celu…?

— Zemstę na jej wrogach. Może powrót na Ziemię.

— Ach, więc teraz opuścisz mnie w takiej opresji! — zaśmiał się strategos.

Nimrod obnażył zęby, szarpnął głową, palce zakrzywiły mu się w szpony, napięły mięśnie, rozszerzyły nozdrza, zawarczał chrapliwie z głębi gardła.

— Poszczuty! — splunął. — Poszczuty!

Strategos Berbelek przyglądał mu się uważnie, nagle spoważniały. Nadal stał zgarbiony pod wykuszem, teraz jednak zdawało się, iż pochyla się nad sprężonym do dzikiego ataku Persem z jakąś ojcowską troską. Choć przecież był od nimroda wyraźnie młodszy.

— Jeszcze dzisiaj? — mruknął.

— Tak!

— Dokąd?

— Wrócę do Aegiptu. Mam parę spraw nie załatwionych…

— Ach. — Strategos wyjrzał na morze, czerwone w promieniach tonącego Słońca. Kilkaset pusów od „Apostoła” kołysały się na falach dwa galeony. Wskazał je ruchem głowy. — Meuzulekowa „Bruta” wraca dzisiaj do Sali, tam esthlos Anudżabar wsadzi cię na pierwszy statek Kompanii Afrykańskiej do Alexandrii.

— Dziękuję.

— Wstąp po dziesiątym neptunie, dam ci listy do Alitei, Szulimy i Panatakisa.

— Doręczę jak najszybciej, esthlos.

— Nie wątpię.

Przez chwilę stali w milczeniu; nie zostało już nic do powiedzenia. Berbelek machinalnym ruchem strzepnął z kaftana Zajdara płatek zaschłej smoły. Obejrzał się na kapitana i pilota, którzy spoglądali na niego z niecierpliwością. Machnął ręką, by jeszcze poczekali.

— Zawsze mnie to zastanawiało… — zaczął półgłosem.

— Mhm?

— Że od samego początku, pamiętasz, w Vodenburgu, w cyrku… Dopiero co ją ujrzałeś, a od razu przypomniałeś sobie Hołd Krymski, i pierwsza myśl: zabić, zabić ją.

— Kogo?

— Jesteś nimrodem, wiem, ale przecież nie możesz się tak zachowywać we wszystkich podobnych sytuacjach. No dobrze, miałeś wobec mnie dług wdzięczności. To nadal nie tłumaczy… Długo się nad tym zastanawiałem. Wiesz, że ona startowała w czarnych olimpiadach? Sto Bestii. Taak. Jeśli można w ogóle mówić o jakichś prawach Formy między ludźmi… Ludźmi i zwierzętami… Na przykład w stadzie dzikich psów. Hodowałem kiedyś psy, wiedziałeś? W stadzie psów — może być ich kilka tuzinów, ale wpuść drugiego przywódcę i natychmiast się rozpoznają, morfa obróci się przeciwko morfie, to jak z magnesami, nie ma sposobu, żeby uniknąć owego przyciągania i odpychania. Nie tolerują wzajemnie swojej obecności. Kratistos i kratistos, ares i ares, strategos i strategos. Nimrod i nimrod. Forma narzuca wstręt zgoła fizyczny. Pamiętasz, jak zareagowałeś? Wystarczy słowo, gest, spojrzenie. Sam tego nie rozumiesz, ale wiesz, że musisz zaatakować pierwszy. Byłeś kiedyś na Kaftorze?

— Często pływałem na trasach do Knossos i Kydonii.

— Jeszcze można tam znaleźć starożytne malunki, figurki z brązu, wygładzone przez czas i dłonie dziesiątek pokoleń wiernych. Obrazy Illei Potnii, gdy chodziła po tamtych wzgórzach, tamtymi gajami, tam płynęła dla niej krew. Przyjrzyj się. Choćby najbardziej topornym wizerunkom. Forma wiele ci powie.

— Zrobię to na pewno, esthlos.

Strategos cofnął się do kajuty, wyprostował, przeciągnął z głośnym stęknięciem.

— Jak to mówiłeś, Ihmet? Że co będziesz robić, porzuciwszy pracę? Praktykować szczęście?

— Taki miałem zamiar.

— Wiesz, czym według Aristotla jest szczęście? Postępowaniem zgodnym z naturą właściwą dla człowieka. Zazdroszczę ludziom, którzy tak dobrze znają swoją naturę. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy.

— Uczynię wszystko w tym celu, esthlos.

— No idź już, idź. Listy po dziesiątym, nie zapomnij. Dam ci szalupę na „Brutę”. Pozdrów ich wszystkich ode mnie. Żegnam.

P
Reguły kaźni

Pierwsza linia behemotów załamała się pod ogniem pyresider z zewnętrznych szańców. Nad Dołami Zbożowymi powiewała chorągiew Aszawiłły, stuletniego aresa stepów azjatyckich — buchające stamtąd salwy kartaczy haratały cielska behemotów, miażdżąc im kości i rozpruwając czarne serca. Wszystkim — z wyjątkiem Aurelii — oczy łzawiły obficie od dymu pyrosowego, rozsnutego wzdłuż przedpola Kolenicy; szare kłęby przesłaniały mury samego grodu.

Na kolenickim minarecie usadził się był nimrod z dalekonośnym keraunetem i dopóki „Łamichmur” nie zgruzował meczetu, moskiewski myśliwiec zdążył stamtąd ustrzelić kilkunastu Vistulczyków, w tym trzech jeźdźców behemockich. Jeden z morfezoonów wyrwał się wówczas spod kontroli i uciekł spod ognia na północ, za rzekę. Od okolicznych chłopów dochodziły potem wieści o grasującej po kraju bestii z piekła rodem, tratującej wioski i depczącej lasy. Aurelia poprosiła strategosa, by pozwolił jej przyłączyć się do oddziału posłanego dla okiełznania lub ubicia zwierzęcia. Hieronim Berbelek odmówił. Przyrzekła mu głośno, że i tak nie powstrzyma jej od wzięcia udziału w bitwie. Wzruszył ramionami, nawet nie oderwawszy oka od herdońskiego opticum. Aszawiłło właśnie opuścił okopy za zgliszczami Dołów Zbożowych i rzucił się ku wrotom Kolenicy, przedzierając się wraz z ocalałymi około dwudziestoma swymi ludźmi w górę zbocza, ku fosie; poszarpana przez żarłaczny grad gwoździ i kamieni chorągiew aresa — szmata zabarwiona w szaro-zielone ukośne pasy — łopotała na porannym wietrze, to ginąc, to wyłaniając się spośród tumanów bitewnego kurzu i pyrosowego dymu.

Hieronim Berbelek uniósł nad głowę prawą rękę.

— Teraz! Poszli!

Zagrano podwójną podrywkę. Aurelia zatkała sobie uszy, bębenki jej pękały od wysokiego jęku trąbki: trębacz stał tuż pod szczytem pagórka, na którym rozstawiono dla strategosa ciężkie opticum. Aurelia i bez lunety

ogarniała stąd wzrokiem prawie całe przedpole, to znaczy jego część nie zasłoniętą masywem miasta. Widziała ruchy oddziałów jak przesunięcia pionów na taktycznej mapie, linie okopów oblegających i szańców obronnych niczym równoległy ornament na zielonej płaskorzeźbie (wiosna tradycyjnie zalała Vistulię potopem soczystej zieleni, nawet tu, na ziemiach wyjętych spod dotyku Światowidowego anthosu). Trzeci dzień obserwując stąd bitwę, spoglądając z punktu widzenia strategosa — sama czuła się po trosze jak strategos. Choćby teraz: wiedziała, skąd i w jakim kierunku uderzy na sygnał trąbki mazovijska kawaleria, zanim półsetnia jeźdźców w ogóle wyłoniła się na słońce z cienia zachodniego lasku.

Rozciągnięte w dwóch szeregach behemoty rozstąpiły się karnie na boki. (Mieli tych morfezoonów zaledwie czternaście, esthlos Berbelek nie zdołał wypożyczyć więcej z garnizonów południowych — nadto jeden był padł, no a jeden zbiegł). Kawaleria wyskoczyła zza linii garbatych potworów, galopem wzięła stok kolenickiego wzgórza, przesadziła opuszczone szańce i już siedziała na karkach grupki Aszawiłły. Ogień pyresider z murów podążył za jeźdźcami, lecz większość kul pudłowała, a szarża nie straciła tempa, nie zmyliła kierunku (nie miała prawa) i dopadła otwierających się wrót miejskich, zanim na powrót się one zamknęły za ludźmi stepowego aresa.

Również behemoty nie próżnowały: po przepuszczeniu koni bynajmniej nie cofnęły się, lecz — trąbka zawodziła: Naprzód! Naprzód! Naprzód! — lecz potruchtały dostojnie w ślad za nimi; a za behemotami — piechota poderwana z niższych okopów. Szturm podnosił się wzwyż kolenickiego wzgórza jak potrójna fala okeanosowa, każda kolejna wolniejsza, lecz większa od poprzedniej. Aurelia obserwowała to, mimo woli przygryzając wargę i zaciskając pięści, oparta o przedpiersny nasyp, jaki okalał pagórek od północy. Zebrani tu oficerowie i gońcy pokrzykiwali po vistulsku, moskiewsku, gaelicku i grecku i śmiali się chrapliwie. Nad kołnierz skórzanej kurty Księżycanki strzelały pojedyncze iskry. Tylko strategos trwał przy masywnym opticum w milczeniu i bezruchu.

Wtem po raz drugi uniósł prawą rękę.

— Teraz! Na jeden!

Aurelia zdążyła zatkać sobie uszy. Śpiew trąbki płynął ponad polem bitwy. Czekające tego sygnału oddziały szturmowe — z drabinami, sznurami, hakami — wyłoniły się z okopów i ruszyły ku murom Kolenicy ze wszystkich stron. Nawet Aurelię, przyzwyczajoną już przecież do morfy Berbele-

ka, zdumiało zgranie żołnierzy w tym manewrze. Dobiegli do fosy prawie równocześnie.

Ogień z keraunetów i pyresider z dalszych okopów wzmógł się, by dać osłonę szturmującym; obrońcy odpowiedzieli z murów podobnie wzmożonym ostrzałem. Jednak przez tę kanonadę, przez głos trąbki i wrzaski żołnierzy bez trudu przebijały się ryki behemotów. Bestie oblężnicze, pod których stąpnięciami trzęsła się ziemia, dotarły do fosy; tu padła jedna z nich, stoczywszy się w błotnisty wykrot. Reszta behemotów postępowała naprzód w swym majestatycznym cwale, mimo rozharatanych boków i łbów odartych ze skóry do nagiej kości, mimo strug czarnej krwi znaczących każdy krok, mimo ciągłego ostrzału, odrywającego od nich parujące w porannym chłodzie kawały ciemnego mięsa. Jeźdźcy behemotów kulili się na ich karkach za żelaznymi tarczami, szarpiąc przez łańcuchowe uprzęże hakami uzd.

Kawaleria oczywiście nie nadawała się do zdobywania miasta i walk ulicznych, miała jedynie doskoczyć na czas i zabezpieczyć bramę. Z nadejściem pierwszego behemota wycofała się po nasypie i pomknęła bezpieczną trasą między okopami. Ostrzeliwana w plecy, straciła w tym odwrocie kolejnych kilkoro ludzi i zwierząt.

Behemot tymczasem rozdzierał bramę na strzępy. Wylano mu na grzbiet płonący olej. Zdeptawszy resztki metalowych wierzei, pomknął z rykiem w głąb miasta, ciągnąc za sobą sztandar ognia i dymu; tak zniknął z oczu oblegającym.

Ale już postępowały kolejne bestie, a za nimi ciężka piechota, z żarłaczami, siekatownicami i wilczymi morfezoonami ludojadnymi na łańcuchach, z dwojgiem armijnych aresów w szeregach. Na ich sztandary szedł z blanków ogień największy, lecz też dzięki tym wysoko wzniesionym sztandarom atakujący posuwali się tak szybko i pewnie, wlewając się przez bramę szeroką strugą.

Tłumppp! — wszyscy na pagórku się wzdrygnęli. To po raz kolejny odezwała się zbudowana w nocy w pobliskim zagajniku katapulta, wielka, toporna makina z drewna i sznura, nakręcana i zwalniana kilka razy na godzinę. Ciskała ona ponad Kolenicę przyrządzane przez Antidektesa Alexandryjczyka olbrzymie kadzie alkimicznych mikstur pyrosowych, które rozpadały się w locie na niebie nad miastem i spadały na jego dachy i ulice w postaci cuchnącego deszczu. Raz na trzy próby ten deszcz zapalał się

i wówczas na Kolenicę spływało z błękitu płynne piekło. Płonęła już jedna dziesiąta grodu; zapłonie więcej.

Aurelia czekała fontanny płomieni — tym razem na próżno. Ach, gdybyż księżycowi mekanicy mogli się za to zabrać, gdybyż był tu choć jeden tryplet hyppyroi…! Pomyślała o szeregach katapult obudowanych na wielkozamachowych perpetua mobilia z jasnej uranoizy, samonakręcających się co minuta; o strącanych z nieba na wrogów pyrownikach, po których uderzeniu pozostają tylko czarne kratery i gorące szkło; o rajdzie Jeźdźców Ognia, którzy w kilka chwil zrównaliby ten gród z ziemią…

— Padną! Padają! — ekscytował się za jej plecami kapitan Połański. Esthlos Ludewig Połański został tu przysłany przez króla Vistulii, aby „nadzorować poczynania strategosa Berbeleka-z-Ostroga i mieć pieczę nad powierzonym strategosowi wojskiem”. W rzeczywistości nie nadzorował niczego i nie miał pieczy nad nikim: od pierwszego spotkania z Berbelekiem podążał za nim niczym głodny afektu pies. — Widzicie, co tam się właściwie dzieje? Weszliśmy? Wywiesili białą flagę? — Przechodził chaotycznie z vistulskiego na grekę i Aurelia pojmowała co drugi jego okrzyk.

Strategos oderwał oko od okularu, wyprostował się, przeciągnął.

— Odwrót — rzekł, trzymając się greki z uwagi na Olafa Splamionego oraz Hasera Obola, izmaelitę. — Odwołać oddziały spod murów. Cofnąć behemoty. Piechota zostaje na bramie, zabezpieczamy podejście i południowy mur. Ogień na czwartą i piątą basztę. Odpoczynek, ranni, raport; oficerowie u mnie w południe.

— Przecież… — żachnął się esthlos Połański.

— Sądzisz, że Krypier nie miał przygotowanej drugiej linii obrony wewnątrz murów? Przynajmniej tyle sprytu odziedziczył po Słoneczku. Każdy dzień, każda godzina to dla niego nowa szansa na odsiecz. Zatrzymali się, cofa ich, wraca odbita fala. Popatrz. Depczą się nawzajem. Impet został już stracony. Chcę raportu, jak wyglądają z ziemi te wewnętrzne umocnienia. I umyślny do mnie, gdy tylko dostrzeżecie „Łamichmura”. Porte, qahwa.

— Już, panie.

Zeszli do namiotów. Namiot strategosa nie był bynajmniej największy ani też nie stał w środku, w istocie umieszczono go na tyłach obozu. Brodzili w błocie, co noc spadały obfite deszcze (co bardzo sprzyjało obrońcom, może więc była to ich robota). Przed wejściem do namiotu Berbeleka ociosywali buty z grud gliny i pakuł zdeptanego zielska, wbito tu w tym

celu w ziemię deszczułki o ostrych krawędziach. Aurelia jako jedyna chodziła boso.

Dla siedmiu osób był ten namiot zdecydowanie za mały; musieli od razu usiąść. Tylko stary Porte pozostał na nogach, krzątając się przy piecyku. Klapę pozostawiono uchyloną. Przed wejściem stał wysoki horrorny w pełnej zbroi węglowej, z siekatownicą na ramieniu.

Niestety, był to jeden z zaledwie dziesięciu żołnierzy Horroru pozostających aktualnie w dyspozycji Hieronima Berbeleka.

Haser Obol, tysięcznik Horroru Byzantyjskiego, podążył wzrokiem za spojrzeniem Aurelii.

— Dzisiaj lub jutro — rzekł. — Tak czy owak, płyniemy już do Danzig.

Wojsko Obola zostało z góry opłacone i teoretycznie od początku roku znajdowało się pod komendą Berbeleka. Wpierw jednak należało je przerzucić na pole bitwy. Tymczasem towarzyszył strategosowi jedynie hegemon Haser z dziesiątką horrornych, bardziej jako symbol niż faktyczna pomoc militarna. Jego namiot stał tuż obok. Nad wielostożkiem ciemnego płótna powiewała chorągiew Horroru: czerwona pięść w czarnym kole zębatym na białym tle. W zamierzeniu strategosa miała ona dać do myślenia Krypierowi Cudzybratowi. Zapewne dała — tym szybciej posłał był Cudzybrat po posiłki.

Esthlos Berbelek usiadł w kącie; rozpiąwszy kirouffę, założył nogę na nogę. Aurelię zastanawiało to upodobanie strategosa do afrykańskich szat. Sługa podał mu czarę gorącej qahwy. Berbelek bez mrugnięcia pił parzącą ciecz.

Jednooka Janna-z-Gniezna, zastępca Berbeleka z czasów, gdy był on jednym z marszałków polnych Vistulii, kreśliła coś zapamiętale po mapach rozłożonych na wieku kufra, który wpierw przysunęła sobie do chybotliwego stołka kopnięciem. Janna wydawała się Aurelii starsza nawet od Porte. Czarna opaska biegła ukośnie przez jej poorane zmarszczkami czoło, zakrywając lewy oczodół, przez siwe włosy, ściągnięte w długi warkocz. Janna przyłączyła się do strategosa, gdy tylko skończył się jej kontrakt w armii Kazimira IV, czyli latem zeszłego roku, po pierwszych rajdach Berbeleka na wysunięte garnizony Moskwy. Odtąd pozostawała na żołdzie Księżyca. Co ważniejsze, jako jedna z nielicznych ludzi Hieronima zdawała sobie sprawę, że jest opłacana przez Księżyc. Nie sprawiała wrażenia specjalnie owym faktem zgorszonej, tym niemniej od pierwszego ich spotkania darzy-

ła Aurelię wyraźną antypatią. Nie wymieniły przez te pół roku więcej niż kilka zdań. Aurelia była ciekawa przyczyny kalectwa Janny — czyżby nie stać jej było na usługi żadnego teknitesa ciała? — nie odważyła się jednak zapytać. Może istotnie Vistulka popadała już w starczy obłęd.

— Wiem, że Słoneczko stoi z połową Trzeciego Ujadu na linii Burznej — mamrotała teraz Janna, nie wiadomo, do siebie, czy do spoglądającego na nią ponad krawędzią czary esthlosa Berbeleka. — Bliżej są garnizony w Kolnie, Czertyczu i Niżwach, ale one się nie ruszą, mają prikaz siedzieć na dupie i pilnować własnych ziem. Zostaje Trepiej i Trzeci. Załóżmy, że Cudzybrat posłał doń alarmowe wezwanie, gdy tylko przekroczyliśmy granicę… Biorąc pod uwagę deszcze… Cztery dni.

— Ale masz na myśli tylko jazdę? — upewnił się Olaf.

— Tak, konnica Trepieja może się tu zjawić już za cztery dni. Ta druga półsetka kawalerii z Jobałłą, którą posłałeś za rzekę — zwróciła się do strategosa — znosi coraz silniejsze zwiady, grupki już po tuzinie jeźdźców. Na razie to tylko regularne patrole, ale w każdej chwili ktoś tu może przysłać jakiś większy podjazd. Tfu, gdybym była Trepiejem, dawno bym jeden posłała, choćby z rodzicielskiej troski. Przechwyciliśmy już ilu? — dziesięciu gońców? Ślepy by zauważył. W każdym razie ja na pewno.

— Jobałło ma rozkaz odskoczyć. — Esthlos Berbelek siorbał powoli qahwę.

— Jobałło nie wesz, żeby jeno gryźć i odskakiwać. Znasz kawalerzystów. Może zresztą nie mieć już szansy.

Od żeliwnego piecyka płynęły fale żaru, Aurelia podświadomie zwracała twarz ku ogniowi. Porte wyszczerzył do niej w szerokim uśmiechu żółte zęby. Parzył równocześnie qahwę, theę i pażubę, dodając do każdego napoju rozmaite egzotyczne przyprawy, dostarczane mu regularnie przez NIB w blaszanych pudłach z herbem Domu Kupieckiego. Namiot wypełniła wkrótce mieszanina ostrych woni, nawet horrorny zajrzał do środka.

Pażuba była dla kapitana Połańskiego. Stała się ostatnio bardzo popularna w środkowej Europie (co esthlos Berbelek wykorzystywał jako kolejny argument dla dowiedzenia arretesowego wpływu Czarnoksiężnika).

— Ja właściwie powinienem już was opuścić… — Połański pocierał w zakłopotaniu nos. — Rog wyciągnąłby z mojej tu obecności wnioski, które —

— Tak, tak — przerwała mu Janna — wszyscy wiemy: warcholstwo żądnego zemsty strategosa, prywatna wojenka Hieronima Berbeleka, w przypadku klęski Kazimir i Światowid umywają ręce.

— A co! — wzburzył się Połański. — Może on zostanie, by świadczyć przed Trepiejem za Thora? — Dźgnął palcem w stronę Olafa Splamionego.

Szczur kratistosa Nordu wzruszył ramionami.

— Thor od lat prowadzi otwartą wojnę z Czarnoksiężnikiem. Nie ma nic do ukrycia. Chętnie powitamy strategosa Berbeleka na froncie północnym.

— Prowadzi wojnę, akurat! Rog nigdy nie poszedł z wojskami na Nord, ścieracie się tylko w tych odświętnych potyczkach granicznych i nasyłacie wzajem korsarzy na swoje statki.

— Spokój, spokój! — warknął strategos. — Bo pogonię wszystkich! Nie zwyciężyliśmy, ale też nie ponieśliśmy jeszcze klęski. W nocy poprowadzę szturm, podciągniemy behemotami pyresidery i pójdziemy w głąb miasta. Jeśli tylko Krypier nie nagotował tam jakichś cudów. Kiedy ten raport Bartosza?

— Pójdę z tobą, kyrios — odezwała się Aurelia. — Jeśli osobiście chcesz poprowadzić atak… pójdę z tobą.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł, byś tak się narażał, esthlos — rzekł Olaf, ustawiwszy ostrożnie na kolanie kubek z theą.

— Natarcie pod ścisłą morfą strategosa, w tym jeszcze jest szansa — stwierdził Berbelek. — Bez dodatkowego wsparcia… nie widzę innej nadziei na szybki przełom.

Aurelia kręciła głową. Dym tłumionej złości począł gryźć ją w gardle.

— Cały Horror Byzantyjski przypłynie tu najdalej za dwa tygodnie, pierwsza setnia może się zjawić lada chwila. Nie rozumiem, kyrios. To głupie. Czarnoksiężnik nie ucieknie, adynatosi nie uciekną. Poczekaj.

— Jeśli nie zajmiemy miasta w ciągu najbliższych trzech dni, będziemy musieli się wycofać — rzekł strategos Berbelek, odłożywszy pustą czarę i sięgając do wewnętrznej kieszeni kirouffy po tytońcówkę. — Poczytaj sobie podręczniki wojny, co one mówią o oblężeniach. Stosunek sił powinien wynosić co najmniej trzy do jednego na rzecz oblegających, a po prawdzie zaleca się dziesięć do jednego. A jaki jest nasz? Jeden do dwóch lub trzech. Mam osiem dobrych pyresider, tuzin behemotów, nieco ponad setkę kawalerii i pół tysiąca regularnej piechoty, drugie pół tysiąca pośpiesznie przysposobionych ochotników, którzy właściwie tylko leżą w okopach, pykają

z keraunetów, żrą prowiant i prowokują burdy. Krypier Cudzybrat siedzi natomiast w Kolenicy z półtoratysięcznym garnizonem Trzeciego Ujadu; siedzi tu od prawie siedmiu lat, ubezpieczył się doskonale, był gotów, linia frontu przebiegała przecież kilkadziesiąt stadionów na zachód stąd. To wielki sukces, że w ogóle udało mi się go zamknąć w regularnym oblężeniu. Czym jest ten mój atak? Szaleństwem. Samobójstwem. Skrajnym ryzykanctwem. Może gdybym miał zdrajcę w środku, pełne zaskoczenie i otwarte bramy… Ale tak? A jemu wystarczy czekać na odsiecz.

— Dlaczego więc…?

— Bo muszę odnieść to zwycięstwo. Wiesz, co napiszą wszystkie gazety Europy, gdy Hieronim Berbelek odbije Czarnoksiężnikowi Kolenicę?

— Więc cała ta bitwa toczy się o nagłówki gazet…?

— O to, czego one są odbiciem.

— Powinieneś był poczekać na Horror, kyrios — powtórzyła.

— Nie. On już wie, że idę na niego. Teraz mimo wszystko mogłem jeszcze przejść tu front i otoczyć Kolenicę; za chwilę musiałbym wpierw wygrać regularną wojnę, żeby w ogóle podejść pod mury miasta. Jest chwila i moment stosowny na wszystko i teraz właśnie otworzył się taki czas — teraz mogę zbudować Formę zwycięstwa, która dalej poniesie mnie już sama, niczym aetheryczny epicykl. Lecz rok wcześniej i rok później — byłoby za wcześnie, za późno, waliłbym głową w mur.

— Jest to pewna umiejętność, podobna do umiejętności żeglarskich — mruknął ejdolos Thora. — Pochwycić w żagle wiatr Historii, gdy dmie on w twoją stronę.

— A do jakich umiejętności — zaskrzeczała Janna — podobna jest umiejętność pozwalająca obrócić się zawsze tak, żeby nie zostać przez Historię wydymaną?

Wymieniwszy dwa zdania ze strażnikiem, do namiotu wszedł ubłocony goniec z raportem poszturmowym. Zasalutował strategosowi i począł wyrzucać z siebie w strumieniu łamanej greki liczby, imiona i opisy pozycji. Aurelia machnęła ręką i wyszła przed namiot. Po chwili dołączył do niej Olaf Splamiony; w dłoni wciąż miał kubek z parującą theą.

Aurelia spojrzała na Nordlinga z ukosa.

— I co powie Thor?

— Thor nic nie powie. Thor tylko walnie pięścią w stół.

— I?

— A jak sądzisz, dlaczego tu z wami przyjechałem?

— Zdać raport Thorowi, czy warto postawić na Hieronima Berbeleka. Czy zdobędzie Kolenicę; i jak to zrobi; i co by sobie Thor pomyślał.

— To też.

Zmarszczyła brwi. Co on sugerował? Gdyby to naprawdę była jakaś tajemnica kratistosa, nie naprowadzałby ją na nią świadomie. Przecież wie, że ona powtórzy to wszystko strategosowi. Kłamie więc. Ale jak właściwie brzmi to kłamstwo?

— Już się go boją? — szepnęła.

— Jeśli faktycznie jest zdolny pokonać Czarnoksiężnika… Pomyśl. Illea może i nie powróci, ale on tu pozostanie. Z czyich ziem zechce wykroić sobie dziedzinę?

Aurelia patrzyła na szczura z jawnym niedowierzaniem.

— Już się go boją!

— Chce zabić kratistosa, prawda? Oczywiście, że się zaniepokoili.

— Meter! Nie wierzę. I co, zostawią go na pastwę Czarnoksiężnika?

— Nie, skąd, Wdowiec faktycznie stanowi zagrożenie największe, trzeba się pozbyć jego i Skrzywienia. Ale co potem?

— Strategos będzie musiał stanąć naprzeciwko Potęgi adynatosowej, nie wiadomo, czy w ogóle wróci, czy wróci jako Berbelek. Najprawdopodobniej to misja samobójcza.

— Sama widzisz. A tu będzie miał już wielką władzę, wielką sławę i wielkie imię. Dlaczego miałby to wszystko porzucić — dla prawie pewnej śmierci? Człowiek nie zna takiej motywacji.

Aurelia już otwarcie gapiła się na Olafa, z wpółotwartych ust wydobywały się jej obłoki gorącej pary.

— Przed czym ty właściwie próbujesz ostrzec strategosa? Czego Thor od niego chce?

Wzruszył ramionami, opuścił wzrok do wnętrza kubka.

— Nic, nic, ot, parę myśli.

Bez słowa więcej zostawiła ejdolosa Thora pod namiotem Berbeleka.

Jej własny namiot znajdował się na drugim krańcu obozu (wymusił to esthlos Hieronim). Szła szybko, patrząc pod nogi, by nie poślizgnąć się w błocie. Błoto pokrywało wszystko, sprzęty, płótna, broń, zwierzęta, ludzi.

Sądziła, że to, co ją na Ziemi zaskoczy, to będzie chłód, rozbuchana — bo starożytna w reliktach swej teleologii — flora i fauna, wszystkie te wi-

doczne i niewidoczne zabytki tysięcy lat historii człowieka i dziesiątków tysięcy lat historii życia — czego Księżyc był pozbawiony; że zaskoczy ją bogactwo i potęga niskich żywiołów, że będzie musiała walczyć z ciągłym naporem hydoru; że wreszcie zaskoczą ją Ziemianie, ludzie o wielkiej różnorodności morf. I istotnie, zaskoczyli — naprawdę jednak po tych dwóch latach przyzwyczaić się wciąż nie mogła do czego innego: bałaganu. Bałaganu, chaosu, dysharmonii, wszechobecnego nieporządku, niestaranności, niechlujności, jakiejś tymczasowości i prowizoryczności. Czuła się nimi osobiście obrażana.

Idąc teraz przez obóz wojsk vistulskich, z trudem się powstrzymywała od grymasów pogardy i obrzydzenia. I to miał być wzór żołnierskiej karności! Morfa potężnego strategosa! Jak zatem wyglądałaby ziemska armia puszczona samopas, w morfie demokracji czy innej perwersji władzy? Druga strona tej myśli wyglądała natomiast tak: do czego byłaby zdolna armia sama z siebie poddana Harmonii, armia księżycowa — gdy nadto objąłby ją swą Formą strategos Berbelek? Nie ma takiej siły, która powstrzymałaby Aurelię od udziału w Bitwie Aetherowej.

Mijani żołnierze salutowali jej uprzejmie; nawet medycy z lazaretu kłonili przed nią głowy. (Do lazaretu znoszono właśnie rannych i konających z porannego szturmu). Wszyscy znali Aurelię Krzos jako demiurgosa ognia i przyboczną strategosa, a egzotyczny wygląd i demorfunki brwi wystarczyły, by zapewnić jej tu, w Vistulii, miano maga.

Jedynie Antidektes Alexandryjczyk znał prawdę.

— Pozwól no na chwilę! — stary sofistes zawołał na nią z progu swego wozu.

Skręciła niechętnie.

— Czego?

Machnął ręką ponad jej głową, w stronę wzgórza kolenickiego.

— Nowa receptura. Cefery kanciaste, numerologia graniastosłupów. Zobacz, jak się pożar przenosi mimo deszczów. Do jutra spłonie całe miasto.

Obejrzała się na Kolenicę. Ponad nierówną linią murów rozpełzały się po bladym błękicie tłuste robaki dymu i popiołu, szybko rozgniatane i przepędzane przez silny jeszcze wiatr.

— Dotąd radzili sobie z gaszeniem — mruknęła. — Plotka głosi, że mają tam jakiegoś demiurgosa chmur.

— Nie w tym rzecz. Coraz głośniej mówi się o odsieczy Trepieja, myślisz, że ja tego nie słyszę? Mam ludzi — wskazał głową na swoich doulosów i służących, dwoje z nich było vistulskimi Cyganami — którzy rozumieją tutejszy język. Niech przyjdzie jeden suchy dzień. Wiesz, z jakiej odległości widać na niebie dymy płonącego miasta?

— I zacząłeś się bać? — Aurelia splunęła, błoto u jej stóp zasyczało cicho. — Horror zjawi się lada chwila.

— A jeśli się nie zjawi?

— W nocy strategos poprowadzi generalny szturm.

— No pięknie! Przy moim szczęściu dostanie jakimś rykoszetem w pierwszej minucie. I kto mi wówczas zapewni bezpieczny przelot na — wiesz-gdzie — kto?

— Że niby ja? — żachnęła się Aurelia.

— Nie honorujesz przysięgi swojego pana? — Antidektes aż zamachał chudymi ramionami. Był wyższy od Aurelii, a że na dodatek stał na stopniach swego wozu mieszkalnego, górował nad nią o dwa pusy. Dziewczyna zadzierała głowę. Machnie jeszcze raz, pomyślała, i podwędzę mu łapki.

Od początku nie podobała się jej umowa zawarta przez Berbeleka z Antidektesem. Strategos potrzebował Aegipcjanina głównie do przekonania szczurów wątpiących kratistosów, iż to Czarnoksiężnik stoi za Skrzywieniem i adynatosami w sferach niebieskich. Aurelia nadal nie była pewna, czy sofistes głosił te teorie z pełnym przekonaniem, czy też został opłacony do kłamstwa — w takim razie doskonale przyjął jego formę. Tak czy owak, jego ceną był przelot na Księżyc i wolny dostęp do bibliotek Czwartego Labiryntu. Esthlos Berbelek dał mu słowo. Oczywiście, martwy esthlos Berbelek go nie dotrzyma — Antidektesowi pozostaje wszakże Aurelia Krzos, Księżycanka, która jakoś przecież będzie musiała wrócić do swej ojczyzny…

— Słuchaj no — zaczęła, wziąwszy głębszy oddech, by ugasić wewnętrzny ogień — strategos żyje i będzie żył, a jeśli ty zaczniesz roznosić takie defetystyczne —

Urwała, spostrzegłszy, iż sofistes już jej nie słucha. Zagapił się w punkt ponad jej głową — nie na Kolenicę, na coś jeszcze wyżej, ponad miastem i w lewo odeń. Obejrzała się.

Z północnego zachodu, znad ciemnozielonego masywu puszczy nadlatywała włócznia czerwonego kamienia. Aurelia zmrużyła oczy. Równolegle

nad kamieniem ciągnęło się czarne wrzeciono aerostatyczne, srebrne pioruny otaczały jego boki ciernistym ornamentem. Nad dziobową kopułą minaretu prężył się jednoręki anioł, białe bandaże jego skrzydeł powiewały na wietrze, poranne słońce strzelało refleksami od kryształowej kosy. Schodząc do ziemi, „Łamichmur” zataczał szeroki łuk, by nie wlecieć w zasięg pyresider Kolenicy.

Aurelia wyszczerzyła się do Antidektesa w gorącym uśmiechu. Nie musiała nic mówić, żołnierze dostrzegli już „Łamichmura” i podnieśli wrzawę. Vistulczycy wychodzili z namiotów, spoglądali w niebo. Zagrała nawet trąbka, Aurelia nie znała tego sygnału. Puszkarze koleniccy zaprzestali na moment ostrzału, i tak jeno symbolicznego.

Oroneigesowy aerostat spłynął nad pole za głównym obozem wojsk vistulskich. Zatrzymał się jakieś trzydzieści pusów nad powierzchnią gruntu. Kolebiąc się na wietrze, próbował zachować stałą pozycję. Załoga rzucała łańcuchy kotwiczne. Żołnierze pobiegli wbić w ziemię żelazne pale. Aurelia podążyła za nimi; widziała, że biegną tu ludzie także od namiotów strategosa i hegemona Hasera Obola.

Tymczasem po linach spuszczonych z poziomej wieży „Łamichmura” zjeżdżali tuzinami mężczyźni i kobiety w węglowych zbrojach Horroru.

Złamać jej kark, łeb ukręcić, jak postąpiłbym z wężem jadowitym. Nimrod obracał w głowie myśli nimroda. Zabiję Żmiję, zabiję ją. Kolorowy ptak przefrunął ponad nim, ogród rezydencji Hieronima Berbeleka przypomniał Zajdarowi swymi miłymi dla ucha dźwiękami o kakofonicznych melodiach prawdziwej dzikości. Ihmet nienawidził parków, ogrodów, stawów miejskich i obwoźnych bestiariów. Brama majątku i strażnicy zniknęli za zakrętem alei. Odsłonił zęby. Ugryźć, ugryźć, ugryźć, zagryźć! Słońce wzeszło wysoko nad Alexandrię, mrużył prawe oko; lewa źrenica była bezpieczna w cieniu. Mimowolnie przyśpieszał kroku. Wiedział, że ona jest tu obecna, kuzyn Aneisa Panatakisa mu powiedział.

„Hipotamia” zawinęła do wewnętrznego portu Alexandrii siódmego Martiusa, z dwudniowym opóźnieniem powstałym na skutek gwałtownych wiosennych sztormów (Oroneia znów obracała wiatry przeciwko wiatrom, zderzała chmury z chmurami, Król Burz brał głęboki oddech). Wynajęwszy w porcie wiktykę, Zajdar wpierw pojechał był do składów faktorii Aneisa

Panatakisa. Ostatnimi laty rozrosły się one do rozmiarów porównywalnych z rozmiarami składów Kompanii Afrykańskiej. Magazyny Panatakisa rozrzucone były po wszystkich nabrzeżach, przez jego ręce przechodziła obecnie lwia część wymiany handlowej między Herdonem i północną Afryką oraz zachodnią Azją. Stary Aneis nadal urzędował w swoim bezokiennym kantorze na tyłach najstarszego ze składów. Wszakże z uwagi na wczesną porę oraz na fakt, iż był to dzień jakiegoś kristjańskiego święta (a Panatakis okazał się być także kristjanem), Ihmet go tam nie zastał. Zostawił zatem w kantorze listy Berbeleka skierowane do faktora i wszystkich innych alexandryjskich adresatów, z wyjątkiem esthle Amitace i esthle Alitei Latek. Ludzie Panatakisa dostarczą je najszybciej. Następnie podał wiktykarzowi adres rezydencji Berbeleka.

Płynąc tu — najpierw na „Brucie", potem na „Hipotamii" Kompanii Afrykańskiej — miał czas wszystko przemyśleć. Wbrew pozorom zdarza się to wyjątkowo rzadko, gdy człowiek naprawdę zastanawia się nad kształtem swego życia, spogląda na nie jako na pewną całość — jak na rzeźbę: posiada stopy i głowę, lecz znaczy coś tylko, gdy widziana w całości — i na zimno je ocenia, świadomie dokonuje wyboru kształtu docelowego. Czyż nie to w ostatecznym rozrachunku odróżnia aristokratów, lud i doulosów? Święte słowa Provegi: *Niewolnik w tym podobny jest zwierzęciu, że nie panuje nad swoją formą; aristokrata w tym jest podobny bogom, że sam ją określa, on i nikt inny*. Czy Ihmet Zajdar miał prawo nazwać się aristokratą? Tu złudzeń nie posiadał: nigdy nawet nie starał się przezwyciężyć swej natury nimroda, szedł przez życie od jednej do drugiej gorączki łowów, jakoś niepełny i kaleki, gdy pozbawiony zwierzyny, na której mógłby się skupić i zorientować podług niej swe dni i noce. Zawsze jednak — takim się postrzegał, zapatrzony na pieniste fale Morza Śródziemnego — zawsze to on wybierał tę zwierzynę i jego było Polowanie. Dopóki nie zapadł się w morfę Hieronima Berbeleka. Teraz bowiem nie był już pewien żadnego swojego wyboru, instynktu i maniery. Rzeźba traciła symetrię i równowagę, przechylała się niebezpiecznie na jedną stronę. Dostrzegał zmianę, chociażby przez porównanie pamięci swoich zamierzeń. Trzy lata temu, gdy rezygnował ze służby na okeanikach, ścieżka jego przyszłego życia była prosta i jasna. Miał dosyć pieniędzy, mógł spędzić owe ostatnie kilka dekad na takich polowaniach, jakie chciał, gdzie chciał. I w istocie nigdy nie podjął żadnej konkretnej decyzji, by zarzucić ten plan i miast tego od-

dać się w rozkazy esthlosa Berbeleka. Zresztą dokładnie w ten sposób wygląda to u prawie wszystkich ludzi. Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, od Formy do Formy, narzucanych z przemieszania Form zewnętrznych, cudzych… Aż może przyjdzie taki moment w starości, albo i już na łożu śmierci, gdy spojrzawszy wstecz, ujrzymy skończony kształt naszego życia i dopiero zaskoczy nas ta figura: co za maszkara, co za bohomaz, bryła chaosu i przypadku, bez sensu, bez celu, bez znaczenia, bez piękna.

Ihmet nie łudził się, iż sam osiągnie tu jakąś niezwykłą harmonię i kalokagatię. Ale ponieważ bliżej był już końca niż początku, mógł nazwać kształt dotychczasowy i przynajmniej starać się utrzymać jaką taką konsekwencję. Konsekwencja — oto jest pierwszy wymóg każdego polowania i pierwsza cecha każdego nimroda. Nie agresja, nie dzikość, nie przemoc — te bardziej przystoją aresowi. Nimrod natomiast musi utrzymać się na raz obranej ścieżce łowów nierzadko przez lata. Raz obranej za ofiarę zwierzyny nie można porzucić w pół pogoni; to n i e d o p o m y ś l e n i a. W tym sensie istotnie jest niewolnikiem swej natury. Można rzec, iż najbardziej jest wierny właśnie swoim ofiarom. Esthle Szulimy Amitace nie zdradził ani na sekundę od chwili pierwszego spotkania w vodenburskim cyrku. Czy strategos miał z tym cokolwiek wspólnego? Zajdar szczerze wątpił. Krew burzyła się w jego żyłach, to był głos krwi. Zabije ją, zabije Żmiję.

Posiadłość esthlosa Hieronima Berbeleka znajdowała się kilkanaście stadionów na wschód od południowego wylotu Mostu Beleuckiego, na samym końcu dzielnicy pałaców aristokracji alexandryjskiej, Parseid. Parseidy rozciągały się wzdłuż brzegów Jeziora Mareotejskiego prawie na jednej trzeciej ich długości. Dalej na południe zaczynała się już Górna Alexandria, kwartały izmaelickie, negryjskie, cygańskie, pergamońskie, induskie i dzunguowe. Posiadłość i dom Berbeleka kryły się przed ich hałasami i zapachami w gęstej zieleni parków nadmareotejskich. Ceny ziemi były tu bardzo wysokie, a że o prestiżu stanowiła wielkość ogrodu, dom strategosa wzniesiony został po większej części na fundamentach oroneigesowych, to znaczy w powietrzu, ponad błękitnymi wodami jeziora. Zajdar odwiedził go już dwukrotnie. Za pierwszą jego wizytą budynek nie był jeszcze wykończony, ogród nie domorfowany, a wysokie ogrodzenie nie ze wszystkich stron domknięte. Minął wszakże rok i posiadłość wyglądała na jedną z lepiej zadbanych. Sam Berbelek zdążył w niej pomieszkać w sumie bodaj

miesiąc. Zapewne jednak nie bez znaczenia dla jej obecnego kształtu był fakt, iż stałym rezydentem pozostawała tu esthle Szulima Amitace.

Zajdar zastał Parseidy wyjątkowo dobrze strzeżone. Niczym w czas wojny, jej ulice patrolowały konne (zebrowe i jednorożcowe) patrole, a pod bramami oraz wzdłuż murów, żywopłotów i parkanów Hypatia wystawiła własne warty; na granicznych skrzyżowaniach stali Krokodyle Nabuchodonozora. Z mostu nimrod dostrzegł także wojskowe łodzie, krążące po wschodnich zatokach jeziora. Rozpoznali go jednak mamlucy Berbeleka i to wystarczyło gwardzistom Hypatii. Zapowiedział wartownikom rychłe przybycie portowych doulosów z jego bagażami, zapłacił wiktykarzowi i przekroczył bramę posiadłości.

Dom był niewysoki, jednopoziomowy, jego dachy przesłaniała z początku zieleń ogrodu. Dopiero gdy Ihmet dwakroć zakręcił, wychodząc na podjazd przed stajniami, ujrzał fronton budynku — a raczej jego niższej, naziemnej części, swoistego fauces, marmurowego zakotwiczenia na brzegu Mareotu. Z tego fundamentu wystrzeliwały nad jezioro łuki nagrzanego słońcem kamienia i skryte pod nimi schody prowadzące do obszernych korytarzy i sal, zawieszonych na blokach czerwonego oroneigesu nad wodami zatoki porośniętymi trzciną i helofitowym kwieciem. Niektóre z tych sal, jak sobie Zajdar przypominał, posiadały podłogi z grubego vodenburskiego szkła, w innych znowu pozostawiono z premedytacją wąskie szczeliny i okrągłe otwory, „piwnice” domu zaś schodziły na sam poziom ciepłych fal i cała ta powietrzno-ziemno-wodna architektura —

— Wróciłeś!

— Witam, witam naszą czarną Artemidę!

Uścisnęli się. Zueia odstąpiła na krok, by lepiej się przyjrzeć Ihmetowi.

— Jeszcze pachniesz morzem. I broda — mógłbyś się wreszcie ogolić!

— Nie poznałbym się w lustrze.

— Ale! Ten błysk w oku — jakieś nowe polowanie — powiedz — co ustrzeliłeś?

— No, no, no, pani pozwala ci tak napadać na gości? Serce może nie wytrzymać staremu człowiekowi. Ale niechże ja się przyjrzę tobie! Z każdym rokiem młodsza i groźniejsza. A coś ty zrobiła z włosami?

— Siedemdziesiąt siedem warkoczyków. Domowy doulos mi zaplata. Ta forma przyszła w tym roku od Huratów. Nie podoba ci się?

— Obróć no się.

— Próbowałam namówić esthle Amitace. Esthle Latek została z kolei namówiona przez tego jej —

Padła z przetrąconym karkiem. Nimrod dla pewności kopnął ją jeszcze lekko w skroń, czaszka rozpękła się jak młody kokos, wylały się soki.

Rozejrzał się ponownie — nikogo w zasięgu wzroku, nic się nie porusza w oknach pałacu, nikt nie przechodzi przez dziedziniec. Z wnętrza stajni dobiegają stłumione głosy, rżenie zaniepokojonych koni (wyczuły krew?), lecz wrota są zamknięte. Ujął zwłoki pod ramiona i zaciągnął w najbliższe krzaki. Wrócił, przysypał piachem plamę czerwieni. Sprawdziwszy buty i nogawki spodni (czyste), rozejrzał się po raz trzeci. Nikogo, nic, nikt.

W zawieszonej nad brzegiem jeziora głównej sieni natknął się na seneszala domu Berbeleka. Seneszal przywołał służącego, by ten zaprowadził Zajdara do esthle Amitace. Szli szerokimi, jasnymi korytarzami, wypełnionymi zapachem i dźwiękami jeziora. Drobne łuski podłogowych i ściennych mozaik migotały oślepiająco; okna były szeroko otwarte, przelewało się przez nie w złotych kłębach afrykańskie powietrze, upał i anielska jasność. Ihmet młodniał z każdym krokiem. Lżejszy, szybszy, mocniejszy, mniej śmiertelny.

Esthle Szulimę Amitace zastali w nawodnym perystylu, zstępującym czterema coraz dłuższymi tarasami na sam poziom jeziora; na taras najwyższy wychodziło ponad tuzin drzwi tylnych sal pałacu. Perystyl otaczały hydorowe drzewa, wymorfowane z paproci, figowców i palm, część z nich już na tyle wysoka, by przykryć marmur głębokim cieniem. Między drzewami migotały pióra ibisów i flamingów.

Esthle Amitace siedziała przy hiewojowym stole po prawej stronie drugiego tarasu. Pochylona, pisała coś zapamiętale, nimrod widział tylko opalone plecy i rozpuszczone złote włosy. Na kolanach, na białym lnie jej długiej spódnicy, złożyła łeb młoda lwica. Szulima głaskała ją machinalnie lewą dłonią.

— Esthle… — zaczął służący.

Nimrod wbił mu kość potyliczną w mózg.

Rzucił się biegiem ku Księżycance. Nie zabrał ze sobą żadnej broni — nie wiedział, gdzie i w jakiej sytuacji zastanie Szulimę — ale od kiedy to broń była mu potrzebna? Przygryzł sobie język, by posmakować krwi. Polowanie! Świat ustępował pod jego żądzą.

Lwica poderwała się na nogi, odsłoniła kły. Zeskoczył na drugi taras. Rzuciła się na niego z głuchym warkotem. Przyklęknął, uderzył złożoną w klin dłonią w górę, ukośnie. Weszła jak w glinę, ciało nie stawiało Łowcy najmniejszego oporu. Wyrwał z lwicy zwój gorących jelit. Cisnął zwierzę na marmur, złapał za skórę na grzbiecie, rraaaaarrrgh, piana na ustach, trzy-cztery-pięć, rozstrzaskał jej łeb. Trzepotała się jeszcze w pośmiertnych drgawkach, ogon klaskał o mokrą płytę tarasu.

Nimrod obrócił się ku kobiecie. Stała oparta o blat stołu, szeroko otwartymi, zielonymi oczyma wpatrując się w okrwawionego nimroda, grymas nieludzkiej dzikości na jego twarzy. Nie uciekała, powstrzymała też odruch obronny, ręce opuściła luźno wzdłuż tułowia. Tylko piersi podnosiły się i opadały w rytmie panicznego oddechu — oczywiście, że była przerażona, zawsze są.

Ruszył ku niej.

— Nie! — krzyknęła.

Może sobie teraz krzyczeć, nawet gdyby —

Za jego plecami — bose stopy na kamieniu — bliżej. Odskoczył. Cios przeszył powietrze.

Wstecz! Kto? Zna go, nigdy nie zapomina twarzy, to esthlos Dawid Monszebe z Teb, narzeczony esthle Alitei Latek, ares. Ares! Och, Manat.

Starli się przy progu tarasu — sekunda, dwie, nie więcej. Nimrod kopnął aresa w goleń, łamiąc mu nogę, obnażona kość strzeliła naokoła białymi igłami. Ares sięgnął głowy Zajdara, zdarł mu pół twarzy. Pięść nimroda musnęła prawy bark młodzieńca i ramię wyskoczyło mu ze stawu. Ares pchnął otwartą dłonią w klatkę piersiową Persa, mostek i żebra pękły w tysiąc odłamków, szatkując płuca Zajdara, przekłuwając serce. Idąc naprzeciw temu ruchowi, nimrod zahaczył jeszcze lewym kciukiem o szyję Monszebe, wyrywając krtań, tętnicę, ścięgna i mięśnie.

Padli na zimny marmur.

Nimrod nie czuł tego zimna, nie czuł swego ciała; ból też zawsze nadchodził dopiero potem — czy w ogóle zdąży nadejść? Krew kleiła mu powieki, na lewe oko nic nie widział, świat odpływał od niego w jasnej zorzy poranka, słońce i zieleń, i woda, i niebo błękitne, i twarz pochylającej się nad nim esthle Amitace.

— Nie miało go tu być, nie miało go tu być, o Matko, nie wytrzymam tego od nowa, czy Hieronim nie mógł przysłać cię wcześniej?!

Nikt mnie nie przysyłał. O czym ty. Powinnaś się. A nie. Rozczarowana. To nie ma żadnego. Czekała na. A jednak. Boli.

Ogień nie jest podobny do żadnego innego żywiołu, Ogień różni się swą naturą od całej innej Materii. Jako jedyny sam siebie tworzy: z płomienia płomień, z iskry pożar. Jako jedyny powstaje przez użycie siły. Jego jedynego można w ogóle stworzyć; innych żywiołów nie sposób — a Ogień tak, jest wiele metod. Inna Materia istnieje sama z siebie, niepodlegle, Ogień wszakże zawsze potrzebuje jakiegoś podłoża, paliwa, nosiciela. *Ogólnie zaś mówiąc* — pisał Teofrast z Lesbos — *zawsze i wszystko, co się tylko pali, jest jakby w trakcie powstawania, tak jak ruch, dlatego też, nawet gdy powstaje, jakoś niszczeje, gdy brakuje paliwa, i samo ginie*. Gdyby Ruch był żywiołem, posiadałby w Materii postać Ognia.

Aurelia czuje wszakże, że w istocie Ruch j e s t żywiołem — i ona oddaje się właśnie w jego władanie, zamyka się w jego morfie. Okółpierśnik, okółramienniki, okółhełm, wirkawice — kolejne elementy zbroi, jak organy żywego zegara, zaraz obroty jego trybów zgrają się z rytmem bicia jej serca, zaraz zespoli się nimi w jednej harmonii.

Rozpalona, rozwibrowana, rezonująca mekaniczną energią wyszła przed namiot. Trwał intensywny ostrzał przedszturmowy, co chwilę grzmiała któraś z pyresider, a palba keraunetowa trwała już nieprzerwanie. Aurelia ugięła kolana, wokółnożne i wokółbarkowe epicykle zagarnęły wielkie masy błota, na moment poczuła się jak golem, dżinn, iganazi — ale zaraz odmieniła morfę, zatrzasnęły się ażurowe przekładnie zbroi, a impet dodany przez jej wiecznoruch przedłużył skok Aurelii dwudziestokrotnie, posyłając ją — ognistą kometę — ponad połową obozu, na zbocze podleśne naprzeciw zdemolowanej bramy Kolenicy.

Tu szykowała się do boju setnia Horroru; niżej, pod zboczem demiurgosi zoonu powoli ustawiali w szyku senne behemoty. Aurelia wylądowała w przyklęku, wbijając się na pus w rozmiękłą ziemię — fontanny błota poleciały na wszystkie strony, rozległy się przekleństwa ochlapanych żołnierzy. Wyprostowała się. Aetheryczna zbroja w półmroku przedwczesnego zmierzchu jawiła się srebrno-różową chmurą, plamą niebiańskiego światła, rozszczepianego wokół postaci kobiety przez rozedrgany pryzmat. Tylko na dole, wokół jej stóp, łydek i kolan, gdzie wiry puchły czarno od zagarniane-

go ge i hydoru, tylko tam ujawniała się oczom Ziemian prawdziwa natura zbroi, a raczej jej ruch, natura ruchu, harmonia szóstego żywiołu, potęga pędu. Aetherowo-błotne okółgolenniki siekły po równo glinę, trawę i kamienie.

Powstało oczywiście zamieszanie. Rozstąpiwszy się, horrorni wymierzyli w Aurelię keraunety i siekatownice.

Wystąpił ku niej wysoki brodacz z grawerunkiem setnika na węglowym napierśniku.

— Kim jesteś?

Naszła ją wówczas nagła ochota powiedzieć im prawdę — o Księżycu, o Pani, że w istocie służą Strategosowi Labiryntu — w porę jednak zjawił się hegemon Obol i pokusa odpłynęła.

— Strategos cię wzywa — warknął na Aurelię.

Nie widział wyrazu jej twarzy, rozemglonej przez prędki okółhełm. Skinęła głową.

Esthlos Berbelek dosiadł był już swego wierzchowca, wysokiego humija-albinosa. Z jego siodła obserwował Kolenicę przez lornetę. Aurelia zauważyła, że wdział tylko lekką zbroję, hełm zwisał przy kulbace.

Obok, na potężnym srokaczu, siedział herold z drzewcem rozwiniętego sztandaru w garści (dolny koniec wparł w strzemię). Wbrew nadziejom Aurelii nie był to sztandar Księżyca, lecz Ostroga: Czerwona Szarańcza.

— Wiem, że cię kusi — rzekł strategos.

Aurelia skłoniła głowę.

— Kyrios.

— Być może będę cię musiał jeszcze bardziej rozczarować. Oni wiedzą, że przybył Horror, lecz nie wiedzą, w jakiej liczbie. Popatrz. Nie strzelają od kwadransa.

Zaklęła.

Zaśmiał się gromko.

— Więc jak będzie? Z powrotem schowasz zbroję do wahadłaka?

— Daj rozkaz do ataku.

Opuściwszy lornetę, mrugnął do niej cwaniacko, wyprostował się w siodle — i rzeczywiście uniósł rękę.

Zagrała trąbka.

Zaraz podcwałowała do nich Janna-z-Gniezna, za nią kapitan Połański i setnik piechoty vistulskiej.

— Północny mur — sapnęła Janna. — Kilkunastu Moskwian próbowało uciec przez północny mur, chcieli się poddać. A niech mnie trąd! Myślisz, że coś się stało Krypierowi?

Tłumppp! — kolejny kocioł Antidektesowej mikstury poszybował nad miasto. Fontanna płomieni spadła na i tak już płonące dachy. Aurelia objęła wzrokiem panoramę Kolenicy i wokółkolenickich pól. Tylko ruch przyciągał jej uwagę; co nieruchome, to nie istniało. Po ciasno zabudowanym grodzie, po szczerbatych jego murach prześlizgnęła się ślepym spojrzeniem — nikt już stamtąd nie strzelał, nie dostrzegała żadnej aktywności.

Gwizdek setnika Horroru zabrzmiał trzykrotnie. Byli gotowi. Strategos ściągnął wodze białego humija, herold wbił pięty w boki srokacza, Janna zaklęła uroczyście. W ryku behemotów, w ciągłym grzmocie pyresider i keraunetów, w rżeniu koni, w chrzęście węglowych zbroi Horroru — zaczynał się ostatni szturm.

Spojrzała w prawo i w lewo: równy szereg horrornych, rozciągnięty jak na musztrze. Identycznie odziani, o identycznych ruchach, nawet identycznym wzroście — wyżsi są tylko ich dziesiętnicy. Raz, raz, raz, objęci jedną morfą, stąpali w nieludzko równym rytmie — nawet Księżycankę przeszedł dreszcz. Tu nie chodziło o regularny szturm murów miejskich, uderzenie w wyłom, taka formacja nie miałaby sensu — tu już chodziło tylko i wyłącznie o zastraszenie obrońców.

Horror wywodził swe tradycje bezpośrednio z praw i obyczajów Lakademonu. Bezpośrednio, to znaczy w sukcesji nieprzerwanej: liczył sobie prawie dwa tysiące lat. Raczej jednak niż o tradycji, należało mówić o pewnym rodzaju życia: wymieniając nieustannie Materię, z jakiej się składał, Horror zachowywał przez wieki i wieki tę samą Formę — Formę niezwyciężonego wojska najemnego. W istocie zostało ono już zwyciężone nieraz (w niesprzyjających warunkach lub w beznadziejnym stosunku sił), lecz morfa przetrwała. Umierali jedni żołnierze, zaciągali się nowi, najrozmaitszych języków, wyznań i narodowości, spod anthosów najróżniejszych kratistosów — lecz Horror, jego teknitesi somy i psyche, jego strategosi i aresowie, jego hegemoni i leonidasi powoli a nieubłaganie ugniatali wszystkich żołnierzy do jednego kształtu. Szczegóły tego kształtu z czasem ulegały zmianie, bo zmieniała się tekne i metoda prowadzenia wojen, trzon pozostawał wszakże ten sam. Każdy w Horrorze zaczynał od najniższego szczebla i nawet jego najwyżsi dowódcy podlegali tej samej Formie. Mieściła się

w niej między innymi absolutna karność, lakademejski rygor diety i ćwiczeń oraz wierność wobec powziętych zobowiązań. Historia zanotowała przypadki odstępstw pojedynczych żołnierzy, lecz nigdy — Horroru jako Horroru. Pozostawali mu wierni siłą lakademonowego patriotyzmu, tyle że obejmującego Formę, nie kraj.

Horror przyjmował zarówno kontrakty krótko-, jak i długoterminowe. Po zakończeniu Wojen Kratistosów Rzym, chwilowo wyjęty spod protekcji jakiegokolwiek kratistosa, zawarł tak zwaną Wieczną Umowę, na mocy której Horror miał odtąd stanowić uzupełnienie i przeciwwagę dla uwikłanych politycznie Legionów; stanowił po dziś dzień. Umowy zawierały poszczególne Kolumny Horroru — jedenaście europejskich, siedem afrykańskich, siedem azjatyckich — nigdy wspólnie, aby żadna pojedyncza klęska nie mogła spowodować zniszczenia całej formacji. Kolumny nie zawsze operowały na własnym terenie: połowa Horroru Axumejskiego od kilkudziesięciu lat stacjonowała na Wyspach Brytyjskich. Nie zawsze też posiadały w swych kontraktach klauzulę pozwalającą im pod określonymi warunkami (na przykład braku konfliktu) przejść na służbę do suwerena oferującego wyższy żołd. A nawet jeśli — często wiązało się to z kilkumiesięcznym lub kilkuletnim okresem wypowiedzenia.

Strategos Berbelek wynajął wszystek Horror, jaki był aktualnie do wynajęcia. Stopniowo, w ciągu najbliższych trzynastu lat, znajdzie się pod jego rozkazami kilkadziesiąt tysięcy doborowego wojska. Tylko że on nie miał tych trzynastu lat. Liczył z frustracją każdy mijający dzień.

Kolenica musiała paść dzisiaj.

Minęli ostatnią linię okopów, behemoty osłaniały drogę do bramy. Jeśli był to ze strony Krypiera Cudzybrata jakiś rodzaj podstępu, teraz właśnie powinny się odezwać pyresidery grodu. Nic. Szli dalej. Aurelia posuwała się długimi susami u boku białego humija (płomienie furkotały za nią głośno, czerwone chorągwie). Nie spuszczała oka ze strategosa. Uśmiechał się krzywo pod nosem.

W Kolenicy odezwały się dzwony świątynne. Najpierw jeden, zaraz dołączył drugi i trzeci; wkrótce biły chyba wszystkie, to musiało zostać z góry zaplanowane.

Behemoty dotarły do nasypu pod bramą, podwójnym szeregiem gigantycznych cielsk osłaniając piechocie bezpieczne podejście pod mury. Żołnierze vistulscy z przyczółka zabramnego wychylili się zza muru i ruiny po

murze i poczęli dawać zbliżającemu się galopem strategosowi jakieś znaki, coś krzyczeli. Rzecz jasna, w całym tym hałasie ich słowa były nie do rozróżnienia.

W tym momencie Aurelia uniosła wzrok i spostrzegła poruszenie na blankach, za czwartą basztą, basztą południowo-wschodnią.

Wskazała je Berbelekowi ręką, ogniem i ruchem.

— Poddają się!

Kolenica wywiesiła białą flagę.

Vistulskie wojsko wszczęło radosny harmider. Strategos podniósł prawicę i trębacz dał długi sygnał na Gotój!, a setnik Horroru zagwizdał przeciągle. To również mógł być podstęp. Szli dalej.

Hieronim Berbelek wjechał do Kolenicy poprzedzony przez dwa największe behemoty, które do reszty zgruzowawszy południową bramę miasta i dookolny mur, zabrały się od razu za rozdeptywanie wysoko spiętrzonych barykad ulicznych.

Za oknami i na dachach okolicznych budynków mogła się kryć setka Moskwian z keraunetami. Strategos nie zsiadł, nie skrył się za barykadą Vistulczyków, każdy bez problemu mógł go ustrzelić, na białym humiju, w lśniącym napierśniku, z gołą głową i odkrytą twarzą, pod rodowym sztandarem, był widoczny i rozpoznawalny z daleka.

Nie strzelał nikt.

Od ocalałej po przejściu behemotów bocznej barykady podbiegł Seoc Nogacz, stary setnik gaelickiej piechoty.

— Nie ma ich, esthlos. Wycofali się kilkanaście minut temu, wszyscy. Tam stały kartaczownice — nic, zabrali ze sobą. Popatrz, esthlos!

Z lewej, z głębi najbliższej przecznicy wybiegł koń wierzchowy w pełnym rzędzie, z przywiązanym do łęku białym prześcieradłem. Podkute kopyta biły twardo o bruk. Zarżał, zakręcił w miejscu, pognał z powrotem, prześcieradło ciągnęło się za nim niczym tren.

Strategos zsiadł z humija. Skinął na Obola i Jannę.

— Wchodzić piechotą kwartał po kwartale. Najpierw mury i wieże — Seoc poprowadzi. Za mną Horror. Przerwać ostrzał. I niech ktoś powstrzyma tych szeolskich dzwonników! Idziemy.

Na ulicach ani żywego ducha. Chmury dymu z płonących dzielnic (północno-zachodniej, zachodniej) unosiły się na bezwietrznym nagle niebie niczym uwidy cmentarne; a szli mniej więcej w tamtym kierunku, pod dywan

popiołu, ku łunie pożarów. Aurelia wysunęła się o pół kroku przed strategosa. W tej pustce i bezruchu, w ciężkich cieniach wieczornych, w smrodzie ziemskiego miasta — odczytywała dziesiątki niejasnych gróźb, zagrożenia oczywiste i jedynie przeczuwane, dla siebie i dla niego. To już nie była wojna, to coś innego, coś więcej, tak się nie postępuje na wojnie.

Przypomniała sobie jedno z ulubionych powiedzeń ojca: „Nie wystarczy, że odniosę zwycięstwo. Moi wrogowie muszą jeszcze przegrać".

Strategos Berbelek szedł powoli (za nim czarne szeregi Horroru, najeżone podwójnymi, potrójnymi lufami i krzywymi ostrzami), rozglądając się na boki, przystając na każdym skrzyżowaniu. Trzymaną w lewej dłoni lornetą postukiwał o wysokie cholewy kawaleryjskich jugrów. Z ciekawością zaglądał w perspektywę mijanych przecznic. Musiał był dobrze zapamiętać te ulice. Uśmiechał się ironicznie.

Rynek. A w każdym razie plac, ku któremu zbiegają się ulice. Pośrodku dwie studnie o niskich cembrowinach. Przede wszystkim jednak — ludzie. Po raz pierwszy spotkali żywych obrońców Kolenicy.

Nie byli to zresztą sami koleniczanie, lecz żołnierze Uralu i Moskwy: kilkunastu zbrojnych przysiadłych na cembrowinach i stojących wokół nich. Więcej żołnierzy stało z tyłu, w dwóch wąskich uliczkach — paru na koniach, wszyscy z bronią w rękach. Aurelia wypatrywała sztandaru Aszawiły. Sytuacja była co najmniej dziwna, oni wszyscy zdawali się na coś czekać. Czyżby istotnie oczekiwali nadejścia Berbeleka?

Będzie się potem wielokrotnie zastanawiać: co tu się właściwie działo? Co się rozegrało w Kolenicy przed wejściem Berbeleka z wojskiem, że wszedłszy, zastali taką sytuację, jaką zastali, ten milczący, nieruchomy teatr wokół studni oraz gotowych do ucieczki żołnierzy ściśniętych w północnych ulicach? Co oni sobie powiedzieli, co pomyśleli, co robili — zanim zapadła kurtyna pełnej przerażenia ciszy?

To potem — wówczas bowiem Aurelia skoczyła przed strategosa bez zastanowienia, zasłaniając go w wirze ognia. Horror rozbiegł się w dwie strony, wlewając się w rynek pod ścianami budynków, wpadając do ich wnętrza przez okna i drzwi, rozległy się pierwsze strzały i krzyki ranionych, zabijanych, trzask niszczonych mebli, węglowi wojownicy wdzierali się coraz głębiej, zajmując kolejne domy, kolejne piętra —

Strategos na nic nie czekał, szedł ku studniom. Zebrani tam Moskwianie poderwali się na nogi — siedmiu mężczyzn, dwie kobiety — nadal bez sło-

wa i jakiegokolwiek gestu wyjaśnienia, rozbiegane oczy, niewyraźne miny, nieskoordynowane ruchy, łysy Uralczyk sięgnął po oparty o cembrowinę keraunet —

Aurelia skoczyła z zamachu epicykli biodrowych, spadła nań w obłoku czerwonego żaru, płaszcz Uralczyka stanął w płomieniach, zanim jeszcze rozpruła mężczyznę prawą wirkawicą wzdłuż kręgosłupa, a podniesiona orbita uranoizy lewego okółramiennika ścięła mu głowę.

Rozbiegli się na wszystkie strony, przewracając o cudze i własne stopy. Aurelia połamała pozostawione keraunety.

— Ty! — ryknął Berbelek.

Obejrzała się.

Wskazywał jednego z uciekających mężczyzn, wysokiego bruneta w zbroi zdobionej piórami fenixa; uciekał on tyłem, nie odwracając wzroku od Berbeleka, bardziej idąc, niż biegnąc, kroczek za kroczkiem — teraz stanął jak wmurowany.

— Ty! — ryknął powtórnie Berbelek i nawet Aurelię zdjął lęk. Podeszła wolno do strategosa, w uspokojonej zbroi i chłodnym płomieniu. Stanęła z tyłu, po prawej.

— Krypier! — syknął Berbelek i wskazał orękawicznioną prawicą pokryty popiołem bruk u swoich stóp.

Cudzybrat postąpił do przodu, stopa lewa, stopa prawa, raz i drugi — strategos nie opuścił wzroku, nie opuścił ręki — bliżej i bliżej, drżały mu wargi, chciał odwrócić spojrzenie od twarzy Berbeleka, ale nie mógł, więc tylko zaciskał pięści i trząsł się coraz silniej, po ostatnim kroku prawie się zatoczył, jakby opuściły go resztki sił, i padł przed Berbelekiem na kolana, z przeciągłym, zwierzęcym jękiem obejmując go za nogi i przyciskając do nich głowę, niżej, jeszcze niżej, aż w końcu całował, lizał, obśliniał ubłocone buty Berbeleka, a Berbelek spoglądał nań z góry w dziwnym zamyśleniu, Aurelia nie rozumiała, co oznacza ów lekki grymas, ironiczne wygięcie warg, uśmiech, nie uśmiech, co on czuje, gdy tak poklepuje Krypiera Cudzybrata po głowie i mruczy doń uspokajająco:

— Dobrze już, dobrze, taaak, wiem, Krypier, wiem, nie potrwa długo, nie będzie bolało, już, już, już.

Tej nocy po raz pierwszy nie spadł deszcz. Krypier Cudzybrat płonął aż do świtu.

Σ
Ferus, aereus, aethereus

„Łamichmur” przycumował do ostrogowego barbakanu już w nocy, domowników obudziły rozszczekane psy. Aurelia spała na pokładzie oroneigesowego aerostatu kamiennym snem, właśnie się dla niej zaczęła księżycowa noc, ciało domagało się wypoczynku, ciało i umysł, kilkuset godzin comiesięcznego letargu. W końcu obudzono ją przemocą, jako że strategos wysyłał „Łamichmura” z kolejną misją i trzeba było wszystkich pasażerów przenieść do ostrogowego dworu. Wtedy po raz pierwszy ujrzała rodowy majątek Berbeleków-z-Ostroga.

Ujrzała lasy. Kamienny barbakan, połączony powietrznym pomostem z resztką obronnego muru, zwrócony był na południowy wschód, bo tędy podchodziła na szczyt wzgórza droga prowadząca od rzeki i stawów, tu niegdyś znajdowała się brama i chroniące ją baszty. Teraz zaś ze wszystkich tych topornych fortyfikacji ostał się jedynie barbakan, i to do niego przymocowano sznurowe trapy i żelazne kotwice „Łamichmura”. W dryfie zwracał się zawsze aniołem przeciwko wiatrowi. Obudzono Aurelię po godzinie czwartej, wiało ze wschodu, gdy więc zeszła z prawej burty na szczyt barbakanu, ujrzała nieskończoną panoramę puszczy, ciągnącej się aż po południowy horyzont, po ledwie widoczną, zamgloną linię gór. O tej porze dnia słońce przebarwiało wszystko, kładąc miodowy blask na zieleń, zieleń i zieleń — Aurelia stała ponad morzem zieleni. Zaspana, ziewając, dała się poprowadzić wewnętrznymi schodami barbakanu, przez dziedziniec dworu i na piętro jego zachodniego skrzydła, gdzie bez słowa zapadła w pachnącą wiosną Ziemi pościel, zapadła na powrót w swój ognisty sen.

Po raz kolejny przebudziła się w środku nocy, ból pełnego pęcherza poderwał ją z łoża, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, co to za lodowe więzienie, dopiero dotknąwszy zimnej, ceglanej ściany przypomniała sobie Berbeleka, Ziemię i Ostróg. Wyszła na ciemny korytarz. Ugryzła się w język, zaswędziała ją skóra, w mdłym świetle własnego potu znalazła schody i drzwi prowadzące na tylne podwórze, tam zaraz zaczynał się półdziki sad

i niskie poszycie lasu. Zapewne były we dworze izby łaziebne i sanitarium, ale nie zamierzała ich szukać. Przykucnęła za niską wierzbą. Czerwona od pyru uryna przepaliła trawę, podniósł się ostry swąd. Wracając przez podwórze, spostrzegła ciemną sylwetkę na ławie pod ścianą dworu. Przystanęła, zacisnęła pięści, zrobiło się jaśniej. Na ławie siedziała stara kobieta, zawinięta w barwny szal; w siwych włosach lśnił koralowy grzebień. Patrzyła na Aurelię, mrużąc oczy. Teraz się poruszyła, lewą ręką wygładziła czarną spódnicę, prawą skinęła na Księżycankę; błysnął pierścień z błękitnym kamieniem.

Aurelia podeszła powoli.

Kobieta skinęła po raz drugi i Aurelia przyklękła przy ławie; teraz stara mogła się jej przyjrzeć, nie zadzierając głowy. Przesunęła zimnymi, kościstymi palcami po policzku Aurelii, bezwłosej czaszce, z powrotem po policzku, szyi, obojczyku, piersi, ramieniu. Gdzieś w głębi puszczy zawył wilk. Kobieta uśmiechnęła się ciepło; Aurelia odpowiedziała uśmiechem.

Stara odprawiła ją ruchem głowy.

— Za schodami, białe drzwi, czerwona futryna — powiedziała po grecku, gdy Aurelia była już do niej odwrócona plecami. Głos miała miękki i dźwięczny, omal dziewczęcy.

Po raz trzeci obudziła się Aurelia w Ostrogu w porze śniadania — zapachy gorących potraw wypełniały dwór na równi z promieniami porannego słońca, ślina zebrała się jej w ustach, ledwo wyszła z sanitarium za schodami. Wróciła do sypialni, by wrzucić na siebie jakieś odzienie. Okazało się, że podczas snu zabrano jej wszystkie ubrania, nawet buty i tę kurtę kawaleryjską, którą wygrała była od hurackiego setnika. Została tylko aetheryczna zbroja zamknięta w wahadłowej skrzyni. W kufrze pod łożem znalazła natomiast kilkanaście spódnic i sukni, niektóre z wyglądu bardzo drogie, pelerynę, futrzaną kamizelę, sandały i skórzane botki. Nigdy więcej zapewne nie będzie miała okazji czegoś takiego nosić — a wciąż drzemała w niej owa dziecięca ciekawość, pragnienie osobistego doświadczenia wszystkiego co inne — toteż wdziała jasnożółtą suknię o herdońskim kroju, z wysokim kołnierzem, długimi rękawami, zakrywającą piersi i ściskającą stan. Podwinęła rękawy za łokcie i zeszła do jadalni.

Śniadał tam król Kazimir IV.

— Kyrios.

— Wstań, Aurelia, wstań. — Strategos Berbelek siedział po prawicy króla.

Król nie posiadał żadnych regaliów, był w prostej, białej koszuli, ale wiedziała, że to Kazimir, znała jego twarz z rycin w gazetach vistulskich i gockich; i znała monarszą morfę.

— Z Księżyca, tak? — mruknął król, odkładając widelce.

— Podejdź, podejdź — machał na nią strategos.

— Kyrios.

Mrugała, wciąż rozespana, na wpół pogrążona w gorącym śnie — tak naprawdę przecież trwała noc. Jaką rozmowę im przerwała? Schodząc, słyszała głosy, ale nie rozumiała vistulskiego. Oprócz ich dwóch przy wysokim, dębowym stole siedział Antidektes oraz ponury brodacz z łańcuchem biurokraty na piersi. Za ich krzesłami stali służący w vistulskich barwach.

Król przyglądał się jej z uwagą, założywszy ręce na piersi, wydąwszy mięsiste wargi.

— Mówią mi, że żyjecie tam jak salamandry. Potrafisz może ziać ogniem?

Biurokrata nachylił się ku Kazimirowi.

— Esthlos…

— Co? — warknął król. — Chciałbym wiedzieć, za co kładę głowę. Ten kapitan, jakże mu, Połański, jeśli prawdę pisał w swoich raportach — przecież Illea nie posłała jej tu bez celu, ludzie już zaczynają mówić, jeszcze nie wiedzą, ale już mówią o Południcy i Pannie Popielnej, że od jej oddechu spłonęło pół Kolenicy i temu podobne — więc jeśli Illea może tu zrzucić armię takich — no jakże im?

— Hyppyroi.

— Hyppyroi. — Kazimir wyjął z rękawa chustę, wysmarkał nos. — A może? Powiedz mi — jakże ci?

— Ryter Aurelia Krzos, kyrios.

— Bo Hieronim opowiada mi tu różne straszne bajki, ale na razie to Czarnoksiężnika ja mam pod bokiem, a Illeę, o, na niebie.

— Niebo też zatruł — mruknął Antidektes, dosypując sobie makownicy.

Aurelia spojrzała na strategosa. Esthlos Berbelek wzruszył ramionami.

— Gdyby chciała, dawno już wszyscy leżelibyście u jej stóp — rzekła. — Kyrios — skłoniła głowę.

Król i biurokrata wymienili kilka zdań po vistulsku; włączył się strategos. Kazimir już po chwili walił pięścią w stół, aż podskakiwała srebrna zastawa. Służący odstąpili pod ściany. Nawet sofistes przestał jeść. Wtem strategos zaśmiał się i położył dłoń na ramieniu króla. Aurelia wstrzymała oddech. Król obrócił się do Berbeleka i zaczął mu coś cicho tłumaczyć. Esthlos Berbelek kiwał głową. Aurelia cofała się ku drzwiom. Król ponownie wysmarkał nos. Strategos rozsypał sól na dębowym blacie i jął w niej coś rysować czubkiem noża. Kazimir IV przypatrywał się temu z miną równie ponurą, jak mina dworskiego biurokraty. Aurelia wyszła, bose stopy nie wydawały dźwięku na starych parkietach.

W korytarzu dopadła ją Janna.

— Po coś tam lazła? — syczała, ciągnąc Aurelię za łokieć z powrotem ku zachodniemu skrzydłu. Aurelia dopiero teraz spostrzegła żołnierzy w królewskich barwach, rozstawionych przy schodach, przy drzwiach i w sieni, widocznych także na podwórzu. Grafitowa czerń horrornych mignęła jej tylko raz czy dwa; strategos zabrał był ze sobą w „Łamichmurze” jedynie dziesiątkę Hasera Obola. Minęły rząd wewnętrznych strzelnic. Na dziedzińcu dworu, w cieniu ruin murów fortecznych stały wysokie wozy królewskiej świty.

— I po coś się tak stroiła? Musieli cię wziąć za bogowie wiedzą kogo, że cię w ogóle wpuścili. Miałaś spać, nie? Teraz przecież śpisz.

— Gdzie tu są kuchnie?

— Czekaj, zaraz poślę po coś gorącego. Ale po coś tam lazła! — Janna nie mogła tego przetrawić; pokrzykując, szarpała nerwowo za opaskę na lewym oczodole. — Cóżeś im powiedziała? Wszystko możesz zepsuć!

— Niby co takiego?

Po rozsłonecznionym dziedzińcu, między wozami, biegały psy, rasowe i bezrasowe, podłej morfy kundle, z wywieszonymi ozorami, całe stado, wzbijając tumany kurzu i co chwila wybuchając wściekłym jazgotem — lecz to był właściwie jedyny ruch. Rozłożeni w cieniu żołnierze spali lub zdawali się spać. W bezwietrznym powietrzu drzewa stały nieruchome, ze zwieszonymi gałęziami. Jeszcze tylko małe poruszenie na niebie — Aurelia uniosła głowę — to bocian kołował nad barbakanem.

Usiadły przy kamiennym stole pod rozłożystym dębem. Złapana po drodze przez Jannę służąca przyniosła dzbaniec mleka i miodu, bochen chleba, michę pełną wędlin, drugą z parującym gulaszem i trzecią z zupą rybną.

— Co miałabyś zepsuć, co miałabyś zepsuć — zrzędziła Janna, krojąc zamaszyście chleb. — Najlepszy dowód, że sama nawet nie zdajesz sobie sprawy. Hej, czy ty w ogóle jesteś przytomna?

— Przepraszam, oczy mi się kleją.

— Mój Boże, ależ z ciebie jeszcze dziecko…

Aurelia prychnęła suchym dymem. Sadza opadła na doniesiony właśnie ser i jaja. Janna-z-Gniezna starła ją powoli kciukiem, który ocierała z kolei o rękaw bluzy, raz, dwa, trzy — poziome linie czerni.

— Dziecko, dziecko, dziecko. Nie wiem, jaką on rolę ci przeznaczył, ale więcej możesz zepsuć przez swoją ignorancję, więc — jedz, czemu nie jesz — więc przynajmniej ostrzegę cię na przyszłość.

— Mhm, przed czym? Skąd on się tu w ogóle wziął? Król Vistulii. Nie wiedziałam, że lecimy do Ostroga na spotkanie z nim; esthlos Berbelek miał wstąpić do domu. Strategos ma tu jeszcze jakąś rodzinę, prawda?

— Sądzisz, że po co mu było to zwycięstwo w Kolenicy?

— Przekonać Kazimira. Da mu wojsko, pójdą z Thorem na Czarnoksiężnika. Nie? No przecież dlatego.

— A spróbuj pomyśleć jak strategos. Spróbuj pomyśleć jak kratistos.

— Po co? Nie jestem nimi.

— Więc uwierz mi na słowo: mogłaś wszystko zepsuć.

— Król się zgodził.

— Co?

— Kazimir się zgodził na wszystko. A w każdym razie zgodzi się. Na pewno. Podaj mi ten — dziękuję. Zgodzi się, esthlos Berbelek już go naprostował.

— Ach. Tak. Naprostował. No proszę.

— Wątpiłaś? Pokona Czarnoksiężnika, pokona adynatosów.

Janna zaczęła rechotać, kręcąc i potrząsając głową, aż siwy warkocz zawinął się jej wokół szyi.

Aurelia skończyła zupę i poluzowała tasiemki herdońskiej sukni.

— Śmiejemy się.

— Naprawdę sądzisz, że takie są plany Hieronima?

— Przecież zbiera armie i sojuszników, organizuje ofensywę, zmawia kratistosów przeciwko adynatosom, byłam świadkiem.

— Pomyśl, głupia: z tego rośnie jego potęga, taka morfa się przed nim otworzyła — że nawet Illea z góry opłaca mu wojsko, jakie tylko sobie za-

życzył. Hieronim byłby idiotą, gdyby tego nie przyjął; i byłby skończonym idiotą, gdyby zaraz potem wszystko to odrzucił.

— Mhmmm, a zatem, powiadasz, plan jest taki: wyciągnąć z Pani jak najwięcej, zdobyć jak najlepszą pozycję i utrzymać ją za wszelką cenę. A reszta to zaledwie kłamstwa, porzucane w miarę zużycia.

— Nie wszyscy szukają tylko chwalebnej śmierci na polu bitwy. Są ryterzy i są ci, co ich w bój posyłają.

— Nie — odrzekła Aurelia. — Są ryterzy i są ci, za którymi ryterzy idą w bój. Ten Hieronim Berbelek, o którym mówisz — kogo by za sobą porwał, skąd czerpał siłę, jak zwyciężał? Przed czym miałby się ugiąć król Kazimir? W Formie opartej na kłamstwie nie ma siły. Dlaczego zdobył Kolenicę, dlaczego Cudzybrat się poddał? Zemsta była prawdziwa, nienawiść była prawdziwa.

Janna polała sobie chleb miodem i teraz oblizywała lepkie palce.

— Oszukiwali cię dotąd wielcy teknitesi psyche, dziewczyno — cmoknęła z politowaniem.

— O, ja wierzę, że to właśnie uważasz za prawdę! — Teraz to Aurelia się zaśmiała, zaiskrzyły jej oczy. — I być może esthlos Berbelek świadomie pozwolił ci tak myśleć. Czemu nie? Oszustwa są w tobie. Spytaj Antidektesa, na czym polegają najstraszliwsze choroby — lepra, gnilica, ospa, rak — skąd się w ludziach biorą. Nie pojawią się w człowieku silnej Formy. To soma odbija pęknięcie morfy i wewnętrzne szaleństwo, tkanki buntują się przeciwko tkankom. Tak kłamie ciało. Bo — odchyl tę opaskę, pokaż mi się. No dalej! Stać cię, dlaczego nie wynajęłaś teknitesa somy? Może żaden już nic nie może poradzić na tak krzywą Formę? Co? Kłamstwo jest w tobie.

Janna rzucała skrawki kiełbasy psom, zbiegły się pod dąb z całego dziedzińca, gryzły się i przepychały u jej stóp, co agresywniejsze odkopywała dalej od kamiennej ławy — lecz karmiła je nadal.

— No, no, no. Gorący charakterek; a może to już Światowid cię dotknął, jak tę staruchę? — Zmrużyła oczy w słońcu, które zaczynało już zaglądać pod gałęzie drzewa, i na twarzy przybyła jej setka nowych zmarszczek. — Stara Janna i młoda Aurelia. Kto ma rację? Bogowie rzucają kośćmi. Bogowie nie rzucają kośćmi. Przecież się wkrótce przekonamy, gdy Hieronim będzie musiał wybrać, postąpić tak lub tak. No więc jak? Ile postawisz?

— Czy ty mi proponujesz zakład?

— Aha.
— Nie chcę pieniędzy.
— Wiem. O jeden rozkaz.
— Jaki?
— Jakikolwiek.
— Nie. Złożyłam przysięgi.
— Zatem nic wbrew twoim przysięgom.
Aurelia otarła usta.
— Dobrze. I ty — jeden rozkaz.
— Jeden rozkaz.
— Wygnam cię do Herdonu, do Ziemi Gaudata.
— Tak, tak, na pewno. — Janna uśmiechnęła się krzywo. Cisnąwszy psom ostatni kawałek kiełbasy, uniosła wzrok. Aurelia ziewała szeroko.
— Aż tak znudzona?
— Muszę wracać do łóżka, padnę nosem w talerz. Dobranoc.

Obudziwszy się po raz czwarty, obudziła się na dobre. Król ze swymi ludźmi już wyjechał i dwór ostrogowy wydawał się pusty. Tak naprawdę ile osób mieszka tu na stałe? Po wyjeździe z kolei strategosa i ludzi strategosa — pozostanie tylko ta cisza i pustka, i zielone światło lasu. Obudziła się bowiem Aurelia w owej najcichszej godzinie tuż po świcie i chodziła pustymi korytarzami i wysokimi halami o ścianach ze starożytnego drewna (parter głównej części budynku wzniesiony został wyłącznie z drewna, na fundamentach z kamieni czarnych ze starości). Powietrze aż lśniło i drżało od wiosennego słońca, tryskającego przez każde okno, strzelnicę, szczelinę, jednak gdy Aurelia schodziła w cień tych ścian, które pamiętały narodziny i pierwszą śmierć Światowida, obejmował ją chłód prawie że dotykalny, chropowata materia chłodu, całun ciemnej wilgoci, oddech parował z jej ust i skraplał się natychmiast w tej parze. Tak, podług słów Antidektesa Alexandryjczyka, cefery aerowe obracają się w cefery hydorowe, arche gorące i wilgotne w arche zimne i wilgotne, albowiem nawet samożywioły rodzą się i umierają.

Z sieni obwieszonej łbami puszczańskich bestii wyszła na dziedziniec — w wirujące chmury przebudzonych owadów, w gorący blask — do sadu, do lasu. Oznaczoną wypalonymi w korze runami ścieżką zeszła wprost nad ostrogowe stawy rybne. Zarosłe zielonymi kożuchami tafle wody zdawały się płaskimi polanami rozciągniętymi między zwartymi szeregami drzew.

Kudłaty chłop kręcił leniwie sękatym drągiem w jednym ze stawów. Na widok Aurelii rozdziawił gębę, zamarł w pół ruchu, prawie wpadając za puszczonym drągiem w ciemną toń. Aurelia cofnęła się w las. Te drzewa — tu wszystko, co rośnie, rośnie dziko, nawet to, co sadzone i hodowane przez człowieka, jabłonie, pszenica, cebula: półdzikie, wyrywające się na wolność, ku formom prastarym, przedludzkim, bezcelowym. Tu, w głębokim anthosie Światowida.

Ledwie po kilkudziesięciu krokach, gdy światło przesieki zniknęło między pniami, utraciła zupełnie orientację. Szła tak, jak ją prowadziły pochyłości ziemi, splątane systemy korzenne, labirynty to gęstszego, to rzadszego poszycia. Już nie mogła unikać dotyku lasu, przedzierała się przez wilgotną zieleń, pajęczyny przylepiały się do jej skóry, zielsko obwijało wokół stóp. Wszystko to było tak zimne i mokre… Ziemia, znajdowała się na Ziemi, w świecie błota i chaosu. Ta sama morfa odbijała się wszak także i poza aurą Światowida — błoto i chaos, w ciałach i umysłach. Ludzie jacyś tacy niedorobieni, niedoformowani, roztelepani między morfą i morfą, bez linii prostych i ostrych krawędzi, nieustannie próbują pogodzić prawdę z kłamstwem. Czy tacy byliśmy niegdyś wszyscy, czy stamtąd przyszliśmy, stamtąd wydobyła nas Pani? Czy wszechświat narodził się z Kłamstwa…? A dąży do doskonałości, zastępując stopniowo niewiarygodne wiarygodnym, nieprawdziwe prawdziwym. Ewolucje i zmiany zakończą się w momencie dotarcia do Prawdy, która przecież może być tylko jedna, niezmienna. Tymczasem żyjemy w Kłamstwie, żyjemy Kłamstwem, żyjemy, bo Kłamiemy.

Potknęła się o kanciaste kamienie. Między omszałymi pniami otwierało się wyłożone płaskimi głazami wzniesienie. W jego środku — podeszła, pochyliła się — ustawiono głaz największy, ociosany w graniastosłup o gładkich bokach. Teraz oczywiście również porośniętych przez mech. Graniastosłup był wysoki na trzy pusy, do połowy jednak krył go stos zsypanego naokoło śmiecia. Rozgarnęła je stopą — jakieś kości, czaszki — przykucnęła — wszystkie identycznego kształtu, żuki i stonogi umykają przez puste oczodoły i pod żuchwami, gdy roztrąca szczątki — nie ludzkie, te czerepy są długie, wąskie, o niskich, płaskich czołach i kłach drapieżników — wilki? lisy? psy? Niektóre już zmurszałe, a niektóre, te na wierzchu, zaskakująco świeże, jeszcze z krwawymi przebarwieniami, nie do końca oczyszczone przez robactwo. Kto je tu znosi i w jakim celu? Usunęła je spod głazu,

uderzyła weń otwartą dłonią, potem starła spaleniznę. Jak przypuszczała, wykuto tu napis. Nie rozpoznała vistulskich słów, choć alfabet był łaciński. Tylko jedno rzuciło się jej w oczy: BERBELEK. To grób, stała na grobie. Znalazła arabskie cyfry: 1161 1179. Jakiś krewny strategosa. Szukała imion w bezpośrednim sąsiedztwie nazwiska. NADIJA. REGINA. SLUVA. A może po prostu vistulskie słowa, których nie rozumie. Strategos nigdy nie wspominał o nikim takim. Może inna gałąź rodziny? Ale czy ma w ogóle jakąś inną rodzinę?

Od grobu odchodziło kilka ścieżek, wybrała tę na pierwszy rzut oka najbardziej wydeptaną. Po kilkunastu minutach wyszła na brzeg rzeki. Błotnista skarpa schodziła stromo ku mętnej, żółtej wodzie. Ścieżka prowadziła w prawo, gdzie stadion dalej brzeg opadał ku szerokiemu brodowi, otwierającemu się po drugiej stronie rzeki w owalną polanę z kilkudziesięcioma drewnianymi chałupami. Jedna z wiosek ostrogowych, lenno Berbeleków. Dymiły już kominy, ludzie krzątali się między zabudowaniami. Aurelia weszła wyżej między drzewa i usiadła na obalonym pniu, wpółskryta za zaroślami. Stąd mogła się bezpiecznie przyglądać ziemskiemu życiu. Często było to jej główne i jedyne zajęcie, gdy tak podróżowała ze strategosem lądem, morzem i powietrzem po połowie globu — cofała się w cień i patrzyła, słuchała. Nic innego nie miała do roboty przez całe dni i noce. Choćby i chciała porozmawiać — i tak nikt by jej nie zrozumiał; nie rozumiał jej nikt, nawet spośród tych, co znali grekę.

Bo i z esthlosem Berbelekiem nie dane jej było się w Ostrogu zobaczyć. Natomiast przez Porte dowiedziała się, iż czekają już tylko na powrót „Łamichmura”, strategos ma umówione kolejne spotkania — również z królami? Haser Obol przebąkiwał o masowym przerzucie dwóch Kolumn afrykańskiego Horroru na granice Babilonu. Czyżby strategos istotnie szykował się do frontalnego ataku na Siedmiopalcego? Bez wsparcia Aegiptu, bez wsparcia izmaelitów efremowych i książąt Indusu, bez przymierza z Macedonią? A może już wsparcie takie uzyskał? Z czyichś ziem ten atak będzie musiał przeprowadzić. Z czyich? Czyżby liczył jednak na uległość Nabuchodonozora? I to teraz, gdy Hypatia trzyma w niewoli Lakatoię?

Nie to ją niepokoiło, że nie potrafiła przeniknąć planów strategosa, bo dlatego przecież był strategosem, że konstruował plany, których inni nie potrafili przeniknąć — lecz to, że przez te kilka dni od Aurelii przebudzenia do powrotu „Łamichmura” esthlos Berbelek ani razu się z nią nie zobaczył.

Przez moment nawet pomyślała, iż Janna-z-Gniezna może mieć rację — i zrozumienie, że w ogóle otworzyła się na taką myśl, wygnało Aurelię na kilkanaście godzin w ostrogowe puszcze, gdzie nie musiała znosić niczyjego wzroku, wstyd był tylko jej. Na Księżycu biegałaby z furią po spielnikach i pyrowiskach do ostatecznego zmęczenia ciała i umysłu; tu chodziła powoli ciemnymi ruczajami i wąwozami, bacząc, by nie wywołać pożaru. Spotkała kilkoro myśliwych. Znacznie więcej zapewne widziało ją, nie będąc przez nią widzianymi. Unosiła w powitaniu puste dłonie. Czy i tu opowiadano już o niej straszne bajki? Być może król Kazimir słusznie się domyślał. Gdyby wszak Pani jej zabroniła — głosem któregoś ze swych hegemonów — Aurelia nie poleciałaby z Berbelekiem. Zatem Pani c h c i a ł a, by Aurelia towarzyszyła na Ziemi Strategosowi Labiryntu.

Oni w Ostrogu jeszcze najczęściej ją widywali: myśliwi oraz zwierzęta — których, nie będąc nimrodem, nie potrafiła w porę dostrzec i rozpoznać, zwłaszcza drapieżników: lśniące ślepia w mroku i nagłe szelesty w zaroślach. Lasy Światowida pełne były zwierząt, dzikich, najdzikszych, o morfach nie tkniętych ludzką przemyślnością, bezcelowych, służących tylko celom Lasu. Zrozumiała wkrótce, że tego nie sposób rozdzielić — Światowida i lasu — że nie rozróżniali ich sami Vistulczycy. Natykała się na wykonane przez nich toporne rzeźby, słupy totemiczne jak osie obrotu rozpędzonej zieleni, wbijane tu i tam podług tajemnego planu, w niezmiennym wzorze od tysiącleci — pieczęć anthosu Światowida, lecz starsza od samego Światowida. Przypomniała sobie jedno z bluźnierstw Antidektesa: bogowie nie istnieją, lecz istnieją ich Formy, gotowe na wypełnienie przez pierwszą lepszą Potęgę, narodzone wraz z narodzinami człowieka.

We dworze, oprócz dziesięciu horrornych, Janny i strategosa ze służbą, chyba zresztą wcale nie opuszczającego swych pokoi we wschodnim skrzydle, rezydowało jedynie kilku starych Vistulczyków, z którymi Aurelia oczywiście nijak nie mogła się porozumieć. Od Porte wiedziała o jakiejś leciwej „pani dworu”, której komnaty znajdowały się tuż pod Hieronimowymi — to musiała być owa esthle, którą widziała nocy drugiego przebudzenia.

Spotkała ją jeszcze raz, w noc ostatnią.

Tuż po zmierzchu spadł deszcz; Księżyc przeglądał się w kałużach dziedzińca, przedziwny widok. Siedząc na kamiennym stole pod dębem, Aurelia jadła światowidowe gruszki i smakowała powietrze po nocnej ulewie —

wiedziała, że tego zapachu nie będzie w stanie opowiedzieć po powrocie do domu.

Pestkami gruszek pluła pod cembrowinę studni.

Siwowłosa esthle wyłoniła się z cienia sadu. Rękawy sukni podwinięte miała wysoko, ręce czarno ubrudzone, egzotyczna poświata Księżyca zagęszczała wszystkie kolory. Stara zatrzymała się przy studni, pchnęła żuraw, opuszczając wiadro w głąb, drewno zatrzeszczało głośno. Aurelia patrzyła w milczeniu. Esthle wyciągnęła cebrzyk i pochyliła się, by obmyć ręce. Wtedy Aurelia w końcu rozpoznała tę barwę, lśnienie tej czerni.

Zeskoczyła ze stołu.

Esthle obejrzała się na nią.

— To ty.

— Po to je tu trzymasz, całe stada psów.

— Aurelia, tak?

— Kto to był?

— Moja córka. Podejdź.

Aurelia podeszła.

Esthle otrzepała dłonie.

— Masz go strzec.

— Strzegę go.

— Nigdy już potem nie był sobą. Ją jedną kochał. Nie wierz w to, co teraz o nim mówią.

— Kim —

— Esthle Orlanda Sluva z Moskwy. Ale umrę tutaj, w Ostrogu.

Zsunęła w dół rękawy sukni, odstawiła wiadro. Z bliska Aurelia widziała liczne ciemne plamy na pofałdowanym materiale, cała suknia była pokrwawiona — zapewne tak samo jak podczas pierwszego ich spotkania, wówczas jednak Aurelia nie zwróciła uwagi.

— To nic nie pomoże, esthle.

Esthle Orlanda już nawet nie patrzyła na Księżycankę.

— Rozszarpały ją — nuciła stara swym dziewczęcym głosem. — Nauczył ją polować, zabierał ze sobą, myślałam, że…

— Tak?

— Wszystko się zmieniło. — Zamrugała. — Popatrz. Palisz się.

— Esthle.

— Masz go strzec, on tu kiedyś wróci, już po mojej śmierci, ale wróci do siebie, nikt nie rodzi się strategosem, moja Aurelio, nikt nie rodzi się victorem i tyranem.

— Toż musiałbym być szaleńcem! Po tym, co przeżyliśmy nad Lodem…! — zakrzyknął Omixos Żarnik. — Popatrz na te ptaki, esthlos. Jeśli zejdziemy jeszcze niżej, aether nie wytrzyma, łódź mi się rozpadnie.

— Przecież cumowałeś już nawet na powierzchni Ziemi, po kilkanaście godzin — zauważył strategos Berbelek. — Nad Lodem też zeszedłeś na pół stadionu.

— I drugi raz nie popełnię tego błędu — stwierdził hegemon „Urkai".

Aurelia spojrzała w dół przez uranoizową podłogę kajuty hegemona w głowie „Urkai". Wirujący korpus łodzi (skrzydła złożone, ogon wyprostowany) dzieliło od pstrokatej dżungli prawie dwa stadiony. Lecieli z południowego zachodu. Jeśli wierzyć mapom strategosa — popękane pergalony esthlosa Berbeleka przesłaniały połowę krajobrazu — jeśli im wierzyć, znajdowali się dokładnie nad geograficznym centrum Afrykańskiego Skoliodoi, pięćset stadionów na południe od Żółwiej Rzeki, osiem tysięcy od wybrzeża Zachodniego Okeanosu. Położenie owego centrum dało się z tej wysokości dosyć dobrze ocenić gołym okiem, albowiem wraz z postępującym Skrzywieniem dżungla traciła formę dżungli i już nawet nie dominowała w niej zieleń, w istocie nie dominował żaden kolor, spoglądali z przestworzy na jakąś chaotyczną mieszaninę wszystkich możliwych barw i odcieni, bolesny dla oczu bełkot światła. Czy tam w ogóle jeszcze rosły jakiekolwiek drzewa? Nie sposób powiedzieć. Skały, rośliny, zwierzęta, woda, ogień, ruch czy bezruch, kształt czy koniec kształtu, obłoki twardego powietrza czy budowle i rzeźby z dymu i płomienia — przymrużysz lewe oko, widzisz co innego, przymrużysz prawe oko, widzisz co innego, zamkniesz obydwa, o, może to jest prawda!

Którą to już godzinę tak lecieli po niebie ponad Skoliodoi, wstrząsani porywami gwałtownych wiatrów wypluwanych ze Skrzywienia, zakręcając powoli podług energicznych wskazówek strategosa, trochę bardziej na północ, trochę bardziej na wschód — tu, tu, patrzcie, tu rozegra się bitwa najcięższa, oblężenie. Aurelia przyciskała czoło do ciepłego aetheru, wyciągnięta na nagiej podłodze, osłaniając oczy dłońmi, by zajrzeć głębiej w ko-

lorowy chaos pod „Urkają”. Zaiste, nie mogło być porównania do Skoliodoi Lodowego czy do tych kilku znacznie słabszych adynatosowych przyczółków wykrytych na samotnych wysepkach Okeanosu Wschodniego i Zachodniego, niekiedy tak małych, że nie posiadających nazwy i nie opisanych przy żadnych żeglarskich szlakach. Na pytanie, skąd zatem ma tak precyzyjne mapy okeanosowej Skoliozy, strategos wyznał, że sporządziła je już kilka lat temu Panna Wieczorna, opierając się na zebranych przez siebie doniesieniach o nowych potworach morskich i uzyskanej od pilotów okeanosowych wiedzy o prądach; to dlatego odwiedzała była wszystkie największe porty Europy. Aurelii dopiero po chwili przyszło do głowy, że kakomorf, który zaatakował okręty szczurów, nie musiał być więc dla esthlosa Berbeleka zaskoczeniem; że esthlos Berbelek najprawdopodobniej celowo wybrał był takie miejsce ich spotkania. Miał mapy.

„Urkaja” wzbijała się do sfer aetheru, rozkładała skrzydła, dawała się porwać epicyklom uranoizy i ponownie zwijała skrzydła, okrążywszy Ziemię do nowej destynacji — tak spadali ku oślepiająco białemu Lodowi Południowemu, ku zielonym otchłaniom Okeanosu, ku żółtym piaskom Afryki.

Skoliodoi Lodu to jedna wielka burza śnieżna, rozpędzony na kilkuset stadionach biały wir, przesłaniający ziemię, lód i to, co na lodzie. Łódź księżycowa zeszła tuż nad ów wir, było to prawie jak starcie z anairesem, drobne, ostre odłamki zmarzliny wbijały się w aetheryczny pancerz „Urkai”: nieustanne trrrrrrsztrukkk, jakby szorowali burtami po grzbietach lodowych raf; wszystkich we wnętrzu łodzi przechodziły dreszcze. Po powrocie do sfery niebieskiej Aurelia wraz z wujem i gwiezdnymi nawigatorami wyszła w aether, by przyjrzeć się poczynionym szkodom. Powierzchnia uranoizowego kadłuba, normalnie gładka jak lico młodej perły, przypominała teraz żużlowy spiek, blizna zachodziła na bliznę, gdzie nie spojrzeć, gdzie nie dotknąć — rysy, szczerby, bruzdy. Co gorsza, zetknięcie z adynatosową demorfą zostawiło swój ślad także w samej konstrukcji łodzi, w spójności jej mekanizmów i precyzji wiecznomakin: tu i tam, jedno i drugie drobne skrzywienie orbity, zwiększenie lub zmniejszenie epicyklu, podczas gdy różnica nakłada się na różnicę i skrzywienie się kumuluje… Omixos był przerażony. Spędzili na orbicie Ziemi blisko tydzień, mekanikosi „Urkai” cierpliwie stroili aether łodzi. Aurelia wykorzystała okazję, by dostroić swoją zbroję. Zajęcie miał także pokładowy medyk: prawie wszyscy doulosi „Podgwiezdnej” cierpieli na skutek zetknięcia z Lodowym Skolio-

doi na rozmaite kakomorfie: zamarznięte gałki oczne, topiące się paznokcie i zęby, nie dawał im spokoju ciągły ból stawów, języki przymarzały im do podniebień, na koniec jedna z niewolnic zmarła; sofistes rozciął potem zwłoki, ujawniając płuca pełne śniegu i czerwony sopel przebijający serce. Hegemon Żarnik z góry stanowczo odmówił podejmowania kolejnych prób tak bliskiego podchodzenia do miejsc desantu adynatosów. Raczej nie należy oczekiwać, że strategos zdoła go teraz przekonać lub że okaże się na tyle głupi, by wydać taki rozkaz.

Nawet do tych bezludnych wysp pośrodku Okeanosu nie schodziła „Urkaja" bliżej niż na stadion. Antidektes bardzo chciał zejść osobiście na ich brzeg i przyjrzeć się, jak to mówił, „Skoliodoi nienarodzonemu", „adynatosom nagim i bezbronnym". Ale nie otrzymał zgody. Okrążali wyspy w bezpiecznej odległości. Chociaż czy była ona naprawdę bezpieczna — tego nigdy nie mogli z góry stwierdzić. Wyspa leżąca w dziesiątym liściu zachodnim stanowiła siedlisko latających ryb, hydorowo-aerowe kakomorfy szybowały gęstymi ławicami. Wyroiwszy się z podmorskich legowisk w rafach otaczających atol, przebijały z szumem taflę wody i wypryskiwały złoto-błękitną fontanną w niebo, setki, tysiące aeryb, łuski błyskały oślepiająco w tropikalnym słońcu, gdy ławica zakreślała na niebie skomplikowaną spiralę. Raz napotkała na swej drodze kilkanaście mew, trfuch, i po mewach ujrzeli tylko spadający do morza obłok skrwawionego pierza. Ryter Żarnik od razu podniósł „Urkaję" o kolejny stadion.

Strategosowi i sofistesowi pozostało obserwować wyspy przez lunety. Potężne księżycowe opticum, zamontowane w głowie łodzi, pozwalało zniwelować tę odległość, lecz przecież nadal było to spojrzenie z zewnątrz, nie pozwalające na wejrzenie do środka Skoliodoi, na ujrzenie jego prawdziwej postaci — widzieli jedynie ten pozorny chaos, jak migotanie powierzchni okeanosu. — Dopóki jej nie przebijesz, nie zanurzysz się i nie otworzysz oczu pod wodą — mówił Antidektes — nie poznasz prawdy o życiu okeanosu, oślepiony przez słoneczne refleksy, pisać będziesz durne rozprawy o kształcie fal i kolorach bałwanów. — Antidektes gotów był zejść nawet w Skoliodoi Lodu.

Chciał przeprowadzać rozmaite eksperymenty. Jeszcze w Vistulii kupił kilkadziesiąt zwierząt w drewnianych klatkach — kur, kotów, psów, węży i gryzoni — i zabrał je ze sobą na „Urkaję". Aurelia przypomniała sobie, ile kłopotu było z ich przeniesieniem z „Łamichmura" na „Urkaję". Oroneige-

sowy aerostat i łódź księżycowa spotkały się w umówionym punkcie, pięćdziesiąt stadionów nad dachami Uuk. Była ciemna noc, światła miasta przesłonięte przez chmury, światło Księżyca w trzeciej kwadrze też słabe i blade. Zimny wiatr zawodził na wysokościach. Między oroneigesową wieżą i aetherowym skorpionem przeciągnięto tuziny lin i sieci. Do skorpiona można było wejść jedynie przez otwór w jego głowie, tak zatem wycelowano anioła, jego kosa lśniła zimnym błękitem, aether „Podgwiezdnej" płonął niebieskim blaskiem. Z okien i balkonów minaretu wychylali się Oronejczycy z pochodniami i lampami w rękach, wiatr gasił płomienie, zapalano je od nowa, kołysał okrętami, to zbliżając je do siebie, to oddalając, sieci się napinały, by zaraz zapaść się głęboko w tę szczelinę światła i mroku między aniołem i skorpionem, a wicher porywał przekleństwa i trwożliwe okrzyki przechodzących po sznurowych pomostach. I rzeczywiście, jeden z niewolników strategosa podczas przesiadki spadł z rozciągniętej między okrętami sieci i zniknął z wrzaskiem w wietrznej ciemności. Przenosił klatkę ze szczurami i szczury spadły razem z nim. Antidektes klął i złorzeczył.

Wiedział był, że „Urkaja" poleci nad Skoliodoi, przygotował sobie cały plan.

— Powróz likotowy, trzy stadiony długości — pokazywał Aurelii. — Na pewno wystarczy. Będę je spuszczał w samo serce Skrzywienia. Mam najlepszy zegar cygański, powinien wytrzymać, zapiszę wszystko co do minuty. Jakie zmiany po jakim czasie, i gdy powtórzę, w jakim oddaleniu od centrum, czy szybciej, czy wolniej — tak wykreślę precyzyjne mapy natężenia arretesowej morfy. Gdyby przeprowadzać te badania co tydzień, co miesiąc, a choćby co rok, zyskalibyśmy także konkretną, to znaczy wyrażalną numerologicznie, wiedzę o sile i tempie rozszerzania się Skoliozy, a po kilku latach — nawet o możliwej zmianie tego tempa, przyśpieszeniu lub zwolnieniu. Że mógłbym wyliczyć, czy i kiedy nadejdzie taki dzień, gdy istotnie nieludzka Forma obejmie całą Ziemię: Skoliodoi połączy się ze Skoliodoi i ostatnia wysepka starego świata, z górami, rzekami, łąkami, kwiatami, zwierzętami i ludźmi, ich miastami, rzemiosłami i sztukami, historią, językami i religiami — zostanie pochłonięta. Kilka klatek ze zwierzętami. Pomóż mi.

Ale koniec końców nie miał okazji przeprowadzić żadnego eksperymentu. Gdy po zejściu nad Lód Południowy „Urkaja" wróciła na kilka dni do sfery niebieskiej i okrążała Ziemię w tradycyjnym epicyklu dryfu, podhal-

sowała do niej z księżycowej sfery „Eloa”: łódź Pani, wielka ćma czarnego aetheru. Złożyła gigantyczne skrzydła, przyśpieszając tym samym wirowanie długiego, obłego korpusu, i zbliżyła się swym idealnie kulistym łbem do białej głowy skorpiona. Złączyły się w aetherycznym pocałunku, światło przepłynęło do światła, zadrżał jadowy ogon i ciężki odwłok. Na pokład „Urkai” wszedł Hierokharis, Pierwszy Hyppyres, Hegemon Księżyca. Dla Aurelii było to oczywiście wielkie wydarzenie, dotąd tylko kilka razy widziała głównodowodzącego hyppyroi, wnuka Pani, nigdy z bliska, nigdy on sam nie zwrócił na nią swego spojrzenia. I tym razem zniknął zaraz ze strategosem Berbelekiem w kajutach Omixosa, omawiali przez długie godziny plany kampanii; Aurelii znowu nie dopuszczono do sekretu.

Została na zewnątrz, symboliczny strażnik, w przejściu prowadzącym do wewnętrznego szkieletu „Urkai”. Stąd widziała, jak pokładowi doulosi przenoszą z łodzi na łódź dobytek Antidektesa — oto spełniało się największe marzenie starego sofistesa, poleci na Księżyc, otworzą się przed nim wrota Biblioteki Labiryntu. Aczkolwiek stojąc teraz z boku i nadzorując tę przeprowadzkę, nie miał najszczęśliwszej miny.

— Zwierzęta zostawiam, wyrzućcie, jeśli będą zawadzać. Szkoda, że już nie sprawdzę mych hipotez.

Żuł w zamyśleniu ziarna qahwy. Aurelia podążyła za jego spojrzeniem. Patrzył pod nogi, gdzie za rozpędzoną aetheryczną burtą „Podgwiezdnej” płonął oślepiającą zielenią wąski sierp Ziemi: skrawek Azji, Wschodniego Okeanosu i Ziemi Gaudata. Aurelia przypomniała sobie, jak sama spoglądała na oddalającą się tarczę Księżyca, gdy opuszczała jego sferę dwa i pół roku temu wraz z esthlosem Berbelekiem. Naszła ją przykra myśl, że w istocie wcale się tak bardzo nie różni od Antidektesa Alexandryjczyka, że poruszają nimi te same daimoniony, nim być może potężniejszy, skoro gotów jest dla boskiej ciekawości opuścić swój świat na zawsze. Dotąd nie darzyła go wielką sympatią: wiedział, kim ona jest, i od początku traktował ją z pogardą, utrzymując Aurelię na dystans. Dopiero po jakimś czasie pojęła, że tak zachowywał się wobec prawie wszystkich. Co oczywiście nie czyniło go bardziej sympatycznym. Z różnych uwag rzucanych przez strategosa domyśliła się historii Antidektesa: był przekupny, miał wielu politycznych wrogów, był przekupny i był zadłużony, kończył mu się czas. Z drugiej strony, nie sprzedał się esthlosowi Berbelekowi za pieniądze. Chociaż istotnie na Księżycu wierzyciele już go nie dopadną.

— Ale nie wierzyłeś naprawdę w to wszystko, co im opowiadałeś — pół stwierdziła, pół spytała. Sofistes nie uniósł wzroku. Aurelia myślała sobie tak: to najpewniej ostatni raz, gdy go widzę, strategosowi też nie jest już potrzebny, mogę mówić, co chcę. — Ciekawe, w jakiej części zofia, te wszystkie mądrości zgromadzone w wielkich bibliotekach, w jakiej części stanowią one owoc podobnych zamówień.

Uśmiechnął się pod nosem.

— Za mądrości się płaci, to oczywiste. Gorzej, gdy płacą za głupoty. — Wrzucił do ust kolejne ziarno. — Pytasz, czy mówiłem im prawdę. Nie wiem, jaka jest prawda, więc na pewno też nie kłamałem.

— Kłamałeś, gdy mówiłeś, że wiesz.

— Czyżbyś nie popierała planu swego strategosa?

— Adynatosów trzeba zniszczyć.

— Ale Czarnoksiężnik biedna ofiara?

— Nie on jednak sprowadził adynatosów. Prawda?

Antidektes spojrzał na nią ze złośliwą satysfakcją.

— Jak ja lubię tak zagorzałych miłośników prawdy! Trzymałem sobie zawsze kilku w akademei i gdy psuł mi się humor, szedłem i zadawałem jakieś proste pytanie, w rodzaju: „czym jest byt?”, albo „czym jest dobro?”, albo „kto jest twoim przyjacielem?” Od razu mi się poprawiało. — Rozgryzł i wypluł qahwę. — Chcesz wiedzieć, w co wierzyłem, a czego im nie mówiłem? Nie chcesz. Skąd adynatosi mogli powziąć zainteresowanie sferami ziemskimi? Co takiego mogli ujrzeć, poczuć tam, poza sferą gwiazd stałych, że wzbudziło to ich ciekawość i przywiodło do nas? Porządek jest niezmienną harmonią; to, co powtarzalne, nie budzi zdumienia, milionkrotny bieg Słońca wokół Ziemi nie stanowi żadnego wydarzenia. Znakiem jest zmiana, znakiem jest nieregularność, znakiem jest złamanie harmonii. Pięćset czterdzieści lat temu kratista Illea Kollotropyjska opuściła sferę Ziemi i osiadła na Księżycu. Dzisiaj macie tam całe miasta, świat zamknięty w swojej własnej hierarchii sfer, drugi porządek, nakładający się na porządek sfer Ziemi, drugi środek kosmosu, ku któremu układają się żywioły. Posłuchaj tej muzyki. Słyszysz, jak to brzmi? Święty rytm, odwieczna melodia rozdarta przez narastający z każdym wiekiem dysonans, zgrzyt idący przez całe niebo. Trrrrrrrrrr! To właśnie usłyszeli, to właśnie poczuli — że ktoś, coś rozbija porządek tych sfer — i przylecieli. A dokąd? Gdzie nastąpiło pierwsze spotkanie, pierwsza bitwa? Czy nie zachowują się w istocie

jak medyk, usiłujący znaleźć źródło choroby? Dokąd się skierowali przede wszystkim? Strategos mówił, że trzymacie tam nawet jeńca. Taak. Ona musi się przynajmniej domyślać, czyja to wina. Oczywiście, że chce za wszelką cenę ich przegnać.

— Milcz.

— Teraz mi powiedz, Płomienna: czy kłamię? Czy kłamię? Czy ja kłamię? No? Żegnam.

Aurelia wyrzuciła w aether klatki ze zwierzętami i resztę rzeczy pozostawionych przez sofistesa, gdy tylko „Eloa" z nim na pokładzie rozłożyła czarne skrzydła i na powrót wzbiła się do Księżyca. Teraz Aurelia trochę żałowała, byłaby dobra okazja spuścić kurę czy psa w ten rozgotowany bulion kolorów i form. Czynić rygorystycznych obserwacji i eksperymentów ponawianych w regularnych seriach nie miała ochoty, lecz przydałoby się sprawdzić, jaka właściwie jest siła tego Skrzywienia. Przyjdzie im przecież stoczyć bój pod arretesowym anthosem — im: hyppyroi — w tej wojnie zetrą się ludzie z tym, co nieludzkie, a w pierwszym szeregu staną Jeźdźcy Ognia — jeśli nie na Ziemi, to w aetherze na pewno, nie w tym roku, to w następnym, nie pod strategosem Berbelekiem, to pod innym hegemonem. Czuła, że ta bitwa została jej przeznaczona, że urodziła się dla tej bitwy.

Za jej plecami (nie podnosiła głowy nad uranoizową podłogę) Omixos dyskutował z esthlosem strategię ofensywy.

— Lód Południowy i te wyspy okeanosowe są rzeczywiście na tyle oddalone i odseparowane od zamieszkanych ziem, że trudno przeprowadzić na nie jakikolwiek skoordynowany atak — mówił Omixos. — Ale też nie ma potrzeby go przeprowadzać — póki właśnie pozostają odseparowane. Oni rzeczywiście wybierali miejsca o minimalnej szansie kontaktu z cywilizacją, przyczółki dobrze ukryte.

— Ale tu, ale to — już dotyka Złotych Królestw, odciska się na Axum, Aegipcie, Huratii. Stąd mogą wyprowadzić bezpośredni szturm i tu są najsilniejsi. Tu, w Afryce m u s i m y uderzyć.

— Wiem, esthlos, wiem. No ale — sam widzisz.

Minęli już środek Skoliodoi, zmierzali ku Żółwiej Rzece. Aurelia obserwowała, jak zmieniają się pod „Urkają" barwy i formy nie-dżungli — jak się nie zmieniają, dla zmiany trzeba bowiem złamania jakiejś regularności, a gdzie nie ma żadnej regularności lub gdzie regularność jest tak porażająco absolutna, o żadnej zmianie nie może być mowy. Strategos wspominał jej

o „mieście adynatosów”, o plotkach roznoszonych przez miejscowych dzikusów — plotkach o wielkich konstrukcjach, sztucznych tworach, budowlach wzniesionych w głębi Krzywych Krain. Wypatrywała czegokolwiek, co przebija powierzchnię wrzącej kakomorfii. I istotnie, zdarzały się od czasu do czasu odstępstwa od jednolitej pstrokacizny amorficznej dziczy, obiekty wychylające ponad, drobne różnice: coś jakby skała, coś jakby kość, coś jakby łuk wodny, coś jakby noc, coś jakby stojące tornado, a noc w jego wnętrzu — przelecieli ponad i zajrzała. Czasami przemykały nad Skoliodoi ptaki. Oczywiście kakomorfy, ale jeszcze na tyle przypominające ptaki — posiadały skrzydła, a niekiedy i dziób — że można je było przypisać tej Formie. Obserwowała pilnie ich lot. Jeśli schodziły nazbyt nisko, zmieniały się w locie w inną Formę, większość spadła w nie-dżunglę jak kamień — może istotnie skamieniawszy. Raz ujrzała zaś proces odwrotny: fragment nieruchomej żółto-czerwono-czarnej kakomorfii zmienił się wtem w cieniu „Urkai” w skrzydlatego żółwia i wzbił się w powietrze; zaraz skrzydła obróciły mu się w tęczowe meduzy, a skorupa zaczęła dymić, i kakomorf z powrotem runął w Skoliodoi.

— Walki w dżungli — nie ma nic gorszego. I jak ich otoczyć? Skąd wyjdziesz, esthlos? Z Axum?

— Złote Królestwa otworzą się przed każdą wystarczająco silną armią. Oczywiście, również Axum, trzeba będzie pójść od wschodu, Efrem pójdzie. Pokaż no tę mapę. Widzisz, jak układają się góry, rzeki i pustynie? Pójdziemy, o, stąd i stąd, tak.

— Zepchnąć ich do Zachodniego Okeanosu.

— Tak.

— Ale spójrz na same odległości. Dziesiątki tysięcy stadionów. Pory suche, pory deszczowe, linie zaopatrzeniowe, na litość Pani, samo zaopatrzenie to problem godny Odyseusza. Mówisz o kampanii na miarę Alexandra, esthlos.

— Tak. To potrwa, wiem. Zapewne znacznie dłużej niż wojna w aetherze.

— No i ta dżungla… Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Popatrz: ktokolwiek w to wejdzie —

— Myślałem o tym. Szukałem rozwiązań. Konsultowałem się z astromekanikami Labiryntu. Hierokharis przywiózł mi najnowsze obliczenia. Wy na Księżycu wywołujecie w ten sposób sztuczne pyrowniki, ściągacie je

bezpiecznie na pustkowia. Wyładowania ze spięcia epicykli Ognia, pioruny czystego pyru wprost ze sfer niebieskich. Gdyby się udało…

— Zamierzasz spalić pół Afryki.

— Wyżegać Skoliodoi.

— Kyrios…

— Wiem. Dlatego Pani chce, bym ja podejmował decyzje. Ale to nie jest takie proste: sofistes Aker Numizmatyk twierdzi, że najpierw trzeba by z powrotem objąć te krainy ziemską morfą, położyć tu anthos starego porządku, gdzie ogień się pali, woda płynie, a powietrze roznosi płomienie, inaczej mogę walić pyrownikami do woli i nie spalę ni źdźbła trawy. Bo też tam nie ma już trawy. Ofensywa musi pójść tak czy owak. Teraz patrz. Sprawdzisz mi następujące trasy.

Aurelia słyszała tę rozmowę i rozumiała słowa, lecz żadne wyobrażenia nie były już w stanie wywołać u niej silniejszej reakcji emocjonalnej. Kosmiczne pioruny palące pół kontynentu — to z pewnością będzie piękne i straszne widowisko.

Znów czuła się jak mała dziewczynka przysłuchująca się w ukryciu za żywopłotami żar-gaju rozmowom dorosłych, fascynującym opowieściom hyppyroi o bitwach staczanych z anairesami po Drugiej Stronie i o długich żeglugach przez wysoki aether, do sfery Merkurego, Wenus, do palącego Słońca, świętej sfery hyppyroi, gdzie niektórzy ryterzy pyru popadają w obłęd, dopada ich śmiertelna tęsknota, przypinają do zbroi ikarosy i lecą prosto w Słońce, nie da się ich powstrzymać, to głos ognistej krwi… Przerażające, fascynujące, niezrozumiałe opowieści, powtarzane szeptem między dziećmi i odradzające się potem w stugodzinnych snach małej Aurelii, księżycowych snach, które są jak pieśń Homera, jeden raz je prześnić to za mało. Wiedziała, że w następnym miesiącu przyśni się jej bitwa w afrykańskiej nie-dżungli i Dzeusowy pyrownik spadający z nocnego nieba na tę skłębioną wełnę kakomorfii, która przesuwa się teraz pod wirburtą „Urkai”.

Ich głosy docierają z drugiego brzegu snu na jawie.

— Potem polecisz bezpośrednio nad Amidę, jak się umawialiśmy. Te orbitalne mapy Zauralia nie są w tej chwili najważniejsze. Wszystko jasne?

— Tak, esthlos.

— Za ile będziemy nad tą oazą? On już tam czeka.

— Wyskoczymy do aetheru, złapiemy silny epicykl północny, trzy godziny, esthlos.

— Więc już. Rozkazy!

Aurelia patrzyła, jak skąpane w słońcu Skoliodoi oddala się od nich, ucieka w dół spod uranoizowego pancerza wznoszącej się łodzi, i dziwną rzecz wówczas zauważyła: wzrok obejmował coraz większe przestrzenie, zmieniała się skala postrzeganego chaosu, lecz gdyby nie znaki zewnętrzne — krzywizna horyzontu, drżenie powietrza, wreszcie chmury — nie byłaby w stanie tego stwierdzić. Skoliodoi pozostawało takie samo, z jakiejkolwiek wysokości widziane, w jakiejkolwiek mierze rozciągnięte były fale jego kakomorfii — pusów, stadionów czy setek stadionów. Ta sama, nieodróżnialna, bezimienna aforma.

Z nawiedzonego na krótko aetheru spadli potem na powrót w sfery pyru i aeru, i znowu pyru, jak się wydawało Aurelii, gdy wirująca „Podgwiezdna”, ze złożonymi skrzydłami i wyciągniętymi w przód skorpionowymi szczypcami, mknęła ponad nieskończonością białego piasku, ponad północną Sadarą, najstarszą w niej pustynią, całą aż rozdygotaną od wydalanego żaru. Aurelia czekała końca tej monotonii symetrycznych diun i cieni ich zboczy — cieni coraz dłuższych, w miarę jak Słońce opadało do poziomu lewego ramienia skorpiona. Purpurowe promienie prześwietlały rozpędzony aether.

Oaza Zazdrosnego Szkieletu znajdowała się na samej granicy dzikiej Sadary, na granicy anthosu Nabuchodonozora Złotego, 3000 stadionów na południowy zachód od Alexandrii. Strategos Berbelek wybrał ją na miejsce spotkania, ponieważ od czasu Wygnania Illei nie przechodziły tędy żadne szlaki handlowe i można się było nie obawiać przypadkowych świadków. W istocie Oaza Zazdrosnego Szkieletu to była jedna podpiaskowa studnia, jeden starożytny pylon, obalony, na wpół zagrzebany i oszlifowany przez wiatry i dżinny do kościanej gładkości, oraz skupisko kilkudziesięciu porowatych głazów. Za Illei rosły tu palmy, zieleniła się trawa, śpiewały ptaki — nie pozostał po tym ślad.

„Urkaja” przycumowała do szczytu pylonu, wbiła skorpioni ogon w ziemię. Z pyska łodzi spuszczono likotowe sieci. Aurelia schodziła przed strategosem. Zeskoczyła na gorący piasek, wbijając się weń po kostki. Ludzie stojący przed rozstawionymi między głazami namiotami przyglądali się w milczeniu, osłaniając oczy przed błękitnym światłem łodzi księżycowej, niektórzy czynili gesty oduroczne, inni pluli w piasek; Negrowie zaś, któ-

rych w oddzielnym obozie za głazami było kilka tuzinów, przykucnęli, unosząc swoje skórzane tarcze.

Aurelia nie czekała, aż z „Podgwiezdnej” spuszczą bagaż, i podążyła za esthlosem Berbelekiem. Wysiadali tu tylko oni dwoje. Jannę, Hasera Obola z horrornymi, nawet Porte i służących, i doulosów, wszystkich ich strategos odesłał już wcześniej „Łamichmurem”. Porte wrócił do domu w Alexandrii, ale dokąd udali się żołnierze? Aurelia przypuszczała, iż strategos ugiął się jednak pod szantażem Nabuchodonozora i w rzeczy samej szykuje atak na Babilon.

— Esthlos.

— Królu.

Hieronim Berbelek uścisnął nadgarstek Mariusza Seleukidyty. Król Bez Korony pierwszy wyszedł był mu naprzeciw od namiotów; za nim postąpiła cała zbrojna świta, Aurelia rozpoznała barwy pergamońskiej diaspory. Nad namiotami powiewał sztandar Seleukidytów oraz drugi z Czwórmieczem, symbolem Czwartego Pergamonu, znanym dotąd tylko z bazgrołów na murach miejskich Aegiptu, Babilonu, Macedonii i Rzymu: trzy złamane miecze, czwarty, o złotej klindze, cały. To prawda, Oaza Zazdrosnego Szkieletu to nie Rynek Świata, niemniej wzniesienie tych sztandarów stanowiło znak nieomylny. Aurelii zabiło szybciej serce. Amida od półwiecza znajdowała się pod anthosem Czarnoksiężnika, Pergamon — Siedmiopalcego. Wszystko albo nic; nie będzie można już się cofnąć.

Mariusz poprowadził strategosa do swojego namiotu. Aurelia nie odstępowała esthlosa. Otoczyli ją Amidańczycy w zapiaszczonych dżulbabach, abach i burnusach, brudnych turbanach i trouffach, z tłustymi brodami, z ciężkimi keraunetami w dłoniach i krzywymi kandżarami przy pasach. Sama, idąc za przykładem strategosa, wdziała białą kirouffę. Żadnej broni nigdy nie nosiła, zbyt łatwo niszczył ją ogień. Nie znali jej, była w ich oczach bezbronną kobietą obcej morfy.

Natomiast iganazi z pozoru nie różnił się od zwykłych ludzi. Gdyby nie wyjątkowo masywna budowa ciała, szerokie bary i gruby kark oraz gęste, sztywne włosy, nie różniłby się wcale. Aurelia szła tuż za nim i gdy opuściła wzrok, zobaczyła, że Mariusz jest boso i pomimo swego ciężaru nie tylko nie zapada się w piasku, ale nie pozostawia na nim w ogóle śladów. Mógł — i musiał — się z tym kryć, lecz ludzie mu najbliżsi zawsze będą wiedzieć, iż jest, kim jest, Daimonem Ziemi, iganazi, gesomatą.

W namiocie paliły się już lampy oliwne i kadzidła. Niewolnice gotowały wodę. Seleukidyta uczynił gest żegnający wszystkich swych towarzyszy, lecz Aurelia, mimo ciężkiego spojrzenia strategosa, postanowiła tym razem nie dać się wyprosić i narzuciwszy na głowę kaptur kirouffy, usiadła szybko w kącie namiotu, w cieniu za masztem i przeciągniętym od niego perskim kobiercem. Na kobiercu siedziała zielono-niebieska papuga; ona jedna całkowicie zignorowała Aurelię. Niewolnice, o ciałach pokrytych kolorowymi tatuażami i twarzach obwiązanych trouffami, obwieszone tanią biżuterią dzwoniącą przy każdym ruchu, podały Mariuszowi i esthlosowi Berbelekowi wodę do obmycia, haszisz, qahwę, placki cynamonowe i owoce. Klapę namiotu opuszczono, odtąd tylko migotliwy blask blaszanych lamp oświetlał duszne wnętrze. Od ciężkiej, tłustej woni kadzidła zbierało się Aurelii na wymioty, ale nie odezwała się i dopiero po jakimś czasie jedna z niewolnic z własnej inicjatywy podała jej czarę gorącej qahwy. Wówczas namiot wypełniał już słodki zapach przyprawowego haszisu. Król i strategos wymienili pierwsze grzeczności i tak — od pustynnego milczenia do pustynnego szeptu — rozpoczęła się narada wojenna. Mówili po grecku, Aurelia rozumiała każde słowo.

Słowa były prozaiczne, zdania krótkie, ton beznamiętny. Najlepiej zapamięta właśnie ten ton. Zdawało się, iż wszystko zostało przesądzone: to już się dzieje lub stanie się wkrótce, dziać się zaczęło. Daty, miejsca, imiona, liczby. Z podsłuchiwanych strzępów informacji budowała sobie obraz rozpoczynającej się wojny. Nie będzie szturmu murów Amidy i oblężenia miasta — powstańcy wejdą do środka wraz z innymi podróżnymi, z karawanami kupieckimi i transportami niewolników. Zajmą garnizon, opanują mury, a bramy w nich utrzymają otwarte, póki nie przybędzie z zachodu, od Pergamonu i od Alexandretty, Horror Berbeleka. Trzy pełne Kolumny Horroru wylądują pod Pergamonem, na znak z „Łamichmura” przybijając do brzegu — czekają teraz na Morzu Śródziemnym na statkach Domu Kupieckiego Njute, Ikita te Berbelek, na statkach Aneisa Panatakisa i Kompanii Afrykańskiej. Amidę dzieli od Pergamonu ponad 4000 stadionów. Zatrzymując lub strącając wszystkie obce świnie powietrzne i ptaki pocztowe (tym zajmie się skorpion Omixosa Żarnika), uzyskujemy co najmniej sześć dni przewagi; linia aegipskich heliografów nie przechodzi tamtędy. Czy więc oblegać do skutku potężny Pergamon, czy iść na Amidę, nie czekając, byle koronować Mariusza? Tu znowu zaczynały się różne warianty, przypusz-

czenia i plany. Czy Powstanie Amidańskie poderwie wystarczająco wielu ludzi, by zapewnić Mariuszowi armię zdolną przejąć kontrolę nad całym krajem? Czy po pięćdziesięciu ośmiu latach rozbioru i nieistnienia państwa jego Forma mimo wszystko pozostała na tyle mocna, by przezwyciężyć teraz anthosy Czarnoksiężnika i Siedmiopalcego, Formę ich państw? To, co prawda, jest sama granica ich aur — lecz kto zagwarantuje, że Król Bez Korony okaże się wystarczająco potężnym Królem W Koronie? Strategos rzucał na ten temat ironiczne komentarze. Mariusz tylko wydmuchiwał haszyszowy dym. Zdawało się Aurelii, że traktują rzecz obaj jako błahy żart; gdy powracał, kwitowali go niemymi spojrzeniami i wzruszeniami ramion. Co zrobi Maksym Rog? Co zrobi Siedmiopalcy? Jeśli Czwarty Pergamon nie otrzyma szybko wsparcia któregoś z sąsiadów — a między Babilonem, Imperium Uralskim, Macedonią i Aegiptem mogli przecież liczyć najwyżej na ten ostatni — zostanie zmiażdżony w ciągu miesięcy. Strategos wszakże sprawiał wrażenie pewnego, że Aegipt wsparcia udzieli. Wywiązał się długi dialog o politycznych konsekwencjach przewrotu. Zaczęły padać imiona córek Hypatii i sprośne żarty. Plan esthlosa Berbeleka obejmował także zmianę porządku dynastycznego w Afryce Alexandryjskiej.

Niemożliwe, żeby Janna miała rację — niewątpliwie jednak ona lepiej zna Hieronima Berbeleka. Aurelia pojęła, że to nie jest kwestia wyboru, wierności, nie kwestia prawdy lub kłamstwa. To zimna logika siły i słabości. Oto bowiem przed jakim paradoksem stała Księżycowa Wiedźma: ci, którzy są zbyt słabi, by sprzeciwić się jej Formie, są z pewnością także zbyt słabi, by stanąć naprzeciwko kratistosa adynatosów; ci zaś wystarczająco silni — są zbyt silni, nie potrzebują Illei, sami stanowią Potęgę. Kto więc pójdzie w niebiański bój i zabije Ojca Skrzywienia?

Tylko bogowie i szaleńcy poświęcają się dla ludzkości — reszta natomiast zdolna jest do poświęceń jedynie dla tych, których uważa za lepszych od siebie.

Słuchała w bezruchu i milczeniu, kaptur kirouffy krył jej oblicze, tylko iskry błyskały w cieniu. Jeśli strategos zdradzi Panią, nie pozwolę, nie mogę pozwolić ujść mu wolno. Czyż nie po to zostałam tu posłana? Uczynię, co przystoi ryterowi — zanim przyjdzie wypełnić rozkaz Janny.

O świcie Mariusz Gesomata zwinął obóz i wyruszył wraz ze swymi ludźmi w długiej karawanie wielbłądów i humijów naprzeciw podnoszącemu się Słońcu, w drogę przez Sadarę, przez Nil i Morze Erytrejskie, i na północ

przez Efremowy Dżazirat al’-Arab, do Amidy, miasta swych przodków. Nie miał jeszcze armii, ale miał sztandary.

W Oazie Zazdrosnego Szkieletu pozostały tylko cztery humije i dwa z nich były przeznaczone dla strategosa i Księżycanki. Aurelia odmówiła, nigdy nie dosiadała żadnych wierzchowców. Będzie biegła obok zwierząt, wraz z negryjskimi wojownikami. Zdjęła kirouffę, by nie krępowała jej ruchów. Wojownicy szczerzyli do niej krzywe zęby. Strategos powiedział jej, że nazywają się N’Zui, a ten, który ich prowadzi, to ich nowy wódz, N’Te; niedawno zabił ojca i był w wielkim poważaniu. On jeden posiadał keraunet. Szczerzył się do Aurelii najradośniej.

Strategos zapisał coś jeszcze w swoim dzienniku i dał znak ryktą. Negrzy podnieśli jękliwy zaśpiew. Rykta wskazywała na północ, w morfę cywilizacji, w stronę Aegiptu i Alexandrii. Słońce wspinało się coraz wyżej ponad horyzont, w jego wielkiej, jasnej tarczy, w którą tylko Aurelia mogła spoglądać, roztapiały się figurki amidańskich powstańców, jeszcze tylko błysnęło złoto Mariuszowego sztandaru — i zniknęli w świcie.

Strategos smagnął humija, Aurelia doskoczyła do boku zwierzęcia, piasek zamienił się w szkło pod jej stopami — biegnąc w ogniu, pozostawiała za sobą ślady pioruna.

— Nnnyaaaiiii! — zakrzyknęli N’Zui.

Strategos zaśmiał się pełną piersią.

— Tak upadają imperia! — Machnął ryktą, obejmując gestem pół setki nagich Negrów uzbrojonych w krótkie dzidy i bawole tarcze. — Tak imperia powstają!

20 Martius 1197 PUR, Dies Jovis. Za dwa miesiące Mariusz Seleukidyta zasiadać będzie na tronie Amidy lub będzie martwy, odniesie tryumf lub upadnie w proch; a Hieronim Berbelek wraz z nim.

T
Państworództwo

— Bardzo twarzowa suknia.

— Dziękuję, esthle.

— To peruka, prawda?

— Tak.

— Zaraz, ty chyba…

— Ryter Aurelia Krzos.

— Ach. Rzeczywiście. Ojciec pisał mi o tobie.

— Esthle.

— Alitea, dla ciebie Alitea. Raz chyba uratowałaś mu życie.

— Dwa razy.

— Ha, słusznie, nie należy być bezczelną w skromności. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Właściwie dlaczego wcześniej się nie spotkałyśmy?

— Słyszałam o twoim narzeczonym. Bardzo mi przykro.

— Teknitesi somy nie odstępują od jego łoża, w końcu stanie na nogi. Ciekawam tylko, czy w ogóle go wtedy poznam. Lubisz wina chremickie?

— Esthle.

— Proszę.

— Jesteś bardzo piękna.

— Dziękuję. Lata pracy i Nabuchodonozor. Chodź, usiądziemy w karium.

Muzycy zmienili melodię, rozległy się oklaski, kilka par wyszło z sali tańców na perystyl. W czarnej tafli Jeziora Mareotyjskiego odbijały się miliony gwiazd i jasnoczerwony sierp Księżyca. Pochodnie na łodziach strażników układały się w ciemności aegipskiej nocy w krętą linię wzdłuż wschodniej zatoki. Nad nimi, po Moście Beleuckim, przesuwały się płaskie cienie pieszych i zwierząt, wiktyk i wozów — Alexandria nigdy całkiem nie zasypia.

Karium mieściło się na trzecim tarasie, przy granicy wody. Usiadły pod łukiem z czarnych lilii — kwiecie dzunguońskiego morfunku, jego woń

bardziej już zwierzęca niż roślinna.

Esthle Alitea Latek sączyła wino, spoglądając w zamyśleniu na galerię żywych posągów.

— Towarzyszysz mu wszędzie i na pewno —

— Nie wszędzie.

— Ale nikt nie jest bliżej niego, prawda? Właściwie dlaczego cię wybrał?

— Nie wiem, esthle. Byłam młoda, naiwna.

— To źle? — Alitea zaśmiała się cicho. — Jestem młodsza od ciebie.

— Wy jesteście inni.

— My? Ziemianie?

— Wy, aristokraci.

— Ongiś ryterów uważano za aristokratów…

— W rzeczywistości jesteś starsza ode mnie.

— Naiwność to bardzo cenna cecha.

— Ale nikt naprawdę naiwny o tym nie wie, czyż nie tak?

Zaśmiały się zgodnie w przyjaznej morfie, Alitea trąciła Aurelię w ramię i przybrała na moment karykaturalnie poważną minę. Księżycanka śmiała się złotymi iskrami i błękitnym dymem, malutkie płomyczki spływały z jej głowy na ramiona, piersi, plecy. Alitea odstawiła czarę z winem i trzepocząc wachlarzem, podniosła tę falę iskier w nocne niebo. Obserwowały je, aż iskry zniknęły poza granicą tarasu. Kilka skręciło i spadło na naoliwioną skórę żywego posągu, doulos wzdrygnął się mimowolnie. To na nowo rozweseliło dziewczęta. Księżycanka zdjęła czarną perukę. Alitea wytrzeszczyła oczy. Ze śmiechu aż wpadła w czkawkę; to zdecydowanie nie był jej pierwszy kielich wina tego wieczoru. Aurelia uderzyła ją w plecy. Alitea podskoczyła na ławie, oparzona; lewy pierścżyk błysnął srebrno, spadając między lilie.

Pochyliły się, wypatrując diamentowej ozdoby.

— Przedwczoraj, gdy wróciłyśmy z miasta i zastały ojca w domu — podjęła Alitea, rozgarniając czarne pędy i nie patrząc na Aurelię — a musisz wiedzieć, że nie miałyśmy pojęcia o waszym przybyciu, furtian nam nie powiedział… Nie poszłam za Szulimą, ale usłyszałam głos ojca i zawróciłam na korytarzu. Ich pierwsze słowa… Przecież po dżurdży Ihmet Zajdar jadł ojcu z ręki, nie zrobiłby tego wbrew niemu. Powiedz mi, Aurelio: czy strategos wydał mu taki rozkaz?

— Jaki?

— Wiesz. Żeby Szulimę.

— Nie.

— Przysięgniesz?

— Nic takiego nie słyszałam. Ihmet…

— Tak?

— Nie, nic, nie wiem.

Diament błysnął w kamiennej donicy, Alitea podniosła pierścżyk. Usiadła i wytarłszy go chustą wyjętą zza szerokiego pasa spódnicy, zapięła z powrotem.

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę, kim jest esthle Amitace — mruknęła Aurelia, nakładając perukę.

— Tak.

— Kim?

— Jej córką.

— Nabuchodonozor trzyma ją jako zakładniczkę.

Alitea przesłoniła usta wachlarzem.

— Domyślałam się.

— Bardzo jesteś do niej podobna, wiesz, twarz, sylwetka, głos, wczoraj z nią rozmawiałam, nawet głos, tylko kolor włosów, gdybyś przemorfowała je na takie jasne złoto jak Lakatoi — niczym córka.

Alitea opuściła wzrok.

— Mówiła mi to.

— Tak?

— Nie zgodzi się, wiem, że się nie zgodzi. Zresztą ojciec by się wściekł. Nabuchodonozor na pewno chciałby się na mnie zemścić.

— O czym ty mówisz?

— O tym twoim pomyśle z zamianą. Nie wyjdzie.

— Jakim pomyśle? Zauważyłam tylko, że jesteście podobne — jak matka i córka, siostra i siostra.

— Ach. Tak. No mówiła mi, mówiła mi nieraz. Czasami myślę… — Niespodziewanie Alitea wybuchnęła nerwowym śmiechem, wachlarz zatrzepotał frenetycznie. — Nie powinnam być z tobą tak szczera, przecież ty wszystko mu opowiesz!

— To chyba dobrze?

— Szulima była przekonana, że to ojciec przysłał tu Zajdara. A on nie zaprzeczył. O co innego się pokłócili.

— Pokłócili się?

— Oni tak zawsze…

— Co mówił strategos?

— Och, teraz ty mnie wypytujesz.

— Proszę.

Alitea wzięła głębszy oddech; przechyliwszy głowę, spojrzała na Księżycankę ponad wachlarzem.

— „Plan Pani nie jest moim planem”.

— Tak powiedział?

— „Cele Pani są moimi celami, ale plan Pani nie jest moim planem”.

— I co na to Lakatoia?

— Tu zaczęli się kłócić. Szulima powtarzała, że on musi mieć kraj, z którego mógłby wyprowadzić ofensywę, musi mieć bezpieczną bazę i punkt wyjścia zarówno do ataku na Skoliodoi, jak i na Czarnoksiężnika. A jeśli Nabuchodonozor nie otworzy dla strategosa Aegiptu, to co strategosowi pozostanie? I tak dalej. Że przecież Złoty sam z siebie nienawidzi Wdowca; że nie chodzi o to, żeby bić się po kolei z Macedonią Czarnobrodego i Babilonem, ale żeby je oddzielić i może nawet obrócić przeciwko Uralowi; że Nabuchodonozora trzeba tylko mocniej przycisnąć, przestraszyć, a zgodzi się. Cała tyrada. Zatrzymałam się pod drzwiami, nie weszłam, nie chciałam się z nim witać w trakcie tej awantury.

— Ale co jej odpowiedział?

— Że on tak czy owak będzie miał ten kraj. Szulima tylko szydziła: „Huratię? Macedonię? Rzym może?” A strategos: „Stworzę nowy”. I trzasnął drzwiami. Całe szczęście, że nie wyszedł na mnie.

Aurelia otworzyła usta, obejrzała się na żywe posągi — i zamknęła je z powrotem. Chwyciwszy Alitę za ramię, pociągnęła ją w najdalszy róg trzeciego tarasu, dokąd nie sięgał blask pochodni i lampionów ani poświata bijąca z okien pałacu. Tu perystyl schodził pod płytką wodę, śnieżnobiałe płytki mozaiki jaśniały pod falami jeziora, w płyciźnie przechadzały się dostojnie krzywodziobe ibisy. Esthle Latek była w koturnowych sandałach, lecz Aurelia — boso. Brodziła w zimnym hydorze.

— Posłuchaj — szepnęła, obracając się plecami do pałacu i karium, świateł, głosów i muzyki. — Możesz mnie nazwać naiwną, ale nie mówiła-

bym ci tego, gdybyś nie była tym, kim sądzę, że jesteś.

— Co znowu —

— Ciii. Posłuchaj. Oni się zawsze pytają: czy zamierza wrócić? czy zamierza się zemścić? czy to jest jej dzień? czy temu służy wojna strategosa Berbeleka? A ja mówię, że nie, że nie opuści na dłużej Księżyca, zresztą nie może, co by się stało z nami wszystkimi, z ludźmi i zwierzętami, imopatrami i miastami, spadłyby przecież na Ziemię. Więc nie. I to jest prawda. Ale teraz widzę, że miała inny plan. Chyba wiem, o czym mówił strategos. Posłuchaj. To był jej kraj. Tu biło jej serce, od Złotych Królestw do Kaftoru; do Aegiptu tęskni najmocniej. Gdyby jej córka zginęła tu w niewoli Nabuchodonozora… I Nabuchodonozor byłby przekonany, że Illea poświęci wszystko, by się na nim za to zemścić… Pomyśl. Tak oto, szybko i bez walki zdobyłaby Aegipt dla swej morfy; tak otworzyłaby go dla strategosa. I dalej. Kto zasiadłby na tronie Hypatii? W Pani imieniu, w Pani morfie, gdy nie ma już Lakatoi. Pomyśl, esthle. Jedyna córka Strategosa Labiryntu, pogromcy Czarnoksiężnika, a zarazem małżonka Namiestnika Górnego Aegiptu, węzeł Teb i Alexandrii. Lakatoia wybrała cię i wymorfowała na swój obraz i podobieństwo, na jej obraz i podobieństwo. To było twoje dziedzictwo — gdyby zginęła. Teraz musi wszystko zmienić, plan się zmienił, strategos zmienia plan.

Alitea przytknęła w zamyśleniu złożony wachlarz do lewego nozdrza. Jeszcze przed chwilą unosiła brwi i kręciła głową; teraz patrzyła na Księżycankę ze spokojem i być może nawet lekkim rozbawieniem.

— A adynatosi? Sojusz przeciwko kakomorfii.

— Oczywiście, esthle, to jest cel główny.

— Nie liczy, że strategos przeżyje.

— Nie. Jeśli istotnie poprowadzi w aetherze atak na ich kratistosa… Nie. Pozostaniesz ty.

— Abel zginął w Skoliodoi.

— To od początku musiała być kobieta, morfa kobiety.

— Mogłam zginąć ja.

— Nie wiem. Mogłaś?

— Dlaczego nie jakąś Księżycankę, na pewno ma inne dzieci, dlaczego nie kogoś z Labiryntu, kogo zna?

— Aepicjanie, Ziemianie mają zaakceptować zwierzchność. Tak się domyślam; sama rozważ. Ktoś spośród nich, związany z ich krwią — ale tak

naprawdę morfa Pani. Inne ciało i imię tego samego bóstwa.

— Urodziłabym Dawidowi córki.

— Tak.

— Początek Dynastii Kollotropyjskiej. Po upadku Imperium Uralskiego… Na wschód, na południe, do Żółwiej Rzeki i poza nią, wszystkie Złote Królestwa, i na północ, powrót do Kaftoru, pusty tron w Knossos…

— Widzisz to.

— Widzę. — Alitea potrząśnięciem głowy odrzuciła na plecy zaplecione w drobne warkoczyki włosy, wyprostowała się, spojrzała hyppyresowi prosto w oczy. Dotknęła wachlarzem piersi Aurelii. — Komu służysz? Do kogo należysz? Dlaczego mi to zdradzasz?

Aurelia pochyliła głowę.

— Właśnie dlatego. Jestem ryterem Pani, jej winnam pierwszą lojalność.

— A zatem?

— Pod jakimkolwiek imieniem i w jakimkolwiek ciele by się objawiała.

Aurelia uklękła przed esthle Latek, kaftorska suknia momentalnie nabiegła zimną wodą Mareotu. Aurelia przycisnęła twarz do białego lnu spódnicy esthle.

— Despoina.

Alitea złapała ją szybko za ramiona, poderwała.

— Wstań! Bo cię zobaczą! Nie jestem nią.

— Spójrz na Lakatoię. Także przecież nią nie jest.

— Zamilcz już. Muszę pomyśleć.

Aurelia energicznie otrzepała suknię z wody, z tkaniny podniosły się z sykiem strużki pary. Obejrzała się w górę perystylu. Esthlos Berbelek wydał ucztę — z teatrem, muzyką i tańcami — dla elity aristokracji Alexandrii; prawie wszyscy przyjęli jego zaproszenie. Alexandryjskie gazety pisały o „finansowanej z prywatnych źródeł armii Hieronima Berbeleka” i o „historycznym zwycięstwie Pioruna Vistulii w Kolenicy”. Ilość fantastycznych plotek na temat zamiarów Berbeleka, jakie Aurelia dotąd usłyszała od gości (a nie minęła jeszcze północ), przekraczała wszelką miarę; plotkarze przeczyli sami sobie w kolejnych rozmowach, rosła piramida absurdu.

Być może to właśnie Forma tego wieczoru sprowokowała Aurelię do wyznania córce strategosa własnych przypuszczeń; a może owa Forma nagłej serdeczności i familiarności, gdy razem śmiały się i szukały pierścżyka.

Rzeczy najmniejsze przesądzają o rzeczach największych. Im dłużej esthle Latek milczała w zamyśleniu, tym bardziej była Aurelia pewna swego osądu. Ten ruch nadgarstka. Ten ton głosu. Uniesienie głowy, lekki uśmiech, spojrzenie szeroko otwartych oczu, te oczy, tak samo zielone. I morfa jej bezruchu. Jak wczoraj, gdy Panna Wieczorna spojrzała na Aurelię. „Opowiedz mi” — dwa słowa, tyle rzekła. Aurelia mówiła przez godzinę.

— Chodź.

— Esthle.

— Opowiedz mi dokładnie. Nabuchodonozor, Szulima, strategos, warunki. Nie, czego się domyślasz, ale co słyszałaś.

Wróciły do sali tańców. Aurelia starała się nie podnosić głosu ponad szept; odruchowo też cofnęła się, pozostając pół kroku za esthle Latek. Tak przesuwały się między gośćmi, między służącymi, doulosami, muzykami i tańczącymi, o tej porze wszyscy się już mieszali, zaplanowany przez gospodarza porządek przyjęcia poddawał się pod naciskiem chwilowych presji towarzyskich. Czwarty raz grano jamedię, bo o nią wołano najgłośniej. Jamedia stanowiła kompromis między klasycznymi koreiami, wykonywanymi przez najmowanych specjalistów, a „rytmiką pospólstwa”, pochodzącą z morf północnych. Tańczyło ponad dwadzieścia par. Z sali kolumnowej, zza wodnych zwierciadeł, dochodziły co chwila wybuchy śmiechu: tam występowała trupa komediantów z Krokodylopolis, dająca przedstawienie wyśmiewające się wulgarnie z Hypatii i aegipskich aristokratów — aristokraci śmieli się najgłośniej. Paliły się wysokim płomieniem wszystkie lampy pyrokijne, pod zwierciadłami zawieszono dodatkowe lampiony: światło przepalało kolorowe szaty, wkłuwało się pod skórę gości, cienie nie istniały, światła było aż za dużo, wylewało się na zewnątrz burzowymi falami, na perystyl i na jezioro, wraz z głośną muzyką. Kiedy bawią się aristokraci, wie o tym pół Alexandrii.

Alitea i Aurelia przemknęły wzdłuż ścian, raz tylko zatrzymawszy się na dłużej, gdy stary Kadiusz Ptolemeusz zagadnął esthle Latek o jej ojca i nie przyjął „Nie wiem” za odpowiedź. Aurelia istotnie nie mogła nigdzie dojrzeć ani strategosa Berbeleka, ani Panny Wieczornej.

Stojący w przejściu do głównego hallu seneszal szepnął coś Alitei do ucha; hyppyres nie zrozumiała pośpiesznego pahlavi. Esthle odparła w tym samym języku i wskazała wachlarzem w głąb domu. Seneszal skłonił się i skinął na jedną z oczekujących niewolnic. Odbiegła wykonać polecenie.

Esthle Latek poprowadziła Księżycankę do lewego skrzydła. Między płytami podłogi bocznego korytarza migotały w blasku pirokijnych lamp fale Jeziora Mareotejskiego. To już zapewne były prywatne komnaty esthle. Wyszła im naprzeciw negryjska służąca; esthle odprawiła ją niedostrzegalnym gestem.

Skręciły do narożnego gabinetu. Dwie z jego ścian oraz podłoga i sufit wykonane były z grubego vodenburskiego szkła, w które wtopiono czerwone żyły oroneigesu. Ściany uchylały się nadto w poziomie na osiach ukrytych mekanizmów, wpuszczając w ten sposób do wnętrza wilgotne powietrze. Ledwo wszedłszy, esthle uchyliła je jeszcze głębiej. Podkręciła płomienie w barwionych srebrno-różowo kloszach lamp — pokój zapulsował kolorowym blaskiem.

Wzdłuż ścian kamiennych stały regały biblioteczne, sekretarzyk i wysoki, głęboki fotel; pod ścianami szklanymi rozrzucono natomiast sterty pstrokatych poduch, okrągłych i trójkątnych, wedle formy Złotych Królestw.

Alitea usiadła z westchnieniem w fotelu i przywołała gestem Księżycankę. Aurelia przysiadła u jej stóp (szkło było bardzo zimne). Uniósłszy głowę, dojrzała poruszenie w ciemności nad przezroczystym sufitem. Sufit również częściowo podlegał mekanicznym manipulacjom, można go było tu i ówdzie uchylić do wnętrza szklanych nadbudówek. W tej nad fotelem trzepotał lodowymi skrzydłami kakomorficzny ptak, jego trzy łapy rozcapierzały się w kolekcje zakrzywionych dziobów, teraz wszystkie one, wpółrozdziawione, drapały o szkło. Musiał wyczuć pyr w Jeźdźcu Ognia.

Esthle Latek ujęła Aurelię pod brodę, obracając jej oczy na siebie.

— Wysłuchałam cię, Aurelio — rzekła łagodnie. — Wierzę ci. Teraz możesz mi jeszcze wszystko wyznać, jeszcze nic się nie stało. Zaprzecz i zapomnę.

— Nie kłamałam, despoina.

— Bo za chwilę — będziesz musiała zapłacić. Czy ty mnie rozumiesz? Lubię cię.

— Nie kłamałam.

— Dobrze.

Esthle Latek uniosła wzrok. Złożyła wachlarz i wsunęła go za pas spódnicy. Aurelia zorientowała się, że esthle przygląda się swojemu odbiciu w szkle. Alitea odpięła z uszu kolczyki, z sutków pierścyki, z szyi ciężką kolię, ściągnęła z przedramion bransolety, większość pierścionków z pal-

ców; rzuciła całą tę biżuterię na sekretarzyk. Pośliniwszy chustę, starła barwionkę z twarzy i piersi. Na koniec odpięła od pasa broszę ze smoczej kości.

— Pójdziesz do siebie — mówiła do Aurelii. — Przebierzesz się. Zdejmiesz wszystkie ozdoby, założysz coś, co da im do myślenia. Masz jakiś efektowny księżycowy strój?

— Mam zbroję.

— A, rzeczywiście, pisał mi… Ale bez przesady. Może tylko jakąś część.

— Tak, despoina.

— Zwrócisz się do seneszala, żeby wskazał ci esthle Ignatię Aszakanidyjkę; nie mogła jeszcze wyjść. Poprosisz ją tu w moim imieniu. Publicznie, jeśli to możliwe. Nie odpowiadaj na żadne pytania. Będę czekać. Zostaniesz wewnątrz. Zrozumiałaś?

— Tak, despoina.

— Idź.

Aurelia udała się do swojej komnaty prawie biegiem. Nie była to bitwa, ale coś tak jej bliskiego, jak tylko to możliwe. Zrzuciła suknię, zdjęła perukę i biżuterię. Obmyła się szybko w przygotowanej misie z perfumowaną wodą. Z kufra sypialni wyjęła prostą, długą spódnicę aegipską, podobną do aliteowej. Zawiązała ją wysoko nad talią, na księżycową modłę. Z kufra wahadłowego wyjęła prawy okółramiennik i prawą wirkawicę; założyła je, dostroiła aether. Zacisnąwszy pięść, machnęła ręką. Ogniste epicykle rozświetliły komnatę niczym błysk pioruna.

Goście rozstępowali się przed nią, Forma milczącej konsternacji poprzedzała Aurelię powolną falą. Każdy kolejny krok rytera był bardziej energiczny — pochylając się nad seneszalem, roztaczała już migotliwą poświatę, napięcie mięśni uwalniało naskórkowy pyr.

Esthle Ignatia Aszakanidyjka tańczyła właśnie z jakimś aristokratą górnoaegipskiej morfy. Aurelia położyła lewą dłoń na barku aristokraty, zatrzymując go w pół kroku. Cisza na sali powinna była go ostrzec; widocznie nazbyt był skupiony na swej partnerce. Obrócił się w gniewie. Biała uranoiza rozpuchniętego okółramiennika rozcięła mu koszulę i skórę na piersi. Odskoczył z sykiem.

Aurelia patrzyła na Aszakanidyjkę.

— Esthle Alitea Latek prosi cię o chwilę rozmowy, esthle.

Pani Ignatia zlustrowała ją szybkim spojrzeniem, jeszcze lekko zadyszana od tańca.

Uspokoiła oddech i rozglądnęła się po sali.

— Laetitia, bądź tak miła.

Skinęła na Aurelię.

Wyszły pośród szumu podnieconych szeptów. Teraz dopiero zaczną się plotki! O co zresztą bez wątpienia chodziło esthle Latek.

Zastały Aliteę wyciągniętą na poduszkach w szklanym kącie komnaty. Opierając głowę na łokciu, wyjadała ze srebrnej misy daktyle; w lewej dłoni obracała kostkę pitagorejską. Uśmiechnęła się i skinęła przyjaźnie na esthle Ignatię. Aurelia została przy drzwiach, zamknąwszy je z głośnym trzaskiem. Zauważyła, że fotel stał teraz po przeciwnej stronie sekretarzyka, zniknęła też rzucona na jego blat biżuteria.

Piękna Ignatia obejrzała się jeszcze na Księżycankę i ponownie na esthle Latek — chwila się przeciągała — wreszcie zawinęła spódnicę i spoczęła obok Alitei.

— Nie wiem, czy twój ojciec pochwali takie demonstracje — mruknęła.

— Zaufanie Księżyca do strategosa Berbeleka nie jest bezgraniczne — rzekła esthle Latek. — Zwłaszcza utrata córki nie musi się spodobać Illei Okrutnej.

— Mhmmm, nie rozumiem.

— Czyżby Złoty nie wiedział? Pani również postawiła strategosowi warunki.

— Nadal nie —

— A zamach nimroda Zajdara? Szpiedzy z pewnością donieśli o wszystkim Nabuchodonozorowi. Sądzisz, że kto tu przysłał Zajdara? — Alitea nadal się uśmiechała. Spoglądała na esthle Ignatię, obracając między palcami lewej dłoni otwarty mekanizm kostki. — Więc teraz wyobraź to sobie. Esthle Amitace umiera w niewoli Nabuchodonozora. Strategos wysyła na Księżyc swój raport; napisze w nim, co napisze. Jak reaguje Wiedźma?

Pani Ignatia, wyraźnie wstrząśnięta, obejrzała się na Aurelię. Aurelia stała nieporuszona, z beznamiętną miną patrząc przed siebie, w noc i odległe światła Alexandrii za grubym szkłem.

— Odsunięto go? — spytała esthle Ignatia, Aurelię lub Aliteę, obie. — Kto teraz wydaje rozkazy? Ty, esthle? Szulima?

— Jeszcze nie. Ale sytuacja nie jest już tak jednoznaczna, jak się wam najwyraźniej wydawało. Jak dokładnie Nabuchodonozor sformułował swoje żądania?

— Babilon za poparcie dla strategosa. Esthle Amitace stanowi gwarancję do czasu zwycięstwa nad adynatosami. Ale to nie —

— Czy on zdaje sobie sprawę, że bez udziału Aegiptu nie może tu ruszyć żadna ofensywa? W ostateczności będzie miał przeciwko sobie cały sojusz antyadynatosowy. Berbelek wziął Kolenicę, wyrwie Czarnoksiężnikowi dalsze ziemie, wojna toczyć się już będzie swoim torem, Czarnoksiężnik narobił sobie wystarczająco wielu śmiertelnych wrogów, którzy tylko czekają na stosowną formę, moment w historii.

— Do czego ty właściwie usiłujesz przekonać Złotego? — zirytowała się esthle Ignatia.

— Szulima jeszcze nie wysłała listu do matki. Jak wiesz, jestem tu jej najbliższą przyjaciółką — Alitea uśmiechnęła się słodko. — Nabuchodonozor ma jeszcze szansę — Illea może się o niczym nie dowiedzieć, nie było żadnego szantażu.

— Na Szeol, Szulima nie ma z tym nic wspólnego, Szulima nie jest przedmiotem targu! Musimy mieć jakąś gwarancję, gdy opuścimy Ziemię!

— Nie tak to wygląda dla Illei, zapewniam cię. Gdyby Nabuchodonozor przyłączył się bezwarunkowo… Ale przecież twierdzi, że nie opuści Ziemi, nie weźmie udziału w ataku na Skoliodoi — więc o jakiej gwarancji tu mówimy? Targuje się o głowę Panny Wieczornej za głowę Siedmiopalcego, taka jest prawda. Wspomnij Zajdara. Jak niewiele trzeba, by to wszystko obróciło się przeciwko Złotemu. Jeśli się wam wydawało, że strategos Berbelek nad tym panuje, to się wam źle wydawało. Nikt nie panuje nad gniewem Illei Okrutnej. Wspomnij los Oei.

Aurelia przypomniała sobie Pieśń o Oei, jedną ze strasznych bajek Labiryntu. Oea była fenickim miastem na afrykańskim brzegu Morza Śródziemnego. Za czasu władztwa Pani w Złotych Królestwach zdarzyło się jednemu z jej kochanków, wracając z Rzymu, zatrzymać na kilka dni w Oei. Wygrał tam wysoki zakład z miejscowym aristokratą (legendy różniły się co do natury zakładu); poniżony aristokrata otruł kochanka Pani. Illea przybyła o następnej pełni Księżyca. Wszyscy mieszkańcy Oei zostali ukrzyżowani, miasto spalone i zrównane z ziemią, a sama ziemia zapadła się pod powierzchnię morza. Trzynastu nimrodów udało się na wszystkie strony świa-

ta w poszukiwaniu ocalałych krewnych i przyjaciół aristokraty-truciciela. Jeszcze wiek i dwa później Pani wywierała swą zemstę na odnajdywanych potomkach owych nieszczęśników.

— Straszysz — mruknęła Aszakanidyjka. — Niby co takiego się dzisiaj stało, że nagle ona — wskazała głową Aurelię — zmienia pana, a ty dopuszczona zostajesz do sekretów Potęg?

Alitea wrzuciła do ust daktyla i mrugnęła filuternie do ejdolosa Nabuchodonozora.

— Pomyśl — szepnęła.

Pani Ignatia pokręciła głową.

— Kiedy Szulima wysyła ten list?

— Mam ci podać dzień i godzinę? Za mało szpiegów? Wkrótce, wkrótce. Pospiesz się.

Aszakanidyjka wstała.

— Esthle — ukłoniła się leżącej Alitei.

Esthle Latek pomachała jej przyjaźnie na pożegnanie.

Zamknąwszy za nią drzwi, Aurelia podeszła do córki strategosa, uklękła przy poduszkach.

— Despoina, ja nie chciałabym, żeby —

Esthle Latek zgromiła ją wściekłym spojrzeniem, od którego aż przyspieszył aether hyppyresowego okółramiennika. Odsunąwszy misę z daktylami, esthle poderwała się na nogi, podbiegła do sekretarzyka, schyliła się, szarpnęła za coś pod jego blatem, rozległ się zgrzyt metalowych mekanizmów, poruszyły się szklane panele w ścianach i suficie — ale poruszyła się także ściana kamienna. Jej fragment za sekretarzykiem cofnął się w cień, obracając się na niewidocznych zawiasach, a z cienia wyszedł jeden z gości, długowłosy mężczyzna w brązowej tunice i czarnych szalwarach. Obrzuciwszy hyppyresa zdumionym spojrzeniem, ukłonił się esthle Latek, która tymczasem usiadła w fotelu i założyła nogę na nogę, odsłaniając kostkę i część łydki. Aurelia, zatrzymana ruchem dłoni Alitei, pozostała na miejscu. Nie uszło jej uwagi, że mężczyzna ma po sześć palców u rąk.

— Gauer, Gauer, Gauer — mruknęła esthle Latek, postukując złożoną kostką pitagorejską o poręcz fotela. — Sam słyszałeś. Co ja mam z tym począć?

— Esthle. — Gauer Babilończyk skłonił się po raz wtóry.

— Powiedz, szczurze.

— Czekam, aż wyjawisz mi powód, dla którego pozwoliłaś mi tego wysłuchać, esthle.

— Jak szybko dostaniesz heliografami odpowiedź z Nowego Babilonu?

— Siedmiopalcy nigdy nie sypia. Piętnaście godzin.

— Zaświadczysz o zamiarach Nabuchodonozora.

— Zaświadczę. — Uśmiechnął się pod nosem. — Taki mój los.

— Która jest godzina? Już dawno po północy.

Esthle przytknęła paznokieć do lewego nozdrza, spojrzała na Babilończyka przymrużonymi oczyma. Światło pyrokijne padało na jej lewy profil, na lewą pierś, klasyczną aleksandryjską krzywiznę, na jej lewe biodro i udo pod gładką tkaniną spódnicy; za sobą miała ciemny Mareot i łunę Alexandrii. Aurelia przez moment nie była pewna, czy widzi Aliteę, czy Pannę Wieczorną. Zamrugała, raz i drugi.

— Strategos Berbelek w tej chwili kontroluje już Amidę i Pergamon — stwierdziła esthle. — Mariusz Seleukidyta zostanie koronowany na króla Czwartego Pergamonu. Hieronim Berbelek otrzymał właśnie stosowny punkt oparcia, by poruszyć Ziemię. Póki nie zgromadzą się wojska — to jest właśnie ten krótki moment, Gauer — mam ofertę dla Siedmiopalcego: on albo Nabuchodonozor. Z kim ma się sprzymierzyć Seleukidyta i strategos Berbelek, a kto padnie ich ofiarą i czyj kraj zostanie rozszarpany przez Pergamon, Axum, efremowych izmaelitów — no i tego drugiego, swego wroga i sąsiada — Aegipt czy Babilon? Niech Siedmiopalcy wybiera.

Gauer pokręcił głową.

— Nigdy nie zaatakuje Czarnoksiężnika.

— Nie o to pytam. Pytam, czy da przysięgę neutralności wobec Berbeleka, czy uzna Królestwo Pergamonu i czy w razie potrzeby wyśle wojska do Aegiptu. Słyszałeś przecież, jaki jest warunek Złotego wobec aliantów: upadek Babilonu.

— Tak.

— Co: tak?

— Tak, Siedmiopalcy da tę przysięgę.

Esthle Latek pochyliła się w fotelu w przód, ku ejdolosowi kratistosa Babilonu.

— Jesteś pewien?

— Esthle — westchnął Gauer — ja, niestety, zawsze jestem pewien.

— A gdy padnie Czarnoksiężnik…

— Jeśli padnie Czarnoksiężnik, esthle, jeśli.

— Jeśli.

— Ba!

— Tak. Tak. Dobrze.

Esthle opadła z powrotem na oparcie fotela.

— Jest tu wszakże pewien dodatkowy warunek — podjęła.

— Domyślam się.

— Doprawdy?

— Mów, esthle, muszę usłyszeć.

— Po upadku Nabuchodonozora kratistos Siedmiopalcy, jako sojusznik, sąsiad i główny uczestnik aliansu, będzie posiadał decydujący głos w kwestii politycznej przyszłości Aegiptu; powinien z góry to sobie zastrzec w umowie ze strategosem.

— Słucham.

— Trzeba będzie osadzić na tronie nową Hypatię. A Babilon zachowa prawo veta przy jej wyborze.

— I tą nową Hypatią ma zostać — kto?

— Oj, Gauer, Gauer, Gauer, no przecież patrzysz na nią.

Babilończyk cmoknął głośno, wydął policzek.

— Czy to wszystko?

— Starczy! — zaśmiała się Alitea.

— Zatem piętnaście godzin, esthle.

— Idź.

Skłonił się po raz trzeci i wyszedł.

Aurelia czekała cierpliwie. Esthle Latek obracała w dłoni wypolerowaną dotykiem tysięcy palców likotową kostkę pitagorejską, srebrne symbole wytłoczone na jej bokach błyskały w świetle lamp pirokijnych. Kostki Pitagorasa pozostawały zakazane na Księżycu, Aurelia dopiero niedawno zapoznała się z tymi zabawkami. Lecz czy istotnie były to jedynie zabawki? Legenda głosiła, że pierwszą kostkę zaprojektował sam Pitagoras, ale prawdy oczywiście nie znał nikt. Kostki, zazwyczaj drewniane i wielkości dziecięcej piąstki, posiadały kształt regularnego wielościanu, składającego się z kilkunastu lub kilkudziesięciu mniejszych wielościanów. Każda ścianka każdego z nich (oraz, w konsekwencji, każda ścianka głównego wielościanu w dowolnej konfiguracji) posiadała przyporządkowaną liczbę, sumę liczb mniejszych, opisujących krawędzie. Ilość numerologicznych i geome-

trycznych kombinacji była w rezultacie niezwykle duża; dla każdej kombinacji istniały bogate interpretacje filozoficzne i religijne. Pitagorejczycy Ery Poalexandryjskiej używali kostki do ćwiczenia umysłów dzieci, szkolenia ich do rygoru mentalnego sekty. W zwulgaryzowanej wersji, pozbawionej oznaczeń symbolicznych, kostka rozpowszechniła się na Ziemi jako właśnie zabawka dla dzieci, popularna układanka. Nawet jednak w tym kształcie, gdy używana w systematycznych ćwiczeniach, wpływała na morfę umysłu. Aurelia wiedziała, że niektórzy ziemscy sofiści, zwłaszcza szkół orientalnych, utrzymują, iż przez wieloletnią gimnastykę umysłu na kostce Pitagorasa można osiągnąć Formę pozwalającą dostrzec najgłębszą strukturę rzeczywistości, ujrzeć Liczbę Boga.

Nareszcie esthle Latek wyrwała się z zamyślenia i przypomniała sobie o Aurelii. Odłożyła kostkę, skinęła na rytera.

— Chyba rzeczywiście mówiłaś prawdę.

— Ostrzegałam cię, despoina: ja powtórzę wszystko strategosowi.

— Och, ależ powtórz, powtórz. Czyż nie podałam mu właśnie na tacy Aegiptu i Babilonu? Nie poskąpi mi przecież tej drobnej nagrody!

Puściła do Aurelii oko i wstała, przeciągając się kocio. Aurelia również się podniosła.

— Muszę zajrzeć do rekonwalescenta — mruknęła esthle, spoglądając w roztargnieniu na kakomorficzne ptaszysko w nadsufitowym ornitorium. — Nagle zrobiła się z tego polityczna kwestia, czas ustalić datę ślubu.

Zawahała się jednak w pół kroku i obróciwszy się na pięcie, zawróciła do Aurelii. Trzymając się z dala od rozpędzonego aetheru okalającego jej prawicę, objęła Księżycankę i pocałowała ją w lewy policzek.

— Dziękuję.

— Ja naprawdę nie powinnam —

— Nie znajdujesz się na Księżycu. Zdejm to i idź potańczyć. Zobaczysz, ilu znajdziesz chętnych partnerów. Jesteś ryterem Pani — ale czy nie przyszło ci do głowy, że siła to także piękno?

Y
O naturze ludzkiej i kwiatach Hyakinthosa

Na chwilę przed tym, jak królewski diadem spoczął na skroniach Mariusza Seleukidyty, z tłumu pod stopniami zigguratu wyrwał się mężczyzna w czarnym dżulbabie Pielgrzyma do Kamienia i wyminąwszy w pędzie horrornych oraz gwardię pergamońską, pchnął sztyletem w pierś intronizowanego Seleukidyty. Ostrze przeszło przez płaszcz i tunikę, by, wyszczerbione, odskoczyć ze zgrzytem od torsu aristokraty iganazi. Mariusz ryknął piachem i żwirem, na moment zniknął cały za pustynną kurzawą. Gdy opadła, odarty ze skóry i mięśni szkielet zamachowca staczał się już po kamiennych schodach. Tłum zamilkł.

Oto na oczach Aurelii ostateczny tryumf wymykał się z dłoni strategosa Berbeleka; zwycięstwo, od którego zależało wszystko, obracało się w klęskę.

Na niebie na zachodzie, od strony Alexandretty i odległego od Amidy o ponad 2000 stadionów Morza Śródziemnego, piętrzył się front czarnych chmur. Król Burz obiecał był Strategosowi Księżyca sztorm stulecia, uniemożliwiający żeglugę na co najmniej miesiąc, by żadne okręty z wojskami Uralu i Macedonii nie mogły dotrzeć na czas do oblężonego Pergamonu — i sztormowe wichry huczały także nad Amidą, szarpiąc wielkimi sztandarami z Czwórmieczem, którymi obwieszono gęsto Ziggurat Etemenankejski i otoczono rozciągający się pod nim wielki Plac Attalidów. Teraz, gdy wszyscy wstrzymali oddechy, jak w ciszy oka cyklonu słychać było wyraźnie każdy łopot i trzask rozfurkotanych płacht materiału, trzeszczenie drzewc, świst wiatru między budynkami.

Sekunda, dwie… Ten bezruch zaraz eksploduje, zaraz zatrzęsie się Amida od ryku rozwścieczonych — oszukanych, zawiedzionych, przerażonych, zdjętych obrzydzeniem — Pergamończyków; zamiast pójść za swym panem, pójdą przeciw niemu, ruszy tu wzwyż schodów zigguratu fala gniewnego tłumu. Nie potwora, nie daimona, nie strach pustynny, przed którym

drżą dzieci, nie jego mieli ujrzeć w świętym diademie. Wolność spod babilońskiej niewoli miał im przecież przynieść szlachetny i potężny victor, piękny aristokrata wysokiej morfy — i Mariusz był nim, aż do momentu, gdy objawiła się jego gesomatyczna natura. Aurelia, horrorni, gwardia, świta królewska zebrana na szczycie zigguratu, wokół i za plecami koronującego się Mariusza — niemal fizycznie czuli, jak na dookolnym kerosie przełamuje się Forma narodu, poruszony głaz chwieje się i zaraz runie w przepaść, już słychać echo grzmotu przyszłej lawiny; ciarki przechodziły po skórze i krew dudniła w uszach.

— Hołd!

Drgnęli i na ostry okrzyk strategosa odwrócili wzrok od tłumu na dole. Hieronim Berbelek nie czekał na nich: podszedł i uklęknął przed Seleukidytą, obejmując go za kolana i przyciskając czoło do kamienia. Aurelia zrozumiała pierwsza. Przesunęła się w bok, przed Mariusza, i także uklękła; okółkolanniki wgryzły się z rozdzierającym wizgiem w granitową płytę, odłamki poleciały na wszystkie strony. Nie podnosząc głowy, hyppyres widziała innych klękających: dwóch leonidasów, siedmiu tysięczników Horroru, potem jak jeden mąż padli przed Mariuszem gwardziści, fala przyśpieszała — mgnienie oka i klęczeli tu wszyscy.

Usłyszała pośpieszny szept strategosa; znowu nie rozumiała słów. Szeptał do iganazi.

Mariusz nałożył sobie diadem na głowę.

Przez plac szedł szum wielkiego poruszenia, jeszcze nie słowa, lecz poszum ruchu gigantycznej masy ludzkiej — tam zebrało się przecież co najmniej pięćdziesiąt tysięcy amidańczyków. Aurelia nie wiedziała, co ten dźwięk oznacza, ku jakiej morfie przechylił się tłum, i nie miała możliwości tego sprawdzić, podobnie jak żaden z klęczących przed Mariuszem Seleukidytą. Musieliby wstać, obejrzeć się za siebie; a tego właśnie nie wolno im było uczynić. Nie wiedział także strategos Berbelek.

Nie podnosząc się, uniósł wzwyż dłoń zaciśniętą w pięść.

— Król Skała! — krzyknął z całych sił. — Król Petra!

Aurelia powtórzyła za nim, spuszczając po wyprostowanym ramieniu flarę czystego Ognia. Ile aeru i pyru w płucach:

— Król Skała! Król Skała!

Horrorni i gwardziści posłusznie podjęli okrzyk.

Liczyła skandowane słowa. Szum tłumu za ich plecami podnosił się niczym fala przypływu, wyżej, wyżej i wyżej, aż sięgnął szczytu zigguratu i objął ich swą Formą — i nagle już nie musieli, lecz chcieli, szczerze pragnęli wykrzyczeć radośnie w rytmie z tysiącami gardeł tryumf odrodzonego narodu.

Taka bowiem była oczywistość:

— Skała! Skała! Skała! Skała! Skała!

„Pergamon” znaczy „Twierdza”. Bodaj żadne miasto byłego Imperium Alexandryjskiego nie było oblegane tak często i tak zaciekle, żadnego tyle razy nie burzono i nie odbudowywano, i żadne w efekcie nie zostało tak potężnie ufortyfikowane. Kto je zdobył, ten przecie sam wiedział już najlepiej, jakich zmian i wzmocnień wymaga ono dla skutecznej obrony. Pół wieku temu, gdy Pergamon z kolei przeszedł w ręce Czarnoksiężnika, wzniesiono większość obecnej jego zabudowy, łącznie z podwójnym murem miejskim i gigantycznymi wieżami mostowymi na Kaikussie.

Naga równina otaczająca miasto i strome wzgórze, wokół którego je rozbudowano, stanowiła widownię tylu bitew, tylu aresów i strategosów odciskało tu swe aury, że jej keros chyba już na stałe zachował pamięć śmiercionośnych form. Nikt na Równinie Krwi nie mieszkał, nikt tu nie hodował bydła i nie uprawiał zbóż. Ludzie umierali młodo, zapadając na wszelkie możliwe i niemożliwe choroby, nawet przygodni wędrowcy łamali sobie nogi i ręce na prostej drodze, rozbijali czaszki, potknąwszy się o rzemień własnych sandałów, zwierzęta atakowały wściekle wszystko, co się rusza, a rośliny wschodziły kolczaste i trujące, jeśli w ogóle.

Namiestnik Pergamonu wypłacał wysoką pensję teknitesom kalokagatii, aby tylko godzili się mieszkać w obrębie murów; dzięki temu dało się tam żyć. Ostatnio zaczął nawet Pergamon na nowo zyskiwać sławę centrum zofii i medycyny. To tu hodował swoje ziemiożerne gewoły teknites zoonu Barluk Meszuwa, tu w roku 1174 PUR hipokratejski demiurgos somy po raz pierwszy wyjął i włożył serce i płuca z żywego człowieka do żywego człowieka. Od chwili upadku państwa Seleukidytów i rozbioru Trzeciego Królestwa granica ziem i anthosów Czarnoksiężnika i Siedmiopalcego przebiegała 1000 stadionów na wschód od Pergamonu. Po zniesieniu ceł handel między Uralem, Macedonią i Babilonem wzmógł się dwakroć; spora

jego część szła przez porty Morza Kaftorskiego i lądem od Tygrysu, Eufratu i Marat, szlakiem przechodzącym przez Pergamon. To było bogate miasto.

Aurelia Krzos ujrzała je po raz pierwszy o zmierzchu czternastego Juniusa z wnętrza łba „Urkai”, gdy wirujący szaleńczo skorpion wuja Omixosa schodził po stromym łuku nad rozłożony na Równinie Krwi obóz Horroru. Ujrzała Pergamon zrujnowany. Miasto leżało w gruzach, a co jeszcze nie obróciło się w gruz, to płonęło: z ruiny wyrastały widoczne z daleka wielkie słupy ciemnego dymu, samo niebo miało barwę popiołu. Pergamon nadal wszakże stawiał opór, nadal walczył, nie łopotał nad nim złoty Czwórmiecz.

Strategos nie planował był jednoczesnego szturmu na wschodzie i zachodzie — Pergamon na czas pierwszej kampanii miał zostać jedynie odcięty, by nie przeszkadzać w zajmowaniu ziem południowych — lecz ta nagła wolta polityczna, dająca szansę na przymierze z Babilonem, zmusiła Berbeleka do znacznie większego podzielenia sił i ataku z marszu; takich okazji się nie przepuszcza. Nie mógł wszakże znajdować się w dwóch miejscach naraz, Amida była ważniejsza, serce odrodzonego państwa, dom Seleukidytów, Amidę wyrwał Siedmiopalcemu. Teraz przybywał, by zdobyć Twierdzę; zdobyć i czym prędzej na nowo ją ufortyfikować przeciwko nadciągającym z odsiedczą wojskom Czarnoksiężnika. Nadciągną, niezależnie od tego, czy Siedmiopalcy zdecyduje się honorować owo pośpiesznie zawarte przymierze.

Bo skoro zobaczy, że przy nim jest siła — że wbrew deklaracjom esthle Latek Pergamon się broni — jaką korzyść przyniesie mu dotrzymanie słowa? Honor, powtarzał ojciec Aurelii, jest tym, co ludzie otrzymali od bogów zamiast prawdziwej mocy. Zachować honor lub go stracić możesz jedynie wobec kogoś równego sobie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oczekuje honorowego zachowania ze strony doulosa czy kratistosa. Wobec silniejszego zachowujemy się tak, jak pozwala nam jego Forma; słabszym sami ustalamy Formę zachowania. Pies może być ci wdzięczny i możesz być dla psa łaskawa, ale nie sposób złożyć psu przysięgi.

„Podgwiezdna” wypluła pasażerów za głównym szańcem południowym. Wzniesiono tu prowizoryczny maszt cumowniczy dla świń powietrznych. Nie licząc oroneiowego „Łamichmura”, strategos Berbelek dysponował czterema aerostatami. Używał ich do przerzutu ludzi, zaopatrzenia i uzbrojenia, zwłaszcza ciężkie pyresidery Horroru, stulithosowe burzycielki mu-

rów wyczekiwane były z niecierpliwością. Wszystkie cztery aerostaty trzeba było kupić, nikt bowiem nie podejmował się ich ubezpieczyć na okoliczność działań wojennych. Złoto pochodziło z Labiryntu, lecz oficjalnie należały one teraz do Domu Kupieckiego Njute, Ikita te Berbelek. Jeszcze tego samego wieczoru i w nocy, przy świetle ognisk i pochodni, przycumowały dwie świnie, dostarczając z Amidy kolejną setnię Horroru (Druga Kolumna Salicka; dopiero co przerzuciły ją pod Amidę) oraz zapasy kul i pyrosu z kaftorskich i alexandryjskich składów NIB. Grzmot pyresider nie ustawał.

Grzmot pyresider nie ustawał, ziemia się trzęsła od eksplozji potężnych ładunków pyrosowych. Aurelia obeszła wszystkie stanowiska, z których prowadzono ostrzał Twierdzy. Na Księżycu nie znano takich pyresider i makin oblężniczych, nigdy nie zaszła tam potrzeba prowadzenia oblężeń, jeden był anthos, jedna Pani, a anairesy nie wznosiły umocnień. Tymczasem pyresidery Horroru stanowiły najpotężniejsze makiny zniszczenia znane człowiekowi, do ich przesuwania i nakierowywania na cel używano behemotów oraz chowołów w zaprzęgach dziesięciokrotnych. Metalowe lufy, długie na trzydzieści i więcej pusów, obracały się na łożyskach trzeszczących przy każdym drgnięciu niczym pękający Lód. W metalu wyżegano symbole cefer mikstur pyrosowych, których zastosowanie wytrzymywała dana pyresidera. Te największe, stulithosówki, znakowane były ceferami najwyższych permutacji alkimicznych, przygotowywanych specjalnie dla Horroru przez pitagorejczyków z Południowego Herdonu:

11γ9973π

Tylko one niosły tak daleko i z taką siłą. Był to pyr omal puryniczny i po każdorazowym odpaleniu, gdy powietrze wibrowało od biegnącego nad równiną grzmotu, a stanowisko otaczała szara chmura aerowej spalenizny, wyciskająca z oczu kwaśne łzy — za każdym razem Aurelię przeszywał wówczas dreszcz jakiejś pierwotnej, nieludzkiej rozkoszy, nieporównywalnej z niczym, czego dotychczas doświadczyła. To pyr, myślała, to zapalenie pyru — arche Ognia w moich żyłach i mięśniach również się budzą i również pragną eksplodować, wejść w Formę tej alkimicznej transmutacji. Czy tak właśnie wygląda śmierć hyppyresa, o której mi tyle opowiadali: ptrruch! — i pozostaje garść popiołu? Czy tak właśnie odchodzimy, w ekstazie Ognia…?

Postanowiła trzymać się z dala od owych pyresider, nie wystawiać się na straszną pokusę, wróciła do głównego obozu. Pozostawała tu anonimowym członkiem świty strategosa, przez obóz przewijały się w każdej godzinie dziesiątki, setki osób, co chwila ktoś wpadał galopem na spienionym koniu czy zebrze i przedzierał się do namiotu strategosa, podobnie wrzało dokoła namiotów leonidasów poszczególnych Kolumn Horroru. Naliczyła ich pięć, prawdopodobnie było to największe w tym wieku zgromadzenie żołnierzy Horroru, jeśli nie w ogóle od czasu Wojen Kratistosów. Jak okiem sięgnąć — identyczni żołnierze o identycznych ruchach, w identycznych węglowych zbrojach, a do którego by się nie odezwała, odpowie w ten sam sposób, z tym samym akcentem. Już kilkanaście dni temu otoczyli miasto ciasnym pierścieniem. Oblężenie trwało przez cały ten czas, gdy strategos szedł z alexandrettyjskim desantem Horroru pod Amidę, gdy zdobywał kluczowe grody, mosty i przełęcze wschodniej, babilońskiej strefy okupacyjnej, gdy Mariusz się koronował w Amidzie i organizował pośpiesznie struktury nowego państwa.

Z platformy masztu cumowniczego, dokąd nie sięgał ostrzał z Twierdzy, strategos Berbelek obserwował teraz postępy Horroru; Aurelia wspinała się za nim. Owego pierwszego wieczoru po ich przybyciu, czternastego Juniusa, zniszczono trzecią wieżę mostową Pergamonu; pozostały cztery, dwie selinusowe i dwie cetiusowe. Dwieście stadionów na zachód, w porcie u ujścia Kaikussu, czekała flota płaskodennych statków, gotowa uderzyć na Wrota Kaikussu, gdy padnie wieża ostatnia.

Upadek wieży wyglądał jak upadek drzewa, ścięto ją jednym celnym ciosem stulithosówki w podstawę budowli: przechylając się bardzo powoli, zakreślała w powietrzu majestatyczny łuk, tuż przed osiągnięciem gruntu rozpadła się na części jak dziecinna zabawka. Gdy weń jednak uderzyła, zatrząsł się niczym pod pięścią Hefaistosa.

— Tak upada potęga Czarnoksiężnika — mruknął esthlos Berbelek, odjąwszy od oczu opticum.

— Się nie ciesz, zaraz będziesz musiał to odbudowywać. — Janna-z-Gniezna splunęła przez ramię. — Jedno wiem: nigdy, nigdy nie można być pewnym, po której stronie barykady się skończy. — Tu mrugnęła porozumiewawczo do Aurelii. — Weź za przykład obecnego namiestnika Pergamonu. Słaliśmy mu już rozmaite propozycje, ale będzie się bronił do ostatka. Kiedyś był przywódcą ruchu powstańczego. Wydał swoich ludzi i Wdo-

wiec zrobił go w nagrodę namiestnikiem Pergamonu. Wie, że żadne odgórne gwarancje nie zapewnią mu teraz przeżycia. — Janna splunęła po raz drugi. — Co za świat, miły Boże, już nawet skurwysyństwo nie popłaca.

Owej nocy, patrząc z masztu aerostatów na ciągnący się stadionami wokół murów Pergamonu pierścień ognisk wojsk Berbeleka — hen, dokąd sięgał wzrok, po ciemny horyzont — i na brudnoczerwoną łunę nad ostrzeliwanym miastem — dym przesłaniał gwiazdy nad Kaikussem — owej nocy Aurelia była przekonana, iż oblężenie Twierdzy wyglądać będzie tak samo, jak wyglądało oblężenie Kolenicy, tylko że na proporcjonalnie większą skalę i potrwa proporcjonalnie dłużej. Jednak w czasie tych kilku miesięcy, jakie minęły od Kolenicy, nastąpiła zmiana, którą Księżycanka jakoś przeoczyła — być może znajdowała się zbyt blisko strategosa Berbeleka, a być może zmiana zachodziła zbyt powoli — i ze wszystkich ludzi strategosa to właśnie Aurelia Krzos została zaskoczona najbardziej.

Szesnastego Juniusa padły wszystkie cztery jeszcze ocalałe wieże mostowe. Pyresidery Horroru uderzały z nieludzką precyzją, puszkarze Berbeleka systematycznie masakrowali oblicze miasta, odłupywali wielkie kawały centralnego wzgórza. Zgruzowano do reszty zewnętrzny mur południowy i wschodni. Wieczorem Pierwsza Kolumna Byzantyjska pod dowództwem leonidasa Prerugi w gwałtownym ataku z ziemi i wody zajęła Wrota Kaikussu. Horror przesuwał się na nowe pozycje za szańcami na tarasach zboczy Doliny Kaikussu. Hieronim Berbelek wysłał herolda z propozycją honorowego poddania Pergamonu; zastrzelono go, gdy podjechał pod bramę. W nocy jednak — rzeką i przez wyłomy w obalonych murach — zaczęli spod oblężenia uciekać sami pergamończycy. Nagle wszyscy okazywali się zagorzałymi poplecznikami Seleukidytów. Wypytywano ich o liczebność, rozmieszczenie i uzbrojenie obrońców, o zapasy i morale.

Siedemnastego Juniusa strategos Berbelek objechał kilkakrotnie Pergamon od strony wschodniego dopływu Kaikussu, Cetiusu. Obrońcy musieli widzieć Berbeleka — jechał z nim chorąży z Czerwoną Szarańczą. Horrorni wznosili okrzyki, grały rogi. Zaraz potem poszły trzy szybkie szturmy: wschód, wschód, południowy wschód. Do wieczora zajęto międzymurze. „Urkaja” spadała z nieba na ocalałe stanowiska pergamońskich pyresider, uderzenie ogona aetherycznego skorpiona rozbijało metal i kamień. Mekanicy Horroru rozpoczęli podkopy pod mury wewnętrzne. Po zmierzchu przybyły pierwsze oddziały nowo sformowanej Armii Czwartego Pergamo-

nu. Strategos Berbelek kazał im rozbić wielki obóz na północ od miasta, każdy człowiek miał rozpalić jedno ognisko.

W nocy z siedemnastego na osiemnasty ruszył szturm od zachodu, całe trzy Kolumny Horroru — w poświacie niezliczonych pochodni, w ciągłej kanonadzie herdońskich wielolufowych keraunetów, nad wodami Kaikussu płonącymi od wylanych w nie trucizn alkimicznych, pod setkami czerwono-czarno-białych sztandarów Horroru, pod dziesiątkami sztandarów horrornych aresów, w takim natężeniu śmiertelnych aur, że ludziom pękały serca, krew buchała uszami i nosem, płynęła z oczu, a ostatni obrońcy Twierdzy umierali na jej murach z czystego przerażenia. Noc była ciemna, duszna, cofnęły się burze znad Morza Śródziemnego, popiół unosił się w powietrzu, gorące piekło płonącego miasta tylko zagęszczało dookolną ciemność. Splecione z hydorowo-gesowych cefer grafitowe zbroje horrornych, w których miękkich płytach grzęzły kule i odłamki szrapneli, wtapiały żołnierzy w matowy mrok. Nad ziemią przetaczał się nieprzerwanie jeden długi, rozedrgany huk, zagłuszający nawet ryki behemotów. Stulithosówki waliły ponad głowami szturmujących, z krążącej nad Twierdzą „Urkai” spadały pyrosowe bomby, makiny rozbijały się o mury, mury rozbijały się o makiny. Żelazna morfa Horroru objęła wszystkich atakujących, także ochotników spod znaku Seleukidyty, nikt się nie cofał, nie można było się cofnąć, odwrót był nie do pomyślenia, klęska była nie do pomyślenia, możliwe było jedynie zwycięstwo — Hieronim Berbelek wspinał się ku Pergamonowi na grzbiecie brunatnego gebehemota, obejmując swym spojrzeniem i anthosem pole walki — możliwe było jedynie zwycięstwo.

Świt osiemnastego Juniusa ujrzał Pergamon pod sztandarami Czwórmiecza i Szarańczy, z głową uralskiego namiestnika zawieszoną u południowej baszty; milczały pyresidery i keraunety, zwijano obozowiska na Równinie Krwi, czarne szeregi Horroru wlewały się do miasta — Pergamon padł.

„Urkaja” zaniosła wiadomość o zwycięstwie do Amidy; zaraz wróciła z posłem od Mariusza, nowo mianowanym kanclerzem Króla Skały. Strategos skończył właśnie przyjmować hołd od pergamońskiej aristokracji i powitał kanclerza w sali audiencyjnej cudem ocalałego pałacu namiestnikowskiego, na gorejącym krześle z kości fenixów, z leonidasami Horroru po prawicy, z Aurelią w pełnej zbroi hyppyresa po lewicy, w otoczeniu horrornych Obola, z inkrustowaną oczyma fenixów zdobyczną ryktą w dłoni.

Forma chwili zmusiła kanclerza do przyklęknięcia.

— Esthlos.

— Mów.

— Gratulacje i honory od króla Mariusza Seleukidyty. Lud świętuje na wieść o odzyskaniu starożytnej stolicy. Wczoraj wieczorem do Amidy przybył z pełnomocnictwami z Nowego Babilonu esthlos Sayheed Piąty z Katrybitów. Kratistos Siedmiopalcy zapytuje o czas i miejsce rokowań w sprawie szczegółowego traktatu pokojowego między Babilonem i Czwartym Pergamonem.

— Pozostaje to w gestii króla.

— Tak, esthlos. Sayheed Katrybita zapytuje jednak również o warunki nowego podziału kerosu. Mariusz Petra chciałby wiedzieć, pod czyim anthosem ma się ostatecznie znaleźć Czwarty Pergamon. Kratista Jezebel Miłosierna nie żyje od czterdziestu lat. Kratisos Siedmiopalcy pyta: czy ma się układać bezpośrednio z kratistosem Rogiem? czy będzie nowa wojna o keros? kto zamieszka we Floreum Pergamonu?

Tradycja Drugiego i Trzeciego Pergamonu odsuwała króla poza bezpośredni wpływ kratisty, inaczej niż na przykład w Aegipcie, gdzie Hypatia mieszkała zaledwie kilkanaście stadionów od wieży Nabuchodonozora, czy we Frankonii, gdzie kratistos Leo Vialle wizytował co chwila dwór królewski — ale już w Dżazirat al'-Arab książęta pustyni wędrowali ze swymi plemionami wzdłuż i poza granicą korony Efrema. Podobnie tutaj: Seleukidyci rezydowali w Amidzie, kratista — w Pergamonie.

W istocie to właśnie anthosowi Jezebel Łagodnej, Jezebel Miłosiernej i Wybaczającej przypisywano winę za klęskę Seleukidytów i rozbiór Trzeciego Królestwa. Gdyby tutejszych aristokratów nie rozmiękczyła tak tolerancyjna morfa kratisty, nie ulegliby najeźdźcom, a najpewniej w ogóle nie sprowokowaliby najazdu swą słabością. Nic dziwnego, że Jezebel uciekła i w końcu zmarła w samotności (ponoć pękło jej serce z rozpaczy). Cóż to bowiem za kratista, co za sprzeczność w Potędze: siła słabości. Aurelii wystarczyło porównać ją z Illeą. Nie dlatego Wiedźma jest potężna, że jest okrutna, lecz okrucieństwo stanowi atrybut potęgi. Jezebel nie wyciągnęła wniosków z przykładu Kristosa, którego miłosierdzie jawnie przekroczyło wszelkie granice szaleństwa, choroby morfy. Ci, co wybaczają, winni być w razie potrzeby zdolni do okrucieństw największych.

Aurelia natychmiast ujrzała wszakże dalsze implikacje pytania kanclerza. Bo i co z tego, że zagarnęli ziemie, skoro w kerosie nadal najsilniej odbija

się morfa okupantów? Królestwo Pergamonu nie jest niepozornym kraikiem w rodzaju Neurgii, który może w nieskończoność balansować na granicy wielkich anthosów.

Kilka godzin wcześniej, gdy jechali zimnym świtem przez ulice miasta, Aurelia przypatrywała się Pergamończykom, niby wiwatującym na cześć zdobywców i powiewającym barwami Seleukidytów. Jeszcze entuzjastyczniej wiwatowali byli amidańczycy na Placu Attylidów — wszyscy z sześcioma palcami u rąk. Skoro tyle widać w ich ciele, to co pozostało z Czarnoksiężnika w umysłach Pergamończyków? Trzeba wyrugować z narodu Formę okupanta. Jak jednak to uczynić, jeśli Kryształowe Floreum pozostanie puste i w kerosie kraju nadal będą się ze sobą ścierać korony Siedmiopalcego i Czarnoksiężnika?

Można oczywiście oddać się dobrowolnie w anthos jednego z nich, a ponieważ Wdowiec nie wchodzi w grę…

Istniała wszakże jeszcze jedna ewentualność.

Nikt nie rodzi się strategosem, nikt nie rodzi się victorem i tyranem — i nie wszyscy kratistosi rodzą się kratistosami.

— Kyrios — szepnęła Aurelia, nachyliwszy się nad ramieniem esthlosa Berbeleka — to jest spisek Siedmiopalcego i Czarnoksiężnika, chcą związać cię z Pergamonem, żebyś już nie —

Strategos spojrzał na nią i zamilkła.

Skinął na kanclerza.

— Za kilka dni wrócę do Amidy i osobiście omówię tę kwestię z Mariuszem. W każdym razie może być pewien, że jego królestwo nie pozostanie już dłużej pod morfą okupantów. A teraz racz mi wybaczyć, mam tu pilne sprawy do załatwienia. Aurelia, ze mną.

Wyszedł szybkim krokiem do atrium na tyłach pałacu.

— Zapominasz się! — warknął na rytera, zatrzymawszy się tam pod wodną palmą. — Nie po to cię zabrałem na Ziemię, żebyś mi udzielała politycznych rad!

Zacisnęła pięści — aż zawyły w pędzie rozpuchnięte wirkawice — zacisnęła pięści i nie ustąpiła przed gniewem strategosa.

— A po co mnie zabrałeś, esthlos? Abym stała u twego boku i swoją milczącą obecnością sankcjonowała w imieniu Pani każdą twą decyzję — aby oni myśleli, że Pani je sankcjonuje? Nie będę tego robić! Skoro zamierzasz ją zdradzić —

Hieronim Berbelek roześmiał się.

Aurelia stanęła w ogniu.

— Panie! Błagam cię!

Machnąwszy lekceważąco ręką, strategos przysiadł na marmurowym murku otaczającym impluvium. W basenie pływały drobne, czerwone rybki; przez chwilę śledził w zamyśleniu ich pląsy.

— Uspokój się — mruknął do Księżycanki. — Skąd ci w ogóle przyszła do głowy ta zdrada?

— Myślisz, że ja tego nie widzę? Wszyscy już widzą! Jesteś Strategosem Księżyca, o Księżyc powinieneś się troszczyć. Czyżby Hierokharis ci nie powiedział? Nawet ja wiem z plotek na „Podgwiezdnej”: adynatosi znowu próbowali wylądować na Drugiej Stronie. Pani dała ci złoto, Pani dała ci wojsko, Pani dała ci potęgę, abyś zabił arretesowego kratistosa. A ty co robisz?

— Co ja robię? — uniósł brew. Lewą dłonią mącił wodę impluvium.

— Czarnoksiężnik — rozumiem, musisz jakoś ich zjednoczyć, przekonać do Illei, zwrócić przeciwko Skrzywieniu. Ale ty już nawet nie myślisz serio o uderzeniu na Ural, prawda? Co dopiero o wojnie aetherowej! Po prostu wykorzystujesz —

— O! A można wiedzieć, skąd taki wniosek?

— Janna mnie oświeciła — parsknęła z sarkazmem Aurelia. — Każdy człowiek wystarczająco silny, by zabić kratistosa, zwłaszcza adynatosowego, jest zarazem wystarczająco silny, by wykroić sobie na Ziemi jakąś potęgę porównywalną z kratistosową.

— To prawda.

— W imię czego więc miałby z tego rezygnować? A teraz Mariusz przysyła kanclerza i otwarcie prosi, byś został protektorem Czwartego Pergamonu. W istocie już nim jesteś, bez twojego Horroru nie przetrwa on ni miesiąca. Naprawdę myślałeś, że kogokolwiek zmyli to przedstawienie w Amidzie? Składając Mariuszowi hołd, ty go koronowałeś! Kyrios!

Strategos podniósł wzrok. W przejściu za kolumnadą atrium tłoczyli się pałacowi doulosi; pod spojrzeniem Berbeleka cofnęli się pośpiesznie. Esthlos wskazał mokrą dłonią napis wykuty na łuku nad wejściem do reprezentacyjnej części pałacu. *Ethos antropou daimon.*

— Charakter człowieka jest jego losem. Ciekawe, dlaczego nasz były namiestnik pozwolił tu zachować tę mądrość Heraklita. Pięknie się sprawdziła

w jego przypadku. Jak sądzisz, Aurelio, czy tak jest w istocie? Charakter człowieka jego losem.

Aurelia wyraźnie czuła, jak strategos wciąga ją w formę błahej, przyjacielskiej pogawędki. Nie mogła nic poradzić; jakże odpowiedzieć krzykiem na takie słowa? To już by była bezrozumna histeria.

— Nie wiem — wymamrotała.

— Masz dobre serce, silny charakter. Czego się boisz? Postępuj, jak nakazuje ci twoja natura.

Przez otwarte compluvium spojrzał na bladoszare niebo, zasnute ciemnymi pasmami dymu.

— Nie ma jeszcze południa. Zdejm tę zbroję, koniec części oficjalnej. Przejdziemy się po mieście, zawołaj Obola.

— Kyrios…

— Co, mam ci może złożyć przysięgę?

Pokręciła głową.

— Nie, wiem, że nie może być między nami żadnego honoru. Dopóki mogę ci wierzyć, muszę ci wierzyć.

Zaśmiał się ponownie. Złapawszy jedną z rybek, przyglądał się jej, trzepoczącej panicznie na dłoni.

— Pani ci wynagrodzi.

Posąg Ateny Polias leżał w kałuży oleistego błota, ukruszony na wysokości kolan; Atena nie miała także głowy. Na osmalonym korpusie bogini siedziała horrorna w rozprutym węglowym napierśniku i pomagając sobie zębami, lewą ręką bandażowała rękę prawą. Na widok strategosa poderwała się do salutu, bandaż spadł w błoto. Esthlos Berbelek wskazał rozżarzoną ryktą w dół wzgórza, na ruiny gymnazjonu, nad którymi nadal unosiły się kłęby czarnego dymu.

— Tam przeniesiono lazaret.

Portyk Biblioteki Pergamońskiej zniszczony został prawie w dwóch trzecich, stały tylko kolumny najbardziej oddalone od Świętego Kręgu. A raczej od tego, w co pod anthosem Czarnoksiężnika zamieniono Święty Krąg: plac z fontanną i kilkoma rzeźbami pośrodku kompleksu urzędniczego. Na północ od placu znajdował się główny budynek Biblioteki Pergamońskiej, na zachód — świątynia Ateny, za którą półokręgi kamiennych stopni scho-

dziły po szerokim stoku ku miastu. W świątyni Ateny za rządów Uralu mieściły się biura milicji. Pozostała z nich jeno kupa osmalonych gruzów: spadła tu jedna z owych naprędce spreparowanych bomb „Urkai”. Większość najstarszej części Biblioteki, wzniesionej jeszcze za Attalidów Alexandryjskich, przetrwała w niewiele lepszym stanie. Esthlos Berbelek chciał wejść przez zachodni portyk i trafił na spiętrzone powyżej głowy zawalisko. Wszystko tu było mokre, oślizgłe od brudnej wilgoci, woda zbierała się w pęknięciach płyt.

Obeszli kolumnadę naokoło.

— Czego znowu, może byście lepiej pomogli, zamiast… Aaa! No o co chodzi?

Kilkanaście osób wynosiło tu na zewnątrz stosy książek i pergaminowych zwojów, doulosi układali je na dziedzińcu. Mężczyzna kierujący operacją, wysoki starzec byzantyńskiej morfy, ujrzał najpierw horrornych towarzyszących strategosowi (Berbelek zabrał ze sobą czworo żołnierzy), dopiero potem samego strategosa. Nie znał go, lecz oczywiście rozpoznał morfę. Skłonił się sztywno.

— Esthlos. O co chodzi?

— Tyś jest Meton Mesyta?

— Tak.

— Poszukuję pilnie pewnych tekstów, wasza biblioteka posiada ich kopie. Kto zarządza katalogami?

— Jak widzisz, esthlos, nie jest to najlepszy moment… Wyższe magazyny spłonęły, podziemia są zalane… Całą noc gasiliśmy pożary, czego nie strawił ogień, to zniszczyła woda. Nie wiemy jeszcze, ile uda się ocalić. Gdyby nie te ciągłe burze od morza, spłonęłoby wszystko. Sama odbudowa Biblioteki —

— Tym się nie przejmuj, najpewniej w ogóle nie będziemy odbudowywać miasta. Z pewnością jednak —

— Co?

— Z pewnością jesteś w stanie wskazać mi człowieka —

— Co ty wyprawiasz?! Odsuń się!

To z kolei skierowane było nie do strategosa, lecz do Aurelii, która tymczasem oddaliła się od rozmawiających i krążąc między nierównymi barykadami z książek i zwojów (wynoszono tu także skrzynie z glinianymi tabliczkami oraz bębny zetlałych tkanin), natknęła się na oryginalne *Pisma*

rzymskie Provegi i komplet komedii Ligajona w greckim wydaniu. Pochyliwszy się, zaczęła je kartkować. Musiała przeskoczyć z jej dłoni podświadoma iskra, bo zaczął się palić papier jednego z woluminów z sąsiedniego stosu.

Odstąpiła pośpiesznie. Podbiegł brodaty Babilończyk z mokrą szmatą w ręku, zgasił płomień.

— Co ty sobie właściwie wyobrażasz? — warczał z głębi skołtunionej, częściowo spalonej brody. — Żeby jeszcze po tym wszystkim przychodzić tu z ogniem! Wyrzuć tego tytońca!

Przed opuszczeniem pałacu Aurelia zgodnie z poleceniem esthlosa Berbeleka zdjęła była zbroję. Z pałacowej garderoby wybrała sobie natomiast kolorową induską spódnicę, przyzwoicie długą, acz wiązaną nisko na biodrach. Pamiętając o radach Alitei, znalazła także kilka tyleż bezużytecznych, co pięknych dodatków: naszyjnik jasno odbijający się błyszczącym srebrem od ciemnej skóry, luźne bransolety cygańskie, błękitne napalcówki ze skóry bazyliszka. Czyniąc do lustra głupie miny, na koniec obwiązała sobie jeszcze głowę axumejskim turbanem, czerwonym jak midajskie wino. Kim teraz była? Przebraniem czy tym, co przebrane? Jakie przebranie nosiła w swej nagości? Kim by pozostała po odjęciu ciała? Być może rację mieli, nazywając ją Panną Popielną, albowiem popiół będzie przecież jej Formą ostateczną. Tak naprawdę nie znamy własnej morfy, dopóki nie zderzymy jej z morfą obcą.

— Nie palę — mruknęła.

Brodacz zdawał się nie zwracać już na nią uwagi; wpółobrócony, wymieniał w nie znanym Aurelii języku gniewne okrzyki z innymi bibliotekarzami. Przyjrzała mu się lepiej. Był młodszy, niż oceniła na pierwszy rzut oka, brudna tunika, zmierzwione włosy i osmalona skóra maskowały go skutecznie. Sądząc wszakże po rubiowym sygnecie na szóstym palcu i gniewie w obecności strategosa Berbeleka, mógł być nawet aristokratą.

— A konkretnie *Opowieść zimową* Ludwiga Huna — objaśniał tymczasem Metonowi Mesycie esthlos Hieronim. — Część, w której zawarta jest relacja ze ślubu i wesela Maksyma Roga. Istnieje też traktujący o tym poemat Abaszy Mścisłowicza, niekiedy dołączany do *Opowieści zimowej*. Ponadto przedprovegową wersję podania o Izydorze Rodyjskim; wtedy jeszcze nie uważano tego za legendę, Tucydydes Drugi zdawał relację z zabójstwa kratistosa Piotra Akantyjczyka jako z faktu historycznego. Wiem, że

oprócz *Chwały* Tucydydesa, jest o tym w *Pamiętnikach Chersoneskich* — ponoć posiadacie ich pełne wydanie.

— Esthlos…

— Wskaż człowieka.

— Nie dotarliśmy jeszcze do działów historii starożytnej. W tej chwili —

— Sam pójdę.

— Wywołasz pożar, esthlos, naprawdę —

— Już. Aurelia, zostań.

Strategos rzucił Księżycance pyryktę (złapała ją w powietrzu ponad ścianą książek, w ostatniej chwili powstrzymawszy się przed ognistym wymachem ramienia), chwycił Metona za łokieć i pociągnął go do wnętrza magazynów Biblioteki. Horrorni podążyli za nimi.

Brodacz zmierzył Aurelię przeciągłym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. Przyciskając gorącą ryktę do boku, wycofała się ostrożnie z labiryntu pergaminu i papieru, aż w końcu stanęła na pogruchotanych płytach Świętego Kręgu, za ruiną portyku Biblioteki. Babilończyk, wytarłszy ręce w szmatę i cisnąwszy ją w kałużę, postąpił za dziewczyną.

— Aurelia, tak? — Chyba się uśmiechnął, tak ułożyły się zmarszczki na osmalonej twarzy; bo broda kryła resztę, można się było tylko domyślać. — Nie bój się, my tylko tak krzyczymy.

Czy rzeczywiście sprawiła wrażenie zalęknionej dziewczyny? Uśmiechnęła się niemo w odpowiedzi.

Wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją. Wtedy zaskoczył ją, pochylając się i całując wnętrze jej nadgarstka.

— Esthlos Kykur Aszamader. To chyba nie gorączka? Słyszałem, że w mieście pojawiła się zaraza, zginęło zbyt wielu teknitesów ciała. Chodźmy może z tego pogorzeliska, nie mogę już wytrzymać smrodu; co miało spłonąć, spłonęło, pozostały starożytne kamienie. Esthle. Proszę.

— Powinnam czekać —

— Zajmie im dłuższą chwilę. Proszę.

Usiedli na najwyższym stopniu schodów za ruiną świątyni Ateny.

— Proszę, herdońska mieszanka. — Tytońcówka Kykura była już w dwóch trzecich pusta. — Tu możemy zapalić, esthle.

— Nie palę — powtórzyła, zarazem dziecinnie podniecona i przestraszona faktem, iż on bierze ją za aristokratkę — a ona nie zaprzecza.

— Mhm, zdawało mi się, że właśnie wydmuchiwałaś dym.

— Ja —

— Popatrz, runął północny akwedukt. — Zapaliwszy sobie tytońca, wskazał nim w prawo, na dzielnice bogaczy. Stamtąd również wznosiły się w niebo czarne słupy, pożary szalały w całym Pergamonie.

Znajdowali się na szczycie wzgórza, prawie dwa stadiony ponad rzeką. Rozciągała się przed nimi ponura panorama: zrujonowane miasto, jak pole nagich kości, architektonicznych kikutów wystających z błota, z poharatanej ziemi, ze zgruchotanego bruku ulicznego. A za szczerbatym pierścieniem fortyfikacji — Równina Krwi, która nie była bynajmniej koloru krwi, lecz też właśnie popiołu. Nawet wody Kaikussu nie odcinały się jaśniejszą barwą.

Utrzymywał się wiatr z zachodu (morze nadal się nie uspokoiło po paroksyzmach aury Króla Burz), przynosząc nad wzgórze Ateny tłusty smród śmierci i spalenizny. Plotka o zarazie była prawdziwa, Aurelia wiedziała, że strategos rozkazał palić zwłoki na wschodnim zarzeczu. Były oczywiście ofiary wśród zwycięzców, Horror zapewne otworzy tu nowy nabór — ale bez porównania mocniej ucierpieli obrońcy i ludność cywilna. Zresztą w anthosie Czarnoksiężnika zazwyczaj trudno było w ogóle odróżnić cywili, bliżej Uralu panował posłuch tak wielki, że na rozkaz hegemona wszyscy stawali pod broń przeciwko najeźdźcy, mężczyźni, kobiety i dzieci, starcy i szaleńcy. Przynajmniej nie sprawiało potem kłopotu zbrojne podziemie czy miejska partyzantka: po raz przesądzonej klęsce poddawali się z równą karnością.

Dymy owych stosów ginęły wszakże za dymami wciąż gorejących pożarów. Ciasna zabudowa Pergamonu, zwłaszcza biedniejszych jego dzielnic, gdzie główny materiał stanowiło drewno, uniemożliwiła szybkie powstrzymanie już rozpędzonego ognia. Między krzywymi filarami spalenizny Aurelia dostrzegła krążącą nad miastem „Urkaję”: Księżycanie w aetherycznym skorpionie obserwowali przesunięcia frontu płomieni i dostarczali aktualne informacje do sztabu Kolumny Medyjskiej, której strategos powierzył walkę z ogniem.

Ogień, ogień, ogień, nie powinnam bez przerwy o nim myśleć. Jestem piękną aristokratką ze świty Berbeleka Zdobywcy, jestem Ziemianką, nie znam ognia. Tfu!

— …że ma młodą córkę i —

— Co mówiłeś?

— Lecz nie widzę podobieństwa, jednak inne morfy.

— Ach, nie, Alitea została w Alexandrii.

— Tak myślałem. Ale mówił ci chyba, co zamierza, prawda? Z tym zaniechaniem odbudowy miasta — to żart?

Aaa, więc o to mu chodzi: próbuje wyciągnąć ze mnie sekrety strategosa.

— Jesteś Babilończykiem, esthlos, nie mieszkasz tu długo, właściwie co robisz w Bibliotece Pergamońskiej?

Kykur wykonał skomplikowany gest dłonią z tytońcem.

— Rodzina mnie wysłała. Powikłania dynastyczne na dworze w Nowym Babilonie, a jako sofistes na emigracji nikomu nie wadzę. Wiesz, jak to jest. Prowadziliśmy w Pergamonie liczne interesy — i właśnie nie mam pojęcia, co teraz. Uciekać? Czarnoksiężnik upomni się o swoje. Może istotnie najrozsądniej —

— Słyszałeś, o jakie teksty on pytał?

— Strategos? — Kykur obejrzał się na Aurelię. — Mhm, co sugerujesz?

Wzruszyła ramionami.

— Nie czytujesz gazet? A może pod Wdowcem o tym nie piszą. To nie jest wojna dla odzyskania ziem Seleukidytów; to element wielkiej kampanii przeciwko Czarnoksiężnikowi, powstał alians kratistosów i królów Europy, Azji i Afryki. Uciekaj, esthlos, w Babilonie powinieneś być bezpieczny.

— Siedmiopalcy przecież —

— Już nie. — Położyła sobie pyryktę na udach, rozżarzone ślepia ptaków popielnych łypnęły na nią spomiędzy kwietnych wzorów spódnicy. — O tym gazety napiszą jutro.

— Aha. — Zaciągnął się dymem, spojrzał na Aurelię uważniej. — Interesujesz się polityką, esthle?

— To znaczy czym? — prychnęła. — Interesuję się światem. Tylko niewolników, szaleńców i samobójców nie obchodzi polityka — im wszystko jedno, jak żyją.

— Chciałem powiedzieć… Właściwie skąd pochodzisz, nie mogę rozpoznać tego akcentu. Jeśli wybaczysz tę ciekawość, esthle.

Dotknęła błękitnym palcem dolnej wargi.

— No proszę, prawdziwa zagadka, domyśl się, esthlos.

Zmrużył lewe oko.

— A co w nagrodę, gdy odgadnę?

— Ha, co dla mnie, gdy nie odgadniesz?

— Nigdy piękno bardziej bolesne niż w czasach wojny i zniszczenia.Odwiedziłaś już może Kryształowe Floreum, esthle? Sprawdzałem, ocalało. Po zmierzchu ulatniają się Mgły Jezebel, nie widziałaś nigdy czegoś podobnego. Chyba nie opuścicie miasta przed wieczorem?

Wówczas Aurelia doznała olśnienia: on próbuje ją uwieść!

Wybuchnęła śmiechem.

Tytoniec wypadł Kykurowi spomiędzy palców. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na gasnące na skórze Aurelii iskry, rozwiewający się sprzed jej twarzy dym.

Tłumiąc śmiech, nachyliła się ku niemu, ścisnęła za ramię. Drgnął.

— Przepraszam, nie powinnam była. Nie jestem aristokratką. Aurelia Krzos, Jeździec Ognia, ryter Illei Okrutnej. Tak, Księżycowej Wiedźmy. No, już, przepraszam, przepraszam.

— Ależ — wziął głębszy oddech i również się zaśmiał — ależ nie ma za co! Z Księżyca, tak? Wygrałaś, w życiu bym nie odgadł. Chociaż z drugiej strony, Elking rzeczywiście pisał… Ach, ale właściwie czego ty sobie życzyłaś w nagrodę, esthle?

— Mówię przecież, że nie jestem —

— A to ciekawe, bo dałbym sobie głowę uciąć, mhm, no powiedz, czy doulos potrafi udawać człowieka wolnego przed prawdziwie wolnymi? Nie byłby doulosem. Ale ja chciałem coś innego —

Obejrzeli się wraz na nagły odgłos splunięcia za plecami. Trzy stopnie wyżej przysiadł na piętach wysoki izmaelita w czarnym burnusie, jeden z owych wojowników pustynnych przyprowadzonych pod komendę Berbeleka przez Mariusza Seleukidytę. Twarz miał prawie całkowicie zakrytą przez wielokrotnie zawiniętą, brudną trouffę, błyskały w szczelinie jedynie błękitne oczy. Czarny turban był przekrzywiony, wystawały spod niego przetłuszczone włosy. Na kolanach złożył izmaelita stary keraunet o bardzo długiej lufie, pokryty matowymi inkrustacjami, tu i tam układającymi się w arabskie słowa. Zza pazuchy wystawała rękojeść kandżara. Mężczyzna sięgał tam, by wyjąć i wcisnąć między zawoje trouffy do ust wysuszone liście jakiejś rośliny. Przeżuwszy je, spluwał głośno. Dłonie miał gęsto otatuowane, z paznokciami kciuków morfowanymi w rogowe szpony.

Esthlos Aszamader skinął w milczeniu na Aurelię. Wspięli się na powrót do Świętego Kręgu, omijając czarnego beduina.

Kykur ujął Aurelię pod ramię. Powstrzymała się przed odruchem uwolnienia ręki. Miał taką zimną skórę… Przesunęła palcami po jego przedramieniu, nacisnęła mięsień, wyczuwając kształt kości pod spodem — teraz to ona go prowadziła, do jej kroku dostosowywał swój. Byli jednakiego wzrostu.

— …ciągle niebezpiecznie na ulicach, ale nie chodzę sam, zabrałem tu ludzi, żeby pomogli w ratowaniu Biblioteki, i jeśli chcesz — Urcz! Zabachaj! — jeśli nie wyjeżdżasz dzisiaj, esthle, a nie wyjeżdżasz?

— Nie, chyba nie, nie sądzę.

— Nie masz pojęcia, co tu się działo podczas oblężenia, sprawiłoby mi wielką przyjemność twoje towarzystwo chociaż na ten jeden wieczór, zobaczysz, po kąpieli i w czystych szatach zacznę przypominać człowieka. Opowiesz mi wszystko o Księżycu, może nawet ci uwierzę, ha!

— Nie uwierzysz, ale to i lepiej.

— A więc dobrze! Selinusowe Hospicjum leży w gruzach, mieszkam w dworze przyjaciela, pod północnymi zbiornikami. Gdzie ty —

— W pałacu namiestnikowskim.

— Ach! No tak. — Zatrzymawszy się przy ruinach portyku Biblioteki, uniósł dłoń Aurelii do ust. Zadźwięczały bransolety. Przyciskając wargi do gorącego nadgarstka, nie opuszczał spojrzenia z oczu Księżycanki. — Ależ prędko bije ci serce.

— Nie pochlebiaj sobie, nasza krew zawsze jest szybsza.

— Przyśpieszy jeszcze bardziej.

Uśmiechali się już oboje. Im lżejszy ton i słowa bardziej żartobliwe, tym więcej prawdy w uśmiechu i morfie ciała. Teraz już decyduje krótkie mrugnięcie, półoddech, szelest jedwabiu i promień słoneczny drgający na krzywiźnie jej piersi.

— Nie będzie zazdrosny? — szepnął.

— Kto?

— Strategos.

— Może.

— Lubię, kiedy są zazdrośni.

— Wiesz co, lepiej jednak najpierw się umyj.

— Gdy tylko —

Wypadli zza ruiny, zadyszani: dwaj mężczyźni jednakiej żołnierskiej morfy, jednako usmoleni, nawet w dżibach podobnie podartych i ubłoco-

nych.

— Wołałeś nas, esthlos?

Forma pękła jak bańka mydlana, Kykur i Aurelia odstąpili od siebie, zgasili uśmiechy, Aszamader puścił rękę Księżycanki, obrócił się do mężczyzn.

— Gdzieście się podziewali? — warknął.

— Zawalił się strop w —

— Nieważne. Wracamy do Szygedy. Marduku, jak wy wyglądacie!

— Esthlos, ty sam —

Kykur zgromił ich wzrokiem.

— Teraz trudno dać wiarę — rzekł do Aurelii — ale jeszcze niedawno służyli w Szarej Gwardii Siedmiopalcego. Przyjechali tu kurować przyjaciela u pergamońskich teknitesów. Wiele zawdzięczają Aszamaderom.

Aurelia zastukała pyryktą o obaloną kolumnę.

— Ja jednak muszę wpierw pomówić ze strategosem. Wybacz, esthlos.

Kykur wyjrzał zza załomu gruzowiska na dziedziniec Biblioteki i machnął na Aurelię. Podążyli za nim.

Strategos Berbelek dyskutował tam o czymś z Metonem Mesytą. Dwaj z horrornych ściskali w objęciach związane powrozami grube paczki książek. Ujrzawszy Aurelię i esthlosa Aszamadera, Meton wskazał ich strategosowi.

Berbelek rzucił horrornym krótki rozkaz i podszedł do Aurelii. Zwróciła mu pyryktę. Berbelek przesunął wzrokiem od Księżycanki do Babilończyka i z powrotem. Uniósł brew. Czy Forma była aż tak oczywista? Aurelia uśmiechnęła się niepewnie i klasnęła dłonią o udo.

Kykur otworzył usta, lecz pod spojrzeniem strategosa zamilkł przed wypowiedzeniem pierwszego słowa. Berbelek trzasnął ryktą o cholewę jugra i odszedł. Odchodząc, obejrzał się jeszcze przez ramię na umorusanych ludzi Aszamadera, raz i drugi, i trzeci.

Kykur odetchnął głośno, a następnie teatralnym gestem otarł pot z czoła, rozmazując przy tym po twarzy szary popiół.

— No, skoro to przeżyliśmy, odtąd może się nam tylko szczęścić. Pozwolisz, esthle? — Po czym zwrócił się do Urcza i Zabachaja. — A jak nam jednak tymczasem ukradli te szkapy, łby pourywam. Swoją drogą, musicie mi kiedyś wyjaśnić, skąd nasz victor niezłomny zna parę takich hultajów jak wy.

Spojrzeli po sobie, skonsternowani.

— Nigdy wcześniej go nie widzieliśmy, esthlos. Przecież byśmy nie zapomnieli.

— Hyakinthos, młodzieniec wielu cnót i niezwykłej urody, znany był ze swych przymiotów w całym Lakademonie. Rozbudzał gorące uczucia zarówno pośród śmiertelnych, jak i nieśmiertelnych; nie oparł się jego urokowi sam Apollo. Przyjaźń i miłość między śmiertelnikiem i bogiem, nawet jeśli jest prawdziwa, nigdy nie jest dla śmiertelnika bezpieczna. Zdarzyło się, iż Hyakinthos i Apollo popisywali się wzajem przed sobą biegłością w rzucaniu dyskiem. Hyakinthos cisnął go wysoko i daleko, lecz bóg jeszcze dalej. Młodzieniec, chcąc czym prędzej powtórzyć rzut i zaimponować kochankowi, pobiegł ku miejscu upadku dysku. Ten, spadłszy, odbił się od gruntu pod takim kątem, że trafił Hyakinthosa w skroń. Hyakinthos padł z roztrzaskaną głową. Krew tryskająca z rany zrosiła płatki rosnących tam kwiatów; keros ugiął się pod ciężarem rozpaczy boga i plamy krwawej czerwieni weszły na stałe do morfy owych roślin. Spójrz. Dlatego je tak nazywamy.

— Piękne.

— Proszę. Nie spal przypadkiem.

— Dziękuję.

— W innej wersji legendy to zazdrosny o Hyakinthosa Zefir nagłym podmuchem wiatru spowodował fatalną zmianę toru lotu dysku. Mhm, czy wiesz, dlaczego ci to opowiedziałem?

— Och, domyślam się. Wszyscy mu to mówią, Janna najgłośniej: jeszcze żaden śmiertelnik nie wyszedł dobrze na konszachtach z Potęgami, niech nie popełnia samobójstwa dla planu Pani, i tak dalej, i tak dalej. Ty następny, Kykur?

— Nie, nie, ja martwię się o ciebie, nie o strategosa Berbeleka, co mnie on obchodzi. Mówisz, że cię lubi, że cię szanuje, że zaprzyjaźniłaś się z jego córką. Możliwe. Wierzę, że tak jest. Na koniec wszakże — na koniec oni nas poetycznie opłakują, a to nasza krew wsiąka w ziemię.

— Jestem ryterem!

— Wiem, powtarzasz to bez przerwy, jakbyś sama bała się zapomnieć. Bo przecież przede wszystkim jesteś Aurelią; gdybyś tylko miała wolę, wyrwałabyś się z tej Formy i —

— Precz!

Odskoczył, te płomienie naprawdę paliły, zatliły mu się rękawy koszuli, jeszcze nawet nie zapiętej.

— Więc tak! Rozumiem. — Rozglądnął się po kwietnej łące. Odnalazłszy drgającą kurtynę kolorowego światła, podszedł i zanurzył się w tęczy, aż rozpłynęła się w niej prawa część jego ciała. Mrużąc oczy, obejrzał się na Aurelię. — Nie powinienem był wątpić, gdy mówiłaś, że nie jesteś aristokratką. Nie jesteś. — Tu kichnął potężnie. — Nabawiłem się przez ciebie kataru — mruknął, wytarłszy nos — przyprawiasz mnie o gorączkę. — Uśmiechnął się krzywo. — Potem przez cały dzień drżę z zimna. — Po raz ostatni rozglądnął się po łące. — Kiedyś rosnąć tu będą ogniste aureliosy. — To rzekłszy, zniknął w tęczy.

Aurelia do końca nie podniosła wzroku na Kykura. Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, obracając w palcach hyakinthos. Nad rozciągającą się w nieskończoność słoneczną łąką tańczyły motyle. Jeden przysiadł na jej czaszce, błękitne skrzydełka rozpostarły się na gładkiej ciemnej skórze. Aurelia wąchała zerwany kwiat. Te rosnące dokoła niej były zgniecione i spalone, hyppyres przed chwilą kochała się tu z babilońskim aristokratą. Aszamader płacił słono kustoszom Floreum, nie tylko by wpuszczali go o dowolnej porze dnia i nocy, ale głównie aby właśnie nie zwracali uwagi na owe drobne wandalizmy. Ani przez moment nie sądziła, że ją pierwszą tu przyprowadzał.

Zaśmiała się cicho do siebie — do hyakinthosa — przypomniawszy sobie, z jaką zachłannością Kykur wypytywał ją o szczegóły życia na Księżycu. Była pewna, że zmieni je i ubarwi, gdy będzie o nich, o niej opowiadał. Bo będzie opowiadał; widziała, jak, słuchając, delektuje się tymi przyszłymi satysfakcjami, widziała ten syty uśmiech, który nie był skierowany do niej. Nie potrafił się powstrzymać.

Rzecz w tym, że ona także nie potrafiła się powstrzymać. Mogła polecieć ze strategosem do Amidy, ale wolała zostać w zrujnowanym Pergamonie, pławić się w radosnym pożądaniu ziemskiego aristokraty. Cokolwiek w niej widział, było to zupełnie coś innego, niż ona widziała w sobie dotychczas. Satysfakcje Aurelii nie będą może szlachetniejsze, lecz nie mniej sycące.

Zawiązawszy aegipską spódnicę, Aurelia wyszła przez tęczę na piaskowy szlak wijący się między geometrycznymi nieskończonościami światła. Korytarz, tę jedną długą spiralę tysiąca barw, przemierzyła, nie spotkawszy ży-

wego ducha. Floreum od czasu rozpoczęcia oblężenia pozostawało zamknięte dla gości; zresztą i wcześniej kustosze nie wpuszczali do środka przypadkowych przechodniów. Aurelia w zamyśleniu przysuwała kwiat do twarzy. Hyakinthos był akurat jedną z pospolitszych roślin porastających te łąki. Wczoraj spędziła kilka godzin, wędrując przez pola najdzikszego kwiecia, pobudzona do tych daremnych poszukiwań kolejną legendą opowiedzianą jej przez Kykura, legendą o ukrytych komnatach kratisty, do których trafić może tylko ślepiec. W owych komnatach spoczywać miał między innymi Testament Jezebel i słynne Klejnoty Światła: niematerialna biżuteria starożytnych mistrzów Ognia, której blasku nie może znieść żaden śmiertelnik.

Kryształowe Floreum Jezebel Łagodnej zostało wzniesione w 599 roku Ery Alexandryjskiej przez teknitesa Baraxydesa Peulypę w oparciu o komentarze Provegi do Aristotelesowskich *Studiów optycznych* tudzież prawdziwą Euklidesową *Teorię zwierciadeł*, Archimedesowy traktat *O oku i świecy* i rozmaite pisma uczniów Provegi z dziedziny optyki matematycznej i optyki fizycznej. Floreum składało się ze stu szesnastu wielkich sal, których ściany i stropy stanowiły kryształowe zwierciadła o niespotykanej czystości i gładkości. Geometria ich wzajemnych relacji i architektura światła przeszywającego Floreum została obliczona przez Baraxydesa i jego sofistesów w ten sposób, by wewnątrz każdej z sal jej granice pozostawały dla człowieka niedostrzegalne — nieskończoność odbijała się w nieskończoności. Wchodziło i wychodziło się przez załomy i szczeliny między zwierciadłami, maskowane grą światła i jaskrawych odbić.

We Floreum zawsze panowało letnie południe: żelazna kopuła odcinała dostęp prawdziwym promieniom słonecznym, światło pochodziło skądinąd. Szklaną hydrauliką międzyzwierciadlaną płynęły nieprzerwanie strumienie oślepiającej mgły: pary wodnej przemorfowanej ku Formie Światła. Nawet jeśli Floreum nie ucierpiało bezpośrednio podczas tego oblężenia Pergamonu, przez tyle wieków żadna Substancja nieożywiona nie obroni się przed rozpadem i degradacją. Pękło kilkanaście luster, niszcząc iluzję tuzina łąk. Kykur pokazał Aurelii jedną z takich sal: świat roztrzaskany, skolioza światła i obrazu — wyciągasz rękę przed siebie i ręka znika, pojawiając się, wykręcona w nieprawdopodobne kakomorfie, na setce odległych horyzontów. Kykur pokazał jej również łąki, gdzie uszkodzeniu uległa kryształowa hydraulika, pęknąć musiały niewidoczne szklane rury. W godzinie zmierzchu,

gdy zimny cień przykrywał żelazną kopułę Floreum, różnica temperatur powodowała chwilowe naprężenie konstrukcji, otwierały się wówczas drobne pęknięcia w szkle i nad jasną łąkę, na kwiaty, motyle, ptaki i ciepłą ziemię, wprost z błękitnej nieskończoności wylewały się obłoki płynnego światła.

Ostrzegł ją, że nie można patrzeć wprost i nie zostać oślepionym — ale cóż oślepi rytera Ognia? Spojrzała. Światło wypełzało z nicości, z niewidocznego otworu w powietrzu — nieśmiała larwa, zwinięta w pięść dłoń anioła Słońca. Aurelia weszła w jej uścisk. Kykur krzyknął za nią. Otworzyła usta, wciągnęła Mgłę do płuc. Zbyt wielka ekstaza, by nazwać ją bólem. Odwróciła się do Aszamadera. Osłaniał przedramieniem oczy. Podeszła do niego, kobieta-fenix, objęła mocno, światło wyciekało wszystkimi porami jej skóry, pocałowała — blask złocisty buchał spomiędzy ich zetkniętych warg. Tam po raz pierwszy złączyli ciała, w wielkim świetle, w chmurze wilgotnego ognia.

Oczywiście każdy taki upust Mgły Jezebel z systemu kryształowej hydrauliki powodował nieodwracalny ubytek w światłobiegu Floreum. Pewne rzeczy skazane są na zagładę i zapomnienie przez samą swą wyjątkowość; niepowtarzalność należy do definicji cudu. Natomiast to, co pospolite, trwa wiecznie.

Ile przetrwała wzajemna fascynacja Aurelii i Kykura? Tydzień może. Rozpad Formy zaczyna się od drobiazgów, na które poza Formą nie zwrócilibyśmy uwagi. Intonacja głosu przy błahych pytaniach. Szybkość podniesienia głowy, gdy ta druga osoba wchodzi do pokoju. Stanowczość artykulacji swych pragnień. Rytmika oddechu, pod jego, pod jej wzrokiem. Ostatnio Kykur wybuchł gwałtowną irytacją, obudziwszy się w środku nocy i ujrzawszy Aurelię siedzącą obok na łożu i przyglądającą mu się z ognistą intensywnością — dla niej był to przecież nadal dzień, mówiła mu, nie zaśnie teraz. Patrzyła więc, jak on śpi. Lub wychodziła na miasto.

Wyszedłszy teraz z Floreum, zmrużyła oczy przed ciemnością — tu, w świecie zewnętrznym, zapadł już zmierzch, nadciągała parna pergamońska noc. Uniosła głowę. Żółto-różowy Księżyc wisiał na niebie nad wschodnim horyzontem, nad krzywą szczerbą ocalałego fragmentu muru obronnego. Zszedłszy po żelaznych schodach na ulicę, przeskoczyła na drugą jej stronę, by uciec spod kopyt chowołów. Doulosi i robotnicy pracowali nieprzerwanie, usuwając gruz i reperując fortyfikacje. Odbudowa domów

mieszkalnych najwyraźniej nie stanowiła priorytetu dla wyznaczonego przez Króla Skałę bazyleusa Pergamonu.

Dziesięć dni po zakończeniu oblężenia miasto nadal sprawiało wrażenie zamkniętego pod formą wojny. Ostatnie pożary ugaszono dopiero przedwczoraj. Stosy krematoryjne wciąż płonęły na zarzeczu — choć już tylko nocami, by słupy złowrogiego dymu dodatkowo nie obniżały morale pergamończyków. Gdy teraz tam spojrzała, zobaczyła tylko plamy bezgwiezdnej ciemności. Strategos sprowadził szybką „Urkają" kilku teknitesów somy z Alexandrii, Rzymu i Byzantionu, by położyli kres rozprzestrzeniającej się zarazie; doszło bowiem do tego, że szaleńcy z dzielnic biedoty sami podkładali ogień pod swoje domy. Pozostałe aerostaty, w tym oroneiowy, zajęte były transportem wojska. Świniami powietrznymi i statkami morskimi, ładowanymi w kaikussowej przystani, horrorni opuszczali Twierdzę, setnia za setnią, sami nie wiedząc, dokąd zmierzają. Nie wiedziała i Aurelia.

Pałac namiestnikowski mieścił się w północnym kompleksie na Wzgórzu Ateny; Aurelia skręciła na zachód, odwracając się plecami do Wzgórza. W nocy i tak nie miałaby co robić w pałacu. Po wprowadzeniu się tam nowego bazyleusa zarządzono jeszcze ściślejszą ochronę, kilka nocnych przechadzek Aurelii skończyło się ogólnym alarmem. Natomiast, co charakterystyczne, nocne wizyty babilońskiego aristokraty nie dziwiły nikogo.

Zaszła do przystani kaikussowych. Tu, w tawernach i hospicjach nadrzecznych życie nie zamierało nigdy. Czynne były nawet tawerny spalone, podawano posiłki i alkohole na prowizorycznie zbitych stołach, na wolnym powietrzu, pod brudnymi lampionami i kopcącymi czarno pochodniami. Aurelia wiedziała, że wszystko to stanowi skutek wojny, a jednak nie mogła się powstrzymać od odruchowych skojarzeń: brud, chaos i degeneracja, na Księżycu nie znieślibyśmy podobnej dysharmonii. Usiadła pod drzewem solnym, przy stole z widokiem na dolną przystań, gdzie ładowano właśnie na wąski karożaglowiec tabor Horroru. Przyglądała się pracy marynarzy i robotników portowych. Jeśli strategos nie zamierzał utracić dopiero co zdobytych ziem, tak masowe wycofywanie wojsk z Pergamonu w obliczu spodziewanej kontrofensywy Czarnoksiężnika może oznaczać tylko jedno: siły Uralu zostaną związane gdzieś indziej.

Doulos przyniósł jej wino, ukłonił się nisko. Zapewne istotnie sprawiała wrażenie aristokratki, zwłaszcza w kontraście z innymi klientami, w większości zakutanymi w tanie szaty, ukrywające świeże kalectwa i niedoskona-

łości ciał niskiej Formy. Wstyd ciała nie ma dostępu do ludzi morfy najpodlejszej (ciało niewolnika nie jest jego własnością) ani najszlachetniejszej (doskonałość nie zna wstydu); wszyscy pozostali chcieliby być inni, lecz nie potrafią się zmienić. Odwracali wzrok, gdy na nich patrzyła. Kimkolwiek była, była obca, przybyła z armią Seleukidyty — a ich dusze wciąż w dużej części należały do Czarnoksiężnika. Zostali wyzwoleni, a teraz w ponurym milczeniu czekali wyzwolenia z tej wolności.

Jeden tylko żołnierz uśmiechnął się do niej otwarcie; odpowiedziała uśmiechem, bez zastanowienia obracając się ku niemu półprofilem i prostując plecy. Nieważne, jak ostatecznie zapamięta Kykura, pozostanie on w jej morfie na zawsze — rzecz błaha, lecz tym bardziej trwała. Zresztą przecież nie był złym człowiekiem, z pewnością nie złym Ziemianinem. Wspominała go z ironicznym rozczuleniem. Zgolił dla niej brodę, wbrew morfie babilońskiej. Godzinami szeptał jej do ucha żartobliwe sprośności, komplementy wulgarne. Jakże łatwo wywoływał jej śmiech swym bezczelnym śmiechem. Już tęskniła za zimnym dotykiem Aszamadera.

Żołnierz zaproponował jej gestem następny kubek wina. Odmówiła. Wstała i nie oglądając się za siebie, opuściła przystań.

Właściwie na czym polega moja służba? — myślała, wspinając się krętymi ulicami Pergamonu. Jakie są moje powinności? Czy mam pozostać u boku strategosa do końca, to znaczy do ostatecznej jego zdrady, ostatecznego zwycięstwa lub ostatecznej klęski? I niby jak dokonać osądu? Już nie jestem nawet pewna mego zakładu z Janną. Czy strategos kiedykolwiek powie otwarcie: „tego słowa nie dotrzymam”? A nawet jeśli powie — jest strategosem, skąd miałabym wiedzieć, co naprawdę to znaczy? Och, Pani, ja przecież chciałam tylko zobaczyć Ziemię…!

Minęły ją rozpędzone wozy hydorowe, gdzieś w mieście wybuchł nowy pożar. Podążyła ich śladem. Płonęła jedna z ocalałych faktur pergaminu. Aegipt od wieków już nie blokował eksportu papirusa, a i papier vistulski systematycznie spadał w cenie, pośród aristokracji nadal jednak panowała moda na oryginalny, cielęcy pergamin. Który teraz z pewnością mocno zdrożeje. Przyglądała się skazanej z góry na niepowodzenie akcji gaszenia pożaru. Może faktycznie nie ma sensu odbudowywać miasta na tej przeklętej równinie…

Wróciła do pałacu tuż przed świtem. Minęła kilku służących, których nie spodziewała się zastać na nogach o tej porze. W atrium spotkała Jannę-z-

Gniezna, bezceremonialnie obmywającą żylaste stopy w impluvium.

— Myślałam, że siedzisz w Amidzie.

— Właśnie przylecieliśmy, strategos cię szukał, wyjeżdżamy na dobre, pakuj się. Coś ty się tak wystroiła, kolczyki, bransolety, pierścżyk, hę? Znowu dobrałaś się do domowej garderoby?

— A żeby cię trąd, durna starucho.

— Płoń, płoń, może ci się trochę we łbie przejaśni.

Aurelia splunęła fioletowym płomieniem i skręciła do swoich komnat.

Komnaty — za dużo powiedziane. Mały gabinet przy bezokiennym korytarzu, z nie większą sypialnią za bocznymi drzwiami. W gabinecie zastała esthlosa Berbeleka, pochylonego nad stołem, piszącego coś pośpiesznie węglowym rysikiem.

— Aa, jesteś! — Odwrócił się, rozpromieniony, i przez moment zdawało się jej, że zamierza uściskać ją na powitanie. Zaraz wszakże Forma się cofnęła. — Chciałem ci zostawić list; wiem przecież, że nie śpisz teraz. Jak tam esthlos Aszamader?

Machnęła ręką.

— Janna mówi, że wyjeżdżamy.

— Tak, jeszcze przed południem. Wstąpiłem tylko na chwilę, nie mam czasu nawet spotkać się z bazyleusem. Działo się tu coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Wczoraj przybył poseł od Jana Czarnobrodego. Jest oficjalne pismo. Z uwagi na neutralność Babilonu, z którym Macedonię łączą więzy świeżego sojuszu — i tak dalej, bla bla bla. W skrócie: nie wtrąci się do wojny z Czarnoksiężnikiem, a jeśli chodzi o Nabuchodonozora, to owszem, chętnie nawet pomoże.

— Wyśmienicie. Ha, Alitei rzeczywiście może się powieść ten plan! A to diablica! Muszę do niej napisać. — Przypomniał sobie o liście właśnie pisanym; zmiął go i schował do kieszeni. — Tak czy owak, dzisiaj wyjeżdżamy. Pożegnaj się ze swoim Adonisem i wio.

— Dokąd? Widziałam, że odsyłasz Horror. Sądzisz, że Czarnoksiężnik nie upomni się o swoje? Jaki jest plan? Dokąd ich przerzucasz?

— Nie musisz wiedzieć.

— Muszę! Esthlos.

Westchnął, podrapał się w nos.

— Zamknij drzwi.

Zamknęła.

— Godzina przed świtem — mruknął — budzą się upiory szczerości. No dobra, co chcesz wiedzieć?

Skłamie mi, pomyślała.

— Kiedy nastąpi atak na Ural.

— Atak na Ural. To oczywiście niemożliwe, nie będzie żadnego ataku na Ural. I nie krzycz mi o zdradzie, tylko pomyśl przez chwilę, jak by to niby miało wyglądać. Na pewno masz tu gdzieś mapy — o, daj. Nie tę. Spójrz, jak wielki obszar kontroluje Maksym Rog. Zaiste, to jest imperium. Europa, Azja, gdyby nie Dziadek Mróz, sięgnąłby tam Północnego Herdonu przez Cieśninę Ibn Kady; a tu — sięga prawie Afryki. Teraz wyobraź sobie, że rzeczywiście rozpoczynam taką kampanię. Czarnoksiężnik siedzi w swoich twierdzach uralskich. I powiedzmy, że wszystko układa się po mojej myśli, zwycięstwo za zwycięstwem. Samo zagarnięcie tych ziem, rozgromienie wszystkich jego wojsk i zamknięcie go w Uralu zajmie — ile? dziesięć, dwadzieścia lat? Imperia upadają jak elefanty: może i ziemia się zatrzęsie, gdy w końcu padną, ale tymczasem to trwa i trwa, i trwa. A przecież byłoby szaleństwem z mojej strony spodziewać się samych gładkich zwycięstw. Nawet zliczywszy wszystkich aliantów, nie będziemy mieli wielkiej przewagi. A oblężenie Uralu! Na Szeol, on zmienił w fortecę cały łańcuch górski!

— Bardzo przekonująco argumentujesz za niemożnością zwycięstwa, esthlos — stwierdziła sucho Aurelia.

— Jakiego zwycięstwa? Ty chyba rzeczywiście zbyt wiele przebywasz w moim towarzystwie. O co w końcu chodzi: o Czarnoksiężnika czy o Skrzywienie?

— Nie pójdą za tobą na wojnę w aetherze, zostawiając za plecami Wdowca. Zwłaszcza teraz, gdy już im wmówiłeś, że to on odpowiada za Skoliodoi. A przecież po to właśnie wmawiałeś.

— Nie pójdą. Zgaś ten gniew! Ależ ty jesteś popędliwa! Trochę więcej wiary. Już są zjednoczeni, to najważniejsze, już nie uciekają na byle wspomnienie Illei. Teraz — teraz popatrz. Ofensywa pójdzie od linii Vistuli, od Gaelicji Vistulskiej. Tu, tu i tu. Kazimir, Thor, Goci, Celtowie, Hunowie, część mojego Horroru.

— Przecież mówiłeś —

— Bo też nie po to, by zdobywać ziemie i rzucać na kolana armie Imperium. Jej celem jest jedynie takie związanie sił Wdowca i stworzenie pozorów takiego dlań zagrożenia, by podjął decyzję wspomożenia swych wojsk i przesunięcia anthosu bardziej na zachód. Zrobi to, co poprzednio: przeniesie się do Moskwy. A Moskwa — Moskwa już nie jest nie do zdobycia, to nie twierdze uralskie.

— Od Vistuli do Moskwy długa droga, nie będzie przecież czekał.

— Nie będzie. Toteż nie w tym rzecz, by przedzierać się stadion po stadionie przez armie pod anthosem Wdowca, lecz by właśnie od razu pozbawić je —

Z prawej, zza drzwi do sypialni dobiegło stłumione kichnięcie. Obrócili głowy. Przez jedno uderzenie serca — bezruch katatoniczny. Potem Aurelia skoczyła — hyppyres w bitewnej koronie ognia — szarpnęła za drzwi, huknęły o ścianę, jeden z zawiasów wyskoczył z ościeżnicy.

W sypialni stał esthlos Kykur Aszamader, półnagi, w samych szalwarach. Wycierając nos, spoglądał charakterystycznie szeroko rozwartymi oczyma na płonącą Aurelię.

— Chciałem — zająknął się — chciałem cię przeprosić, myślałem, że wrócisz wcześniej, zasnąłem, przepraszam, no nie gniewaj się, Auri.

— Właściwie nie mieliśmy się okazji poznać — rzekł niskim głosem strategos zza pleców Aurelii. — Esthlos Hieronim Berbelek-z-Ostroga.

Kykur podszedł doń, uścisnął rękę.

— Esthlos Kykur Aszamader, to zaszczyt dla mnie, naprawdę.

Hieronim Berbelek pokiwał głową.

— Nie wątpię, nie wątpię. Aurelia, jesteś pewna, że nie ma tam nikogo więcej? Pod łóżkiem na przykład, co?

Aurelia padła przed strategosem na kolana.

— Kyrios. Błagam o wybaczenie.

Kykur wodził spojrzeniem od dziewczyny do Berbeleka i z powrotem.

— Najlepiej będzie — mruknął, cofając się ku drzwiom na korytarz — jak ja już sobie —

Strategos podniósł nań wzrok.

— A możesz mi powiedzieć, piękny młodzieńcze, kiedy ty się tam obudziłeś? Nie na dźwięk swego nazwiska aby?

Kykur sięgnął za siebie, otworzył drzwi i nadal cofając się, zgięty w jakimś przedziwnym półukłonie, już nawet nie patrząc na Berbeleka, począł

jąkliwie mamrotać:

— Ja naprawdę nic nie słyszałem, zresztą co ja się na tym znam, co mnie to obchodzi, niby dlaczego miałbym, nie słyszałem, mogę przysiąc, a do Babilonu i tak, przecież to głupie, sam pomyśl, esthlos, jakie to ma znaczenie, czy…

Strategos przyglądał się mu z zainteresowaniem.

Lewą dłoń położył na głowie Aurelii, przesunął palcami po roziskrzonej skórze Księżycanki. Uniosła nań oczy. Strategos nie odwracał wzroku od Kykura.

Aurelia wstała z kolan.

— No przecież mówię, że nie słyszałem, na krew Marduka, o co wam chodzi, oszaleliście, Auri, co to wszystko…

Berbelek patrzył jak hyppyres podąża bezszelestnie za cofającym się w cień korytarza Babilończykiem — miękkie stąpnięcia nagich stóp Aurelii, jej biodra falujące hipnotycznie jak nigdy dotąd — zniknęli mu z oczu w tym cieniu. Niczego więc nie zobaczył i niczego nie usłyszał — tylko po chwili uderzył go w twarz krótki podmuch siarczystego gorąca, jakby tam w ciemności uchyliły się na moment wrota piekieł.

Ф
Oczy wdowca

Moskwa, czarny świt. Sami pośród wrogów, anthos Czarnoksiężnika na gardle. Z nieba ma spaść Horror, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie pod tym słońcem; może nigdy. Aurelii do reszty rozleciała się prawa wirkawica, ucinając przy tym dwa palce. Zbyt długo już żyje na Ziemi, to nie jej sfera, nie jej żywioł, nie powinna była opuszczać na tyle miesięcy ojczystego kraju…

Ale-ale! (I na samą myśl pyr pali żyły). Ale dzisiaj zabiją kratistosa!

O ile zabiją. Drapiąc rany po palcach, Aurelia wpatrywała się w niebotyczne wieże kniaziowego kremla, białe czapy śniegu kontrastowały z zaskorupiałą na tynku wież tłustą sadzą.

— A jeśli to zajmie parę dni? — spytała. — Nie zabrałam ze sobą wahadłówki, powiedziałeś, esthlos, że żadnego bagażu. Amatorskie strojenie też już nie pomaga, tu trzeba co najmniej demiurgosa uranoizy. No ale teraz nie bardzo mogę to zdjąć. Następnym razem pewnie urwie mi głowę.

— Proponowałem przecież, żebyś została z Janną i Horrorem.

— Wtedy tym bardziej byłbyś przekonany, że Pani przeznaczyła cię na straty.

— Nic takiego nie twierdzę.

— Oczywiście. Przepraszam. Kyrios.

Sarkazm był dozwolony.

Aurelia odwróciła się od okna, od panoramy zimowego miasta, i obejrzała na strategosa, który siedział, zgarbiony, na drewnianej skrzyni, przy otwartej klapie nad schodami. Musiał siedzieć, na stojąco nie był w stanie się wyprostować, pochyły dach strychu zawieszono zbyt nisko. Aurelia również poruszała się tu ostrożnie, przypadkowe zahaczenie aetheryczną zbroją o drewnianą konstrukcję mogło mieć katastrofalne skutki; zmuszona została do ścisłej kontroli nad nastrojami, nad uczuciami i odruchami, przekładającymi się przecież natychmiast na pęd i kształt morfoczułej zbroi.

Strategos zabrał ze sobą jeszcze tylko dwóch horrornych, ale im pozwolił wziąć jeno krótkie keraunety, tak zwane herdonówki, produkowane w za-

okeanosowych fakturach Gustawa — posiadające po trzy, cztery, pięć luf. Zresztą i tę broń zostawiali tu na strychu, gdy esthlos wysyłał ich na miasto, by nawiązali kontakt z tym czy innym człowiekiem. Wybrał był ich ze względu na znajomość moskiewskiego.

— Gdybyś jej wierzył — stwierdziła Aurelia — w ogóle by cię tu nie było. To głupota tak się narażać. Trzy dni w cieniu kremla, w sercu anthosu Roga. Prosisz się o kłopoty, esthlos.

— Muszę się osobiście spotkać z tym Babuczkinem.

— Taa, bo spojrzysz na niego i z miejsca rozpoznasz kłamstwo i prawdę.

Sarkazm był dozwolony, zdobyła sobie prawo do kpiny i sarkazmu owej nocy, owego dusznego pergamońskiego przedświtu, pół roku temu. Nie znaczyło to jednak, że mogła okazywać strategosowi brak szacunku, zwłaszcza wobec osób trzecich.

— Spojrzę i poznam człowieka. Ucisz się wreszcie. Chyba ktoś idzie.

Jeszcze głębiej pochylił się nad otworem w podłodze.

Aurelia przeszła bardzo powoli na drugą stronę otworu, za uniesioną klapę, skinęła też na horrornych, by zajęli pozycje. Przyklęknąwszy w ciemnych kątach między niskim sufitem i krzywą ścianą, odciągnęli młoteczki ciężkich herdonówek, położyli palce na wymyślnie kutych językach. Oni też poruszali się niczym zanurzeni w miodzie lub zamarzającym błocie: podłoga strychu trzeszczała bowiem głośno przy każdym kroku, stare deski strzelały pod stopami, a lokatorzy z parteru, rodzina Bardionnych, mieli słuch aż nazbyt wyczulony. Budynek składał się z trzech kondygnacji i teoretycznie w całości należał do esthlosa Berbeleka, jako że stanowił część wiana jego pierwszej żony. Od lat znajdował się wszakże w zarządzie moskiewskiej kancelarii jurydycznej, a ostatnim pragnieniem strategosa byłoby ogłaszanie wtem swego tytułu własności i ujawnienie się tu pod prawdziwym imieniem. Niemniej esthlos Berbelek posiadał wszystkie klucze i znał dobrze okolicę, wiedział, jak dostać się na strych po dachach sąsiednich domów, wiedział także, że główna klatka schodowa budynku jest otwarta na ulicę i można tu dość swobodnie wchodzić i wychodzić; nie wiedział tylko, jak potwornie głośno trzeszczą deski podłogi strychu.

Tak samo trzeszczały stopnie schodów pod stopami Garuszy Babuczkina z Babuczkinów Knijporoskich. Łysy skryba dworski wychylił głowę z kwadratowego otworu w podłodze — i spojrzał w ciemne wyloty siedmiu luf. Co gorsza, spojrzał prosto w oczy pochylającego się nad nim strategosa

Berbeleka i w naturalnym odruchu rzucił się w tył — a że stał na stromych schodach, prawie drabinie, zleciał z nich na łeb, na szyję, łamiąc przy tym dwa szczeble i zapewne niejedną kość w swym ciele, z hukiem i łomotem. Nie krzyczał, to trzeba mu przyznać.

Aurelia, która nie zdążyła swą bezaetheryczną prawicą złapać za kołnierz skryby, skoczyła teraz za nim i pociągnęła go z powrotem na strych. Horrorni opuścili i zaryglowali klapę. Następnie wszyscy zamarli w bezruchu, nasłuchując.

Babuczkin usiłował tymczasem umknąć gdzieś w głąb strychu. Po pierwszym kroku drewno strzeliło mu pod obcasem — obejrzeli się na niego wszyscy, lufy keraunetów horrornych poruszające się w synchronii z ich głowami, Aurelia w irytacji pęczniejąca jasną uranoizą, strategos z pięścią zaciśniętą ponad głową. Babuczkin zatrzymał się z nogą wpółuniesioną, niebezpiecznie wychylony. Aurelia tym razem zdążyła chwycić go za biedźwiedzią szubę. Tak znieruchomieli na kilkanaście minut.

Cisza.

— Wyście Garusza Babuczkin, służaszyj Ministra Zachodu — szepnął wreszcie w grece esthlos Berbelek, nie podnosząc się ze skrzyni.

— Tak — odparł Babuczkin.

Aurelia puściła kołnierz szuby.

Strategos nie pozwolił skrybie odwrócić wzroku.

— Księżycowy pies, bezimienne dziecię Pani, sługa wierny, zaprzysiężony przez Nanu Agilatylę w wiosenną ekwinocję osiemdziesiątego szóstego roku, na wodę, miód, krew i topór.

Babuczkin niespodziewanie potrząsnął głową, zagryzł zęby i postąpił ku strategosowi.

— Ja — warknął. — Ja!

Strategos Berbelek wyciągnął długie ramię, zacisnął dłoń na karku łysego skryby i przyciągnął go do siebie, prawie zginając w pół.

— A wiecie, kim ja jestem?

— Powiedzieli mi.

— Co wam powiedzieli?

Babuczkin oblizał wargi.

— Przybyłeś go zabić. Hieronim Kolenicki. Pani posłała cię, byś niósł wojnę. Esthlos.

— Wy się mnie boicie, Babuczkin?

Babuczkin spróbował się zaśmiać i zabrakło mu oddechu.

— Oczywiście — odkaszlnął wreszcie. — Puść mnie, esthlos.

— Wyjaśnijcie mi coś, Babuczkin. Jakim cudem taki tchórz, jak wy, może ukrywać się wśród najwyższych oficjeli Wdowca, wśród jego szczurów i zauszników, a teraz już w sercu jego anthosu, pod bokiem samego kratistosa — i pozostać wiernym Illei Okrutnej?

— Nie jestem tchórzem!

— Oj, Babuczkin, Babuczkin. Codziennie liżecie im dupy.

— Puszczaj!

— Siedzicie przy tym waszym biurku, w stosach papierów, od rana do wieczora przepisujecie kolumny liczb, urodziliście się pod morfą Roga, sprzeciwić się zwierzchnikowi — to nie do pomyślenia, jesteście najpospolitszym karaluchem biurokracji, nawet sny macie symetryczne, zbilansowane i patriotyczne, perwersje mieszczańskie, marzenia papierowe i nałogi statystyczne, Babuczkinową rżniecie, gdy Czarnoksiężnika zbierze chuć, Babuczkinową bijecie, gdy nad Uralem zagrzmią burze, płodzicie Babuczkinięta o ślepiach wdowich, raz opowiedzieliście antykratistosowy dowcip, jeszcze się wam łapki trzęsą — jak taka moskiewska ukraka mogłaby się w ogóle zdobyć na Zdradę?

Skryba rzucił się na strategosa, wierzgając i wymachując rękoma. Strategos trzymał go w żelaznym uścisku.

Babuczkin zaczął jednak przy tym kląć Berbeleka, po moskiewsku, grecku i uralsku, z każdą inwektywą coraz głośniej, i Aurelia musiała zatkać mu usta. Ugryzł ją w dłoń — zaraz wrzasnął niemo, gdy płomień liznął mu język i podniebienie.

Esthlos Berbelek i hyppyres wymienili pytające spojrzenia.

— Mhm, może jednak, może mimo wszystko… — mruknął strategos.

— Twardy jest — stwierdziła Aurelia.

— Teraz tak, ale wobec Czarnoksiężnika?

— Przecież nigdy go nawet na oczy widział.

— Tyle lat w kremlu… Mhm…

— Twardy jest — powtórzyła Aurelia. — Na uralski sposób.

— Puść go.

Puściła.

Babuczkin dyszał ciężko.

— Wy… — Dotknął ostrożnie poparzonych warg. — Dłanie!

— Już, już. Mówcie, co wiecie.

— Nis wam nie powem!

— Przysięgałeś, Garusza! Pani pyta!

Ministerialny służaszyj wziął głęboki oddech, przełknął ślinę. Wyprostowawszy się, poprawił na ramionach futro z biedźwiedzia.

— Tak. Łoskas. Dla Pani. Cisiaj o kocinie ciesiątej w Sali Porosznej, szwarte biętro Alsenału, pod Basztą Chana. Szyjmuje posestfa Szymatów i Szygitów.

Strategos wyjął z kieszeni zegarek, sprawdził godzinę.

— Jaka obsada?

— Jak szfykle. A Bułaszki Karła siecą w gałnizonach pod gremlem.

— Przywiózł ze sobą zaraźnice?

— Nie, poszednio pół Moszkwy chorowało.

— Gdzie —

— Cicho!

Aurelia przykucnęła nad klapą. Krztyp, krztypp, krztkkkk! W momencie, gdy klapa zaczęła się unosić, szarpnęła za nią, odrzucając z trzaskiem.

Na schodach stał dziadek Bardionny z sękatą laską w ręku. Rozdziewając w zdumieniu bezzębne usta, mrugał panicznie, oślepiony przez Aurelię.

— Esthlos! — syknęła ponaglająco, nawet nie oglądając się na strategosa, okółramienniki już napęczniałe, rozpędzone do straszliwego ciosu.

Esthlos Berbelek zawahał się krótko.

— Niech idzie — rzekł. — Nie czekamy dłużej, i tak nie zdąży.

— Precz! — warknęła Aurelia na dziadka.

Słowa zapewne nie zrozumiał, lecz intencję z pewnością. Upuściwszy laskę, wrzeszcząc wniebogłosy, zbiegł ze schodów.

Strategos podniósł się ze skrzyni. Podszedł do okna, przeciągnął się, wyprostował — tylko tu mógł się swobodnie wyprostować.

Skinął na horrornych.

— Ptaszek.

Jeden z horrornych oddał swój keraunet koledze i odsunąwszy z drogi do reszty zdezorientowanego Babuczkina, zniknął za stosem gratów nagromadzonych pod boczną ścianą. Pojawił się z karambusową klatką w dłoni. Odrzucił przykrywającą ją szmatę i rozwiązał karambusową plecionkę; lżejsze od powietrza włókna uniosły się powoli i zebrały pod sufitem, w gęstwie starych pajęczyn.

Aurelia, nie mogąc spać w długie, zimowe noce moskiewskie, studiowała była strukturę pajęczyn. Strategos wskazywał jej cechy charakterystyczne. To między innymi właśnie po kształcie najnowszych robót pajęczych poznali, iż kratistos Maksym Rog istotnie przybył już do Moskwy, że to nie tylko plotka; że vistulska ofensywa osiągnęła swój cel. Pająki tkały bowiem swe sieci podług wzoru anthosowej pieczęci Czarnoksiężnika, w pentagramy, mandale, gwiazdy uralskie, regularne niczym astrologiczne konstrukty niebios.

Uwolniony z oroneiowej klatki jastrzębiec rozpostarł skrzydła. Horrorny podał go strategosowi. Ornitomorf był ciężki, esthlos Berbelek oparł łokieć na futrynie okna. Drugą dłonią pogłaskał łepek jastrzębca. Ptak wlepił czarne ślepia w strategosa.

— Na dół, na dół, na dół — powtarzał Berbelek. — Zabrać, zabrać, zabrać.

Jastrzębiec przekrzywił główkę w lewo, w prawo, w lewo.

— Nadółzabraćnadółzabraćnadółnadół — zaskrzeczał.

Strategos pchnął ramę okna — mroźne powietrze wdarło się do wnętrza strychu, z nich wszystkich zadrżał właśnie zakutany w brunatną szubę Babuczkin. Natomiast wokół ciała Aurelii poczęła się zbierać w aetherycznych epicyklach ciepła para, biała mgiełka zafalowała nad jej głową.

Strategos wystawił ramię przez okno i podrzucił jastrzębca ponad garbaty komin. Wielki ornitomorf jeszcze raz zaskrzeczał coś niezrozumiale, po czym odleciał, kilkoma machnięciami skrzydeł wzbijając się wyżej kalenicy i zaraz niknąc Aurelii z oczu w perspektywie labiryntu białych dachów.

Aurelia, Panna Mgielna, zwróciła się z powrotem do Babuczkina.

— Co z nim zrobimy?

Babuczkin pokazał jej Odwrócone Rogi.

Strategos pokręcił głową.

— Niech ci to nie wejdzie w krew — rzekł, pochyliwszy się nad Księżycanką. — Siła jest w samej potencji, w możliwości wyboru, nie zaś w wyborze już dokonanym. Moglibyśmy go usunąć — ale po co? A poza tym to wierny sługa Pani. Prawda, Babuczkin?

— Mam szonę i cieci.

— To oferta czy groźba? Ale nie bój się, teraz już przesądzone, w niczym nie przeszkodzisz. No, uciekaj.

Skryba obejrzał się na schody, przestąpił z nogi na nogę, oblizał wargi — na ich oczach łamał się z jednej Formy w drugą — i koniec końców nie ruszył się z miejsca.

— Bójdę sfami.

— Masz żonę i dzieci.

— A bies je jebał.

Śmiejąc się, strategos wzniósł ręce nad głowę.

— Niebo słyszało, ziemia słyszała. — Skinął na horrornych. — Zablokujcie wejście.

Przesunęli na klapę kilka skrzyń, na wierzch zwalili jeszcze zardzewiały kocioł.

— Widzisz — mruknęła Aurelia do esthlosa Berbeleka, wskazując służaszyja — jest gotów zaryzykować własne życie. Liczy, że nowy reżim zrobi go, w nagrodę za poświęcenie i wierność, co najmniej ministrem. Tak szczery egoizm powinien rozwiać ostatnie twoje wątpliwości, esthlos.

Berbelek zapalił tytońca. Oparty o framugę okna, strzepywał popiół na zewnątrz, na ośnieżony dach.

— Strategos wie — rzekł powoli — iż najlepsze plany to te, które nie wymagają od wykorzystywanych w nich ludzi postępowania wbrew ich naturze, lecz właśnie w zgodzie z nią; tym bardziej wie to kratistos. Najtrudniej przejrzeć oszustwo zbudowane z tysiąca drobnych prawd, gdzie fałsz istnieje wyłącznie w sposobie ich złożenia, w umyśle strategosa. Zawsze lepiej użyć do osiągnięcia danego celu przedmiot po to właśnie istniejący, aniżeli inny, wbrew jego przeznaczeniu. Nóż, by przeciąć, powróz, by związać, Babuczkina, by zdradził.

— Nie rozumiem. Cóż Pani mogłaby zyskać, podsuwając ci agenta, o którym wie, że jest zdemaskowany i sterowany przez Czarnoksiężnika?

— Nie jesztem —

— Zamknij się!

Berbelek strzepywał popiół za okno, żar wypalał w śniegu czarne ścieżki. Nad Moskwą odezwały się gongi świątynne. Z północy, zza kremla, poderwały się stada wron, hraków i kruków. Strategos śledził je wzrokiem przez zasłonę siwego dymu.

— Cóż by zyskała? Po pierwsze, niewiele by straciła, trochę wojska, jednego strategosa, po prostu poczekałaby kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat na następnego kratistobójcę. Po drugie… A weź pod uwagę, że to jest jedy-

na okazja, gdy może się mnie tak łatwo pozbyć, potem będzie musiała zaakceptować moje warunki sojuszu. Po drugie — może zyskać wszystko, może zyskać bezpośrednią władzę nad światem.

— O czym ty —

— Któż by się oparł sojuszowi Uralu z Księżycem?

— Oszalałeś. Esthlos.

— Oho.

— Oni się nienawidzą. Pani i Czarnoksiężnik.

— Nie wierz w takie rzeczy, jak nienawiść i miłość między kratistosami. Są tylko różne ścieżki do potęgi: takie i takie, z tymi i przeciwko tamtym, i na odwrót. Pomyśl: któż by się oparł podobnemu sojuszowi? To jest najsilniejszy argument z możliwych.

— Ale jak… Nie pojmuję.

— Przypuszczam, że taki był jej pierwotny plan. Po to słała Lakatoię do Czarnoksiężnika. Toczyły się długie negocjacje, on już nawet przyjął Szulimę do swej świty, teraz wiem, że Ihmet Zajdar, niech mu Manat wynagrodzi, do jakiegokolwiek piekła czy raju trafił, że Zajdar widział wtedy w Chersonezie obraz prawdziwy. Być może sojusz zaczął już nawet funkcjonować, na małą skalę, w Afryce, próbowali razem zatrzymać Skoliodoi metodami pitagorejskiej numerologii, bezskutecznie. Coś się musiało wydarzyć, Illea powzięła wtedy zamiar osobistego przejęcia Aegiptu, posłała Szulimę: córka za Tron Alexandra. Myśmy nie rozumieli, dlaczego Rog nagle runął na zachód, ta cała wojna, oblężenie Kolenicy, to był tylko odprysk znacznie głębszych zmagań. To oraz jego sojusze, z Janem Czarnobrodym, zacieśnienie więzów z Babilonem, on się zabezpieczał. Ale Pani wcale nie chciała wojny z Uralem, wydaje mi się, że nie była zadowolona z mojej strategii, zaskoczyłem ją i nie mogła odmówić. Teraz jednak ma okazję wrócić do pierwotnego planu. Wie, że uderzę, wie, gdzie i kiedy, wie, że mogę to zrobić tylko ja, osobiście, własną ręką. Wystarczy jej posłać krótkie ostrzeżenie do Maksyma: ot, opętany przez zemstę strategos, który wyrwał się spod kontroli. Wpadniemy prosto w pułapkę, będą tam już na nas czekać tysięczne zastępy wywleczone z najgłębszych mateczników Uralu. Illea uratuje Czarnoksiężnikowi życie. Rozumiesz, co taki dług oznacza dla kratistosa? Omal jakby złożył jej hołd. I któż się potem oprze sojuszowi Uralu z Księżycem?

— Skoro w to wierzysz, esthlos — dlaczego w ogóle przybyłeś do Moskwy?

— Czy muszę się powtarzać? Najlepsze plany, plany kratistosów i strategosów, nie wymagają od nas niczego, czego i tak nie zrobilibyśmy z własnej woli.

— To mosze lebiej ja jetnak sobie bójdę —

— Za późno. Już są. Kopnij mi tu który ten stołek.

Strategos Berbelek odrzucił niedopałek i wspiął się na okno, wychodząc na lekko pochyły dach. Gonty zazgrzytały pod jego jugrami, posypał się śnieg, ceglastoczerwone poły humijowego płaszcza łopotały na zimnym wietrze. Spod stosu skrzyń dały się słyszeć gwałtowne postukiwania, Bardionni dobijali się na strych, nie obejrzał się nawet.

Aurelia wyskoczyła za nim, wiatr wyrwał z epicykli jej zbroi wstęgi lepkiej pary. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem strategosa.

„Urkaja” schodziła ku nim po łagodnym łuku, wynurzywszy się spośród skotłowanych chmur, zawisłych nisko na brudnym, zimowym niebie. Z częściowo rozłożonymi aetherycznymi skrzydłami wyglądała bardziej jak koścista harpia — płonąca jasnobłękitnym ogniem harpia, wielka na ponad stadion. Skrzydła zwijały się w locie, ściągane do długiego karku gwiezdnego skorpiona, w otwarte skrzela, tuż przed kołnierzem uranoizowego pancerza. Bo w miarę jak „Podgwiezdna” zwalniała i opadała nad miasto, w coraz większym stopniu polegała w swym locie na spiralnym ogonie, wirującym tak szybko, że dla ludzkiego oka rozmytym w obłok jasnej poświaty.

Niebieski blask padał na pokryte śniegiem dachy, ulice, drzewa i nie tak odległe wieże kremla. Otworzyło się kilkanaście okien, ciekawscy moskwianie zaraz cofnęli się, oślepieni. Na dach kamienicy wspięli się obaj horrorni, wciągnęli za sobą trzy ciężkie torby i Babuczkina. „Urkaja” była już tak blisko, że wichura wzbudzana przez rozpędzony ogon skorpiona podnosiła tumany śniegu, czyszcząc do naga ciemne mury i dachy — tak odkrywała się toporna, boleśnie regularna i ascetyczna architektura wdowiej Moskwy. Przerażony służaszyj zaczął się zsuwać, wrzasnął, zamachał rękoma; Aurelia po raz drugi chwyciła go za kołnierz szuby.

— Dogąd my właszczywje —

— No jakże! — zaśmiał się rubasznie strategos, zapinając herdoński płaszcz i naciągając rękawice ze skóry bazyliszka. — Na kreml, na kreml,

ubić Czarnoksiężnika!

Księżycowa łódź jeszcze bardziej zwolniła i w końcu zatrzymała się, zawisając w powietrzu trzydzieści pusów nad zaśmieconym tylnym podwórzem kamienicy, śmieci ulatywały wysoko nad ziemię, złapane w śnieżny cyklon. Skorpion rozwarł gębę, buchnęła z niej gorąca jasność. Aurelia — ona jedyna — widziała tam, w głębi korytarza światła, swego wuja, Omixosa Żarnika, pośród innych ryterów, szeregi hyppyroi w rozpędzonych zbrojach, z aetherycznymi keraunetami i sztandarami Księżyca z czerwonego pyrpłótna, gorejącymi symbolami Labiryntu.

Horrorni przerzucili Babuczkina, cisnęli w ślad za nim bagaż i broń, potem skoczyli sami, następnie skoczył strategos, na koniec Księżycanka. Skorpion już unosił się i obracał, nawet nie zamykając gęby, Moskwa przemykała pod Aurelią rozmazaną plamą.

Omixos podał jej rodowy keraunet. Ujęła pewnie ciężki oręż. Wuj — twarz prawie niewidoczna za rozpęczniałym okółhełmem — poklepał ją po ramieniu, aether zazgrzytał ostro w starciu z aetherem.

— W bój.

— Teraz! Teraz, teraz, teraz!

Skorpion wali ogonem w mury Arsenału. Kreml trzęsie się w posadach. Baszta Timura, uderzona pierwsza, gdy otworzono z niej ogień do „Urkai”, zapada się pod własnym ciężarem w grzmocie kruszących się kamieni, w osuwającej się lawinie tysięcy lithosów gruzu. Poza tym nie strzela jeszcze nikt, nawet nie odzywają się pyresidery i kartaczownice z kremlowych koszar Bułaszków Iwana Karła — nie minęła minuta, jeszcze nie zagrały na trwogę rogi z Wieży Zegarowej.

Skorpion rozpruwa południowy mur Arsenału, uderzając w mekanicznym rytmie, raz i raz, i raz. Na wysokości czwartego piętra powstaje wyłom szeroki jak łeb skorpiona. „Urkaja” wsuwa się weń.

Łódź księżycowa w czas bitwy pulsuje takim blaskiem, taki żar bucha z jej pyraetherycznego pancerza, że zalegający okoliczne płaszczyzny śnieg topi się z sykiem i spływa po gmachu krystalicznymi strumykami, woda zmienia się w srebrną mgłę. Korpus „Podgwiezdnej” ginie w niej bez reszty, tylko jasność okrutna bucha z gorącej chmury.

Z tej jasności wypadają do wnętrza Arsenału płonący Jeźdźcy Ognia, Aurelia w pierwszym tuzinie; w sumie Hierokharis oddał bowiem do tej misji dwadzieścioro siedmioro ryterów pyru, pełny enneon. Wypadają już rozpędzeni, pchnięci impetem ciężkich epicykli uranoizy, obejmujących ich uda, kolana, barki.

Aurelia znajduje się w tryplecie dowodzonym przez wuja, jako trzeci ryter uzupełnia go kuzyn Krzosów, Tymoteusz Faeton. Omixos wskazuje na lewo. Biegną ku zachodnim drzwiom sali, w dwudziestopusowych susach, każdym stąpnięciem otwierając w posadzce gwiaździste rany. Marmur fruwa w powietrzu, odłamki rykoszetują od śmigłego aetheru, raz, drugi, trzeci, na koniec głęboko kalecząc grube ściany, niszcząc pokrywające je freski i wota żałobne.

Inny tryplet przebija się od razu piętro niżej: przyklęknąwszy, hyppyroi wwiercają w podłogę pięści w wyjących przeraźliwie wirkawicach, momentalnie otacza ich szary pył mielonego kamienia.

Trzy inne tryplety w ogóle nie zatrzymują się w pędzie i przebijają się przez okna w przeciwległej ścianie, wypadając na zewnątrz i rozwijając tam w powietrzu gigantyczne epicykle okółramiennej uranoizy: spadając, rozprują mur północny.

Tryplet skierowany ku wschodnim drzwiom mija w biegu czterech wartowników w mundurach sołdatów barłaskich. Nie zatrzymując się, ryterzy rozszarpują składających się do strzału Moskwian, przemielone przez aether mięso, kości i barłaskie futra strzelają na wszystkie strony. Tryplet pozostawia za sobą chmurę wilgotnej czerwieni.

Tymczasem Omixos dopada drzwi. Nie przystanie, by otworzyć — kopniakiem rozpruwa ciężkie wierzeje. Hyppyroi przeskakują, połykając w epicykle swoich zbroi tornada trocin, które zresztą zaraz się zapalają.

Na ścianach jeszcze więcej obrazów i starożytnej broni. Żarnik pokazuje: ku schodom. Na schodach pojawia się kilku sołdatów. Tymoteusz chwyta lewą ręką naturalnej wielkości posąg Tamerlana z brązu — zamachowa uranoiza opisuje Faetona grubymi kręgami — i ciska nim w żołnierzy. Posąg miażdży ich o mur, w murze wybija dziurę.

Biegną ku schodom. Im dłuższe susy, tym mniejsze znaczenie ma dół i góra. Z impetem przejmowanym od uranoizowych kół odbijają się od ścian, mebli, postumentów, poręczy, kolumn, wgryzając się wirbutami w drewno, żelazo i kamień. Towarzyszy im nieustanny zgrzyt i świst

odłamków, po przejściu ryterów unosi się w powietrzu gęsta zawiesina ostrych drobin z przemielonych materiałów, smród spalenizny.

Na trzecim piętrze wysypują się już na korytarz drużyny Bułaszków. Grzmią keraunety. Rozpędzone do maksimum zbroje hyppyroi odbijają kule zgodnie ze skrętem swych epicykli. Bułaszkowie wrzeszczą, dziesiętnicy dmą w gwizdki, eksploduje pyros, Arsenał dygocze pod ciosami skorpiona i Jeźdźców, sypie się tynk. Za oknami po drugiej stronie korytarza rozmazana plama: spadający hyppyres ciągnący za sobą czerwoną grzywę ognia.

Omixos biegnie na sołdatów — podłoga, posąg, skrzynia, sufit — w piątym susie spada na nich z rozpostartymi ramionami, w rozpęczniałej na szerokość korytarza zbroi, w aureoli ognia — prrrrrrfstsch! — ochłapy płonącego mięsa uderzają o boazerie, mozaiki i płótna mistrzów.

Aurelia i Tymoteusz przebijają się do pomieszczeń po lewej i prawej. Aurelia za drugą zdemolowaną ścianą trafia do części mieszkalnej kremla, do izby łaziebnej, nagie kobiety podnoszą się z parującej wody. Nawet nie zdążyły zobaczyć rozpędzonej Księżycanki za zasłoną pyłu, dymu, ognia i aetheru — pochyłe orbity zamachowej uranoizy zahaczają je, gdy hyppyres przebija się do następnego pomieszczenia. Kilka odciętych kończyn, rozłupana głowa, rozpruty brzuch — to za Aurelią, nie widzi, nie słyszy. Z rozdartej hydrauliki bucha zimna woda.

Aurelia jest już w przejściu między Arsenałem i Basztą Chana. Zza zamkniętych żelaznych drzwi, przez wąskie otwory, wali w rytera grad kul. Z żelazem mogą być kłopoty. Aurelia wyrywa kratę z okna po prawej, wyskakuje, wgryza się wirkawicą w pokryty lodem mur (lód zmienia się w parę). Wirbuty mielą starożytne kamienie, puryniczny aether przeciwko nieczystemu ge — i żywioł najniższy ulega żywiołowi najwyższemu. Płomienny ryter przebiega ku baszcie, pozostawiając za sobą na pionowej ścianie szeroką smugę spalenizny.

Wpada do środka razem z całym oknem, z ramą i kratami, i ułamkami muru. Od żaru hyppyresa zajmują się kobierce i arrasy. Sołdaci obracają się ku niej, organizując się w ciasnej przestrzeni w trzy szeregi, kilkanaście luf celuje w Aurelię. Aurelia, przykucnięta na ścianie nad małym rubiowym popiersiem Czarnoksiężnika, gryzie się głęboko w język i zieje ogniem. Pyr mknie w rozszerzających się wirach, wypchnięty z orbity okółhełmu, czerwone spirale dosięgają i obejmują żołnierzy. Ostatnia salwa — bo już wszy-

scy płoną, śmiertelne wrzaski wypełniają pasaż, ludzie tarzają się po podłodze, biegną na oślep przed siebie, jeden wyskakuje przez wyrwę pookienną, spada, ciągnąc za sobą warkocz ognia.

Aurelia nie poświęca im uwagi. Obraca się i skacze w głąb baszty, to jest jej zadanie.

Na trzecim piętrze — dwoje ludzi. Uciekają, rozcina ich w biegu.

Na drugim piętrze — nikogo.

Na pierwszym piętrze — kilkoro urzędników. Podpala biura razem z nimi.

Na parterze — żołnierze umykający przez otwarte wrota główne. Pozwala im umknąć. Potem rygluje wrota i zwala za nimi część sufitu, do reszty blokując wejście. Tak samo postępuje z furtą tylną.

Sprawdza podziemia. Znajduje tam, schowane w piwnicy za zmurszałymi regałami, dwie przerażone aristokratki wraz z kilkoma doulosami. Po sekundzie zastanowienia zostawia je przy życiu, zawalając za sobą schody piwniczne.

Wraca do Arsenału.

Hyppyroi opanowali najwyraźniej wszystkie wyższe kondygnacje, zamknięto górne przejścia. Trwa bój na parterze, gdzie przedarli się z odsieczą Bułaszkowie z ciężkim uzbrojeniem i uralskimi morfezoonami wojny, spuszczonymi teraz z łańcuchów. Jest z nimi dwoje aresów.

— Mamy ofiary — mówi ryter Żarnik. — Zbroja nie zatrzyma salwy z kartaczownic, uważaj też na gnojołazy, plują jakimś kwasowym jadem.

Wyglądają przez okno z aksamitnego antyszambru na trzecim piętrze Arsenału. Zza złotej kopuły Chramu Ziemiojada bije błękitny blask, przetacza się ponad kremlem rytmiczny huk, od którego dzwonią szyby. Szyba, przez którą patrzą, pęka po trzecim grzmocie. To „Urkaja” obraca tam w gruz budynki koszar bułaszkowych.

— Tymoteusz?

Omixos wskazuje płomieniem kciuka w dół.

Po śliskich od krwi schodach, przez dym i szary pył schodzi strategos Hieronim Berbelek; najpierw widać ceglastoczerwone poły jego herdońskiego płaszcza.

— Gdzie ta Sala Porożna?

Ryter Żarnik zwalnia obroty swej zbroi i skłania głowę przed strategosem.

— Proszę za mną, esthlos.

Idąc, Berbelek wyrównuje mankiety rękawów płaszcza i koszuli. Zapina ostatni guzik pod szyją, z barków strzepuje popiół. Teraz Forma będzie najważniejsza. Aurelia przypatruje mu się przez uspokojony okółhełm. Esthlos przechwytuje jej spojrzenie.

— Powinienem był kazać Babuczkinowi wypolerować mi jugry, przydałby się na coś. — Posyła Aurelii krzywy uśmiech.

Aurelia nie odpowiada uśmiechem.

— Nie było zdrady — mówi. — Jesteś chory na kłamstwo, kyrios.

— Ależ była. Na szczęście to nie mnie zdradzono.

Wychodzą do wyłożonego hyexowym drewnem holu pełnego starożytnych zbroi i chorągwi. Drewno jest w większości posiekane i połamane, zbroje rozłupane, chorągwie spłonęły lub płoną. Przez wybite okna wpada zimny wiatr.

W ścianach holu znajduje się sześcioro drzwi; wszystkie są otwarte lub wyrwane z futryn z wyjątkiem północnych środkowych — wykonanych z brązu i likotu, pokrytych skomplikowanymi płaskorzeźbami. Nad nimi wisi poroże nienazwanego kakomorfa.

Przed drzwiami, z przyłożonymi do ramion keraunetami i w wyjących potępieńczo zbrojach, czuwa czworo Jeźdźców Ognia.

— Dwoje weszło i dotąd nie wróciło — rzecze ryter Ablazos. — On został tam w środku, na drugie drzwi zawaliliśmy północne krużganki, nie mógł umknąć.

— Zamknięte?

— Same się zamykają. Ukryte mekanizmy w murze. Kyrios?

— Tylko mnie przez przypadek nie ustrzelcie — rzuca strategos, wygładzając fałdy płaszcza. — Nie zdziwcie się, jak tamta dwójka na was wyskoczy: przez ten czas pewnie zdążyli go szczerze pokochać. Aurelia, otwórz.

— Pójdę z tobą, kyrios.

— Nie.

— Przyrzekłam. Nie wejdziesz sam.

Strategos przygląda się jej przez chwilę, to znaczy przez dwa uderzenia niewidocznej „Urkai”, gdy sypie się tynk i dygoczą mury.

— Zostaniesz przy drzwiach. Nie ruszysz się, choćby mi serce wyrywał. Daj słowo rytera.

— Kyrios…

— Daj słowo.

Aurelia zaciska szczęki, płomień strzela wokół jej głowy.

— Nie mogę. Nie dam. Nie.

Strategos kiwa głową.

— Dobrze. Możesz wejść.

Aurelia odciąga młoteczek keraunetu, sprawdza pyros na kowadełku. Wuj Żarnik pozdrawia ją uniesieniem dłoni. Aurelia szepcze modlitwę do Pani. Staje w ogniu, pyr zapala się w jej żyłach.

Kopie w brązowe drzwi.

Wchodzą.

Trupy. Ściana zachodnia obwieszona jest dziesiątkami przeróżnych egzotycznych poroży, ściana wschodnia otwiera się galerią kryształowych okien na panoramę Moskwy, obie ściany długie na kilkadziesiąt pusów. Poroża w większości spadły, leżą w spiętrzonych stosach, przemieszane ze zwłokami mężczyzn i kobiet w drogich strojach. Trupy, trupy. Kryształ ozdobnych okien pokrywa mozaikową posadzkę po przeciwnej stronie sali, w krysztale brodzi wysoki czarnowło — kyrios, kyrios, kyrios — nie patrz na kratistosa!

Aurelia podrzuca do barku spiralną kolbę keraunetu i strzela Czarnoksiężnikowi w skroń. Natychmiast opuszcza i ładuje broń.

Hieronim Berbelek kręci głową. Idzie ku tamtemu. Zasłania jej cel.

Kilka zdań wypowiedzianych głosem kratistosa w nie znanym Aurelii języku — strategos odpowiada. Przez chwilę rozmawiają po moskiewsku. Aurelia wpatruje się w zamek keraunetu. Nie rozmawiaj z nim! Zabij go! Nie rozmawiaj z nim! To kratistos! Uderz w biegu! Bez zastanowienia! Nie rozmawiaj z nim! Aurelia wpatruje się w zamek keraunetu. Gdzie podziało się tamtych dwoje hyppyroi? Czy kazał im podciąć sobie gardła?

Nie zdając sobie z tego sprawy, cofnęła się tymczasem pod ścianę; poroża nad nią zajmują się ogniem. Nie unosi wzroku. Kroki, chrzęst miażdżonego kryształu, szelest materiału, spokojne głosy dwóch mężczyzn. Zaciska zęby, słucha przez jednostajny huk płomieni, przez huk rozpędzonej krwi.

Przeszli na grekę.

— …ale to były przecież twoje psy, ty je hodowałeś, twoja morfa.

— Tak. Nawet ostatnio zastanawiałem się nad tym. Kiedy brałeś z nią ślub — kratistos i śmiertelniczka — nie mogłeś nie wiedzieć.

— Ach, bo jednego nie rozumiesz: to jednak była miłość. Z jej strony — to oczywiste; ale także z mojej.

— Miranda Ajuda Karżanka.

— Dziś już tylko historycy.

— Dużo czytałem. Dramaty, pieśni, poezje — bajki dla ludu. W tych źródłach najstarszych — nie było żadnego zamachu.

— Ponad tysiąc lat, tak, ponad tysiąc lat temu. Z tym zamachem, mhm — a jak myślisz, hodowco psów?

— Nie było żadnego zamachu.

— Nie było zamachu, ale jest Wdowiec. Im mocniej ją kochałem, tym mniej pozostawało Mirandy w Mirandzie. Już nie mogła wytrzymać ani dnia z dala ode mnie. A ponieważ ona nie byłaby w stanie mnie zabić… Czy można nienawidzić tak pięknego szczura? Ale czy można kochać tak pięknego szczura? Jak ty to robisz, hodowco psów?

— Panna Wieczorna z pewnością byłaby w stanie mnie zabić.

— Ach, Szulima, ona. Tak. Masz szczęście. Ale twoja pierwsza —

— To był wypadek. Psy.

— To zawsze są wypadki. Znasz jednak ten wściekły ból po jej śmierci, tę straszną nienawiść, rozpacz, która jest nienawiścią. Znasz, znasz.

— Nie nienawidzę ludzi.

— To szlachetniejsze, niż nimi pogardzać. Konieczny jest rygor i strach, i hierarchia silnej władzy, porządek uległości, w którym nigdy nie nastąpi pomieszanie słabych z silnymi, panów z niewolnikami, miłości z posłuszeństwem. Przecież wiesz.

— Jeden jest Czarnoksiężnik.

— Możesz nie wierzyć, ale ta morfa już na mnie czekała. W tej ziemi, w tych ludziach, w ich historii, językach, religiach — czekała na mnie, była gotowa, konieczna, celowa. Tutaj przez nią właśnie wiedzie droga do boskiej doskonałości. Wdowiec doprowadził do spełnienia potencję starszą od niego, poprawnie odczytał keros. Popatrz. Zimowa tęcza.

— To księżycowa łódź niszczy twoje bestiarium.

— Piękne. Przed wiekami nosiłem się z zamiarem poślubienia Pani, ale wyobraziłem sobie, kto by się mógł narodzić z takiego związku i pozostałem przy mojej władzy. Nie mam pojęcia, kto sprowadził na świat Skrzywienie, ale to nie byłem ja. Co mówią kratistosi jej byłych ziem na ten jej powrót?

— Nie wraca.

— Wraca, wraca. Słyszałem, że Nabuchodonozor ma namaścić twoją córkę, hodowco psów, wychowanicę Lakatoi. Wraca. Popatrz. Znowu się wynu —

Ich oddechy, kryształ trzaskający pod obcasami, szelest nagłych poruszeń — Aurelia uniosła wzrok.

Hieronim Berbelek wyciąga sztylet o ostrzu jak płomień z piersi kratisto — człowieka, który był kratistosem. Wyciąga, spogląda nań z zastanowieniem i wbija ponownie — raz, dwa, trzy, cztery — krwawa plama rozpływa się na białej koszuli mężczyzny. Hieronim Berbelek tym razem opuszcza sztylet, odstępuje o krok. Lewą ręką machinalnie przesuwa po idealnie gładkim materiale swego płaszcza.

Maksym Rog cofa się niepewnie, szurając nogami w kryształe. Trafia ręką na przystawione do okna krzesło, siada — a właściwie pada w nie bezwładnie. Koszula jest już cała czerwona.

Hieronim Berbelek stoi nad nim ze sztyletem przy boku, z krętego ostrza spadają karminowe krople, kap, kap, kap. Hieronim Berbelek stoi i czeka, wpatrzony w oddychającego powoli Roga.

Maksym obraca oczy na Aurelię.

— Zaschło mi w gardle — rzecze, wskazując stół obok.

Aurelia odkłada keraunet, podchodzi do stołu, podaje Rogowi czarę z winem. Do końca życia będzie się zastanawiać, dlaczego to zrobiła.

Maksym ujmuje czarę, lecz już nie unosi jej do ust. Ręka opada na poręcz.

Uśmiecha się do esthlosa Berbeleka.

Aurelia dopiero po bardzo drugiej chwili pojmuje, że Rog już nie żyje.

— Kyrios… — zaczyna, lecz strategos nie reaguje.

Aurelia wraca po keraunet. Od poroży zajęły się ubrania zabitych, płonie cały stos trupów, słodka woń otępia umysł. Czuje się nagle bardzo zmęczona. Gaśnie na niej ogień, zwalnia zbroja.

Od drzwi ogląda się jeszcze za siebie. Zaczął padać śnieg i pierwsze białe płatki osiadają na twarzy, na ramieniu, na przekrwawionej koszuli Roga. Teraz, po śmierci — jakże drobne, chude, pokurczne zdaje się jego ciało, brudna Materia uwolniona z okowów Formy; w czarnych włosach kryły się liczne pasma siwizny, twarz pokrywało tysiąc zmarszczek, sine żyły przebijały spod skóry.

Aurelia wychodzi z Sali Porożnej. Zebrani hyppyroi podnoszą się, spowalniają zbroje, obracają keraunety do salutu. W pierwszej chwili nie zrozumiała, dopóki nie podążyła za ich spojrzeniami. Hieronim Berbelek wyszedł cicho za nią, widzą okrwawiony sztylet w jego dłoni, w błyszczącej rękawicy ze skóry bazyliszka.

Aurelia postępuje za strategosem, gdy idą powoli przez zdemolowane, płonące sale Arsenału. Walki dogorywają, nie słychać też już uderzeń skorpioniego ogona „Urkai", od których drżała ziemia. Ponieważ strategos się nie odzywa, hegemon Żarnik sam rozsyła poszczególne tryplety do kolejnych zadań.

Gdy dobiega ich krzyk z dziedzińca kremla, zatrzymują się, skręcają ku krużgankom Starego Pałacu Kniaziowego. Ledwo wybił kwadrans po dziesiątej, a nadciąga zmierzch. To już koniec, tak dopełnia się plan strategosa. Od północnego zachodu na chmurne niebo nasuwa się powoli czarny krąg Oronei, gigantyczny dysk powietrznego kraju Króla Burz. Patrzą jak zahipnotyzowani. Wydaje się, iż Oroneia przesuwa się bardzo powoli, lecz na ich oczach w ciemność zapadają kolejne dzielnice, fala mroku mknie po skutej lodem rzece. Oroneia nadal też obniża pułap, długie na kilka stadionów kurtyny wichrorostów prawie już dotykają szczytów zigguratów i minaterów. Minuta? Dwie? Kwadrans? Płatki śniegu wirują w powietrzu. Czy to już naprawdę zmierzch?

Na pogrążoną w szarym cieniu Moskwę spadają z nieba węglowe legiony Horroru, zastępy aniołów brązu. Biją dzwony, w tysiącach okien zapalają się światła. Nikt jeszcze nic nie wie, ale wszyscy czują. Na kościstych wieżach kremla powiewają chorągwie Ostroga. Maksym Rog nie żyje, nie ma już Czarnoksiężnika — pustka po jego Formie, przerażająca wolność ściska serca.

Pierwsze odzywają się moskiewskie psy: skowyt czarnej tęsknoty płynie przez zaśnieżone miasto. Pan Berbelek na moment podnosi wzrok znad czyszczonego sztyletu. Wycie narasta. Pan Berbelek poleruje chaldajskie ostrze. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa, trzy. Kto potrafi nazwać ów uśmiech drgający na wargach pana Berbeleka?

V

X
Kratistobójca

Mgła wirowała wokół powozu. Pan Berbelek nie wyglądał na zewnątrz, dojrzałby jeno cienie vodenburskiej architektury, umykające zresztą szybko w tył, cienie oraz światła: między płaszczyznami kamienia wybuchały co chwila strzępiaste aureole latarni pyrokijnych, samych we mgle również niewidocznych. Powóz był wysoki, masywny, ciągnęła go czwórka koni; z zatrzaśniętymi drzwiczkami i zaciągniętym dachem przypominał nieco starożytne karoce. Na bokach błyszczały emblematy NIB. Obok woźnicy w czarnej pelerynie siedział grafitowy horrorny; dwaj inni, z trójlufowymi herdonówkami w rękach, wisieli z tyłu powozu. Rozbijana mgła na powrót splatała się za nim w nici, pasma i wstęgi — już jednak znacznie bardziej uporządkowane, regularne i symetryczne, układające się podług wzoru ulic i placów nocnego Vodenburga, wzdłuż zimnych murów i wilgotnych bruków; i tak pozostawała na długie minuty.

Pan Berbelek — potężny mężczyzna w drogim płaszczu, o twarzy ogorzałej i ciemnych oczach skrytych pod gęstymi brwiami — kartkował szeleszczące gazety. Wydania pochodziły z trzynastego, czternastego i piętnastego Octobrisa 1198 roku, specjalnie dla niego zostawiono prasę z poprzednich dni, gdy znajdował się poza miastem. W „Głosie Neurgii” pisano obszernie o ofercie złożonej księciu przez młodego kratistosa Eryka Helwetę: po odejściu Króla Burz, na skutek przesunięcia dziedzin K’Azury i Leo Vialle na południe, powstała w kerosie otaczającym Neurgię pustka, która prędzej czy później musi zostać wypełniona. Jeden z komentatorów spekulował nawet, iż przyjazd Hieronima Kratistobójcy („najbardziej znanego dzisiaj mieszkańca miasta książęcego Vodenburga”) może mieć z tym coś wspólnego. HIERONIM MEDIATOR. Na następnej stronie tabela cen żywności. Głód na wschodzie i coraz to nowe wojny domowe wybuchające na gruzach Imperium Uralskiego wpływają na rynek nawet tutaj, na drugim krańcu Europy. HERDON W LABIRYNCIE: *Jak donoszą nasi korespondenci zza okeanosu, król Gustaw, za przyzwoleniem kratistosa Anaxegirosa,*

wysłał na Księżyc poselstwo dla ustanowienia stosunków dyplomatycznych z Labiryntem. Kratista Illea odpowiedziała przychylnie; na dworze w Nowym Rzymie oczekuje się poselstwa Księżycan. W „Jeźdźcu o Zmierzchu” tradycyjnie karykatura kanclerza Löke. Stoi na murach portowych Vodenburga i, zapłakany, macha na pożegnanie statkom pod banderami Czwórmiecza. Istotnie, nowy porządek w Afryce Alexandryjskiej spowodował odpływ z Neurgii sporej części południowych emigrantów, a także znaczny spadek opłacalności części handlu dotąd tradycyjnie przechodzącego przez port vodenburski. Następny artykuł podsumowywał to najdobitniej: JAN CZARNOBRODY PODPISUJE TRAKTAT SYCYLIJSKI! NOWA OŚ: RZYM–MACEDONIA–PERGAMON. Zniesiono Cła Alpejskie; tej zimy pergamin znowu potanieje.

Katlakkk-talakk-talakk, katlakkk-talakkkk, konie szły w równym rytmie, zimna noc prowokowała wspomnienia o nocach ciepłych. W Herdonie otwarta zostanie ambasada Księżyca, lecz w Pergamonie już przecież zamieszkała ejdolos Pani, Lakatoia, Panna Wieczorna. Na ziemi Mariusza Gesomaty, pod anthosem Króla Burz, w sąsiedztwie garnizonów trzech Kolumn Horroru na żołdzie Labiryntu, tam po raz pierwszy może się ogłosić sobą, to znaczy córką swej matki, tam może odsłonić się przed światem. Kratistosem Czwartego Pergamonu jest Juliusz Kadecjusz, jemu, na mocy sekretnej umowy z Kratistobójcą, przypadł keros kraju Seleukidytów, od Morza Kaftorskiego po źródła Eufratu i Tygrysu. Oroneia spoczęła na gruzach Twierdzy, na przeklętej Równinie Krwi — anthos Króla Burz ją uzdrowi. Oszczędzono tylko Wzgórze Ateny, Bibliotekę i Kryształowe Floreum — ziemia Powietrza i Ognia osiadła na drugim brzegu Kaikussu. Pan Berbelek wspominał tę noc gorącą, gdy odwiedził esthle Szulimę Amitace w jej nowej siedzibie. Zewsząd zjechali się byli wyznawcy i agenci starego kultu, nie mógł już dostać się do Floreum nikt, kto nie otrzymał pozwolenia od wszystkich kolejnych strażników, w to miasto ruin wchodziło się zaiste jak w labirynt. Nawet Kratistobójca słać musiał przodem herolda; dopiero o zmierzchu przyszło potwierdzenie. Wprowadziła pana Berbeleka bardzo młoda Heltyjka w labrysowym naszyjniku. Miast spiralną ścieżką piaskową szli przez tuziny nieskończonych słonecznych łąk, ze światła w światło; najwyraźniej Szulima zaczęła już manipulować architekturą Floreum. Po łąkach biegały dzieci najrozmaitszych morf, kilku- i kilkunastoletnie, pan Berbelek widział także mamki piastujące niemowlęta. — Skąd one pocho-

dzą? — spytał Heltyjkę. — Ze wszystkich stron kerosu — odparła — spod Formy każdego kratistosa. — Wyszli na łąkę afrykańską. Zza akacjowego gaju wypływał srebrzysty strumień, między akacjami figlowały małpy, w sawannowej trawie migotały żółte grzbiety tapalop, przyglądały się temu leniwie wyciągnięte pod drzewami gepardy. Zza strumienia, z wielkiego błękitu, wylewały się powoli kłęby tłustego światła, płynęło białe mleko oślepiającego blasku. Wpierw wyfrunęły zeń dwa kolorowe ptaki, Heltyjka uklękła, ptaki zatoczyły koło nad panem Berbelekiem, uniósł głowę — nie spostrzegł, gdy z mgły Ognia wyszła Lakatoia. — Esthlos. — Esthle. — Uśmiechali się od pierwszego spojrzenia; ale nie spodobała mu się lekkość, banalność tego uśmiechu. Zamiast ucałować nadgarstek Szulimy, zagarnął ją w pasie, przyciągnął, pocałował łapczywie, drapieżnie. Nie opierała się, lecz gdy odsunął ją potem na długość ramion, napotkał ten sam zimny, jadeitowy wzrok esthle Amitace, którego miał nadzieję nie ujrzeć już nigdy po fatalnej dżurdży. Forma sytuacji stawała się boleśnie oczywista. Odstąpił o krok. Szulima przysiadła w trawie, zawijając lnianą spódnicę. Wskazała mu miejsce obok. Nie zareagował. Wygładzając fałdy koszuli, rozglądał się po świetlistej łące (motyle krążyły nad jego głową w regularnych okręgach). — Przebudowujesz Floreum? — I tak wymaga naprawy. — Niech zgadnę: Król Burz. — Owszem, składa mi często wizyty. — Tak. Oczywiście. Odwieczny sojusznik Labiryntu. — Nie znajdziesz na mych ustach ani śladu kłamstwa. Czy kiedykolwiek powiedziałam, że cię kocham? Jestem córką Księżycowej Wiedźmy, Illei Okrutnej, jakiej morfy się po mnie spodziewałeś? — Pan Berbelek mógł tylko mrużyć oczy. Bogowie, ona nadal była piękna, jeszcze piękniejsza, w milionie odbić, w tym świetle najbielszym.

Mgła gęstniała, lecz widział już przez okienka powozu wysokie cienie budynków należących do kompleksu książęcego, konie zwolniły, wspinając się na strome wzgórze; zbliżali się do pałacu Grzegorza Ponurego. Pan Berbelek wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza zaproszenie skreślone na cielęcym pergaminie własną ręką księcia. Wczoraj, przesłane z pocztą z majątku w Ostrogu, przyszło do Vodenburga inne zaproszenie: do Alexandrii, na uroczystość nadania imienia nowo narodzonej wnuczce esthlosa Hieronima Berbeleka — córce Hypatii XV i Namiestnika Górnego Aegiptu. Pan Berbelek nie był obecny, gdy przyszła ona na świat (na ów dzień zwołał był w Czwartym Labiryncie radę astromekaników), odwiedził natomiast Ale-

xandrię pół roku temu, w czas uroczystych zaślubin i wyniesienia Alitei. Nabuchodonozor Złoty, który osłabł już tak, że jego anthos sięgał zaledwie dwieście stadionów poza granice Alexandrii, nie mógł odmówić i po raz pierwszy od przeszło trzech wieków opuścił swą wieżę w Menout, by pobłogosławić nowej Hypatii. Było to dla niego ostateczne upokorzenie i symbol klęski: siedzieć przy jednym stole z Kratistobójcą, naprzeciw człowieka z krwią Potęgi na dłoniach. Ryciny z uroczystości ślubnej obiegły potem świat, pan Berbelek widział ów obraz w gazetach Europy, Herdonu, Ziemi Gaudata: kratistos i kratistobójca, obaj wznoszący toast na cześć młodej pary, żaden z nich jednak nie patrzy na nowożeńców, wzrok mają utkwiony w sobie nawzajem. Alitea natomiast uśmiechała się promiennie, tym swoim dziecięcym uśmiechem, potrafiła, jeśli chciała, miała ten uśmiech w arsenale. Portretowano ją w czerwonej spódnicy aegipskiej, stojącą między pochyłymi pylonami, z bukietem zbożowym w lewej dłoni i kostką pitagorejską w prawej, nadal izydowo uśmiechniętą. Pan Berbelek pamiętał zupełnie inny wyraz jej twarzy, z jakim uklękła przed nim kilka miesięcy wcześniej, razem ze świeżo wykurowanym Dawidem. Zaszli Hieronima w najdalszym kącie perystylu alexandryjskiego pałacu, zjadł właśnie śniadanie w cieniu wodnej palmy, nad Mareotem wstawał purpurowy świt; odwrócił wzrok od zorzy poranka i oni już tu klęczęli, nie mógł umknąć spod tej Formy. Alitea wiedziała, w jakim nastroju wrócił właśnie z Pergamonu od Szulimy, pan Berbelek nie zdziwiłby się, gdyby Szulima wysłała zaraz do Alitei stosowny list. — Ojcze. — Wstańcież, no co wy wyprawiacie! — Prosimy cię o błogosławieństwo, kyrios. — Alitea, wiesz dobrze, że nie będę ci się sprzeciwiał, to twoje życie. — Sprzeciwiałeś się i sprzeciwiasz. Nie chcę, żeby coś mu się stało. Dasz mi słowo. — Wściekł się wtedy. — Precz! Precz mi z oczu! — Monszebe się poderwał, ale złapała go za ramię. Zostali na kolanach. — Ojcze. — Co ty sobie wyobrażasz, że kim ja jestem, że naślę morderców na męża własnej córki? — Nie, oczywiście, że nie. Ale też czy Szulima namawiała nas ku sobie? Przecież wiesz. Co zeswatane przez Pannę Wieczorną, to spełnia się w miłości. A pod morfą strategosa spełniają się plany, których on sam nawet jeszcze do końca nie pomyślał. Ktoś dostrzeże grymas na twej twarzy i zechce ci się przypodobać… Dawid już raz ledwo uszedł śmierci z rąk twojego wasala. Pobłogosławisz nam, kyrios. Szczerze. Noszę jego dziecko. Muszę uwierzyć, że w głębi serca życzysz nam szczęścia. — Do dziś nie miał po-

jęcia, po czym mianowicie ona miała to poznać; sam nie wiedział, czy cieszył się z ich radości, czy pogardzał za przewrotność Szulimy. Wszystkie ryciny z wesela przedstawiały beznamiętną, surową twarz Kratistobójcy.

Zazgrzytały żelazne wrota, powóz wjechał na dziedziniec pałacu. Światła z dziesiątek wysokich okien i zewnętrznych lamp pyrokijnych przebiły się w końcu przez fale mgły. Horrorni zeskoczyli na ziemię, od marmurowych schodów podbiegli służący w czarno-czerwonych liberiach. Gdy otworzono drzwiczki i przysunięto likotowe schodki, w mieście poniżej dzwony świątynne poczęły wybijać godzinę dziesiątą; dźwięk dochodził niski, stłumiony, przeżarty przez ciemną wilgoć. Kolejna vodenburska noc mgły i kamienia.

Pan Berbelek wykrzywił się ironicznie do swego odbicia w złotym zwierciadle, przełożył do lewej dłoni pyryktę, poprawił mankiety białej koszuli i czarnego kaftana, policzył w myśli do czterech, po czym wszedł do Sali Dziadów.

Neurgowie ukłonili się wraz, niczym objęci jedną morfą. Skinął im uprzejmie pyryktą. Żaden herold ni odźwierny go nie zapowiedział; pan Berbelek był już z tych, których nadejście ogłasza się jeno głuchym uderzeniem, nagłą ciszą, zaraźliwym szeptem. Znał ten szept, to była przecież jego korona, jego czarny anthos: „Kratistobójca, Kratistobójca, Kratistobójca”.

— Esthlos.

— Esthlos.

W Sali Dziadów, pod dziadów spojrzeniem z ciemnych konterfektów, odbyła się oficjalna kolacja, potem natomiast przeszli do bardziej kameralnego saloniku na drugim piętrze, już tylko oni dwaj: pan Berbelek i książę Neurg. Do kolacji zasiadło wokół stołu ponad dwadzieścioro aristokratów — i pan Berbelek bardzo szybko zorientował się, podług jakiego klucza zostali oni dobrani, chociaż bowiem ich mu wszystkich z imienia nie przedstawiono, ich morfa (te ognistoczerwone włosy!) była aż nadto oczywista: książę zaprosił na kolację z Kratistobójcą swoich najbliższych krewnych. Pan Berbelek jadł obserwowany uważnie przez dwa tuziny Neurgów. Uśmiechali się, rozmawiali między sobą, wymieniali plotki i dowcipy, w istocie na niego spoglądając tylko przelotnie i ukradkiem. Lecz nie miał wątpliwości. Ci, którzy się do niego odzywali — a w toku konwersacji pod-

czas posiłku chyba wszyscy zdążyli zamienić z nim kilka słów — zagadywali o sprawy banalne i bez znaczenia. Tak jednak właśnie bada się Formę: tam ona najczystsza, gdzie treści brak.

Pan Berbelek siedział na honorowym miejscu, po prawicy księcia zajmującego krzesło u szczytu stołu. Z kolei po swojej prawej ręce Kratistobójca miał książęcą wnuczkę, bladolicą Rumię Neurg. Przez te cztery i pół roku, jakie minęły od poprzedniej jego wizyty w pałacu vodenburskim, zdążyła wyrosnąć z płochego dziewczęcia na poważną, opanowaną kobietę. Jej wcale chyba nie znająca promieni słonecznych skóra, włosy jak gniewny płomień, jej ascetyczna suknia o zamykającym piersi gorsecie i czarne napalcówki — pozornie wszystko odróżniało ją od Alitei, w tę stronę jednak pobiegło pierwsze skojarzenie pana Berbeleka, ku córce. Zmiana powolna, zachodząca na naszych oczach, jest niedostrzegalna: my zmieniamy się wraz ze zmienianym. Dopiero gdy brak w pamięci obrazów pośrednich, ukazuje się prawdziwy kontrast. Przypomniał sobie tamtą Aliteę, która towarzyszyła mu podczas poprzedniej wizyty w pałacu Neurgów, jak zasnęła w dorożce i trzeba ją było przenosić do łóżka, śpiącą…

— O czym myślisz, esthlos?

— To chyba oznaka nadchodzącej starości, gdy przeszłość zaczyna zwyciężać nad teraźniejszością. — Potrząsnął głową.

Rumia zatrzymała nóż nad łososiem.

— Ja też pamiętam, tamtego roku zamarzł cały Rein, przed wyjazdem odwiedziłeś nas, esthlos, z córką i synem. Och, przepraszam.

— Abel, tak.

— Przepraszam, przepraszam, tak mi przykro.

Machnął ręką z chustą, otarł nią usta.

— Nie ma powodu, by było ci przykro. Zawsze zastanawiała mnie ta forma. Co właściwie kryje się za podobnymi wyrazami współczucia? Przecież nie współczucie, do niego zdolni są tylko najbliżsi, z którymi łączy nas podobieństwo Formy. Czy chodzi więc o pocieszenie żałobnika? Może o okazanie szacunku? Ale komu? Zmarłemu? Obcy człowiek przychodzi i mówi, jak mu przykro; podczas gdy wiem, że przykro mu nie jest. I to jeszcze w momentach takiego napięcia uczuć: po śmierci, podczas pogrzebów, całopaleń. Dziwię się, że nie dochodzi do bójek nad grobami. Właściwie — jak o tym pomyśleć — to pewnie akurat by się Ablowi spodobało, jako rodzaj pośmiertnego hołdu. Mhmmm.

Dotknęła jego dłoni.

— Po prostu chciałam przeprosić za przywołanie wspomnienia Abla.

— Dlaczego miałabyś za to przepraszać? Dlaczego miałbym unikać wspomnień o nim? Czy był zbrodniarzem, człowiekiem złym, małym i podłym?

Uśmiechnęła się wtedy lekko, przechylając głowę.

— Nie, esthlos. Miał wielkie marzenia. Opowiadał mi…

— O czym?

— Pomyślałam: taki syn, jaki ojciec.

— Raczej na odwrót — mruknął pod nosem pan Berbelek.

Do saloniku na drugim piętrze nie docierała instalacja pyrokijna, służący wnieśli tam lampy olejne i świeczniki, w kominku już płonął ogień, trzaskały trawione przez żar drewna. Pan Berbelek i książę usiedli w fotelach zwróceni półprofilem do paleniska, od którego płynęły fale gorąca. Okna zasłonięto ciężkimi storami. Babiloński dywan tłumił kroki służby. Światło nie sięgało do przeciwnej ściany, tam, w kątach za aegipskimi amforami i zabytkowymi zbrojami frankońskimi, rosły mięsiste cienie. Doulos podał aristokratom fajki, zapalili. Mieszanka składała się z pażuby, hasziszu i tego nowego ziela syberyjskiego. Przez chwilę w milczeniu wydmuchiwali dym.

Zapomniany przez służbę pogrzebacz utkwił między szczapami w palenisku, rozgrzewając się powoli — książę sięgnął i cofnął rękę z sykiem. Pan Berbelek pochylił się, wyjął pogrzebacz bez pośpiechu, skóra dłoni nawet mu się nie zaczerwieniła.

— Ach. Tak. — Książę założył nogę na nogę. — Powiadają, że Księżycowa Wiedźma wlała ci Ogień w żyły, esthlos.

Pan Berbelek obrócił na kolanach pyryktę, martwe oczy fenixów w blasku żywego ognia zalśniły oślepiająco.

— Może jedynie stopiła w nich lód — zaśmiał się. — Ale nie, to nieprawda. Tam każdy oddycha pyrem, pyr płonie pod powiekami. To ich oczyszcza, w jakiś sposób wypala wszystko, co zbędne, nadmiarowe, niekonieczne, myśli, uczucia i cechy przypadkowe, puryfikuje ciało i morfę. Czasami wydają się przez to naiwni jak dzieci, czasami jak dzieci okrutni.

— Powiadają, że masz tam dom.

— Mhm?

— Na Księżycu.

— Podarowała mi imopatrę… trochę ziemi. Kiedyś podczas pełni pokażę ci, esthlos, gdzie.

— Osiądziesz tam?

— Pytasz mnie o plany? — Pan Berbelek zaśmiał się ponownie. — Przecież wiesz, książę, nawet gazety piszą o Aetherycznej Flocie. Będzie wielka wojna z adynatosami.

— Będzie, nie będzie — mruknął Neurg. — I czy wie kto, kiedy? Za rok, za dwa, za dziesięć, za wiek. Sam wszak nam opowiadałeś, jak to nie sposób ugadać w czymkolwiek więcej niż dwóch kratistosów naraz. Któż przewidzi, kiedy zawieją sprzyjające wiatry polityczne? No i przede wszystkim: czyż nie poradzą sobie bez ciebie? Tylu kratistosów, sama Illea — a te plotki, jakobyś miał wejść wprost w arretesową Formę, no to przecie byłoby samobójstwo, gorzej niż samobójstwo, samozatracenie, i jeślibyś, esthlos —

— Ale do czego właściwie usiłujesz mnie przekonać, miły książę?

Esthlos Neurg spojrzał dziwnie na Kratistobójcę, mrużąc oczy za seledynowym dymem.

— Znasz *Hymn Upadających* Gwidona Kordubczyka?

— „Spadając, widzę, jak niebo oddala się ode mnie…”

— Tak. „Nie ten posiada, kto rodzi, i nie ten posiada, kto niszczy. Posiada ten, kto może zniszczyć”.

— Ale to nie jest prawda. — Pan Berbelek przecedził dym między zębami. — Posiada ten, kto potrafi obronić przed zniszczeniem ze strony wszystkich innych.

Książę wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, oni teraz wiedzą, że nie są bezpieczni, nie są bezpieczni, póki żyjesz.

— Och, zdaję sobie z tego sprawę. Dopiero co moi horrorni przechwycili kolejnego zamachowca.

— Boją się — masz zatem władzę. Nie jesteś kratistosem, możesz jednak stanąć naprzeciw nich jak równy.

— No, nie przesadzajmy —

— Wysłuchaj mnie, esthlos. — Książę odłożył fajkę i pochylił się w fotelu ku panu Berbelekowi, w blasku roztańczonego ognia czerwone włosy zalśniły pyrowo. — Odkąd wypowiedzieliśmy lenno, staramy się utrzymać tę kruchą niezależność, balansując na linie między Potęgami; tak wiek za wiekiem. Po każdej zmianie równowagi musimy od nowa szukać sposobu na

niepodległość. Niekiedy przychodzi zapłacić za to, na przykład przyjmując Formę Grzegorza Ponurego. Teraz próbujemy się zeń oczyścić, może uda się rzecz przyśpieszyć dzięki tym teknitesom kalokagatii. Celem bowiem ostatecznym jest wolność. Zapytasz, co to wolność. Swoboda wyboru Formy. Oczywiście, nie zrobimy aristokratów z niewolników — możemy jednak zwiększyć maksymalnie różnorodność pośród zwykłych ludzi.

— Jestem zdumiony, książę — rzekł Kratistobójca, nieco rozbawiony. — Mówisz prawie jak ci szaleńcy z sekty demokratów. Co rzekłaby na to twoja Iaxa?

Neurg potrząsnął głową.

— Jesteśmy pragmatykami, nie zamierzamy się buntować przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy. Rządy ludu to też byłby rodzaj rządów aristokratów, jeno bardziej brudny i mniej sprawny, bo wymagający jednego kłamstwa więcej. Z definicji przecie ten jest aristokratą, czyja Forma silniejsza, kto potrafi narzucić swoją wolę. Demokracja to sprzeczność sama w sobie: aby w ogóle rządzić, musi powstać hierarchia, a skoro powstanie hierarchia, nie wszyscy będą już równi. Świat, życie, człowiek, wszystko istnieje dzięki ustanowieniu hierarchii; równość to ostateczna kakomorfia, w której nieuchronnie roztapia się każda Forma.

— Mówiłeś jednak o swobodzie jej wyboru.

— Jak rzekłem, jesteśmy pragmatykami. Księstwo Neurgów to niewielki kraj, na pewno najmniejsze suwerenne lenno w Europie: Vodenburg i kilkadziesiąt miasteczek, kilkaset wsi. Wiesz jednak, esthlos, jaki był nasz bilans obrotów handlowych za zeszły rok?

— Z gospodarczego punktu widzenia położenie macie świetne.

— Od odejścia Grzegorza Ponurego w jednym Vodenburgu powstało więcej wynalazków i wdrożono więcej nowych teknologii niż w Europie i Afryce razem wziętych. Ciągną do nas sofistesi z całego świata. Akademeia rozbudowuje się w niezwykłym tempie; daję na nią pieniądze, więc trzymam rękę na pulsie. Wiesz, że jako jedyna na świecie ona przynosi zyski? W zeszłym roku wprowadziliśmy system kredytowania kosztów nauki. Wykupujemy z umysłów tej młodzieży wynalazki jeszcze nie pomyślane. Kupcy sprowadzają towary przez Vodenburg nie ze względu na bezpieczny port, niskie cła, dobre drogi, dogodne położenie — chociaż to pomaga — ale ze względu na nasze faktury, podnoszące po przetworzeniu wartość materiałów i surowców dwu-, trzy-, czterokrotnie. Szkło to tylko najbardziej

znany towar eksportowy. Zapytaj wspólnika, esthlosa Njute. Zresztą na pewno orientujesz się w interesach swego Domu Kupieckiego.

Książę wyprostował się w fotelu, ponownie założył nogę na nogę.

— A wiesz, esthlos, co jest źródłem tego sukcesu? R ó ż n o r o d n o ś ć. Przemieszanie Form. Nie bez przyczyny zwą Vodenburg Stolicą Włóczęgów. Kto zamknie się w jednej Formie, ten skazuje się na los szczęścia; natomiast spośród tysiąca Form któraś zawsze jest bliższa Celu. Oto cały sekret: otwarte na oścież wrota. Co zaś jest przeciwieństwem różnorodności? Dominacja jednej Formy. Unimorfizm.

— Jak rozumiem, nie zamierzacie przyjąć oferty kratistosa Eryka Helwety?

— Będziemy się bronić do ostatniej chwili — stwierdził esthlos Neurg, po czym uśmiechnął się szeroko do pana Berbeleka. — A co może dać lepszą gwarancję wolności niż oficjalny związek z Kratistobójcą?

Strategos postukał gorącym cybuchem o kostki dłoni.

— Taaak. Więc jednak. Rumia, prawda?

Książę skinął głową.

— Ona stanowi najlepszą kandydatkę. Oczywiście jeśli z jakiegoś powodu nie przypadnie ci do —

— Nie, nie, skąd. Czuję się zaszczycony, naprawdę.

Zapadło milczenie. Książę nie uśmiechał się już. Złożywszy razem palce, przyglądał się zapatrzonemu w płomienie panu Berbelekowi.

— Jesteśmy gotowi na daleko idące koncesje polityczne — rzekł powoli. — Tytuł, powiedzmy, Hegemona Protektora. Jeśli nie chcesz w pałacu, mógłbyś zamieszkać w Ogrodach. Nawet prawo pierwowładztwa dla twojego i Rumii potomstwa, esthlos. O ile nie pójdziesz na tę aetherową wojnę, prawdopodobnie przeżyjesz nas wszystkich. Ostatecznie księstwo byłoby twoje.

— Musicie być naprawdę zdesperowani.

— Dyskutowaliśmy między sobą tę ofertę bardzo długo. Jeśli wybór ogranicza się do kratistosa i kratistobójcy…

— Najważniejsze jest zachowanie różnorodności.

— Tak.

Pan Berbelek odłożył fajkę, wstał, przeciągnął się. Machnął ryktą, świsnęła, pozostawiając w powietrzu czerwony powidok. Przeszedł się po saloniku, do drzwi i z powrotem.

Książę Neurg pozostał przy kominku, obserwował strategosa spod rudych brwi.

— Oczywiście nie musisz odpowiadać natychmiast — rzekł. — Będziemy czekać do ostatniej chwili. Jeśli chcesz porozmawiać z Rumią —

— Próbuję to sobie wyobrazić — mruczał pan Berbelek. — Rumia, Vodenburg, następne dzieci, tak przez dziesięciolecia, liczymy wpływy do skarbca i budujemy tu Alexandrię północy…

— Jeśli wszystko się szczęśliwie ułoży.

— Taaak.

Pan Berbelek zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. Obracając w palcach pyryktę, opuścił wzrok i zapatrzył się na długą chwilę we wściekły żar fenixowych oczu.

Dopiero chrząknięcie księcia otrzeźwiło Kratistobójcę.

— Pomyślałem sobie — rzekł cicho, sięgając klamki — że podług boskiego planu powinieneś, książę, składać tę propozycję nie mnie, lecz Ablowi, mojemu synowi, Ablowi. Dziś widzę jasno, że to tak się powinno było ułożyć: on i Rumia; wróciłby z Afryki już innym człowiekiem, pasowaliby do siebie. Miałbyś proktektorat krwi Kratistobójcy. Tak to było im przeznaczone, taki był Cel, tak się powinno było ułożyć, powinien tu teraz stać obok mnie. Ale po drodze coś się rozdarło w osnowie Losu, przypadek, który zburzył konieczną przyszłość, drobnostka, która zaprzeczyła kismetowi… Czy jednak ja mogłem mu zabronić? Czy mogłem go osłonić od ryzyka, za niego wygrać życie? Rumia poślubiłaby wyłącznie aristokratę silnej Formy, silniejszej niż jej. Pozostaje więc bezradna mądrość… Tak to jest z ojcami i synami. Dobranoc, książę.

— Ajch, ajch, przepraszam, myślałem, że jesteś u siebie, nie chciałem cię obudzić, ci strażnicy narobili rabanu.

— Nie śpię, wstałem przed świtem. Właź, Kristoff. Zresztą — ja jestem u siebie!

— Horrorni na dole i na schodach… Teraz tutaj mieszkasz?

— Ano.

Esthlos Njute zamknął za sobą drzwi i podszedł do szeroko otwartego okna.

— Zimno — mruknął. — Dopiero co przyjechałem z Burdigali, nie wiedziałem, że tak szybko wróciłeś do Vodenburga. W Burdigali leży już śnieg. Właściwie dlaczego się tu przeniosłeś? — Machnął ręką, ogarniając gestem apartament, jego nagie ściany i podłogę z czarnej prośniny.

Znajdowali się bowiem na piętrze starego bakhauzu, od roku nie wykorzystywanego przez NIB. Dom Kupiecki Njute, Ikita te Berbelek po zawarciu długoterminowych umów z kupcami księżycowymi i oroneiowymi wydzierżawił w całości Południowe Doki, zapewniając sobie wszystką przestrzeń magazynową, jakiej będzie kiedykolwiek w Vodenburgu potrzebował; w istocie obecnie zarabiał także na podnajmie tych bakhauzów. NIB posiadał wszakże również kilka bakhauzów w górnym porcie. Część z nich sprzedano, część oddano w najem, a ten tu budynek ryter Njute postanowił przerobić na prywatne hospicjum Domu. Nie była to wszakże sprawa priorytetowa i zakończono na razie tylko remont pomieszczeń frontowych, piętro zaś pozostawało zupełnie nieumeblowane. Pan Berbelek polecił przenieść tu rzeczy z kamienicy, nadal jednak pokoje nie sprawiały wrażenia przytulnego mieszkania. Nie pomagały też otwarte na oścież okna, przez które wpadał zimny wiatr znad zatoki; wiatr, skrzeki mew, zapach soli i smoły, pokrzykiwania marynarzy i robotników portowych. Kratistobójca siedział przy dosuniętym do ściany sekretarzyku, z prawym łokciem opartym na parapecie, i popijając qahwę, przeglądał jakieś pomięte papiery. Był w jednej z tych swoich białych afrykańskich szat, ryter jeruzalemski nie orientował się za dobrze w formach południowego odzienia.

Przysiadłszy na stołku obok, zajrzał panu Berbelekowi przez ramię.

— Po jakiemu to? Greka? Nie greka.

— Czy byłbyś tak uprzejmy… Dziękuję.

— Przepraszam. Słuchaj, jeśli masz chwilę czasu…

— Tak?

— Właściwie zamierzałem pisać do ciebie, i tak musielibyśmy pogadać. Gdzie trzymasz dokumenty Domu? Zostawiłeś w kamienicy?

Pan Berbelek westchnął, odstawił czarę.

— Chyba ją sprzedam. Próbowali się już dostać przez dach, chodzą między kominami, demolują mi pokrycie.

— Zabójcy?

— Ba, żeby to byli po prostu nasłani mordercy…!

Od powrotu do Vodenburga pan Berbelek żył tam w stanie ciągłego oblężenia. Z początku było to poniekąd zabawne — te dzieci pokrzykujące pod oknami, zostawiane przez szaleńców ofiary (wota, listy, fragmenty włosów i ciała, jakieś pokraczne figurynki), procesje dziennikarzy, sofistesów, zżeranych przez ambicję niskich aristokratów… Stary Porte prawie nie odchodził od drzwi. W końcu więc pan Berbelek wystawił przed kamienicą posterunek Horroru. Ale to tylko pogorszyło sprawę, równie dobrze mógłby wywiesić chorągiew Kratistobójcy. Gromadziły się grupki młodzieży, przechodnie zagadywali horrornych, sąsiedzi skarżyli się na natrętów. Na ulicy poniżej i powyżej rozłożyły się stragany cwanych vodenburskich kupców — handlarzy izmaelickich, żydowskich, cygańskich, induskich — na których sprzedawano fantastyczne memorabilia: ułamek ostrza sztyletu Kratistobójcy, jego płaszcz, rubiowe rękojeści Czwartego Miecza, fiolki z krwią Czarnoksiężnika, zabalsamowane fragmenty jego ciała, zmumifikowane mityczne siódme palce Siedmiopalcego (tuziny), skarby Labiryntu, portrety Księżycowej Wiedźmy; i ludzie to kupowali. W dni targowe wręcz nie sposób było przejechać tam dorożką czy konno. Pan Berbelek jakoś to znosił, chociaż stało się już dlań boleśnie oczywiste, że w końcu będzie się musiał przeprowadzić, ten dom to nie była siedziba stosowna dla Kratistobójcy, przerósł swą starą Formę. Dorośli ludzie nie chodzą w dziecinnych ubraniach, stare kobiety nie stroją się w dziewczęce szaty. Tylko głupiec zamyka oczy na morfę. Wszakże kroplą, która przelała czarę, okazał się najazd demokratów. Sekta uaktywniła się w Neurgii tego lata; nie od razu uderzyli do pana Berbeleka. Skoro już jednak powzięli zamiar, nie było ucieczki przed fanatykami. Stanowił dla nich ucieleśnienie ideałów kultu, drogę do spełnienia ich szalonych postulatów. Wszak pierwszym warunkiem demokracji jest pozbycie się kratistosów; zbudowaniu prawdziwych polis stoi na przeszkodzie aristokracja. Lepiej niż Kratistobójca znali cel Kratistobójcy. Dżurdża w imię demokracji! Wyrżnie wszystkich kratistosów, przepędzi królów, odtąd rządzić będzie Lud. Skradali się pod okna kamienicy, rzucali w nie kamykami, słali listy, manifesty, petycje błagalne, skrzynie książek autorstwa starożytnych i nowożytnych filozofów, jeden bełkot. Próbowali czepiać się jego powozu, zaskakiwali go na mieście, wślizgiwali się na przyjęcia, w których brał udział, jeden przecisnął się nawet kominem, pan Berbelek go zastrzelił, gdy wariat zwalił się w palenisko. Szaleńców jednak nie wystarczy konsekwentnie ignorować. Trzy noce temu młoda demokrat-

ka podpaliła się pod oknami jego kamienicy, długo wrzeszczała, płonąc, rozbudziła pół dzielnicy. Do jakiego stopnia było to żałosne: już na samym początku sprzeniewierzali się własnym ideałom, uznając nieskończoną wyższość Kratistobójcy. Zaiste, prawdę pisał Platon: nie wszystkie książki stanowią bezpieczną lekturę dla nieuformowanych umysłów.

Kristoff pokiwał głową, wysłuchawszy opowieści pana Berbeleka.

— Mówiłem ci przecież. Postaw sobie dwór za miastem, za mną jest jeszcze wolna parcela. Masz może wątpliwości, czy cię stać? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z wysokości swoich dochodów po ostatniej renegocjacji udziałów?

— Nająłem od Panatakisa księgowego, cwana szuja, sprawdza dla mnie wszystkie rozliczenia. Nie masz mi chyba za złe?

— Ha, sam bym ci tak doradził! To jak, budujesz się?

— Książę chce, żebym zamieszkał u niego w pałacu.

— Jeszcze lepiej! — Esthlos Njute aż się poderwał. — Czekaj, przyniosę papiery.

Wybiegł (przeciąg zatrzasnął za nim drzwi) i zaraz wrócił z grubą teczką pod pachą.

— Brrr, że też nie jest ci tu zimno!

Przysunął stołek do sekretarzyka, rozłożył dokumenty; ciężki krzyż kołysał się na łańcuchu nad równymi szeregami liczb. Pan Berbelek przyglądał się Herdończykowi w lekko zdumionym rozbawieniu.

— Popatrz — Kristoff wskazywał poślinionym paluchem kolejne rachunki — wszystko przeliczyliśmy. Herdon już się otwiera, a tak czy owak otwarty jest Pergamon, jeśli Siedmiopalcemu coś nie odbije, ale z Aliteą w Aegipcie i z twoimi Horrorami pod bokiem byłby samobójcą, więc Herdon i Pergamon, ale ty z łatwością mógłbyś przekonać Neurga, wiem, że mógłbyś, pomyśl tylko, Vodenburg jako jedyny w Europie, a mamy czterdzieści siedem procent udziałów w fakturze świń powietrznych Baltazara, a jeszcze z oroneigesem od Króla Burz, a to przecież też twój koleś, he, he, he, no to sam widzisz —

— O czym ty, na Szeol, mówisz?

— Pamiętasz, ile zarobiliśmy na monopolu herdońskim? A tutaj otwiera się okazja tysiąc razy większa: Księżyc. Księżyc, wszystkie jego skarby, cała gospodarka i cały rynek księżycowy, kilkadziesiąt milionów dusz, policzyliśmy, popatrz. Po pierwsze: ustanowić bezpośrednią wymianę handlo-

wą. My posiadamy wielką przewagę, lata przemytu, przecież większość szła przez NIB. Nie możemy utracić tej pozycji! Więc, po drugie: niech Neurg pozwoli kanclerzowi otworzyć księstwo dla Księżycan. Na murach portowych postawimy maszty dla łodzi księżycowych. Ale, zauważ, obecnie oni kontrolują przewóz w stu procentach, wszystkie aerostaty zdolne dosięgnąć Księżyca należą do nich: te ich makiny aetheryczne… Więc, po trzecie: musimy zacząć budować własną flotę aetheru. Konsultowałem się z sofistesami Akademei Vodenburskiej. Twierdzą, że to jest niewykonalne w sferach ziemskich. Toteż na początek trzeba by wznieść gród na orbicie, w sferze pyru i aetheru, tu masz wstępny projekt, ten budżet to prowizorka, musimy pogadać wpierw z Księżycanami. Ach, właśnie, gdzie ta, jakże jej, Panna Popielna, ta łysa czarnula, co wszędzie za tobą chodziła?

— Musiała wrócić na Księżyc. Widzisz, Kristoff, oni nie mogą zbyt długo przebywać na Ziemi. To samo dotyczy wszelkich aetherycznych makin. Każdy żywioł dąży do swojej sfery. Uranoiza wyrywa się tu z epicykli. Łodzie księżycowe muszą się od nowa dostrajać po każdej dłuższej wizycie w sferach ziemskich. Przemnóż ten budżet przez dwa. Zaraz, pokaż — my naprawdę dysponujemy takim kapitałem?

— W każdej chwili możemy dysponować. — Kristoff wyszczerzył się do pana Berbeleka. — Przejdziesz się po bankach, po domach aristokratycznych — kto odmówi Kratistobójcy? A potem będą ci wdzięczni.

— Ach, więc tak to ma wyglądać…!

— No co! — obruszył się esthlos Njute. — Nie powiesz chyba, że proponuję ci złe warunki. Tu masz dwudziestoletnią prognozę zysków. Widzisz to? Twój udział. Jak dobrze pójdzie, zostaniemy, obok kratistosów, królów i starych aristokratów, najbogatszymi ludźmi w Europie!

— Bogactwo, no tak.

— Tylko mi nie wyjeżdżaj z morałami! Pamiętam, jak kilkanaście lat temu mi dziękowałeś, że nauczyłem cię chciwości.

— Ale to było kilkanaście lat temu.

— Więc co? — wściekł się Kristoff. — Nagle mi mówisz, że pieniądze już cię nie obchodzą?!

Kratistobójca uderzył otwartą dłonią o blat sekretarzyka i esthlos Njute zamilkł, cofnął ręce, skulił się na zydlu.

— Uspokój się — rzekł cicho pan Berbelek. — Żadnej decyzji jeszcze nie podjąłem. Widzę, że jakiś nasz statek wchodzi do portu; idź, tym się

zajmij. Zostaw mi papiery. Widzimy się wieczorem u Oriflamme’ów.

— Tak. Dobrze. Przepraszam.

Esthlos Njute wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Pan Berbelek próbował jeszcze przez chwilę czytać list od Aurelii, wrócił nawet do listu od Janny, który dotarł doń opóźniony o miesiąc, bo też szedł przez Ostrog (Janna w tym liście nadal nie chciała podać powodu, dla którego tak nagle zdecydowała się hodować bezgłowce w Ziemi Gaudata) — ale to nie miało sensu, tylko się prześlizgiwał wzrokiem po literach.

Myśli same skręcały ku politycznym łamigłówkom, tym rozgrywkom międzykratistosowym, w które się ostatnio coraz mocniej angażował, formował się już bowiem zarys możliwej koalicji, pustka po Czarnoksiężniku musiała zostać wypełniona, a Kratistobójca pomagał wykreślić nową mapę kerosu i wojna z adynatosami stanowiła w tych negocjacjach jedną z kart przetargowych — ci, co przyrzekli wspomożenie Illei jeszcze przed upadkiem Czarnoksiężnika, posiadali teraz lepsze pozycje. Nagle okazało się, że opłaca się być sojusznikiem Księżycowej Wiedźmy, opłaca się pozyskać przychylność Kratistobójcy… Myśli biegły ku aetherycznej flocie wojennej, zbieranej na orbicie Księżyca, ku zastępom hyppyroi, ku Aurelii, Omixosowi i Hierokharisowi, ku Pani…

Oczywiście wiedział, że człowiek rozsądny wybrałby propozycję księcia lub propozycję Kristoffa, lub jedną z tysiąca innych bezpiecznych alternatyw — i tak powinien postąpić pan Berbelek.

Ale — no pomyśl tylko, Hieronimie — ty, który stwarzałeś państwa, koronowałeś królów, zdruzgotałeś imperium Czarnoksiężnika, ty, z krwią kratistosa na rękach, przed którym drżą Potęgi — jakiż Cel teraz przed tobą? Spokojne, szczęśliwe życie aristokraty w tym kupieckim kraiku, ognistowłose dziatki, rządy w zabawkowym księstwie? A może bogactwo, złoto, jeszcze więcej złota, handel, handel, handel — atramentowe bitwy między kolumnami cyfr?

Kristoff podarował mu kiedyś księgę pism kristjańskich: po większej części nudna historia Żydów i bełkot religijny. Lecz żadna księga nie jest zupełnie pozbawiona mądrości:

Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce.

Nawet starożytni Żydzi znali prawa Formy. Nie można skłamać samego siebie.

Mówi więc jak Kratistobójca, czuje jak Kratistobójca i myśli jak Kratistobójca.

Kryptomancja lunarna posiadała na Ziemi tradycję długą i niechlubną, nawet babilońscy astrologowie nie mogli się tu poszczycić wielkimi sukcesami. Z kolei astrologowie księżycowi, najlepiej poinformowani, nie mieli powodu (ani możliwości) oddawać się zdalnym obserwacjom Czwartego Labiryntu, więc i do ich doświadczeń nie można się było odwołać. Pan Berbelek przywiózł jednak kilka starych podręczników świątynnych z Biblioteki Labiryntu, wyszukanych dlań przez Antidektesa Alexandryjczyka, i to właśnie pochodzącymi z nich rycinami się teraz posiłkował, obserwując przez kryształową lunetę z dachu portowego bakhauzu północny brzeg Morza Poronnego. Akurat tej nocy nie padał deszcz, mgła nie zasnuwała miasta ani chmury nieba; nie wolno było zmarnować takiej okazji. Lunetę wypożyczył z Akademei Vodenburskiej. Umocowano ją na masywnym trójnogu, dwoje doulosów poruszało mosiężne obręcze, nakierowując opticum podług wskazówek pana Berbeleka. Światła portu i statków trochę mu przeszkadzały, kazał rozstawić od zachodu wysoki parawan. Podmuchy wiatru szarpały nim co chwila, tłukł się hałaśliwie, to też przeszkadzało. W ogóle ostatnio niemal wszystko irytowało Kratistobójcę.

Poza nim i doulosami na płaskim dachu znajdowało się czworo horrornych z naładowanymi żarłaczami, ułożyli się w rogach budynku, lecz grafitowe zbroje nawet w pełnym blasku Księżyca nie pozwalały dostrzec sylwetek żołnierzy.

Pan Berbelek już chwilę temu posłał po gorącą qahwę i wódkę. Po dwóch godzinach obserwacji nie był bliżej konkluzji. Liczył, że może przesądzi sama Pani… I tak pan Berbelek nie zaśnie, koszmary stawały się coraz bardziej trujące, przez kilkanaście minut po przebudzeniu nie potrafił rzec słowa w żadnym ludzkim języku; nie chciał zasypiać. W Vodenburgu wydzwoniono pierwszą, przeciągnął się na likotowym krzesełku. Przemieszczenia makin aetherycznych poruszających Labiryntem Illei, a więc i aktualny kształt Labiryntu — stanowiły bezpośrednie odbicie fluktuacji morfy Potni. Anthos Illei Okrutnej rozkwitał nad różowymi wodami księży-

cowego morza w formie konfiguracji naniebnych konstruktów uranoizowych, to wiedzieli wszyscy Księżycanie. Cały problem we właściwej interpretacji tych kształtów. Rozłożone na dachu bakhauzu wokół pana Berbeleka księgi zawierały ryciny z mapami Labiryntu sporządzonymi w dni wyjątkowo ważnych wydarzeń: wielkich tryumfów i klęsk Pani, narodzin jej dzieci, śmierci syna, pierwszego ataku adynatosów, i tym podobnych. Pan Berbelek siedział z rękami założonymi na karku, nocny wiatr przewracał ciężkie strony księżycowych ksiąg.

— Proszę, esthlos.

Anton odsunął stopą inkunabuł i postawił obok tacę z czarą parującej qahwy, butelką pażubówki, kubkiem i solniczką.

Pan Berbelek nalał sobie wódki, połknął jednym haustem.

— Esthlos…

— O co chodzi? — Kratistobójca warknął na Antona, zaskoczony, że ten jeszcze nie odszedł. Zmitygował się na widok panicznego odruchu służącego. — Tak, Anton?

— Jeśli miałbyś teraz chwilę czasu, esthlos…

— No mów, mów.

Anton rozglądnął się nerwowo na boki, jakby obawiając się podsłuchania przez doulosów lub horrornych.

— Chciałbym prosić cię o pozwolenie, esthlos…

— Tak?

— Chcę się ożenić.

Pan Berbelek zamarł w pół ruchu, z przechyloną butelką pażubówki i kubkiem w rękach, i wybuchł śmiechem.

Anton zmieszał się jeszcze bardziej. Pan Berbelek spostrzegł, że próbuje on teraz niepostrzeżenie umknąć z dachu, więc nalawszy alkohol i odstawiwszy butelkę, zamachał na służącego przyzywająco.

— No nie uciekaj mi teraz. Jeśli z kogoś się śmiałem, to chyba z siebie. Znam ją?

— To kuzynka jednej z panien domowych esthle Latek. Aegipcjanka, teraz korespondujemy ze sobą. I właśnie —

— Przeniósłbyś się do Alexandrii.

— Twój pałac tam, esthlos, stoi prawie pusty, przydałby się ktoś, kto by miał oko na niewolników.

— Nie zdradziłeś jej imienia.

Anton opuścił wzrok.

— Mandisa, córka Heppusa i Izdihar, z Ablatep.

— Mandisa. Mandisa, czyli Słodka. Mhm. — Pan Berbelek obracał w ustach szczypiącą pażubówkę. — Wiesz, że Porte i Tereza zostaną tutaj.

— Tak, esthlos.

— To jest jeden z tych wyborów, które decydują o całym życiu; jeden z nielicznych, którego jesteśmy świadomi w momencie dokonywania. W tę lub w tę stronę — pan Berbelek wskazał ręką z kubkiem na lewo i prawo — ku takiemu Antonowi lub takiemu Antonowi.

— Tak. Wiem. Naprawdę wszystko przemyślałem.

— Masz moje pozwolenie, masz. Podaj mi datę ślubu, na pewno nie zapomnę o podarunkach. Nie obawiaj się, nie pojawię się osobiście.

— Ależ bylibyśmy zaszczyceni, esthlos! Tylko że…

— Wiem, wiem, pod aurą Nabuchodonozora Kratistobójca na weselu nie stanowiłby dobrej wróżby. — Pan Berbelek pociągnął dwa łyki zimnej pażubówki. — Chodź no tu. No chodź. Stań tutaj. Czekaj… O, teraz. Pochyl się, spójrz w ten okular. Powiedz mi, co widzisz.

Anton ostrożnie zbliżył oko do lunety.

— Nie wiem, esthlos, jakiś wzór… Nie wiem, co to jest.

— Ale co ci przypomina. No, dalej. Pierwsza myśl.

— Sieć. Do łapania ryb. Tylko że świeci.

— Sieć.

— Albo rozżarzone żelazo do piętnowania bydła i szaleńców.

— O.

— Przepraszam.

— Nie, dzięki. Nalać ci? Rozgrzejesz się. Masz.

— Kkkch! Uch. Mogę spytać… wróżysz z gwiazd, esthlos?

— Pewnie nie uwierzysz, jak ci rzeknę, że na tym polega uprawianie polityki.

— Esthlos…

— Taak. Więc powiedz mi, Anton, jaką przyszłość widzisz dla siebie u boku Słodkiej? Nie w gwiazdach, lecz w swoich marzeniach, w planach.

— No jak to, pobierzemy się, będziemy mieć dzieci…

— Pobierzecie się, będziecie mieć dzieci — i co?

— Co: co? Nie rozumiem, esthlos.

— I tyle? To wszystko? — Pan Berbelek uśmiechał się ironicznie. — W tym właśnie Anton, syn Porte, znajdzie spokój, szczęście i zadowolenie?

— Naprawdę, nie zastanawiałem się, esthlos. No oczywiście w dzieciństwie każdy marzy o jakichś niesamowitych przygodach, że zdobędzie sławę, bogactwa, władzę, Bóg wie, czego dokona. Ale przecież każdy też potem dorasta. To są bajki, a w życiu jest praca i wieczne zmęczenie i wszy w pościeli, za przeproszeniem, esthlos. A ja z tobą i tak zobaczyłem na własne oczy więcej niż połowa tych aristokratów. Esthlos. Dziecko nie rozróżnia: czy może zeskoczyć z takiej wysokości i nie zranić się, czy może rzucić się na behemota i nie zginąć, czy może zostać leonidasem, królem. Ale się uczy.

— Ba! Ludzie zostają leonidasami, królami, Anton.

— Wiem, esthlos. Ale to też się człowiek szybko uczy rozpoznawać: kto będzie królem, a kto nie. Jedynie naprawdę małe dzieci mylą doulosów z aristokratami.

— No, no, uważaj, sam mówisz jak sofistes — zaśmiał się pan Berbelek.

Anton odstawił kubek.

— To ta pażubówka… Pędzą ją w Skoliodoi, prawda? Wykręca język i umysł.

— Nie przesadzajmy, nie w Skoliodoi… Zresztą w gruncie rzeczy wszystkie alkohole to owoce Skrzywienia, katalizatory towarzyskich kakomorfii…

Pan Berbelek wstał, rozejrzał się po dachu, przeskoczył nad rozłożonymi książkami. Obejrzał się na Antona.

— Pozbieraj to i znieś na dół.

— Esthlos.

— A jak już będziesz miał te dzieci i wnuki — uśmiechnął się pan Berbelek — nie zapomnij im opowiedzieć i o tym: Gdym popijał nocą wódkę z Kratistobójcą na dachu nad Vodenburgiem…

— Z czasem nauczą się odróżniać bajki od rzeczywistości — odparł Anton, nie patrząc na pana Berbeleka.

— Taak. — Forma już została złamana, chwila minęła, nie sposób dalej ciągnąć konwersacji w tym tonie.

Pan Berbelek zszedł na piętro bakhauzu. Zawieszone na nagich ścianach lampy olejne paliły się na ćwierć knota. Z półmroku przeszedł w ciemność,

gdy zatrzasnął za sobą drzwi narożnego pokoju frontowego, tego, który przeznaczył na gabinet. Teraz już okna były zamknięte. Zawołał doulosów.

Zrzucił humijowy płaszcz i kamizelę, z zostawionej na parapecie okna misy z owocami wybrał zimowe jabłko, ugryzł; rękawem jedwabnej koszuli otarł brodę. Doulosi krzątali się za jego plecami. Patrzył na światła portu, na oznakowane lampami sygnalizacyjnymi okręty zacumowane w zatoce, Księżyc odbijający się na ciemnych falach. Stopniowo jednak w pokoju robiło się coraz jaśniej i nocny widok przesłaniało panu Berbelekowi jego własne odbicie. Kratistobójca je jabłko.

Usiadł przy sekretarzyku. Z szuflady wyjął nową, czystą kartę luksusowego pergaminu. Umoczył pióro w atramencie. OSTATNIA WOLA HIERONIMA BERBELEKA WŁASNĄ JEGO RĘKĄ SPISANA DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO OCTOBRISA ROKU TYSIĄC STO DZIEWIĘĆDZIESIĄTEGO ÓSMEGO PO UPADKU RZYMU.

Nie ma co dramatyzować — pomyślał, przyglądając się, jak na ostrzu pióra tworzy się czarna kropla — ale skoro już podjąłem decyzję, nie mogę zamknąć oczu na jej konsekwencje. Bo to przecież prawda, że nawet jeśli mi się powiedzie, nawet jeśli zabiję kratistosa adynatosów i przeżyję — to najpewniej nie przeżyje pan Berbelek. Jak daleko udało nam się wejść w głąb Afrykańskiego Skoliodoi? Leonidasi i królowie, i kratistobójcy też muszą umieć odróżniać bajki od rzeczywistości.

A gdyby i coś ocalało — nie pan Berbelek — strzęp, odbicie, cień — to już raczej właśnie jak Anton poszuka małego spokoju i małego szczęścia, marzeń i uczuć powolnych, miękkich, delikatnych — jak płatek śniegu kojący rozpaloną skórę — płatek śniegu, Loilei, czy nie tak miała na imię — dotyk i miłość anielicy, to może będzie w stanie wytrzymać — on, ktokolwiek. Jeśli w ogóle coś ocaleje.

Czarna kropla spada na pergamin.

Wszystko będzie dobrze. Ale gdyby coś zaszło, tak rozporządził esthlos Hieronim Berbelek-z-Ostroga zwany Kratistobójcą:

Wykonawcą testamentu we wszystkim ma być esthlos Kristoff Njute. Jeśli chodzi o mój ziemski i księżycowy majątek, pieniądze, kosztowności, ruchomości i nieruchomości oraz udziały w przedsięwzięciach handlowych: mojej córce jedynej, esthle Alitei Monszebe π. Latek, albowiem nie odziedziczy niczego więcej —

X
Jak Czarnoksiężnik

W dniu, gdy przybyła do Vodenburga, spadł na miasto pierwszy śnieg i ulice pełne były zimnego błota, zwierzęta i pojazdy rozchlapywały na pieszych ciężką maź. Kobieta, która przedstawiła się w Trzecim Hospicjum Skelli jako esthle Junona von Versteck, przybyła już odziana w zimowe szaty: skórzane szalwary, nordlingową kurtę, sobolowy płaszcz z sutym kapturem. Poleciła zanieść wszystkie bagaże do swoich pokoi, ale sama nawet tam nie zajrzała. Wynajęła dorożkę i kazała się zawieść do domu Kratistobójcy. Płaciła brytyjskimi denarami. W dorożce, zrzuciwszy kaptur (miała włosy bielsze od śniegu), paliła nerwowo tytońca.

Wyraźnie zdziwiła się, gdy dorożkarz skręcił ku portowi; ale milczała. Zatrzymali się na starym kamiennym tarasie ponad nabrzeżem przeładunkowym, w cieniu masywnego bakhauzu. Kobieta wyjęła z rękawa list zamknięty herbową pieczęcią szlakową i poleciła dorożkarzowi dostarczyć go Kratistobójcy. Czego oczywiście nie był on w stanie wykonać; przekazał papier jednemu z horrornych, którzy odpowiedzieli na kołatanie w wysoką bramę bakhauzu. Kobieta pozostała w powozie. Bez słowa paliła tytońca.

Skończyła jednego, zaczęła następnego, potem jeszcze kolejnego i jeszcze, śnieg ponownie się rozpadał, musiała dodatkowo zapłacić dorożkarzowi. Siedział na koźle zawinięty w połataną kapotę. Kobieta na powrót naciągnęła kaptur, teraz poruszały się tylko jej dłonie w jelenich rękawiczkach. Po nabrzeżu goniły dzieci, obrzucając się śnieżkami i wykrzykując wulgarne rymowanki o Kratistobójcy, Czarnoksiężniku i Księżycowej Wiedźmie. Minęło południe, z vodenburskich minaretów rozległo się azan, wezwanie do modlitwy wyznawców Muhammada. Kobieta czekała.

Dopiero po siódmym wypalonym przez nią tytońcu w bocznych drzwiach bakhauzu pojawił się stary służący vodenburskiej morfy. Horrorny z żarłaczem w rękach przepuścił go i stanął w progu. Stary podszedł do dorożki.

— Esthlos prosi.

Cisnąwszy niedopałek w śnieg, kobieta podążyła za sługą. Dorożkę odprawiła krótkim ruchem orękawicznionej dłoni.

Weszli do bakhauzu. Stary poprowadził od razu ku schodom. Magazyny były puste, tylko w jednym bocznym pomieszczeniu dojrzała kilkoro horrornych bez zbroi, obejrzeli się na nią, gdy przechodziła.

Na piętrze było nieco cieplej, odrzuciła kaptur, rozsznurowała futro. Pachniało tu jakimś afrykańskim kadzidłem. W głównym korytarzu stały sterty pak, skrzyń, kufrów. Doulosi rozwieszali na ścianach moskiewskie gobeliny.

Stary zapukał i wszedł do pokoju na końcu korytarza; przed tymi drzwiami również stał horrorny. Przez chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu, żołnierz lakademońskiej morfy i białowłosa esthle. Na grafitowym napierśniku miał wygrawerowanego Achilla składającego się do rzutu oszczepem.

Sługa otworzył drzwi.

— Wejdź, esthle.

Weszła.

Kratistobójca stał za zasłanym papierami stołem, zwrócony ku otwartemu na śnieg, port i morze oknu, i kartkował trzymaną w lewej dłoni wielką księgę.

Podniósł na moment wzrok.

— Porte.

Stary skłonił się i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Kobieta zdjęła płaszcz, rzuciła go na sofę, zdjęła rękawiczki, rzuciła je na płaszcz. Rozejrzawszy się po pokoju, wzruszyła ramionami i usiadła obok.

Założyła nogę na nogę, splotła dłonie na kolanie.

— Co czytasz?

— Starożytny bełkot astrologiczny — mruknął. — Czego to ludzie nie wymyślą… Arystarch z Samos, Seleukos, nawet Pitagoras — twierdzili, że wszystkie planety krążą wokół Słońca — wyobrażasz to sobie? — także Ziemia. Chociaż niektóre rzeczy mogą być przydatne. Muszę sprawdzić traktat Archimedesa *O liczeniu piasku*, obliczał tam średnicę sfery gwiazd stałych, ale, zdaje się, pomylił się o kilka rzędów wielkości. Z kolei teoria epicykliczna Apolloniosa z Perge po części się sprawdziła, podobnie mapy pływów aetheru Alcybiadesa z Gerui, więc —

— Gdzie go pochowaliście?

— W Afryce. Na sawannie, nad Żółwią Rzeką. Mam mapę, jeśli —

— Obyś po wieczność gnił w Szeolu.

— Po coś przyjechała?

— Wiesz.

Po raz drugi uniósł wzrok znad księgi.

— Nadal cię ścigają? No dobrze, polecę cię Neurgowi, weźmie cię pod swoje skrzydła, do pałacu.

— Byłam pewna, że szlachetny Kratistobójca mnie ochroni — wycedziła.

— Tak, do wykorzystywania ludzi masz talent, nie przeczę. Coś ty właściwie tam nabroiła?

— Wszystko oszczerstwa.

— Mhm.

— Akurat ty powinieneś mi uwierzyć, wielki strategosie. Ile osób zniszczyłeś w podobny sposób tymi swoimi sekretnymi planami? Niektóre ofiary w końcu zapewne same wierzą w swoją winę. Nie ja.

— Jasne. Ty nigdy.

Szarpnięciem głowy odrzuciła włosy na plecy.

— Och, jestem winna, jestem. Że w ogóle posłałam dzieci do ciebie.

— Powiedz to Alitei.

— Napiszę do niej, nie bój się; pierwsza rzecz, jaką zrobię.

— Czemu nie pojechałaś prosto do Alexandrii? Hypatia ochroniłaby cię tak samo dobrze, jeśli nie lepiej. Ach, no tak, ty nie jesteś pewna, czy ona nie wyrzuciłaby cię za bramy miasta! Więc najpierw list. W listach zawsze byłaś najbardziej przekonująca.

— Człowiek się zmienia, nie znam jej obecnej Formy — mruknęła. — Ja jestem kim innym, ona jest kim innym.

— Ale mnie byłaś pewna, co? — Kratistobójca uśmiechnął się ironicznie.

Zapukano do drzwi. Zajrzał do środka dziesiętnik Horroru. Wymienił szybko z Kratistobójcą kilka słów; na koniec skłonił się nisko i cofnął na korytarz.

Kobieta wstała, podeszła do stołu. Przesunęła dłonią po blacie, mapach i książkach, musnęła opuszkami uranoizowe astrolabium, jasnobłękitne perpetuum mobile skazane na tragiczną śmierć… Kratistobójca obserwował ją spod opuszczonych powiek. Nie podeszła bliżej, był od niej wyższy o ponad pus.

— Tak — szepnęła — teraz padają przed tobą na kolana, teraz znów jesteś potężny, jeszcze potężniejszy.

— Czyż nie takiego mnie kochałaś? — odparł równie cicho. — Czyż nie dlatego mnie opuściłaś, że tę morfę utraciłem?

— Ja cię opuściłam? — Wciągnęła powietrze. — Tak to pamiętasz? Sam odszedłeś, uciekłeś od nas! Cztery miesiące, jeszcze się nie wykurowałeś po Kolenicy, ledwo trzymałeś się na nogach. Środek zimy, mróz jak Thor, Posen zasypane, ale ty bierzesz sanie i wio, tyle cię widzieliśmy. Nie mogłeś znieść naszej obecności, nikogo bliskiego, kto cię pamiętał sprzed Kolenicy. I niby za co cię kochałam: przecież nie za twoje zwycięstwa, podboje i sławę. Lecz za to, kim byłeś pomimo nich.

Zamknąwszy głośno księgę, Kratistobójca wybuchł śmiechem. Śmiech był donośny, głęboki, z pewnością słyszano go na dole w porcie.

— Bo jeszcze uwierzę! A bogaczy kocha się pomimo ich złota! — Odłożył księgę, zgasił śmiech. — Ale nie mogłaś mnie kochać pomimo mych zwycięstw, gdy tych zwycięstw już nie było.

Uniosła głowę, chciała spojrzeć mu w oczy, ale nie wytrzymała nawet sekundy. Obróciła wzrok na morze.

— Tylko że teraz nie ma już nawet owego „pomimo” — rzekła. — Widzę wyłącznie Kratistobójcę. Hieronim Berbelek tylko zanieczyszczałby morfę.

— Wypiję wieczorem za jego nieszczęśliwe życie.

Na powrót ją zirytował.

— Sądzisz, że Czarnoksiężnik puścił cię wówczas wolno, bo taką siłę okazałeś? Że go zwyciężyłeś? A co sam mi mówiłeś? Pomyśl. Jakie jest zwycięstwo kratistosa? Nie mord, nie zniszczenie, do tego zdolny jest byle niewolnik. Kratistos natomiast zwycięża przez narzucenie swej Formy.

Objęła piersi ramionami, jakby zimny wiatr znad morza nareszcie przebił się przez jej kurtę.

— Pozwoliłam ci odejść, wyjechać, bo dobrze widziałam, znałam cię przecież jak nikt inny — widziałam, że to nie Hieronim Berbelek wrócił wtedy z Kolenicy.

— A kto?

— Szczur Czarnoksiężnika! — warknęła. — A teraz wzrosłeś tysiąckroć.

Po raz drugi się roześmiał.

— Śmiej się, śmiej! — natarła na niego, nie odwracając już wzroku.

Spoglądał na nią z zainteresowaniem, przechyliwszy lekko głowę.

— Oni cię tolerują — mówiła, szybko i coraz szybciej, zlewając ze sobą vistulskie słowa — bo cię potrzebują. Wybrali surowiec, wykuli sobie oręż… Chciałabym zresztą poznać tego kowala. Ty już tego nie widzisz; jedynie ktoś, kto znał cię dobrze od dawna… Czytam gazety, wszystko dobrze przemyślałam — a teraz widzę, że miałam rację. Wiedźma potrzebowała na adynatosów kratistobójcę, ale wiedziała, że każdy, kto jest wystarczająco silny, by pokonać kratistosa, jest tym samym zbyt silny, by ona mogła go kontrolować, nie pójdzie więc na zatracenie, w bój, w serce kakomorfii, lecz wykroi sobie fortunę na Ziemi. Jak rozwiązać ten nierozwiązywalny paradoks Formy i siły? Właśnie tak: znaleźć nieszczęśnika w momencie upadku, w chwili słabości — i wtedy narzucić mu Formę. Podniosłeś się i jesteś tym, kim chciała, byś się stał. Ale gdy spełnisz swe zadanie… Wygnają cię lub zabiją. Jednego nie są bowiem w stanie tolerować: kratistobójcy, wiecznego dla nich zagrożenia, człowieka, o którym już z całą pewnością wiadomo — i który z całą pewnością wie to o sobie — że jest w stanie stanąć przed kratistosem, podnieść na niego rękę, zabić. Stanowisz cierń w boku każdego kratistosa, miecz Damoklesa zawieszony nad głowami Potęg. Nie będzie dla ciebie miejsca na Ziemi. Ani zresztą na Księżycu, oczekujesz litości od Illei Okrutnej? Czy kiedykolwiek obiecywała ci nagrodę, wieczne życie w spokoju, azyl? Nie. I nie obieca. Nawet jeśli jakoś przeżyjesz, jeśli przetrwasz Aetherową Wojnę — oni cię wygnają, Hieronimie, zabiją cię.

Skinął głową. Wyciągnął dłoń ku jej twarzy, blademu policzkowi.

— Wiem.

Cofnęła się od jego dotyku. Uśmiechnął się, już bez śladu ironii.

— Masz rację, masz we wszystkim rację. Zrozum więc: t a k a j e s t m o j a n a t u r a. Chcę tego, śnię o tej bitwie, to mój cel.

— Co ty mi tu za głupoty —

— Napisz do niej czym prędzej. Może zdążysz na nadanie imienia swojej wnuczce. Teraz pojedziemy do pałacu, przedstawię cię księciu. Złapałaś katar? Masz, wysiąkaj nos. Porte! Gorącej qahwy! I zamknij te przeklęte okna. Poślesz po bagaże esthle do… Gdzie ty się zatrzymałaś?

Ψ
Floty, armie, Horrory

Rrrdumm, rrrdumm, rrrdummmmm, wojna wylewa się przez granice Złotych Królestw i trzęsie się ziemia pod nogami bestii.

Z Am-Szasy i Am-Tuur, z Królestw wschodnich i ze złudnych obrazów pustynnych, z serca Sadary, stamtąd wyszły armie Aegiptu. Najpierw setki, tysiące dzikusów, Negrów półzwierzęcej morfy. Jak zostali najęci, tak ich popędzono: szczepami, wioskami, rodzinami. Ciągnęli pieszo, boso, z dzirytami, tarczami, łukami, kurroi i dmuchawkami, ze skórzanymi tobołkami na plecach i na głowach, w strasznym jazgocie barbarzyńskiej muzyki. Potem wojska najemne z północy i ze wschodu, w tym uralskie i induskie; długie procesje wozów, zwierząt, makin wojennych. Nocami dymy z ognisk przesłaniają ćwierć gwiazdoskłonu. Potem Kolumna Horroru, z całym swoim taborem i wszystkimi służbami wspomagającymi. Potem wojska Aegiptu Górnego i Dolnego, formacje o tysiącletniej tradycji pod starożytnymi chorągwiami, mamlucy hescy i nehescy, Gwardia Anubisa, Krokodyle zaprzysiężeni Nabuchodonozorowi. Pośród nich — sam Nabuchodonozor Złoty, skryty za muślinowymi zasłonami, w domu kołyszącym się na grzbiecie białego elefanta wymorfowanego do niespotykanej wielkości, w otoczeniu dziesiątków innych elefantów, pomalowanych w żółtobrunatne barwy Aegiptu, w otoczeniu tysięcy jeźdźców dosiadających bojowych zebr, xewr i jednorożców. Biją bębny, drży ziemia. Pastuchy podążające pół dnia za armią prowadzą wielkie stada bydła: mięso dla armii. Pochód przechodzi przez złotą sawannę, pozostawiając za sobą szeroki na stadiony szlak zdeptanej trawy i zrytej ziemi, uciekły stąd wszystkie zwierzęta, uciekają już przed nadciągającą wojną. Wojsko przemieszcza się w dzień, w nocy zatrzymuje się w gigantycznych obozach, kilkugodzinnych miastach namiotów i ognia. Powoli, lecz nieubłaganie zmierza na południe, ku Suchej Rzece, ku Krzywym Krainom.

Z miast hadżdżaryjskich i Reboeum, z Królestw zachodnich wyszły armie Huratów, niewiele mniej liczne od aegipskich. Im także towarzyszy

Kolumna Horroru. Równie liczne są zastępy najemnych wojsk Ludu Morza. Ligator III Hurata osobiście prowadzi armie. W klatce ze złota i jedwabiu, doglądany przez ślepych Bezimiennych, na platformie ciągnioniej przez sześćdziesiąt sześć chowołów podróżuje kratistos Józef Sprawiedliwy. Ponieważ nikt nie zna jego twarzy, po nocnych obozach krążą opowieści o milczącym nieznajomym, przemykającym pod gwiazdami pośród namiotów i ognisk i przysłuchującym się z cienia rozmowom Huratian. A kto wypowie w jego obecności kłamstwo, nie wypowie już nigdy ani słowa więcej. Na granicy światła zbierają się hieny i szakale, wilki pustyni, padlinożercy krążą po niebie. Lecz z każdym dniem Huratianie dostrzegają więcej zwierząt, których nie potrafią nazwać. Na południowym horyzoncie kłębią się chmury złych kolorów, fioletu, żółci, czerni.

Ze wschodu, z głębi suchych piasków Dżazirat al'-Arab, z krainy żywych chamsinów i habubów, spod cienia Al-Kaby, przepłynąwszy Morze Erytrejskie i przeprawiwszy się przez Nil, idą na Skoliodoi armie izmaelitów, książąt pustyni, po raz pierwszy od setek lat złączone pod jedną hegemonią plemiona i półzbójnickie rody — setka za setką, za setką zakutanych w czarne i białe burdy i burnusy jeźdźców, na dromaderach, humijach, koniach i zebrach, z jednolufowymi starożytnymi keraunetami przy siodłach, w trouffach zawiniętych pod turbanami tak szczelnie, że tylko oczy widać między materiałem. Dowodzi Hammud Kasr Zdjęty z Pala. Łupią i plądrują mijane po drodze wioski dzikusów, wioski i małe miasta, ludzi żywcem pochwyconych biorą w niewolę, rozbijają karawany zbieraczy pustynnej soli. Dochodzi do kilku potyczek z patrolami axumejskimi. Gdzieś wśród tych tysięcy zakutanych w pustynne szaty jeźdźców kryje się stary kratistos, jeden z tych jeźdźców to Efrem od Piasków, Ojciec Broda, który grywał w szachy i spisywał słowa kratistosa Muhammada Proroka, w noc jego śmierci spotkawszy się z nim nawet twarzą w twarz, i którego cios rozłupał Al-Kabę. Błękit nad izmaelitami pozostaje czysty, nie spadła na nich ani kropla deszczu. Za armią wloką się ogłupiałe dżinny, o zmierzchu widać je na linii widnokręgu, tumany czerwonego pyłu, brudne wiry ge.

Pod juniusowym słońcem, pod afrykańskim niebem, brodząc w nieruchomym powietrzu, armie docierają do granicy Skrzywienia, jedna po drugiej, w odstępie czterech i siedmiu dni, trzech i pięciu tysięcy stadionów. Przekraczają tę granicę i wchodzą w Skoliodoi, na ile pozwala im na to kakomorficzna dżungla: do jej brzegu i trochę dalej, póki nie zaczynają ginąć lu-

dzie, zbyt wielu ludzi. Tu rozbite zostają obozy. Strategosi spodziewają się ataków adynatosów z głębi kakomorfii, rozkazy obejmują więc wzniesienie wszelkich możliwych w tych warunkach fortyfikacji. Normalnie siekiery na nic by się tu nie zdały, lecz w anthosie człowieczych kratistosów padają pod nimi drzewa, a ogień trawi najbliższe zarośla — i tak powstają w dzikim sercu Afryki trzy tymczasowe grody, miasta Potęg, garnizony frontowe na froncie Wojny Arretesowej: Nabuchodonozorowe Aporeum, Józefowa Myta, Efremowe Isaf. Wojna z tym, co Inne, nie polega bowiem na niszczeniu — naprawdę Inne i tak zniszczeniu nie ulegnie, człowiek potrafi niszczyć tylko jak człowiek. Wojna z tym, co Inne, polega na uczynieniu go mniej innym, bardziej ludzkim. Dopiero wtedy można je zniszczyć, dopiero w ten sposób.

Bój toczył się więc w kerosie, antropomorfa przeciwko kakomorfii, anthos kratistosów przeciwko Skrzywieniu. Jak daleko można już wejść w dżunglę? Czy potrafisz już nazwać te drzewa? A te zwierzęta? A to niebo? Potrafisz już opowiedzieć swoje sny? Wysyłali w głąb kilkudziesięcioosobowe oddziały, potem podług opisu toczących je chorób wykreślali linie frontu, plany ofensyw; a żołnierze rychło odzyskiwali morfę w gorącym uścisku aury kratistosa. Poczęto karczować dżunglę w dwóch kierunkach od Isaf, budując drogi ku centrum Skoliodoi. Nocami pochłaniała je kakomorfia; w dzień je odzyskiwano. Coraz głębiej i głębiej. Wokół Myty pojawiły się w gałęziach drzew małpy o Formie małp, na ziemię wróciły mrówki i termity o Formie mrówek i termitów.

14 Quintilisa adynatosi przeprowadzili kontratak, uderzając bezpośrednio na Aporeum; być może wyczuwali słabość Nabuchodonozora. Bitwa trwała noc, dzień i część nocy drugiej. Zginęło ponad półtora tysiąca ludzi; drugie tyle nigdy już nie odzyskało Formy, aż do śmierci nie wydobywając się z obłędu. Gazety Afryki Alexandryjskiej pisały potem o Armii Szaleńców. Na szczęście przeżył sam Nabuchodonozor. Dzięki temu Aegipcjanie mogli w ogóle wspominać Bitwę Aporejską, dzięki temu została ona opowiedziana i zapamiętana. Gazety pisały o potworach szeolskich, zastępach metamorficznych stworzeń, ani zwierząt, ani roślin, ani żywych, ani martwych, o fali wściekłego Skrzywienia, pod którą nawet najtwardsi horrorni tracili zmysły i Formę, popadając w demencję i nagłe choroby. Niektórzy z wysuniętych na odleglejsze pozycje zupełnie się zatracili w nacierającej kakomorfii, zmieszali z nią i połączyli Formy; tak fala rosła w siłę. W pewnym

momencie poczęły się nawet mieszać żywioły, Woda na miejsce Powietrza, Powietrze na miejsce Ziemi, Ziemia na miejsce Ognia, świat wokół Aporeum wywracał się na nice — zdawało się, iż takiej perwersji nic już się nie oprze. Trzeba jednak oddać honor Nabuchodonozorowi Złotemu: nie cofnął się, nie poddał Skoliozie, jego elefanty stały nieporuszone, hegemoni wydawali z ich grzbietów składne rozkazy, słowa wciąż miały sens, komendy wciąż miały sens, armia utrzymała Formę armii. Tu, w bezpośrednim otoczeniu kratistosa, pyr zapalał się jak pyr i ciało umierało jak ciało. Nie należało jednak dopuszczać kakomorfii zbyt blisko, w miarę bezpiecznym dystansem pozostawało trzydzieści, czterdzieści pusów. Tak oto, w trakcie samej bitwy, wypracowana została pośpiesznie nowa taktyka, prymitywna, lecz jedyna możliwa: zaporowy ostrzał ze wszystkich pyresider i kerauneтów, z obwodu szańca wzniesionego wokół stanowisk Krokodyli Nabuchodonozora. Adynatosi ze swojej strony, jeśli w ogóle jakąś strategię w tym chaosie stosowali, to równie niewyrafinowaną: zalać agresora Skrzywioną Materią, zalać go Skrzywioną Formą. O zmierzchu 15 Quintilisa dostrzeżono wszakże w szeregach kakomorficznych kreatur zaczątki formacji i pierwsze próby zorganizowanych manewrów wojskowych. Po tym poznano zwycięstwo Nabuchodonozora: S k o l i o d o i c h c i a ł o w a l c z y ć j a k c z ł o w i e k. Gazety napisały o panicznym odwrocie adynatosów i cudownym odrodzeniu afrykańskiej przyrody.

Pod koniec Quintilisa, gdy anthosy kratistosów wżarły się już na dziesiątki i setki stadionów w głąb Krzywych Krain, na niebie nad Afryką zapaliły się konstelacje nowych gwiazd. Wkrótce stały się one widoczne także w dzień. W Aporeum, Mycie i Isaf odpowiedziano, rozpalając na sawannie wielkie pyroglify. Strategosi nakazali wycofanie wojsk ze Skoliodoi. Zaprzestano wszelkich prac, nawet ci, których wystawiano na warty, tylko zadzierali głowy w milczącym wyczekiwaniu. Tak minął dzień, wieczór i noc. O poranku oberwały się niebiosa.

Pierwszy pyrownik uderzył pięćdziesiąt stadionów na południe od Myty. Nie zobaczyli, jak Ogień schodzi ze swej sfery, nie pozostała na błękicie żadna blizna po upuście pyru. Po prostu na krótką chwilę całe niebo stało się oślepiająco białe — i ci, co patrzyli, istotnie zostali oślepieni — po czym nad Mytą przetoczył się grzmot tysiąca burz i uderzył w obóz gorący wiatr, wicher niosący czyste arche pyru. Stanęło w ogniu kilkanaście namiotów, niektórym Huratianom zapaliły się ubrania i włosy. Jedynie oni się

tym przejęli; reszta spoglądała na południe, nad dżunglę pstrokatej kakomorfii, gdzie hipnotycznie powoli wznosił się ku Słońcu gigantyczny słup ciemnoczerwonego dymu, wyginający się od góry w kształt grzyba o pofałdowanym kapeluszu.

Astromekanicy Pani pracowali nieprzerwanie, podług rozkazów Kratistobójcy spuszczając pyrownik co godzinę, półtorej, jak tylko nadążali ze strojeniem sfer niebieskich. Myta, Isaf, Myta, Aporeum, Aporeum, Myta, Aporeum, Isaf, Myta, Myta, od świtu do zmierzchu, i potem w nocy, którą każdorazowe uwolnienie pyrownika przepalało na wylot, pozostawiając na źrenicach powidok śmiertelnej czerwieni, wywołując z miękkiej ciemności miliony ostrych jak brzytwa cieni, budząc wszystkie zwierzęta i ludzi, całą dżunglę. Strategosi polecili cofnąć obozy kilkanaście stadionów od jej granicy, wiatr był bardzo zmienny, w każdej chwili nadejść mogła ze Skoliodoi fala pochłaniającego wszystko pożaru. Na wierzchołki najwyższych drzew wysłano nimrodów, by raportowali o postępach ognia. Nocny horyzont zasnuwał czarny dym, gwiazdy południa były zupełnie niewidoczne. Kiedy wiatr wiał z tamtej strony, zapach spalenizny piekł nozdrza. O świcie począł padać czarny śnieg: płatki popiołu niesionego prądami gorącego powietrza. Ze Skrzywienia na sawannę uciekały zwierzęta, pojedynczo i w stadach, zwierzęta i stworzenia o mniej konkretnej Formie, coraz pokraczniejsze i trudniejsze do opisania kakomorfy. Keraunety grzmiały już prawie bez przerwy, gdy ludzie zabijali potwory niczym podczas jakiejś monstrualnej dżurdży, setki, tysiące kakomorfów wypędzanych wprost pod ich lufy. Nimrodowie opowiadali o koronie ognia otaczającej cały południowy horyzont, o Skrzywionej dżungli wijącej się i morfującej pod dotykiem pyru niczym żywcem przypalany robak.

Skoliodoi płonęło.

— Pani.

— Ukorz się.

— Wezwałaś mnie.

— Gdy cię poprzednio wzywałam, nie przybyłeś.

— Nie miałem czasu.

— Hieronim Berbelek nie miał czasu. Nie podchodź!

— Nie podchodzę.

— Widzisz ten kamień nad strumieniem?

— Tak.

— Rozwiń kolczugę.

— Ciężkie.

— Czyste ge. Ale Forma — Forma musi być taka.

— Krzywy Miecz. Oczywiście.

— Skolioxyfos. Podnieś. Wyżej. Spójrz na ziemię.

— Co to jest?

— Jego cień. Skolioxyfos Krzywi wszystko, nawet światło. Gdyby wziął go do ręki człowiek słabszej Formy — nie pozostałaby długo ręką. Jeśli nie możesz go po prostu zawiesić za ząb głowicy, zawijaj go w tę puryniczną kolczugę. Powinna wytrzymać wystarczająco długo.

— Mhm. Ostrze zupełnie tępe.

— Skolioxyfos nie służy do cięcia Materii.

— Mam taki sztylet…

— Twój sztylet jest na ludzi. Skolioxyfos tnie keros, obojętnie czyja, jaka morfa się w nim akurat odciska. Człowieka, adynatosa, kratistosa, boga, samego świata. Posługuj się nim z wielką ostrożnością, troje wielkich teknitesów oszalało, wykuwając ten oręż.

Pan Berbelek wywija Skolioxyfosem młynka i uderza sponad ramienia w nadstrumienny głaz. Głaz roztapia się, spływa do wody, tam z sykiem rozszczepia się na tysiąc ogniowych ważek, które natychmiast wzlatują w niebo nad gajem Pani, przemykają czerwoną chmurą wskroś zielonej tarczy Ziemi.

— Tak.

— Wiem, że cię kusi. Lepiej już idź.

— Nic nie wiesz, kobieto. Możesz mieć tylko nadzieję.

— Odejdź.

— Sofistes Antidektes uważa, że z premedytacją ich sprowadziłaś, że tak się począł twój plan odzyskania władzy nad Ziemią bez konieczności opuszczania Księżyca. Pozostaniesz tutaj, lecz twoja morfa z równą nieuchronnością obejmie królestwa Dołu. Mieli rację, podejrzewając cię od samego początku. Twoja córka, moja córka, ty — jedna Pani. Dotąd skłaniałem się do sądu, iż po prostu wykorzystujesz sytuację, jak każdy kratistos by wykorzystał; nie mogłaś przecież wiedzieć o adynatosach, nie mogłaś

zaplanować tego, co przychodzi spoza gwiazd stałych. Ale teraz zaczynam —

— Ta makina na niebie nad nami — jej perpetua mobilia obracają się dokoła osi mojego serca, nie zdążysz wznieść miecza, a aether zmieli cię na arche.

— Jeszcze nie dzisiaj, lecz kiedyś ujrzę strach na twoim obliczu.

— Odejdź.

— Możesz mieć tylko nadzieję, że nie przetrwam spotkania z arretesowym kratistosem. Ale ja je przetrwam, widziałem swój kismet i mówię ci, że przetrwam i wrócę, stanę wtedy przed tobą i —

— Odejdź!

— Nie wiem, kiedy, ale któregoś dnia, twarzą w twarz —

— Precz!

— Podziękuję ci za wszystko, co dla mnie uczyniłaś.

— Hierokharis!

— Do zobaczenia, Illeo.

Ma długie, czarne włosy, lekko skośne oczy, piersi ciężkie i krągłe, szerokie biodra, ciemne łono; podobna i niepodobna do swej córki. Ma długie, czarne włosy, lekko skośne oczy. Ma długie, czarne włosy. Długie, czarne. Czarne. Miała długie, czarne włosy, lekko skośne oczy, piersi ciężkie i krągłe — nie, przecież nie to widział, to tylko wspomnienie. Ogląda się za siebie, spojrzenie ginie w gąszczu krępych pyrdrzew, już za późno.

Ale jeszcze będzie miał okazję przyjrzeć się Pani, nie zdoła mu się wymknąć. Ściska mocniej Skolioxyfosa. Będzie miała długie, czarne włosy…

13 Sextilisa 1199 PUR flota stu trzydziestu pięciu łodzi aetheru w hegemonii Kratistobójcy opuściła sfery Ziemi i Księżyca. Na pokładach łodzi znajdowało się czternaścioro kratistosów i kratist, dwa tysiące stu osiemdziesięciu siedmiu Jeźdźców Ognia, dwudziestu dziewięciu najbieglejszych księżycowych astromekaników.

Powiadają, że zegary całego świata cofnęły się o trzy sekundy, gdy flota opuściła sferę Ziemi.

Powiadają, że Księżyc zmienił barwę — z różowej na prawie żółtą — gdy opuściła go Illea Okrutna.

Powiadają, że na Ziemi, po opuszczeniu jej przez trzynaście Potęg, długimi tygodniami szalały wściekłe burze, prądy okeanosowe zmieniały swój bieg, ławice ryb zmieniały żerowiska, dziesiątki tysięcy Ziemian popadło w obłęd, zapadło na trąd i raka, ludzie i zwierzęta przychodzili na świat z dodatkowymi kończynami, z rozszczepionymi kręgosłupami, bez najważniejszych organów, rośliny kwitły i owocowały za wcześnie lub za późno, a z błota, z ziemi, wody i ciepła poczęły się rodzić zapomniane od tysiącleci bestie. Co noc przez niebo ciągnęły roje spadających gwiazd.

„Mameruta”, czarniejsza od zbroi Horroru, największa z ciem księżycowych, w której pan Berbelek umieścił dowództwo floty, niosła na pokładzie także kilkunastu lunarnych astrologów. Z wnętrza segmentowego łba ćmy, przez skomplikowane makiny dymnego szkła, obserwowali oni nieustannie obroty sfer niebieskich i zaburzenia biegu planet. Następnie w likotowych astrolabiach, napędzanych aetherycznymi perpetua mobilia, przeliczali zakłócenia harmonii nieba, odnajdując astronomiczne punkty Skrzywienia. Tak wykreślano trajektorię Floty Arretesowej.

Kratistobójca i jego sztabowcy — hegemoni hyppyroi i kapitanowie łodzi gwiezdnych, szczury kratistosów i sofistesi Labiryntu — starali się na tej podstawie przewidzieć kierunek dalszej podróży adynatosów, aby móc wybrać najdogodniejsze miejsce bitwy. Astrologowie dysponowali dość precyzyjnymi zapisami wędrówek adynatosów z ostatnich kilkunastu lat. Nie byli wszakże w stanie wskazać w nich żadnych regularności, Skrzywienie zdawało się przemieszczać przez sfery aetheru całkowicie przypadkowo, to znaczy chaotycznie — nie dało się w tym dostrzec żadnej ludzkiej myśli.

Czego oczywiście należało się spodziewać, niemniej jednak wielce to utrudniało zorganizowanie skutecznej zasadzki na wroga. Kratistobójca zaplanował strategię ataku wykorzystującą do maksimum atuty Floty Księżycowej. Na onyxolustrzanych ścianach Ślepego Oka we wnętrzu łba „Mameruty” rozrysowywał orbity, epicykle i kręte trajektorie. Gdy nie spała, często zachodziła doń Aurelia, przyglądała się, jak fenixową ryktą przemieszcza po sztucznym niebie sztuczne planety, ceramiczne armady i zastępy filigranowych skrzydlatych Jeźdźców Ognia. Aurelia znalazła się na pokładzie „Mameruty”, jako że „Urkaja” rytera Omixosa Żarnika nie weszła w skład Księżycowej Floty, wydzielono ją do innego zadania. Wielokrotnie zapuszczawszy się w sfery ziemskie, spędziwszy tam w sumie setki godzin, „Pod-

gwiezdna” wymagała generalnego przestrojenia. Ponieważ więc i tak trzeba ją było pozostawić na dłuższy czas na orbicie Księżyca, jawiła się naturalnym kandydatem do misji planowanej przez Akademeię Czwartego Labiryntu. Ktoś mianowicie powinien nareszcie przebić się poza sferę gwiazd stałych, wylecieć poza królestwo aetheru i zajrzeć do świata niewyobrażalnego dla człowieka, do tych otchłani demorficznych, skąd przybyli adynatosi.

Skoro poleci tam „Urkaja” — poleci jej hegemon, Omixos Żarnik. Skoro Żarnik — poleci Aurelia Krzos. Pani przydzieliła również do misji swego ejdolosa. Szybko też, za pośrednictwem akademei Labiryntu, zdobył miejsce na „Podgwiezdnej” sofistes Antidektes Alexandryjczyk, co z kolei niezbyt ucieszyło Aurelię. Tak czy owak, teraz wszystkie jej myśli zaprzątała nadciągająca wielka bitwa z adynatosami; nie ma wszak gwarancji, iż ją przeżyje, by wziąć udział w wyprawie „Urkai”. Nie ma gwarancji, iż bitwa zostanie wygrana i przeżyje ktokolwiek z ludzi.

Tymczasem „Podgwiezdna” musiała zostać przestrojona i częściowo przebudowana. Księżycowi sofistesi przygotowali plany rozmaitych mekanizmów i zabezpieczeń na spodziewane zaświatowe opresje. Skorpion Żarnika pozostanie na orbicie ponad Abazonem co najmniej cztery miesiące.

Aurelia miała dostęp do łba „Mameruty”, ponieważ ryter Omixos Żarnik należał do sztabu Kratistobójcy, jego kajuta również mieściła się w głowie czarnoaetherycznej ćmy.

Każdorazowe wejście hyppyresa do Ślepego Oka odwracało uwagę strategosa od rozgrywanej na ścianach, suficie i podłodze bitwy, delikatna poświata nagiej skóry pyrowej rozpędzała po pomieszczeniu tysiące cieni. Mimo że Aurelia zawsze pamiętała, by wpierw uspokoić serce i oddech. Dopiero gdy Kratistobójca pozornie przestawał zwracać na nią uwagę, mogła z nim swobodnie rozmawiać. Starała się też nie patrzeć wprost na niego, nie podchodziła zbyt blisko i odsuwała się spod jego spojrzeń.

Kratistobójca wskazywał jej pyryktą aktualne położenie Skoliozy.

— Nie schodzą do sfer podsłonecznych, teraz ciągną po epicyklu Jowisza. Aether słoneczny poniesie nas tutaj, a tuż pod sferą Jowisza rozwiniemy Kwiat. Zamkniemy ich tam, jeśli tylko nagle nie zawrócą. Ale nawet jeśli — aether jowiszowy jest tak szybki… Mamy duże szanse.

Aurelia dobrze znała zasady gwiezdnej żeglugi, prawa budowane przez wieki przez Eudoxosa, Aristotla, Provegę, Orte Hassana, Boreliusza i in-

nych. Wokół Ziemi obracają się sfery aetheru, zagęszczenia orbit uranoizy, układające się we w miarę harmonijną mekanikę nieba. Każda sfera niesie swoją gwiazdę — planetę lub Słońce — zbudowaną z cefer charakterystycznych dla danej sfery, wiążących uranoizę z arche innych żywiołów; w Słońcu na przykład związany jest głównie pyr. Sfery poruszają się z różną prędkością i pod różnymi kątami. Nie jest to ruch tak bosko doskonały, jak sobie wyobrażali pierwsi filozofowie i astrologowie, ponieważ aether nie trzyma się jednego środka, prawie zawsze wchodząc na deferenty, choćby minimalne, i przeskakując na orbity wokół jeszcze wyższych epicykli. Provega twierdził wręcz, że dla aetheru nie istnieje coś takiego jak „pierwszy deferent" — są tylko epicykle, o odchyleniu i mimośrodzie dostrzegalnym lub niedostrzegalnym dla ludzkiego oka.

Na tych więc epicyklach krążą wokół Ziemi: Księżyc, Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn. Oddalając się od Ziemi, wlatujemy w sfery o różnej średniej prędkości i kierunku obrotów uranoizy. Rozwija się więc żagle, rozkłada skrzydła i — manipulując kątem ich nachylenia oraz wykorzystując numerologię cefer materiału, z jakiego zostały wykonane — wyłapuje się aether pędzący po orbicie, po której łódź ma zostać pociągnięta. Aby poruszać się wskroś sfer niebieskich lub im wbrew, należy ostrożnie halsować w epicyklach lżejszego aetheru. Tak żegluje się po niebie.

Z analizy przemieszczeń Skrzywienia wynikało, że adynatosi również uzależnieni są od mekaniki niebieskiej; inaczej Kratistobójca nie mógłby w ogóle marzyć o zaskoczeniu ich i otoczeniu w otwartym kosmosie. Nadal jednak miał przed sobą do rozwiązania niezmiernie skomplikowane zadanie nawigacyjne.

Aurelia przyglądała się, jak ćwiczy na onyxowym niebie kolejne warianty manewru okrążającego, nazwanego Kwiatem. Księżycowa Flota winna rozwinąć się przed Skrzywieniem niczym wiosenny pąk i zamknąć wokół adynatosów niczym rosiczka. Piękno manewru polegało na tym, że po wprowadzeniu Floty na wyjściowe pozycje, to jest po zejściu przed adynatosów z szybszych epicykli, cały dalszy ruch zarówno Floty Księżycowej, jak i Arretesowej, wynikać będzie wyłącznie z astrometrii niebieskiej i Kwiat winien się zamknąć samoistnie, niczym jakaś misterna mekaniczna pułapka, śmiertelne perpetuum mobile. Aurelia była już w stanie dostrzec to piękno, na tyle objęła ją aura strategosa, że rozpoznawała jego Formę nawet w tym, co nie istniejące, co dopiero pomyślane. Najpiękniejszy jest plan,

który wykonuje się sam. Bóg strategosów nie stworzył świata — On go jedynie sprowokował do zaistnienia.

— Problem pierwszy — Kratistobójca przyciskał dłoń do zimnego nieba. — Jak podejść do nich tak, by zauważyli nas dopiero wtedy, gdy będzie już dla nich za późno, gdy makina się zatrzaśnie? Nie możemy się zbliżać w płaszczyźnie ekliptyki, Słońce wyświetliłoby nas niechybnie, jak nie za pierwszym, to za drugim okrążeniem. Czy adynatosi obserwują nieboskłon? Zauważą zaćmienia gwiazd stałych. Jedyna nasza szansa to szybkość. Zejdziemy na Skrzywienie z pełną prędkością cefer pyrowych, aetheru Słońca. Sofistesi i mekanicy przepowiadają mi jednak znaczne straty po wejściu w sferę Jowisza, w tak brutalnym halsie uranoiza wyższych orbit potnie nam skrzydła.

Kratistobójca mówił zwrócony do niej plecami, z uniesioną głową i ramionami obejmującymi onyxoskłon — jakby istotnie był Atlasem tego kosmosu, jakby od jego namysłu i decyzji zależało przetrwanie Słońca, planet, gwiazd. Potem Aurelia zreflektowała się, że w pewnym sensie tak właśnie było.

— Problem drugi: jak skoordynować uderzenie w podobnym rozproszeniu? Nie mogę słać szalup, zbyt daleko, zbyt wolno. Nie mogę dawać świetlnych sygnałów, zdradzę się przed adynatosami. Muszę wykreślić plan na dni i tygodnie naprzód, plan dla każdej części Floty, dla korony każdego z kratistosów, i zawierzyć, że zostanie on wykonany poprawnie aż do momentu rozwinięcia Kwiatu.

— Żaden strategos nie narzuci swej morfy na takie przestrzenie, kyrios. To przecież jakby prowadzić bitwę na całym Księżycu jednocześnie.

— Wiem. A gdy wejdę w Skoliozę — już w ogóle nie będzie mowy o żadnym dowodzeniu. Tyle was wspomogę, ile zaplanuję teraz. Chyba nie myślisz, że kiedykolwiek wierzyłem, iż istotnie mógłbym nimi dowodzić, poprowadzić do boju armię kratistosów, narzucić im swą hegemonię?

Aurelia rozsądnie zaprzeczała.

— Więc oto i problem trzeci — wyliczał esthlos Berbelek. — Jak dowieźć ich na miejsce bez starć po drodze? Czternaścioro kratistosów i kratist w jednej flocie, to się nie ma prawa udać. Zaiste, trzeba wielkiego strategosa, by rozwiązać tę łamigłówkę. Mógłbym ich rozrzucić po jeszcze większej przestrzeni, ale wtedy już zupełnie straciłbym kontrolę. Armad Mauzalemy i Illei nie widzę w ogóle, chociaż astrologowie wskazują mi

gwiazdy azymutowe. A i tak co chwila przysyłają mi stamtąd hyppyroi z ponaglającymi listami, prawie rozkazami zmiany kursu. Każda Potęga oczywiście chce narzucić własny plan.

Wszystkim kratistosom zależało na jak najszybszym powrocie, z pewnością jednak Illei śpieszyło się najbardziej. Inni co najwyżej utracą na jakiś czas wpływy w tej czy innej krainie, ten czy inny naród wymknie się spod ich Formy — gdy natomiast spóźni się Illea, zagładzie ulegnie cały świat: miasta i gaje, faktury i kopalnie, pola i lasy, rzeki i morza, i chmury Księżyca, wszystko spadnie na Ziemię. Jak długo odcisk Formy Pani utrzyma się pod jej nieobecność w kerosie Księżyca? Pół roku? Tego była pewna, bo sprawdziła uprzednio, podróżując po Księżycu i jego sferze. Ale każdy dzień więcej to już ryzyko. Jeśli więc Kratistobójca nie dopadnie Arretesowej Floty w ciągu trzech miesięcy, Illea złamie szyk i zawróci na własną rękę. A gdy zawróci ona — zawrócą także pozostałe Potęgi.

Kratistobójca miał więc wyznaczony bardzo precyzyjny termin: 13 Novembrisa 1199 PUR.

— A jeśli nie zdążymy, kyrios? Jeśli oni znowu zmienią trasę wędrówki? Jeśli nas spostrzegą i zaczną uciekać?

— Cóż, drugi raz na pewno nie uda mi się zebrać takich sił, tylu kratistosów pod jednym sztandarem. Ani mnie, ani nikomu innemu w najbliższych latach. A adynatosi mogą prowadzić swoją wojnę podjazdową w nieskończoność: rajd na Księżyc, drobne Skrzywienia Ziemi, rok po roku… Jeśli to jest wojna. Mam nadzieję, że przynajmniej Efrem, Józef i Nabuchodonozor poradzą sobie tymczasem ze Skoliodoi Afrykańskim. Oczywiście, jeśli zgranie w czasie nie będzie idealne, a nie ma żadnego powodu, by było, tamten atak może adynatosom posłużyć właśnie za ostrzeżenie. Wiesz, jest na Księżycu taki stary sofistes, trochę już chyba szalony, mieszka w wieży w Odwróconym Więzieniu, on twierdzi, że w Formie adynatosów nie mieści się czas i przestrzeń, i jeśli ma rację, cóż, zwyciężyli lub ponieśli klęskę już w momencie przebicia sfery gwiazd stałych, wejścia w sfery ziemskie, już się dokonało.

— Dokona.

— Dokonuje. Nie, też nie, inaczej. Dokonysza.

— Co?

— Dokonać bez czasu. Jak mówić w bezczasie? Jak mówić w bezprzestrzeni? Im dłużej o tym myślę…

Miewał takie zapaści, zdarzały mu się ucieczki w długie dygresje, rozważania o jakichś skomplikowanych kwestiach dotyczących adynatosów, Pani lub natury rzeczywistości, a najczęściej tego wszystkiego razem; rozważania z początku zawsze niezwykle logiczne, lecz potem logiczne jeszcze bardziej i bardziej, aż w końcu Aurelia słuchała tego suchego bełkotu ze z trudem skrywanym zażenowaniem, cofając się w milczeniu ku wyjściu, i tak umykała ze Ślepego Oka, odrobinę zalękniona, iż dotyk umysłowej kakomorfii pozostawi na niej trwały ślad. Dokonysza, mówisza, bysza, tszuam — językowe kategorie nieludzkiej Formy — kołatało się jej to potem w głowie, obijało o myśli. Przypominała się jej szalona esthle Orlanda. „Masz go strzec". „Strzegę". Ale jak ustrzec przed czymś takim?

Przez dzień, dwa powstrzymywała się przed powrotem do Ślepego Oka. Potem wracała i tak, niby tylko zaglądając z ciekawości, czy on nadal stoi tam pod onyxowym niebem i srebrnymi gwiazdami i szkicuje pyryktą freski kosmicznej strategii. Stał. Lub nie; wtedy odchodziła przygaszona.

Równie dużo czasu, co w Ślepym Oku, spędzał Kratistobójca, spoglądając przez opticum ćmy, zapatrzony w rozgwieżdżoną ciemność, przez którą żeglowała „Mameruta". Czasami udawało mu się dojrzeć najbliższe łodzie. Jeśli nie zbudowane z ciemnego aetheru, z czarnych cefer uranoizowych, to sztucznie teraz wyciemnione — stanowiły plamy płaskiego cienia, z odległości większej niż dwadzieścia stadionów zazwyczaj zupełnie niedostrzegalne bez pomocy astrologa.

Księżycowa Flota leciała rozproszona na przestrzeni ponad 10 tysięcy stadionów. Ściślejszy szyk nie był możliwy z oczywistych względów. Już opuszczając sferę Księżyca, byli rozciągnięci w astronomicznej procesji, pół tuzina gwiazdozbiorów między awangardą i ariergardą. Z czasem szyk jeszcze bardziej się rozluźniał; w końcu pierwszy i ostatni statek nie poruszały się nawet na falach tego samego epicyklu. Flota rozbiła się na piętnaście armad, zgromadzonych wokół łodzi Potęg oraz Kratistobójcy. Kratistobójca starał się utrzymać „Mamerutę" mniej więcej w środku, chociażby z uwagi na nieuniknione opóźnienia komunikacyjne. Astrologowie każdego dnia od nowa malowali mu na czarnym szkle aktualną konstelację floty, różnokolorowymi tynkturami znacząc domyślne granice anthosów Potęg.

Kurs pozostawał stały, lecz wszystko inne w obrazie nieba ulegało zmianie. W im wyższe sfery wlatywali, im dalsze od Ziemi, tym szybsze — przy podobnej prędkości kątowej — były tu fale aetheru. Gdyby skrzydła łodzi

księżycowych zdołały przechwytywać i nadawać łodziom cały pęd uranoizy, flota przemieszczałaby się w pełnej zgodzie z obrotami sfer niebieskich (a przynajmniej na tyle, na ile pozwalałby jej skrośsferyczny kurs). Tak jednak nie było. Wzór gwiazdozbiorów oraz położenie planet zmieniały się z każdą godziną.

Dopóki nie minęli sfery Słońca, największą zmianę wprowadzały jego wschody i zachody, gdy doganiało ich i przeganiało na swoim epicyklu. „Mamerutę” zalewały wówczas naprzemiennie wściekłe burze jaskrawego blasku i równie jaskrawej ciemności. To dlatego cefery pancerzy łodzi przeznaczonych do wyższej żeglugi, tych pękatych ciem lunarnych, były tak czarne: chcąc pozostać w płaszczyźnie ekliptyki, musieli przelecieć tuż obok obręczy Słońca, przez pierścień ognia. Flota nadal przyśpieszała i jeśli cygańskie zegary mówiły prawdę, w tym momencie posiadali już połowę prędkości Słońca, jasność i mrok obejmowały „Mamerutę” w cyklu pięćdziesięciogodzinnym.

Pan Berbelek obserwował fenomeny aetheru niedostrzegalne z Ziemi i Księżyca. Na granicy i pomiędzy sferami, gdzie aether najrzadszy, ale też gdzie przenikają się i ścierają ze sobą epicykle o różnej szybkości i kierunku — tam powstawały samoistnie, samorodnie niby-żywe perpetua mobilia. Nie anairesy — lecz coś do nich podobnego. Anioły, daimony nieba, splatające w swych obrotach cefery nieczystego aetheru. Sofistesi Labiryntu powiadali, iż są to „cefery uroborosowe”: pojedyncze cząstki tak długie, o tak potężnej Liczbie, że obejmujące w sobie cały epicykl — rozżarzone koło o średnicy stadionów. Pan Berbelek wypatrywał ich przez ciemne opticum z pasją myśliwego. Tu, w wysokich królestwach, nawet daimony posiadały formę doskonałych figur geometrycznych.

Obserwował, jak po przejściu floty tworzą się na orbitach aetheru nowe, przypadkowe epicykle z uranoizy wybitej ze swych odwiecznych obrotów. Na razie widoczne słabo i wyłącznie o określonej godzinie, gdy Słońce oświetlało je pod odpowiednim kątem, z czasem zapewne urosną, by przechwycić więcej dysharmonijnego pempton stoikheion. Być może w ten właśnie sposób ongiś powstały planety — wśród astrologów znane są i takie herezje.

Obserwował, spoglądając między stopami przez czarny pancerz „Mameruty”, malejącą z każdym dniem Ziemię. Balon, arbuz, jabłko, arfaga, pestka, punkt. Z tyłu głowy pana Berbeleka zawsze bowiem tkwiła ta myśl, jak

krzywy gwóźdź wbity w podstawę czaszki: nie wrócę, nie wrócę, to widok ostatni.

Obserwował ćwiczenia hyppyroi, manewry Jeźdźców Ognia w czystym aetherze. W drugim miesiącu lotu Hierokharis, Ogień na Jej Dłoni, zarządził próbę manewru oskrzydlającego, generalnego ataku, który nastąpi po zamknięciu Kwiatu, gdy korony kratistosów zatrzasną się wokół Skoliozy. Hyppyroi przyczepili do swych zbroi ikarosy i wyroili się z łodzi w aether międzysferowy. Ważna była koordynacja manewru na tak wielkiej przestrzeni — operacji nigdy dotąd nie przeprowadzanej, bo też nie było dotąd potrzeby realizowania w kosmosie taktyk tak rozbudowanych, nawet w starciach z adynatosami ograniczano się dotychczas do punktowych uderzeń, rajdów wskroś kakomorfii i stawiania zaporowych pyrowników. O przećwiczeniu tego ostatniego elementu nie mogło być teraz mowy, astromekanikom pozostało zatem praktykować sztukę błyskawicznego obliczania niszczycielskiej astrometrii niebios na abakosach i tablicach trygonometrycznych.

Jedyne więc, co pan Berbelek mógł obserwować przez ciemne opticum, to powolny taniec ryterów pyru, przestrzenną harmonię trypletów, enneonów i falang, jak rozwijały się na tle gwiazd w symetryczne kompozycje cienia, linie i płaszczyzny kosmicznego frontu, milcząca poezja wojennej matematyki. Ikarosy, półprzezroczyste skrzydła z numerologii najsubtelniejszej, rozwijały się za hyppyroi na dziesiątki, setki pusów, w miarę jak ryterzy przechodzili na szybsze epicykle, bardziej ostre trajektorie i musieli wychwytywać coraz gęstsze fale aetheru. Wkrótce gwiazdoskłon zapełnił się rozżarzonymi sylwetami motyli cienia, ich wielkich skrzydeł wycinających w sferze gwiazd stałych kanciaste plamy mroku. Niezwykłej biegłości w astrometrycznej nawigacji wymagało zgranie podobnego manewru, nie tylko aby hyppyroi nie wlatywali wzajem na siebie, nie zahaczali o swe ikarosy, ale by nie żeglowali wraz na tych samych epicyklach; a w ogniu bitwy skomplikuje się to wszystko tysiąckroć.

Kratistobójca obserwował ich godzinami. Zachodzili doń jacyś hegemoni hyppyroi, przekazywali raporty. Zatwierdzał rozkazy Hierokharisa. Gdy obracały się nad łbem „Mameruty” kalejdoskopy armii aetheru, gdy w świetle pędzącego pod brzuchem ćmy Słońca błyskały zbroje Jeźdźców Ognia, srebrne gwiazdy znikające w mroku po jednym spojrzeniu — pan Berbelek myślał: to jest moje wojsko. To jest moje wojsko, to są moi żołnierze, moja

będzie bitwa i tryumf lub klęska człowieka, i Forma świata — ja, mnie, przeze mnie, dla mnie, we mnie, mną.

21 Octobrisa Księżycowa Flota zaczęła schodzić w sferę Jowisza, Kwiat począł się rozwijać z geometryczną precyzją pitagorejskiej kostki. Od chwili, gdy wysłał ostatnie rozkazy do wchodzących na swoje epicykle armad, pan Berbelek nie zajrzał już do Ślepego Oka. Wyrzucił mapy i astrolabia, zaprzestał narad ze sztabowcami, Aurelia nie spotykała go więcej na korytarzach i we wnętrznościach „Mameruty". Czarna ćma pędziła z rozpostartymi na stadiony skrzydłami, pchana ku swemu celowi przez regularne fale aetheru, i nic już nie można było tu zmienić, nic nowego wymyślić, strategia Kratistobójcy właśnie się wykonywała.

Raz tylko, 25 Octobrisa, gdy minąwszy kajutę wuja, zajrzała wzwyż łba ćmy, prostopadle do osi obrotu uranoizowej łodzi, pochwyciła Aurelia w ciemnym krysztale mętne odbicie sylwetki Kratistobójcy. Stał pochylony, wparty czołem w ścianę, z prawą ręką uniesioną do twarzy. Najpierw pomyślała, że gryzie grzbiet dłoni, tak to wyglądało; potem spostrzegła w krysztale odbicie bieli, kształt małej tulei. Przyciskał ją do nozdrzy. Być może on z kolei pochwycił gdzieś odbicie Aurelii, bo wtem opuścił rękę, wyprostował się, odwrócił i odszedł energicznym krokiem, wysoka, barczysta postać w perspektywie oleistego cienia.

Nigdy więcej nie ujrzała pana Berbeleka.

Nie mógł spać. To wycie, ten zawodzący jęk, ten szloch rozedrgany nad ciemnymi skałami Księżyca — za każdym razem budził Akera zaledwie po kilkunastu minutach. Zupełnie jakby adynatos tylko czekał, aż stary sofistes złoży się do snu, jakby wyczuwał moment jego zaśnięcia — i wówczas rezonans arretesowej pieśni od nowa uderzał w wieżę. Aker nie spał już od kilkuset godzin. Co za jego młodości nie stanowiłoby większego problemu, ale teraz, gdy brała w nim górę morfa pierwotna, zwierzęca, pamięć ciała z czasów Ziemi, kiedy to rytm życia wyznaczały były szybkie wschody i zachody Słońca — teraz niemożność zaśnięcia stawała się prawdziwą udręką. Tak jak od przesadnego wysiłku męczą się i odmawiają posłuszeństwa mięśnie, tak i pozbawiony odpoczynku umysł wyrywa się spod kontroli.

Aker człapał godzinami po wieży, w dół i w górę po schodach i pochylniach, i w kółko w zamkniętych salach, od okna do okna i dokoła wieży, i dokoła krateru Odwróconego Więzienia, dokoła Tortury, z furkoczącym aeromatem naciągniętym na twarz, coraz dalej i dalej, aż Chiratia musiała za nim biegać i przemocą sprowadzać go z powrotem.

— On nie daje mi spać, nie chce pozwolić mi zasnąć — powtarzał, a wizytujący sofistesi i hyppyresowi strażnicy Więzienia wymieniali porozumiewawcze spojrzenia.

Chiratia odnajdywała w tym źródło złośliwej satysfakcji.

— Więc teraz słyszysz? — ironizowała. — Teraz rozumiesz? Jak cierpi.

— To są odgłosy bitwy.

— Co?

— Wzięci w kleszcze pod aurami ludzkich kratistosów, walczą o przetrwanie.

— O czym ty mówisz?

— Czas i przestrzeń, one przecież także należą do Formy człowieka. Tak już postrzegamy świat: że cokolwiek istnieje, istnieje w przestrzeni i czasie: gdzieś, kiedyś.

— Więc ten uwięziony i ci ze Skoliodoi Ziemi, i ich flota aetheryczna — wszyscy adynatosi znajdują się tak naprawdę w jednym miejscu? To chcesz powiedzieć?

— Nie! Nie pojmujesz? „Miejsce” nie należy w ogóle do ich Formy, nie o wszystkich bytach można powiedzieć, że gdzieś się znajdują. Gdzie znajduje się wyobrażone przez ciebie miasto, wspominani przez ciebie zmarli, przedmioty, o których myślisz, śnisz? Ani nigdzie, ani wszędzie, ani tu, ani tam, ani w twojej głowie, ani na zewnątrz.

— Ale on tak jęczy od początku, przez lata całe, a bitwa, jeśli nawet się już zaczęła —

— Czas — on także nie należy do ich Formy. Nie ma „początku”, nie ma „teraz” i „wtedy”.

— Więc wszyscy oni —

— Czy w ogóle „oni”?

— Aker!

— Te pieśni męki… Został uderzony przez Kratistobójcę, kona, to znaczy — rozpada się jego Substancja. Zapewne dlatego w ogóle go widzimy, jakkolwiek go widzimy, dlatego tak połowiczną, słabą Formę posiadają

Skoliodoi Ziemi, dlatego nie pochłonęli ziemskich sfer. Kratistobójca uderzył, człowiek zwycięża nieczłowiecze.

Aker Numizmatyk zaglądał z tarasu wieży do wnętrza krateru, obserwował wskazania obwodowych zegarów. Coraz łatwiej przychodziło mu zawierzyć szalonym hipotezom. Powiedzmy, że Kratistobójca istotnie wejdzie do serca Skrzywienia, do środka Arretesowej Floty, dotrze do kratistosa adynatosów. Powiedzmy, że go zabije. Jakie są szanse, że następnie esthlos Berbelek powróci w to samo miejsce i ten sam moment, z którego wyszedł, że w tę samą Formę przestrzeni i czasu się zapadnie? Że nie wyjdzie na przykład do świata adynatosów? Czyli, w istocie, nigdzie. Albo tutaj, do Odwróconego Więzienia? Albo gdziekolwiek, kiedykolwiek indziej?

Im dłużej o tym myślał, tym trudniej mu było zamykać się na straszną oczywistość. Przypomniał sobie, z jaką łatwością esthlos Berbelek wszedł i wyszedł z krateru, z morfy uwięzionego adynatosa, jak spłynęła ona po nim, prawie nie pozostawiając śladu. Przypomniał sobie opowieści hyppyroi, jak schwytali tego adynatosa, o jego pojawieniu się na Księżycu i marszu ku Labiryntowi. Przypomniał sobie samego pana Berbeleka.

W końcu więc sofistes sięgnął do kieszeni i wyjął starą, ciężką monetę. Obrócił ją w kościstych palcach. Na awersie — Pani; na rewersie — Labirynt. Ciekawość będzie najpewniej ostatnim, co utraci z morfy; prędzej przestanie być Akerem niż sofistesem. Próbował się jeszcze w ostatniej chwili przekonać do zawrócenia w swojską starość, ludzkie niedołęstwo. Lecz bardzo trudno mu przychodziło wynajdować przekonujące argumenty, ta morfa niewiele już miała mu do zaoferowania. Być może po prostu był niewyspany… Lepiej więc zdać się na wypróbowaną metodę. Rzucił monetę w powietrze. Nie bez wysiłku złapawszy złoty pieniądz, odsłonił jego lśniące lico. Labirynt.

Obejrzał się ku wieży — nikt nie patrzy, Chiratia zniknęła już chwilę temu. Czym prędzej uruchomił mekanizm pomostu, zatrzaskując na zębatych kołach wielkie perpetua mobilia. W zgrzycie przekładni, wielokrążków i łańcuchów jął on opadać ku nasypowi w kraterze. Aker naciągnął na twarz maskę aeromatu i ściskając w spoconej dłoni starożytną monetę, wstąpił na pochylnię. Nie czekał nawet, aż się ona zatrzyma.

To, co nie było chmurą pyłu ni mgłą, ni burzą piaskową, ni stadem anairesów, to Uwięzione, od którego nie mógł już odwrócić spojrzenia — czyżby wyczuło jego nadejście? — rozdęło się teraz, jakby zaczerpnąwszy głęb-

szy oddech pyrowej atmosfery Księżyca, i poczęło się przesuwać ku żużlowemu kopcowi, po którego zboczu zsuwał się Aker Numizmatyk.

Pieśń adynatosa przybierała na sile i natężeniu.

— Idę, kyrios — sapał sofistes. — Już idę.

Sucha, spalona gleba Księżyca chrzęściła pod jego stopami. Od strony wieży usłyszał głosy — jeszcze nie krzyki, lecz ktoś zapewne właśnie wyszedł na taras, zaraz spostrzeże opuszczony pomost, spojrzy przez Torturę. Sofistes nie obejrzał się za siebie.

Ściana Substancji chaosu sunęła na niego coraz szybciej. Zamknął oczy, zatrzymał się, czekając w bezruchu. Nie chciał dać się zwieść efektownej kakomorfii, nazbyt wiernemu świadectwu ludzkich oczu — zresztą nie będzie już więcej musiał z nich korzystać. Oddychał powoli, w rytm obrotów aetherowych wiatraczków aeromatu; jeszcze działały. Zastanawiał się, czy w ogóle rozpozna ten moment, gdy pan Berbelek zamknie go w swych objęciach, powita arretesowym pocałunkiem. Czy poczuje. Jeśli bowiem ten, co odczuwa, i to, co jest odczuwane, ulega zmianie naprawdę jednoczesnej…

No już, myślał niecierpliwie, już się donokało, już się musiało donokać, nie szyszłę ich krzyczków, a i aeromat już nie szumni, zaraz, czy ja odchydam? Powietrza, pojecza, powlecza, polecza — ajch, i nie bólą mnie nogi, nie bóli mnie gwoła, zazar, moja gwoła, mszę doktnąć, alalale jak — zazar, zazar, bo zamopnę, ćciałem odchydnąć, ołaś nie ałeru, ałeru! Bym oklężnął, to ja, to mjon od Blebeleka, nie plwiem szecie w bezchydu — banie Belbeblele, banieblebleblebleblelblelebelelelbeleelele…! Obże, nidieję! Najwir odczuwla zboje, i w lepiczyklu, w żażnej korbicie, jak się growija, mabóla, hyrjo, hyrjo, ładłbym naklana, rybym jał lana, szy ja młam jejejejeszcze, nieptle. Bon mnje wżynra, nikadię najdu, inuta inucie, szlę atoję w baniebelbelebelelelelelelelelelelele — akker mnie mię! Akker mnie mię! Je zmopnieć! Alelelele mjon usz zmopinam, w żażnym pietle gadzi sieżycowych, tak szlę kobluje. Szyjatowidzę, szyjatoszyszłę, szyjatoszuję, njem. Njem sztaku zabreźnych, turych natszy, obratszy, oj takszy napomli, obrażny na kwiastach, szałym kozmoziecie, szałym lisie: traz! Ikjuż mybylko chon, oblaz, objaz, obumarszy, nawsze mjon: banbelbebleblelelelelelelelelelel

Ω
Pan Berbelek

Pan Berbelek zakłada aetheryczną zbroję. Nie było odpowiednio dużej, księżycowi demiurgosi uranoizy musieli ją wykuć i zestroić specjalnie na miarę pana Berbeleka. Na plecach, nad łopatkami, na kościach międzyaetherowych zaczepione zostały pąki ikarosowe; prawie ugina się pod ich ciężarem. Między pąkami słudzy zawieszają kolczugę ze Skolioxyfosem, przy każdym poruszeniu jelec trze o rozpędzoną kryzę zbroi. Jeszcze wirkawice, okółhełm, pan Berbelek poprawia pod nim ruchem brwi i warg białą maskę aeromatu — dwa kroki po elastycznym jęzorze, wysuniętym z rozwartej na oścież gęby ćmy, i zstępuje na krawędź gwiezdnej otchłani.

Przed nim, pod nim, nad nim, dokąd sięga wzrokiem na ciemnym gwiazdoskłonie — gorzeje bitwa. Siódma godzina rzezi w sferach niebieskich, od nieustannego grzmotu trzęsie się nawet „Mameruta”, wszyscy mają zalepione woskiem uszy i porozumiewają się na migi, rozsadzająca czaszkę kakofonia niesie się przez aether, wydaje się, że drży nawet sfera gwiazd stałych. „Mameruta” idzie ostrym kursem przez ogień bitwy, płoną poszarpane skrzydła, zgrzyta i jęczy wirująca konstrukcja, trudno utrzymać równowagę na gładkim jęzorze. Astrolog Labiryntu po raz ostatni wskazuje gwiazdy azymutowe, pan Berbelek unosi rękę, doulosi szarpią za boczne pyrsieci, jęzor wpada w wibracje, fala żaru od bliskiego pyrownika zaburza obroty ćmy, ktoś wypada z jej gęby, paniczny wrzask ginie w hałasie bitwy… Pan Berbelek skacze w otchłań.

Spada. Napręża morfoczułe kości ikarosowe, mikromakiny uranoizowe zmieniają orbity wiązadeł i skrzydła natychmiast zaczynają rozkwitać, raz, dwa, cztery, osiem, szesnaście, trzydzieści dwa, płaszczyzny ażurowego cienia rozwijają się za nim z misternie złożonych pąków, z każdą sekundą coraz szybciej. Po dwudziestu sekundach rozpostarł się już prawie na pół stadionu; upadek ku centrum świata, ku niewidocznej Ziemi, zostaje powstrzymany. Poprzez delikatne napięcia morfy będzie teraz sterował kątem

nachylenia skrzydeł, wychwytując uranoizę tylko z tych epicykli, które poniosą go do obranego celu.

Cel — nie spuszcza go z oczu. Kilka minut wcześniej przeszły tędy dwa enneony Hierokharisa, oczyszczając drogę dla pana Berbeleka, a w każdym razie tę jej część, którą mogły oczyścić; razem z nimi, pod sztandarem wnuka Pani, poszła w bój Aurelia Krzos. Ikarosy nie są jednolicie ciemne: jeśli się dobrze przyjrzeć, można dostrzec subtelne wzory wytrawione w skrzydłach, symetryczne zapętlenia żył aerowo-gesowej alkimii — różne dla różnych formacji Jeźdźców Ognia. Pan Berbelek wypatruje ryterów Hierokharisa. Tam. Sprawdza położenie gwiazdozbiorów wyznaczających drogę do obliczonego przez astrologów serca Skrzywienia. Tam. Napręża ikarosy. Zmiana kierunku lotu oznacza zmianę wysokości i natężenia dźwięku, z jakim aether kosmiczny ściera się z aetherem zbroi — najlepsi nawigatorzy żeglują z zamkniętymi oczyma, wsłuchując się jedynie w muzykę sfer niebieskich.

Z lewej, nad ramieniem pan Berbelek ma płonący Jowisz. Planeta, rozmiarów połowy Księżyca, z tej odległości wielka jak afrykańskie Słońce, płonie od pięciu godzin. Trafił ją rykoszet wyjątkowo potężnego pyrownika, od niego wybuchły na jej powierzchni alkimiczne transmutacje, stopniowo obejmując koroną purpurowego ognia cały Jowisz, od bieguna do bieguna. Tego astromekanicy Pani nie przewidzieli; Jowisz to splątany węzeł cefer aetherowo-hydorowych i atherowo-gesowych, nikt nie przypuszczał, że to się zapali. Teraz ciągnie się za nim zakrzywiony ogon płomieni, długi na tysiące stadionów. Najwyraźniej astromekanicy Labiryntu odkryli właśnie pochodzenie komet. Żar Jowisza idzie przez aether szybkimi falami, od których marszczą się i skręcają ikarosy. W tych sferach i tak niewiele jest arche aeru, mały aeromat nawiewa teraz w nozdrza pana Berbeleka gryzącą mieszankę ubogich w Powietrze cefer.

Bitwa toczy się na przestrzeni setek stadionów, nie widać więc śmierci poszczególnych żołnierzy i destrukcji każdego okrętu, nie widać samych zmagań — jedynie ich pośrednie skutki. Gdy przez aether uderza pyrownik, na moment odwracają się barwy całego gwiazdoskłonu i gorąca biel poraża źrenice. Zaraz nadchodzi huk i podmuch suchego pyru, strącający hyppyroi z ich epicykli i łamiący szkielety ikarosów. Astromekanicy prowadzą ostrzał wzdłuż granic aur kratistosów, od zewnątrz do wnętrza zatrzaśniętego Kwiatu. Czasami jednak matematycy nieba mylą się w swych oblicze-

niach albo też adynatosi skrzywiają w swej morfie trajektorię Ognia, i gwiezdny piorun przebija bitwę na wylot, rażąc ludzi nacierających z przeciwnej strony. Tuż przed opuszczeniem „Mameruty” dotarła do pana Berbeleka wieść, iż w ten sposób trafiona została łódź niosąca Światowida, cała armada kratistosa padła łupem adynatosów — pan Berbelek obraca na moment spojrzenie ku gwiazdozbiorowi Byka — tam powinny wejść na miejsce Światowida sąsiednie Potęgi, Król Burz i K’Azura. Ktokolwiek sądził, że udane zamknięcie Kwiatu oznacza victorię, mylił się: jeśli arretesowy kratistos nie zginie, podobnie głębokie wejście ludzkich kratistosów w jego morfę może zakończyć się obróceniem Floty Księżycowej w Drugą Flotę Arretesową.

Tymczasem Kwiat zamknięty jest już tak szczelnie, że korony kratistosów zachodzą na siebie, przenikają się. Niektórzy się wycofują, by nie walczyć przeciwko sobie nawzajem. Kurs „Mameruty” został obrany w ten sposób, by pan Berbelek wleciał do środka Floty Arretesowej pod anthosem Pani.

Kwiat zamknięty jest tak szczelnie, że pan Berbelek może gołym okiem dojrzeć flotę adynatosów i nie stanowi ona już zaledwie włóknistego kłębowiska cieni na tle gwiazd. Od chwili zapalenia Jowisza przestrzeń bitwy skąpana jest w chropowatym, rdzawo-krwawym blasku, każdy obiekt posiada dwie formy: dojowiszową, w której migocze wszystkimi odcieniami czerwieni, i odjowiszową, w której roztapia się w ciemny kształt bez wyraźnych krawędzi.

Pan Berbelek szybuje w paszczę karminowego lewiatana, lewe skrzydło płomienne, prawe skrzydło w cieniu.

Krzywa Flota w Formie Illei Kollotropyjskiej objawia się pod postacią ławicy geometrycznych wielorybów, wielkich na stadiony i stadiony gwiezdnych ryb o okrągłych szczękach z rozpędzonej uranoizy. Wieloryby strzykają spod mozaikowych skrzeli spiralami pyru, palącymi pikujących na nich hyppyroi; hyppyroi zaś rozpruwają im magmowe brzuchy, tnąc podług współbieżnych epicykli. Ten sam odłam Krzywej Floty, gdy przechodził przez anthos Mauzalemy, jawił się oczom załogi „Mameruty” kryształowym lasem-miastem o strukturze odpowiadającej liniom daktylnym Mauzalemy. Jeszcze wcześniej był to rój kosmicznych ifrytów. Jeszcze wcześniej — nie poddawał się żadnemu spójnemu opisowi.

Dwadzieścia, osiemnaście, siedemnaście stadionów, wir gwiazdorybiej paszczy rośnie przed panem Berbelekiem. Oczywiście to jest zaledwie powierzchnia Skrzywienia, tak wygląda to, co w ogóle wygląda. Pan Berbelek musi zaś dotrzeć do samego środka. Tu Pani sięgnęła najgłębiej, tu Jeźdźcy Ognia uderzyli najszerszym klinem. Zabici adynatosi (czy to są adynatosi, czy jedynie ich łodzie? czy zostali zabici, czy jedynie wypchnięci z agresywnej morfy?) spadają z jowiszowych epicykli w niższe sfery. Pan Berbelek mija w locie skrzepy storturowanej Materii, ani żywej, ani nieżywej, ani ludzkiej, ani nieludzkiej. Natomiast po hypporoi nie znajdzie nawet trupów, zabijani ryterzy pyru spalają się momentalnie do chmur popiołu. Pan Berbelek zastanawia się, które z tych niezliczonych sekundowych błysków, punktujących ciemność wysokiego nieba, oznaczają śmierć Jeźdźca. Pozostają po ryterach czarne skrzydła, zaraz porywane przez chyży aether, i rozstrojone, rozpadające się zbroje.

Raz wydaje mu się, że przez hałas bitwy i wizg przecinanej uranoizy słyszy krzyk hyppyresa, obraca głowę w tamtą stronę — bezskrzydły płomień w formie człowieka spada w Skoliozę — trrrrrrrask! — pobliski pyrownik przepala czarno-czerwone niebo — gdy wraca ciemność, pan Berbelek nie jest już pewien, co widział.

Siedem, sześć, pięć stadionów, tu hyppyroi Hierokharisa rozpędzili ławicę trójosiowych rekinów, teraz wiszą na tych orbitach chmury spiralnych zębów z cefer wszechżywiołowych. Pan Berbelek przebija się przez obłoki swobodnych kłów z chrzęstem, od którego włosy stają mu dęba i łzawią oczy pod maską aeromatu. Każde przekłucie ikarosów czuje drobnym szarpnięciem skóry pleców, szybko ból staje się nie do wytrzymania. Sięga ponad spowolnionym okółramiennikiem i wyszarpuje z kolczugi Skolioxyfosa. Po pierwszym uderzeniu obłok zębów skrapla się w seledynową mgłę, przez którą pan Berbelek przelatuje już bez problemu; mgła cuchnie zjełczałym masłem.

Dwa, jeden, wpada do paszczy lewiatana. Z prawej widzi wbite w ścianę przełyku czarne skrzydło o hierokharisowym wzorze, jeszcze warczy w adynatosowym cielsku srebrny okółpierśnik spopielonego rytera.

Mimo iż zamknięty w gwiazdorybim tunelu, pan Berbelek mknie coraz szybciej. Tu już słabnie Forma Illei. Przełyk lewiatana, miast się zwężać, rozszerza się. Pan Berbelek rozpościera skrzydła. Mija gazową ośmiornicę

w obręczach krzywej uranoizy. Dopiero po chwili pojmuje, iż to jeden z Jeźdźców Ognia, którzy za daleko się zapuścili.

Pod stopami pana Berbeleka uderza kolejny pyrownik, astronomiczny piorun czystego Ognia, przepaliwszy się przez cielsko któregoś z lewiatanów. Tu, na oczach człowieka, Ogień topi się w gęste mleko, ono szeroką rzeką zakręca przez gwiazdoskłon i zostaje wessane do sutka kamiennej świni, z której uszu wypowiadają się —

Pan Berbelek odrąbuje łeb astrowieprza. Błękitne pierze oblepia ikarosy. Mleko śpiewa kobiecym głosem, co zwrotka wybuchając histerycznym śmiechem. Blask Jowisza nie jest już czerwony, lecz czarny. Przed panem Berbelekiem otwiera się aetheryczna mozaika pięciobocznych kwadratów, labirynt uranoizy kołującej po kątach prostych.

Pan Berbelek zaczyna liczyć. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szcześćnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziwinaście, dwanieścia, dwanieścia jeden, dwanieścia dwa, dwanieścia drży, dwanieścia zdziery, dwanieścia wdzięć, dwanieścia niewdzięć, nieścia dwa cieścia drżęć, drżęnaścieniabięć, bdzięć, bdzięć, bdzięć; njest dobrze.

Pan Berbelek płydzie przez wylewy szczerni, każdy skros niesie go w gęstszą szczerń, przestrzeń, wystrzeń i rozstrzeń wygwieżdżają się szybko, pan Barbelek próbuje wymaczyć źródło tej oślepiającej ciemności, która zamulowała go już do pasa, do pierści, nogi ugrzęziły na dobre, nie może poruszyć ani przednią, ani tylną, nie płódzie ni skrosu dalej, krrrupł! — pękły kości ikarosów, urwało żeglidła, ajther się ścierwi, gdy pan Blebelek wejczy z bólu.

Uderza mleczem w szczerń i to na kwilę pomaga, upowolniony pan Berbelek rusza ponownie ku dźwirowi tej białskrawej dziewności, skąd niestannie wyrzyguje kwiasty. Jebo pełne jest kwiast o rozmaitych pięknach, dźwięknach, woniach, polorach i ciążach. Zatwarte i rozmknięte zarazem, oszukuje pana Berbeleka niestniejącymi kierunkami, ćciałby płyć tszam i tszu i tszuam, alele płydzie już tylko w jedynym możliwym kierunku: oto jest nowy dół, nowy zrodek, nowe szentrum świata. Nie wiedząc, kiedy, przepłyszedł grannicę Form — i traz spada.

Spada, spada, spada, machomując rękoma, nogoma i ajthoroma, Zgoliodziwos udzierza w przyspadkowych stukach w wydzielice bezmaterii, ban Blebelek rozdzierwia się na krocie, już mu podusze wyciekają ze złoczu,

nie strzyma upadku, spada, spada, spada, mógłby wdwazić Zgoliodziwa w siebie, czynajmniej by go obrąbiło, nie padłbysza w okrucia krakrakratistosa, alelelele i na to nie sczaisu, i tylko niedy tak spapapada, wybracają się w przemyśle banabalabaleleleleka rozstatnie wyśli:

— Bdzięć! Bdzięćwa! Bdzięćcie! Bdzięćci! Bdzięććwaćcie! Dźwięćczaści! Czaściras! Czaścipłaz! Czaścimięć! Czaściszczeć! Czaścisiem! Czyczaściwięć! Czertaści! Czertaścipłaz! Czertaści dwłaz! Czterdaści-ci! Czterdziaści dziery! Czterdziaści mięć! Czterdziaści szcześć! Czterdziaści siem! Czterdziaści osiem! Czterdziaści dźwięć! Pięśćdziesiąt!

Spadł, pięść pana Berbeleka spadła po raz pięśćdziesiąty. Walczył na oślep, ponieważ to był pierwszy jego odruch, skoro nie myślał i nie był świadom i prawie już nie żył: sprzeciw. Sprzeciw, walka, zniszczenie, poniżenie wroga. Trazaś wróciły do niego motywy, zamiary i racje, wszystko to, co wymaga czasu do pomyślenia, czegoś przedtem i czegoś potem.

Więc najpierw podniósł Skolioxyfosa, a potem nim uderzył, już nie nagą, odartą z aetheru i skóry pięścią, lecz Mieczem Deformy:

— Raz! Dwa! Trzy! Cztery!

Wróciła także przestrzeń, wróciło rozróżnienie na to, co uderza, i co jest uderzane, ostry i wyraźny podział na pana Berbeleka i resztę świata. Pan Berbelek ciął Skolioxyfosem w aszczeździarnistogrudłęboskimurżaciębie —

Odwrócił wzrok — teraz odróżniał wzrok od reszty zmysłów — rozejrzał się wokół. Na jego oczach, co mrugnięcie, wyjawiały się Substancje coraz lepiej mu znane — nie zastanawiał się, jak to możliwe, nie wydało mu się podejrzane — w jego oczach ciężka Skolioza kondensowała się w Formy, które już mógł wskazać i nazwać: podłoga, ściany, okna, ogień, woda, światło, cień, popiół, kula, rury, piramida, płomień, włosy, gwiazdy, skrzydło, krata, perpetuum mobile, kij, sznur, łańcuch, rzeźba, stół, lichtarz, amfora, tron, jedwab, kobierzec, krew.

Krew płynęła coraz szerszym strumieniem, mieszała się z krwią pana Berbeleka, słyszał teraz także coś jakby rzężący oddech, na poły zwierzęcy, na poły mekaniczny, tchnienie gorących miechów. Do rytmu drżało całe pomieszczenie, płaszczyzna, posadzka, na której stał, i dokolne mozaiki światła i cienia, i samo powietrze, tłusty aer, lepiący się do gardła i nosa. To już koniec, ramię bolało go od zamachów ciężkim Skolioxyfosem, tamten przestał rzęzić, to już koniec. Za oknem wschodzi dymiący Jowisz, widzę na

gwiazdoskłonie cienie ikarosów hyppyroi, coraz bliższe, to znowu jest ta chwila, gdy stoję w komnacie pokonanego kratistosa. Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć. Wziął głębszy oddech, zamrugał. Kikutem lewej dłoni starłszy zalewającą oczy krew, obrócił głowę, uniósł wzrok. I z ostatnim cięciem krzywego ostrza pan Berbelek zrozumiał wyraz twarzy umierającego adynatosa.

grudzień 2002 — czerwiec 2003